

POMOC WŁASNA

(Self - Help).

DZIEŁO

SAMUELA SMILESA

liczące trzydzieści wydań o 500,000 egzemplarzach, w języku Angielskim,
przełożone na wszystkie języki Europejskie.

SERYA PIERWSZA

z niemieckiego obrobienia Józefa Boyesa.

spolszczona i wydana staraniem

Redakcyi „Przeglądu Tygodniowego.”

WYDANIE TRZECIE

WARSZAWA

Nakładem Redakcyi „Przeglądu Tygodniowego.”

1879. C

EBERYNOWICZ I SCHMIDT
we LWOWIE
Księgarnia i Skład art.



41209/1

Дозволено Цензурою,
Варшава 13 Сентября 1878 года.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0283487

w Drukarni Przeglądu Tygodniowego w Warszawie ulica Czysta № 2.

SPIS RZECZY.

ROZDZIAŁ I.

Od str. 1—15.

Narodowa i indywidualna samodzielność.

Pomagaj sobie a Bóg ci dopomoże. Instytucje ludzkie. Postęp i upadek narodu. Rząd jest odbiciem osobistości każdego narodu. Na przymiotach charakteru opiera się wolność. Porównanie swobody Anglii i Niemiec. Inne narody pod tym względem. Postęp jest owocem pracy wielu pokoleń. Życie jest szkołą praktyczną. Przykład żywy. Życiorysy znakomitych ludzi. Wychowanie w Anglii. Wychowanie w Niemczech. Cywilizacja znosi przywileje stanów. Postęp w Anglii. Wiliam Szekspir. Znakomici ludzie pochodzący z biednych klas społeczeństwa. Sławni robotnicy. Sławni murarze. Feliks Mendelshon Bartholdy. Sławni cieśle. Pasterze. Rodzina Fuggerów. Wierzynek. Tkacze i synowie tkaczy. Szewcy wstawieni. Znakomitsi z warsztatu krawieckiego. Synowie rzeźników. Piekarze i perukarze. Samuel Heinicke. Benjamin Franklin. Adryan VI. Abraham Lincoln. Protoplaści poetów niemieckich. Marynarze. Polacy ubogo urodzeni. Piast. Jakób ze Znina. Kromer. Dantyszek. Grzegorz z Sanoka. Grzegorz Knapski. Stanisław Staszic. Janicki. Zawady w wyniesieniu się. Ustawy angielskie sprzyjają wyrobieniu się ludzi. Dążenie klas ubogich.

ROZDZIAŁ II.

Od str. 15—63.

Wynalazcy i przemysłowcy.

Twórczość narodu na polu przemysłu. Przedsiębiorczość i samoistość Anglików. Duch zależności i naśladownictwa innych narodów. Postęp ku lepszemu w środkowej Europie. Rozkwit niemieckiego przemysłu od XIII do XVII wieku. Miasta niemieckie. Górnictwo na Harcu i w Saskich rudawach. Przemysł Norymbergi. Fabrykacja szkła i sukien. Skutki wojny trzydziestoletniej dla przemysłu niemieckiego. Rozwój przemysłu angielskiego w XVII i XVIII wieku. Anglicy korzystają z zacofania się ładu stałego Europy. Wynalazek pary ożywia przemysł angielski. Heron.

D. Papin. James Watt. Ulepszenie maszyny Newcomena. Bawełniane przemysł Anglii. Ryszard Arkwright wynalazca przędzalni. Pierwsza przędzalnia w Nottingham. Niepowodzenia. Zakład fabryczny w Cromford. Charakter Arkwrighta. Joziasz Wedgwood. Jego zasługi. Faberowie fabrykanci ołówków. Ich zakłady pod Norymbergą. Jan Latoryusz Faber. Borsig z Berlina fabrykant maszyn. Ryszard Hartman. Spalenie się fabryki. Siła woli w jej odbudowie. Henryk Krystyn Meyer fabrykant kijów i lasek. Wspomnienia anegdotyczne jego młodości. Wzrost jego majątku. Henryk Daniel Rumkorff wynalazca szpulki. Nagroda 50,000 franków od cesarza Napoleona III za szpulkę elektro-magnetyczną. Jacquard wynalazca warsztatów tkackich. Prześladowania przez robotników tkackich. Filip Girard wynalazca maszyny do przędzenia lnu. Nagroda milion franków za ulepszony sposób przędzenia lnu. Żyrardów. Pomysły Girarda. Wynalazcy polscy. Zarzuty czynione wynalazczemu duchowi Polaków. Przykłady i usprawiedliwienie. Dążenia do cudowności. Magnus Tepper wynalazca mniemanego perpetuum mobile. Wynalazcy maszyn rachunkowych. Abraham Stern, członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk warszawskiego. Pracownicy około ulepszenia żniwiarki. Tymieniecki i jego życie. Majer, Żyd polski w Paryżu ulepsza maszynę do szycia. Rozwój przemysłu polskiego. Kwitnący stan w wieku XV i do połowy XVII-go. Przyczyny upadku. Ocknienie się w końcu zeszłego wieku. Dagnel fabrykant powozów w Warszawie za Stanisława Augusta. Wspomnienie Staszica. Jego wytrwałość w krzewieniu przemysłu. Karol hr. Brzostowski jako wzór obywatela przemysłowca. Ulepszenie gospodarstwa. Zakłady Sztabińskie. Testament określający instytucje Sztabina. Piotr Steinkeler. Jego charakter. Podróże w celach przemysłowych. Przedsiębiorstwa. Kolej żelazna. Sól. Fabryki cynku. Steinkelerki. Młyn parowy etc. Żarki i Jaworzniak. Zawody i niepowodzenia. Strata majątku. Nikodem Korytyński fabrykant oleju. Dąbrowicz fabrykant płótna. Stanisław Lilpop. Wawrzyniec Gebicki nożownik. Jego wyjazd do Ameryki i zasługi.

R O Z D Z I A Ł III.

Od str. 63—88.

Pomoc własna i stowarzyszenia.

Przykłady pomocy własnej w naturze. Samodzielność. Siła w stowarzyszeniach. Zastosowanie praw naturalnych do człowieka. Cel pracy. Zdolności i wytrwałość. Siły robotników i rzemieślników. Środek ratunku dla nich w stowarzyszeniach. Co to jest kapitał. Nędza robotników. Dążenie tych klas we Francji i Niemczech. Szultze-Delitzsch. Jego życie. Czyny i usiłowania. Żądania robotników niemieckich w 1848 r. Ich sukces. Obrona Szultzego. Jego usunięcie. Praca w Delitzsch. Pierwsze stowarzyszenie banków zaliczkowych. Klasyfikacja stowarzyszeń według Szultzego z Delitzsch. Główne zasady stowarzyszeń. Wpływ moralny stowarzyszeń na stanowisko osobiste i społeczne. Przykłady. Sprawozdanie statystyczne ze stanu stowarzyszeń rzemieślniczych i wyrobniczych w Niemczech. Państwo i stowarzyszenia. Zastosowanie pomocy własnej do stowarzyszeń. Stowarzyszenia wspierane przez państwo we Francji i Niemczech. Ich niepowodzenia. Zdanie Szultzego-Delitzscha o samo-

istności stowarzyszeń. Instytucja pośrednicząca niemieckim stowarzyszeniom. Stowarzyszenia w Anglii. Pierwsze próby Owena w Newlanad. Pionierzy w Rochdal. Sklep z żywnością. Drobnosc środków. Przełamanie trudności. Wypłata dywidendy. Młyn parowy. Zagrożenie upadłością. Zasada nie dawania kredytu na żywność w sklepie spółki kupowaną ratuje. Przędzalnia. Stan spółki obecny. Naśladowcy. Spółka sukienników w Sagan na Szląsku. Jej początek. Chylenie się do upadku. Zgromadzenie folusza odnawia spółkę. Jej stan obecny. Urządzenie. Spółka stolarzy warszawskich. Cel. Statuta. Stan bieżący. Przemówienie p. Zelta. Sklep stowarzyszonych szewców.

R O Z D Z I A Ł IV.

Od str. 88—128.

Pilność i wytrwałość.

Geniusz jest cierpliwością. Izaak Newton. Pracą wyrobić można specjalne zdolności. Jedadiach Buxton matematyk. Bider sławny rachmistrz i inżynier. Pilność i wytrwałość. Zdania Marka Aureliusza. Zdania Beniamina Franklina o potrzebie pracy. Niedojrzałe geniusze. Porządek i ruch. Wychowanie praktyczne. Cierpliwość. Jan Kepler astronom. Starania jego matki. Jan pastuchem. Jego wykształcenie. Odkrycie praw astronomicznych. Wydawanie kalendarzy na opędzenie utrzymania życia. Oskarżenie matki i obrona. Ubóstwo. Mikołaj Kopernik. Młodość i nauki. Jego prace obywatelskie. Dzieło o obrotach ciał niebieskich. Postęp wymaga wytrwałości. William Carey misjonarz. Audubon naturalista. Stephenson. Luter. Daniel Sonders i Bogumił Linde słownikarze. Potrzeba i niedola bodźcem na drodze postępu. Daniel Falek i rys jego niedoli. Koleje życia Jana Piotra Eckermanna. Krystyan Gotlib. Heine filolog. Kazimierz Brodziński. Ambroży Grabowski archeolog. Adam Czarnocki znany pod pseudonimem Zoryana Chodakowskiego.

R O Z D Z I A Ł V.

Od str. 128—169.

Środki pomocnicze i wytrwałość w usiłowaniach naukowych.

Przyczyny i skutki. Uwaga i ciągła praca jest matką mistrzostwa. Drobne szczegóły są podstawą doskonałości. Właściwe znaczenie przypadku w odkryciach. Oko duszy. Galileusz i jego odkrycia. Zdanie Karola Müllera o wpływie natury na sztukę. Drobne fakty. Gruntowność badania jest tajemnicą powodzenia. Drobne są początki wielkich wynalazków. Właściwa chwila działania. Środki nie są zawadą dla chcącego. Przykłady. Jan Jakób Moser. Szajnocha. Edmund Stone. Józef Priestley. Karol Wilhelm Scheele. Homphry Davy chemik. Cuvier naturalista. Hugon Müller. Poleganie na sobie jest najpewniejszą metodą szczęścia. Wytrwałość. Jerzy Stephenson. Elihu Burit uczony kowal i apostoł pokoju. Czynność Juliusza Cezara. Zdania Pliniusza starszego. Wartość czasu. Metoda czytania z piórem w ręku. Jan Paweł Richter. Metoda pracy. Umiejętność użycia czasu. John Hunter. Wiara w siebie. Dr. Edward Jenner. Dr. Ernest Ludwik Heim. Ambroży Paré ojciec chirurgii. Dr. Wróblewski. Dr. Mau-

rzy Hirschfeld. Józef Fraunhofer optyk. Wilhelm Herschel astronom. Jan Jerzy Palitzsch. Piotr Anich wieśniacy astronomi. Franciszek Armiński. Karol Lineusz twórca botaniki, jego życie i prace.

R O Z D Z I A Ł VI.

Od str. 169—204.

Malarze i muzycy.

Mistrzostwo w sztuce jest wynikiem studyów i pracy. Sir Joshua Reynolds. Przykłady pracy wielkich artystów. Walka z przeciwnościami. Potęga pracy. Michał Anioł. Benjamin West. Claude Lorrain. Rafael Sanzio. Albrecht Dürer. Canova rzeźbiarz. William Hogarth karykaturzysta. Aleksander Orłowski. Romantyczne przygody Benvenuto Cellini. Ary Scheffer. Życiorys Josiacha Flaxmana. Winkelmann estetyk. Wilhelm Kaulbach malarz. Daniel M. Chodowicki sztycharz i rysownik. Antoni Oleszczyński. Jan Matejko. Trudne położenie polskich artystów. Przykłady. Muzycy. Jerzy Fryderyk Händel. Jan Sebastian Bach. Haydn. Wolfgang Amadeusz Mozart. Beethoven. Fryderyk Chopin. Franciszek Mirecki.

R O Z D Z I A Ł VII.

Od str. 204—238.

Energia i odwaga.

Sila ciała i siła duszy. Energia jest podstawą męskiego charakteru. Chęć i czyn. Rzeczywistość. Zawsze mieć trzeba jeden cel. Silna wola stawia nas u mety, przewyższa nawet fizyczne dolegliwości. Przykład Getego i Hufelanda. Wolna wola. Wytrwałość. Punktualność. Szybkość postanowienia. Napoleon Wielki. Admiral Hobson. Przykłady z życia marszałków francuzkich. Saint Cyr. Murat. Victor. Soult. Historia arystokratycznych rodzin angielskich. Waaren Hastings. Ryszard Foley. Wilhelm Phipps. Przodek markizów Landsdowne. Lady Blackwell pierwsza kobieta doktorem medycyny. Rawlinson. Morris i Austin Layard poszukiwacze znaczenia pisma klinowego. Podróżnicy w środkowej Afryce. Dawid Livingstone. Dr. Overweg. Schölein. Fryderyk Gerhardt. Rohlf. Henryk Barth. Maurycy Beniowski. Józef Szczepan Kowalewski. Przykłady misjonarzy. Śty Franciszek Ksawery. Marschmann. Carey. Morrisson. Śty Wincenty & Paulo. August Hermann Francke założyciel szkół w Halli. Piotr Gabryel Baudouin założyciel domu podrzutków w Warszawie. Miss Florentyna Nightingale.

R O Z D Z I A Ł VIII.

Od str. 238—274.

Przymioty handlowe—kupcy—ludzie czynni.

Wszelkie zajęcia ludzkie są handlem. Cel działalności kupca. Co to jest kupiec? Przykłady. Gete poeta w praktyce życia. Szekspir jako dyrek-

tor teatru. Skromne początki kupców. Augustyn Spiski. Zdanie Szulza Delitzscha. Przeszkody hartują siły. Stefan Girard. Historia rodziny Rothschildów. Zdania Diesterwega o pracy. Przyczyna niepowodzeń. Co warto są skargi na złe losy. Zasady powodzenia. Pilność. Uwagi nad pilnością Beniamina Franklina. Gruntowność i dokładność. Logiczność myślenia i mowy. Piękny charakter pisma. Sir Charles James Fox. Zdanie lorda Palmerstona o piśmie. Metoda pracy. Podział czasu. Osobiste zajęcie się interesami. Rada Waltera Scotta. Zasada kupiecka: czas to pieniądz. Anegdota o Nelsonie. Punktualność. Porządek. Rzetelność. Kredyt. Piotr Hasenclever kupiec. Nathusius. Piotr Paweł Riquet de Bonrepos przedsiębiorca kanału Langwedockiego. Walter Scott jako człowiek praktyczny.

R O Z D Z I A Ł IX.

Od str. 274—394.

Pieniądze i ich użycie.

Dobre użycie pieniędzy jest kamieniem probierczym praktyczności człowieka. Niepodległość osobista jest wpływem oszczędności. Czego brak klasom pracującym. Mowy Cobdena i Brighta do robotników. Korzyści oszczędności. Wydatek równoważyć się powinien z dochodem. Zasada Fichtego. Zdania Johnsona, Lockego, Wellingtona i admirała Jervis o długach. Dobry początek jest połową wykonania. Sztuka oczekiwania na powodzenie. Pokusy młodości. Zaparcie się Hugh'a Millera. Tajemnica robienia pieniędzy i przysłowia ludowe. Każda praca jest zaszczytną. Przykłady. Lord Tenterden. Biskup Fléchier. Biskup krakowski Szaniawski. Miłość złota. Osterwald bankier paryżski. Marność bogactwa dla samych pieniędzy. Bogactwo i szacunek ludzi. Lord Collingwood.

R O Z D Z I A Ł X.

Od str. 294—329.

Kształcenie siebie samego.

Równomierne wychowanie ciała i duszy. Gimnastyka u Greków. Wznowienie gimnastyki przez Gutsutha. Biografia Ludwika Jahna. Siegmund Fietz. Stowarzyszenia gimnastyczne. Zakład Mathesa w Warszawie. Czystość obyczajów u dawnych Germanów i Polaków. Wady tak zwanego uczonego wychowania. James Watt. Jerzy Stephenson. Beniamin Franklin. Wychowanie synów Zschokkego. Szkoły Rakowskie. Nawiązanie do pracy. Nadmiar przedmiotów wykładowych. Płytkość myślenia. Czytelnictwo pospieszne i jego skutki. Wyrobienie samoistności. Ciężar pracy. Kształcenie się własne zasadą mądrości. Szkoła przyszłości Diesterwega. Mowa Johnsona. Szczegóły z kształcenia się Franklina, Waltera Scotta i Zschokkego. Zdanie Mickiewicza. Szacunek siebie samego. Cel kształcenia się. Przykład Dawida Klaus. Wadłowa Marcin. Szkolni prymusi i szkolne osły. Ich odmiany i los w życiu. Przykłady. Samuel Smiles.

R O Z D Z I A Ł XI.

Od str. 329—360.

Cierpienia i przeciwności.

Szkola cierpień i przeciwności jest prawdziwą szkołą pomocy własnej. Charles James Fox. Disraeli. Niepowodzenia są mistrzem naszym. Zdanie Getego i Feliksa Mendelsohna Bartholdy. Wytrwałość w porażkach. Waschington. Fryderyk Wielki. Karol XII. Próba nieszczęścia. Wielkie charaktery wychodzą z niej bez plamy. Przykład Henryka Zschokkego. Zaufanie w sobie. Praca nigdy nie jest straconą. Przewyciężone przeszkody. Demostenes. Maksymilian I cesarz niemiecki. Ubodzy studenci. Młodość Krystyana Schäffer. Pawła Fryderyka Richtera. Wiliam Cobbet. Życiorys Walentego Duvala. Józef Sławiński. Taras Szewczenko.

R O Z D Z I A Ł XII.

Od str. 360—390.

Potęga przykładu.

Przykład jako nauka życia. Rodzina jest podstawą społeczeństwa. Wpływ przykładu rodzinnego. Zdanie Pestalozzowego. Wpływ matki. Seume. Urobienie charakteru. Naśladownictwo u dzieci. Wpływ natury otaczającej. Przykład jest żywym prądem tradycji pokoleń. W każdym stanowisku człowiek daje przykład z siebie. Tomasz Wright. Wpływ osób otaczających. Wpływ instytucji. Wykonawcy. Kształcenie robotników i klas niższych. Osada w Czechach. Ignacy Hordliczka. Ważność życiorysów. Biografia Pestalozzowego i jego prace. Fryderyk Frebel założyciel ogródków dziecińczych. Dr. Karol Marcinkowski. Jan Fryderyk Oberlin.

R O Z D Z I A Ł XIII.

Od str. 390—408.

Charakter—Prawdziwe wykształcenie.

Celem człowieka wyrobienie charakteru. Podstawami charakteru są religijność, moralność i miłość kraju. List Steina. Gete. Schiller. T. Mendelsohn Bartholdy. Z przedmowy Seumego. Zdanie Granville Sharp'a. Opinia. Przyzwyczajenie dodaje mocy charakterowi. Pogoda umysłu. Drobnostki charakteryzują człowieka. Obyczaje i zwyczaje. Wykształcenie w obejściu. Poszanowanie cudzego zdania. Urodzenie nie czyni szlachciem. Anegdota o królowej Ludwice pruskiej. Szlachetność charakteru. Bracia Grant. Wykształcenie i wiedza. Uczucie sprawiedliwości. Majątek nie czyni szlachciem. List Józefa II. Słodycz i dobroć serca. Potęga charakteru. Lessing.

R O Z D Z I A Ł I.

Narodowa i indywidualna samodzielność.

Człowiek sam sobie najlepiej dopomaga. Musi dążyć za szczęściem, musi rękę wyciągnąć, aby je uchwycić; przyjaźne bogi kierują nim, błogosławią. Napróżno żąda leniwiec bezwzględnego szczęścia; jeśli takowe ndziałem jego się staje, to tylko jako kara. Gete.

„Bóg tym pomaga, którzy sami pomagają sobie!” Któżby od dzieciństwa nie znał owej wypróbowanej maksymy życiowej. kilkoma wyrazami wypowiadającej całość doświadczenia ludzkiego? Samodzielność jest dla rozumu istotną pomocą Bożą. Bóg nadał ludzkości już w kolebce wszystkie warunki konieczne dla jej wzniosłego posłannictwa i tem ją na wieczne uposażył czasy. Siły ludzkie są Boskimi siłami, gdyż Bóg nam je powierzył, a użycie ich za pomocą woli do moralnych celów, nazywamy samodzielnością. Duch samodzielności jest zarodkiem wszelkiego postępu w życiu jednostek i tam, gdzie on się u wielu naraz przejawia, staje się źródłem narodowej wielkości. Podczas gdy pomoc zewnętrzna prawie zawsze oddziaływa szkodliwie, samodzielność natomiast wzmaga i kształci siły ludzkie, aż do ich ostatecznego rozwoju.

Nawet najdoskonalsze prawa, niewiele mogą się przyczynić do wszechstronnego poparcia celów ludzkich. Co najwięcej zdołają zabezpieczyć swobodę działalności, będącej nieodzownym warunkiem każdego rozwoju. Pomimo tego zawsze się ludzono myślą, że dobrobyt więcej od zewnętrznych urządzeń i praw, aniżeli od osobistego zachowania się ludzi zależy. Z tego też względu przypisywano zbyt wiele prawodawstwu, w ogólnym postępie ludzkości wszystkich wieków. Rzeczywiście, nader małoważny może to mieć wpływ na charakter i życie człowieka, jeśli będąc wyborem raz na trzy lub na pięć lat, milionową częścią władzy pra-

Pomoc własna.

wodawczej stanowi, choćby nawet obowiązek ten wypełniał ze wszelką możliwą skrupulatnością. Prócz tego coraz widoczniejszą staje się ta prawda, że działalność władz, ogólnie biorąc, bardziej jest ograniczającej i przeczącej natury, aniżeli twierdzącej i twórczej, już z tego względu, że zapewne nie koniecznych dla usiłowań ludzkich warunków, jako to: opieki prawnej, bezpieczeństwa i pokoju w obrębie prawnych granic, stanowi to wszystko, co dobrze uorganizowane i rządzone państwo może ofiarować swym obywatelom. Jasnem jest więc, że w Anglii i innych konstytucyjnych państwach, działalność parlamentów głównie zwróconą jest ku temu, aby wszelkie prawne ograniczenia usuwać i nie tamować swobody obywatelom w wykonywaniu obowiązków. Najwyższym przeto celem prawodawstwa jest: zapewnienie każdemu niezbędnej miary swobody rozwoju i opieki nad tym rozwojem. Żadna natomiast siła nie jest w stanie ociążonego uczynić pilnym, lekkomyślnego przezornym, rozpustnika umiarkowanym. Do każdego z tych przypadków możnaby natomiast zastosować zdanie: Pomagaj sam sobie i spożytkuj przez Boga nadane ci siły, ku usunięciu błędów twoich i poprawy twojego losu.

Historia i doświadczenie uczą nas, że potęga i stanowisko państwo zależą nie od szerokości jego praw, ale od osobistej wartości i charakteru jego obywateli — gdyż „społeczeństwo wydaje państwo, a nie państwo społeczność wytwarza“. Według tego, stan kultury państwa zależy od samodzielnego kształcenia się jednostek, będących składowymi społeczeństwa częściami.

Tylko z wspólnego sił ludzkich rozwicia
Wykwita bujnie, istotny kwiat życia.

Szyller.

Postęp narodowy jest rezultatem indywidualnej pilności, indywidualnej siły i prawości, tak jak z drugiej strony upadek narodu jest wynikiem indywidualnej ospałości, upadku obyczajów i niedołęstwa. To, co zwykliśmy nazywać wielką społeczną chorobą, jest jaśniej mówiąc, tylko wyrostem naszego własnego opaczego sposobu życia i żadne prawne środki nie pomogą, jeśli sami nie dołożymy ręki do odmiany podstaw bytu i charakteru. „Jeśli chcemy położyć nasze zmienić na dobre, zacznijmy naprzód od siebie — mówi przedstawiciel wielkiej zasady samodzielności, Herman Szulze Delitsch w swoim „*Katechizmie robotniczym*“. „Niema

nie tak niedostatecznego w położeniu naszym — pisze dalej — czegobyśmy nie mogli sprowadzić do braków w nas samych leżących i nie prędzej będzie lepiej na świecie, dopóki ludzie sami się nie poprawią w roztropności swojej, siły woli, poważnych usiłowaniach i obyczajach“.

Rząd danego narodu jest w gruncie rzeczy tylko odbiciem rządzonych. Rząd wyprzedzający własną oświatą naród dany, prędzej czy później zejdzie na stanowisko tego narodu, jeśli takowy nie zdoła dorównać mu w postępie i odwrotnie. W istocie rzeczy, duch narodu, którego organem jest opinia publiczna, zarówno zdoła zastosować się do formy i ducha rządu, tak jak woda, co w każdym czasie do równowagi zmierza. I tu więc ustrój państwa i miara jego politycznego rozwoju od jednostkowej działalności, siły woli zależy.

Na tej wielkiej zasadzie, że granitowe podwaliny narodu od charakteru obywateli zawisły, spoczywa olbrzymia siła wolności Anglii. Anglia jest przede wszystkim człowiekiem praktycznym, który pożytek i celowość w danej rzeczy na pierwszym ma względzie. Nie lubi on szermować słówkami, ale spokojnie i stale zmierza do czynu, bo człowiekiem czynnym jest on na wskróś. Spokojny, niehamowany żadnymi ubocznymi względami, kieruje on wzrok zimnego rozsądku ku prawdzie, i działa kiedy potrzeba z żelazną wytrwałością. Przejęty egoistyczną miłością dla tego wszystkiego co jest swojskiem, przede wszystkim dla swej rodziny, a potem do swego kraju należy. Niemiec natomiast, obok najzaciewniejszych i najwszechstronniejszych zalet, obnosi się wiecznemi z nadmiarem uczuciowości, mniej na czyny niż na marzenia zważającej, dobre chęci przyjmuje za ucynek, (Anglik mniema, że piekło jest dobrmi wybrukowane chęciami) i z tego względu charakter jego niemały stanowi skopuł w usiłowaniach ludzi czynu i silnej woli. Niemcy są to istnie Hamletowskie istoty, wiecznemi gotowe do długiego perorowania, do pisania uczonych rozpraw i czynienia głębokich spostrzeżeń nad — niezmysłowemi rzeczami, ale niestannowczy, ospali i powodujący się tysiącami względami tam, gdzie idzie o czyn, o działanie.

Gete, znając doskonale naród niemiecki, niejednokrotnie tłumaczył, dla czego Niemcy tak daleko po za innymi narodami w politycznej organizacyi pozostali. „Gdyby można było — rzekł raz do swego przyjaciela Eckermana —

wład w Niemców na wzór Anglików, mniej filozofii, a za to więcej siły, mniej teorii a więcej praktyki, (nie należałoby już długo czekać zbawienia. Wiele możnaby działać od razu, poczynawszy od ludu, za pomocą szkół i domowego wychowania, wiele od szczytu za pomocą władz i ich otoczenia. Chociejmy jednak — dodał z uśmiechem — spodziewać się i czekać, co się w ciągu jednego stulecia z Niemcami stanie (mówił to w 1828 r.) czy też doprowadzimy do tego, aby nie mieć więcej abstrakcyjnych uczonych i filozofów, tylko ludzi¹⁾).

Ludzkość, to czem jest dzisiaj, zawdzięcza tylko pracy wielu pokoleń, pracy, do której najdrobniejsza nawet siła przyczyniła się swoim ziarnkiem. Pilni i niezmordowani we wszystkich życiowych zawodach ludzie — rolnik i górnik — wynalazca i odkrywca — kupiec i uczony — mechanik i przemysłowiec — poeta i myśliciel — artysta i mąż stanu — wszyscy wspólnymi siłami dźwignęli ów olbrzymi gmach, a następcy ich kończyli rozpoczęte przez poprzedników dzieło. Wszyscy oni jako ogniwa jednego łańcucha, w ciągu wieków utworzyli kapitał oświaty i uobyczajenia, z którego dziś korzystamy, położyli podstawę dla ekonomicznego wzrostu, na której dziś dalej budować umiemy. Szereg szlachetnych pracowników — pionierów cywilizacji — w ciszy na polu przemysłu i handlu, umiejętności i sztuki utworzył to, co dziś podziwiamy. I tak, jak poprzednicy pracowali dla obecnych pokoleń, by one mogły objąć bogatą po nich spuściznę, tak też i my obowiązani jesteśmy oddać naszym potomkom spuściznę tę, nie tylko nie uszczuploną, ale wzbogaconą, udoskonaloną zdobyczami naszej pracy.

Duch samodzielności, objawiający się w działaniu po jedynego człowieka, jest charakterystyczną Anglika wia-

¹⁾ Nie wdając się w szczegółowy rozbiór charakteru innych narodów, poprzestajemy na kilku uwagach dotyczących się polskiego. Trudno mu w istocie przypisać praktyczność i zaufanie w własne siły połączone z potrzebną do tego roztropnością. W przeszłości naszej poświęcaliśmy idei wolności niezbędne warunki materialnego bytu politycznego, w ostatnich latach nie umieliśmy służyć dla wielkiej idei połączonej z temiż warunkami. Z słuszością zarzucono nam zamiłowanie hazardu, brak wytrwałości, fachowego wykształcenia, indywidualnego wyrobienia. Wszakże narody się zmieniają, a Geta, powstawszy z grobu, nie poznałby abstrakcyjnych Niemców. I nas powinny ciągi losu na stateczniejszą sprowadzić drogę. Nie nie uроніć z ducha, zrobić co można dla warunków materji, oto co naszym hasłem być powinno.

ściwością. Anglia to — w skutek swego wyspiarskiego położenia, które ją zawczasu do handlu i żeglugi usposobiło, waloząc z ciągłymi niebezpieczeństwami, otaczającymi żeglarzy i będącymi najlepszą szkołą wytrwałości — wykształciła w mieszkańcach swoich owego ducha samodzielności, który w biegu wieków podniecany i żywiony był ciężką walką i klęskami, jak najazdem Duńczyków, zdobycami Normanów, walką białej i czerwonej róży i t. d.; ona wytworzyła nową wolnomyślną konstytucję, która się stała wzorem i przykładem dla innych. W Anglii jednak również zbawienie nie w ciągu jednej nadeszło nocy, ale potrzebowало długich lat do swego rozwoju. I tam wystąpili również mężowie duchowo uposażeni, ludzie znakomici, którzy wiekowi, jak ich wydał, nadali piętno swojego geniuszu. Lecz i inne narody zawdzięczają moralne, obyczajowe i materialne zdobycze niemniejszej pracy ludziom zwykłego stanu, których nazwiska okrywa pomrok zapomnienia. Tak to historia wielkiej wojny zachowuje tylko nazwę wodzów, podczas gdy zwycięstwa do ich nazwisk przywiązane, osobistą dzielnością zwykłych żołnierzy wywalczonemi zostały. I życie jest owem niezmiernem polem bitwy, na czele której po wszystkie wieki stawali ludzie z najniższych warstw. Nie każdy co działał skutecznie może imiennie żyć we wspomnieniach potomności; ale choćby i nazwa zaginęła, skutek dobrego czynu trwa ciągle. Nawet najporządniejszy człowiek, będący dla otoczenia swego, choćby nawet takowe z wymiataczy ulicznych się składało, wzorem pilności, umiarkowania i uczciwości, zjednywa sobie tem samem trwały wpływ na dobrobyt kraju, do którego należy; gdyż naśladowanie jego dzielnego zachowania się wsiąka powoli i nieznacznie w życie innych, a skutek jego dobrego przykładu oddziaływa ciągle na następne pokolenia.

Jeśli zatem przykład widoczny i namacalny tak błogo na nas oddziaływa, to niemniejszy mają wpływ życiorysy ludzi wielkich, a co jest każdej wielkości warunkiem, ludzi szlachetnych, których czyny służą nam za przewodnika i pobudkę w życiu, i częstokroć wywołują chęć naśladowania, którego dziwną siłę już niejednym młodzieniec na sobie doświadczył. Najznakomitsze z tych życiorysów wzniosły wzór bogobojnego, myślącego i energicznego żywota wszystkim przedstawiają pokoleniom. Wymienimy tu z pomiędzy wielu innych: Życie Beniamina Franklina przez niego sa-

mego skreślone; Ernesta Maurycego Arndta: „Wspomnienia z życia“, tegoż: „Wędrowki z P. von Stein odbywane“, Seumego: „Autobiografia“, „G. E. Lessinga życie i dzieła“ przez Adolfa Stahr; „Księgarza Fryderyka Perthesa życie“ przez syna jego Klemensa Teodora Perthesa skreślone; „Jerzego Stephensona życie“ przez Samuela Smilesa w niemieckim przekładzie u Locka w Lipsku wydane; wreszcie H. Zschockiego: „Autobiografia“. Życiorysy te wykazują, do czego człowiek, czy w blasku szczęścia czy w cieniu niedoli zrodzony, przy silnej i nieugiętej woli dojsz może, jeżeli z tą wolą i poczciwe połączą się chęci; są to żyjące pomniki potęgi pomocy własnej, oierpliwości, wytrwałości, mężnych usiłowań i niewzruszonej uczciwości. Literatura angielska, również jak niemiecka, obficie w podobne biografie jest zaopatrzona. Z polskiej wymienić możemy: Krajewskiego: Żywot Stefana Czarnieckiego, Bohomolca: Żywot Ossolińskiego Jerzego, Zamoyskiego Jana, Naruszewicza: Żywot Chodkiewicza; Śniadeckiego: Żywot Kołłątaja; Falkensteina i L. Siemieńskiego biografie Kościuszki, autobiografia Karpińskiego, Brodzińskiego Kazimierza, Lelewela Joachima; Balińskiego: Żywoty Jędrzeja i Jana Śniadeckich; Żywot Staszica przez Zawadzkiego (Lwów) i inne.

Tymczasem powróćmy do narodu angielskiego, który może wszystkim innym służyć za wzór doskonałości w praktyczno-politycznym życiu.

Wychowanie Anglika jest po większej części na praktycznej opartej podstawie. Dla niego od wieków, tylko rzeczywiste życie było szkołą doświadczenia; dom zaś i pierwsze nauki były jedynie środkami kształcenia ułatwiającymi. Dla tego też w Anglii — charakter, w Niemczech a po części i u nas — uczciwość mają pierwszeństwo. Daleko pożyteczniejszem w oczach Anglika, nad wychowanie przy stoliku szkolnym, jest wychowanie przy kantorku kupieckim i warsztacie rzemieślniczym, przy przędzalni, za pługiem, w wirze ulicznego handlu, słowem we wszystkich zawodach, gdzie jest bezpośrednie zetknięcie się z rzeczywistym życiem. Ta metoda wykształcenia „w wirze światowym“, gdzie jest według wyrażenia Getego, rzeczywista kolebka charakteru, jest dla Anglika ideałem, którego żadne uczone studia i stosy książek zastąpić nie są w stanie. W tym duchu wyraża się Bacon: „Nabyte wiadomości nie uczą nas sposobu obchodzenia się z niemi, lecz jest to mądrość po za niemi i nad niemi le-

żąca, którą tylko własnem zdobywamy doświadczeniem“. Z temi uwagami, kładącemi za warunek ścisłą spójnię szkolarstwa z życiem, suchej teorii z trzeźwą praktyką, należy porównać zdania Getego o tym przedmiocie. Mówi on, że ze wszystkich umiejętności to tylko nam się zostaje, co praktycznie zużytkować umiemy. A gdzieindziej znowu: „Nikt niczego się przez samo przysłuchiwanie nauczyć nie zdoła, a jeśli się pewnemi rzeczami sam dzielnie nie zajmie, będzie miał tylko powierzchowną i połowiczną ich znajomość“. Gete, ów głęboki myśliciel i znawca życia, w następny sposób wyraził zdanie swoje o narodowym charakterze Anglików:

„Dziwna to w istocie rzecz — mówi on — bądź to w pochodzeniu; bądź w ziemi, bądź w swobodnej konstytucji, bądź wreszcie w wychowaniu leżąca — dosyć, że Anglicy w wielu względach zdają się mieć nad innemi narodami pierwszeństwo. Wszak u nas w Weimarze mała tylko ich cząstkę widzieć można, i to zaprawdę nie najlepszą; ale oż to są wszyscy za dzielni i przystojni ludzie. A chociaż tak młodo do nas przybywają, nie zdają się jednak w owej niemieckiej obczyźnie być obcymi i nieśmiałymi, przeciwnie, zjawienie się ich i sposób obejścia w towarzystwie ma w sobie tyle pewności, że zdawaćby się mogło, iż wszędzie czują się panami i że świat cały do nich należy.

— Nie śmiałbym jednak mniemać — wtrącił na to Eckermann — aby nasi wejmarscy młodzi Anglicy mieli być zdolniejszymi, ukształceniejszymi i lepszymi nad innych ludzi.

— Nie w tem tajemnica, mój kochany — odrzekł Gete. Nawet nie w urodzeniu i bogactwie. Ale w tem, że ci panowie mają właśnie odwagę być wszędzie tem, do czego ich natura stworzyła. Nie też w nich nie ma skrzywionego i przekształconego; nie ma w nich połowicości i braków; ale jakimi są — mniejsza, dosyć, że są to ludzie zupełni. Są i zupełni głupcy między nimi — nie przeczę, aleć zawsze i to coś znaczy, a na szali natury ma to pewną wagę. Szczęście osobistej swobody, świadomość angielskiego imienia i tego uroku, jaki ono ma między innemi narodami i dzieciom już pewną przynosi korzyść, tak, że czy to w rodzinie, czy w szkole, traktowane są z większym szacunkiem i względnością, większej używają swobody, aniżeli u nas się to dzieje.

Swobodny rozwój i rozkwit są podstawą życia jednostek i narodów. Istotne wykształcenie ludzi polega tylko

na popieraniu dążności do samodzielnego, naturalnego ich rozwoju. Wszystko co ten rozwój popiera jest zbawiennem, co go niweczy jest zgubnem. Swobodny rozwój jest podstawą ludzkiej natury. Z owej dążności wynikają wszystkie walki jednostek i pokoleń całych. Dzisiejszy bój światowy wykazuje zatem zatanowanie dążności do swobodnego rozwoju, skończy się zaś wraz z ustaniem tych przyczyn. Długo to, bardzo długi czas trwał, a od nas wcale niedaleki, stan niewoli, poddaństwa i służebnictwa niemieckiego i innych plemion. Jeszcze ojciec Arndta był wyzwolencem, a ojciec Senmego, według własnych wyrażen syna, nosił na sobie całe brzemie ucisku fizycznego i poddańczosci. Niegdyś było inaczej. Rzymski dziejopis Tacyt, w swej „Germanii”, najdawniejszym pomniku niemieckiej przeszłości, pisze: „Znaniem to jest, że germańskie pokolenia nie żyją po miastach; nawet nie lubią zamieszkiwać w sąsiedztwie innych. Rozproszeni tułają się zdala od siebie, gdzie im się źródło, pole i lasy uśmiecha. Wioski na nasz sposób nie zakładają, tak że każde domostwo ogrodzone i odgródzone od innych stoi”. Swobodny syn Tuiskona wtedy tylko się ozuł w samoistnem posiadaniu swej dziedziny, kiedy na okolo siebie nie miał żadnej zapory. I dziś jeszcze po wsiach ten zwyczaj się praktykuje, a Anglik niechętnie z drugimi w jednym mieszkajacy domu, z dumą powtarza: „My house, my castle” „mój dom, twierdzą moją”. Kiedy swoboda Niemców coraz bardziej ścięsnianą być zaczęła, kiedy siła pięści zastąpiła prawo, a na domiar tego dzikie tłumy Węgrów na bezbronne się rzuciły pola, wówczas powstały miasta, owe obronne zamki swobody i pracy — owe ogniska sztuk i umiejętności, przemysłu i handlu, gdzie się przez ciąg wieków krzewiło poczucie godności i niezależności ludzkiej.

Swoboda społeczna nie jest już dziś przywilejem oddzielnych stanów, jak to w starożytności i w wiekach średnich miało miejsce, lecz jest ona udziałem wszystkich bez wyjątku obywateli. Tak również i praca. Nie jest ona przywilejem kasty, ale wspólnem dobrem wszystkich, a jeśli dziś jeszcze pewnym ograniczeniom ulega, jak w państwach np. gdzie jeszcze monopole istnieją, to już to ma znaczenie średniowieczne. Duch swobodnej pracy przenika dziś wszystkie warstwy ludności. Podczas gdy dawne zewnętrzne prerogatywy urodzenia i bogactwa, lub też pewne zamknięte w sobie koła uczonych i duchownych, torowały sobie drogę

do skarba wiedzy i wybitniejszych stanowisk w państwie, to dziś natomiast — droga do kształcenia się stoi dla każdego bez różnicy pochodzenia i stanowiska społecznego otworem; a nawet już dziś jest to rzeczą nader zwykłą, napotkać ludzi, którzy z najniższych warstw zdołali się własną pracą i zasługą dobić do znaczenia i poważania ogólnego. Co więcej, zdawałoby się mogło, że wyższe stany w dzisiejszej epoce, straciły wiele na swej energii i dzielności wobec nieprzepartego porywu do postępu klasy średniej i niższej, które w ostatnim stuleciu dostarczały w istocie sporego kontyngensu ludzi znakomitych we wszystkich zawodach. Weźmy tylko — aby choć jeden w tem miejscu przytoczyć przykład — weźmy tylko pod uwagę, że Ryszard Arkwright, konstruktor przędzalni i dobroczyńca miliona rąk zajętych przemysłem bawełnianym w Anglii, pierwsiastkowo nie był niczem innem, tylko biednym oyralikiem.

I Wiliam Szekspir, najgenialniejszy poeta dramatyczny czasów nowszych, był synem ludu, gdyż ojciec jego trudnił się rękawicznictwem. Czem się mógł Szekspir w młodych swoich zajmować latach, nie wiadomo, gdyż zbyt mało posiadamy danych o kolejach życia tego poety. Według jednych trudnił się on czesaniem wełny, według innych miał być nauczycielem w publicznej szkole, a potem udać się do Londynu, dla pełnienia obowiązków scenicznego wywoławcy, polegających na poddawaniu w stosownej porze słów aktorom, gdy już kolej ich wystąpienia nadchodziła. Jeśli więc wiadomości te są prawdziwemi, ileż powinniśmy podziwiać siłę woli Szekspera, który pomimo tak niedostatecznego pierwiastkowego wychowania, zdołał własną pracą nadać wzniosłym myślom swoim tak skończoną i doskonałą formę. Potężny duch jego niewątpliwie zebrał te skarby znajomości ludzi w bacznej obserwowaniu życia; ale zanim je mógł zużytkować w stworzeniu nieśmiertelnych dzieł swoich, ileż godzin wytrwałej i nieustannej pracy kosztował go musiał!

Przebiegnijmy pokrótce szereg ludzi, którzy przez pracę własną, doszli z najniższych szczebli społecznych do zaszczytnego stanowiska w świecie. Zaczawszy od zwykłej klasy wyrobników, widzimy iż takowa wydała największego brytańskiego żeglarza Jamesa Cooka, który, trzykrotnie odbył podróż naokoło ziemi (1769, 1772 i 1776-79); dalej angielskiego inżyniera Brindleya, który między innemi wy-

budował olbrzymi kanał Bridgewater i wreszcie znakomitego ludowego poetę Roberta Brunsa ze Szkocji rodem. Malarze mogą się pochlubić uczonym Ben Jonsonem, który z kielnią w jednej ręce i książką w drugiej, dla zaspokojenia swej żądzy do nauki, pracował przy wielu budowlach jako czeladnik; jak również słynnym kompozytorem melody Karolem Fryderykiem Zeltnerem, poufnym przyjacielem Getego i nauczycielem harmonii Feliksem Mendelsohnem-Bartholdym. Urodzony 1758 r. w Berlinie, wstąpił on w 17-m roku życia na naukę dla poznania rzemiosła swego ojca malarza i w r. 1783 został przyjętym jako maister mularski do cechu. Już od młodości muzyka była najmilszym jego zajęciem; lecz ponieważ jego niepowściągnięty zapal do muzyki pewną ujmę rzemiosłu sprawiał, zabronił mu ojciec zajmowania się sztuką. Syn był posłusznym i pilnie nieco oddał się rzemiosłu, ale muzyka nie przestała być dlań celem, do którego wzdychał. Zostawszy majstrem niezależnym, oddał się na nowo muzyce i pracował nad nią tak wytrwale i z takim powodzeniem, że już w 1800 roku przybył do Berlina dla objęcia dyrekcyi nad tamieczną akademią muzyczną i wdziwieć lat potem otrzymał od króla pruskiego nominację na profesora muzyki w Berlińskiej Akademii sztuk i umiejętności. Wkrótce potem założył pierwsze berlińskie kółko śpiewaków. Pomiędzy wsławionymi cieślami jaśnieją imiona: naszego Boskiego mistrza: Jezusa Chrystusa i pokrewnego duchem ludzkim Zbawicielowi, chińskiego moralisty Konfucjusza¹⁾. Wiadomo, że Chrystus wybrał dwunastu apostołów swoich z pomiędzy rzemieślników. Tak jak chrześcijaństwo, tak również i reformacja wywodzi swój początek z łona ludu; gdyż Huss — był synem drwala, Luter — górnik, Melanchtona ojciec był puszkarzem, a Zwingliusz był synem prostego urzędnika. Z zawodu pasterskiego, pochodzili: żydowski prawodawca Mojżesz. Papież Sykstus V, sławny malarz włoski Giotto, który słusznie uważanym jest za ojca szkoły Florenckiej, Walenty Duval znakomity francuzki

¹⁾ Spokrewnienie to trochę za lekkomyślnie postawione. Nie byłby go użył Smiles, przeczytawszy dzieło swego ziomka Gützlaffa: „History of China“, w którym treść nauki Konfucjusza bardzo dokładnie jest przedstawiona. Dostępowiedzieć, że wedle ksiąg Konfucjusza nauka jego jest tylko najprostszym materializmem a moralność jego nie opiera się na wyższym motywie, oprócz potrzeby równowagi i harmonii w świecie.

uczony, o którym potem bliżej pomówimy. Również Ryszard Cobden, niedawno zgasły, nieustraszony propagator wolności handlu, którego nieśmiertelnym dziełem jest francuzko-angielski handlowy traktat, musiał w swej młodości, jako syn biednego dzierżawcy pasad trzodę.

Do rzemiosła tkaczy należała sławna augsburska familia Fuggerów: która z ostatniej nędzy doszła do tak olbrzymich bogactw, że niemiecki cesarz Karol V (1519—1558) kiedy mu pokazywano królewskie skarby w Paryżu, z uśmiechem miał się odezwać: „w mieście Augsburgu jest rzemieślnik tkacki, któryby to wszystko mógł własnymi pieniędzmi zakupić”. „Bogatym być jak Fugger” było wówczas w Hiszpanii przysłowiem, tak że go nawet użył Czerwantes w swym romansie p. t. „Don Quixot”. Wspomnieć nam tu, również wypada sławnego w naszych dziejach Wierzyńka, owego bardzo hojnego szafarza jak powiada kronika, co szczególnie obrotami przemysłowemi i handlowemi zebrał tak niezmierne skarby, że pewno mógł się mierzyć z Fuggierami. Opis uczty jaką Wierzynek sprawił w Krakowie podczas zaślubin Elżbiety księżniczki Pomorskiej z Karolem IV cesarzem niemieckim, należećby mógł do bajek z tysiąca lat, gdyby nie był wsparty historycznymi dowodami (patrz Mieszczanin Krakowski z XV wieku, napisał Lucyan Tatomir).

Wielki podróżnik afrykański Dawid Livingstone zmuszonym był przez czas długi zarabiać na życie w warsztacie tkackim. Synami biednych tkaczy byli: sławny pisarz ludowy Jan Piotr Hebel, wielki filozof Jan Bogumił Fichte, genialny lingwista (językoznawca) Chrystian Heyne i odarywca Nowego Świata Krzysztof Kolumb.

Rzemiosło szewskie ma przedstawicieli w osobach: Hansa Sachs znakomitego poetę niemieckiego z XVI wieku i głębokiego myśliciela Jakóba Böhma, który do dziesiątego roku swego życia pasad trzody i potem oddał się szewskiemu rzemiosłu. I wielki Jan Joachim Winckelman, który pierwszy zasady sztuki malarskiej gruntownie wyjaśnił był synem ubogiego szewca.

Krawcami byli: ulubiony duński poeta Andersen (którego powieść p. t. „Tylko Grajek” i wiele innych mamy na nasz język przełożone) syn szewca, a obecny prezydent Stanów Zjednoczonych Andrzej Johnson, który nigdy do szkół nie chodził, uczył się czytać od swych współtowarzyszów rzemiosła, a pisać od swej małżonki, pracował we dnie igłą

a w nocy czytywał pożyczone książki i tylko usilną pracą zdobył sobie najwyższe w swym kraju stanowisko.

Daniel de Foe, autor „Robinsona Crusoe“, Kirke White, młodo zmarły angielski poeta, kardynał Wolsey, minister stanu Henryka VIII w Anglii, wreszcie słynny podróżnik afrykański Henryk Barth byli synami rzeźników. Jan Re-boul, zmarły w zeszłym roku poeta francuzki, był ciągle piekarzem a Jasmin, jedyny ze współczesnych używający do swych poezyj z powodzeniem zmarłego narzecza prowansalskiego, był perukarzem. Pomiedzy mężami, którzy się zasłużyli wynalazkiem, ulepszeniem i zastosowaniem maszyny parowej, wybitniejsi trzej: James Watt, Newcomen i Jerzy Stephenson. Pierwszy budował narzędzia matematyczne, drugi był kowalem, trzeci palaczem. Wielki astronom Fr. Wilh. Herschel był synem muzyka i podążył z oddziałem hanowerskiego wojska do Londynu, gdzie mu się początkowo źle wiodło i z biedy był zmuszonym komponować tańce. Quintin Messys, słynny mistrz flamandzki, przez miłość do córki malarza Franciszka Floris, z prostego kowala został artystą. Sławni dyktator angielski Cromwel był piwowarem, Józef Fraunhofer, słynny optyk i ulepszyiciel lunety astronomicznej, był synem szklarza. Ojciec nieśmiertelnego astronoma Keplera, był oberżystą, jak również Andrzej Hofer, przywódca w Tyrolu, rozstrzelany z rozkazu Napoleona. Samuel Heinicke, założyciel pierwszego instytutu głuchoniemych (1778 w Lipsku) był aż do 27 roku życia rolnikiem, później gwardzystą. Wzięty pod Pirną, podczas siedmioletniej wojny w niewolę, uciekł do Jeny dla studyowania na tamecznym uniwersytecie, po należytem przygotowaniu się własną pracą. Utrzymywał się z lekcji muzyki. Pomiedzy jego uczniami było dziecię głuchonieme, które go wreszcie spowodowało do badań nad ulepszeniem losu tylu nie-szczęśliwych istot. Benjamin Franklin, wzór doskonałości człowieka i obywatela, mędrzec i wyswobodziciel amerykańskiego narodu, był synem mydlnika i rozpoczął swój zawód na równi z Berangerem królem pieśniarzy francuzkich, od posług w drukarni. Dowiódł on życiem swoim, że człowiek sam sobie najlepiej dopomódz może: jeśli w jego piersi tli niewzruszona odwaga i silna wola. Wyznaje on w swej autobiografii: „Zsiedliska nędzy i ciemnoty, w którym najrańszą moją spędziłem młodość, wyniosłem się na szczybel dobrobytu i uznanej w świecie wziętości“. Józef Garibaldi,

pierwszy obywatel włoski, rozpoczął swój zawód jako marynarz, a toż samo i papież Adryan VI. Zamordowany dnia 14 kwietnia 1865 r. prezydent Stanów Zjednoczonych Abraham Lincoln, był pochodzenia wieśniaczego i sam w swoich młodych latach służył jako chłopiec okrętowy. Jak i następca jego; tak i Lincoln karmił swój umysł pożyczanemi książkami, kształcąc się wieczorem po odbytej pracy.

Jak najwięksi poeci Angliocy, tak i dwaj znakomici wieszczowie niemieccy byli dziećmi ludu. Dziadowie Szyllera byli piekarzami wioskowymi. Ojciec zaś jego służył jako fel-czer w wojsku bawarskiem, aż się stopnia dowódcy doczekał. Pradziad Getego, Hans Gete, był dworskim kowalem we włości Artern, w hrabstwie Nansfeld. Jeden ze synów jego, Fryderyk Jerzy, uczył się krawiectwa i powędrował do Frankfurtu nad Menem, gdzie był dwukrotnie zaręczonym i założył sobie oberżę. Syn tegoż, Jan Kacper Gete, był ojcem poety, który słusznie jest uważany za największego wieszca Niemiec.

Zadziwiająco wielką jest liczba zasłużonych synów proboszczów ewangelickich. Tak np. Franciszek Drake, który pierwszy do Europy kartofle wprowadził i Horacy Nelson, dwaj znakomitsi marynarze Anglii byli synami duchownych. Do tej liczby należy również należą: naturalistę Lineusza i Henryka Szuberta, historyków Jana Müllera i Teodora Mommsena, wielkiego lekarza Ernesta Ludwika Heims, językoznawcę Krzysztofa Adelunga, pisarza i poetę; Addisona, Thomsona, Oliviera Goldsmitha, Efraima Lessinga, Augusta Bürgera, Gellerta, Macieja Kladiusa, Jana Pawła Richtera, Uhlanda, Ludwika Jahna i Kinkla.

Z pomiedzy polaków pracy własnej zawdzięczających swą sławę, protoplasta królewskiej familii Piast był kołodziejem, arcybiskup gnieźnieński Jakób z Znina pastuchem, Kromer kronikarz synem mieszczanina z Biecza, Kopernik, Stanisław Hozysz synami mieszczańskimi, Dantyszek za młodu był u powroźnika, Grzegorz z Sanoka filozof, Grzegorz Knapski słownikarz i Stanisław Staszic urodzili się z mieszczan ubogich. Janicki, głośny poeta, był synem rolnika z pod Znina, a Orłowski, jeden z najzdolniejszych malarzy naszych, był synem oberżysty.

Im większe stosunkowo zawady stoją na drodze człowiekowi powstałemu z ludu, do wydostania się na szczybel zasługi i powszechnego uznania, tem widoczniejszem jest, iż

liczba takich ludzi jest znaczną i daje wysokie mniemanie o umysłowej ich dzielności. W Anglii przyjaźniejsze są warunki samodzielnego wzrostu jednostek, a niżeli w Niemczech. Tam istnieje jedno tylko państwo, jeden język jak jedno prawo, i każdy obywatel uważany jest jako anglik a jako taki szanowany. Wolna ustawa Anglii i duch jej, władający wszystkimi instytucjami i stosunkami w państwie, umozębniają każdej sile warunki równego poważania i zasługi. Jest to więc nader zwykłym tam zjawiskiem, iż ludzie z najniższych szczebli społecznych do grona szlachty ziemskiej wchodzą, przez co takowa coraz świeższymi się zasilając, odradza się, nie zrywając przez to samo nici sprężającej ją z ludem. Tam każda zasługa otrzymuje swą nagrodę, gdy tymczasem w innych krajach kontynentu, mieszczaństwo daleko stoi po za szlacheństwem, w sobie zużytem i wyrodzonym i daremnie szuka wstępu do dyplomacji lub armii będących uprzywilejowanym stanowiskiem szlachty. Angielska arystokracja — pisze Grube — nie tak jak kontynentalna w ciągłym pozostaje zastoju; ale bezustannie czerpie siły w krwi mieszczaństwa (w Anglii tylko najstarszy syn lorda dziedziczy po ojcu tytuł i własność), bo córka mieszczańska, wychodząca za mąż za lorda, występuje z równym prawem do poważania przed szeregi szlacheckie, tak jakby jej pradziad był jednym z rycerzy „okrągłego stołu”. Ztąd też bierze początek owo wysokie poważanie i znakomita potęga, jaką się patrycyat angielski po dziś dzień cieszy i owo stanowisko opiekuńcze, jakie między tronem a ludem w społeczeństwie angielskim zajmuje.

Z drugiej strony mieszczanin nie jest zmuszony pa-trzeć na stan szlachecki jako na coś niedoścignionego, gdyż może zasługą dojść do takiego znaczenia, że na równi z najstarszym parem królestwa zasiadać będzie i wraz z nim stanowić prawa. Inaczej pod tym względem dzieje się w Niemczech, gdzie często szlachta szła wbrew życzeniom ludu, ujarzmiając go i walcząc przeciw niemu. Dowody tego mamy w wojnie chłopskiej (1523—1525) i w kampaniach Fryderyka Rudobrodego przeciw miastom lombardzkim (1154, 1158, 1177).

Wszystkie te przykłady świadczą o prawdziwie zdania, że Bóg tym dopomaga, którzy mają odwagę sami sobie dopomagać, że przeto nie trzeba wysokich godności i bogactw, aby uzyskać powodzenie i pracować na chwałę kraju. A na-

wet można z pewnością się oświadczyć, że te zasoby materialne, częstokroć są prawdziwą przeszkodą dla postępu, że studzą zapał do pracy w piersi człowieka, do pracy będącej rzeczywistą dźwignią społeczeństwa. Niedostatek i nędza natomiast, zostawiają zaledwie wybór między pracą lub ekonomiczną zagładą; w tym razie, człowiek jeśli nie chce iść zebrać lub kraść, musi skupić wszystkie siły swoje, musi walczyć z przeszkodami rozmaitego rodzaju, aby mógł po znojej pracy wyrzec do siebie z chlubą: „zawdzięczam wszystko co mam i czem jestem tylko własnemu natężeniu sił!”

Prawdziwa wielkość nie jest rodzoną ale dostępną dla tych tylko, którzy mają odwagę pracować. Kto więc posiada odwagę, wytrwałość, siłę duszy, pilność i charakter, ten ma kapitał niezbędny dla pomocy własnej, to jest do osiągnięcia żywiołowego celu, przez zastosowanie sił swoich do obranego zawodu.

ROZDZIAŁ II.

Wynalazcy i przemysłowcy.

Nie tak nie uwydatnia twórczego ducha narodu, jego zdrowego zmysłu i praktycznej działalności, jak usiłowania i zdobycze jego na polu przemysłu i rękodziel. Rzut oka na stanowisko rozmaitych narodów; prawdę tę stwierdza dowodnie. Gdzież wszystkie te zalety znamionujące zdrowie i siły społeczeństwa się znajdują, jeżeli nie u Anglików? Na podstawie tych tylko warunków, któreśmy wyżej wskazali — a nie z powodu bogatych zasobów węgla i żelaza — przewyższa Anglia od dwóch blisko wieków, t. j. od czasu gdy konstytucyjny byt tego kraju się utrwalił, wszystkie pozostałe narody w dziedzinie przemysłu. Przedsiębiorczy duch Anglików wywiódł na widownię ukryte skarby ziemi, obrobił je i z ich pomocą, stworzył sięgający na świat cały przemysł angielski, którego wspaniałość budzi podziw i poważanie wszystkich narodów. Podobnie jak wojenne floty Anglii opanowały wszystkie morza, tak towary angielskie władną jarmarkami wszystkimi i wszystkie narody składają należny haracz Anglikom za wyroby ich przemysłu. Dobroć

wyrobów zjednała im wszędzie odbył i przydomek „angielski towar“ znaczy prawie jedno i to samo co „najlepszy towar“, od tego to czasu datuje się śmieszny zwyczaj Niemców, opatrywania wyrobów niemieckiego przemysłu angielskimi napisami i zakorzeniony nawet w Rosji przesąd prawie przysłowiem będący, w oznaczeniu mianem „angielskie“ tego wszystkiego, co jest w swym rodzaju niezrównanem.

Jednakże od lat pięćdziesięciu począwszy, wyłączne panowanie angielskiego przemysłu nieco ku upadkowi chylić się poczyną. Duch świeży, ożywczy, powiał po wszystkich narodach i swym potężnym wpływem pobudził do działania zgnusniałe i odrętwiałe umysły. Po długotrwałych, krwawych wojnach nastąpiła epoka rywalizacji na polu pokojowych zajęć. Rękodzielnictwo ożyło i poszło dobrowolnie za ogólnym prądem. Długa przerwa, w angielskim zrządzona handlu, zmusiła kontynentalne narody do posługiwania się własnymi siłami, a tym sposobem uitorowaną została droga do wyswobodzenia się z pod przewagi angielskiego przemysłu. Rącho i nieprzerwanie zaczęli szczególnie Francuzi i Niemcy starać się o dorównanie Anglikom na każdym polu, by tą drogą zapewnić sobie między narodami europejskimi należne stanowisko. Nieposiadając szybkiego i przedsiębiorczego ducha Anglika, ma natomiast Francuz rzutkość a Niemiec ową wytrwałą i roztropną cierpliwość, tamtym zaletom wyrównywającą i znamięnującą postęp w niedalekiej przyszłości.

W epoce, kiedy Niemcy polityczną stanowiły jedność, potęgą ich jedyną podówczas w Europie nadawała ich przemysłowi pierwszorzędne też stanowisko. Rozkwit niemieckiego przemysłu sięga epoki między XIII a XVII wiekiem. W tym peryodzie, związek niemieckich miast *Hanzą* zwany (1241—1630) trzymał berło handlu w swej dłoni. W XIII wieku przemysł płócienniczy, wełniany i sukieniczy, rącho się i bujnie w miastach: Augsburgu, Norymberdze, Frankfurtu nad Menem rozwijał. Następcy Hansa Fuggera w Augsburgu, dotrzymali placu swemu protoplaście. Bogactwa ich sprzyjały i krzewiły sztukę i rękodzieła. W północnych Niemczech kwitnęły w tej epoce swym przemysłem miasta: Brunzwik, Goslar, Magdeburg, Szczecin, a wyroby ich z drzewa, skóry, szkła, metalu i kamienia wszędzie były poszukiwane. Z pomiędzy gałęzi przemysłu najbardziej pod-

ówczas rozwiniętych, wymienić należy górnictwo, które na Harcu już 978 r. w Saskich rudach 1167, a w Czechach 1292 uprawiać poczęto, do czego później przyłączyła się i fabrykacja żelaza. Górnicy niemieccy, którzy pod panowaniem królowej Elżbiety (1558—1603) wezwani zostali do Anglii, dla podniesienia tam górnictwa, powieźli z sobą drewniane szyny do tarcznych kopalń, które stanowiły pierwszy model do później wprowadzonych żelaznych kolei, początkowo w kopalniach węgla używanych, dopóki wraz z odkryciem własności pary, nie wprowadzano ich jako ogólny komunikacyjny środek.

Wyrobami metaloweni szczególnie odznaczała się Norymberga, która też wcześniej niż inne miejscowości, fabryki systematycznie urządzone u siebie zaprowadzać poczęła. Z tego też względu w Niemczech — Norymberga jest przedstawicielką skrzętnego i pracowitego niemieckiego przemysłu i w historii miast na szczególną zasługuje uwagę. Tutaj wynalazł Piotr Hele zegarki, norymberskimi jankami zwane, Rudolph maszynę do wyciągania drutu, Henryk Traxdorf pedal, Hans Lobsinger prasę do odciskania figur na metalu, Krzysztof Denner klarnet, Hans Meuschel udoskonalony puzon, Erazm Ebner mosiądz, Jan Bąbysta Homann krzewił po całych Niemczech mapy i globusy, po raz pierwszy przez Marcina Behama Norymberczyka sporządzone i do dziś dnia jeszcze w pamiątkowym jego domu przechowane.

Fabrykacja szkła najwcześniej w słowiańskich Czechach i Turynii zaprowadzoną została i tu największego dostąpiła rozwoju. Obok przedsiębiorni wełnianych i płóciennych, rozwijały się farbiarnie w takiej liczbie, że Anglia np. w XVI wieku, w Niemczech farbowała sukna swoje. Również i z Wenecyi sprowadzone pończoszarnie w górach Saskich około XVII wieku tak się krzewiły, że Anglii z niemi rywalizować nie mogli, a nawet sami z Niemiec takowe do siebie sprowadzali. W XIV stuleciu przedsiębiornie jedwabiu urządzone, a w 1390 wybudowano w Niemczech pierwszą papiernię.

Tak szczęśliwie rozwijał się przemysł niemiecki, kiedy nagle wybuchła trzydziestoletnia wojna (1618—1648) i spustoszyła bogate i ludne równiny. Kiedy wreszcie pokój Westfalski położył koniec ogólnym klęskom, których skutki do dziś dnia jeszcze trwają, wówczas okazało się, że

Pomoc własna



Niemcy prawie $\frac{2}{3}$ swej ludności stracili. Obszerne i ludne przestrzenie leżały odłogiem opustoszone i tysiące wiosek znikło z powierzchni ziemi.

W Norymberdze, wkrótce po zawarciu pokoju wydano prawo, pozwalające zenić się z dwiema kobietami. Jak dalece przemysł skutkiem wojny podupadł, dowodzi okoliczność, że w Augsburgu, gdzie jeszcze w 1610 roku 475,184 sztuk barchanu wyrobiono, po wojnie 6,000 majstrów wyrobiło już tylko 500 sztuk, a z ośmdziesięciu tysięcy mieszkańców, zostało się już tylko 18 tysięcy w najopiakanym stanie!

Podczas gdy państwo niemieckie, dźwigało się z wolna ze swego upadku, punkta ciężkości przemysłu zwróciły się z Niemiec do Francji, Anglii i Niderlandów. Ostatnie wydoskonaliły głównie fabrykację sukna, a gdy panowanie hiszpańskie srodcze się we znaki uciśnionemu krajowi dawało, liczne zastępy niderlandzkich wychodźców skierowały się w stronę Anglii, zwłaszcza w epoce straszliwej pamięci księcia Alby i tam położyły podstawę przemysłowej wielkości swojej nowej ojczyzny. W XVII stuleciu fabrykanci wyrobów jedwabnych skutkiem uchylenia edyktu Nantejskiego, który zapewnił był hugonotom swobodę religijną, przenieśli się również do Anglii, stanowiąc się rozwinięli i ku lepszemu zwracać poczęli, aż ważny i wiekopomny wynalazek maszyny parowej na zawsze im przewagę i pomyślną zapewnił przyszłość.

Zaczątek, a raczej nasienie tak ważnego wynalazku, przypisują starożytnemu matematykowi Heronowi Aleksandryjskiemu, który żył na 200 lat przed n. Chr. Dwa tysiące lat prawie odkrycie to drzemało, aż wreszcie jak owo ziarno egipskiej pszenicy zachowane w mumii znalazło grunt przygotowany i stało się wspólnem całej ludzkości dobrem. Około schyłku XVII wieku ogłosił francuzki emigrant osiadły w Niemczech D. Papin, rozprawę w Lipskich Acta eruditum pod tyt.: „Nouvelle manière de produire à peu de frais des forces mouvantes extrêmement grandes (nowy sposób wytwarzania małym kosztem poruszających sił niezwyklej potęgi), w której to rozprawie rozwinął myśl parowej maszyny i wykazał, jak za jej pomocą można poruszać statkiem w koła zaopatrzonym. W istocie w 1707 roku, poruszał się na rzece Fulda między Kasel i Minden mały parowiec prawie na sto lat przed podróżą Roberta Fultona podobnym

statkiem na rzece Hudson między Nowym Yorkiem a Albany. Lecz epoka, w której żył Papin, nie zdolną była jeszcze do zrozumienia tak ważnego odkrycia; szyprowie Mindersey, powodowani obawą uszczuplenia swych dochodów, zburzyli statki Papina w chwili, gdy te zamierały wpłynąć na Wezerę. Tak więc usiłowania w celu udoskonalenia maszyny parowej, wyłącznie odtąd i to przez ciąg lat stu, na ziemi Angielskiej prowadzonymi były, aż się Anglikom udało wynalazek ten do możliwej doprowadzić doskonałości.

Z pomiędzy mężów, którzy się zasłużyli na polu ciągłych ulepszeń maszyny parowej, niezaprzeczenie James Watt pierwszorzędną zajmuje stanowisko. Watt należał do najpilniejszych, najwytrwalszych i najzasłużeńszych ludzi, którzy swe prace na usługi ludzkości oddali. Urodzony w 1736 r. w Iweenock w Szkocji, od młodości samej okazywał szczególne zamiłowanie do pracy samotnej i badań nad mechanicznymi zadaniami. Żywy, chciwy wiedzy i gruntownej nauki młodzieniec, przy każdej sposobności starał się rozszerzać zakres swych wiadomości, przez gorliwą i samodzielna pracę. Rok tylko mógł poświęcić naukom praktycznym pod kierunkiem słynnego londyńskiego mechanika, gdyż ta chorobliwa kompleksja zmusiła go do powrotu do domu. Tu w Glasgowie założył na własną rękę pracownię i takiej doszedł wziętości, że mu w 21 roku życia, uniwersytet tameczny powierzył zarząd matematyczno fizycznego gabinetu. Zajmując się sporządzaniem matematycznych instrumentów, otrzymał polecenie zbudowania organów. Watt był pozbawiony wszelkich muzykalnych wiadomości; a jednak, nie powstrzymało go to od przyjęcia tego zlecenia. Z zapalem oddał się nauce harmonii, rozpoczął dzieło i zaszczepnie je ukończył. Niemniej gorliwie zabrał się do pracy, gdy mu uniwersytet Glasgowski powierzył udoskonalenie modelu maszyny parowej Newcomena. Zanim się jednak do tej pracy zabrał, przeszedł gruntownie wszystko to, cokolwiek umiętność fizyki wyrzekła o naturze ciepła, pary i t. d., współcześnie pracował nad mechaniką i budownictwem. Tak przygotowany zabrał się do roboty. Rezultatem jej było to, że zamiast poprawienia przepełnionego błędami modelu, dostarczył zupełnie nową i ukończoną maszynę, tak, że go można uznać za drugiego wynalazcę a nawet twórcę maszyny parowej, gdyż skutkiem jego poprawek, dopiero umozebnionem zostało użycie jej nie tylko do podnoszenia wody,

ale i do bezpośredniego poruszania młynów, statków parowych i żelaznych kolei.

„W atmosferycznej maszynie parowej Newcomena — pisał Wackernagel w dziele swoim p. t. „Naturkräfte und Menschenarbeit“ (Siły natury i praca człowieka) — skrapia się parę pod tłokiem, w skutek wielkiej ilości zimnej wtryskiwanej wody, przez co i ściany cylindra oziębiają się. Dla nowego podniesienia tłoku trzeba było wpuścić nową parę; ponieważ jednak cylinder był już oziębiony, przeto tracono wiele ciepła i materiałów palnych, dla ogrzania cylindra znowu do 80° R. Tak było przy każdym poruszeniu tłoka. Ciśnienie jego w kierunku na dół wymagało obniżenia temperatury do 30°. Watt stawiał sobie za zadanie skroplenie pary, bez oziębienia cylindra. Długo przemysliwał nad tem próbując rozmaicie — wreszcie wpadł na pomysł skroplenia pary w oddzielnem, odosobnionem od cylindra naczyniu, zwanem w skutek tego: kondensatorem. Szczęśliwa myśl ta, była pierwszym krokiem na drodze, która nieśmiertelniła imię Jamesa Watta”.

Watt, jak widzieliśmy, był biednym, miał bardzo mało przyjaciół, żył w ciągłej walce z przeciwnościami, pozostawiony własnemu siłom. Wówczas nawet, gdy maszyna jego regularnie już pracowała, trudności, z którymi wytrwale walczył, otaczały go zewsząd. Połączył się z doktorem Ronbuck, człowiekiem przedsiębiorczym, i zachęcony, poparty przez niego, zbudował nową maszynę dla kopalni kamiennego węgla, która też poprawiana od czasu do czasu, znakomicie została wydoskonaloną. Był właśnie zajęty wystawieniem maszyny na wielką skalę, gdy wspólnik jego, skutkiem nie-szczęśliwych spekulacyj na wielkie straty narażony został, tak że widział się w konieczności odmówienia dalszych nakładów. Watt znowu wpadł w poprzednią nędzę i trzeba było silnego hartu duszy, aby nie upaść zupełnie. Z tej jednak biedy znowu go wydzwignął człowiek nader bogaty i wpływowy. Mąż ten, któremu świat zawdzięcza wprowadzenie w użycie wynalazku Watta, nazywał się Mateusz Boulton „ojciec Birminghamski” jak go z uszanowaniem współziomkowie tytułowali; zawarł on spółkę z Watem w roku 1773.

Boulton przedstawia nam się jako człowiek zupełnie odmienny od Watta usposobienia, lecz zdolności ich harmonijnie się uzupełniały, Watt miał prawdziwie twórczą naturę, skłoną do samotnych rozmyślań i samodzielnej pra-

cy, ale wstrętą wszelkiemu niespokojnemu rzucaniu się na polu handlowem, zwłaszcza co się tyczyło przedsiębiorstw. Oświadczał on, że milejby mu było stać naprzeciw naładowanej armaty, aniżeli wlaować się w rachunki kupieckie i prawdopodobnie przy takim usposobieniu, nigdyby nie osiągnął zysków pieniężnych ze swej pracy, gdyby nie współdziałał Boultona. Tam gdzie Watt okazywał słabość, tam leżała siła Boultona. Otrzymał on staranne wychowanie od ojca swego, właściciela fabryki stali i wychowanie to rozwinął samodzielnie pracą. W roku 1762 kupił on w Soho o godzinę drogi do Birmingham, pusty kawałek ziemi, który wkrótkim czasie zamienił się na miasto fabryczne zaludnione prawie 20 tysiącami dusz. Był on przedewszystkiem kupcem w obszer-nem tego wyrazu znaczeniu, ale z zamiłowaniem oddawał się umysłowej pracy. Połączywszy się z Watem, głównie zwrócił swe usiłowania ku temu, aby maszynę parową użytkować jako dźwignię przemysłu swej ojczyzny. Zadanie to nie było tak łatwem, jakby się to według dzisiejszych naszych pojęć zdawać mogło. Nienawiść i przesąd skojarzyły się, aby unicestwić te usiłowania, tak że Boulton i Watt włożyli już 300 tysięcy talarów w swoje przedsiębiorstwo, zanim mogli jakkolwiek zysk zeń osiągnąć. Z dumą rzekł raz Boulton do przyjaciela, który przyszedł go w Soho odwiedzić. „Sprzedaję tutaj to, co świat cały chce posiadać — mianowicie: siłę!” Miał on 700 robotników pod swym kierunkiem. Prawość była podstawą jego działań i można o nim powiedzieć, że ani grosza nigdy nie zarobił nieuczciwą drogą. Na po-grzebie jego było niezliczone mnóstwo robotników ze łzą woku żegnających pana swego, przyjaciela i doradcę w życiu.

Długi szereg znakomitych mechaników przyczynił się do udoskonalenia parowej maszyny, która przechodzi swą siłą wszystko cokolwiek starożytni o pracach cyklopów bajali. Dopiero wtedy, gdy już można było oddać maszynę na usługi przemysłu, wyzwolono ducha ludzkiego z pod jarzma tysięcy ogłupiających, mechanicznych zajęć. W tem właśnie spoczywa korzyść i zaleta tej maszyny, chroniącej człowieka od prac, któreby go do rzędu maszyn poniżyły mogły.

Takim sposobem, przez wydoskonalenie maszyny parowej, położono podwalinę dla olbrzymiego bawelnianego przemysłu Anglii. Mężem, którego imię na zawsze z historią przedsiębiorstwa jest połączone — był Ryszard Arkwright, człowiek niskiego pochodzenia. Chciano mu jak Wattowi

i Stephensonowi odjąć zasługę wynalazcy, lecz niesłusznie. Arkwright jest w takim stosunku do przędzalni, w jakim stoi Watt do parowej maszyny, a Stephenson do lokomotywy. Zebrał rozpieczętowane listy, które przedtem dowieczny pomysł zawiązał i sprzął je według obmyślanego planu w jedno całkowite ogniwo.

Ryszard Arkwright urodził się w 1732 roku w Preston z ubogich rodziców. Jako trzynaste z rzędu dziecko, nie mógł korzystać z dobrodziejstw nauki, której sam własnymi siłami oddać się musiał, tak że sztuka pisania wielego pracy do końca życia kosztowała. Ojciec oddał syna do balwierza na naukę, a po ukończeniu terminu założył mu osobną gólarnię, na szyldzie której zamieścił młody Ryszard napis: „Wstąpcie do podziemnego balwierza — goli on po jednym penny (5 groszy) od osoby”. Prowadząc tak przez lat kilka gólarnię, opuścił swą piwniczkę wreszcie i stał się wędrownym perukarzem. W owym czasie peruki były bardzo w modzie i stanowiły ważną gałąź gólańskiego zawodu. Podróżował więc Arkwright po kraju za kupnem włosów, szczególnie po jarmarkach, gdzie mu się też często udawało skłonić niejedną młodą dziewczynę do pozbycia swych warokczy, za stosownem wynagrodzeniem.

Od dzieciństwa już znajdował Arkwright przyjemność w mechanicznych zatrudnieniach i teraz poświęcił im wszystkie wolne chwile. Z wielką usilnością pracował nad rozmaitemi modelami maszyn i jak wiele umysłów twórczych tego rodzaju, przemysliwał nad wynalezieniem *perpetuum mobile*. Oddawał się z takim zamiłowaniem tym zajęciom, że zaniedbał przez to swe interesa, zaoszczędzone pieniądze stracił i w wielką popadł nędzę. Małżonka jego z niechęcią już oddawna spoglądała na tajemnicze przyrządy swego męża, głównie zaś na stratę drogiego czasu i pieniędzy trwonionych na mechaniczne fatalaszki. Pewnego dnia, gdy Arkwright udał się do swego przyjaciela, w napadzie gniewu podrzuciła wszystkie modele, w których widziała źródło pieniężnej ruiny swego męża. Powróciwszy do domu, spostrzegł Arkwright nieszczęsne skutki i w pierwszej chwili opanowała nim rozpacz i gniew bez granic; uspokoił się jednak po chwili i oświadczył z tajonym bólem, zimno ale stanowczo swej żonie, że spełniła wielką zbrodnię, której nigdy nie będzie w stanie jej wybaczyć. W skutek tego wkrótce się z nią rozwiódł.

W podróżach swoich po kraju, zapoznał się raz Arkwright z pewnym zegarmistrzem, nazwiskiem Kay, który mu niejednokrotnie udzielał pomocy przy budowaniu *perpetuum mobile*. Człowiek ten miał pierwszy zwrócić jego uwagę na przędzalnię, a raczej na jej wydoskonalenie; wskazując mu w surowych zarysach zasadę przedzenia na walcowych przyrządach. Do głębi tym pomysłem przejęty, Arkwright przemysliwał ciągle nad doprowadzeniem do skutku tego zamiaru.

Aby się zupełnie tej nowej pracy poświęcić, porzucił Arkwright perukarstwo i zajął się gorliwie zbudowaniem modelu ulepszonej przędzalni. Doprowadziwszy to do skutku, wystawił model w publicznym lokalu. Był on podówczas tak jeszcze biednym, że raz gdy obecność jego przy wyborach była niezbędną, musiano zrobić składkę między kolegami, aby go jako tako od stóp do głów przyodziać.

Wystawienie modelu w miejscowości Preston, gdzie znaczna część robotników z ręcznego zarobku żyła, okazało się niebezpiecznym przedsięwzięciem. Od czasu do czasu dawały się słyszeć odgłosy i wrzaski niechętnego tłumu, tak że Arkwright pomny nieszczęsnego losu, jaki spotkał przyrządy Jennego (przędzalnia ta bowiem w 1763 r. przez Hargreavesa wynaleziona i imieniem córki jego oznaczona, na krótki czas przedtem została przez tłum zburzoną), uznał za stosowne zapakować swą maszynę i przenieść ją w bezpieczniejsze miejsce. W tym celu udał się do Nottingham, gdzie zamierzył zjednać kilku bankierów dla swego przedsięwzięcia. Wskazano mu panów Strutt i Need, z których pierwszy wynalazł maszynę do cerowania pończoch. Strutt szybko podjął wyższość udoskonalonej maszyny i połączył się z jej wynalazcą. Był to dziwny zbieg okoliczności w tym samym roku 1769, kiedy Arkwright uzyskał patent wynalazku i Watt takowy za swą maszynę parową otrzymał. Pierwszą przędzalnię bawełnianą, wprowadzoną w ruch siłą koni, wystawili robotnicy w Nottingham i wkrótce potem druga większego rozmiaru, poruszana wodą, wybudowaną została w Cromford w hrabstwie Derby, z powodu czego maszyna ta w Anglii nazywana jest *water frame*.

Trudności, z jakimi walczył Arkwright, jeszcze się nie skończyły. Potrzebował wykończyć swą maszynę we wszystkich szczegółach. Przemógł i to jednak siłą swej woli. Przez długie lata bieg przedsięwzięcia był tak niekorzystny, że wspólnik Arkwrighta na seryo myślał o odstąpieniu od

interesu. Wśród tych okoliczności, Arkwright jedynie nadziei nie tracił. Strutt gniewny z powodu poniesionych strat, czynił mu gorzkie wyrzuty i w obecności wielu, trzymając w rękę garść przędzy, wołał: „Piękny materiał. I jak tu myśleć nawet o z bogaceniu się na nim? Pełen nierówności i węzłów!” Gdy wreszcie widoki rozjaśniły się nieco, tłuszcza robotników, zbuntowawszy się, zburzyła w zupełności przedsiębiorstwo. A nawet przyszło do tego, że odebrano Arkwrightowi patent wynalazku. Jednak mąż nieustraszony nie zwątpił jeszcze. Wybudował on w wielu okolicach kraju nowe przedsiębiorstwa; a nawet po wyjściu terminu kontraktu ze Struttem, przedsiębiorstwo przeszło pod jego wyłączny zarząd. Wkrótce ziściły się jego marzenia i nadzieje. Gdy w r. 1792 zmarł Arkwright w Cromford, został się po nim majątek pięćkroć sto tysięcy funtów szterlingów wynoszący, czyli prawie 20 milionów złp.

Arkwright był zarówno jak Watt człowiekiem niezmiernie czynnym i przemysłnym. Żył on i prążył w zapomnieniu o wszystkim, co do jego zawodu nie należało. Zarząd, kierownictwo i urządzenie fabryki tyle go absorbowały, że od 4-tej rano do 9-tej wieczorem był ciągle zajęty. W chwilach wolniejszych starał się nagrodzić sam sobie brak początkowego ukształcenia. W pięćdziesiątym roku życia śledził nad gramatyką angielską dla wydoskonalenia swego stylu i pisowni. W podróżach swoich dla niestracenia czasu jeździł zwykle czterokonnym powozem.

Takim to sposobem człowiek niskiego rodu, pracą jedynie i usilnością doszedł do tego stopnia pomysłowości i znaczenia, że milionom rąk ludzkich dał sposób do życia i przysporzył bogactwa swej ojczyźnie.

Jak dalece to prawdą jest, że wielkość i dobrobyt kraju od pilności, usilności i dzielności jednostek zależy, dowodzi żywot innego robotnika — Joziasza Wedgwooda, założyciela garncarni w angielskiem hrabstwie Stafford. Ojciec jego był jako biedny garncarz w Burslem, obecnem ognisku garncarskiego przemysłu i zaledwie był w stanie wyżywić swoją rodzinę. Umarł gdy mały Joziasz zaledwie 11-ty rok życia liczył i już w tym wieku pracował w garncarni swego starszego brata. W tym stanie rzeczy nie mogło być nawet mowy o wychowaniu i nauce jakiegokolwiekbądź, a to, czem później się odznaczył, winien był tylko samodzielnej i usilnej pracy nad sobą.

W owej epoce, gdy młody Wedgwood (Wedzwud) zaledwie pierwsze kroki stawiał na swej drodze, garncarstwo na bardzo niskim stało stopniu. Nie zadawałniano ono potrzeb krajowych, o wywozie za granicę wyrobów garncarskich myśleć nie można było gdyż znaczna liczba zagranicznych zalegała angielskie jarmarki. Porcelanę sprowadzano z Chin, a garnki sporządzone w kraju były niezadarnego kształtu, tak że z trudnością można było myśleć o ich sprzedaży.

Wedgwood pracował jeszcze u brata swego, gdy nagle nawiedzony ospą, zmuszony został do zaprzestania pracy, a krosty rzuciwszy się na nogę, przyprawiły go o amputację takowej. Wkrótce po tym nieszczęsnym wypadku połączył się on z robotnikiem Wildon. Już wówczas zajęty był myślą wydoskonalenia garncarskich wyrobów. Nie zadawałniano go już to, że garnki były stosowne do domowego użytku, ale myślał o nadaniu im pięknego kształtu, odpowiednio do przeznaczenia. W tym celu zajął się gorliwie sporządzaniem glinianych rękojeści, którym usiłował nadać pozór agatu i szylpatu, talerzy w kształcie liści i miseczek w formie melenów. Ponieważ Wildon nie chciał prowadzić interesu wspólnie z nim, przeto sam na własną rękę założył fabrykę, gdzie zamyslił oddać się z zamiłowaniem swemu zawodowi. Fabryka szybko się wznosiła i wzbogacała w zasoby. Niedługo potrwalo, a mógł już sobie nająć robotników, których liczba wkrótce do stu doszła. Przy nieustannej pracy wpadł na pomysł, czyby się nie udało pewnej krzemienistej gliny zabarwionej na czarno, przez powiększenie temperatury do czerwoności doprowadzić do koloru białego. To spostrzeżenie naprowadziło myślącego Wedgwooda do odkrycia *steingutu*. Rozpoczął więc przyrządzając kilka gatunków *steingutu*, fabrykacją naczyń na wielką skalę. Między innymi fabrykatami, głównejsze zajmowały miejsca: biały, miękki w dotknięciu *steingut* (white china) i zwykły, cokolwiek w żółty kolor wpadający fajans (cream-coloured ware) z którego naczyńia rozgłosu używały sławy. Udokonalenie wyrobów garncarskich było celem, któremu się przez całe swe życie z prawdziwym oddaniem zapalał. Wszystko, cokolwiek tylko człowiek ten przedsięwziął, nabrało przy pomocy jego silnej woli — życia. Pracował według ściśle naukowych i artystycznych prawideł, i dlatego był zawsze w stosunkach z artystami i mężami nauki. Spokój

był mu obcym. Nie znał co znaczy: dosyć! Nawet gdy wyroby jego osiągnęły już stopień doskonałości, pracował dalej, myśląc nad nowymi udoskonaleniami, i jakkolwiek od niego datuje się nowa epoka garncarstwa, mimo to był przekonania, że dał tylko wskazówki same, które daleka przyszłość dopiero urzeczywistnić zdoła. Sporządził on pierwszy serwis angielskiej roboty dla królewskiego stołu, i został w skutek tego pierwszy z garncarzów Anglii zaszczycony przydomkiem „królewskiego garncarza”, który większą dumą napęlił Wedgwooda, niżeli gdyby został uszlachcony. Zewsząd powierzano mu kosztowne porcelanowe naczynia do naśladowania, w czem nawet celował. Jego kopie starożytnych waz były pysznej roboty i we wszystkim dorównywały starożytnym. Ciągłem studjowaniem udało mu się odkryć na nowo znany przez Etrusków, a przez Rzymian zatracony sposób malowania na rozpalonej glinie. Wynałazł także *pyrometr* (ogniomierz), uznany w owej epoce za najlepszy. Anglia zawdzięcza mu również doprowadzenie do skutku komunikacji wodnej, między wschodnią i zachodnią częścią wysp Brytańskich. Rozgłos jego zasług ściągał liczne grono ciekawych ze wszystkich stron Europy do osady, którą Nową Etrurią nazwano.

Wielką zasługą Wedgwooda jest to, że podniósł surowe garncarstwo do godności sztuki, która ogromnego w Anglii doznała powodzenia i zapewniła chleb tysiącom rodzin. Jeszcze w początkach XVIII wieku okręg Pottery był słabo zaludniony, dziś w 14-tu drobnych miasteczkach połączonych z czasem w jedno większe miasto, żyje 84 000 mieszkańców produkujących rocznie za 1,800,000 funtów szterlingów. Zasada Wedgwooda zasługiwałaby, aby ją złoconemi literami nad każdą wywieszano fabrykę. Brzmiała ona: Czystość w pracy, czystość w obyczajach.

Przejdziemy teraz do postępu Niemców na polu przemysłu. Widzieliśmy powyżej, że Niemcy przed trzydziestoletnią wojną zajmowały zaszczytne pod względem handlu w Europie stanowisko, i że w skutek tej wojny rozwój nieco powstrzymanym został. Od pięćdziesięciu lat jednak rozpoczęły one na nowo rywalizować z innemi narodami i przyznać potrzeba, wyszły z tych zapasów zwycięzko. Niedawno to jeszcze czasy, gdy w Niemczech wyłącznie prawie angielskie ołówki w użyciu były, podczas gdy dziś nietylko w Niemczech ale i za ich granicą, ołówki z fabryki A. W. Fa-

bera z pod Norymbergi, mają przywilej doskonałości. Zkąd to pochodzi? Historia rozwoju fabrykacji ołówków Fabera najlepiej nam tę tajemnicę rozjaśnić zdoła, że tylko samodzielność może zapewnić powodzenie tam, gdzie jest z silną wolą i wytrwaniem połączona. W roku 1760 osiadł w Stein pod Norymbergą niejaki Kacper Faber, człowiek skromny ale przedsiębiorczy, który dorobiwszy się do posiadania domu wraz z ogródkiem, rozpoczął wyrabiać ołówki dla norymberskich kupców. Jak skromnym był kapitał przez założyciela w ten przemysł włożony, wyjaśnia się z inwentarza z roku 1786, znajdującego się w archiwach Faberów, który wykazuje rezultat 59 guldenów. Cokolwiek tylko tygodniowa dostarczyła praca, szło starannie upakowane na sprzedaż do Norymbergi. Ta zależność od norymberskiego handlu nie była wcale korzystną dla świeżego fabrykanta. Średniowieczny rozkwit norymberskich rękodzielni już oddawna minął, a nowy na jego miejsce zejść jeszcze nie zdołał. Przesady i pokątne między cechami intrygi sprzeciwiały się wprowadzeniu jakiegokolwiek metody do pracy, nawet choćby takowa rokowała najpomyślniejsze skutki, tak że wreszcie odbył norymberskich towarów ustał zupełnie i musiano się uciec do liwerunków, poczem jednak sprawa pomyślniejszy przybrała obrót.

I fabryka Fabera w skutek tak opłakanego stanu norymberskiego handlu, została w swym rozwoju powstrzymana, i nie bez trudności syn założyciela, Antoni Wilhelm Faber, którego nazwisko stało się firmą zakładu, a od 1810 roku Jerzy Leonard Faber, ojciec dzisiejszego właściciela, zdołali utrzymać zakład, i ocaliwszy go od upadku, na nowe obszerniejsze wprowadzić drogi. Osiągnięcie tego zadania jest zasługą obecnego posiadacza.

Jan Lotaryusz Faber, który w r. 1839 po śmierci ojca objął zarząd fabryki, kształcił się był do 19 roku życia w Norymberdze, dla przyswojenia sobie kupieckich wiadomości, przyczem jednak nie zaniedbywał i zawodu, któremu się miał w przyszłości poświęcić. W Paryżu i Londynie, gdzie czas pewien przebywał, nabył koniecznych dla swego fachu wiadomości. Wobec olbrzymiego handlu tych stolic, pod najkorzystniejszymi rozwijającego się warunkami, powziął młody Faber myśl dźwignięcia swego przemysłu dla umożliwienia współzawodnictwa z zagranicą,

W 1839 roku stanął na oziele ojcowskiej fabryki, która zatrudniała podówczas 20 tylko robotników, przy odbycie 12 tysięcy guldenów wynoszącym. Trudne to było dlań zadanie walczyć z zakamieniałym zastojem i ospałością, ale wzięwszy sobie za dewizę „prawdę, moralność i pilność”, ochoczo zabrał się do dzieła. Zrazu ograniczył się tylko samym wyrobem ostatnich, tanich gatunków ołówka. Późem przeszedł do delikatniejszych wyższej ceny ołówków, szczególnie do tak zwanych między malarzami poligradesowych; lecz gdy norybergscy kupcy odmówili mu ich przyjęcia, wyruszył do Niemiec, Rosyi, Austrii, Belgii, Holandyi, Francyi, Anglii, Włoch, Szwajcaryi i wszędzie pozawiazywał stosunki, skutkiem których było podniesienie się odbytu i rozprzestrzenienie zakresu fabrykacji. Szybko wznosiły się nowe budowle, liczba robotników zwiększała się z dniem każdym, a wraz z nią i dobrobyt fabryki. I podczas gdy właściciel przyswajał wszystkim krajom swoje ołówki, podczas gdy na wszystkich wystawach uznawano je za najlepsze, podczas gdy w r. 1849 zakładano w Nowym Yorku filie fabryki pod kierunkiem najmłodszego z Faberów, Eberharda — nie zapominał szlachetny właściciel o losie swoich robotników. Uważając ich za swych bliźnich, za ludzi, przyczynił się do ułożenia statutów robotniczych, określających prawa ich i obowiązki ze szczególnym względem na moralne zachowanie się robotnika. Płaca została podwyższoną, założono kasę oszczędności i zapomogi dla chorych i rodzin pozostałych po zmarłych robotnikach. Założenie fabryki nastęrczyło robotnikom sposobność rozszerzenia zakresu swych wiadomości, dla młodszych utworzono szkoły. Przyczem nie zapomniano o towarzystwach śpiewaków i o rozlicznych rodzajach obyczajnych rozrywek. Osobny także dla robotników wystawiono kościół i probostwo.

Jan Lotariusz Faber był pierwszym, który swojski przemysł usiłował skojarzyć z ideami zachodu. Ołówek jego, do którego sporządzenia wszelkie możliwe zastosowano ulepszenia, jest według zdania pierwszorzędných artystów nowoczesnych, Korneliusa, Kaulbacha, Lessinga, Horacego, Verneta, najlepszym z pomiędzy wszystkich dotąd znanych. Nie wahał się też Faber wbrew zwyczajowi swoich kolegów opatrzyć wyroby własne niemiecką a nie zagraniczną firmą. W chwili gdy wyczerpywanie się grafitowych pokładów groziło fabryce niechybną ruiną, rozeszła się nagle wiadomość,

że nieaki Piotr Alibert, Rossyanin, odkrył w pobliżu Irkucka w Syberyi pokłady grafitu, dorównujące dobrocią angielskim w Borrowdale czerpanym. Alibert zaproponował Faberowi jako najznacznieszemu fabrykantowi ołówków układ, mocą którego eksploatacja grafitowych pokładów oddaną mu została, tak że od 1856 r. rysujemy już wyłącznie sybirskim grafitem. Wkrótce po tem szczęśliwym zdarzeniu firma Faberów święciła stoletni jubileusz istnienia fabryki, w której to uroczystości narodowo niemieckie zwycięstwo na polu przemysłu uczczonem zostało.

Nie można jednak zaprzeczyć, że zagraniczne wzory przeważnie się przyczyniły do podniesienia niemieckich fabryk, nie tylko pod względem fabrykacji ołówków, ale i na polu fabrykacji machin, szczególnie najtrudniejszego ich rodzaju — lokomotyw, które przez czas długi wyłącznie z Anglii sprowadzano. Dziś jednak wyrób tych machin dla użytku Niemców wyłącznie się dokonywa w Niemczech. Z pomiędzy 4,350 lokomotyw, które w końcu 1862 r. funkcjonowały w Niemczech, 540 sztuk było zagranicznego wyrobu reszta zaś, więc $\frac{7}{8}$ prawie, była niemieckiej roboty. Najwięcej dostarczył Borsig z Berlina bo około 1 283 sztuk, najmniej Hartman z Chemnia (168 sztuk).

Jan Karol Fryderyk August Borsig, założyciel wspomnianej fabryki machin w Berlinie, urodził się w 1804 roku we Wrocławiu, gdzie ojciec jego był cieślą. W roku 1825 wstąpił dla gruntownego wydoskonalenia się w budowie machin do F. A. Egellsa w Berlinie i wkrótce objął zarząd połączonego z tą fabryką zakładu „Nowej berlińskiej giserni machin”. Gdy w tym czasie przedsięwzięcia komunikacyjne coraz więcej w Niemczech rozwijać się poczęły, poznał Borsig, że nadeszła stanowcza chwila do ugruntowania na obszernej skale warsztatów technicznych, by tem samem postęp niemieckiego przemysłu przyspieszyć. Tak więc założył w Berlinie przy Oranienburskiej bramie fabrykę, która w 1837 roku 50 robotników zatrudniała. W dziesięć lat później fabryka Borsiga liczyła już 1,200 robotników, a w 1847 roku wystawiła 67 lokomotyw z tendrami, a zatem więcej aniżeli kiedykolwiek w jednym roku największy warsztat angielski dostarczył. Prócz tego, dokonywają się tu największe roboty, jakie tylko wchodzą w zakres kolei żelaznych. Aby się wyrzucić z zawisłości od Anglików, założono pod Moabittem kuźnię, zatrudniającą 400 robotników. Żelazo spro-

wadza się ze Szląską. Wszelkie inne pomocnicze narzędzia również w zakładach Borsiga są wyrabianemi.

Godnym jest również uwagi życiorys innego niemieckiego fabrykanta, który się własną pracą i pomocą z prostego robotnika wyniósł na stopień pierwszorzędnego przemysłowca Niemiec. Nazwisko tego męża jest Ryszard Hartman, syn garbarza; urodził się w 1809 roku w Alzacyi pod Strasburgiem z ubogich rodziców. Po latach terminowania nastąpił dlań czas wędrówek. Chwyciwszy za kij, udał się Hartman w okolice Renu, aby szukać zarobku. Pracując u kilku fabrykantów, wstąpił wreszcie do zakładu Haubolda w Chemnic, gdzie się naturalnie jego zdolności wkrótce rozwinęły i pobudziły do szukania sposobności samodzielniejszego wystąpienia.

Każdy początek jest trudny, i aby koniec był pomyślny, pierwszy krok musi być nieznaczny. Sprawdziło się to przysłowie i na Hartmanie. Z trzema robotnikami tylko rozpoczął on swój warsztat w 1837 roku. Saksonia podówczas celowała w Niemczech pod względem swych bawelnianych wyrobów. Wziąwszy to pod uwagę, Hartman przedewszystkiem zamyślił podjąć się fabrykacji odpowiednich do tego rodzaju przemysłu przyrządów. Wkrótce się jednak przekonał, że kapitał jego nie był wystarczającym, aby mógł odpowiedzieć koniecznym potrzebom rozwoju warsztatów. Dla zaradzenia temu wszedł Hartman w stosunki spółkowe, zrazu z Illigiem potem z Götzem, człowiekiem nader zdolnym i obrotnym, stojącym obecnie na czele znacznej przedsiębiorstwa w Chemnicach. Szybko się rozwinął świeży zakład, tem bardziej, że udało się poczynić w machinach przedziałnych nader szczęśliwe ulepszenia, które wkrótce powszechne znalazły wzięcie. Do czasu wystawy przemysłowej w Monachium, warsztaty Hartmana wydały 2,400 sztuk tych machin.

W r. 1842 odłączył się Hartman od Götzego, gdyż każdy z nich czuł potrzebę rozwinięcia na własną rękę swych planów. We dwa lata później rozpoczął Hartman budowę nowego fabrycznego gmachu, którym miał przewyższyć wszystko, cokolwiek w tym rodzaju działało. Dokładne i sumienne wyroby jego fabryki wszędzie im wiążętość zapewniały. Wkrótce olbrzymie sale zakładu nie starczyły dla objęcia coraz bardziej wzmagającego się zapasu obrotunków. Budowle powstawały bazustannie. Założeniu metalowej giserni

towarzyszyło urządzenie zakładów parowych dla wyrobu machin i kotłów, a w dziesięć lat potem nastąpiło założenie fabryki tendrów i lokomotyw. W 1857 r. zajmowała fabryka 80 tysięcy stóp kwadratowych. Wycieczka naukowa Hartmana do ościennych krajów wzbogaciła fabrykę mnożstwem ulepszeń, które rokowały zakładom najsławniejszą przyszłość.

Nagle w 1860 r. straszne nieszczęście spotkało Hartmana. Pożar zniszczył większą połowę fabrycznych zakładów, 800 robotników pozbawionych zostało zarobku, a właściciel postradał w ciągu kilku godzin wszystko cokolwiek praca długich lat nagromadziła. Lecz i teraz odwaga nie opuściła Hartmana. Opis tego, czego ów dzielny człowiek w swem nieszczęściu dokonał, jest prawdziwym dowodem, iż ludzie wytrwali nie łamią się pod ciężarem przeciwności, ale owszem jeszcze większej dodają im one siły. Nie rozpuszczono zatem ani jednego robotnika; wszyscy pospołem mieli się zabrać do powetowania szkody. Jedni oczyszczali zgliszczona i naprawiali uszkodzone maszyny, drudzy zajęci byli stawianiem ogromnej drewnianej szopy, inni znowu na ocalałych częściach fabryki starali się doprowadzić do dawnego stanu połamane maszyny; czego zrobić nie można było, skupowano z największymi ofiarami.

Już po trzech tygodniach niezmordowanej pracy budowa lokomotyw odbywała się w kuźniach, po czterech w zbudowanej szopie szła ręczą robotą, a wkrótce nastąpiły i pierwsze transporta machin. Trzeciego sierpnia położono kamień węgielny pod budowę nowej fabryki na miejscu pożaru. 16 go rozpoczęła się budowa fundamentów, 28 go założono belki, a 20 go września osiągnięto do dachu; 29 go listopada uroczyste obchodził Hartman robotniczą biesiadę, a w pół roku później nie było już ani śladu straszego pożaru.

Legenda o feniksie powatającym z popiołów sprawdziła się. Zakłady nowe zajmowały przestrzeni 100 tysięcy stóp kwadratowych, z zasobem 500 pomocniczych machin, około których 1,800 pracowało ludzi.

Na wystawach w Monachium i Londynie maszyny Hartmana otrzymały medale honorowe. Dnia 9 go kwietnia 1858 r. setna z rzędu lokomotywa hartmanowska dostarczoną została saskiemu zarządowi kolei żelaznych.

Mędzy wieloma innymi przemysłowcami niemieckimi, niezaprzeczenie godnym jest uwagi Henryk Krystyn Meyer. Założyciel największej fabryki kijów i lasek spacerowych. Ojciec jego był stolarzem podówczas gdy Henryk przyszedł na świat w jakieś hanowerskiej wiosce, w 1803 r. Wkrótce przesiedlił się do Hamburga. Podróż ta została w umyśle młodego Meyera niezatarte wspomnienia. Matka jego bowiem, nie wzięwszy ze sobą ani kawałka chleba, przewiązała torbę przez biodra synka swego, dając mu do zrozumienia, aby po drodze prosił w chłopskich chatkach o posiłek. Oświadczenie to ze strony matki, któremu iży towarzyszyły zapewne, napęliło serce młodego chłopca tak rzewną boleścią, że wróciwszy się wpół drogi w kierunku wskazanej przez matkę chaty, szedł płacząc, dopóki nie napotkał starego pasterza, który go kromką chleba zasilil. Ojciec, człowiek dosyć w swym zawodzie zdolny, miał początkowo jakietakie utrzymanie. Gdy jednak zwolna rodzina wzrastała, a system kontynentalny Napoleona (1807) do szczytu handlu zniweczył, wówczas nędza straszliwa zapanała w domku Meyera. Młody chłopiec od 8-go roku życia użytym był do pomocy ojcu, mianowicie zaczął wyrabiać laski i sprzedawał takowe żydowskim handlarzom. Ci jednak do tego stopnia cenę ich obniżyli, że ojciec widział się zmuszonym sam wysłać syna swego ze skrzynką napelnioną kijami na miasto, dla zbycia swych wyrobów. Często się zdarzało, że z niecierpliwością oczekiwano na malca, a raczej na pieniądze przezeń zbierane i ostre wyrzutami go obarczano, jeśli kwota nie odpowiadała spodziewanej. Naturalnie ze wina częstokroć była po stronie młodego handlarza, który wolal biegać i skakać po ulicach, niż się nosić z ciężką skrzynią i czekać na kupujących.

Mały Meyer zwyki był często stawać przed giełdą, trzymając zapas swój przed sobą. Z pomiędzy przechodzących tą stroną, szczególniejszą młodego chłopca uwagę zwrócił na siebie pewien jegomość, który, ilekroć malec z zafrasowaną miną nań spojrzal, zbliżał się doń i kupował laskę. Inny znowu, jakiś doktor zaklinał go, aby pijał herbatę, jeśli nie chce się nabawić choroby. W istocie mały Meyer przez ciągle stanie na ulicy zaziębił się silnie i tylko użyciu herbaty, mógł zawdzięczyć swe wyzdrowienie. Nauki pobierał w szkółce wieczornej ale i to szło bardzo leniwo, ze względu że bakałarz, zamiast uczyć, z zadziwiającą dokładnością badał skutki dyscypliny na plecach swych słuchaczy.

Gdy w 1812 r. Francuzi wpadli do Hamburga, rozpędzili mnóstwo kupców, zmuszoną była i pani Meyer z trojgiem dzieci opuścić miasto. Ojciec złożony chorobą pozostał, resata rodziny powędrowała z szczupłym zasilkim do Stade. Przy wylądowaniu o mało Meyer nie utonął w nurtach Elby; wpadł w wodę ale naimo ciemności wieczoru, szczęśliwie został wyratowanym. W Stade tylu było wychodźców, że nie można było znaleźć schronienia. Biedna zatem rodzina Meyerów musiała tej jeszcze nocy podążyć dalej do wsi opodal Bremerlehe leżącej. Umieściwszy w dogodnem miejscu matkę i siostry, począł się Meyer starać o jakiegokolwiek zajęcie. Pierwszy włościanin, którego prosił o danie mu sposobności do zarobku, zapytał go: „A cóż wy umiecie?“ Suche to zapytanie dreszczem przejęło młodego Meyera, bo nie znalazł innej na nie odpowiedzi nad: „Nic!“ Odpowiedział jednak śmiało: O! wszystko! — Wszystko? powtórzył pytający — a moglibyście też łóżko powlec maboniową farbą? — A jakże! potwierdził Meyer. — Więc dobrze — spróbujcie, rzekł chłop, kończąc rozmowę. Meyer, który nie tylko o zaproponowanym, ale o żadnem zgoda malarstwie najmniejszego nie miał wyobrażenia, począł się chłopca wypytywać ubocznie, jakby też sobie życzył mieć łóżko polakierowane, a otrzymawszy pewne pod tym względem wskazówki, udał się do kramarza, gdzie już kategoryczniejsze mógł zasięgnąć informacye, wreszcie udał się do aptekarza. Wywiedziawszy się tym sposobem o koniecznych warunkach podobnego malarstwa, zakupił farb i pomalował włościaninowi łóżko tak zręcznie, że ten zadowoluniony polecił go swoim sąsiadom i wkrótce Meyer mógł tyle zarobić, że opatrzył rodzinę w najpotrzebniejsze środki do życia, a głównie mógł matce swojej kupić nieco kawy, którą namiętnie lubila. Zzaoszczędzonych pieniędzy, zakupił ojcu pożywienie i przesłał mu je z wielką dla swego serca pociechą.

Po powrocie do Hamburga, uczuł Meyer jakąś niezwalczoną chęć do pracy, do dźwignienia się jej siłami, a nauce się w ostatnich miesiącach pomagać sam sobie, udał się do stolarza, zkaż znowu, nabywszy potrzebnych wiadomości, wrócił do ojca pomagać mu przy wyrobach trzcinowych laszek. Tu pracował od 4 rano do 12 w nocy, a handel tak dobrze poszedł, że stary Meyer mógł z zarobionych pieniędzy kupić sobie wina dla pokrzepienia sił nadwątłych. Na wiosnę roku 1816 zażądał młody Meyer tygodnio-

wej płacy 4 talarów i 24 srebr. gr., gdyż zamyslił się ożenić, otrzymał jednak od ojca odpowiedź „ze takiego osła można mieć darmo”. Tak go ta odmowa ubodła, że opuścił warsztat ojcowski i udał się do Bremen do fabryki *fiszbinu*, która jednak po roku zbankrutowała. Mało to jednak obeszło Meyera, bo wyuczywszy się fabrykacyi lasek, rozpoczął robotę na własną rękę. Na Wielkanoc 1817 roku wyruszył z zapasem swych wyrobów pieszo do Lipska, gdzie nadspodziewanie towar swój zbył dobrze, a wróciwszy z zarobkiem do Bremen, urządził się ze swą młodą małżonką tak, że warsztat jego widocznie się powiększał. Od samego początku postawił sobie zadanie porządnego prowadzenia ksiąg kupieckich i sprawdzanie corocznego bilansu. Z szeregu tych bilansów okazuje się, że Meyer rozpoczął zawód z kapitałem 200 talarów, a w dzień jego śmierci 1848 r. kapitał ten tysiąckrotnie się pomnożył. Oprócz fabrykacyi lasek, zajmował się on także handlem mahoniowego drzewa, który go jednak w początkach na wiele strat naraził, dopóki nie nabrał gruntownych o tej gałęzi wiadomości. W 1835 r. zięć jego Trau wszedł z nim w spółkę, a w r. 1836 fabryka zatrudniała 166 robotników i stopniowo się wzmagając doszła do liczby 700.

Meyer był charakteru łagodnego, odznaczał się szybkim pojęciem i gruntowną znajomością warunków dobrego prowadzenia interesów. Dobry ojciec i przyjaciel, losem robotników gorliwie się zajmował. W 1828 r. założył kasę dla chorych i rodzin po zmarłych robotnikach, co miało tak zbawienny wpływ na ich prowadzenie się, że po śmierci jego, pozostało z uzbieranych pieniędzy 12 tysięcy talarów do równego podziału. Oprócz tego zajmował się Meyer i duchową ogładą swych podwładnych; np. nakazał zrobić umyślny dla nich przedruk dzieła Zschocke'go pod tytułem: *Godziny rozmyślenia* (Stunden der Andacht). Wystawiono mu piękny grobowiec z napisem: „H. E. Meyerowi — przyjaciele”.

Że tylko samodzielność może doprowadzić człowieka do pomyślnego stanu, dowodzi przykład z życia innego niemieckiego robotnika Henryka Daniela Rumkorffa czerpany.

Urodził się on w 1803 r. w Hanowerze. Ukończywszy czas terminowania u pewnego mechanika, udał się na wędrówkę za Ren. Przebywał w Paryżu i Londynie dwa lata, szczególnie u Karola Chevalier znanego zaszczytnie z doskonałego wyrobu mikroskopów. W 1839 r. duch samodzieln-

ności wystąpił u Rumkorffa, tak że postanowił na własną rękę założyć sobie warsztat. Kłopoty i trudności nie zabiły w nim odwagi i 1844 r. uzyskał na wystawie francuzkiej medal honorowy. Taka sama nagroda została mu przysądzoną na wystawie w 1849 r. Chwile wolne poświęcał rozszerzeniu swych wiadomości. Fizyczne jego przyrządy coraz więcej na doskonałości zyskiwały. Jak tylko usłyszał o nowo wynalezionym zagranicą przyrządzie, nieszczędził kosztów dla przyswojenia go sobie. Ciągłe badania uczyniły go trafnym wynalazcą. Wszystkie gałęzie fizyki zawdzięczają mu znakomite w ich dziedzinie ulepszenia. Z pomiędzy jego wyrobów, zasługuje na szczególną uwagę aparat indukcyjny, za pomocą którego udało się wydobyć ze stosu galwanicznego iskry takie, jakie dawniej tylko silna elektryczna machina dawała. Na wielkiej wystawie w 1855 roku, za ten aparat uzyskał Rumkorff złoty honorowy medal pierwszej klasy i order legii honorowej, do czego także „Société d'encouragement” dodało mu złoty medal. Akademia umiejętności w Paryżu na wniosek znakomitego fizyka Pouilleta, ofiarowała mu premium Tremonta w ilości 5,500 franków na przeciąg czasu pięcioletni. Takie premium z woli założyciela miało być nagrodą tego, czyj wynalazek największe miał znaczenie dla przemysłu lub umiejętności. W 1864 roku przysądzono znowu Rumkorffowi pierwszą nagrodę 50 000 franków za aparat indukcyjny, nagrodę, którą cesarz Napoleon III wyznaczył za najznakomitszy wynalazek w owym czasie. Pomimo tylu nagród i tak zaszczytnej więzi, skromność pozostała zaletą Rumkorffa. Szron pokrywa włosy jego, lecz ozerstwość umysłu i zdrowie nie opuszczają zaniegłego robotnika, który nie ustaje w ciągłej swej działalności. Okazał on jakim sposobem z niskiego stanu, można się własną pracą dorobić znaczenia i używać w starości owoców własnych usiłowań. To, czem dzisiaj jest, Rumkorff sam sobie tylko zawdzięcza, stojąc jako niezaprzeczenie mówiący przykład usiłowań, opartych na pomocy własnej.

Teraz ustawmy równolegle z angielskimi i niemieckimi wynalazcami i przemysłowcami, dla przykładu życiorysy kilku Francuzów, których samodzielność postawiła w rzędzie dobroczyńców własnego kraju, a nazwiskom ich zapewniła nieśmiertelną sławę. Zaczniemy od Jacquarda. Historia tego wynalazcy niemniej wybitnie wykazuje wpływ, jaki ludzie zdolni w warunkach społecznych nawet niezbyt przy-

jaznych, mogą wywierać na rozwój produkcyjny swego kraju. Jacquard zawdzięczał życie biednym wyrobnikom, zamieszkałym w Lyonie; ojciec jego był tkaczem, matka zajmowała się układaniem deseni. Zbyt biedni, aby synowi dać wyższe wykształcenie, porzucali jedynie na udzielenie mu początków nauki ozytania i pisania. Gdy nadszedł czas wyboru rzemiosła, oddano go do introligatora. Stary jakiś rachmistrz, który dopomagał ojcu Jacquardowi w utrzymywaniu ksiąg, udzielił synowi kilku lekcji i tym sposobem otworzył młodemu chłopcu nowe widoki na przyszłość. Chłopak wiele okazywał zdolności do matematyki, a spostrzeżenia jego trafne, do tyła zdziwiły starego rachmistrza, iż poradził ojcu Jacquardowi, aby wybrał dla syna odpowiedniejszy jego uśposobieniu zawód. Oddano go więc do nożownika, ale ten tak źle się z chłopcem obchodził, że po niedługim czasie odebrano mu chłopca i oddano do gisera czyli ożcionkarza na naukę.

Po śmierci rodziców, zmuszonym był Jacquard objąć tkacki warsztat ojca. Wtedy postanowił udoskonalić jego narzędzia i z takim zapalem rzucił się do ulepszeń, że zaniedbał obstalunków i był blizkim majątkowej ruiny. Sprzedał zatem warsztat dla opłacenia długów i to w chwili żeniaczki, która nakazywała oszczędność. Wreszcie tak dalece podupadł, iż był zmuszonym sprzedać dom. Długo szukał zatrudnienia niemogąc go znaleźć, uważany był bowiem za próżniaka i marzyciela rzucającego się na niemożliwe odkrycia. Po długiem wyczekiwaniu znalazł wreszcie zajęcie u fabrykanta rybackich sieci w Bresse, a żona jego pozostała w Lyonie przy fabryce kapeluszy słomkowych.

Tak upłynęło lat kilka, podczas których Jacquard nie ustawał w swych poszukiwaniach nad ulepszeniem warsztatów tkackich i w r. 1790 udało mu się wynaleźć stosowny przyrząd do oddzielania przędzy, przez co i robota sama ułatwioną została. Zastosowanie tego ulepszenia zwolna się w początkach odbywało, tak że w dziesięć lat później, tylko 4,000 przyrządów podobnych wprowadzono w ruch w Lyonie. Prace Jacquarda w skutek rewolucyi przerwane zostały, a w 1793 roku widzimy go walczącym w szereгах ochotników lyońskich, przeciwko armii konwencyi dowodzonej przez Dubois Crance. Po wzięciu miasta Jacquard wyemigrował do armii reńskiej, gdzie się dosłużył stopnia sierżanta. Mozeby został żołnierzem, lecz gdy syn

jedyny poległ przy jego boku, wrócił do Lyonu dla odszukania żony. Znalazł ją wreszcie przy nieustannej pracy nad wyrobami słomkowemi. Tu długi czas się ukrywał i w owej epoce niemając zatrudnienia innego, znowu powrócił do ulubionych swoich wynalazków. Brak pieniędzy zmusił go do zaniechania doświadczeń nad własnymi przyrządami i szczęśliwym się poczuł, znalazłszy miejsce u pewnego przemysłowca, któremu gdy się zwierzył ze swych planów, uzyskał małą sumkę dla dalszego prowadzenia w chwilach wolnych, doświadczeń nad swemi pomysłami. W trzy miesiące potem, zbudował przyrząd ułatwiający najzwyklejszą i najtrudniejszą pracę robotnika tkackiego. Przyrząd ten na wystawie przemysłowej w Paryżu roku 1801, zjednał swemu wynalazcy medal brązowy. Minister Carnot osobiście odwiedził w Lyonie Jacquarda, winszując mu powodzenia. W następnym roku Towarzystwo Londyńskie ofiarowało mu nagrodę za wynalazek maszyny do wyrabiania wędek i parapełów okrętowych.

Rozgłos tego powodzenia doszedł do wiadomości prefekta departamentu, który zawiadawszy Jacquarda do siebie, zażądał objaśnień dotyczących się tego wynalazku a otrzymawszy je, zredagował dla Cesarza. Napoleon osobiście zaprosił Jacquarda do Paryża i przez dwie godziny prowadził z nim rozmowę o jego wynalazku, wypytując się o szczegóły. Skutkiem tej rozmowy oprócz dożywotniej pensyi, otrzymał Jacquard do swego rozporządzenia sale Konserwatorium sztuk i rzemiosł, gdzie mógł się dowoli oddawać właściwemu zawodowi, przypatrując się genialnym pomysłom swoich poprzedników i towarzyszy rzemiosła.

Wśród wytrwałej pracy, udało się Jacquardowi wprowadzić inne ulepszenia do przyrządów tkackich; ale skoro usiłowanie jego było zastąpienie rąk roboczych maszynami, trudno się było spodziewać przychylności ze strony robotników dla wynalazku Jacquarda. Jakoż namiętności wzburzone doszły do tego stopnia, że życie jego zostało zagrożone i tylko opiece rozsądniejszych obywateli, zawdzięczał swe ocalenie w chwili, gdy schwytanego na ulicy prowadzili do rzeki aby go utopić. Gdy tak z jednej strony prześladowania ścigały dzielnego Jacquarda, z drugiej strony Anglicy, uznawszy zasługę wynalazku cudzoziemca, zaprosili go do siebie, aby osiadł w ich kraju i pracował dalej nad ulepszeniami w tkackim zawodzie. Wówczas do-

piero Lyonczycy, poznawszy swój błąd i zaślepienie, nawrócili się. Machina Jacquarda zyskała uznanie, a obawy o byt robotników okazały się przesadzonemi. Liczba robotników wraz z zaprowadzeniem ulepszonych przyrządów tkackich, nie tylko że nie zmalała, ale w dwójnasób się powiększyła.

Od tej chwili byt Jacquarda był już ustalony. Robotnicy, pragnąc złagodzić pamięć niefortunnego swego zaślepienia, chcieli w dzień urodzin Jacquarda na rękach własnych ponieść go wzdłuż ulicy, przez którą go ciągnęli do rzeki, ale skromny wynalazca wymówił się od tego zaszczytu serdecznem podziękowaniem. Rada municypalna Lyonska, w oznakę swej wdzięczności, postanowiła proponować Jacquardowi układ, mocą którego za stosownem wynagrodzeniem miał się w zupełności poświęcić usługom miasta przez ciągle ulepszanie swej maszyny, na co Jacquard z chęcią przystał. W sześćdziesiątym dopiero roku życia swego, usunął się do Quillins rodzinnego miejsca swego ojca, dla spędzenia tam ostatka żywota. Tu w 1820 roku otrzymał order legii honorowej. Umarł w r. 1834. Ciało jego nabalsamowano, a pamięci dzielnego robotnika wzniesiono pomnik, na który miasto Lyon się złożyło. Pomimo tych zaszczytów, krewni Jacquarda wkrótce zapomniani zostali, a nędza zmusiła ich do sprzedania złotego medalu, jaki Jacquard od Ludwika XVIII otrzymał w nagrodę swych trudów.

Mniej pomyślny, choć niemniej czynny i nauczający jest żywot wynalazcy francuzkiego, Filipa Girard. Urodził się w 1775 r. w Lourmarin, departamencie Vaucluse. Jego rodzina, powiada biograf Girarda, była prawdziwą opatrnością dla wioski, którą zamieszkiwała. Ojciec Filipa, człowiek pełen rozsądku, czuwał nad kształceniem swych synów, z których najmłodszy obdarzony był tak rozległą inteligencją i tak wielkimi zdolnościami, że mógł jednego dnia oddawać się mechanice i zarazem pisać poezye, malować obok najprzeróżniejszych zajęć. Szczególnie to uposobienie Filipa stało się nawet przeszkodą w jego dalszej karierze, zawadą do powodzenia w świecie. Największe jednak zamięłowanie okazał do wynalazków, powiadają też, że będąc jeszcze w szkołach w Montpellier i mając lat 14, postanowił użyć fali morskich, które zwróciły jego uwagę, jako naturalnego motora w mechanice. Jakoż miał wynaleźć maszynę bardzo dowcipną, poruszaną za pomocą przypływu i odpływu morza.

Podczas swego pobytu w Montpellier, rozpoczął uczyć się medycyny, lecz wkrótce opuścił fakultet lekarski, aby poświęcić się rysunkom i rzeźbiarstwu. Kiedy wybuchła rewolucya, Girard, aby uniknąć służby wojskowej, uszedł z dwoma braćmi do Mahon na wyspie Minorce, gdzie został jakiś czas żyjąc z pracy rąk swoich — Filip umiał spożytkować zdolności do rysunków, malował więc portrety i krajo-brazy. Wkrótce bracia Girardowie udali się do Liworno, gdzie Filip, korzystając nateraz ze swych wiadomości chemicznych, zajął się fabrykacją mydła. Odtąd poświęcił się on bez przerwy zastosowaniu nauk do przemysłu.

Lecz różnorodność jego wiedzy i zdolność niedozwoliła wytrwać w pracy na jednej drodze. Zajmując się więc fabryką mydła, wynalazł maszynę do ociosywania bloków na posagi, a drugą do rżnięcia kamieni.

Kiedy burza rewolucyi cokolwiek przycichła, Girard wrócił do Francyi i osiadł w Marsylii, gdzie założył fabrykę chemiczną. Miał wtedy lat 20. Wkrótce jednak nowe rozruchy zmusiły go do opuszczenia Marsylii i szukania schronienia w Nicei, gdzie konkurował o wakującą katedrę nauki chemii, której jednak dla zbyt młodego wieku nie otrzymał.

Pod konsulatem porządek społeczny utrwaliwszy się, dozwolił Girardowi powrócić do Marsylii, gdzie z wielkiem powodzeniem wykładał kursa chemii. Udał się powrotem do Paryża, jako miejsca, gdzie było szerokie pole rozwinięcia swych zdolności dla ludzi utalentowanych. Tam też Girard dokonał wiele znakomitych wynalazków, z któremi jego imię na zawsze jest związane. Znaczną część tych wynalazków zaprodukował na wystawie w roku 1806, a między innemi lunetę zbliżającą, gdzie *flintglass* był zastąpiony przez oiecz, blachy polerowane środkami stosownemi, oraz lampę hydrostatyczną, które to przyrządy dotąd są w powszechnem użyciu. Uwaga Girarda zwrócona też była na ulepszenia w konstrukcyi maszyn parowych. Prace jego w tym celu dokonane, uwieczniły w r. 1809 złotym medalem Towarzystwo zachęty narodowego przemysłu we Francyi. Lecz jakkolwiek Girard zyskał pierwszą nagrodę i razem z nią pewien rozgłos dla swego imienia, dalekim jednak był od świetnej kariery, na jaką jego zdolność zasługiwała. Nie on ciągnął korzyści ze swych wynalazków, lecz drudzy, którzy je w praktykę wprowadzali, a chociaż geniusz jego

był uznany, zostawał jak wprzód w stanie zbliżonym do ubóstwa.

Na wiosnę 1810 r. po sześciu latach nieustannej pracy, bracia Girard powrócili pod dach rodzinnego domu Lourmarin, ażeby użyć po znojach wytnienia. Jednego poranku, kiedy rodzina siedziała przy śniadaniu, ojciec Filipa otworzywszy *Monitora* z 12 maja przeczytał dekret cesarski, przyrzekający milion franków nagrody wynalazcy jakiegokolwiek narodowości, za maszynę do przędzenia lnu. Starzec oddał dziennik synowi mówiąc: „Filipie, to się ciebie tyczy”. Zawezwanie zrobione do talentów wynalazczych nie tylko Francji lecz i całego świata, było dla Filipa bodźcem, pod wpływem którego wziął się natychmiast do rozwiązania zagadnienia, jakie mu było przedstawione. Rozbierając przedmiot przez dzień i jedną noc, przyszedł na śniadanie, a uściskawszy ojca, rzekł spokojnie:

— „Mój ojciec, przyrzeczony milion jest naszym”.

Wynalazek podobnej maszyny w tej epoce, był niezmiernie doniosłością dla Francji. Len stanowił główny jej produkt; ze zaś z powodu ówczesnej wojny z Anglią, nie można było otrzymywać dostatecznej ilości bawełny, Napoleon pragnął usilnie, aby można było praść len na takich maszynach, jakich używali Anglii do wyrobów bawełnianych. Filip Girard był jedynym wynalazcą, który odpowiedział na wezwanie cesarza. Nie potrzebował Girard wiele czasu dla zbudowania i udoskonalenia modelu maszyny swego pomysłu. Jakoż dnia 18 lipca 1810 roku, uzyskał list przyznania wynalazku. Przyjaciele Girarda utrzymują, że maszyna ta do przędzenia lnu posiadała wszelkie warunki do spełnienia wskazanego celu, ulepszając nawet metodę przędzenia, a zatem, że wynalazca miał niezaprzeczone prawo do nagrody cesarskiej, która go wszakże minęła.

Bracia Girard natenczas postanowili sami korzystać z pomysłu Filipa. W roku 1812 założyli w Paryżu przy ulicy Meslay, pierwszą przędzalnię lnu; a następnie drugą przy ulicy Charonne. Obie te fabryki były prowadzone z powodzeniem, kiedy nastąpiła katastrofa Napoleona, która w r. 1814 spowodowała ruinę fabryk we Francji. Filip został uwięziony za długi, a mimo tego duch jego wynalazczy nie ustał na chwilę, bo kiedy armie sprzymierzone ciągnęły do Paryża, Girard wymyślił maszynę, mogącą wyrzucać 60 pocisków armatnich na minutę.

W roku 1815 Girard znowu udoskonalił swą maszynę i przedstawił ją rządowi, lecz i teraz bezskutecznie. Zawezwany przez cesarza austriackiego dla założenia przędzalni w Wiedniu, dokonał tego w zakładach cesarskich, przenosząc pożyteczny wynalazek na obcą ziemię, gdy go własna ojczyzna nie przyjęła. Dziwne spotykały losy Girarda, bo kiedy w Austrii oceniono i w praktykę wprowadzono jego maszynę, we Francji komisya uznała ją za nieodpowiednią celowi, a nawet potępiła jako psującą len, oraz wadliwą przędzę wyrabiającą, oświadczając, że nie zasługuje, aby jej model pozostał w konserwatorjum sztuk i rzemiosł. Tymczasem Girard rozwijał z powodzeniem fabrykę lnu w Hirtembergu, zajmując się ważnymi wynalazkami. Wtedy to podał myśl *kotłów tabularnych*, które były zastosowane naprzd do maszyn parowych na statkach żeglujących po Dunaju, i które uległy różnym modyfikacyom, powszechnie teraz przyjęte zostały.

Z Austrii powołany był Girard w r. 1827 do Królestwa Polskiego. Ówczesny minister skarbu książę Lubecki, pragnąc rozwinąć przemysł krajowy, a mianowicie górnictwo rządowe, postanowił korzystać z talentu Girarda w tem ważnem dla kraju przedsięwzięciu. Mianowany naczelnym inżynierem w tej gałęzi służby, Girard pełnił te obowiązki; kiedy górnictwo przeszło pod zarząd Banku polskiego, Steinkeler gorliwy również o rozszerzenie w kraju tutejszym przemysłu, podjąwszy się osuszenia kopalń Olkuskich dla zasycania galmanem hut cynkowych w Dąbrowie, które wówczas wziął w administracyę poręczającą, popierał pomysły Girarda co do budowy nowej konstrukcyi maszyn parowych, użytych do wypompowania wody z wspomnianych kopalń.

Miedzy wielu pomysłami, jakimi się odznaczał przedsięwzięciory umysł Filipa, wspomnieć należy fortepian, którego wadliwy mechanizm nie uszedł uwagi znakomitego mechanika. Wiadomo, że już wielu ludzi fachowych kusiło się o nadanie temu instrumentowi, tak przeważne miejsce w muzyce dziś zajmującemu, tonu, któryby według woli lub potrzeby przedłużać można, czego brak dotąd ujemną stronę fortepianu stanowi. Otóż Girard postanowił niedostatek ten usunąć, i w tym celu powziąwszy swój plan, z ówczesnym fabrykantem Zdrodowskim zbudował instrument, którego młoteczki przy klawiszach, wprawiane w ruch za pomocą

oddzielnej maszyneryi, miały ten cel osiągnąć. Fortepian ten nie odpowiadał jeszcze zadaniu — dał tylko świadectwo, że Girard nawet w gałęziach obcych dla niego szukał urzeczywistnienia myśli nowych, któremi duch jego był napełniony.

Najważniejszą pamiątkę po sobie w naszym kraju zostawił Girard wybudowaniem fabryki lnianej przez Bank polski, która od jego imienia *Zyrdardowem* jest nazwana, a która pod nowymi dziedzicami Ditrich i Hille otrzymawszy znakomite rozmiary, obecnie z wielkim pożytkiem dla kraju pracuje. Czy we Francyi, czy zdala od swej ojczyzny, wszędzie niepowodzenie ścigało kroki niespracowanego Girarda. Od początku do końca swego zawodu, miał za towarzysza życia ubóstwo. Po osiemnastu latach pobytu w Królestwie Polskiem, stary i zmęczony ciągłymi wysiłkami, opuścił Warszawę i wrócił do Francyi, aby złożyć na rodzinnej ziemi swe kości. Umarł spokojnie w r. 1845 w wieku 70 żywota pełnego trudów, nienagrodzony za nie według zasługi; — nie doczekawszy się tej pociechy, aby ziomkowie jego uznali w nim geniusz wynalazcy, nie otrzymawszy cesarskiej nagrody, o której do śmierci marzył, iż mu się słusznie należy.

Na zakończenie tego rozdziału zwrócimy się do samodzielnej siły, w jakiej znajdowali podporę polacy, pracujący nad wynalazkami i rozwojem przemysłu w naszym lub obcych krajach. Nie możemy na nieszczęście, podobnie jak i reszta ludów słowiańskich, poszczycić się zbyt wielką liczbą ludzi samodzielnych, czego najistotniejszą przyczyną to, że historyczny rozwój naszej kultury zawsze znajdował przeszkody i peryodyczne zawady w swym postępie. Nie wielkie zdobycze na polu wynalazków poczynione przez nas dotychczas, przyczyniły się nawet do upowszechnienia mniemania, iż umysłowo nie jesteśmy zdolni do czynienia odkryć i ulepszeń, wymagających głębszego zaciekania i badań naukowych. *Virey*, bezwątpienia nader popularny historyk rodu ludzkiego, nie waha się nawet utrzymywać, że przywilej pierwszeństwa i zręczności w sztukach, należy wyłącznie do narodów romańskich i germańskich. Historia nauk ścisłych zdaje się potwierdzać to przypuszczenie, gdyż na jej kartach spotykamy się zaledwo z kilkoma głośniejszymi nazwiskami polskiego rodowodu. Mniemanie takie jednak nie jest sprawiedliwem, nie należy bowiem zapominać,

iz liczba nie tu nie stanowi; w każdej zaś gałęzi nauk możemy wskazać na ważne prace, dowodzące niezłomności naszych umysłowych na polu nauk i wynalazków najważniejszych. Vitellio Ciolek w XIII już wieku utworzył znakomitą teorię łamania się światła; nieśmiertelny Kopernik za pomocą lichych narzędzi zbadał tajniki układu słonecznego; Żaluziński na sto pięćdziesiąt lat przed Lineuszem odkrył dwupłciowość roślin; Nosarzewski na lat kilka wprzód (w 1829), w listach do ministra Mostowskiego, podał sposób wyrobu cukru przez maceracyę suszonych buraków, która to metoda zjednała tyle rozgłosu Schützenbachowi; Jędrzej Śniadecki najsprawiedliwiej jest ojcem zasad dzisiejszej fizyologii. Takich przykładów moglibyśmy przytoczyć niemało, a jeżeli nazwiska tych wynalazców i odkrywców nie tyle są głośnie jak niemieckich lub francuzkich, to już wina tego cięży i na oudzoziemcach, którzy z powodu przeszkód języka lub innych przyczyn nie wiedzą lub nie radzi o nich wspominać. Niemniej także ograniczony ruch przemysłowy, szczupłe pole zastosowania wynalazków i odkryć są powodem, że wiele z nich zamiera dla braku odpowiednich środków. Zresztą wielkie wynalazki stanowiące erę dla ludzkości i ciągle ulepszenia, udoskonalenia, zastosowania praw nauki do praktyki, stanowią ową potęgę i ów postęp zachodniego przemysłu. Nie można zaprzeczyć, iż w takich wynalazkach drobnych i nierozgłoszonych ale użytecznych, pomoc niesiona sobie przez ciągłą pracę, usiłowania i próby wytrwałe, jest najdzielniejszym mistrzem. Zważanie na rzeczy drobne jest właśnie cudowną sztuką wynalazców na zachodzie Europy i tam najprostsza myśl, uwaga na pozor mało znacząca, chwytna jest i pielęgnowana z miłością niemal, z zajęciem zawsze. U nas przeciwnie, małe wynalazki i ulepszenia, będące nieraz plodem nasieniem ogromnej ważności statków, mało zwracają uwagi, nikogo prawie nie obchodzą. Nie pojmujemy ich wartości. U nas, aby zająć się wynalazkiem, potrzeba zadziwić, tak jakby młody nasz jeszcze umysł szukał w wynalazkach cudowności. Nierzadko więc spotkać można ludzi pracujących nad transmutacyą metali, poświęcających czas i majątek dla odkrycia kierunku balonami lub zbudowania perpetuum mobile, dla których to fikcyj stają się nawet męczennikami w życiu.

Taką właśnie ofiarą złąkanych idei i silnej wiary w możności zbudowania wiecznie działającej maszyny, był Magnus Tepper, żyjący w drugiej połowie zeszłego wieku. Mieszkał on w Warszawie nad Wisłą w dworku hetmana Ogińskiego, szczerze odosobniony od świata i oddany cały głębokiemu swojemu rozmyślaniu. Był on zdaje się zdolnym mechanikiem, zanim go mania siły wieczystej nie ogarnęła — myśl trawiająca i pożerająca wszystkie siły jego rozumu. Zawsze miał pociąg do mechanicznych wynalazków, jak tego dowodzi *globus terrestris*. Był to pomysł przedstawienia układu świata słonecznego i nadania całemu mechanizmowi ruchu umysławiącejgo naturę. Przedmiot rzeczywiście godzien badawczego umysłu i mogący zjednać autorowi sławę. Alach, tyrolczyk, o którym później obszernie powiemy, okrył się za takie wynalazki chwałą — ale u nas Teppera, gdy udał się do moźnych o materialne środki, spotkały zawody i obojętność. To odwróciło go od wynalazków pożytecznych, a popchnęło jego badawczy umysł na drogę marzeń podsycanych nędzą. Człowiek ten odziany szarą opończą, zgięty wiekiem i pracą, przesuwiał się jak cień po uliczkach Powiśla pełnych błota i nędzy. Czasami widziano go z dwoma wiadrami wody, które dźwigał z Wisły do ustronnej izdebki. Mieszkanie nieprzystępne dla sąsiadów nosiło na sobie wszystkie cechy ubóstwa i dziwactwa. Mała izdebka mieściła warsztat, na którym Tepper wykonywał najtrudniejsze prace mechaniczne. Myśliciel był sam wykonawcą. Nad skromnym łóżem wisiał projekt jego globusa, narysowany z rzadką czystością i przekreślony znakiem krzyża, na znak pogrzebania go. Jeden koniec izby zasłonięty był czarną oponą płócienną, po za którą mieściło się nowe jego dzieło — *perpetuum mobile*. Tepper długo się ze swoim pomysłem ukrywał, długo pieścił w samotności swój wynalazek, zanim się ośmielił ogłosić go publicznie. Dokonał tego w 1782 r. donosząc że odkrył maszynę, która bez pomocy ludzi lub bydła, ani też żywiołów, sama raz puszczona wykonywa wszelkie ruchy, dopóki jej ludzka ręka wstrzyma nie zechce. Tepper myślał, że ta wiadomość sprawi ogromne wrażenie, lecz się zawiódł. Jego ogłoszenie przebrzmiało samotnie jak echo na puszczy, bo ogół wówczas obojętnym na wszystko spoglądał okiem. W tej smutnej ciszy i człowiek schodzi z pola, ginie w pomroce. Kiedy umarł — niewiadomo. Przytoczyliśmy ten przykład jako do-

wód, że nawet przy silnej zasadzie samopomocy, która nie wątpliwie przejawia się w życiu Teppera, unikać należy kierunków skrajnych, owego ubiegania się za cudownością wynalazków. W tym przecież kierunku niezbyt korzystnym postępować ciągle i dlatego też w rzędzie naszych wynalazków liczymy najzawilsze kwestye społecznej mechaniki, jako to prace nad maszynami rachunkowymi i zmiarkami. Jedne i drugie mają długi szereg pracowników. Na czele pierwszych stoi wzniosła postać Abrahama Sterna (ur. r. 1769), żywy przykład co może zdziałać nawet i u nas samodzielność. Rodzice jego, prosząc handlarze żydowskie w Hrubieszowie, małym miasteczku w Lubelskiem, nie mogli łożyć na wychowanie nawet najbardziej elementarne, oddali go więc do zegarmistrza na naukę tego rzemiosła. Był to szczęśliwy wybór, bo młody Abraham posiadający upodobanie w pracy i dar do mechanicznych robót miał sposobność na tem polu dać się poznać doskonałością swych wyrobów. To mu zjednało imię zdolnego zegarmistrza, a gdy Stanisław Staszic nabył Hrubieszów, poznał i ocenił zdolności Sterna, a co więcej, zaczął się opiekować młodym mechanikiem. Za jego radą Abraham opuścił miasto rodzinne i przeniósł się do Warszawy, aby się naukom mechanicznym poświęcić.

Ale niestety, wychowanie jego było tak zaniedbane, że naukę od czytania i pisania po polsku musiał rozpocząć. Siłą woli pokonał przecież te przeszkody i szybko się rozwijał, szukając zawsze praktycznego pożytku swych pomysłów. Naprzód wynalazł ruchomy tryangul, opatrzony dwoma celownikami, mogący artylerzystom i inżynierom zastąpić niedogodny stolik do mierzenia. Nad maszyną rachunkową pracował długo, ale dopiero w 1813 r. wystąpił publicznie z wiadomością o niej. W 1815 r. wydoskonalił swój pomysł i przedstawił go b. Warszawskiemu Towarzystwu przyjaciół nauk wraz z opisem, który w Rocznikach tegoż towarzystwa wydrukowanym został. Maszyna ta odbywała cztery działania proste wraz z próbą dającą wypadek niezawodnie ścisły. Lecz Stern tu się nie zatrzymał; podobną maszynę jak do czterech działań, wynalazł w 1817 roku do wyciągania pierwiastków i ułamków, a następnie rozpoczął pracować nad połączeniem tych dwóch wynalazków w jeden. „Zdawało mi się z początku“, mówi Stern, „rzeczą niepodobną, lecz naostatek i w tym punkcie przemysł

mechaniczny wskazał mi środki do udoskonalenia mego zamiaru. Ważność tej myśli tak mię zajęła, iż na wszelkie nieprzyjemności z niedostatku pochodzące nieczułym będąc, usiłowania jeszcze podwajałem, abym to połączenie czerpędze mógł wykonać.

Przedsięwzięcie to, jak powiedzieliśmy, przyprowadził do skutku w kwietniu 1817 r. Obok tego nie przestawał się zajmować i innemi wynalazkami. Zbudował modele młockarni, tartaków i żniwiarkę, w 1821 roku wynalazł maszynę do zdejmowania planów, a w 1835 r. przyrząd ochraniający na przypadek rozbiegania się koni. W nagrodę tych zasług b. Warszawskie Towarzystwo Przyjaciół nauk w d. 9 lutego 1817 r. mianowało go członkiem korespondentem, a w d. 4 lutego 1821 r. członkiem czynnym. Używany był także do różnych posług obywatelskich dotyczących się mianowicie urządzenia żydów w Polsce, jako znawca ich literatury i tradycyi, a przytem mąż oświeconego umysłu, mógł najskuteczniej działać w tym kierunku. Żył w ubóstwie, znosząc swój stan z godnością mędrca. Kiedy znany w Warszawie Antoni Magier testamentem przeznaczył mu tysiąc złotych, Stern, dowiedziawszy się, wyrzekł z głębokiem wrażeniem: „Nie wartość daru ale wspinały dowód przyjaźni prawdziwą jego wartość stanowi”. Stern zachowywał ubiór zwykły starozakonnym do końca życia, a długa siwa broda dodawała powagi jego postaci¹⁾.

Nad maszynami rachunkowemi pracował jeszcze u nas Słonimski, Karasowski Aleksander, Stafel. Maszyna tego ostatniego wykonywa cztery proste działania wraz z ułamkami dziesiętnymi, wyciąga pierwiastki, podnosi do kwadratu, sześciannu i do wyższych potęg. O pomylce głos dzwonka ostrzega. Maszyna ta zyskała pochwały na pierwszej wystawie londyńskiej. Stafel jest prostym robotnikiem mechanicznym i sam sobie własne wykształcenie zawdzięcza. Pomysłów ma mnóstwo i umie je wykonać dowcipnie. Oprócz maszyny rachunkowej wynalazł on szczot mechaniczny do zamiany rubli na złote i odwrotnie, maszynę do kontrolowania kursów dorożkarskich, probierz do dochodzenia wartości prób złota i srebra, wiatromierz i t. d.

¹⁾ Szczegóły te bierzemy z krótkiego życiorysu Sterna przez Wójcieckiego.

Niemniej liczny szereg pracowników liczy u nas żniwiarka, czego przyczyna bardziej nam się widzi racjonalną; maszyna ta bowiem w kraju przeważnie rolniczym a mało ludnym, jest pierwszorzędną ważności. Wspominaliśmy już o Abrahamie Stern, który przemysliwał nad żniwiarką, a później pracowali nad różnemi jej systemami: Tymieniecki, Kozubowski, Lipiński, Jakuszyk, Rolbiecki, Bebrownicki, Wysocki, Lilpop, Domeyko, Borejsza, Jentys, Wagner, Chrzanowski, Dorant i wielu innych.

Wszyscy mniej więcej, z małym wyjątkiem, są to ludzie własnej pracy i jedynie sobie samym oraz silnej woli zawdzięczający wszystko. Z pomiędzy nich jednak najwybitniejsze stanowisko zajmuje Tymieniecki, chociaż praca jego nie została uwieńczona pomyślnym skutkiem. Tymieniecki był obywatelem wiejskim i jako posiadacz dość obszernych gruntów, próbował rękę żniwa zastąpić maszyną. Pierwotny jego pomysł dojrzewał powoli, gdy nagle pożar jego wsi Chomentowo w 1832 r. zniszczył mu cały dobytek. Trzeba się było dźwigać gwałtownie Tymieniecki więc rozpoczął żniwo naprędce zbudowaną maszyną, która w braku pociągu wprawiona została w ruch siłą rąk ludzkich.

Pomysł Tymienieckiego polegał na osadzeniu kos na walcach, które obracane ciężarem maszyny pokonywanym siłą pociągowych koni, żęły zboże. Systemat ten w następstwie okazał się wadliwym, ale Tymieniecki długi czas z niezmierną siłą woli pracował nad jego wydoskonaleniem. Sam nie mechanik, powoli nauczył się mechaniki. W 1843 r. poraz pierwszy na polach Wawrzyszewskich stanął ze swoją maszyną do popisu publicznego. Model ten wyrobiony był w fabryce Duschika pod dyrekcją Kaczyńskiego, który zastosował w nim własny swój pomysł uprzedzą środkowej. Później z własną ulepszoną żniwiarką Tymieniecki stawał na każdym konkursie; w końcu jednak pobity został przez żniwiarki oparte na zagranicznych pomysłach Mannego i Mac Cornicka, jako systematu praktyczniejszego i lżejszego. Pracował jednak Tymieniecki do końca życia, utopiwszy w swych próbach dość znaczny mająteczek.

Przytoczymy jeden jeszcze przykład wytrwałości opartej na siłach własnych, a przykład to ten przyjemniejszy, iż życie pracy uwieńczone zostało pomyślnym owocem. Przed dwudziestu kilku laty niejaki Majer, ubogi żydek z Polski, przybył do Paryża, nie mając złamanego szeląga przy du-

azy. Udał się naprzód do kilku znajomych o pomoc, lecz oia na nieszczęście tak ubodzy jak i proszący, zdobyli się zaledwo na kilka franków. Pieniądze te jednak przy silnej woli Majera stały się fundamentem jego losu. Zakupił bowiem za nie kilka starych płaszczów, i w ubogiej izdebce, o głodzie, pracując dniem i nocą, wyrobił parę tuzinów czapek. Sprzedał je korzystnie, a zarobek przy oszczędności szybko wzrastał. Przyjął więc pomocnika jednego, potem drugiego, aż w lat parę jego warsztat czapniczy liczył do 60 ozeladzi.

Lecz przeznaczeniem Majera nie było zostać prostym czapnikiem. Jednego dnia wyszedł do cukierni pobliskiej, jak zwykle dla przeczytania dziennika. W oczy wpadło mu ogłoszenie amerykańskiego fabrykanta Howego o machinach szyjących. Jakaś myśl niejasna ale uporczywa oparowała jego głowę. Coś mu do ucha szeptało: kup maszynę. Nie mógł się temu oprzeć; na drugi więc dzień poszedł i kupił maszynę do szycia. Było to niezłe narzędzie, oszczędzające niemało pracy, ale przecież nie tyle ile się spodziewał. Przytem jako wprawny robotnik krawiecki, spostrzegł natychmiast wady — i postanowił je poprawić. Chociaż więc nigdy nie uczył się mechaniki, z ufnością wewnętrzną wziął się do tego dzieła. Kupił sobie narzędzi, rozłożył maszynę na części i zaczął próbować. Z początku robił to w chwilach wolnych, za pieniądze oszczędzone od potrzeb życia, ale powoli namiętność ogarnęła go do tej pracy. Poświęcił jej cały czas, wszystkie zasoby, zadłużył się nawet — ale nareszcie doszedł do ważnych ulepszeń, na które otrzymał patent swobody we Francji. Pomyślność więc uśmiechnęła mu się po raz drugi w życiu. Cesarz Napoleon III w nagrodę udzielił mu kilka zachęceń, a po różnych wystawach przemysłu Majer otrzymał siedm medali. Sprzedaż maszyn postępowała pomyślnie i Majer znów ujrzał się w posiadaniu pięknego kapitału. Na tem jasnym niebie pomyślności przemknęła się przecież chmura grożąca zniszczeniem. Majerowi wytoczono proces, utrzymując, że żadnego ulepszenia nie dokonał i że przeto nie wolno mu swych maszyn wprowadzać. Kosztowna to była sprawa i niebezpieczna. Dobrze imię i majątek w pocie czoła zarobiony były zagrożone. W pierwszej instancji otrzymali zawistni wyrok wątpliwy, ale w apelacji Majer wygrał zupełnie. Był to dla naszego wynalazcy jeden z piękniejszych dni. Stanowczo utrwalający jego los i pomyślność. Dziś na bulwarze Seba-

stopolskim uwagę przechodniów zwraca szylt: *Howe i Majer*, gdyż amerykański wynalazca powierzył Majerowi wyłączną sprzedaż maszyn swego pomysłu.

Nareszcie jako przykład samorodnych wielkich zdolności naszego ludu, które gdy się wesprą na samodzielności poprowadzą do zadziwiających rezultatów, wymienimy włóścianina z Raciborowic pod Krakowem, nazwiskiem Wilgus. Słynie on na całą okolicę ze swych wynalazków mechanicznych, tudzież z łatwości naśladowania wszelkich narzędzi. Przed kilku laty widziano go, jak ze swej wsi na wózku bez koni zajechał do Krakowa. Wózek ten zrobił on u siebie w domu własnymi rękami i tak urządził, że obracając korbą, z niewielkim wysiłkiem po najgorszych drogach dojechał do miasta. Zresztą Wilgus zna wszystkie faaby i pracuje bardzo zręcznie, a najchętniej dla domów Bożych, jest bowiem jak wszysdy włóścianie polacy bardzo pobożnym. W Raciborowicach wystawił on na kościelnej wieży prześliczny zegar własnego pomysłu i wykonania, chociaż się nigdy zegarmistrzostwa nie uczył. Ale Wilgus chciał go zbudować i zbudował. Przytoczymy także nazwisko Wyderki, który będąc prostym kowalem zbudował plug ulepszony, a wielu innych zdolnych samouczków z ludu dowodzi, iż nie brakuje nam zdolności. Przykłady, któreśmy przytoczyli, winny zachęcić do szlachetnego naśladownictwa w pracy nad sobą i do wytrwałości.

Powiedzieliśmy wyżej, iż nierozwinięty przemysł a raczej peryodyczne wstrzymywanie jego rozwoju, jest przyczyną małych zdobyczy na polu wynalazków w Polsce. Taż sama przyczyna ujemnie także wpływała i na rozwój naszego przemysłu, a raczej wstrzymywała postęp pomyślnie i bujnie w pewnych epokach już rozkrzewiony. O kwitnącym stanie rolnictwa, tej najważniejszej podstawy wszelkiego przemysłu u nas, aż do zgaśnięcia rodu Jagiełłów, wszędzie poświadczają liczne ślady w dziejach, w prawach, przywilejach, nadaniach i ułomkach rozmaitych obrachunków ekonomicznych. Za czasów Kromera, mimo niedawnego zniszczenia kraju napadem Tatarów, corocznie wyprowadzano z Polski 100,000 łasztów zboża za granicę, kiedy w końcu zeszłego wieku zaledwo tylko połowę tej cyfry można było dostarczyć¹⁾. W parze z kwitnącym stanem rolnictwa

¹⁾ Surowiecki, str 94.

Pomoc własna.

musiał stać i przemysł, oraz pokrewny im handel. Łabęcki dowodzi, iż ludy słowiańskie były nauczycielami Germanów w sztuce górnictwa, gdyż kopalnie Miśni, Czech i Śląska IX-go sięgają wieku, a kopalnie niemieckie w X powstały wieku. W XII wieku rozwinięte już u nas były żupy solne, w XIII i XIV wieku istniały nader obszerne kopalnie srebra i ołowiu w okolicach Olkusza; w XV rozwinęły się również stare kopalnie w Chęcinach, a za Zygmunta III-go wytapiano stal w Samsonowie. Górnicza ludność w XV wieku musiała być nader liczna w Polsce, a nie znajdując u siebie już dostatecznego zarobku, emigrowała do kopalń czeskich a nawet i francuzkich¹⁾. Wiek XVI nareszcie był świetnym dla górnictwa naszego, mianowicie zaś kwitnęły kopalnie kruszcu ołowianego i najznakomitsze rodziny, słynne z bogactw i znaczenia, jak Szyszkowscy, Wapowscy, Kmitowie, Bonarowie, pilnie zajmowały się górnictwem i z tego źródła niemalą część swych olbrzymich dochodów czerpały. Według przybliżonego szacunku, produkcyi samych kopalń olkuskich przynajmniej milion złotych corocznie wynosić mogła. Opaliński dochód Polski z górnictwa podaje na wartość, która na dzisiejszą monetę przynajmniej trzy miliony rubli (20 milionów złotych) przedstawia. Ale i w innych gałęziach przemysłu, Polska, między XIV i XVII wiekiem stała niemniej wysoko. Świetny rozwój sukiennictwa datuje się od czasów Kazimierza Wielkiego, który całe Podgórze karpackie osadził mnóstwem wyborowych rzemieślników i handel oraz przemysł po miastach wspierał. Epoka to była najsilniejszego życia ekonomicznego. Pod koniec XIV-go wieku sukna polskie wywożone były w znacznej ilości do Nowogrodu, a w XVI wieku znaczną ich ilość wysyłano do Moskwy. A nie tylko pod względem ilości; wyroby te odznaczały się i jakością. Firmy fabryk wieluńskich i kościańskich głośne były z doskonałości wyrobu i za granicami kraju. Płótna jakkolwiek w średnich gatunkach, znajdowały obszerny obrot. Rolki z Podgórza choć niebielone ceniono w zagranicznym handlu, a dotychczas utrzymujące się nazwy gatunków płótna zagłowego: *Polacco*, *Polackentwand* świadczą, że te wyroby stanowiły niegdyś ważny bardzo artykuł handlu, podobnie jak wszędzie znana nasza pszeniczka sandomierska.

¹⁾ Łabęcki, str. 108 i 109, T. I.

Wszelkie wzmianki licznych pisarzy, jak również dochowane z tamtych czasów pamiątki: budynki, naczynia, stroje świadczą o wysokim wydoskonaleniu sztuk, o wykształconym smaku publiczności, tak że śmiało możemy powiedzieć, iż do połowy XVII-go wieku rzemiosła i fabryki w Polsce stały na równi, jeżeli nie wyżej od niemieckich. Tak pomyślny jednak rozwój bogactwa krajowego, który ułatwiał każdemu przy pomocy własnej odpowiednie osiągnięcie celu usiłowań, wstrzymany został w skutek licznych i złożonych przyczyn. Zagarnięcie uprzywilejowanego stanowiska na korzyść kasty szlacheckiej, idąca zatem niewola rolniczego ludu, jakkolwiek do pewnego stopnia sprzyjała ekonomicznemu rozwojowi wielkiej własności i rolnictwa, w gruncie przecież osłabiła konsumpcję przemysłową, pograżając w bezczynność w materialny i moralny upadek całe masy narodu. Był to niemierny cios, który zamknął ludowi pragnącemu dźwigać się na zasadzie samodzielności, wszelką możliwość postępu, pozbawił kraj najlepszych sił, najpotężniejszej dźwigni w jego moralnym i materialnym bycie. Kasta szlachecka, zawarta w sobie z konieczności, musiała marnieć, upadać pod względem oświaty, dostarczać coraz mniej dzielnych jednostek zdolnych kierować interesami tak własnymi, jak i zachwianego w posadach państwa. Usychały więc po kolei źródła produkcyi, upadało rolnictwo, przemysł krajowy, handel i kapitały przeszły wyłącznie w ręce żydów. Przyczyny zewnętrzne, jak: wojny szwedzkie, zawichrzenia polityczne, walki stronnictw, a nareszcie nieidący z postępem czasu ustrój administracyi, dokonały zupełnej niemal zagłady przemysłu, poniżyły myśl narodową do tego stopnia, iż w oczach panującej kasty szlacheckiej, zajmowanie się warsztatem dla zysku, kwartą i łokciem przynosiło ujmę czci. Rozumie się, iż w takim stanie rzeczy dla umysłów energicznych, samodzielnych, pole przemysłu było stracone. Co najwyżej widzimy tylko drobną szlachtę dobijającą się własną pracą godności kościelnych, lub zasiadającą na krzesłach senatorskich, albo nareszcie szukającą szczęścia w mieczu. Sławny Stefan Czarnecki jakby z dumą przemawia, że: „Ani z roli ani z soli, ale z tego co go boli“ urosł¹⁾:

¹⁾ Dowodów zabiegliwości szlacheckiej na polu ekonomicznym w świetniejszych chwilach Rzeczypospolitej znajdujemy bardzo wiele. Za-

Wszystkie te szczegóły tłumaczą nie tylko upadek świetnego naszego przemysłu, ale zarazem powody zamknięcia drogi do tej płodnej niwy dla wszystkich, którzyby zasilić ją swymi zdolnościami mogli. W ciągu półtora wiekowego letargu cała żywotność ludu wygasła i punkta ciężkości ekonomicznej przeniosły się gdzieś indziej. Ocknięcie się w końcu zeszłego wieku było ciężką walką przedświt. Umysły bardziej oświecone rozumiały znaczenie przemysłu w ustroju krajowego bogactwa, ale usiłowania ich były tylko szamotaniem się pełnem zasług ale bezowocnem. Wielcy panowie tracili fortuny na te przedsiębiorstwa. Tak np. Małachowski założył sławne fabryki żelaznych wyrobów, Jezierski stali, Potocki syców i szkła, Radziwiłł zwierciadeł, Czartoryscy porcelany, Ogiński kobierców, Bieliński szkła kolorowych i t. d. Ale były one częstokroć owocem próżności, a nie regularnej pracy, wytrwałości i żelaznych starań. A jednak dzięki tym tylko nowszym, postępowym ideom, już świeższe powietrze powiało w przemyśle i otworzyło się pole dla ludzi własnej pracy zawdzięczać mogącym wszystko.

Przytoczmy tu tylko jednego Dangla. „Przyszła on do Polski z mantelzakiem na plecach, a idąc drogą ku Warszawie, spotkał wracającego z przejażdżki od strony Raszyna króla Stanisława Augusta. Król, spostrzegłszy wędrownika, zapytał czem się zajmuje? Dowiedziawszy się, że nazwisko jego Dangel i że się kształcił w zagranicznych zakładach siodlarskich przy budowie pojazdów, rozkazał mu stawić się na zamku. Wsparł go następnie swą opieką i niewielką pomocą, i to był początek majątku i rozgłosu tego fabrykanta, którego powozy *danglowkami* powszechnie zwano¹⁾. Niezawodnie pomoc Stanisława Augusta wiele się przyczyniła do kariery Dangla, ale niemniej winien on ją był sobie, swej energii, zdolności, pracy. Z małego ziarnka umiał on stworzyć olbrzymie zakłady przemysłowe.

biegliwość ta załudniła i skolonizowała w ciągu XV, XVI i w pierwszej połowie XVII wieku południowy wschód Rzeczypospolitej, który w opłakanym znajdował się stanie. Zbiegliwość ta podnosiła rodziny małopolskie drobnych fortun, jak Potockich, Koniecpolskich, Lubomirskich, Kalinowskich do ogromnego mienia. Zbigniew Ossoliński, ojciec kanclerza Jerzego, rozpoczął od wioski, umarł wojewodą i panem 30 wsi. — Umiano u nas robić fortunę i umiano ją utrzymać.

¹⁾ „Encyklopedia powszechna” Orgelbranda, T. VI, str. 719.

Schultz bowiem bawiący w 1782 r. w Warszawie tak mówi o Danglu: „Połączył on w swoich wielkich domach i podwórkach na Senatorskiej (Dziś kamienica Nr. 468) i na Elektoralnej ulicy (dziś Nr. 750 i 751) pracownię wszystkich rzemieślników, których do wystawienia powozu potrzebuje, jakoto: stelmachów, siodlarzy, kowali, lakierników, tasiemkarzy, farbiarzy, pasamoników i t. d., iż w razie, gdy kupujący w bogatym składzie gotowych wyrobów tegoż fabrykanta mało nie znajdzie do swego upodobania powozu, w niedowierzaniu krótkim czasie takowy mu wystawią. Tenże Dangel otrzymuje wzory z Londynu, i co tylko w tym względzie nowego się pokaże lub wynalezionem zostaje, to natychmiast w swoim zakładzie zaprowadza; wprawdzie otrzymuje on z Anglii niektóre potrzebne mu materiały, ale większą część sam tu wyrabia. Ceny jego powozów zaisiste mało są od wyrobów angielskich niższe, ale dorównują też angielskim co do trwałości i ozdobności, i dlatego Dangel wkrótce znacznego się dorobił majątku. W całych Niemczech nie masz podobnego zakładu jakim jest Dangla, nawet sławna fabryka Kaufmana w Wiedniu w porównaniu jest nie nieznająca”.

Chwilowe ożywienie przemysłu za Stanisława Augusta jest tylko przecież pobłyskiem, który znikł wkrótce wśród zamętu politycznych przewrotów kraju. Jaśniejsze dni dla przemysłu polskiego zabłysły dopiero od 1816 roku, gdy dyrektorem wydziału przemysłu objął w ręce Staszic. Żywot tego najzaciejszego męża zasługuje na najpilniejszą uwagę. Staszic bowiem jest dziecięciem wzniosłej zasady samodzielności. Syn mieszczan ubogich z Piły (w Poznańskiem) umiał zdolnościami, siłą woli dojść do stanowiska, na którem tyle dobrego dla kraju zdziałał. Nie ma zdaje się gałęzi przemysłu, jakiejby opiekunowej dłoni nie podał. W Warszawie zakładał fabrykę machin, przedalanie, w Iłży fabryki fajansu; w Samsonowie, Suchedniowie, Radoszycach, Pankach fabryki żelazne z określeniem planu gospodarstwa leśnego, kopalnego. Wiedząc zaś, iż podporą przemysłu są ludzie specjalnie wykształceni, założył szkołę górniczą w Kielcach, z której też całe pokolenie zdolnych techników wyszło. Z jakimi trudnościami nieraz Staszic walczyć musiał przy zakładaniu tych fabryk, najlepszym podobno będzie dowodem, gdy powiemy, iż fundując fabrykę fajansowych naczyń w Iłży, musiał tajemnie sprowadzać ro-

botników z Anglii, z okolic Sunderlandu, gdyż natenczas robotnikom tym opuszczanie kraju było wzbronione. Przewieziono jednak trudności, i jeden z robotników, Lewin Selinger, z przydomkiem Sunderland, przekradłszy się, tajemnie przybył do Polski, gdzie mu Staszcie ułatwił założenie fabryki, wyjednałszy zapomogę rządową, tudzież stary spichrz dogodny do urządzenia zakładu. Z temi środkami postawiona fabryka do dziś dnia istnieje z niemałym pożytkiem dla kraju.

Po Staszciu górnictwo nasze rozwinięte zostało na olbrzymią skalę przez ministra skarbu ks. Lubeckiego i jednocześnie niemal popchnięte zostały wszystkie gałęzie przemysłu, jak np. sukiennictwo w 1820, płóciennictwo 1822 i bawełniane fabryki w 1824 r., którym to ostatnim dziś kwitnąca (40,000 m.). Łódź swój wzrost z mizernej miejsciny zawdzięcza.

Rozrost fabryk rządowych wywoływał u nas i budził przemysł prywatny, który dźwigał na swych barkach ludzkie należący właśnie do grona tych przemysłowców, co zawdzięczając sobie wszystko, sprowadzili dobrobyt i jego błogosławione skutki dla swych bliźnich i kraju. Kilka życiorysów, które przytoczyć pragniemy w tem miejscu, rozpoczniemy nazwiskiem hr. Karola Brzostowskiego. Może się niejeden czytelnik zadziwi, iż ozdobionego mitrą hrabiowską, z którą zwykle łączą się dostatki, kładziemy w szeregi robotników wybijających się z najniższych warstw społeczeństwa. Ale jakkolwiek hrabia Karol był wnukiem wojewody Inflanckiego i Radziwiłłówny, a synem starosty i Ewy Chreptowiczówny, słusznie mu się w rządzie robotników miejsce należy. Człowiek ten bowiem wszystko sam sobie był winien.

W młodości służył wojskowo. Tytuł, stanowisko społeczne dozwalało mu pędzić życie w rządzie pieczenia, na jakich zwykle w Polsce schodzili synowie zrujnowanych magnatów. Ale Brzostowski, czerpiąc sam w sobie siłę, poszedł inną drogą, drogą wzoru i przykładu. Objęty przez niego po wyjściu z wojska ojczyści majątek przedstawiał wielką ruinę, a długi przewyższały jego wartość. Hrabia Karol postanowił naprzód podnieść się w materialnym stanowisku, a do tego widział drogę w ulepszonej rolnictwie i przemyśle. Bystry jego umysł wnet jednak spostrzegł, iż ulepszeń radykalnych niepodobna zaprowadzić

przy poddaństwie ludu, zaprzęgniętego w jarzmo pańszczyzny i przy zupełnej jego ciemnocie. Zniósł więc naprzód w 1820 r. pańszczyznę i zamienił ją na umiarkowane czynsze, a następnie pozakładał szkółki wiejskie, do których rodzice pod karą pieniężną do skarbonki ogólnej, obowiązani byli posyłać swe dzieci.

Fundusz, jaki ztąd powstał, obracany był na doktora i lekarstwa dla chorych włościan. Ułatwiwszy sobie tym sposobem postęp i zyskawszy zaufanie, postanowił jednocześnie materialnie dźwigać majątek. Hrabia Karol czuł że samo rolnictwo nie wystarczy, tym więcej, że niskiej urodzajności gruntu nie mogły rokować zbyt pomyślnych plonów. Postanowił więc ratunku szukać w przemyśle — lubo brak ludzi początkowo pozwalał liczyć tylko na siebie. Staranne wychowanie przyszło mu w pomoc, a silna wola dokonała reszty. W urzędzeniu pól Sztabina — tak się nazywał jego majątek — zaprowadził płodozmian, a na powiększonych tym sposobem produktach rolnych oparł przemysł. Wzniósł gorzelnię, dystalarnię, browar, fabrykę miodu, porteru, araku, hutę szklaną, piec do odlewów żelaznych, a nakoniec fabrykę narzędzi rolniczych. W tej ostatniej pod kierunkiem samego Brzostowskiego i przez robotników u niego wydoskonalonych, zbudowane zostały dwie maszyny parowe i pierwszy w kraju telegraf elektryczny, przeciągnięty między dworem a folwarkami. Dowód że i inne wyroby z tych fabryk nie ustępowały w niczem słusznemu stawianym wymaganiom.

Łatwo więc zrozumiemy, iż tyle siły woli i wytrwałości uwieńczone zostało pomyślnym skutkiem. Hrabia Karol odczytał w krótkim stosunkowo przeciągu czasu swój majątek i doprowadził go do kwitnącego stanu. Ale cele Brzostowskiego były wyższe, niż proste wzbogacenie się. Wszędzie szukał dobra otaczających go bliźnich, budząc w nich zasadę samodzielności. Ścisłe wymagał należnych sobie czynszów, ale dla dotkniętych losem urządził bank pożyczkowy, który za solidarnym dwóch członków poręczeniem udzielał pożyczki. Oprócz tego założył lombard, składy sukna, płótna i innych przedmiotów codziennej potrzeby wieśniaka, które sprzedawał po cenie kosztu, bez żadnego dla siebie zysku. Tak po trzydziestoletniej przeszłości zmordowanej działalności przybliżył się do schyłku dni, ale żywcem swój zakończony 25 lipca 1854 r. uwieńczył godnem

2
takiego życia dziełem. Będąc bowiem bezżennym, testamentem całe swoje dobra i fabryki przekazał na własność ludności zamieszkującej Sztabin, to jest: włościan, fabrykantów i oficyalistów, których uważał jak ojciec za swe własne dzieci. Związał on ich wspólnością interesu, ale w nakreślonych podstawach kierował się tak zdrowymi zasadami, iż wspólność nie wyłączała dzielności jednostek, iż nie tamowała wznoszenia się ich na zasadzie samopomocy. Brzostowski znaczną część zysków, jakie administracja powinna była osiągnąć z jego dóbr i fabryk, przeznaczył na nagrody dla odznaczających się pilnością, zamożnością postępowania i użytecznością swych pomysłów. Testament napisany przez hr. Brzostowskiego jest pełen wzruszających ustępów, dowodzących iż był to człowiek czynu posuniętego do ideału. Ale niestety, nie wszystko w rzeczywistości odpowiada najzacieśniej celom i najszlachetniejszym instytucjom przez niedoskonałość wykonania upadają. W znacznej części da się to zastosować do fabryk i zakładów Sztabińskich, które niejedną trudność miały do zwalczenia i niejedną na swej drodze napotykały przeszkodę.

Innego rodzaju inteligencją, rozwijającą na wielką skalę swe przemysłowe plany, płodne w wyborne następstwa dla kraju, jest tak dobrze nam wszystkim znany Piotr Steinkieler. Pochodził on z Krakowa, gdzie ojciec jego był kupcem. W dwudziestym szóstym roku życia objął po ojcu handel wraz ze znacznym majątkiem; lecz Kraków naówczas obumarły, dla przedsiębiorczego umysłu Piotra był za ciasnym polem; przeniósł się więc do Warszawy w 1826 r., gdzie założył dom handlowy i rozpoczął czynności. Obdarzony umysłem i charakterem tęgim, a przytem zapalony żądzą służeńia krajowi, rzucił się całą siłą w przedsiębiorstwa przemysłowe, widząc w nich dźwignię rzeczywistego bogactwa i pomyślności. W ciągu całego swego życia, pełnego pracy i czynów, nie wyrzekł się nigdy swojej przewodniczej myśli, ciągle popierając przemysł i stosując nowe pomysły i wynalazki. Steinkieler w licznych swych podróżach po zachodniej Europie, wszędzie badał przemysłowe przedsięwzięcia, nowe wynalazki i ulepszenia. Była to prawdziwa przyjemność wejść do jego czasowego mieszkania w Londynie, które tam będąc zajmował. Na biurku tysiące planów, anszlagów, modeli; w pokoju maszyny fabryczne i rolnicze, ciekawe minerały, cegły, kafle i t. p. Obok tego rój

ludzi specjalnych, techników, rzemieślników, robotników, z którymi się umawiał, godził lub zawierał kontrakty. Bo niczego tak bardzo Steinkieler nie zazdrościł obcom, jak postęgi ich cywilizacji, postępów przemysłu i bogactwa. Gorąca jego dusza pragnęła jakby cudem przeszczepić to na własną ziemię. Gdy więc widział między swymi obojętność, lenistwo, zastarzałe i nieuctwo, pragnął sam pracować za ty się. Za każdym powrotem do kraju, przywoził on mnóstwo projektów najświetniejszych, o których opowiadał z niezmiernym zapałem i do wykonania ich brał się natychmiast.

Jedno z najglówniejszych przedsięwzięć tego ojca tylu gałęzi naszego przemysłu, była budowa dróg udoskonalonych. W tym celu zawiązał Towarzystwo i pierwszy rozpoczął budowę kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, przy której mnóstwo ludzi znalazło zarobek. Zawistni przeszkodzili mu jednak dokończyć dzieła, które dopiero rząd wziął w swoje ręce i do skutku doprowadził. Stracił na tem przedsiębiorstwie Steinkieler parę milionów złotych, ale na leży mu się słusznie, zaszczyt, iż pierwszy w kraju ocenił wielkie korzyści kolei żelaznych.

Do przybycia Steinkielerów do Warszawy, sól była drogą bo skarb Królestwa, który posiada monopol sprzedaży takowej, płacił za centnar soli po rs. 1 kop. 32 rządowi austriackiemu. Steinkieler, zbadawszy ten interes, zaczął sprowadzać sól z Anglii, czem o złotówkę obniżył cenę na centnarze. Widząc to rząd austriacki, przy zawieraniu nowego kontraktu na dostawę soli, naznaczył już tylko 47 kop. za centnar, co pozwoliło obniżyć cenę soli dla biednego ludu. Oszczędność zyskana tym sposobem wynosi miliony! Steinkieler także silnie popierał fabrykację cynku, który się wydobywa z galmanu, znajdującego się u nas w kopalniach Krakowskich i na Szląsku Pruskim. Zbadał więc dobowanie ulepszone cynku; namawiał do zakładania hut, a nawet sam założył walcownię cynku w Londynie na to, aby produkt otrzymany w kraju sprowadzić do Anglii i przewalcować z korzyścią. Początkowo nie udawała się ta spekulacja jak wiele przedsięwzięć Steinkielerów, ale później hutnictwo cynkowe zakwitło, dając niemałe zyski krajowi i zarobek tysiącom rąk pracowitych.

Działalność Steinkielerów, głównie skupiła się w Warszawie i Żarkach, małym miasteczku w Krakowskiem, które wraz z dobrami na własność swoją nabył. W stolicy na-

szej w 1839 roku wziął na siebie młyn parowy na Solcu i rozlicznymi wynalazkami ulepszać go począł. Zbudował spichrze na 130,000 korcy zboża, przez co zabezpieczył Warszawę od braku ziarna, w razie nieregularnego dowozu. Taniem i dobrem mlewem, wpłynął do obniżenia cen mąki, a przy tym młynie założona później piekarnia, sprzedaje chleb tańszy o grosz na bochenku. Nie poprzestał jednak na tem, ale widząc nadużycia w handlu olejem i trudności z jakimi walczyły muszę stolarze przy nabywaniu drzewa fornierowego, założył przy młynie wielką olejarnię i tartak do cięcia drzewa zagranicznego i krajowego. Lecz i tego mało. Piece w mieszkaniach naszych były potworne. Steinkieler założył fabrykę kafli tanich i pięknych. Po drogach jeździliśmy najokropniejszymi powozami publicznymi. Steinkieler założył fabrykę powozów i dostarczał takowych pocio, lub wysyłał je na własne ryzyko. Powozy te upowszechniły się i przybrały nazwę *steinkielerek*, która niechaj na wieki zostanie, świadcząc o zabiegliwości i dobrych pomysłach twórcy. Fabryki te mieściły się na Solcu. Ale Solec zalewany był często falami Wisły, przez co niszczał dobytek jego robotników i biednych mieszkańców. Wyjednał więc Steinkieler fundusz na obwałowanie Wisły w tej stronie, a dziś niejeden mieszkaniec Solca lub ulicy Czerniakowskiej, jeżeli śpi spokojnie, zawdzięcza to znakomitemu przemysłowcowi.

Podobną działalność zwrócił na Żarki, które nabywszy zastał w nędzy i opustoszeniu. Lecz pod jego dłonią miasteczko wnet stało się siedzibą przemysłu. Założył wielką fabrykę machin i narzędzi rolniczych, w której co nowe, co postępowe wyrabiał. Obok w Jaworzniku pod miastem, wznosił browar produkujący wyborne piwo, po dziś dzień zwane żareckiem. Gospodarstwo na folwarkach prowadził wzorowe, dając tem poznać, iż przemysł w naszym kraju ma się wspierać na dobrem gospodarstwie wiejskiem, i na drodze postępu musi iść z niem w parze. Tym sposobem tak podniósł Żarki, że wzrosły w ludność i za możność do tego stopnia, iż dochody miejskie o sześć razy się powiększyły.

Nie skończylibyśmy prędko, gdybyśmy pragnęli wyliczyć wszystkie pożyteczne przedsięwzięcia, które Steinkieler wprowadził w życie lub przygotował. Dla innych lu-

dzi dośoby jednego było, aby sobie zarobić na dobre imię i wdzięczność ogółu. On tysiącom czynił dobrze, tysiącom dawał pracę, chętniej krajowcom niż obcym, których jednak musiał sprowadzać, aby naszych nauczyli. Czy jednak zdziaławszy tyle dobrego, był ten człowiek szczęśliwy? Czy doszedł do wysokości, dostojenstw, zaszczytów lub majątku? Nie, wcale nie! Prześladowany od zawistnych, zawadzony przez fałszywych przyjaciół, widział własnymi oczyma upadek swego wpływu, niepowodzenia przedsięwzięć i ruinę majątkową. W roku 1853 wierzyciele, a między niemi najgłówniej Bank Polski, zabrali wszystko.

Steinkieler usunął się do Krakowa i w rok życie w zmartwieniu i goryczy zakończył. Dla nas, dla wielkiej masy rzemieślników i robotników — dla ludu pracował — z jego trudów, z jego pomysłów wielu żyje i korzysta.

Można śmiało powiedzieć, iż każda niemal gałąź krajowego przemysłu ma swoich założycieli w ludziach, których pracy usilnej zawdzięcza powodzenia mniej lub więcej szerokie. Tak np. ulepszony wyrób płótna oprócz Girarda, o którym wspomnieliśmy wyżej, niezmiernie wiele zawdzięcza p. Dąbrowiczowi, olearstwo p. Korytyskiemu, cukrownictwo pp. Antoszewskiemu z Sierakowa, Żubieńskiemu z Guzowa i innym, którzy mimo szczupłych środków, do znacznego rozwoju tych przemysłów jedynie wytrwałością i pracą swą doszli. P. Karol Dąbrowicz posiada niewielki mająteczek Dobrowola, położony nad Niemnem w okolicy gdzie uprawa lnu była tradycyjnem zatrudnieniem włościan. Surowy ten materiał rolniczy, w znacznych partjach wychodził do sąsiednich pruskich posiadłości i tam na płótno przerobiony wracał do kraju, który za tę przemianę niemałe płacił procenta. Pan Dąbrowicz w obrębie swej działalności pragnął temu zapobiedz, a mianowicie przez założenie fabryki wyrobów płóciennych. W tym celu, z niezmierną siłą woli ale szczupłymi środkami, w 1839 r. wystawił fabrykę i już w 1841 po raz pierwszy wystąpił na wystawę krajową ze swemi wyrobami.

Ścisła krytyka mogła im bardzo wiele pod względem wykończenia zarzucić, fabryka bowiem obywatela się jeszcze bez apretury i blichu. Warsztaty przedziałnicze i tkackie były starego ustroju, a większa część przędzy pochodziła od prądek okolicznych, w czem widzimy wielką zasługę pana

Dąbrowicza, wkrótce bowiem do 300 rodzin zarobek lub pomoc w swym bycie, na tym przemyśle oparło. W trzy lata potem, popisywał się już p. Dąbrowicz z bielizną stołową tak piękną i tak dohrze ufarbowaną, iż zasłużyła na medal srebrny. W 1851 r. przy nieustannym postępie zakładu, pan Dąbrowicz posłał swe wyroby na wystawę Londyńską gdzie zyskał przychylną opinię, a Angielskie stowarzyszenie przemysłu i rzemiosł, obrało go swym prezesem. Dziś jakkolwiek ulepszone przyrządy, blech i inne nieodbicie potrzebne w fabrykacji płócien warsztaty posiada zakład p. Dąbrowicza, zawsze wywiera on głównie swój wpływ zbawienny na ludność miejscową, podnosząc jej dobrobyt i moralność.

Zaslugi p. Korytyńskiego są nie mniej wielkie, on bowiem pierwszy od 1832 r. nauczył mieszkańców Hrubieszowa i okolicy, używania oleju do oświetlania i to aż rozdając darmo lampki z olejem przez siebie wyprodukowanym i stosownie oczyszczonym. Niezrażony trudnościami, siał rzepak we własnym majątku Latoszynie i zachęcał do uprawiania, a tak dobry i z tak wielką wydajnością produkował olej, iż go mógł ile zostawało od miejscowej sprzedaży do Warszawy wysyłać. Tym sposobem p. Nikodem Korytyński dał początek ogromnej dziś w okolicy Hrubieszowa produkcyi nasion oleistych i samegoż oleju w różne strony rozsyłając. W 1864 r. założył p. Korytyński młyn parowy w miejsce wodnego, głównie w celu osuszenia łąk przy rzece Huczwi położonych, której wody wielu sąsiadom posiadaczom zalewały niedostępne pastwiska. Dziś miejsca te zielenią się bujną trawą, a są między niemi takie, które dają możność pożytkowania z obfitych głębin torfowych. Kraj stałby się wkrótce bogatym, gdyby wielu tak przedsiębiorczych i własną pracą popierających przemysł liczył obywateli.

Jedno jeszcze nazwisko człowieka ze świata przemysłowego zasługuje na wspomnienie w tem miejscu. Stanisław Lilpop, zmarły przedwcześnie d. 15 października 1866 roku, należał do rodziny znanej u nas z pożytecznej pracy w różnych gałęziach przemysłu. Ale też zresztą, prócz pomocy w ukończeniu szkół Żoliborskich, sam sobie wszystko zawdzięczał. Z ławy szkolnej przeniósł się bezpośrednio do warsztatów bankowych w fabryce na Solcu, gdzie zapoznał się z młotem, heblem, piłą zmierzył całą trudność pracy fizycznej. Wytrwały i energiczny potrafił się odznaczyć, skutkiem czego wysłany został kosztem Banku za granicę

i tam w znakomitych zakładach w Eschweiler i Mulhouzie, kształcił się na zdolnego mechanika i rysownika. Po powrocie do kraju prowadził kilka fabryk machin i narzędzi, już to w spółce, już na własne ryzyko, a przez szczęśliwe obroty zdołał sobie zebrać własne zapasy, prawością zaś charakteru i zdolnością wyrobić kredyt. Wtedy wszedł do spółki znanej fabryki wyrobów żelaznych Ewansa i Rau w Warszawie. Gdy w lat kilka Ewansowie wycofali się z interesu, Lilpop i Rau stanęli na czele tego znakomitego przedsiębiorstwa, które pod ręką tak biegłego przemysłowca, rozwijało ciągle. Gdy objął zarząd zakładu liczył on robotników w większej części cudzoziemców; obecnie zatrudnia ich 450 i to samych krajowców wykształconych na miejscu w fabryce. Oprócz tego Lilpop dla swych warsztatów w Warszawie, rozwinął nabyte huty w Drzewicy, urządził górnictwo w Rozwadach i obszerne węglarstwo w przyległych lasach. Przedsiębiorstwa jego dawały zarobek przeszło tysiącom rodzinom. Zgon Lilpopa przerwał mnóstwo innych przemysłowych zamysłów, ciągle bowiem ruch i praca były potrzebą tego człowieka. Chciał wznosić wielką fabrykę lokomotyw w Warszawie, kilka cukrowni w odpowiednio wybranych punktach dla tego rodzaju przemysłu w kraju. Odznaczył się także duchem wynalazczym, ulepszył uniwersalną, amerykańską Mac Cornicka, wynalazł siewnik uniwersalny, a każdą zagraniczną machinę starał się uczynić odpowiednią do potrzeb naszego przemysłu i rolnictwa. Obok prac fachowi swemu właściwych, zajęty był ciągle kształceniem swego umysłu; kochał się w muzyce, malarstwie i zostawił jeden z najznakomitszych zbiorów obrazów krajowych artystów.

Mnóstwo moglibyśmy zacytować nazwisk znakomitych naszych przemysłowców, którzy samopomocy winni swoje stanowisko i majątek. Cegielski z profesora wykładającego język polski stał się najznakomitszym fabrykantem machin w Poznaniu, tak że mu nawet Niemcy oddają zasłużoną pochwałę. Bockan, rodem ze Szwecyi, z węzłkiem na plecach przywędrowawszy do Warszawy za czasów pruskich, rzetelnością i pracą dobił się majątku, będąc najznakomitszym majstrem ciesielskim. Ale przykłady te potwierdzają tylko raz wypowiedzianą przez nas prawdę—nie mnożąc ich więc zbyt, zakończymy ten rozdział nieznanemi szczegółami z życia prostego rzemieślnika, nożownika, nazwi-

skiem Wawrzyniec Gębicki ¹⁾). Był on synem kowala, rodem z osady Wójtowskiej Kowalszczyzną zwanej, w obwodzie Sandomierskim.

W roku 1809 zabrany wraz z ojcem przez dowódcę artylerii wojsk austriackich do robót kowalskich przy baterii, z przymusu, darmo i ciężko pracować musiał. Nie szczęściem w dniu 18 czerwca tegoż roku, w czasie ataku na Sandomierz wojsk austriackich, ojciec jego śmiertelnie ranny odłamkiem kartacza życie zakończył.

Młody Wawrzyniec, liczący natenczas 16 rok życia, musiał sam zastąpić ojca, a sprzykrzywszy sobie tak ciężką pracę, której podołać nie mógł, postanowił ratować się ucieczką; wybraawszy się przeto nocną porą uszedł z obozu. Idąc dniami i nocą prawie nieprzerwanie, dostał się do Grójca, skąd przybył do Warszawy i wstąpił do terminu u kowala; lecz tu pracując po całych nocach, zachorował ciężko — majster oddał go do szpitala. Wyzdrowiawszy, znalazł się prawie nagim na bruku, poszedł więc do majstra, u którego poprzednio pracował, z propozycją iż będzie u niego rok dłużej w terminie, byleby tylko nakarmił go i okrył czemś ciepłym, dzień bowiem był mroźny i śnieżny. Lecz gdy majster odmówił mu, zaciągnął się młody Wawrzyniec do wojska.

Odbywszy kilka kampanij za Napoleona I, został ozdobiony krzyżem legii honorowej. W roku 1815 w czasie bitwy pod Waterloo, będąc ranny, dostał się do niewoli angielskiej. Po wyleczeniu się z ran wystąpił z wojska i pospieszył do Londynu, gdzie jako prosty robotnik, przez trzy lata pracował po różnych fabrykach. Następnie powędrował do miasta Sheffield, a dostawszy się do zakładów mechanicznych i nożowniczych Silversmitha, wydoskonił się dokładnie w tym zawodzie.

W roku 1824 namówiony przez kilku rodaków, popłynął w ich towarzystwie do Ameryki. Podróż wyczerpała zapasy, przybył więc do Nowego Yorku prawie bez grosza i w łachmanach. Po kilku tygodniach głodu i nędzy, dostał się nareszcie do fabrykanta nożownika nazwiskiem Gotman, a pracując lat sześć w jego zakładzie nożowniczym, tak wydoskonił mu robotników, że w nagrodę starań i trudów, pryncypał przypuścił go do spółki. Po śmierci Gotmana

¹⁾ Szczegóły tu podane, wyjęte są z notat i listów dostarczonych przez p. Józefa Juszczyka majstra krawieckiego warszawskiego.

w r. 1832, zrobiwszy układ z wdową i sukcesorami, objął Gębicki na siebie tenże zakład; wkrótce ożenił się z córką dawnego swego pana i spółnika. Od tej pory, stał się on prawdziwym opiekunem swoich rodaków, przybywających do Nowego Yorku i tamże zamieszkających; już to umieszczał ich w swoim zakładzie, to znów zakładał im warsztaty, wspierał, odziewał i karmił.

W roku 1835 założył ochronę i szkołkę w swoim domu dla dzieci pozostających po swych najbliższych. W roku 1849 został członkiem kongresu Stanu Północnej Ameryki, jako naturalizowany obywatel Rzeczypospolitej ¹⁾). Wielkie czyniąc dobrodziejstwa dla swoich i obcych w tak dalekim kraju, zakończył szlachetny swój żywot dnia 20 listopada 1853 roku, niewielki zostawiając po sobie majątek, bo więcej ubogim rozdał.

ROZDZIAŁ III.

Pomoc własna i stowarzyszenia.

Własna pomoc, to jest ściśle przeprowadzona zasada: że każdy człowiek nawet biedny, może i powinien, przez rozsądny użytek własnych sił i porządne gospodarstwo, zapewnić sobie należyte utrzymanie i że nikt nie ma prawa do obcego wsparcia: słowem, samodzielność i odpowiedzialność na polu zarobku, jest jedyną zdrową podwaliną, na której spoczywa gospodarstwo społeczne.

Schultze Delitsch.

Całą ożywioną naturę przenika jedna górująca myśl: samodzielność. Potrzeby, które się rodzą wraz z powstaniem

¹⁾ Wiadomości podane przez warszawskie wydanie, należałoby nam uzupełnić imionami z naszej prowincji, tamże pominiętymi. Na czele postawić nam tu wypada: Księcia Leona Sapiełę, który umiał ciężkie straty, poniesione w kraju, nie tylko powetować, ale stanąć na czele ruchu finansowego i przemysłowego prowincji, człowieka, który niezmordowaną pracą i zabiegliwością daje chwalebny przykład, że i w dzisiejszych stosunkach można uwielokrotnić to, co się po dziadach odziedziczyło. Ruchliwością na polu przemysłem odznaczyli się w ostatnich czasach pp. Adam hr. Potocki, Honorolacz, M. Marszałkowicz. W krótkim stosunkowo czasie rozwinęły kwitnące zakłady: Maurycy Baruch, Ludwik Zieleniewski, Eliaszewicz. Natomiast ileż licznych upadłych przedsiębiorstw, a to z najrozmaitszej przyczyny.

żyjącej istoty, wzmaga ją zaspokojenia, jeżeli proces życia ma działać. Instynkt zachowawczy skłania do natężenia sił, przez co zaspokajają się potrzeby. Dopóki istota taka nie jest jeszcze zdolną do opiekowania się sama sobą, to według praw natury, rodzice jej wykonywają nad nią nadzór. Wraz z wykształceniem własnych sił ustaje ten obowiązek rodzicielski i jego miejsce zastępuje pomoc własna. Te koleje przesuwają się codziennie przed naszymi oczyma w bezrozumnym świecie zwierzęcym. Ptak dopóty tylko zajmuje się swoimi młodem, dopóki one z własnych skrzydeł korzystać nie umieją. Potem następuje zwykle rozstanie. Tak dzieje się wszędzie w świecie zwierzęcym. Dla tego też własna pomoc jest prawem natury, na uszanowaniu którego polega byt świata. Jeżeli natomiast nie wystarczają siły pojedynczej lub kilku istot do zaspokojenia potrzeb, do zapewnienia sobie obrony, pożywienia lub schronienia, wtedy to słabe w odosobnieniu siły jednostek, łączą się w jedną wspólną potęgę — i dzieło idzie pomyślnie. Pszczoła i mrówka — zjawisko to najdokładniej sprawdza. Ule i mrowiska są to stowarzyszenia zwierzęce, uorganizowane na naturalnej podstawie wzajemnej pomocy. I takich zdumiewających dzieł dokonywają te drobne stworzenia przez to tylko, że swoje tak niedołężne siły łączą i ku jednemu kierują celowi.

Cośmy rzekli o zwierzętach, można stosować i do człowieka, bo człowiek żyje wśród natury i jest podległy jej prawom. To tylko, że on za pomocą swego umysłu te prawa poznać i niemi według wymagań rozumu posługiwać się może, podnosi go po nad zwierzę niewolniczo posłuszne naturze, i pozwala mu myśleć o czemś wyższem, nie o samem zaspokajaniu potrzeb cielesnych. Człowiek ma życie duchowe, świadome siebie, wolne, i dla tego dąży przez harmonijne wykształcenie swoich sił fizycznych i umysłowych, do rozwinienia tego życia, o ile można najdoskonalej. Im lepiej to się uda, tem więcej będzie w stanie sam sobie pomagać, sam sobie wystarczać. Wolny człowiek, należycie rozwinięty, myśli przedewszystkiem o tem, ażeby na niezależnem stanowisku sam o siebie się troszczył i własne swe potrzeby zaspakajał osobistem natężeniem sił, czyli tem, co my pracą zwiemy. Im większe będzie to osobiste natężenie sił, im dalszym i wznioślejszym będzie cel, który sobie duch ludzki wytknął, tem silniej i konieczniej objawi się ów popęd do samodzielności. Lazzaron neapolitański czuje się już

zadowolonym, kiedy nie jest głodnym ani spragnionym, a brak potrzeb jest w zgodzie z jego lenistwem. W zupełnej sprzeczności z tym bytem wegetacyjnym zostaje życie angielskiego kupca, który dąży do używania wszystkich olbrzymich korzyści nowoczesnej cywilizacji.

Popęd do użycia sił własnych jest wrodzony każdemu organizmowi, przeznaczonemu do życia. Ale nie tak się dzieje ze zdolnością do własnego sobie pomagania. Np. człowiek pozbawiony zdrowych zmysłów, albo idiota zginąłby gdyby był sam sobie zostawiony, tak samo jak porzucony kanarek. Tak nieszczęśliwym istotom, którym natura odmówiła zdolności własnego sobie pomagania, musi troskliwa ręka miłości dostarczyć rzeczy potrzebnych. Po za temi nikomu już nie służy prawo do obcego wsparcia. Chwilowa potrzeba wymaga co najwięcej dorywczej pomocy obcych, jeżeli nie chcemy, ażeby złe się utrwaliło.

Ale znajduje się oprócz przytoczonych niedołężnych istot, wielka ilość ludzi, z których pewna tylko część jest w stanie wywalczyć sobie niezależne a nawet dodatnie i poważane w społeczeństwie stanowisko, jakkolwiek wszyscy są zdrowi i zdolni do pracy. Są tak nazwani robotnicy i drobni rzemieślnicy. Ci ostatni wpadli w ten stan na zachodzie Europy, od czasu rozpowszechnienia się potężnego przemysłu fabrycznego. Co za pełnia zdrowych sił znajduje się w tej właśnie klasie ludności! a jednak czyżby tu niedostatek sił, potrzebnych do wywalczenia sobie ekonomicznej niezależności miał być prawidłem, a nie wyjątkiem? Odpowiedź znajdujemy w wyrazach założyciela niemieckich stowarzyszeń Schulze-Delitscha: „Jeżeli sam czemuś podotać nie możesz, to złóż się z innymi, którzy tego samego co ty pragną“ a „wiele drobnych sił w połączeniu stworzy jedną wielką potęgę“. To jest przewodnią myślą stowarzyszeń, opartych na zasadzie własnej pomocy.

Od czasu jak przez powstanie fabryk kapitał w przymyśle stał się potęgą, która dąży do posługiwania się pracą, położenie drobnych przemysłowców i niezasobnych robotników ciągle się pogorsza.

Nasamprzód musimy zauważyć, że Schulze-Delitsch pod kapitałem rozumie następujące trzy rzeczy, konieczne do wszelkiej przemysłowej działalności:

- 1) surowe materiały przeznaczone do przerobienia,
- 2) narzędzia do pracy,
- Pomoc własna.

3) środki utrzymania podczas trwania pracy, albo jeśli kto innych zatrudnia: fundusz przeznaczony na zapłatę dla robotników lub czeladzi. Moneta, która właściwie jest środkiem wymiany, o tyle tylko może być uważana za kapitał, o ile za nią wyliczone tu warunki wszelkiej przemysłowej pracy nabytemi być mogą.

Drobny rzemieślnik, który był pozbawiony wszelkich środków, potrzebnych do przyswojenia sobie ważnych korzyści, który nadto dawniej ustawami cechowymi w wolnych swych poruszeniach był krępowany, poznał wkrótce że w odosobnieniu z wielkim przemysłowcem konkurować nie jest w stanie. Tak samo i robotnik fabryczny, zostający w zależności od kapitału, był tylko wyjątkowo w stanie zapełnić szeroką przepaść, jaka pracę jego od kapitału oddzielała i przemysłową niezależność wywalczyć.

Nędza rzemieślników i robotników, jaka z tej zmiany stosunków przemysłowych powstała we Francji i Niemczech, wywołała w r. 1848 socjalną chorobę, grożącą strasznymi następstwami. Ludzie, wprawdzie dobrze myślący, ale nie znający prawdziwych przyczyn złego, przedstawiali rozmaite środki ratunku, już to niewykonalne, już to szkodliwe, jak np. pomoc z kasy państwa, założenie tak zwanych warsztatów narodowych, które miały w przeciągu jednego roku pochłonąć cały przemysł prywatny i t. p. Środki te, gdyby ich wykonanie leżało w granicach możliwości, w konsekwentnem swem przeprowadzeniu podkopywałyby z czasem nie tylko wolność osobistą, ale *moralność i duchową energię* robotników i rzemieślników.

Wrażliwi robotnicy paryżcy uwierzyli tym urojeniom i powstałi do dzikiej walki przeciw kapitalistom, dla zdobycia *gwałtem* tego, czego *pracą* dopiąć nie mogli. Powstanie było przytłumione strumieniem krwi i kosztowało w znanej walce czerwcowej (23—27 czerwca 1848) życie 20,000 ludzi.

Zupełnie inny kierunek wzięły rzeczy w rozmyślnych Niemczech, gdzie położenie było niemniej złe. Tu znaleźli drobni rzemieślnicy i robotnicy przyjaciela i zbawcę w Schulze z Delitsch, mężu praktycznym i genialnym w pomysłach, energicznym, wytrwałym i zastanawiającym się w działaniu, nadto obdarzonym wysokim darem wymowy i niezwykłym talentem organizacyjnym. W pośród nadciągającej burzy, Schulze znalazł w stowarzyszeniach, spoczywających na zasadzie własnej pomocy najnaturalniejszy,

najodpowiedniejszy i moralnie najlepszy środek do osiągnięcia przez robotnika i rzemieślnika kapitału i podniesienia się w przemyśle na stanowisko samodzielne.

Schulze z Delitsch nie pochodzi z klas ludowych, podniesienie których stało się dla niego celem życia. Urodził się 29-go kwietnia 1808 r. w pruskim miasteczku Delitsch niedaleko Lipska, gdzie jego ojciec był burmistrzem. Młody Schulze pierwsze wychowanie odebrał w ojczystym swoim mieście. Na uniwersytetach w Halli i Lipsku poświęcał się studjom prawnym. W 21 roku życia po złożeniu pierwszego egzaminu na kandydata prawa, pracował jako aplikant sądowy w Naumburgu. W chwilach wolnych oddawał się pilnie rozszerzeniu swoich wiadomości na polu historii, filozofii i literatury ojczystej. Ferye sądowe poświęcał wędrowkom, a owocem tych wycieczek była książka *Das Wanderbuch*, która w r. 1838 się ukazała.

Po krótkim urzędowaniu, jako asesor przy sądzie w Berlinie, został powołany r. 1841 na sędziego pokoju do rodzinnego swego miasta. Ochoczo przyjął ten zaszczytny urząd, zastrzegł sobie jednak, że będzie mógł w każdym czasie wrócić do służby rządowej. Urząd sędziego pokoju dostarczył myślącemu człowiekowi wiele sposobności do zbadania stosunków miejscowej ludności, a głównie do zebrania wiadomości o położeniu i potrzebach klasy rzemieślniczej. Miłość i zaufanie, które sobie zyskał przez swoją gotowość do pomocy, liberalne i rozsądne postępowanie, miały ten skutek, że okrąg Delitschowski wybrał go r. 1848 na deputowanego do zgromadzenia narodowego w Berlinie. Tu mianowany przewodniczącym wydziału, mającego za zadanie zbadać potrzeby rzemieślników i robotników, studiował kwestję socjalną z pierwszej, że tak rzekę, ręki, bo z 1,600 prośb, które ze wszystkich stron Niemiec nadchodziły.

To, czego proszący nieogłędnie żądali, mianowicie wskrzeszenia dawnych urządzeń cechowych, nie było zdolne do odbudowania dawnej pomysłowości rzemieślników. Schulze z właściwą sobie bystrością poznał prędko, że zupełnie przeciwną iść trzeba drogą, że w miejsce cechów, niezgodnych z wymaganiem czasu, należy postawić wolność w życiu przemysłowem i handlowem. Przekonał się nadto własnymi oczyma, że odosobniony rzemieślnik jest bezsilny wobec kapitału, i że połączenie rozdzielonych drobnych sił

w stowarzyszenia działające wspólnie na podstawie własnej pomocy, własnej odpowiedzialności i wzajemności, jest jedyną drogą, prowadzącą rzemieślników do osiągnięcia kapitału, tej najważniejszej dźwigni przemysłu, obok światy i moralności.

Kiedy w listopadzie r. 1848 żołnierze Wrangla rozpendzili zgromadzenie narodowe, Schulze powrócił do swego miasta rodzinnego, celem praktycznego wyprobowania swoich reformatorskich pomysłów. Za jego wpływem 56 majstrów rzemiosła szewckiego połączyło się w stowarzyszenie dla wspólnego zakupu potrzebnej im skóry po cenie hurtownej. Kiedy izba deputowanych z r. 1849, w której Schulze również był posłem z Delitsch, rozwiązana została, postawiono Schulzego przed sądem przysięgłych w Berlinie, jako mającego udział w uchwale z r. 1848, odmawiającej płacenia podatków. Obronę swoją sam prowadził i po świetnej mowie został uwolniony. Wszyscy świadkowie, których z Delitsch sprowadziła reakcja, złożyli najzaszczytniejsze świadectwa za swoim szanowanym deputatem. Tysiące odbitek rozszerzyły jego mowę obrończą pomiędzy ludem. W Berlinie i Poczdamie wyprawiono uroczystości na jego cześć. Jego powrót do domu był podobny do pochodu tryumfalnego. W Delitsch przyjęto go z pochodniami, wręczono mu honorowy puchar, wyprawiono ucztę i uroczystości.

Gdy w skutek wypadków z r. 1848 sądy pokoju zostały w Prusach zniesione, Schulze, który miał żonę i dzieci do wyżywienia, został nagle pozbawiony urzędu i utrzymania. Widział się tedy w konieczności prosić ministra sprawiedliwości Simsona o przyjęcie go na powrót do służby rządowej. Rząd, który był względem niego związany poprzednio daną obietnicą, nie mógł do prośby jego się nie przychylić; jednak wysłano go na sędziego okręgowego do Wrześni, miasta w Poznańskim. To osadzenie Schulzego pomiędzy ludność obcą mu narodowością, językiem i zwyczajami, równało się wygnaniu. Po dwóch latach jednak ciągłej pracy, zmęczony, prawie umierający, podał się do dymisji i takową otrzymał.

Wolny od wszelkich obowiązków urzędowych, Schulze-Delitsch poświęcił od tej chwili najlepsze swoje siły zadaniu dźwignięcia stanu rzemieślniczego z nędzy, zależności i upokorzenia. Osiadł w Delitsch dla przyczynienia się osobistym współudziałem do rozkwitu założonego przez sie-

bie niedawno stowarzyszenia rzemieślniczego, i dla zachęcania mową i pismem dla zakładania stowarzyszeń po całych Niemczech. Praca jego najpomysłniejszym uwieńczona została skutkiem. Obecnie rozwija on, jako bezustannie wybierany deputat do izb pruskich, nadzwyczajną działalność na polu społecznym.

Przystępujemy do rozpatrzenia nowych stowarzyszeń. Te rozpadają się, stosownie do swego przeznaczenia, na dwie główne grupy. Pierwsze mają na celu oświatę, drugie byt materialny członków. Te ostatnie dzielą się na dwie gałęzie, stosownie do tego, czy stowarzyszenie ma na uwadze *przygotowanie do przemysłu, czy sam przemysł*.

Dla bliższego zapoznania się z zasadami stowarzyszeń posiłkujemy się własnymi słowami Schulzego, wyjętymi z wyborowego jego dziełka, zwanego *Katechizm dla robotników* (*Arbeiter katechismus*).

Do stowarzyszeń, mających na celu przygotowanie do przemysłu, zaliczają się:

1. *Stowarzyszenia zaliczkowe*, zwane także bankami ludowymi, które ułatwiają członkom utrzymanie kredytu i pożyczek.

2. *Stowarzyszenia dla zakupu surowych materiałów* (*Rohstoff-Vereine*), w które się łączą rzemieślnicy wspólnego rzemiosła, celem hurtownego nabywania połączonymi siłami potrzebnych im materiałów surowych, maszyn i drogiego narzędzi.

3. *Stowarzyszenia spożywcze* (*Konsumvereine*), w które się łączą członkowie dla hurtownego, a tem samem tańszego zaopatrywania się w przedmioty służące do zaspakajania codziennych potrzeb życia.

4. *Kasy dla chorych*, czyli tak zwane *stowarzyszenia braterskie*, które mają na celu udzielanie w razie potrzeby stowarzyszonym pomocy lekarskiej i tanich lekarstw.

Do stowarzyszeń mających na celu sam przemysł należą:

1. *Stowarzyszenia magazynowe*, które sprzedają we wspólnych magazynach wyroby członków, produkowane w odosobnionych własnych warsztatach tychże członków.

2. *Stowarzyszenia produkcyjne*, w których produkcja i sprzedaż wyrobów dokonywa się na wspólny rachunek i ryzyko zjednoczonych członków.

Główne zasady, które służą za wspólną podstawę wszystkim rodzajom stowarzyszeń, streszczają się w następujący sposób:

1. Ci, o których potrzeby czy to w przemyśle, czy to w gospodarstwie domowym, stowarzyszenie troszczyć się ma, powinni być członkami i filarami całego przedsiębiorstwa, ponosić jego korzyści i straty, bo tylko w ten sposób zorganizować można społeczną pomoc własną.

2. Muszą oni przyjąć osobisty udział nie tylko w korzyściach i stratach, ale w kierownictwie i zarządzie stowarzyszenia, czyli nie tylko w materialnej, ale i w duchowej działalności przedsiębiorstwa. Powinni zatem zajmować się specjalnymi czynnościami administracji i uczestniczyć w obradach.

3. Fundusz potrzebny do interesów stowarzyszenia składa się z udziału członków, które powstają ze składek, peryodycznie przez nich opłacanych i z dywidend, czyli korzyści przedsiębiorstwa, które rozdzielane bywają pomiędzy uczestników. Wysokość udziałów zależy od obszerności i bezpieczeństwa przedsięwzięcia, niemniej od zamożności członków.

4. Ażeby pozyskać tak niezbędnych wdzisiejszych stosunkach kredyt i dostarczyć wierzycielom silnej rękojmi zwrotu, wszyscy członkowie zobowiązują się do solidarnej odpowiedzialności za długi stowarzyszenia.

5. Nakoniec wykluczoną zostaje ze stowarzyszenia owa, tak zwykła w życiu przemysłowców *wyłączność*, dążeniem bowiem przedsiębiorstwa nie jest zamknięcie się w małym kółku, ale przeciwnie, zapewnienie korzyści o ile można największej liczbie stowarzyszonych. W tym celu urządzają się warunki należenia do grona członków w taki sposób, ażeby mogły być spełnione przez każdego porządnego i pracowitego robotnika, który ma szczerą chęć pomagania sobie, bo właśnie przy licznym współudziale cele stowarzyszenia najłatwiej i najdoskonalej w interesie wszystkich osiągniętymi być mogą.

Każdy wstępujący do stowarzyszenia musi przede wszystkim przynosić dzielne *przymioty wewnętrzne*, bo zjednoczenie jest wprawdzie w stanie spotęgować skuteczność *zewnątrznych* warunków przemysłu, jak np. powiększyć kapitał i kredyt ale nie może zastąpić braku *umysłowych i moralnych* zasobów, od których zależy pomyślność całego

przedsięwzięcia. Przez zsumowanie niedołącznych jednostek nie utworzy się nigdy dzielnej całości.

Moralny wpływ stowarzyszeń na klasy robocze nie jest mniejszy od korzyści materialnych. Łatwo można sobie wystawić, jakim błogosławieństwem jest dla robotnika posiadanie kapitału, który dla niego stanowi podporę w przemyśle i gospodarstwie, który mu ułatwia osiągnięcie samoistności, albo przynajmniej poi niezawodną nadzieją tej samoistności. Robotnik ma przed sobą dotykającą, trwałą korzyść i przekonywa się, że uczciwa praca i oszczędność pomagają w samej rzeczy do pomyślności, do posuwania się na wyższy szczebel społeczny. Wzrasta energia i chęć do pracy, a poczucie większej pewności dodaje siłę i wytrwania.

Ów wysoki wpływ moralny stowarzyszeń przecież nie polega jedynie na możności wytworzenia własnego kapitału i kredytu dla członków. Poczucie, że się należy do towarzystwa, które ma znaczenie i wpływ w stosunkach ekonomicznych, działa nadzwyczaj dobroczynnie na członków. Jakże oplakana jest często rola drobnego rzemieślnika lub robotnika, kiedy np. przy kupnie surowych materiałów lub artykułów żywności, albo przy pożyczce pieniędzy, uciekać się musi do pomocy detalicznych kupców i faktorów!

Wygórowane ceny i złe towary, wysokie procenta i lichwiarskie warunki czekają tu rzemieślnika, bo jego wierzyciele muszą być przygotowani na straty, i dla tego większe ciągnąć zyski. A pokrzywdzonemu nie wolno nawet się skarżyć, musi się poddać wszelkim ciężarom i upokorzeniom, aby tylko otrzymać czego potrzebuje. Inaczej zupełnie dzieje się w stowarzyszeniach! Tu rzemieślnik staje się spółnikiem przedsiębiorstwa, którego zadaniem jest potrzeby jego zaspakajać, stoi o własnych siłach i nikomu dziękować ani kłaniać się nie jest obowiązany. Prawa i obowiązki są dla wszystkich jednakowe, warunki umiarkowane, co jest możliwe przy operacjach na wielką skalę, a nadto płynnie korzyść z przedsiębiorstwa do własnej kieszeni. To wywołuje *poczucie własnej siły*. Stowarzyszony pojmując, że zna coś własną siłą, że nie jest na niczyjej łasce. Ztąd płynie także *poczucie własnej godności*. Stowarzyszony czuwa sam nad sobą, wystrzega się wyrządzić szkodę spółce, bo wykluczenie z niej równa się niesławie. To wywiera wpływ na cały tryb życia członków, na ich przemysł i gospodarstwo, na ich pracowitość i uczciwość. Po tem wszystkim

cośmy tu powiedzieli, zdaje się że nie przesadzimy, mówiąc: że niema skuteczniejszego środka do moralnego podźwignienia klasy robotczej, jak stowarzyszenia.

Do zbawiennego wpływu moralnego, który stowarzyszenie na swoich członków wywiera, zaliczyć należy i korzyść umysłową, jaką robotnik i rzemieślnik z niego wynosi. Jakże rzadko rzemieślnik, obracający się w ograniczonych miejscowych stosunkach, albo robotnik pracujący w cudzej fabryce, znają wewnętrzne i zewnętrzne warunki swej pracy, rozległe okoliczności, od których zależy skuteczność ich działalności. Mechaniczny trud, nagłać potrzeby chwili, pochłaniają wszystkie ich siły fizyczne i umysłowe i nie pozwalają zastanawiać się nad środkami wydoskonalenia swego przemysłu, nad zaspakajaniem wyższych potrzeb. Dopiero w stowarzyszeniu widnokrąg się rozszerza. Nabywanie i odprzedawanie w wielkich partjach zmusza ich do wzniesienia się po nad stosunki miejscowe, do nabywania kupieckich wiadomości i doświadczeń. Oprócz czynności mechanicznych, które tak jak dawniej wykonywają za warsztatem lub w fabryce, i które im dostarczają środków do życia, muszą nadto przyjmować udział w kierownictwie i zarządzie spółki, śledzić za stosunkami targu na wielką skalę i załatwiać czynności, które wymagają pewnego stopnia inteligencji, a które dotychczas były dla nich obce.

Niepodobna, ażeby przy braku doświadczenia, w początkach nie okazały się pewne niedostatki i nie wynikły szkody, nie można jednak szkody tej pominąć, a poczynione próby przekonały, jak prędko i dobrze rzemieślnicy i robotnicy do nowych czynności się wdrażają.

Ażeby kto nie sądził, że wszystko cośmy dotychczas powiedzieli jest tylko jakąś teorią, czołą deklamacją, nie od rzeczy będzie przedstawić fakta, wykazać na cyfrach jak olbrzymim i szybkim jest rezultat uzyskany przez Schulzega z Delitsch w Niemczech, nie odznaczających się jak wiemy w czynach zbyt wielką pośpiesznością.

W końcu roku 1865 znajdowało się już w Niemczech około 3,000 stowarzyszeń, z których połowa miała na celu oświatę. Około 1,500 zajmowały się wyłącznie interesami ekonomicznymi. Z tych Schulzemu znane było 961 stowarzyszeń zaliczkowych, czyli banków ludowych, 199 stowa-

rzyszeń magazynowych, produkcyjnych i do zakupienia surowych materiałów, a 157 stowarzyszeń konsumcyjnych.

Schulze w sprawozdaniu swym za rok 1865 przedstawia obraz działalności stowarzyszeń zaliczkowych, które mu swoje rachunki roczne nadesłały. Pożyczki przez te banki członkom w ciągu roku udzielane, po największej części na trzymiesięczne terminy wynosiły 67,569,903 talarów. Obrót ten dokonany został za pomocą 22,509,334 tal., z których 17,656,776 tal. należało do osób trzecich, które sumę tę stowarzyszeniom na procent wypożyczyły, a 4,852,557 było własnością stowarzyszeń i ich członków, a mianowicie: 4,442,879 jako udziały członków, a 409,679 jako fundusz rezerwowy, który służy za pokrycie wyniknąć mogących strat. W ten sposób własny kapitał stowarzyszeń w stosunku do kapitałów obcych, wyszedł przeszło 27%. Liczba członków tych 498 stowarzyszeń dochodziła do 169,595, zysk czysty rozdzielony pomiędzy uczestnikami i powiększające fundusze rezerwowe czynił 363,467 talarów. Jeżeli weźmiemy jeszcze w rachubę 463 stowarzyszeń zaliczkowych, które Schulzemu bilansów swych nie nadesłały, i te, o których wiadomość do niego jeszcze nie desza, to będziemy mogli utworzyć sobie pojęcie, jakie dobrodziejstwa wyświadcza ta jedna gałąź stowarzyszeń ludowych klasom robotczym, a coż dopiero wszystkie!

Stowarzyszenia te nie zamknęły się w granicach Niemiec, ale szeroko się rozpowszechniły po Francji, Belgii, Włoszech, Czechach, Rosyi, a nawet przedarły się do innych części świata, do Egiptu.

Wobec tych olbrzymich rezultatów stowarzyszeń, spoczywających na naturalnem prawie własnej pomocy, jakże bladym wydaje się obraz działalności stowarzyszeń ludowych, zbudowanych na fundamencie obcej pomocy. Powiedzieliśmy już wyżej, że system wsparć, pomijając już jego niedostateczność i niemoralność, jest na wielką skalę niewykonalny. Zwyczajny rachunek arytmetyczny wystarcza do wykazania niepraktyczności produkcji, wspieranej przez państwo. Drobną mniejszość może wprawdzie używać przywilejów kosztem większości, pięciu np. może żyć kosztem dziewięćdziesięciu pięciu, ale jakim sposobem ogromna większość ma być utrzymana przez mniejszość, jest to zadanie, rozwiązanie którego żaden rachmistrz się nie podejmie. Tylko mniejszość może czerpać zasoby z kieszeni reszty

obywateli, jak to widzimy niekiedy w państwach, których ster spoczywa w rękach małego ale silnego stronnictwa; ale żeby większość żyła na zoldzie mniejszości — to niepodobniństwo. Zwolennicy pomocy państwowej obliczają, że 95% ludności potrzebuje pomocy państwa i domagają się dla tych 95% wsparcia, dla tego, że one same sobie pomagać nie są w stanie. Jeżeli to prawda, jeżeli ta ludność w samej rzeczy nie może sama się utrzymywać, jakimże sposobem ma jej dopomóc państwo, którego ona stanowi ogromną większość? Gdyby wszystkim tym ludziom państwo miało pomagać, maszyna państwowa stałaby się jeszcze bardziej kosztowną, najprzód z potrzeby powiększenia stanu urzędniczego, a powtórze z powodu oderwania tych sił od produkcji. Ten więc system jest mrzonką i nie może znaleźć zwolenników w ludziach, znających tabliczkę mnożenia!

Historia wspieranych stowarzyszeń dostarcza niewzruszonego świadectwa prawdziwości tego cośmy wyżej powiedzieli. Z 56 stowarzyszeń wspartych w roku 1848 przez rząd francuzki sumą 2,590,000 franków, istnieje zaledwie 10, podczas kiedy 20—30 paryzkich stowarzyszeń produkcyjnych, znajdujących się w kwitującym stanie z pomocy państwowej nie korzystały. W Berlinie również założono w latach 1848 i 1849 przeszło 100 kas pożyczkowych, które udzielały biednym robotnikom i rzemieślnikom pożyczek, albo za małym wynagrodzeniem. W r. 1857 wedle sprawdzeń urzędowych, wszystkie te instytucje, posiadające razem majątek wynoszący 85,018 talarów, udzielały zaliczeń w sumie 68,761, jakkolwiek zdolni przemysłowcy berlińscy co najmniej dziesięć razy tyle potrzebowali.

Stowarzyszenia Schulzego z Delitsch, które się tak szeroko rozpowszechniły i tak olbrzymie przybrały rozmiary, zamykały się wszędzie w naturalnych granicach i prawie żadnych strat nie poniosły; tymczasem sprawozdanie z r. 1857 donosi, że np. jedno ze wspieranych stowarzyszeń berlińskich szkodoowało w ciągu roku na 119 tal. 17½ sgr., a w ciągu swego kilkoletniego istnienia, udzielając 33,545 talarów, jako zaliczenia, straciło 1,259 talarów, a więc przeszło 3 od sta, i to wszystko z powodu niewypłacalności dłużników. Przeciwstawmy słabemu działaniu tych stu berlińskich kas pożyczkowych, obrót jednego stowarzyszenia zaliczkowego np. w Angermünde, miasteczku liczącem 5,700

mieszkańców. Stowarzyszenie to założone zostało r. 1862, i w pierwszym zaraz roku 187 członków otrzymało w zaliczkach 63,136 talarów. Tak samo stowarzyszenie w Meissen (18,000 mieszkańców) w pierwszym roku istnienia udzieliło swoim 376 członkom pożyczek w sumie 156,545 talarów, a zysk czysty wynosił 755 talarów.

Po takich przekonywających świadectwach o wysokiej praktycznej wartości stowarzyszeń, opartych na własnej pomocy, zgadzamy się w zupełności z wyrazami, które założyciel niemieckich stowarzyszeń do robotników berlińskich wyrzekł:

„Robotnicy niemieccy nie powinni być dla nikogo do wdzięczności obowiązani za byt swój, bo to nadwężałoby zasadę ich własnej pomocy i własnej odpowiedzialności, dwie podstawy ich moralnej godności, obywatelskiej równości i ekonomicznej niezawisłości, bez których o prawdziwym podźwignięciu klas roboczych mowy być nie może“.

Wielu zcicieli i zwolenników Schulzego z Delitsch zebrało w r. 1863 kapitał w celu założenia narodowego podarunku mężowi, który zaskarbił sobie nieśmiertelną sługę w podźwignięciu niemieckich klas roboczych, i jednocześnie dla zapewnienia spokojnej przyszłości temu, który z poświęceniem własnej swej osoby dla dobra wszystkich pracował, ażeby był i nadal w stanie oddać się zadaniu swego życia wszystkimi siłami i z wszelką swobodą. Niemcy wszystkich stanów chętnie składali ofiary na rzecz *daru narodowego*. Schulze jednak nie chciał przyjąć wrózonego mu kapitału, wynoszącego 50,000 talarów, jakkolwiek jego stan majątkowy nie upoważniał go do tego wspaniałomyślnego czynu. Na usilne wszelako nalegania przyjął trzecią część dla zakupienia sobie i uprawienia kawałka gruntu. Resztę ofiarowanych mu pieniędzy przeznaczył na kapitał zakładowy dla banku stowarzyszeń, który za pomocą akcyj został podniesiony do 270,000 talarów.

Schulze Delitsch jest zarządzającym *instytucją pośredniczącą* niemieckich stowarzyszeń. Jako taki otrzymuje on tantiemę, wynoszącą 2 od sta czystego dochodu tych stowarzyszeń, które do instytucji pośredniczącej przystąpiły. Natomiast Schulze zobowiązał się ponosić wszelkie koszty biurowe i nie przyjąć żadnego urzędu, ani w służbie publicznej, ani prywatnej, ażeby był w stanie czas swój i siły wyłącznie poświęcić stowarzyszeniom i dążeniom z nimi

spokrewnionym na polu socyalnem. Do końca 1865 r. 567 stowarzyszeń przystąpiło do instytucji pośredniczącej, która ułatwia zawieranie wzajemnych stosunków pomiędzy stowarzyszeniami, szuka dla nich źródeł kredytu, broni za sad i interesów stowarzyszeń w prasie¹⁾ i w ogóle bardzo użyteczną się okazuje dla pomyślności i rozwoju stowarzyszeń ludowych.

Podczas kiedy w Niemczech ruch na polu stowarzyszeń tak zadziwiająco wydał rezultaty, klasy robocze w Anglii również nadzwyczajną na tem polu rozwinęły działalność. Tu już w początkach bieżącego stulecia szlachetny jeden mąż. Robert Owen, syn ubogich rodziców, dał popęd do stowarzyszeń robotników przez założenie w szkockiej wiosce fabrycznej Newlanark wzorowego zakładu, który miał na celu polepszenie moralnego i materialnego losu robotników za pomocą dobrego przykładu, wzajemnej zachęty, dobrego wychowania i przypuszczenia robotników do udziału w korzyściach przedsiębiorstwa. Jego projekt, oddany pod rozpoznanie parlamentu, w którym głównie na uwagę zasługuje ustęp „rozwiązać wielkie ogniska fabryczne i urządzić w ich miejsce wsie przemysłowe, w którychby każdy robotnik był w stanie przez uprawę kawałka ziemi konieczne swe potrzeby zaspokoić“, został odrzucony. Nato miast dobry jego przykład nie pozostał bez skutku. Między rokiem 1840 i 1850 założone zostały w Anglii drobne stowarzyszenia przez robotników podupadłych z powodu stagnacji i bezroboci (strejk), którzy spodziewali się przez skupienie szczupłych swoich zasobów osiągnąć pewne korzyści ekonomiczne. Rozwój tych stowarzyszeń tak szybkie robił postępy, że w końcu roku 1865 w samej Anglii znajdowało się przeszło 600 stowarzyszeń spożywczych, z których 417 nadesłały sprawozdawcy Tidd Pratt swoje rachunki. W ostatnich tych stowarzyszeniach liczba członków wynosiła 148,586, kupiono produktów za 76,577,200 fr. (około 126,721,500 złp.) odprzedano za 84,345,925 fr. (140,578,217 złp.), zarobiono 6,980,650 fr. (11,644,417 złp.²⁾). Pomiędzy temi stowarzyszeniami sławni Pionierzy w Rochdale zajmu-

ją najwybitniejsze stanowisko, dlatego też nie będzie dla naszych czytelników bezkorzystnem zapoznanie się z kolejami ich rozwoju.

Największa część dawniej (przed 60—80 laty) założonych stowarzyszeń dlatego głównie upadła, że w niewłaściwy sposób kredytu udzielała. W mieście Rochdale zawiązało się w roku 1844 kilkunastu robotników tkackich w stowarzyszenie, i ułożyli się, że co tydzień składać będą część swych oszczędności, ażeby za pomocą zebranych w ten sposób pieniędzy wynająć sklep, zakupić hurtownie niektóre artykuły żywności i takowe odprzedać. Dla usunięcia wszelkich szkód jakie dla drobnego przemysłowca wynikają z ciągnięcia długów, położono jako niezłomną zasadę, ażeby żadnemu członkowi nie udzielić kredytu na sprzedawane w magazynie spółkowym produkta, i nawzajem za wszystkie zakupy płacić gotówką. Tu uwidatnia się znowu powolna ale niezawodna potęga własnej pomocy, która przy wytrwałej pilności jest w stanie ze skromnych początków do olbrzymich dojść rezultatów. Pierwiastkowo stowarzyszenie składało się tylko z 28 dzielnych mężów, których liczba z czasem doszła do 40. Członkowie płacili do kasy stowarzyszenia z początku po 2 pensy (10 groszy) później po 3 pen. (15 gr.) tygodniowo, i uzbierali dzięki mozolnej oszczędności wspólny kapitał wynoszący 28 funtów szterl. (1.020 złp.) Tym funduszem położono fundament do stowarzyszenia, które z biegiem czasu do olbrzymiej wzrosło potęgi. Wynajęto z początku na oddalonej uliczce sklepik za 10 f. szt. (400 złp.) rocznie, wybrano kasyera i zarządcę, po czem zabrano się do zakupu artykułów w żywności. Summa, która po opłaceniu wszelkich kosztów pierwotnego urządzenia na ten cel użytą być mogła, wynosiła 14 f. szt. co dało powód jednemu z sąsiednich kramarzy do wyrzeczenia na wpół z litością, na wpół z szyderstwem: że on mógłby cały zapas na swoją taczkę zabrać.

Młode stowarzyszenie miało zaraz w początkach swego istnienia ciężkie do przebycia próby. Zrobiono kilka niefortunnych zakupów; żony członków nie chciały się przyzwyczaić do zaspakajania swych potrzeb w magazynie stowarzyszenia, nadto odpadło kilku członków. Przedstawienie, ażeby tych członków, którzy nie kupują regularnie w magazynie wykluczyć ze stowarzyszenia, zostało odrzucone, z powodu, że nie należy naruszać wolności członków i krę-

¹⁾ Stowarzyszenia niemieckie mają swój własny organ p. t. „Blätter für Genossenschaftswesen“, wydawany tygodniowo przez Schulze-Delitsch.

²⁾ „Ekonomista“ za miesiąc październik 1866, str. 173.

pować ich w działaniu. Co do podziału korzyści zgodzono się na to, ażeby je dzielić nie w stosunku do wysokości udziałów, ale w stosunku do zrobionych w magazynie zakupów. Ta zasada jest pod trzema względami bardzo ważną; popierwsze: członkowie jako jednocześnie sprzedawcy i nabywcy ściślej zostali ze stowarzyszeniem związani, powtóre: magazyn spółkowy zapewnił sobie w uczestnikach swych koło stałych kundmanów, potrzebie: wydatki członków na potrzeby życia, które znaczną wynoszą sumę, zamiast mają pójść na korzyść obcych, wpływają do stowarzyszenia i przyczyniają się przez to do jego ożywienia. Nowo wstępujący członek bierze według statutów 5 akcji po 1 f. szt. (40 złp.). Przy końcu roku obliczona zostaje dywidenda, należąca się każdemu członkowi za poczynione w stowarzyszeniu zakupy, która zwykle tak długo pozostaje w kasie tegoż stowarzyszenia, aż póki nie zostanie zaspokojony dług, zaciągnięty przy nabyciu 5 akcji. Statuta określają jaką ilość akcji każdemu członkowi najwyżej posiadać wolno. Dawniej można było posiadać tych akcji tylko za 100 f. szt., dziś za 200 (8 000 złp.). To, co znajduje się w kasie więcej aniżeli stanowić winien najniższy udział członka, może być przez niego wycofane i w niektórych nagłych wypadkach można nawet odebrać pewną część owego minimum. Niezamożny więc człowiek, który kupuje w magazynie spółkowym nie drożej jak gdzieindziej, dowiaduje się na końcu kwartału ku miłemu swemu zdumieniu, że tyle a tyle należy mu się z zysku odniesionego przez magazyn. Jeżeli uczestnik zostawia przypadającą na niego część korzyści w stowarzyszeniu, interesa magazynu po myślnie się rozwijają, to łatwo zdarzyć się może, że kwartalne dywidendy wzrastają do sumy 100 f. szt. i więcej. Jakkolwiek pierwiastkowo wstrzemięźliwość była ciężką ofiarą dla wielu członków, to jednak zaoszczędzenie dywidendy stało się wkrótce sprawą honorową, a dobry przykład najsłabszemu dodawał siły. Zamiast co biećni ludzie dawniej przez korzystanie z kredytu, coraz bardziej i rozpaczliwiej w długi popadali, to członkowie stowarzyszenia po części już w pierwszym roku swego uczestnictwa byli w stanie dawne długi zaspokoić.

Jak biednem zresztą było stowarzyszenie w pierwszych czasach swego istnienia, pokazało się w drugim roku, kiedy chciało do znajdujących się już w magazynie artyku-

łów żywności dołączyć herbatę i tytoń. Z wielkiem wysiłkiem zdołano przeprowadzić uchwałę, ażeby składki tygodniowe podniesione zostały z 2 do 3 pen. (z 10 do 15 gr.). Drobne sumki były cenione jak wielkie majątki. I tak, ażeby umozebnić kupno dwóch tych artykułów, jeden z członków ofiarował pół korony (3 złp.), inny 5 szylingów (10 złp.), trzeci aż cały funt. szt. (40 złp.). Przy końcu roku 1845 liczba członków wynosiła 80, którzy posiadali kapitał 181 funt. szt. (7,240 złp.). Sprzedawano już tygodniowo za 30 funt. szt. (2,200 złp.), a procenta ze składki podniosły się z $2\frac{1}{2}$ od sta. na $4\frac{1}{2}$. Z początku magazyn był otwarty tylko w soboty i poniedziałki wieczorem, od marca zaś 1848 cztery razy na tydzień po południu i wieczorem. W tym samym roku kapitał wynosił 252 f. szt. (10,080 złp.); sprzedawano tygodniowo za 34 f. szt. (1,360 złp.). W roku 1850 liczba członków wzrosła do 600, kapitał do 2 299 funt. szt. (91,960 złp.), tygodniowy obyt do 358 f. szt. (14,320 złp.). Już w r. 1849 urządzono czytelnię i resursę. Postanowiono $\frac{1}{4}$ część zysku poświęcić na kupno pouczających książek, a obecnie zaspakaja duchowe potrzeby biblioteka złożona z 4,000 tomów, wraz z dobrym wyborem kart geograficznych i obszerna czytelnia, zaopatrzona w liczne gazety i pisma peryodyczne. Z biegiem czasu otwierano coraz więcej magazynów, tak że obecnie znajduje się ich 16, z których pewne sprzedają wyłącznie jeden przedmiot, jak np. suknie, skórę i t. p.

W r. 1850 stowarzyszenie przeszło przez próbę ognia. Młyn bowiem który w tym roku założony został w celu mielenia zboża stowarzyszenia na potrzeby członków, osiągnął straty z powodu błędnego urządzenia i kierownictwa. To okoliczność wywołała pomiędzy członkami wielkie obawy, tem bardziej, że niedawno przed tem zbankrutowała w mieście kasa oszczędności, której uczestnicy po większej części przenieśli się do stowarzyszenia pionierów. Ze strachu wielu członków zazaądało nagle zwrotu swych udziałów. W tem nader kłopotliwem położeniu pokazała się cała wartość zasady płacenia za wszystko gotówką. Zasada ta jedynie ocaliła stowarzyszenie. Zdarzało się, że wielu mężczyzn i kobiet, którzy szturmowali do kasy, gdy im należności ku wielkiemu zdziwieniu natychmiast wypłaconemi zostały, pieniądze swe napowrót kasie powierzyli. Dobra sława stowarzyszenia jeszcze bardziej utrwaloną została, gdy się do-

wiedzano, że ono posiada jeszcze u bankierów sumę 2,000 f. szt. (80,000 złp.).

Od tej chwili rozwój stowarzyszenia czynił wielkie i szybkie postępy. Zręczny jednak robotnik objął kierownictwo młyna i po krótkim czasie był w stanie dostarczać tygodniowo rozmaitym magazynom stowarzyszenia 1,700 worków mąki, kaszy i t. p. Do młyna dołączoną została w r. 1856 fabryka wyrobów bawełnianych, która z początku istniała w wynajętym domu, ale po czterech latach przeniosła się do własnej na ten cel przez stowarzyszenie zbudowanej kamienicy, i opatrzoną została najdoskonalszymi maszynami i kosztowała 40,000 f. szt. (1 600,000 złp.). W przeciągu jednego roku suma ta została w zupełności zapłaconą i położono kamień węgielny nowej fabryki, do której kilku szlachetnych budowniczych bezpłatnie plany wygotowało, a jeden z pionierów, kamieniarz z rzemiosła, budowę wykończył.

Stowarzyszenie spożywcze wraz z przedziałnią i zakładem tkackim, obejmowało według sprawozdania z r. 1860 akcyonaryuszów 1,600, a robotników 500, którzy pracowali na sztuki i tak samo jak akcyonariusze mieli udział w korzyściach stowarzyszenia. W tym roku odebrano im to prawo przez uchwałę większości. Rok 1862, w którym przesilenie bawełniane najwyższego dopięło szczytu, również nie małą był dla stowarzyszenia próbą; 399 członków wystąpiło ze stowarzyszenia a odebrane udziały przewyższyły składki o 15,766 funtów szterlingów (630,640 złp.). Oprócz tego stowarzyszenie wypłacało w czasie największej nędzy pozbawionym pracy robotnikom 10 f. szt. (400 złp.) tygodniowo tytułem wsparcia. Ale już w ciągu roku 1863 stan rzeczy był znowu tak kwitnący jak poprzednio. Sprawozdanie za r. 1864 wykazuje, że liczba członków doszła do 4,600, kapitał wynosił przeszło 59,000 f. szt. (2,360,000 złp.), w ciągu roku sprzedawano za 174,000 f. szt. (6,960,000 złp.)¹⁾. Kupujący otrzymali znakomitą dywidendę, bo około 12 od sta. Jakkolwiek ten rezultat wydaje się nieprawdopodobnym, przekonamy się jednak, że on jest bardzo naturalny, skoro tylko poznamy prostotę i doskonałość zarządu. Na czele przedsiębiorstwa stoją zarządzający dyrektorzy, którzy zbierają się raz na tydzień i zwołują co miesiąc ogólne

¹⁾ „Ekonomista” za miesiąc październik 1866 r.

zgromadzenie, na którym wszyscy członkowie mają równy głos. Tu załatwiają się wszystkie wątpliwości na drodze dyskusji, rozpoznają się wszelkie skargi i zażalenia, które osądzone bywają przez sąd polubowny i głosowanie, skutkiem czego żaden proces prawny dotychczas nie zakłócił zgody pomiędzy pionierami. Jak się łatwo domyśleć można, dobry przykład dany przez stowarzyszenie w Rochdale, nie pozostał bez wielkiego moralnego wpływu na ludność miasta i okolicy, nie przyjmującą zawet udziału w stowarzyszeniu. Kosztem stowarzyszenia urządzono w mieście piękną studnię, a spółka, wyszła z łona stowarzyszenia, wybudowała do czasu przesilenia bawełnianego 33 wygodnych mieszkań dla rodzin robotników.

Nadzwyczajne powodzenie pionierów w Rochdale zachęciło inne miejscowości Anglii do tworzenia podobnych stowarzyszeń, które po większej części przyjęły zasady swego świetnego pierwowzoru. Tem bardziej dziwił musi fakt, że przykład własnej pomocy dany w Niemczech przez stowarzyszenie w Sagan, tak długo pozostał bez naśladowców. Stowarzyszenie to po raz pierwszy pokazało, jak sobie rzemieślnicy radzić mają, przy przeobrażaniu odrętwiałych form cechów średniowiecznych w nowe instytucje, zgodne z duchem czasu.

Było to w roku 1816, kiedy pomiędzy sukiennikami w Sagan na Szląsku panował niezwykle ruch, który mógłby stać się źródłem zbawiennej reformy stanu rzemieślniczego, gdyby był dobrze pojęty i powszechnie naśladowany. W Sagan rękodzielnie sukiennicze istniejące od XIII stulecia były głównym źródłem utrzymania mieszkańców. Tem dotkliwiej więc poczuło niebezpieczeństwo, zagrażające temu przemysłowi, ze strony przedziałni parowych i fabryk na wielką skalę; zaczęto myśleć nad środkami uwolnienia się od tego niebezpieczeństwa. Już w początkach bieżącego stulecia wprowadzono do Sagan wydoskonalone narzędzia, tak że w roku 1815 obok 183 prostych warsztatów tkackich, było w ruchu 67 maszyn. W roku 1816 przezorniejsi sukiennicy zrobili jeden ważny krok naprzód. Myśl podniesienia się przez zjednoczenie, myśl będąca pierwiastkowo podstawą urządzeń cechowych, a która jednakże już dawno w zapomnienie poszła, została przez dzielnych sukienników w Sagan wskrzeszoną w duchu pojęć nowoczesnych. Do pomysłu rozwoju należało przede wszystkim posiadać

własny folusz. Majątek stowarzyszenia nie wystarczał na jego zakupienie, bo jak niestety we wszystkich cechach, tak i tu, w czasach kwitnienia przemysłu o wszystkim myślano prócz oszczędności, i piękne dochody zostały przepite bez oglądania się na przyszłość. Grzechy ojców są często karane na synach i wnukach! Skrzętni sukiennicy znaleźli jeszcze w kasie stowarzyszenia 405 talarów. Uchwalili więc natychmiast, ażeby ucztę wyprawiane zwykle przez wstępującego i opuszczającego cech były zniesione, przyszłe dochody troskliwie zaoszczędzone i użyte ekonomicznie, to jest zgodnie z pomyślnością i rozwojem przemysłu. Gdyby wszystkie cechy do tego przekonania doszły, dziś lepiej by się działo wielu tysiącom rzemieślników.

Z tem wszystkim potrzeby terażniejszości nie były jeszcze ani w części zaspokojone. Ażeby temu jaknajprędzej zaradzić — przedsięwzięto energiczne środki, które udały się przewybornie dzielnym tym ludziom, jedynie przez zastosowanie zasady własnej pomocy i łączenie się w stowarzyszenia. Z 113 członków cechu, stu połączyło się w spółkę. Wydział złożony z 4 członków został upoważniony do wystarania się o potrzebne kapitały do wybudowania foluszu sukiennego i postanowienia w jaki sposób zaciągnięte na ten cel długi mają być zaspokojone. Z zasady własnej pomocy wypłynęła w koniecznem następstwie zasada własnej odpowiedzialności. Wszyscy zjednoczeni majstrowie dali solidarną rękomię z całego swego majątku, jeden za wszystkich i wszyscy za jednego.

Otóż mamy w najlepszej formie zasady Schulzego z Delitsch. Pionerom Sagańskim należy się wielka za to cześć, że sami wynaleźli te zasady i że je w najlepszy sposób zastosowali. Folusz kosztował razem z gruntem 9,756 talarów, z których 7,796 talarów pożyczone były na wysoki procent. Pomimo tego niekorzystnego warunku przedsiębiorstwo to zdołało rozwinąć się pomyślnie. Po niedługim czasie folusz stał się zupełną własnością zjednoczonych majstrów, już to dzięki pomyślnym interesom, już to dzięki skrzętnym oszczędnościom członków. Można się było spodziewać, że ten pomyślny rezultat zachęci sukienników sagańskich do wytrwałego postępowania na drodze, którą sobie tak trafnie obrali. Tymczasem dziwnym, niewytłomaczonym sposobem, w przeciągu 25 lat nie widzimy żadnych objawów postępu. Ta obojętność po tak pięknym początku

tem więcej nas dziwi, gdy pomyślimy, że ją napotykamy u rękodzielników sukienniczych, dla których wielki przemysł fabryczny z każdym dniem stawał się niebezpieczniejszym. Wielu sukienników widziało się w konieczności przeniesienia swych przędzalni do innych miast. Przez zamknięcie granic Rosyi i Polski i założenie w krajach tych fabryk sukna, sukiennicy sagańscy stracili najważniejsze miejsce zbytu dla swoich wyrobów. Każdy przewidywał nieunikniony upadek całego przemysłu, a jednak rękodzielnicy ociągali się z odwołaniem do własnej pomocy. Wtem wydarzył się niepomyślny wypadek, który jednak w skutkach swych był bardzo szczęśliwy, bo wlał nowe życie w piersi leniwców. W roku 1841 pożar pochłonął folusz i w obec dymiących jeszcze zgliszczów 97 majstrów podało sobie ręce, zawiązali spółkę i postanowili nie tylko odbudować folusz, ale urządzić zupełną fabrykę i przędzalnię. W ślad za postanowieniem nastąpił czyn, tak że już w następnym roku dzieło to pomyślnym uwieńczone zostało skutkiem. Koszta budowy wynosiły 48,362 talarów, środki zaś własne stowarzyszenia osiągały tylko 4,679 talarów (9,86 od sta) które przez instytucję ubezpieczeń zostały wypłacone za spalony folusz.

W przeciągu dziesięciu lat od 1854 do 1863 wyrobiono w fabryce 4,526,371 funtów przędzy, folowano 195,937 sztuk sukna, appretowano 94,336 sztuk. W tymże czasie zakupiono nowe maszyny za 121,520 talarów, w jednym roku 1858 za 81,400 talarów. Suma otrzymanych współcześnie dywidend wynosiła 248,166 talarów albo przecięciowo 8.85 srebrnych groszy na talar zarobku, to jest 29.5 od sta. Majątek stowarzyszenia wynosił według sprawozdania z roku 1863, włącznie z funduszem przeznaczonym na dywidendę 220,817 talarów.

Liczba członków wynosiła w roku 1864—134. W fabryce gdzie tylko dorośli są do pracy dopuszczeni, pracowało 300 robotników obojej płci. Mężczyźni zarabiali dziennie 16—20 sgr. (3—4 złp.), kobiety 10 sgr. (2 złp.). Do kasy chorych musi każdy mężczyzna składać co tydzień 1 sgr. (6 gr.) każda kobieta $\frac{1}{2}$ sgr. (3 gr.); $\frac{1}{4}$ dokładają pryncypałowie.

Oprócz tych robotników było zajętych przy 500 warsztatach, znajdujących się w ruchu 316 czeladników i 126 uczniów. Tygodniowo wygotowują najmniej 1,000 sztuk sukna,

a więc rocznie około 50,000 sztuk. Każda sztuka może być oszacowaną przecięciowo na $33\frac{1}{2}$ talarów; ogólna więc produkcja wynosi wartość $1\frac{2}{3}$ miliona talarów.

Ci 97 majstrów, którzy przystąpili do urządzenia fabryki, nie tylko nie zastrzegli sobie wyłącznego używania fabryki, ale zezwolili na przypuszczenie do udziału i innych członków cechu. Kto chce z nich przyjąć udział w używaniu zakładów stowarzyszenia, musi zapłacić do kasy fabrycznej odpowiednie wkupne.

Stowarzyszeniem zarządzają trzy wydziały, zajmujące się trzema rodzajami czynności.

1. Wydział kasy, który ma nadzór nad kasą, stanowi o przyjęciu lub nieprzyjęciu wekslu, w ogóle reguluje stosunki kredytowe i jest obecny przy tygodniowej wypłacie robotnikom ich płacy.

2. Wydział pracy, który znowu dzieli się na trzy oddziały dla przedzalni, foluszu i apretury, kontroluje czynności majstrów i czeladników i kwartalnie składa sprawozdanie z działalności wszystkich maszyn.

3. Wydział spóżyicia, który czuwa nad spożywaniem materiałów: jak oleju, grępli i t. p., stara się, aby wełna i sukno fabryce do produkowania oddane, były dobrze wyrobione i należycie odstawione. Wydział ten stanowi też o obowiązkach wynagrodzenia ze strony majstrów, którzy swoją nieogłębnością przy robocie jaką szkodę spowodowali, i odmawia przyjęcia wełny i sukna, które już przy dostawie okazują się nieużytecznymi i uszkodzonymi. Nadto wyznacza ten wydział kolej, w jakiej mają być przyjmowane i odstawiane roboty, zwłaszcza wówczas, kiedy jest wielki napływ.

Uczestnicy nie powinni swoich potrzeb przemysłowych w innych fabrykach zaspakajać, wolno im wszelako wełnę w własnym domu prząść. Każde przestąpienie tego zakazu pociąga za sobą utratę dywidendy za rok, w którym ono nastąpiło. Jeżeli zakłady stowarzyszenia są do tego stopnia robotą obciążone, że nie mogą we właściwym czasie dostawy uskutecznić, to majster otrzymuje pozwolenie udawania się do innych fabryk.

Przy obrachunku zaliczają się wszystkie naprawy tak ruchomości jak nieruchomości, od strat, natomiast kosztów nowych budowli i maszyn, zapisują się do ksiąg jako powiększenie kapitału. Dalej odlicza się corocznie 10 od sta-

z wartości ruchomości i 2% z wartości nieruchomości, od roku 1863 odlicza się tylko 5 i 1%. Na amortyzację długów odkłada się na koniec corocznie 4,000 talarów, tak że po 15 latach wszystkie długi będą zaspokojone. Pozostały czysty zysk, zostaje rozdzielony jako dywidenda pomiędzy uczestnikami. W roku 1863 wypłacono członkom dywidendę za lata 1858 do 1859 talarów 44,878 ¹⁾.

Należy nam teraz powiedzieć słów kilka o pierwszych krokach, zrobionych u nas na polu stowarzyszeń rzemieślniczych.

Dnia 21 listopada 1864 r. 31 właścicieli warsztatów stolarskich, zawiązało przed rejentem kontrakt spółki przewidziany przez art. 1841 obowiązującego u nas kodeksu cywilnego. Spółka ta nosi nazwę: *Wystawy wyrobów zjednoczonych stolarzy warszawskich* i ma za zadanie:

1. utrzymanie wspólnego składu czyli wystawy wyrobów stolarskich,
2. sprzedaż tychże wyrobów,
3. udzielanie uczestnikom pożyczek czyli zaliczeń,
4. udzielanie wsparć podupadłym uczestnikom lub pozostałym po nich rodzinom.

Spółka zawiązała się więc w celach ekonomicznych i zarazem dobroczynnych. Zamiast utrzymać 55 składów (taka jest obecnie liczba członków) z których każdy pociągałby osobne koszty lokalu, administracji i t. p., spółka utrzymuje jeden wspólny magazyn na wielką skalę lepiej się poleca publiczności, więcej jest znany i łatwiej może być znaleziony, aniżeli 55 składników, rozrzuconych po wszystkich stronach rozległego miasta. Przytem ułatwia spółka swym członkom otrzymanie kredytu i uwalnia ich przeto od płacenia lichwiarskich procentów. Nakoniec pamięta i o tem, że całym majątkiem rzemieślnika są jego dziesięć palców, skoro te zostaną ubezwładnione, to i najuczciwszy i najpracowitszy rzemieślnik wraz ze swą rodziną w nędzę popada, i dla tego spółka zbiera fundusz wsparć, ażeby w razie choroby lub śmierci członka, mieć rodzaj emerytury dla nie-szczęśliwej rodziny.

¹⁾ Bliższe wiadomości o stowarzyszeniach ludowych, a w szczególności o stowarzyszeniach Schulzego z Delitsch, znajdują czytelnicy w artykułach Józefa Kirszrota, umieszczonych w *Ekonomiście* za miesiące grudzień 1866 r. i październik 1867 r. nadto w *Studiach ekonomicznych* M. E. Trepi.

Do dopięcia tych celów służą następujące środki:

1. zbieranie funduszu zakładowego, który powstaje z udziałów członków, wynoszących po złotych sto i zysków, odniesionych przez spółkę i rozdzielonych pomiędzy członkami, które im jednak nie są do rąk oddawane, ale powiększają w kasie ich udziały;

2. zbieranie funduszu rezerwowego, który powstaje z wkupnego, składanego przez każdego członka w sumie złp. 12, z $\frac{1}{10}$ corocznych zysków i z dochodów przypadkowych jak kar i t. p.

3. zbieranie funduszu wsparć, który powstaje z $\frac{1}{10}$ części corocznych zysków;

4. pożyczki zaciągnięte u osób trzecich na odpowiedzialność całego mienia spółkowego, a zarazem na solidarną odpowiedzialność wszystkich uczestników.

Członkowie mają prawo umieszczać swoje wyroby w magazynie spółki, po ocenieniu wszakże przez trzech biegłych dokładności i ceny wyrobu. W ten sposób kupujący, choćby najmniej obeznany z naturą i ceną wyrobów stolarskich, może śmiało wejść do magazynu, bez obawy aby był źle usłużonym. Biegli bowiem nie wpuszczają do magazynu żadnego wyrobu, któryby przedstawiał jakie niedostatki, lub którego cena była wygórowaną. Kupujący jest uwolniony od nieprzyjemnego targowania się, bo ceny w magazynie są stałe i słuszne. Na poczet wystawionego wyrobu, uczestnik może otrzymać zaliczenie do wysokości $\frac{1}{2}$ wartości wyrobu, na sześciomiesięczny najdalej termin. Za sprzedany wyrób uczestnik płaci magazynowi komisowe 10% od ceny ze sprzedaży otrzymanej; jeżeli w przeciągu dwóch lat wyrób nie jest sprzedany, to musi go właściciel odebrać pod rygorem płacenia składowego. Zyski rozdzielone zostają $\frac{1}{10}$ na fundusz wsparć, $\frac{8}{10}$ pomiędzy uczestnikami, w takim stosunku, w jakim oni do zebranego komisowego się przyczynili.

Pierwszym krokiem spółki towarzyszyły nieprzyjemne dla rozwoju ekonomicznego okoliczności, rezultat więc nie mógł być bardzo świetny; sprzedawała ona w magazynie swym w latach 1863 i 4, mebli za rs. 53,166 kop. $4\frac{1}{2}$, udzieliła zaliczki w sumie rs. 20,741 kop. 12. Liczba członków podniosła się do 57, z tych 2 zmarło, pozostało 55.

Przytaczamy na koniec ustęp z pięknej mowy mianej przez starszego zarządu p. Zelta na ogólnem posiedzeniu

spółki dnia 1 czerwca 1865 r. „Pierwsza to podobnego rodzaju spółka w naszym kraju, na wzór już istniejących od dawna za granicą zaprowadzona, a które pracą, industrią i wykończeniem rękodzieł, doszły znakomitego rozwoju. Takie i tym podobne spółki dźwigają przemysł, wzbogacają myśl twórczą naszych rękodzielników, bo prowadzą nas do coraz lepszego ich uznawania, mając bowiem ciąglą przed oczyma wystawę, każdy z nas starać się będzie o coraz lepszy gust, z wytwornością i trwałą dobrocią w ich wykończeniu połączony, a konkurencya i odbyty oddziały na obniżenie cen, i nie jeden z kupujących nabierze przekonania, że kraj, który tak obfite skarby w surowych płodach ziemi posiada, znajdzie i ludzi, którzy te skarby eksploatować potrafią, a zachęcony dobrocią i trwałością wyrobu, nie będzie wydawał pieniędzy za granicę, gdy ujrzy, że i u nas podobnych, jeżeli nie lepszych i wytworniejszych, przedmiotów dostać potrafi. Ale panowie stowarzyszeni, pracy, pracy i jeszcze raz pracy z wytrwałością połączonej nam potrzeba“.

Życzyćby należało, ażeby przykład i powodzenie stowarzyszenia stolarskiego pobudziły kraj nasz do licznego naśladownictwa, ażeby rzemieślnicy nasi wszystkich gałęzi poculi ważność własnej pomocy, potęgę, jaką wytworzyć może kojarzenie drobnych sił w jedną całość ekonomiczną. Zdaje się, iż rzemieślnicy nasi nie byli dalecy od urzeczywistnienia tych myśli, braknie im tylko inicjatywy i odwagi we własne siły, do rozpoczęcia dzieła, które ich pomyślność utrwalić może. Gdzie znajdzie się taka inicjatywa, tam skutki pokażą najświetniejsze rezultaty. Dowodem tego centralny lubo prywatny sklep obuwni urządzony przy ulicy Długiej w Warszawie. Każdy szewc znany właścicielowi, gdy posiada gotową parę butów, może takowe złożyć w sklepie czyli w składzie pomienionym, do którego hurtowni kupcy z prowincyi przybywają i w którym zakupy czynią. Majstrowie tacy mogą otrzymać zaliczenia i korzystać z kredytu otwartego im w czterech składach skór dla innych dogodności w różnych punktach Warszawy urządzonych. Skład ten prywatny znajduje się w stanie kwitującym i zasługuje aby zmieniony był na instytucję publiczną¹⁾.

¹⁾ W naszej prowincyi duch stowarzyszeń napotykał dotąd wiele prawnych materyalnych a niestety i moralnych trudności. Nieporadność

ROZDZIAŁ IV.

Pilność i wytrwałość.

Jako gwiazdy
Bez wytchnienia
Kręcą się na niebie,
Niech się każdy
Bez wytchnienia
Krzęta koło siebie.

Gete.

Do najszczytniejszych celów, najczęściej dochodzi się użyciem skromnych środków i przy współudziale zwyczajnych przymiotów. Pilność i wytrwałość są to dwie własności, które rozpowszechnione nie tylko pomiędzy ludźmi, ale i w świecie zwierzęcym, wydają nadzwyczajne skutki. „Być pracowitym jak pszczoła” albo „skrętnym i wytrwałym jak mrówka” — stało się przysłowiem, które wszędzie słyszeć się daje. „W pilności pszczoła może być twoim mistrzem, w zręczności robak twoim nauczycielem” powiada Schiller. I Biblia zachęca próżniaka do pracy stawiając mu za wzór mrówkę. „Idź do mrówki, leniwcze, i ucz się u niej skrętności” (Przysłowia Solomona 6. 6).

Jakkolwiek codziennie mamy dowody, że ludzie czynni i wytrwali zwykle szczęściem i powodzeniem się cieszą, a próżniacy i opieszali zamiast naprzód postępować w tył się cofają, to jednak zbyt często jeszcze, szczęście i powodzenie ślepeму trafowi są przypisywane. Człowiek może, jeżeli tylko chce, być twórcą swego własnego szczęścia, a los jest zaiste daleko mniej ślepy i stronny, aniżeli wielu przypuszcza.

jest u nas silnie zagnieżdżoną wadą. Przecież widzimy znakomite rezultaty Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń od ognia, którego pomysł i powstanie zawdzięczyć należy wieloletnim zachodom przedsiębiorcy Wydawnictwa „Dzieł tanich i pożytecznych” p. Fr. Trzecieckiego, a które dzisiaj w kwitnącym znajduje się stanie. Kwestya stowarzyszeń poruszona została w Przeglądzie polskim r. 1867 w artykule p. A. Szczepańskiego w broszurze p. T. Romanowicza „O Stowarzyszeniach”. Powstało też kilka stowarzyszeń rzemieślniczych w Krakowie i Lwowie, które nie wątpimy, staną się zawiązkiem rozległej sieci podobnych instytucji. Co dać Boże.

Zdarza się wprawdzie w niektórych przypadkach wyjątkowych, że szczęście sprzyja niegodnemu, że się ktoś, jak to mówią, w czepku rodzi, wątpimy jednak czy to można nazwać prawdziwym szczęściem. Po za obrębem bardzo nielicznych wyjątków, szczęścia nie nabywa się tak tanim kosztem, ale musi być ono zapracowane, wywalczone. Do pozyskania szczęścia trzeba pracy i wytrwałości, a do zachowania go — umiarkowania i przezorności. Powoli, krok za krokiem trzeba się piąć po szczeblach pomysłowości. Ale spaść przeciwnie można w jednej chwili, ściągając za sobą na ziemię — boleści i zmartwienia. Szczęście zawiera przymierze z pracowitym, tak jak wiatr i fale z doświadczonym żeglarzem. Umiejętne natężenie sił i zdolności, bywa prawie zawsze pomyslnym uwieńczone skutkiem. Przyczyna niepowodzenia bardzo rzadko jest jaka zewnętrzna okoliczność; po największej części pochodzi ono z winy samego człowieka. Każdy może sam swoje szczęście, że tak powiemy, ukuć, a do tego niepotrzeba mu żadnych nadzwyczajnych darów, tylko skromnych przymiotów: pilności, wytrwałości i zdrowego rozumu. Rozsądek, bystre oko, zręczna ręka, są to złote dary natury. Mistrz może się obejść bez geniuszu, ale natomiast najpotężniejszy geniusz obejść się nie może bez powyższych, pospolitych przymiotów. Niektórzy nawet utrzymywali, że geniusz nie jest nic innego jak tylko spotęgowany zdrowy rozum. Znakomity jeden myśliciel określił geniusz, jako możność natężenia swych sił i zdolności. Sławny naturalista francuzki Buffon powiedział: „Geniusz jest to cierpliwość”. Lessing wypierał się geniuszu i powodzenie swoje głównie krytyce przypisywał. „Nie jestem ja ani poetą, ani aktorem”, mówił o sobie „niektórzy mnie wprawdzie zaliczają do poetów, ale ci mnie nie znają. Kilka prób dramatycznych, które w świat puściłem, nie dają mi jeszcze do tego prawa. Nie każdy kto pędzel do ręki bierze i farby rozciera jest malarzem. Najstarsze z moich prób były pisane w tej epoce życia, kiedy każdy ma ochotę i zarozumiałość liczenia się do geniuszów. Jeżeli nowsze moje prace mają pewną wartość, mam to tylko zmysłowi krytycznemu do zawdzięczenia. Nie czuję w sobie owego żywego źródła, które własną siłą na wierzch się wydobywa, które samo przez się rozlewa w tak obfitych, świeżych i czystych potokach; ja muszę wszystko z siebie wydobyć pracą i natężeniem. Byłbym bardzo jałowy, zimny i krótkowidzący, gdybym się nie

był wyuczył zapożyczać skromnie obcych skarbów, ogrzewał się przy obcym ognisku, wzmacniał oko swe przez szkła sztuki. Gniewałem się też zawsze, ilekroć co czytałem, albo słyszałem niekorzystnego o krytyce. Ona ma przynębiać geniusz! a ja pochlebiam sobie, że jej mam do zawdzięczenia coś, co ma pewne powinowactwo z geniuszem. Jestem jak kulawy, który nie może być zadowolony z urągania kuli". Lessing niemniej jednak był geniuszem, a to geniuszem krytyki, jaki przed ani po nim nie istniał. Gete pojmował pod geniuszem „ową siłę twórczą, za pomocą której powstają czyny, mogące stanąć przed obliczem Boga i natury i właśnie dla tego mające trwałość i wydające skutki". Co do Lessinga mawiał: Chce on się wyprzedzić zaszczytnego tytułu geniuszu, ale jego trwała działalność świadczy przeciwko niemu".

Izaak Newton, bez zaprzeczenia jeden z najpotężniejszych duchów, zapytany pewnego razu jakich używał środków do dokonania wielkich swych odkryć, odpowiedział: „Bezustannie nad nimi się zastanawiałem". Inną razą w następujący sposób opisał swój sposób pracy: „Przedmiot moich badań mam bezustannie przed oczyma i czekam, aż póki świat nie przywidni się w jasne i pełne światło". Do jednego ze swych przyjaciół rzekł: „Jeżeli się pracami swemi światu w czemkolwiek przysłużył, zawdzięczam to jedynie mojej pracowitości i cierpliwemu zastanawianiu się".

Nadzwyczajne rezultaty, jakie osiągają się jedynie tylko za pomocą pilności i wytrwałości, nasunęły niektórym myślicielom wątpliwość o istnieniu geniuszu, jako wrodzonego daru. Inni znowu tak dalece poszli, iż nie wahali się utrzymywać, że człowiek mocą jedynie swej woli może zostać poetą, rzeźbiarzem, malarzem i t. p. Zaiste pilność i wytrwałość mogą jako sprzymierzonej talentu, wielkich i cudownych dokazać rzeczy. Ale jeżeli występują do walki z prawami natury, jeżeli nie zamykają się w granicach możliwości, to największe ich wysilenia pozostają bez skutku. „Głową muru nie przebijesz". Zgadzało się nawet na hipotezę niektórych psychologów, że wszyscy ludzie zdrowi posiadają jednakowe zdolności wrodzone, to i wówczas jeszcze twierdzenie, że jedynie tylko pracą i wytrwałością można zostać genialnym poetą, artystą, lub mówcą, w tym tylko przypadku byłoby prawdziwem, gdybyśmy już od pierwszego zarania dai naszym, byli ze wszelką świadomością pana-

mi własnej woli. Tymczasem znajdujemy się bez zaprzeczenia, w początkach życia pod panowaniem wpływów, które od pierwszej chwili oddziałują na duszę dziecka i wytykają mu bezwiednie, pewien kierunek duchowy. I tak doowiedzionym jest faktem, że muzycalni rodzice mają muzyczne dzieci i na odwrót. Gete wspomina: „Można w rodzinach częstokroć zauważyć, że dzieci noszą na sobie przymioty tak cielesne, jak i duchowe już to ojca, już to matki, a niekiedy zdarza się, że dziecko w zadziwienia godny sposób jednoczy w sobie naturę obojga rodziców". Małe zboczenia w początkach życia, mogą nakształt dwóch dróg, które wychodząc z jednego punktu początkowo tylko nieznacznie się rozbiegają i prawie obok siebie się snują, w dalszym pochodzie ogromne spowodować różnice. Kiedy człowiek dochodzi wieku, w którym ze świadomością bierze we własne ręce kierownictwo swego wykształcenia, wówczas znajduje się w położeniu syna, któremu ojciec stosownie do swej zaślności daje większy lub mniejszy kapitał na założenie samostnego interesu. Człowiek otrzymuje jako uposażenie duchowe owoce wychowania, na które się składali rodzice, nauczyciele i tysiączne okoliczności, które są surowym materiałem, jakiemu on dopiero właściwą ma nadać postać. Czego pierwiastkowe wychowanie w nas zaniedbało, lub co zepsuło pod względem duchowym, moralnym i cielesnym, tego nie zdoła naprawić żadna siła na świecie i wpływy, które w dzieciństwie wycisnęły na nas pewne piętno, działają mniej więcej przez całe życie, jeżeli im naturalnie do pewnego stopnia siłą woli nie zapobieżemy. W tym obrębie, postępy dla ducha ludzkiego są niemałe i zyskane być mogą przez ciągle doskonalenie się.

Do jakiej zaś doskonałości duch ludzki wywyczożyć się może, jeżeli z niezmordowaną pilnością bezustannie w jednym i tym samym rozwija się kierunku, pokazują zjawiający się niekiedy rachmistrze, którzy w swoim rodzaju, cudownych dokonywają rzeczy.

W pierwszej połowie zeszłego stulecia żył w angielskiej wsi Elmton, mąż nazwiskiem Jedariah Buxton. Wychowanie jego było do tego stopnia zaniedbane, że nie umiał nawet się podpisać. W dzieciństwie wyuczył się tylko tabliczki mnożenia i to nasienie wiedzy, dzięki swej pilności i wyrobieniu pamięci, do tego stopnia rozwinął, że nadzwyczajną prędkością i nieomylną pewnością umiał pięć lub

Nie kardy jest Newtonem, ale kardy z nas ma jakiś talent, który może rozwinąć i odjąć od niego wiele dobrego, byle całe życie poświęcić nad jego udoskonaleniem.

Na punkt Rodzice ten sam skłoni wrodzone
1) lenistwo
2) chęć wyczerpania } jeden i drugi ten
opracować, bo nie

sześć cyfr w pamięci przez tyleż liczb mnożyć i dzielić. Bardzo biedny, ciężko zarabiał na swój chleb ręczną pracą i był zaledwie w stanie zaopatrzyć się w odzież. Rozwiązywał jednak najtrudniejsze zadania i nie przeszkadzało mu to wcale, jeżeli w środku roboty wdał się w rozmowę o innym przedmiocie. Nie stanowiło też dla niego różnicy, czy był zajęty małym lub wielkim rachunkiem, bo jeżeli nie mógł uskutecznić rozległego obrachunku w jednym dniu, to nazajutrz rozpoczynał znowu od tego punktu, na którym poprzedniego dnia stanął. Mógł nawet swe rachunki w środku przerwać i po kilku tygodniach lub miesiącach dalej je prowadzić. Żadna ludzka pamięć nie dokonała tak zadziwiającego dzieła jak pamięć Buxtona, który w niej podniósł do kwadratu następującą liczbę, złożoną z 39 cyfr:

725,958,238,096,074,007,868,531,655,993 638,851,106.

Przepędziwszy nad tą pracą półtrzecia miesiąca, wyrażał następujący kwadrat, o prawdziwości którego rachmistrze sami przekonać się mogą:

527 015,363 459,557,385,673,733 542,638,591,721,213.

298,966,079,307,524,404,381,389,499,251,637,423,236.

Buxton umarł, mało na świecie znany, w miejscu swe go urodzenia, którego nigdy nie opuszczał.

Własne zeznanie jednego z żyjących jeszcze angielskich rachmistrzów, nazwiskiem Bidder, wtajemnicza nas w życie podobnego człowieka. Bidder utrzymuje, że każdy może tak daleko jak on zejść w pamięciowym rachowaniu, jeżeli tylko przez pewien czas temu uważnie i wytrwale poświęcić się zechce. „Dokładałem starania, powiada on, ażeby zbadać mego ducha i porównać go z innymi, dla poznania czy postępy, jakie uczyniłem, mam do zawdzięczenia szczególnemu jakiemuś darowi, ale znalazłem w sobie takie tylko upodobanie w cyfrach, które każdy inny człowiek w tym samym co ja posiada stopniu. O ile ja tę rzecz osądzić mogę, to jestem tego silnego przekonania, że w dziedzinie rachunku pamięciowego tyle może się wyrobić dzielnych umysłów, co w każdej innej”. I Bidder, jako syn ubogiego murarza miał zaniedbane wychowanie. Nauczony przez starszego brata liczyć do stu, wyuczył się już sam tabliczki mnożenia za pomocą grochu, z którego tworzył równoległe czworoboki. Pilność i wytrwałość dokonały reszty. Dziś człowiek ten jest jednym z najznakomitszych inżynierów

Anglii. Na zgromadzeniu towarzystwa inżynierów przemówił on w następujących wyrazach: „Wiele lat pracowałem nad tem, ażeby osiągnąć panowanie nad cyframi, jakie bezwątpienia po wszystkie czasy będzie rzadkie. Jakkolwiek w życiu praktycznym nie jest to bardzo potrzebne, ja jednak wielkie z tego odniosłem korzyści. Ta biegłość w rachowaniu zwróciła na mnie powszechną uwagę, której mam do zawdzięczenia, że ze stanu zwyčajnego robotnika, podniosłem się na takie stanowisko, na którym mogę teraz w tem wyborowym towarzystwie do was, panowie, jako wasz vice-prezes przemawiać”.

Pilność i wytrwałość są to konieczne warunki wszelkiej pomyślnej działalności, bez których nawet panujący obejść się nie mogą. Wielki Cesarz Rzymski Marce Aureliusz, zostawił nam w swoich „Rozmowach z sobą samym” następujące znakomite wyrazy: „Jeżeli zrana niechętnie się budzisz, to przywóź sobie na myśl: Budzę się do pracy, która jest przeznaczeniem człowieka. Czyż mam niechętnie zabierać się do tego, do czego stworzony zostałem i na świat przyszedłem?” „Ale spoczynek jest tak przyjemnym”. „Czyżś stworzony do używania, czy do pracy i natężenia sił? Czyż nie widzisz jak rośliny, ptaki, mrówki, pająki, pszczoły czynności swoje spełniają i świat ozdabiają? Jeżeli nie chcesz spełnić obowiązków człowieka, to nie dopniesz przeznaczenia, które jest właściwe naturze”.

„Ale spoczynek jest jednak konieczny”. Zgadzam się na to, ale i tu natura określiła miarę, jak przy jedzeniu i picciu. Jeżeli przekraczasz granicę, to składasz dowód, że siebie nie kochasz, inaczey bowiem kochałbyś także i swoją naturę i szanowałbyś jej prawa. Ludzie, którzy swoją sztukę kochają używają się na pielęgnowaniu jej, bo zdolni są nawet zapomnieć dla niej o jedzeniu i picciu. Ty cenisz swoją naturę ludzką mniej aniżeli tokarz swoją sztukę tokarską, tancerz swoją sztukę tancerzką. Czyż czyny powszechnego użytku, zdają ci się mniej ważnymi i niegodnymi wielkiej pilności?”

Potrzeba tylko nader pobieżnie przejrzeć życiorysy wielkich ludzi, ażeby się przekonać, że najznakomitsi wynalazcy, artyści myśliciele, słowem najzdolniejsi pracownicy we wszystkich zawodach, rezultaty swe zawdzięczają przede wszystkim niezmordowanej pilności i wytrwałości. Beniamin Franklin, który powiedział: „Praca jest matką szczęś-

ciach pracowitemu Bóg wszystko daje" — był jednym z najczynniejszych ludzi. W swej autobiografii, którą każdy młody człowiek czytać powinien, opowiada on, że pewnego razu, kiedy w klubie kupieckim wszczęła się rozmowa o nim i jego nowo założonej drukarni, wyrażono obawę, że ona nie będzie mogła się utrzymać przy dwóch innych, istniejących już oddawna. Wtedy jeden ze zgromadzonych stanowczo temu zaprzeczył „bo, mówił, Franklin jest pilniejszy od wszystkich ludzi, jakich kiedykolwiek znałem; kiedy pózno w nocy z klubu wracam, widzę go jeszcze przy robocie, tak, samo z rana, kiedy wszyscy jego sąsiedzi śpią smacznie”. — „Jeżeli tak wiele sam o swej pilności prawię, dodaje Franklin, nie czynię tego, ażeby się chwalić, ale w tym zamiarze, ażeby ci z potomnych, którzy ten opis mego życia czytają będą, poznali jakie korzyści pilność wydaje, ażeby się przekonali, jak zbawiennie ta onota wpłynęła na bieg całego mego życia”.

Pilność i wytrwałość są najlepszymi drogami do pomyślności. Największa część wielkich ludzi, którzy najbardziej popchnęli świat na drogi postępu, nie byli to właściwie geniusze, ale ludzie ze zwykłymi zdolnościami, spotęgowanymi przez własną usilność, niezmordowani pracownicy, cierpliwi, ufni we własną siłę, nie cofający się nigdy po rozpoczęciu dzieła.

Spotkać można często tak zwanych geniuszów, to jest ludzi, dla których nauka jest zabawką i którzy dla tego często bawią się podczas nauki. Tacy geniusze chorują zwykle na brak wytrwałości i szczerzej pracy, i bardzo rzadko z takiego cudownego dziecka wyrasta coś dzielnego i użytecznego. Pewnego razu skarżyła się matka na swego wielce utalentowanego, ale niestałego syna: „Posiada on wszystko, prócz jednej wytrwałości. Takie ruchliwe natury bywają na drodze życia prześlizgane przez pilnych, a nawet i powolnych. Wędrowiec pewien zapytany przez woźnicę, czy daleko do najbliższego miasta, i czy można tam jeszcze podążyć przed zapadnięciem nocy — odpowiedział: „Bez wątpienia, jeżeli tylko powoli jechać będziecie”. Woźnica myślał sobie: Ha! jeśli zajądę wolnym krokiem bo tem bardziej pośpiesznym, i nużę popędzać co sił. W tem koło się złamało i — wędrowiec miał słuszną radząc powolną jazdę. *Spiesz się zwolna na drodze życia swego, jeżeli chcesz celu dopiąć powoli ale pewno.* „Jestem bardzo ciekawa, pisze

pewna rozsądna kobieta do młodego człowieka, dowiedzieć się o pańskich dalszych zamiarach i planach na przyszłość. Zapewniam pana, że zbytek zapału więcej szkodzi, aniżeli pomaga i że umiarkowany i spokojny postęp, najpewniej do celu prowadzi. Wszystko na świecie musi mieć odpowiedni czas do rozwoju tak samo i duch ludzki. Człowiek niesprawiedliwość sobie wyrządza, jeżeli od siebie więcej żąda, aniżeli dać jest w możności, i wszelkie przecenienie swych sił w jakimkolwiek bądź kierunku, zawsze na złe wychodzi”.

Według znanego naturalisty, Karola Müllera, stałość jest naturalnem prawem pracy. „Życie powiada on, składa się z trzech istotnych żywiołów, za pomocą których człowiek ciągle się odmładnia, a to tem skuteczniej, im one regularniej po sobie następują. Każdy dzień życia rozpada się na trzy części: czynność, używanie, sen. Starad się należy, ażeby każda z tych funkcij przypadła na najwłaściwszą dla siebie część dnia. Zegarek idzie tem dokładniej, im regularniej jest nakręcanym. Tak samo się dzieje ze sprężyną naszego życia. Ci, którzy najregularniej żyją, dochodzą do najpóźniejszego wieku. Spoczynek w ruchu i ruch w spoczynku jest szczytem, do którego każde arcydzieło, a więc i to prawo sztuki powinno być zarazem i regułą obyczajową. Ale prawo to może być urzeczywistnione tylko przez stałość. „Bez pośpiechu, ale i bez wytohnienia”, mówi Gęte. Jestto jedyna droga, na której organizm najmniej się zużywa. Stałość pracy jest najprostszą, najnaturalniejszą i najtańszą metodą gospodarstwa dla każdego człowieka, i ani największy ani najdzielniejszy talent nie może jej bezkarnie lekceważyć. Dla tego to, rzemieślnicy utrzymują się dzięki swym regularnym zajęciom najzdrowiej i żyją najweselej. Jakkolwiek może to zdawać się upakarzającym dla geniusza, jeżeli porównywa się go ze zwyczajnym rzemieślnikiem, to przecież ten ostatni na wzór służyć mu może i jestem przekonany, że Mozartowie, Bethoveny i inni, doszliby do podeszłego wieku, gdyby ich tryb życia był regularniejszy. Gęte szanował prawa natury, prostotę, stałość, i cieszył się dlatego do 83 roku życia świeżością prawie młodzieńczą... Do stałości trzeba dodać wytrwałość; za pomocą tych dwóch przymiotów, dokonane zostały wszystkie wielkie dzieła na świecie. Obfite są ofiary, które codziennie wszystkie niemal warstwy społeczeństwa składają na ołtarzu niestałości a nauki przyrodzone mają obszerne pole działania

w tych dziedzinach moralnego świata, gdzie dotychczas panowała tylko abstrakcyjna filozofia, a byt fizyczny tak mało był uwzględniony.

*Cel
zręczoty*
Rzecz wielkiej doniosłości, na którą w życiu zbyt mało uwagi się zwraca jest takie wychowanie człowieka, ażeby go uczynić jak najzdolniejszym do pracy. Niejednego zebrała odganiaamy wyrazami: „A pracować nie możesz?” Ba, gdyby on tylko mógł, przekładałby pewno pracę nad zebrańnię. Człowiek ten jest barczysty, silny i zdaje się być zdolnym do wszelkiej pracy ręcznej, gdyby tylko chciał; a jednak pracować nie może, bo się nie wyuczył w swej młodości sztuki regularnej pracy, a pracuje tylko w więzieniu karnem, gdzie do tego przymuszony jest obawą kary. Praca musi się stać dla człowieka drugim przyzwyczajeniem, drugą jego naturą. Im chętniej jakąś pracę wykonywamy, tem lżejszą ona się nam wydaje, tem więcej upodobania w niej znajdujemy. Im na wyższym stopniu rozwoju znajduje się człowiek, tem silniejszy jego popęd do pracy. „Mistrz musi się przez całe życie męczyć” mówi Schiller. Całe jego życie jest jakby dniem roboczym i tylko śmierć przerywa jego trudy. Pilność, wytrwałość, stałość stanowią fundamenta pracy. W rzadkich bardzo przypadkach pierwsza próba się udaje, i często trzeba długiego pasma usiłowań, ażeby w o czemkolwiek dojść do doskonałości. Należy powtarzać i ciągle powtarzać, jak owe krople wody, które padają ustawicznie na jeden punkt, w przeciagu stuleci najwzardszą nawet skalę dziurawią. Żaden geniusz, żaden mistrz nie spadł bezpośrednio z nieba, bo matką wszelkiego mistrzostwa jest bezustanne ćwiczenie. Giardini odpowiedział pewnemu młodemu człowiekowi, który go się zapytał, ile czasu potrzeba, ażeby się wykształcić na doskonałego skrzypka: „Dwadzieścia lat, jeżeli pan będziesz dwanaście godzin dziennie się ćwiczył”. Ileż to potrzeba wysilenia i ćwiczeń, zanim tancerz przed publicznością wystąpić może! Kiedy sławna tancerka Taglioni przygotowywała się do wystąpienia, często po dwugodzinnej męczącej próbie pod kierunkiem swego ojca, padała bez zmysłów i trzeba ją było rozebrać, wykąpać, zanim znowu do przytomności wróciła. Za cenę takich wysileni okupywane były jej powodzenia wieczorne w teatrze.

Każdy postęp wyższego rodzaju dokonywa się stosunkowo powoli. Wielkie rezultaty nie mogą być osiągnięte jednym skokiem; musimy na to się zgodzić, że na drodze

życia trzeba postępować tak samo, jak w pierwszej wędrówce, to jest krok za krokiem. Francuzki pisarz de Maistre mówi: „Wielka tajemnica pomyślności na tem zależy, ażeby móżdż cierpliwie na nią czekać”. Nie ma zбору bez zasiewu, a często dwie te chwile dzieli od siebie przeciąg wielu lat. Wtedy potrzeba z nadzieją i cierpliwością wyczekiwać; owoce, które wynagradzają oczekiwanie, najdłużej zwykle dojrzewają. „Czas i cierpliwość, mówi wschodnie przysłowie, zamieniają liść morwowy w jedwab”.

Do cierpliwego wyczekiwania nie bez zaprzeczenia tyle nie pomaga ile wesoły umysł, który jak świeży powiew wiatru orzeźwia duszę pracującego. Już mądry Salemon wyrzekł: „Wesołe serce daje wesołe oblicze, ale kiedy serce jest uciśnione to i duch upada”. Rzeźwość serca jest kosztownym przymiotem, który dodaje duchowi siły i powiększa płodność władz umysłowych. Słowa Henryka Lwa: „Nie ma wojny bez pieśni” mają także zastosowanie w walce życia.

Nikt bezwątpienia nie jest narażony na tyle przeciwności, ile pracownik w służbie dobra publicznego. Ileż on trudów i cierpień przebyć musi, zanim doczekać się może skutku swych usiłowań i jakiegokolwiek uznania za swoje czyny pełne poświęcenia! Złe byłoby, bardzo złe, gdyby walczący za prawdę, światło i słuszość nie znaleźli we własnej piersi wynagrodzenia i uznania za swoje ciężkie trudy i wysiłki, często nieznane światu. Spółcześni bowiem rzadko kiedy koronują zasługę. Świat ma wieniec laurowy tylko dla trupich czaszek!

Dla tych, którzy są lub czują się zapoznanymi, skreślimy tu kilka rysów z życia Jana Keplera, ażeby przykład wielkiego ich towarzysza niedoli wlać w ich serca moc i otuchę.

Kepler urodził się 27-go grudnia 1571 r. w wiosce Magstadt, nieopodal miasta Weil. Już w dzieciństwie walczył z ciężkimi przeciwnościami. Przyszedł na świat w czasach burzliwych i srogich. Ojciec jako kapral wirttembergski wyruszył na wojnę, a matka towarzyszyła mu jako markietanka, zostawiawszy dziecko tymczasowo w mieście Weil u dziadka. Ale miłość macierzyńska przygnała ją w krótkim czasie napowrót w domowe progi — i w samą porę, bo dziecko zachorowało na złośliwą ospę i znajdowało się w niebezpieczeństwie utraty wzroku i prawej ręki. Tros-

kliwa pieczołowitość matki zapewne więcej się przyczyniła do ocalenia życia dziecięciu jak pomoc lekarska. Wkrótce i ojciec wrócił do swoich, założył szynk, który jednak nie długo porzucił i nanowo zaciągnął się do wojska. Tą razą z wojny już nie wrócił i zostawił wdowę i sierotę w największej nędzy. Jan musiał trzode pasad i tym podobne wykonywać czynności. Do tych smutnych okoliczności przyłączyły się wcale zdrowie i ciągle choroby, bo Kepler na dwa miesiące zawczasie na świat przyszedł. Dlatego wykształcenie jego umysłowe połączone było z największymi trudnościami i ciągłymi przerwami. O regularnem uczęszczeniu do szkoły nie było mowy. Gdyby nie był tak słabej budowy ciała, ojciec przeznaczyłby go pewno do służby wojskowej. Dziad jego, który z wielką radością dostrzegł w swoim wnuku ochotę do nauki i bystry umysł, najwięcej się przyczynił do rozwoju jego ducha, — wystarał się bowiem dla niego o bezpłatne miejsce w szkole klasztornej w Hirschau. W 22 roku życia Kepler do tego stopnia w naukach postąpił, że idąc za radą swego nauczyciela, objął gimnazjalną katedrę matematyki. Nie stało się to bez wielkiego wahania ze strony Keplera, który w swej skromności uważał nabytą wiedzę za niewystarczającą do tego powołania. Duch jego oswoił się jednak prędko z nowym polem działalności i wtedy rozpoczął olbrzymią reformatorską pracę, od której datuje się nowa era astronomii.

Po śmierci Tycho de Brahe, Kepler mianowany został w r. 1601 cesarskim matematykiem z płacą roczną 1,500 fl., z której jednakże tylko na usilne prośby małe sumki od czasu do czasu wypłacane mu były. Z polecenia cesarza Rudolfa zaczął on r. 1601 obliczać nowe, na spostrzeżeniach oparte tablice planet w miejsce dawnych alfonsowych. Olbrzymia ta praca przerywana często z braku pieniędzy i środków pomocniczych, zajęła mu 24 lat. Tablice które się ukazały r. 1617 nazwał na cześć dawno już zmarłego cesarza Rudolfa, tablicami Rudolfa. Przy ich obliczaniu badał starannie drogi planet, a głównie Marsa dla zbadania praw, którym podlegają ruchy tych ciał niebieskich. Owocem 17 letniej wytrwałej pracy było odkrycie dwóch praw: 1) że planety krążące naokoło słońca zakreślają nie drogi kołowe ale eliptyczne, 2) że planety w bliskości słońca krążą prędzej, a w znaczniejszej odległości wolniej, tak że

linia, łącząca słońce z planetą w czasach równych, zakreśla równe odcinki powierzchni.

Dnia 15 Maja 1618 r. odkrył on trzecie prawo, podług którego kwadraty, z czasu przebiegu planet, mają się do siebie jak sześciany z ich średniej odległości od słońca, a w następnym roku wydał swoją *Harmonia mundi* (*Harmonia świata*). Kepler rzeczywiście wynalazł harmonię wszechświata nie muzykalną ale matematyczną. Wtedy zawołał zachwycony: „przed 18 miesiącami dostrzegłem pierwszy brzask światła, przed 3 miesiącami zajaśniał przedemną dzień, a od kilku dni na koniec widzę słońce w jego pełnym, cudownym blasku. Nie mnie już teraz nie wstrzymuje, chcę bujać w moim cudownym świetle natchnień”. „Stało się, powiada dalej, czy książka moja będzie czytana przez współczesnych czy potomnych, już to mnie nie obchodzi. Niechaj ona czeka choćby wiek cały na swego czytelnika, wszakże Bóg przez 6000 lat czekał na spostrzegacza i odkrywcę Jego praw”.

W tym czasie wypłacano Keplerowi pensję bardzo nieregularnie. Tryumf jego mać płacz dzieci domagających się chleba. Pisał wtedy do cesarza: „Dla oszczędzenia Waszej Cesarskiej Mości wstydu, jestem zmuszony pisać kalendarze z przepowiedniami i takowe na dworze sprzedawać; są to jedyne książki, które znajdują kupujących. Ten sposób zarobkowania jest niewiele uczciwszy od zebraniń”. Przez jedenaście lat Kepler żył w Pradze w wielkich kłopotach. Po śmierci cesarza Rudolfa został w roku 1613 profesorem matematyki przy uniwersytecie w Linz, gdzie go własni jego współwyznawcy protestanci mianowali kacerzem, dlatego, że nie podzielał nauk Lutra o wieczery Pańskiej, że się przychylił do form, z powodu których reformowani wyklęci zostali, że na koniec nalegał na przyjęcie kalendarza przez papieża Grzegorza XIII poprawionego. Na domiar nieszczęścia, niegodziwi nieprzyjaciele oskarżyli starą jego matkę o czarodziejstwo i chcieli ją oddać na tortury. Kepler pośpieszył na obronę do rodzinnego miejsca, jednak dopiero po pięcioletnich wysileniach zdołał pozyskać jej uwolnienie. Pomimo tak okropnej niedoli, pomimo, że go pozbawiono pensji po wstąpieniu na tron fanatycznego cesarza Ferdynanda II-go, że mu zaknięto własną bibliotekę, że go przynaglono do ucieczki przed prześladowaniem, odrzucił jednak katedry profesora matematyki.

ki w Bolonii i Anglii, bo jako Niemiec chciał w Niemczech życie swe przepędzić.

Udał się do Regensburga, gdzie się zebrał sejm niemiecki i żądał wypłacenia zaległej pensji, ale rozumie się na próżno. Dnia 15 Listopada 1630 roku, opuszczony i zapomniany przez świat społeczny umarł w skutek zmar-twień i wysiłen, zostawiwszy w największej nędzy wdowę i pięcioro małoletnich dzieci. Wymierzając sprawiedliwość wielkim umarłym, bądźmy tem więcej sprawiedliwi dla wielkich żyjących, bo życie więcej warto od śmierci.

Obok Keplera najważniejsze miejsce dla naszego Kopernika. Najznakomitszy ten po wszystkie wieki astronom nie przechodził przez tak ciężkie koleje jak następca jego, Kepler, bo też żył w szczęśliwszym kraju. Polska bowiem za czasów Zygmun-tów nie przesładowała nikogo w imię fałszywie pojmo-wanej gorliwości religijnej, owszem umiała czcić i wynagradzać swoich proroków. Urodzony roku 1473 ze starej rodziny polskiej w Toruniu (dawniej Tarnowie mazowieckim), wychowanie swoje zawdzięcza głównie wujowi swemu biskupowi warmińskiemu; ojca bowiem stracił w dzieciństwie. Ukończywszy szkoły w mieście rodzinnem, udał się w 18 roku życia na akademię do Krakowa, gdzie znakomity profesor Wojciech Brudzewski, włął w niego za-miłowanie do astronomii. W Krakowie uczył się także ma-larstwa i perspektywy, które uważał za potrzebne do póź-niejszego swego powołania. W 23 roku życia udał się do głównego wówczas siedliska nauk i sztuk, do Włoch. Nie mógł jednak wyłącznie zajmować się ukochaną przez siebie astronomią, ale musiał uczyć się dla chleba medycyny. Po-mimo to Kopernik wkrótce stał się ze słuchacza profesorem. Po doktoryzacji w Padwie, mając lat 27 objął w Rzy-mie katedrę matematyki i astronomii. Jakkolwiek licznych miał słuchaczy, chciał jednak usługi swe złożyć krajowi ojczystemu i powrócił do Krakowa, gdzie przyjął święcenia kapłańskie. Wuj jego, biskup warmiński, pragnął mu zape-wnić życie swobodne, odpowiednie jego rodzajowi prac i za-razem otworzyć drogę do dostojenstw w kraju, powołał go do Frauenburga, który astronom nasz wsławił 33 letnim stałym swym pobytem. Czas swój dzielił pomiędzy obowią-zki ołtarza, prace naukowe i niesienie ulgi cierpiącej ludzko-ści. Niekiedy tylko sprawy krajowe wyrwały go z za-cisza na szersze pole obrad sejmowych. Tu Kopernik złożył

dowody, że genialny jego umysł, zagłębiający się w obro-tach ciał niebieskich z równą przenikliwością bada sprawy ziemskie, a w szczególności kraju swojego. Występował w obronie praw Polski przeciwko nadużyciom Krzyżaków, a udział jaki przyjmował w kwestyi wybijania lepszej mo-nety, zwrócił na niego uwagę króla Zygmunta I, który po-lecił mu wypracowanie reformy monetarnej. Kopernik roz-winał swoje myśli w rozprawie „O sposobie urządzenia mo-nety w Polsce”. I w tem dziele pojęciami wyprzedził czas swój o kilka wieków. Podczas kiedy w XVI stuleciu wy-tworzył się tak zwany system markantylny, który wprowa-dził do życia narodów fałszywą i zgubną zasadę, że pie-niądź stanowi jedyne bogactwo narodowe, i skutkiem tego popełniał ludy do ciągłych wojen dla wydzierania sobie szlachetnych kruszców, splamił karty dziejów niesłychanem okrucieństwem europejczyków w złotodajnych krajach, — jeden Kopernik odzywa się z teorią przeciwną: „Moneta traci szacunek przez wielkie jej pomnożenie, to jest, gdy tak wielka ilość srebra jest zamieniona w monetą ubiegającą; utracą ludzie za masą srebra aniżeli za monetą ubiegającą; utracą moneta swą powagę, gdy za nią tyle złota lub srebra kupić nie można, ile ona sama zawiera, i gdy się w przetopieniu monety większą upatruje korzyść. Sposób na to jedyny nie-bić więcej monety, dopóki się sama w cenie nie zrówna i nie stanie droższą od srebra”. Zasady te przyjęła dopiero nowsza nauka ekonomii politycznej, po kilkowiekowych ciężkich próbach i wylaniu strumieni krwi ludzkiej.

Największy jednak tytuł do nieśmiertelnej sławy daje Kopernikowi jego dzieło: „O obrotach ciał niebieskich”. Powagą 14-u wieków uświęconą była teoria Ptolomeusza, że ziemia jest nieruchomą, że ona jest środkiem świata i że około niej słońce i wszystkie planety codziennie od wscho-du do zachodu krążą. Odezwał się wówczas z teorią przeciwną, utrzymywał, że ziemia około słońca się obraca, było to nie tylko dziwactwem ale występkiem, boć przecie Jozue powiedział: Słońce stój! Wystąpienie z teorią sprzeczną ze słowami Pisma świętego było tem niebezpieczniejsze, że działo się to w czasie reformacji religijnej i ogół, do któ-re-go iszów doszła wieść o pracach Kopernika, podejrzewał go, że dąży do tego samego celu co Luter tylko inną drogą. Jeszcze dzieło jego nie było ogłoszone, a tylko głuche wie-ści o nim krążyły, a już Kopernik podlegał różnym szyka-

nom. I tak np., w Elblągu wystawiono krotchwile, wyszydającą jego naukę, na co Kopernik jak niegdyś Sokrates na komedię Arystofana spokojnie spoglądał. Przeciwności te nie zraziły go, odroczyły tylko na pewien czas ukazanie się dzieła, ale na koniec zamilowanie prawdy odniosło w nim zwycięstwo nad obawą męczeństwa i posłał rękopis swój do Norymbergi aby go tam wydrukowano. Uczeni Niemcy, którzy w Norymberdze zajmowali się drukiem, chcieli zmniejszyć znaczenie tego znakomitego dzieła i dlatego usunęli przedmowę Kopernika, w której bieg planet podany jest jako rzecz nieulegająca wątpliwości, i podsunęli swoją, w której nowy systemat przyjmują tylko jako przypuszczenie. Wydrukowane dzieło otrzymał Kopernik na kilka dni przed śmiercią, widział je tylko, ale czytać już nie mógł; umarł jednak z tem rozkosznym przekonaniem, że dzieło jego nie zginęło, że duch jego nie przeminął bez śladu na ziemi, że geniusz jego przewodniczyć będzie obecnym i przyszłym pokoleniom!

Opatrzność pozwoliła mu nie być świadkiem niechęci, jakie później praca jego wywołała i potępienia, jakie na siebie ściągnęła ze strony Kościoła; owszem, papież Paweł III, któremu Kopernik dzieło swe dedykował, powołał go bardzo, a król Zygmunt I przeznaczył na biskupa warmińskiego.

Kopernik był bezwątpienia geniuszem, ale myliłby się ten, kto by sądził, że on utworzył swój systemat w chwili natchnienia. Nie, systemat jego kosztował go całe życie olbrzymiej pracy i niezmordowanej wytrwałości. Oto są słowa jego pisane do papieża Pawła III: „Gdy się nad nie pewnością podań uczonych w tłumaczeniu ciał niebieskich długo zastanawiałem, bolało mnie, że uczeni tak pilnie zgłębiając drobne rzeczy ziemskie, nie dostrzegli stałej zasady w wspaniałej budowie świata, który dla nas ten najlepszy i najdoskonalszy budowniczy stworzył. To było mi powodem, że przedsięwziąłem dzieła wszystkich uczonych, które pod ręką mieć mogłem, odczytać i w nich szukać czy kto kiedykolwiek nie wspominał o innych jak dotąd utrzymujących, biegach ciał niebieskich“. Po tych kilku wstępnych słowach, Kopernik składa dowody wielkiej swej erudycji, przytaczając sposób zapatrywania się na system słoneczny wszystkich główniejszych pisarzy starożytności i wieków średnich.

Ażeby wyrobić sobie pojęcie, jakie przeszkody Kopernik miał do zwalczania, trzeba pamiętać o tem, że robił swoje obserwacje na sto lat przed wynalezieniem lunet astronomicznych i posilkować się musiał nędznymi drewnianymi narzędziami, na których podziałki robione były atramentem. Nadto nie miał on na swoje usługi takich obserwatorów astronomicznych, jakie dziś widzimy, ale musiał wszystko sam wytworzyć. A jednak przy takim braku środków do tak olbrzymich doszedł rezultatów.

Jakkolwiek życie jest pochmurne, jakkolwiek powszechny postęp powoli się posuwa — nie powinniśmy przecie rozpaczać, nie powinniśmy zapominać o nadziei. Jeżeli nas smuci i trapi, że tyle czasu potrzeba zanim jaka prawda zostanie wywalczona, to pocieszajmy się tem, że waga świata ciągle się porusza, że ród ludzki ma wiele czasu do podróży. Niechaj nam do grobu towarzyszy to przekonanie, że historia nie jest przypadkowym nagromadzeniem wypadków, że prawda i sprawiedliwość naprzód postępują, jakkolwiek niekiedy się zdaje, że głupota odnosi zwycięstwo, i że noc napowrót wraca. Ale jak powoli postęp kroczy, ile trudów kosztuje wyrwanie choćby jednego węzła z łańcucha uprzedzeń, o tem przekonywa nas każda karta dziejów. Dlatego też powinna nam przyjść w pomoc nadzieja. Człowiek bez nadziei jest żeglarzem bez steru. „Jakże mogę pracować, mówi wielki jeden ale trwożliwy myśliciel, jakże mogę być szczęśliwym, jeśliś wszelką stracił nadzieję?“ Nadzieja podobna jest do słońca, które rzuca cień naszego ciała po za nas, ilekroć naprzeciw niemu zwrócimy się twarzą. Nie powinniśmy wszelako nadziei posuwać tak daleko, ażeby się spodziewać bezwarunkowo i oczekiwać rzeczy niepodobnych, bo inaczej może nas spotkać tylko rozczarowanie. „Pieczone gołąbki nie lecą same do gąbki“.

William Carey, prześliczny wzór angielskich misjonarzy i orientalista (znawca języków wschodnich) był jednym z najweselszych i najodważniejszych ludzi świata, a to dlatego, że pracował zawsze z nadzieją powodzenia. Biedny stan majątkowy jego rodziców zmusił go do chwycenia się rzemiosła szewckiego, to jednak nie było dla niego przeszkodą w nauce języków, do których miał szczególne zamiłowanie. Przy pomocy lichych książek, które się przypadkiem do rąk jego dostały, doprowadził swoją naukę języ-

ków tak daleko, że w 24 roku życia był silnym w językach: łacińskim, greckim i hebrajskim, i mógł zamienić rzemiosło szewckie na studia teologiczne. Podczas swego pobytu w Indyach, często w jednym dniu zmęczył trzech pisarzy, a sam szukał orzeźwienia tylko w zmianie pracy. Miał przy boku swoim jako pomocników: Warda, syna cieśli i Marshmana, syna tkacza. Ci trzej dzielni mężowie urządzili na rozległych przestrzeniach Indyj 24 gmin chrześcijańskich, założyli w Serampore instytut misyonarski i przetłumaczyli biblię na 16 indyjskich narzeczy. Za staraniem Carey'a usunięto barbarzyński zwyczaj palenia pozostałych wdowdy razem ze zwłokami męża. Carey był zbyt wielkoduszny, ażeby się miał wstydzić niskiego swego pochodzenia. Pewnego razu usłyszał on przy stole namiestnika Indyj, jak pewien oficer pyta się swego sąsiada, czy to ten sam Carey, który był kiedyś szewcem. „Nie, mój panie, przerwał szybko Carey, nie szewcem, ale łataczem trzewików“. O jego wytrwałości, wyprobowanej już w dzieciństwie, przekonać się możemy z następującego wypadku. Gdy pewnego razu wdrapywał się na drzewo, noga mu się pośliznęła, skutkiem czego spadł i kość złamał. Musiał kilka tygodni przeleżeć w łóżku, ale gdy wyzdrowiał i mógł już wychodzić, pierwszą jego czynnością było udać się do niefortunnego drzewa i niedoszły swój zamiar wdrapania się na wierzchołek do skutku doprowadzić.

Znaną jest powszechnie historia Timura, księcia tatarskiego, który podczas ucieczki znalazł schronienie w jaskini, i tu przyglądając się wytrwałości pajaka, zachęcony został do nowej szczęśliwej bitwy. Niemniej godnym uwagi i pouczającym jest wypadek z życia amerykańskiego ornitologa (znawcy ptaków) Audubona, który go sam opowiada jak następuje: „Nieszczęśliwy wypadek, który się wydarzył moim rysunkom, o mało nie zniszczył na zawsze owoców moich ornitologicznych badań. Opowiem to zdarzenie dla tego tylko, ażeby pokazać do jakiego stopnia natchnienie (bo inaczej wytrwałości mojej nazwać nie umiem) może miłośnikom natury dodać sił do pokonania odstraszaających przeszkód. Opuściłem Henderson, miejsce mego zamieszkania i udałem się za interesem do Filadelfii. Przed wyjazdem, przekonawszy się o dobrym stanie moich rysunków, złożyłem je starannie w drewnianej szkatułce i wręczyłem memu krewnemu do przechowania, prosząc go usilnie, ażeby je

w pilnej miał opiece. Nieobecność moja trwała kilka miesięcy. Po powrocie do domu i przywitaniu się z krewnymi i przyjaciółmi, prosiłem o szkatułkę i znajdujące się w niej nieocenione rysunki. Przyniesiono szkatułkę, otworzyłem ją, i przedstawiłem sobie, kochany czytelniku, moją rozpacz, gdy spostrzegłem w niej parę szczurów, która tu sobie siedlisko obawszy, pomiędzy podartymi kawałkami papierów młodą rodzinę pielęgnowała! Prawie 1000 rysunków ptaków było zniszczonych. Okropna gorączka, która w tej chwili mózg mój ogarnęła, wstrząsnęła całym moim organizmem. Przez kilka dni byłem jakby odurzony, aż nakoniec, gdy dzięki silnej swej naturze, znowu do przytomności wróciłem, pochwyliłem swoją strzelbę, papier, ołówek i wyruszyłem w lasy jakby nie nie zaszło. Myśl, że nowe rysunki mogą lepiej się udać jak zniszczone, dobrze mnie usposobiła, i przed upływem trzech lat powetowałem poniesioną stratę.

Izaak Newton uległ podobnemu nieszczęściu. Mały jego pies *Diamant*, przewrócił raz palącą się świecę na jego biurko, i w kilka chwil mozolne matematyczne rachunki, owoc wieloletniej pracy, zamieniły się w popiół. Strata ta była tak bolesna dla filozofa, że od tego czasu chorował i okazywał ślady roztargnienia umysłowego. Podobny wypadek wydarzył się znanemu historykowi angielskiemu, *Thomasowi Carlyle*. Przyjaciel jego prosił go o pożyczanie mu manuskryptu pierwszego tomu *Revolucji Francuskiej*. Nieszczęście, albo raczej niedbalstwo pożyczającego chciało, że rękopis spadł na podłogę, gdzie pokojówka go znalazła, i w swej naiwności do zapalenia w kominie użyła. Upłynęło kilka tygodni. Drukarz zazaądał nagląco rękopisem, Carlyle posyłał go do swego przyjaciela. Ten szukał i nie znalazł naturalnie, aż dopiero od domowników dowiaduje się ku wielkiemu swemu zmartwieniu, że rękopis zniszczony został. Można sobie wystawić przestrach i rozpacz autora, gdy o tem usłyszał. Położenie jego było nadzwyczaj krytyczne. Drukarz naglił, a on nie miał nawet kopii spalonej pracy. Nie było innego środka, jak rozpocząć na nowo pisanie książki. Uczynił to. Lecz o ile pisanie dzieła po raz pierwszy było przyjemne, o tyle męczące obrobienie na nowo. Carlyle powtórnie tem napisaniem dzieła, dał dowód niepospolitej siły woli.

Najznakomitsi wynalazcy odznaczali się największą wytrwałością. *Grzegorz Stephenson* w rozmowach z młody-

mi ludźmi o najsukuteczniejszych środkach i najkrótszych drogach do dopięcia celu życia, streszczał zwykle swoje rady w słowach: „Naśladowcie mnie w czynach — wytrwajcie!” Piętnaście mozolnych lat spędził on nad udoskonaleniem lokomotywy; aż nareszcie 6 Października 1829 roku parowiec „Rakietą” odniósł na kolei z Liwerpoolu do Manche stru zwycięstwo nad współzawodnikami. Trzydzieści lat najuciążliwszej pracy poświęcił James Watt swojej ulepszonej maszynie parowej, zanim ją w zupełności wydoskonił. Podobne dowody niezmordowanej wytrwałości i nadzwyczajnej pilności, znajdujemy we wszystkich innych sferach życia. Tak pracował Lorenzo Ghiberti, najznakomitszy rzeźbiarz XV stulecia, przez całe 21 lat nad ukończeniem brązowych drzwi kościoła S. Chrzciciela we Florancy. Dlatego też o tych drzwiach wyraził się Michał Anioł: że godne są zobaczyć wejście do raju. Któż wreszcie nie słyszał o olbrzymiej pilności Hiszpana Lopez de Vegi, który przez 70 lat swego życia napisał 2 200 sztuk teatralnych o 21,316,000 wierszach; albo niemieckiego szewca — poety Jana Sachsa, który do swej śmierci nastąpionej w 82 roku życia zrymował 1773 krotocwil, komedyi i t. p. oraz 4,275 mistrzowskich pieśni? Rzymski naturalista Pliniusz zebrał swoją historję naturalną z więcej jak 2,000 dzieł greckich i łacińskich autorów, w większej części dziś zaginionych. Nieśmiertelny autor „Historyi Szwajcarów” Jan Müller, przygotował sobie do „Historyi Powszechnej” wyiągi z 1,833 dzieł, które zapełniły 17,000 stron in folio ściśle pisanych. Olbrzymia pilność i niezłomna wytrwałość Lutra, najwięcej może przyczyniły się do rozwoju reformacyi. Nad przekładem biblij, która prędko stała się księgą ludu, w najściślejszem znaczeniu tego wyrazu, i wzięłem dla rozmaitych szczepów niemieckich, pracował znakomity ten mąż od roku 1521 do 1534. Aby dać choć słabe wyobrażenie o mozolach, z jakimi dokonanie tego tłumaczenia było powiązane, podajemy wyjątek z listu Lutra.

„Pracuję teraz — pisze on w 1528 roku do Wacława Linka — nad przekładem proroków. O Boże! jakież to mozolna praca zmusić pisarzy hebrajskich do mówienia po niemiecku! Jak oni wzdrygają się i niechętnie porzucają swą mowę starożytną, aby wyrażać się w nieokrzesanym języku niemieckim; przedstawia to mi się tak, jak gdyby słowik porzucił swoją miłą melodyę i naśladował kukanie kukutki”.

A w innym liście pisze: „Usiłowałem oddać wszystko jasno i czysto po niemiecku, a przeto zdarzało mi się, że szukałem przez 2, 3, 4 tygodnie jednego wyrażenia, a jednak odpowiedniego nie znalazłem. Praca nad Hiobem była tak uciążliwą, że niekiedy przy pomocy M. Filipa (Melanchtona) i Aurogalla przez 4 dni zaledwie 3 wiersze wykończyć zdołałem. Teraz kiedy biblia jest przetłumaczona i gotowa, każdy może ją czytać i krytykować; niejedyn przebiega oczyma 3 lub 4 stronicę bez przeszkody, i nie przychodzi mu na myśl, ile to trudności było w tem miejscu, gdzie teraz wszystko idzie gładko, jakby po polerowanej stali. Dobrze jest orać, gdy rola oczyszczona”. — Luter, wspierany bardzo niedostatecznie przez niedokładne słowniki swego czasu, nie tylko dokonał przekładu biblij, służącego i dziś jeszcze za wzór, lecz stworzył zarazem język piśmienny i książkowy, język wykształconych — *górnio-niemiecki*. A jednak wielki ten mąż był tak skromny, że nawet nie żądał wynagrodzenia za swą olbrzymią pracę, podówczas gdy jego drukarz Jan Lufft został, dzięki temu wydawnictwu, bogatym i poważanym człowiekiem. Dowód żelaznej wytrwałości, który godnie może stanąć w szeregu wyżej podanych, dał współczesny nam lingwista Dr. Daniel Sonders, który w Czerwcu 1865 roku ukończył swój „Słownik języka niemieckiego, z uwagami od Lutra do naszych czasów”. Nie tu miejsce dowodzić wyższości tego dzieła nad wszystkimi innemi słownikami. Autor przez ukończenie tego dzieła dał dowód pilności i wytrwałości, jaki po wszystkie czasy będzie rzadki i godny podziwu. Przeszło przez 20 lat zbierał materiały, a 7 lat pracował nad wykończeniem tego dzieła. Jaką mozolną pracę miał on w samej mechanicznej czynności pisania, można wnosić z objętości dzieła, obejmującej blisko 1,367,000 wierszy *petitu*. Sonders w przedmowie mówi: „Kto podejmuje się takiego dzieła, nie może zaiste na wstępie tańc przed sobą mozolów i trudów, z którymi ono jest związane. Ale widzi je tylko w ogólnych zarysach i powierzchownie, bo gdyby pokazały mu się jasno i w szczegółach tak, jak one w ciągu roboty pojedynczo się nasuwają — wątpię czy zaprągłby się do podobnej pracy”.

Nie możemy także pominąć w tem miejscu Samuela Bogumiła Lindego, który był synem ślusarza z Torunia, rodem Szwed, a jednak wypracował najznakomitszy słownik polski, za który książkę namiestnik Zajączek wręczył mu

osobiście medal złoty z napisem: „*Za słownik języka polskiego — ziomkowie*”. Linde w początkach swego zawodu, gdy bawił jeszcze w Dreźnie, zdał się, że zaledwie rozumiał język polski, powziawszy jednak zamiar wypracowania słownika w 1791 r. nieustannie nad nim pracował lat piętnaście już to w Warszawie, już też w Wiedniu, gdzie zostając w domu Józefa Ossolińskiego, założyciela sławnej biblioteki, materiały przygotowywał. Samo wydanie tej pracy jest dowodem wytrwałości Lindego; założył bowiem jedynie w tym celu drukarnię i mimo czasów wojennych, sześć tomów olbrzymich w niej wydrukował.

Skutecznym bodźcem i zachętą do wytrwałej pilności jest niedola i brak codziennych potrzeb. „Potrzeba — pisze Jakób Grimm, który sam w swym życiu nieraz walczyć musiał z niedostatkiem — potrzeba pobudza do pilności i pracy, chroni od bałamuctwa i zaszczenia szlachetną dumę, którą nie urodzenie lub bogactwo podsycą, lecz świadomość własnej zasługi. Można nawet to twierdzenie uogólnić, i wiele z tego co Niemcy dokonali tej okoliczności przypisać, że oni nie zajmują bogatego kraju. Pracownicy ich postępują z warstw niższych do wyższych i tworzą sobie wiele odrębnych dróg, podczas gdy inne narody idą po szerokim i utrowanym gościńcu”. Jest to fakt bardzo charakterystyczny, że w Niemczech naukom oddają się po większej części klasy średnie i biedne, a w Anglii zamożne. Tu i tam zaiste są zboczenia od tego faktu, niemniej jednak może on być przyjęty za prawo. Co za ogrom trudów, dolegliwości, ofiar i ciężkich wysiłków — wymagała budowa niemieckiej literatury i umiejętności! Postaramy się wykazać to na kilku przykładach.

Wprawdzie nie górujące, lecz przecie bardzo godne uwagi stanowisko, zajmuje w piśmiennictwie niemieckiem poeta Jan Daniel Falk. Był on synem fryzjera, zrodzonym w Gdańsku. Od młodości już czuł silny pociąg do nauki, którą przecie zdobył dopiero po zwyciężeniu największych przeszkód. Ojciec jego był bardzo biedny i zaledwie mógł posyłać syna do szkoły początkowej. Ledwie Falk wynuczył się pierwszych zasad czytania, pisania i rachunku, a już ojciec zamknął przed nim wrota dopiero co otworzone do krainy wiedzy, odbierając go ze szkoły, aby mu był w domu pomocą przy pracy. Ale palająca dusza młodzieńca pokonała wytrwałością i silną wolą przeszkody, które los stawiał

mu uporczywie. Jakiś nauczyciel, który polubił małego Falka za jego niedającą się niczem ukoić żądzę wiedzy, uczył go angielskiego, a jego dziadek rodem z Genewy języka francuzkiego. Na ustroniu zaś czytywał książki w ukryciu trzymane, co było powodem dość częstych kłóć i narzekan, gdy go ojciec schwytał na gorącym uczynku. Aby uniknąć tych kar, wymykał się nocą na ulicę i zagłębiał przy słabem świetle latarni w klasykach ówczesnego wieku, z pomiędzy których szczególnie Wiland pociągał go swojemi powabami, i napełniał jego duszę obrazem jakiegoś świata czarowanego. Idąc za popędem swych skłonności, postanowił zostać żeglarzem i w tym celu tajemnie wymknął się z domu. Długo błądził po brzegu morza bez pomyślnego rezultatu swych życzeń, dla jednych bowiem wioślarzy był za mały, a dla drugich za mało umiały po angielsku. Zbolescią w sercu wrócił do stroskanego ojca, na którego ten wypadek tak silnie wywarł wrażenie, że za namową przyjaciół nie bronił od tąd synowi wstępu do gimnazjum gdańskiego. Nastąpiło to w 16 roku życia młodego Falka. Pilność jego była bez granic. Wnet wyróżnił się zaszczytnie z pomiędzy swych kolegów, jakkolwiek dla zabezpieczenia sobie funduszu koniecznego na kupno książek i t. p., zmuszony był udzielać do siedmiu godzin prywatnych lekcji codziennie. Po 5 latach, dobrze przysposobiony wstąpił do uniwersytetu w Halli. Z początku zamierzał poświęcić się teologii, ale samodzielność jego ducha zmusiła go oddać pierwszeństwo zawodowi autorskiemu przed innemi. Po ukończeniu uniwersytetu, zachęcony przez Wilanda udał się do Wejmaru, gdzie stale osiadł. Burzliwa i nieszczęśliwa przeszłość poprowadziła go bardzo naturalnie w dziedzinę satyry; z dowcipem chlostał głupstwa i blaźństwa ludzkie w swoim pierwszym poemacie, zaszczytnie polecanym przez Wilanda: *Człowiek i bohaterowie* (Der Mensch und die Helden), i w następnym: *Grabarze Rzymu i modlitwy* (Die Gräber von Rom und die Gebete). Gdy 1806 roku po bitwie pod Jena Francuzi wkroczyli do Wejmaru, udało się mu uchronić miasto i kraj od wielu nieszczęść znajomością języka francuzkiego i przytomnością umysłu, za co wielki książę Karol August nagrodił go tytułem radcy z roczną stałą płacą. W roku 1813 dotknięty został niemałym ciosem, utraciwszy ożworo dzieci podczas grasującej epidemii. Wśród głębokiej jednak boleści znalazł dość siły i odwagi do wzniosłego czynu, świadczącego o jego

miłości bliźniego. Sam od młodości wystawiony na niedolę i cierpienia, szukał teraz, gdy go los pozbawił własnych dzieci, pociechy w ojcowskiej opiece nad dziećmi przez wojnę osieroconemi i zaniedbanemi. W tym celu sałował *Towarzystwo Dobroczynności* mające na celu kształcenie opuszczonych dzieci w rozmaitych rzemiosłach, a które mimo przeszkód, jakie i tu szlachetny fundator napotkał, z błogim skutkiem działało. Po upływie kilku lat przy niezmordowanych jego usiłowaniach stanęła szkoła, która po śmierci swego troskliwego fundatora nastąpionej w roku 1826, zamienioną została przez wielkiego księcia na otwarty zakład edukacyjny dla zaniedbanych dzieci, pod imieniem *Institutu Falka*.

Podobne koleje życia przechodził Jan Piotr Eckermann, autor *Rozmów z Goetem* (*Gespräche mit Goethe*), urodził się 1792 r. w Winsen, w hanowerskiem, w lepiance o jednej izbie bez schodów, tak że do niej za pomocą drabiny trzeba było się wdzierać. Głównym źródłem dochodu jego rodziny była krowa i włóka roli, przytem jednak matka zajmowała się przędzą i wyrabianiem czepków. Ojciec zaś trudnił się podczas lata drobnem kramarstwem, sprzedawał wstążki, nici i jedwab, które roznosił w lekkiej szafeczce po domach; w zimie zakupywał gęsie pióra i niebielone płótno po chałtach wiejskich i te zbywał w Hamburgu. „W każdym jednak razie — mówił Jan Piotr — zysk jego musiał być bardzo mały, kiedy żyliśmy wciąż w jednakiej biedzie”. „Zajęcia — mówi dalej — miewałem w dzieciństwie mojem rozmaite, stosownie do pory roku. Z początkiem wiosny, gdy minęły już wylewy Elby, zbierałem paszę dla naszej krowy. Gdy zazieleniły się pastwiska, przepędzałem długie dnie w towarzystwie innych chłopców na paszeniu bydła. Podczas lata byłem używany przy uprawie roli, i dźwigałem na całoroczne potrzeby domu suche drzewo z lasu, o godzinę drogi odległego od naszej chaty. Po żniwach przez całe tygodnie widywano mnie zajętego żrzeniem kłosów, a potem, gdy wichry jesienne trzęsły drzewami, zbierałem żołądź, które na miarki sprzedawałem zamożniejszym mieszkańcom na pokarm dla gęsi. Podrośszy nieco, towarzyszyłem ojcu w wędrowkach z wioski do wioski i dźwigałem jego tłumoczek. Ta epoka należy do najmilszych wspomnień mej młodości. Wśród takich zajęć, uczęszczając przytem czasami do szkoły i ucząc się czytania i pisania, przepędziłem

lat 13 i każdy przyzna, że od tego stanowiska daleko mi było do późniejszych poufnych stosunków z Goetem. Nie wiedziałem wówczas wcale, że istnieje na świecie coś podobnego do poezji i sztuk pięknych, nie mogła się więc nawet obudzić we mnie chęć do ubiegania się za temi rzeczami”.

Szczególne okoliczności nadała jego życiu inny kierunek. Ojciec, który namiętnie palił tytoń, przyniósł z sobą z Hamburga paczkę tytoniu, na której znajdował się rysunek konia. Chłopiec tak pięknego obrazka jeszcze nigdy nie widział, a idąc za wewnętrznym pociągiem usiłował go skopiować. Udało mu się to, a uradowani rodzice zdziwili się bardzo, niespodzianie odkrytym talentem syna. Odtąd nie opuścił go już pociąg do malarstwa. Jakiś sąsiedni garncarz pożyczył młodemu artyście zeszytu wzorów rysunkowych, któremi się posługiwał przy malowaniu talerzy i misek. Młody Eckermann odrysował je starannie i zapłacił niemi 2 zeszyty, które przechodząc z ręki do ręki, doszły i do najwyższego miejscowego urzędnika. Ten zachęcił go do oddania się malarstwu i przyrzekł pomoc w jego wykształceniu. Rodzice, którzy pod wyrazem malarstwo nie rozumieli nic innego jak pociąganie farbą drzwi i murów, starali się odwieść syna od zamiaru zostania artystą, przywodząc nietylko, że powołanie malarza jest trudne, lecz że nadto stanowi rzemiosło niebezpieczne, zagrażające złamaniem karku. I stało się jak chcieli. Mało znaczący ten wypadek miał przecież dobry skutek, bo zwrócił uwagę wyższych osób na młodego Eckermanna, co umożliwiło mu dojście do stanowiska powiernika Goetego. Pozwolono mu bywać codziennie na prywatnych lekcyach, udzielanych zamożniejszemu dzieciom wioski, zaopatrzono go w lepsze suknie, a nawet superintendent Parisus, zaprosił go stale do swego stołu.

Z pomocy tej korzystał Eckermann do szesnastego roku życia, poczem wstąpił jako dependent przy urzędniku sądowym, u którego pozostawał przez 2 lata, to jest do roku 1810. W tym to czasie hanowerski urząd w Winsen został rozwiązany i wcielony jako część składowa departamentu Dolnej-Elby do Francji. Wtedy otrzymał posadę w biurze stałych podatków w Lüneburgu, a potem w biurze podprefekta w Uelzen. Gdy nadszedł rok 1813, gdy w Niemczech młodzi i starzy, bogaci i biedni chwycili za broń dla oswobodzenia się z pod panowania Francuzów, wtedy i Eckermann, uwolniwszy się od służby, wstąpił jako ochotnik do

szeregów waleczących. Na bujnych niwach Brabancyi i Flandryi, gdzie oddział, w którym służył, dość długo obozował, poznał nowy świat; przyglądając się wielkim obrazom Niderlandczyków, dawna myśl poświęcenia się malarstwu na nowo w nim odżyła. Po rozpuszczeniu oddziału w r. 1814, wrócił Eckermann do miejsca rodzinnego. Niezwłocznie zaczął się rysunkami i malarstwem z gorącą zarliwością, lecz wnet przekonał się, że mu brak studyów przygotowawczych. Dla uzupełnienia tego braku, przedsięwziął po głębokim śniegu, wśród zimy 1815 r., sam jeden, pieszo, 40-to godzinną podróż przez puste bory do hanowerskiego malarza Ramberga. Ten przyjął go dobrze i chętnie udzielił pomocy. Kilka szczęśliwych miesięcy przepędził Eckermann nad nauką, którą mu choroba przerwała. „Nie byłem — opowiada on — w stanie ołówka utrzymać, tak drżały me ręce”. Lekarz uważał stan jego za bardzo niebezpieczny, zdołał go jednak szczęśliwie wyleczyć. Rezultatem wszelako choroby była niemożność oddawania się artystycznemu zawodowi. Żeby zaś zbyt długo nie być przyjaciółom ciężarem, przyjął posadę w komisji wojennej armii hanowerskiej. W tym czasie wpadł mu w ręce zbiór pieśni Teodora Körnera „Lira i miecz” (Lier und Schwert), które głębokie wrażenie sprawiły na jego umyśle. Ogarnął go zapal poetyczny i uczuł potrzebę wywnętrzenia się. Powrót niemieckich wojowników z Francji nadarzył mu pożądaną sposobność. Znał wszystkie dolegliwości, na jakie żołnierz w polu jest wystawiony, i sądził ze pieśnią na tem tle osnutą, godnie uczci wracających wojowników. Pieśń tę kazał własnym nakładem w kilkuset egzemplarzach odbić i rozpowszechnić po mieście. Ogólne uznanie jakie spotkało tę pierwszą jego próbę, zachęciło go i ośmieliło do dalszej na tem polu pracy. „Miałem wówczas lat dwadzieścia cztery”, pisze o tym peryodzie swego życia, „czułem w sobie świat uczuć, pragnień i dobrych chęci, zbywało mi jednak na wiadomościach naukowych i wszelkiej duchowej kulturze”. W tym czasie po raz pierwszy usłyszał imię Goetego, odczytał tom jego poezyj i natychmiast usiłował poznać inne dzieła znakomitego poety niemieckiego. Obrazy czysto ludzkie, młodość uczucia, podniosłość myśli, słodycz i wzniosłość języka, wszystko to pociągało go nadzwyczajną siłą. Nagle w osobie Goetego pokazała mu się gwiazda przewodnia, za którą on z miłością i podziwem przez całe życie postępował. Wie-

cej niż kiedykolwiek poznał teraz, że nie posiada gruntownego naukowego wykształcenia, bez którego nie może być nawet mowy o wyższym stanowisku literackiem. Dla uzupełnienia swych niedostatków brał codziennie lekcye prywatne języka łacińskiego i greckiego, poświęcając na to cały wolny czas, jaki mu pozostawał po 6-cio godzinnej pracy biurowej. Przepędził na takiej pracy rok jeden, szybko postępując w naukach, chociaż wedle jego chęci nie dosyć prędko jeszcze. Uczuł też potrzebę poświęcenia przynajmniej kilku godzin dziennie w gimnazyum, aby więcej niż dotąd żyć wśród świata wykształconego. Zaczynając dyrektora wyegzaminowawszy go umieścił w sekundzie (6-ta klasa) jakkolwiek — jak się sam wyraża — nie był dostatecznie do niej przysposobionym. „Nie potrzebuję nawet nadmieniać” mówi on „że jako 25-cio letni młodzieniec i piastujący już urząd, wśród tej niedorosłej młodzieży byłem dziwnym zjawiskiem i przyznam się, że to szczególne moje położenie było mi bardzo nieprzyjemne, lecz spragniony nauk wszystko cierpliwie znosiłem”. Pracował też z nadzwyczajnem wysiłkiem. „O piątej godzinie z rana” pisze „byłem już przy pracy. Od godziny 8 do 10 znajdowałem się w szkole, a potem pracowałem w biurze prawie do 1 godziny. Ztąd w największym pośpiechu pędziłem do domu, a polykając szybko potrawę obiadu na pierwszą stawiałem się znowu do szkoły. Do 4-tej trwały lekcye, a potem miałem jeszcze w biurze czynności do godziny 7-mej; pozostały zaś czas obracałem na przygotowania i lekcye prywatne. Ta olbrzymia praca szkodliwie oddziaływała na jego duszę i ciało. Uczuł się wkrótce złamanym na umyśle i wycieńczonym fizycznie, tak że zmuszony był przerwać uczęszczanie do szkoły. Przez ten jednak czas zrobił znaczny postęp w naukach, a postanowiwszy wstąpić do uniwersytetu, kontynuował studia prywatne. Gdy poczuł się jednak w lepszym stanie zdrowia, wróciła chęć do tworzenia poetycznego, ułożył więc wiele pieśni, do których służyły mu za wzór głównie młodociane pieśni Goetego.

Tymczasem zbliżał się czas wstąpienia do uniwersytetu. Liczni jego przyjaciele przyrzekli mu wsparcie pieniężne, gdyby chciał oddać się tak zwanym popłatnym umiejętnościom. Przeciwno temu przecież oburzyła się jego dusza. Gdy jednak chęć wstąpienia na uniwersytet w namietność przeszła, uwzględniwszy wymagania otaczających go

osób, wybrał sobie nauki prawne. Przyjaciele wyrobili mu wtedy dymisy z biura z pozostawieniem 150 talarów na rok z jego pensyi przez czas dwuletni, jako wsparcie na studia. Nadto ułatwili mu zarobek 150 talarów na wydawnictwie jego pieśni. Uzbrojony temi materyjalnymi środkami wstąpił Eckermann do uniwersytetu w Getyndze. Popłacający jednak zawód nie przypadł do jego usposobienia i jedy-nem jego zajęciem była poezya, sztuka i wyższy duchowy rozwój. Po upływie roku, w zupełności porzucił naukę pra-wa, natomiast słuchał wykładów historii i językoznaw-stwa, i oddał się pouczającemu obcowaniu ze zdolniejszymi kolegami.

Po dwuletniej pracy powrócił Eckermann do Hanowe-ru, gdzie napisał zeszyt swych poezyj i posłał rękopism Getemu z prośbą o kilka słów polecających do księgarza. Dawniej już komunikował mu egzemplarz swych pieśni i dowiedział się od podróżnych, że wieszcz ma o nim dobre mniemanie. Odtąd pałał gorącą żądzą osobistego widzenia się ze swoim pierwowzorem; wybrał się przeto w Maju 1823 roku w pieszą wędrowkę do Wejmaru. „W czasie mo-zolnej z powodu upału drogi“ pisze „powtarzał sobie w du-szy to pocieszające przekonanie, że zostaje pod szczególną opieką duchów dobroczynnych, i przechadzka moja może wywrzeć silny wpływ na przyszłe koleje mego losu“. Gete przyjął go bardzo serdecznie, a Eckermann odtąd został je-go zaufanym przyjacielem i literackim towarzyszem. Święt-nym owocem tego przyjacielskiego stosunku, są oprócz spo-rządzonego przez Eckermana pełnego wydania dzieł poety, „Rozmowy z Getem“ (Gespräche mit Goete), jedyca w swym rodzaju książka z powodu pełności i wszechstronności za-wartych w niej myśli, uwag z dziedziny sztuki i umiejęt-ności życia. Dzieło to Eckermana przetłumaczono na wszyst-kie prawie języki europejskie.

Pomiędzy przedstawicielami niemieckiej umiejętności, trudnoby znaleźć piękniejszego przykładu, co duch ludzki mimo niedoli i przykrego losu zdolny jest uczynić, gdy sil-na wola pobudza go do działania, jak życie filologa Chry-styana Gottleba Heyne. Zrodzony z rodziców bardzo bied-nych, wzrósł w pośród najróżnorodniejszych cierpień, wy-pływających z niedostatku, jaki mu prawie w ciągu połowy życia z wielką uporczywością towarzyszył; lecz dzięki swej

wytrwałości doczekał się dni szczęśliwszych. Zobaczmy co sam o swojej młodości opowiada.

„Urodziłem się w Chemnitz 25 września 1729 roku w największej nędzy i tamże przepędziłem pierwsze lata. Najpierwszym towarzyszem mego dzieciństwa był niedosta-tek, a pierwszym wrażeniem doznanem były lzy matki, której kawałek chleba dla swych dzieci zabrakło. Jakże ją często widywałem z zapłakanemi oczyma, załamaniem rę-koma, wracającą w sobotę z niesprzedanym towarem, nad którym z natężoną pilnością ojciec nasz (tkacz płócienni-czy) bezsenne noce przepędzał. Niekiedy siostra moja lub ja czyniliśmy nowe usiłowania i lażaliśmy do kupców z te-miż samemi towarami, byle się ich pozbyć. Kupcy zwykle ofiarowali najniższą cenę, żeby potem te same towary jak najdrożej odprzedawać. To przejmowało mnie nienawiścią dla bogaczy“.

„Moi dobrzy rodzice robili dla mnie co tylko było w ich możności; oddali mnie do szkoły elementarnej, gdzie odbierał pochwały za bystre pojmowanie i chęć do pracy. Już w 10-tym roku życia dla ulżenia rodzinie i pokrycia kosztów szkolnych, udzielałem lekcye czytania i pisania dziewczynce, córce naszego sąsiada. Gdy mi początkowa szkoła starczyć już nie mogła, należało brać lekcye prywa-tnie w celu wyuczenia się łaciny. Lecz za taką naukę trze-ba było hojnie się opłacać, czemu moi biedni rodzice podolać nie mogli; w tym moim kłopotcie zabłysła mi chwilowa nadzieja. Mój chrzestny ojciec, a brat przyrodni matki był zamożnym piekarzem. Pewnej niedzieli posła-no mnie do niego po chleb. Wszedłem do jego domu za-plakany, a gdy zapytany zostałem o przyczynę, strumień łez popłynął mi z oczu i ledwie wybełkotałem odpowiedź. Dobry piekarz przyrzekł płacić za moją naukę i położył ja-ko warunek, abym co niedziela doń przychodził i recytował z pamięci wyuczoną ewangelią. Miało to dobry skutek, bo ćwiczyło moją pamięć i czyniło mnie śmiałym w odpowie-dziach. Upojony radością wybiegłem z moim chlebem, rzu-całem nim jak piłką i jakkolwiek boso, skakałem w unie-sieniu po spiczastych kamieniach. Aż tu, tak podskakując, upuściłem chleb do rynsztoka. To mnie nieco oprzytomniło. Matka radowała się przyniesioną do domu wiadomością, oj-ciec był mniej zadowolony. Tak minęło kilka lat, aż w koń-cu mój nauczyciel potwierdził to, co ja oddawna wiedzia-

łem, a mianowicie, że już nic nowego od niego nauczyć się nie mogę“.

„Teraz nadszedł czas, w którym miałem opuścić naukę i przejść do zajęć moich ojców. Gdyby nie głupie uprzedzenia, jakie wówczas jeszcze panowały o stanie rzemieślniczym, byłbym został przy rzemiośle. Byłbym wolny od tysięcy dolegliwości, które mnie w późniejszym życiu trapiły. Zaiste, ojciec pragnął mieć z dorosłego już syna pomoc w swej uciążliwej pracy i dlatego wstręt mój do warsztatu przejął go wielkiem niezadowoleniem. Ja zaś pragnąłem gorąco wstąpić do gimnazjum. Lecz niestety nie miałem środków, bo z kąd wziąłbym guldena (4 złp.) na kwartalną opłatę, z kąd książki, z kąd niebieski mundur? Z jakąż pożądlivością zwracałem wzrok ku murom szkolnym, gdym koło nich przechodził!“

„Drugim mym ojcem chrzestnym był duchowny, pastor Seidel. Nauczyciel, od którego brałem lekcye łaciny, należący do jego parafii, chwalił moje postępy przed nim. Posłano mnie więc do tego duchownego, a po krótkim egzaminie przyrzekł mi, że koszta mego kształcenia się w mieście on ponosić będzie. Któż znowu zrozumie to drugie szczęście jakiego doznałem! Udałem się do rektora Hager, który wyegzaminowawszy mnie pomieścił w 2 ej klasie. Ale z osłabienia, zgryzot i nędzy, nadto z braku swobody w wieku młodocianym, budowa mego ciała nie mogła się rozwinąć. Nizki mój wzrost dał pochoć kolegom moim do szydzenia ze mnie i lekceważenia. Tylko dowody pilności i pochwały otrzymywane skłoniły ich do znośzenia mnie obok siebie“.

„Pilność jednak moja natrafiła na wielkie przeszkody. Pastor o tyle spełniał obietnicę swoją, że przysłał opłatę szkolną, zaopatrzył mnie w gruby mundur i darował mi kilka niepotrzebnych książek jakie w swym zbiorze znalazł; lecz na dostarczenie mi książek szkolnych nie mógł się już zdobyć. Zmuszony więc byłem pożyczać sobie książki od jednego z moich kolegów i codziennie je przepisywać przed lekcyami. Natomiast pocziwy pastor pragnął sam brać udział w kształceniu mnie i od czasu do czasu dawał mi lekcye łaciny. W swej młodości pastor uczył się skandowania łacińskich wierszy, to też jeszcze przed czytaniem klasyków i bez żadnego zapasu wyrazów, zmuszony byłem

uczyć się u pastora wierszowania łacińskiego. W szkole nie szło wcale lepiej, panowała tam przestarzała rutyna“.

„To wprawdó mój umysł w letarg, z którego przypadek wydobyl mnie jednak. Zdarzyło się, iż egzamin miał miejsce w obec superintendenta Dr. Krügera. Uczony teolog, przerywając wykładającemu rektorowi zapytał, kto z uczniów odpowie co *per anagrama* (zmiana porządku liter) z *Austrii* powstanie. Pytanie to było spowodowane pierwszą wówczas wynikłą wojną szlaską (1740—43) i zjawieniem się w jakiejś gazecie pięknego anagramu. Nikt nie wiedział co to jest anagram, a nawet sam rektor zdawał się być wielce zakłopotanym. Gdy nikt nie odpowiadał; Krüger rozpoczął opis anagramu. Wtedy podskoczyłem z wyalezionym wyrazem *vastari* (spustoszyć). Wyraz znaleziony przezemnie nie był tym co pomieszczony w gazetach. Tem większe jeszcze było zdziwienie superintendenta, gdy widział przed sobą małego chłopca z ostatnich ławek sekundy. Obiecał mi swoją łaskę, ale niestety tym sposobem poszczuł na mnie kolegów, zgromiwszy ich, że się dali wyprzedzić przez infimusa (niższego)“.

„Ta szczególna przygoda stała się powodem rozwinięcia moich sił umysłowych. Nabrałem zaufania do samego siebie i nie pozwalałem już jak dotychczas sobą pomiatać“. Heyne podwoił swoją pilność. Udało mu się wkrótce znaleźć wstęp do pewnej znakomitej rodziny, jako nauczyciel prywatny, a wtedy mógł sobie już kupić oleju do lampy, a nawet zaspakajać niektóre potrzeby własnej rodziny.

Tymczasem zbliżył się czas wstąpienia do uniwersytetu lipskiego. Z wiarą w Opatrzność i obietnicą starego pastora wybrał się odważnie w drogę z dwoma guldenami w kieszeni. Gdy jednak obiecane pieniądze nie nadeszły, ze zmartwienia i głodu zachorował. Pastor przysłał mu później kilka talarów, ale te zaledwie od głodowej śmierci go uchroniły; gdy zaś prosił o dalsze wsparcie, otrzymał zamiast tego list z gorzkimi wyrzutami pod upokarzającym adresem: à Monsieur Heyne, étudiant negligéant à Leipzig (Panu Heyne, próżnującemu studentowi w Lipsku). Służąca, którą niedola biednego studenta wzruszyła, pożyczala mu kilka groszy codziennie na zaspokojenie jego potrzeb.

Małe przyczyny bywają często zwiastunami wielkich skutków. Gdy biedny syn tkacza musiał u swego pocziwego dobrodzieja starego pastora kuć łacińskie wiersze, nie

przeczuwał, że ta umiejętność może później jako wpływ wywrzeć na jego życie. Otóż podczas studyów w Lipsku zdarzyło się, iż zmarł kaznodzieja tamtejszy reformowanej gminy Lercost, z którym Heyne żył w stosunkach przyjacielskich. Młody student wyraził więc swój smutek po utracie przyjaciela w łacińskiej elegii. Utwór ten pięknie przedrukowany, przechodząc z rąk do rąk, doszedł do ministra Brühla. Hrabia dopytywał się o autora i wyraził nawet życzenie poznania go i przyjęcia do swojej służby. Usłyszawszy o tem poeta pożyczył 50 talarów potrzebnych mu na drogę i udał się do Dreżna, gdzie minister łaskawie go przyjął i przyrzekł, że o jego losie pomyśli. Ale na tem też przyrzeczeniu cała się pomoc skończyła. Pierwsze spotkanie Heynego z wielkim człowiekiem głęboko utkwiło w pamięci jego i wyleczyło na zawsze z błędnego mniemania, że do słów pańskich można przywiązywać jakąś wagę. Łatwo wierność bowiem pogrążyła go w niewymowną nędzę. Bez grosza i kredytu znalazł się na bruku wielkiego i obcego sobie miasta. Przypadkowo dostał miejsce guwernera, które przecież zaraz musiał porzucić. Jego niedola doszła do zenitu. Zbierane strączki, które sam sobie gotować musiał, stanowiły przez pewien czas jedyny pokarm. Bez pieniędzy, mieszkania i przyjaciół blizkim był głodowej śmierci, gdy zlitował się nad nim jakiś szlachetny student i przyjął go do swej izby. Dla braku jednak łóżka musiał Heyne spać na gołej podłodze, a książki służyły mu za poduszki. Gdy już ze zbolełym sercem ostatnią swą książkę sprzedał antykwarjuszowi i znikąd pieniędzy otrzymać nie mógł, niedola podała mu pióro do ręki i uczyniła go literatem. Pierwszą jego próbą było wydanie łacińskiego poety Tibulla, poczem nastąpiło opracowanie greckiego filozofa Epikteta. Honorarium wynoszące 100 talarów starczyło zaledwie na spłacenie długów; położenie więc jego nie o wiele się polepszyło. Kilka lepszych przekładów przyjęli wprawdzie wydawcy, ale o wynagrodzeniu zupełnie nie było mowy. Heyne uczył następnie młodego hrabiego Brühla, za co miał przyobiecane 200 talarów wynagrodzenia. Gdy jednak wybuchła wojna 7-mio letnia (1756) został odprawiony z zapłatą tylko 50 talarów. Podczas bombardowania Dreżna (1759) stracił podobnie jak satyryk Rabener, wszystkie swe papiery i książki. W roku 1759 gdy bieda znowu silnie mu dokuczała, dostał zawezwanie na domowego guwernera do szla-

checkiej rodziny Weissów, gdzie ukształcił ich córkę Teresę. W kilka lat potem, Teresa idąc za popędem swego przekonania, przyjęła religię ewangelicką i za to przez rodzinę swoją odepchniętą została; Heyne nie opuścił jej i choć biedny, ale ożywiony nadzieją lepszej przyszłości, otrzymał w roku 1761 jej serce i rękę. Oto co pisze w swych pamiętnikach o tem:

„Wspaniałomyślne wsparcie kilku szlachetnych przyjaciół, na jakiś czas los nasz uczyniło znośnym. Ilek jednak z mą żoną chmurnych przepędziliśmy dni! Przybyły też wkrótce świeże kłopoty. Bóg pobłogosławił nas synem, który tylko dzięki nadzwyczajnej pieczołowitości matki przy życiu mógł być zachowanym“.

„Znajomość z zacną rodziną Löben rozjaśniła nieco ciemny nasz horyzont. Pan Löben zaprosił nas do swych dóbr, gdzie używaliśmy przyjemności wiosennych. Wojna jednak, która w nasze strony się przeniosła, zatrula ten błogi spokój. Rodzina Löben ukrywając kosztowności opuściła swe siedlisko i nam zostawiła dozór nad domem i gospodarstwem. Niebawem wpadli kozacy (jak się później wykazało byli to przebrani prusacy). Spiwszy się w piwnicach zachowaniem tam winem, rozsypali się po domostwie za rabunkiem. Goniony przez kilku wbiegłem na górę i znalazłem otwarte drzwi izby, w której moja żona z niemowlęciem się znajdowała. Wpadłem do alkierza, gdzie ukryte były kosztowności, a żona moja śmiało stanęła z dziećciem na rękę. Ta jej odwaga ocaliła moje życie i ukryty skarb w alkierzu. W połowie listopada powróciliśmy do Dreżna znowu bez żadnych widoków. Tu powiedziano nam, że dopytywano się o mnie z Hanoweru, a w grudniu otrzymałem zaproszenie na katedrę po Gesnerze w Getyndze“.

W roku 1763 Niemcy po 7-mio-letniej wojnie odzyskały pożądany pokój, a Heyne także po długoletniej walce z losem zawarł z nim przymierze. Od tej chwili rozpoczęły się dla niego dni szczęśliwe, które trwały do roku 1812, więc blisko przez 50 lat. Heyne w swych wykładach, unikając drobiazgów, usiłował wskrzesić ducha starożytności i objaśnił utwory wiekopomne ze stanowiska czasu i stosunków, w których były pisane. Pracował nad językoznawstwem nie tylko po szkolarsku, lecz wykazał, że takie studia powinny wpłynąć na wykształcenie smaku, uszlachetnienie uczuć i wydoskonalenie całej naszej moralnej natury.

Zaiste, studia lepiej przypadalyby do serca młodzieży i przyniosłyby jej pożywniejszy posiłek duchowy, gdyby współcześni nam filolodzy częściej trzymali się metody wprowadzonej przez Heynego!

I literatura polska pomiędzy przedstawicielami swoimi ma wielu takich, którzy znakomite stanowisko swoje zawdzięczają sami sobie, własnej pracy i wytrwałości. Na czele przytoczymy Kazimierza Brodzińskiego. Urodził się 8 marca 1791 roku. O pierwszych latach swego dzieciństwa tak sam opowiada: „Matki mojej wcale nie pamiętam; miałem lat pięć kiedy mnie odumarała. Pierwsza chwila, którą z dzieciennych moich lat pomnę, jest pogrzeb mojej matki. Jej postać w trumnie aż do ubioru, aż do katafalku, na którym złożoną była i do pieśni, które ubodzy przez dwa dni nad jej ciałem śpiewali, pamiętam jakby wczorajsze zdarzenie, równie jak przepowiednię księdza, który rzekł wtedy do nas: Dzieci! będzie was macocha biła! W dzieciństwie bardzo wieku napisałem pieśń żalowaną na pamiątkę mojej matki. Pieśni tej wcale nie pamiętam, wiem, że ją płacząc pisałem i to w nocy, na oknie przy świetle księżycy. Brat mój Andrzej, zawsze mi to pismo moje bardzo wychwalał... Imię matki od lat najmłodszych było dla mnie światłem nazwiskiem. Widok moich współuczniów a później młodzieńców przy matkach, nappełnił mnie rzewnem uczuciem. Uważałem synów mających matki, choćby daleko uboższych odemnie, za jakies wyższe, do szczęścia wybrane istoty. Wiele samotnych, nikomu nieznanych łez mnie kosztowało, gdy widział dziecię od matki pocałowane...”

Przepowiednia księdza: Dzieci! będzie was macocha biła! sprawdziła się niestety. Ojciec, człowiek zbyt potulny i niedobrej żonie powolny, zubożetniał dla synów; starszego brata w domu nie było, a macocha nie miała serca dla sieroty. Nie dbała zupełnie o młodzieńckiego Kazimierza, a jeszcze jak własne dzieci przybyły, żadnego starania i opieki nad pasierbem nie było. Biedny chłopczyzna sfukany nieraz, głodem morzony w domu, uciekł na wieś, chronił się po chatach. Gdy zachorował, macocha, zamiast pielęgnować, wygnała go z domu, ażeby jej dzieci nie pozarażał.

Do nauki nikt go nie zachęcał; nikt mu do niej nie pomagał; garnał się do światła z własnej ochoty. Macocha wyznaczyła mu mieszkanie na strychu; tam był porzucony wór ze starymi papierami ojca. Młodzieńcki chłopczyzna

z chciwością przeglądał te pisma. Odczytywał je siedząc na sienniku przy skąpej świetle małego okienka. Były tam wiersze dawnych poetów, mowy sejmowe, listy o ważniejszych wydarzeniach w kraju zaszłych. Wszedłszy na swój strych po drabinie, godzinami przesiadywał chłopczyzna, odczytując te papiery, ucząc się wierszy, próbując coś z własnej głowy napisać.

Brat starszy Andrzej wezwał go do siebie. „Po nocach nie sypiałem, pisze Brodziński, z tęsknoty do brata, do jego książek”. Wybrał się tedy pieszo, odarty, o głodzie. Brat umieścił go w szkole w Tarnowie. Mając bardzo szczupłe fundusze musiał wynająć mieszkanie u biednego krawca. Tam nieszczególnie miał przykłady. Krawiec pijak, kłócił się z żoną, po nocy wyprawiał burdy, wymyślał wszystkim domowym, tłukł garnki, rozbijał co mu w rękę wpadło. Przykład ten nie zepsuł Kazimierza, ale wywołał tylko w nim wstręt do złego.

W szkołach Brodziński również nie miał sposobności do przygotowania się na reformatora poezji polskiej, bo w owym czasie w Galicyi po polsku nie uczono, i Brodziński w szkołach o literaturze ojczystej ani słyszał. Ale kto w duszy swej żywi prawdziwą miłość dla nauki, ten ją znajdzie i bez szkół i bez nauczycieli. Tak było z Brodzińskim! W r. 1809 zaciągnął się do wojska księstwa Warszawskiego; odbył sławną kampanię r. 1813, w której pod Berzyną stracił ukochanego brata Andrzeja i kilku najlepszych przyjaciół. Pod Lipskiem dostał się do niewoli; po odzyskaniu wolności osiadł w Warszawie, gdzie zaczął usilnie nad sobą pracować; dawał lekcje prywatnej literatury polskiej, następnie został profesorem liceum, a nakoniec uniwersytetu Warszawskiego: „Brodziński, mówi Bartoszewicz, pierwszy pukał czarodziejską laską w skalę, pod którą płynął życiodawczy strumień poezji narodowej i zawracał do natury. Tłumaczył piosenki serbskie i czeskie. Pierwszy dał poklask romantyzmowi i ocenił Mickiewicza, wreszcie w upartej walce klasyków z romantykami, zaczął rozwijać nowe teorie piękności w sztuce i podkopując powagę zastarych zasad, ułatwiał narodowi poznanie tego, co zjawilo się świeżo w literaturze. I dla tego sprawiedliwie porównano Brodzińskiego do ś. Jana Chrzyciela, co to zwiastował i prostował drogi Pańskie. Brodziński rzeczywiście był tym Janem Chrzycielem dla Mickiewicza, dla nowej poezji.

Najcelniejszym z jego utworów jest „Wiesław” prosta sie-lanka krakowska, ale jak piękna! Pierwszy to z kolei naro-dowy poemat wysokiej wartości. Inne poezye jego tchną także miłą prostotą.

Chociaż Brodziński na częste w swem życiu narażony był zawody, nie skarżył się jednak na los powtarzając sobie i innym:

Kiedyś robił jak przystało
Nie płacz, że się nie udało!

Czuł on dobrze, że każda wytrwała praca do skutku doprowadzić musi, że żadne ziarno nie jest stracone na ni-wie życia. Widzimy to jasno w pięknych jego słowach:

Chociaż nie skończysz, ciągle rób,
Ciebie, nie dzieło porwie grób,
Chociaż dla czynów tu krótko nas,
Czas wszystko skończy, bo ma czas.
Co nie można sobie sprawić,
Zacząć i innym zostawić.

Obok Brodzińskiego postawimy sędziwą postać żyjącego jeszcze Ambrożego Grabowskiego, któremu nauka starożytności polskich a mianowicie krakowskich, odrodzenie swoje zawdzięcza, on bowiem dał jej popęd i wiele szczegó-łów odszukał.

Ubogiego pochodzenia syn włościański, nie osłaniał nigdy fałszywym wstydem początków swego rodu, owszem chlubił się nim i za przykład stawiał co może usilna praca i wola niezłomna.

„Urodziłem się, mówił do przyjaciół, w miesiącu gru-dniu roku 1782 w miasteczku Kentach, w dawnym ksiązt-wie Oświęcimskim, z ojca Jana i Teresy Grabowskich. Ojciec mój był organistą tamże, pochodząc w najprostszej linii z rodu włościańskiego, gdyż mój dziad był poczciwym i pracowitym kmieciem we wsi Głubowicach; mogę zatem powiedzieć o sobie to, co mówił wiejski szlachak w bajce Franciszka Morawskiego:

Rodu mego nie mam za ohydę,
Nie pytam zkąd przychodzę... ale dokąd idę.

„Początkowe nauki otrzymałem w szkółce normalnej miejscowej, gdzie uczono czytać, pisać, religii, rachunków i języka niemieckiego. W dzieciennym wieku odumarł nas ojciec, zostawując dziewięciorgo drobnej dziatwy. W r. 1797

pożar całego miasteczka pograżył owdowiałą matkę w ubó-stwie, co wskazało jej potrzebę rozesłania dzieci pomiędzy ludzi w służbę. W lipcu tegoż roku babka moja do Krako-wa jadąc wzięła mnie z sobą; opuściłem dom rodzinny z ochotą, żądny nauki a potrzebny chleba. W Krakowie krewny nasz, ksiądz Paschalis Serwan, kustosz OO. Ber-nardynów, polecił mnie do księgarni Antoniego Ignacego Grebla, gdzie znalazłem się w moim żywiole, bo lubilem czytać. Wziąłem się zatem do czytania wszystkiego co było pod ręką, lecz mię to do niczego nie doprowadziło, w braku przewodnika, któryby mi dobrą drogę pokazał.

„Ukończywszy praktykę handlu księgarskiego, zaczą-łem się uczyć języka francuzkiego, w czym pierwszych po-czątków udzielał mi gratis miłej mi pamięci Walenty Szac-fajer znany w piśmiennictwie wileńskim. Ograniczony w środkach, o ile mogłem kształciłem sam siebie, a pod ta-kim kierunkiem daleko zajść nie mogłem; to przecież po-wiedzieć muszę, że nauka moja ani grosza nie kosztowała, a zwykle tani towar nie bywa wybornym.

„W domu Greblowskim pozostawałem ciągle przez lat dwadzieścia jako subiekt handlowy (po dawnemu czela-dnik), następnie jako prowadzący interesa księgarni i dru-karni (buchhalter), a w końcu przez lat dwa jako wspólnik handlowy.

„W r. 1817, pragnąc aby owoc starań i prac moich w zupełności przy mnie pozostawał, opuściłem księgarnię Greblowską (Józefa Mateckiego) i założyłem w Krakowie niewielką księgarnię, którą prowadziłem przez lat dwadzie-ścia, aż w r. 1837 udałem się na stan spoczynku, zawsze mając na uwadze zdanie Robertsona: *Vita sine literis, mortis imago est*.”

Księgarnia jego była to szczupła izdebka przy ulicy Grodzkiej, w samym prawie rynku mieszcząca się. Główne jego bogactwo stanowiły dawne książki i broszury polskie, na których właściciel znał się doskonale. Tu schodzili się prawie wszyscy literaci krakowscy i ztąd najrzadsze tak zwane białe kruki otrzymywali ówocześni bibliomani pol-scy; bo Grabowski, w całym znaczeniu tego słowa, był dłu-go jedynym uczonym antykwaryuszem, nie tylko w Krako-wie, ale i w całej Polsce, mającym najrozleglejsze stosunki ze zbieraczami dawnych zabytków piśmiennych. U niego więc skupiały się tego rodzaju interesa, zwykle z obopólną

korzyścią dokonywane. W ten sposób złączony przyjaźnią z uczonymi, szczególnie w Krakowie z Jerzym Samuelem Bantkie bibliotekarzem biblioteki Jagiellońskiej i ze znakomitym wieszczem biskupem Woroniczem, czerpał od nich wiadomości i zachętę do literackiego zawodu. Z namowy pierwszego wziął się do poszukiwań archiwalnych; drugi podał mu myśl i pomoc do opisu Krakowa, do którego sam skreślił wyborne opisanie pałacu biskupów krakowskich. Raz obrawszy sobie tę drogę, nie porzucił jej nigdy, owszem zamknawszy księgarnię, wyłączenie się temu poświęcił i chociaż przyciśniony już wiekiem, z niknącym od ciągłej i zmuśnionej pracy wzrokiem, nie wypuścił dotąd pióra z ręki, ogłosiwszy znaczną liczbę dziejowych pomników, czerpanych z samych tylko rękopisów¹⁾.

W tem miejscu pomieścić nam wypada, jako żywy przykład samodzielności, wytrwałości i pracowitości w obranym zawodzie naukowym, Adama Czarnockiego, lepiej znanego w naszej literaturze pod nazwą Zoryana Chodakowskiego. Urodzony był d. 4-go kwietnia 1748 r. z rodziców szlacheckiego stanu, lecz ubogich, mieszkających na Litwie podobno pod Hajną w bliskości Nieświeża i Ślucka. Pierwsze lata młodociane przeżył u ojca swego Jakóba, który po wielu domach prywatnych pełnił obowiązki ekonoma. Nie-szczęścia jednak kraju, nękające Polskę w końcu zeszłego wieku, przywiodły do nędzy całą rodzinę, tak iż nie było żadnego sposobu dać Adamowi jakiegokolwiek wychowania. Młodzieńca zatem surowego odwiózł ojciec do bogatszych krewnych w powiecie Śluckim i dopiero ich pomoc skąpą odmierzona ręką, pozwoliła Adamowi ukończyć ówczesne szkoły powiatowe. W młodym już jednak wieku odznaczył się niepospolitą pamięcią a większą jeszcze pilnością. Z nauk historia i geografia najwięcej go zajmowały, a czytanie starych rękopisów i ksiąg stało się wkrótce jego namiętnością. Wówczas już Adam Czarnocki, mówi jeden z biografów²⁾, lubo bez wielkiej nauki, bez znajomości języków obcych (bo umiał tylko trochę szkolnej łaciny), bez najmniejszej nakoniec znikąd zachęty, zagrzebany w cichem wiejskim ustroniu, z zapalem mawiał o nieodbitą konieczności baczniejszego śledzenia prawd historycznych, o wskrze-

szaniu poezji ojczyściej, o zbieraniu pieśni gminnych, badaniu podań i zwyczajów ludu, uświęconych dawnością. Śmiało się nieraz z młodzieńca, mianując go marzycielem i zapaleńcem, gdy ten gorliwie wypytywał starych rolników o rozmaite ich naddziadów podania, lub cierpliwie przysłuchiwał się śpiewom wieśniaczek; a jednak to wszystko wkrótce stało się czynnem zatrudnieniem najuczestniejszych i najzasłużeńszych krajowi mężów. W rok po śmierci ojca, ukończył Czarnocki nauki szkolne i jakiś czas bawił na wsi, oddając się swoim ulubionym zajęciom. Potrzeba przecież myśleć było o chlebie i przyszłości; wstąpił więc do adwokata w Nowogródku, a później w Mińsku, u którego skorzystał niemało w nauce i biegłości prawa i odczytywaniu starych przywilejów, co niemała stało się mu pomocą w późniejszych naukowych pracach. Ta znajomość prawa miejscowego, przy nieskazitelności charakteru, zjednała mu posadę plenipotentą u wojewody Niesiołowskiego. Wypadkiem jednak, dość spokojne w tym peryodzie jego życie przerwaniem zostało w ten sposób, iż naprzód udał się do Petersburga a później do Omska, gdzie jako żołnierz przeżył lat cztery, tę zyskawszy korzyść, iż się nauczył dobrze po rosyjsku. W r. 1810 wraz ze swą dywizją znalazł się na placu boju przeciw wojskom Napoleona; wzięty jednak pod Bobrujskiem do niewoli, pomieszczony został później w dywizyi generała Dąbrowskiego, z którą odbył kampanię 1812 r. Uwolniwszy się z wojska, przebywał Czarnocki czas jakiś w Galicyi i tu zdaje się dojrzała jego główna myśl podróży po Sławiańszczyźnie, myśl badania starożytnych kurhanów, omentarzyśk ludowych, spisywania pieśni, obrzędów w celu odtworzenia zamierzchłej sławiańskiej przeszłości naszych praojców. W tym celu mniemł naprzód nazwisko właściwe na pseudonym Zoryana Dołęgi Chodakowskiego, i tak z kijem w rękę, sam jeden, piechotą, w lichej sukmanie wędrował od okolicy do okolicy, od wioski do wioski, od chaty do chaty, rozpatrując się w naturze, w ludzie, w jego pragnieniach, zwyczajach, obyczajach. Nieraz o głodzie, chłódzie, w niebezpieczeństwie szedł po swej drodze wytrwały i niczem niezłamany. Spółcześni bardzo mało zajmowali się badaniami starożytnościami, wielu zaś nie rozumiało myśli Zoryana, a nawet uważało je za szkodliwe, niemal grzeszne. Sam w swoich listach opowiada, iż bawiąc w Połocku odwiedził księdza rektora jezuitę

¹⁾ Tygodnik Ilustrowany rok 1861. T. III. Nr. 79.

²⁾ Cezary Biernacki, Encyklopedia. T. VI, str. 128.

Brzozowskiego, który sądził, że Zoryan bada kraj pod względem starożytności kościelnych.

„A gdy usłyszał, że nie to jest celem mojej podróży — pisze Zoryan — i gdy mówiłem mu o swoim, zaiskrzyły się mu oczy patrząc na poganina i nie mógł utaić, że wątpi o mojem zbawieniu“. Łatwo pojąć, jak trudno było Zoryanowi zyskać pomoc w swych przedsięwzięciach, które wymagały koniecznie zasobów pieniężnych, jakich ten biedny człowiek nie posiadał. Odwiedziwszy Puławy, zyskał protekcję ówczesnych ich właścicieli, przez których polecony został księciu kanclerzowi Rumiancowowi. Pojechał więc Czarnocki do Petersburga, gdzie dość dobrze przyjęty, przedstawił swój plan obszerny podróży, w celu zbadania Rosyi od gór Uralskich do Dunaju pod względem starożytności sławiańskich. Jakoż ziszczone zostały po części nadzieje naszego uczonego; wyasygnowano mu bowiem odpowiedni fundusz ze skarbu państwa i poczyniono wszelkie ułatwienia do jego podróży. W pół roku po wyjeździe z Petersburga przybył do Moskwy, gdzie korzystając z dawniej i świeżo zebranych materyałów, ułożył *mapę sławiańskiego Grodz-twa* i *Słownik porównawczy*, w którym się znajdowało 7,000 przeszło uroczysk, jakie własnemi oglądał oczyma! Z Moskwy puścił się w dalszą podróż, poczynając od południowej Rosyi, a wszędzie oddając się z niesłychaną czynnością swemu zadaniu, swemu przedsięwzięciu.

Jak kochał swe zajęcie, dowodzą jego listy. W jednym z nich pisał: „Jest szczęście na ziemi tułać się pomiędzy ludem, żyć całą siłą poetycznego życia wieśniaków. Jakżem szczęśliwy w mojej siermiedze, z moją nędzną strawą, gdy mi opowiadają wspomnienia swoje, życzenia swoje! Między ludem cnota mieszka, między ludem poezya mieszka. Pokażcie mi choć jednego rolnika — chłopca, coby z własnego popędu złe zrobił. Złe ma serce ten, kto ludu nie kocha całą braterską miłością“. Czarnocki miał miłość dla ludu i prostotę. Zapalał się do tego co piękne i wzniosłe. Oryginalnym jest bardzo sposób, w jaki się pierwszy raz ożenił. „Na drodze mojej z Połocka do Pleskowa — pisze w swych listach — zjechałem się u Siebieża z panną Konstancją Fleming, jadącą także pocztą do Petersburga; miała z sobą krewną lat jedenaście, którą przeznaczyła do instytutu Jekaterynieńskiego. Podróżna odkrywając jej nazwisko, tyle mi znane w naszej stronie, była powodem do poznania osoby

i wielu pytań w takim zdarzeniu. Jechaliśmy kilka stacyj: na jednej częstowała mnie obiadem prędko i bardzo dobrze sporządzonym; sama krzątała się koło kuchni i po obiedzie, nim przyszło do wsiadania, bawiła się robótką wyjętą z woreczka. Wyjechaliśmy (ja przynajmniej nie odstawałem od niej) do gubernii Pleskowskiej: słyszę ją mówiącą wyborną ruszczyzną i widzę, że ten kraj doskonale jej znany, ze śmiałością i tonem szlachetnym tak rozporządzała swą drogą, jakby mężczyzna znakomity; dziwiłem się tej odwadze, doświadczeniu i ujęty byłem jej postawą. Dałem jej przyrzeczenie nie odstawać na przypadek wszelki w tym kraju, gdzie i poczty rządowe podlegają rozbiciu, warując przytem, aby nie spieszyła sama. Tak jechaliśmy do Pleskowa nierozłącznie i jakby mając wzajemną w tem potrzebę; w kilku miejscach zatrzymała się na drodze i chętnie towarzyszyła mi dla widzenia starych horodyszcz; zachęcała wieśniaczki do śpiewów ze mną i w tym punkcie spostrzegłem, że była nader pomocną. W Pleskowie życzyła trochę wypożać; przez dni kilka miałem czas proponować jej wójaz rozleglejszy, znajomość całego świata sławiańskiego i moje wieczne usługi. Po wielu trudnościach i odkładaniach do Petersburga, gdzie ma swoją matkę, nakoniec zezwoliła i stanęła przed ołtarzem“. „Przybywszy do stolicy — pisze dalej — upadliśmy do nóg pocziwej matki, zyskaliśmy błogosławieństwo i szczęśliwi jesteśmy“.

Niedługo jednak cieszył się tem szczęściem; w czerwcu czy w lipcu 1821 r. w Twerze żona z utrudzenia i przeziębienia zachorowała mu i mimo pomocy zmarła. „Przedtem rozkopalem wiele mogił zwanych tutaj żalnikami, zajmowałem się tą starożytnością i nakoniec przyszło mi usypać własny żalnik, jakby w nagrodę za uszkodzone cudze¹⁾. Nie był szczęśliwszy co do swych naukowych nadziei. Prace jego i wyniki podróży poddano pod sąd Kołajdawicza, który trzymając się przestarzałych w nauce pojęć, potępił je i za chybione przedstawił. Wstrzymano więc Zoryanowi pieniężne subsydia, zmuszony zatem był Czarnocki przyjąć zarząd dobrami u jednego z obywateli w Twerskiej gubernii. Tęsknił jednak i pracował, aż nareszcie zatęsknił do spoczynku. Na kilka dni przed śmiercią pisał: „Wraca bocian w kraje przodków swoich. Porzuca jaskółka nasze okolice

¹⁾ Biblioteka Warszawska 1866 r. T. II, str. 197.

i gil pieśń wznosi na bezlistnem drzewie! Ach kiedyż ja rzucę to życie, co mi jest ciężarem, co mię udręcza? Kiedyż wrócę w żalnik, tę krainę, w której znajdę się jak pod własną strzechą". Umarł 17-go listopada 1825 r. Prace Zoryana zrazu mało cenione, wkrótce jednakże dały popęd do badań nad ludem, co bez najmniejszej wątpliwości przyczyniło się do odrodzenia naszej literatury poetycznej i historycznej.

Moglibyśmy tu jeszcze przytoczyć niemały szereg pisarzy i uczonych polskich, którzy własnej pomocy zawdzięczają wszystko, całą sławę swego nazwiska, cały pożytek jaki odnieśli. Mianowicie w nowszych czasach niwa literatury takim ludziom wiele zawdzięcza. Kremer filozof, estetyk, jest synem krawca z Krakowa, Libelt bawiąc na uniwersytecie berlińskim, usługiwać musiał swoim kolegom, Cyprysński znakomity prawniczy pisarz, zmarły w r. 1860, aby nie umrzeć z głodu, żywił się całymi miesiącami bułką i szklanką mleka; Korotyński Wincenty poeta, jest dziecięciem ludu, a sam sobie całe wykształcenie zawdzięcza, i wielu bardzo innych, których nazwiska później-saa historia przekaże potomności.

ROZDZIAŁ V.

Środki pomocnicze i wytrwałość w usiłowaniach naukowych.

Ogół objawów jest nieskończonym łańcuchem przyczyn i skutków wzajemnie na siebie oddziaływających. Wszystko jest owocem i wszystko jest nasieniem—powiada Schiller. Wypadki napozór niespodziewane, czyli co my nazywamy przypadki, są to tylko ciemne i niewyjaśnione dla nas następstwa przyczyn, bo jak mówi subtelny dostrzegacz Gete, gdyby nie pierwsze i drugie—trzecie i czwarte nigdy by nastąpić nie mogło. A chociaż zuchwałe rzuty udają się niekiedy ludziom niepoohamowanej śmiałości, jednak stary i utarty gościniec ciąglej, nieustrudzonej pracy jest jedynie pewną drogą powodzenia.

Opowiadają, że sławny angielski pejzażysta Wilson wykończając obraz, zwykle po długiej nieprzerwanej pracy,

cofał się o kilka kroków od niego i po głębokiem wpatrzeniu, kilką szybkimi i śmiałymi pociągami pędzla dopełniał najświetniej.

Łatwo zrozumieć, że dla większości malarzów podobne rzucanie pędzlem o płótno w celu otrzymania pożądanego efektu, byłoby zupełnie bez celu, bo możność malowania w ten sposób osiągnąć się daje tylko całem życiem niezmordowanej pracy.

Zdolny pracownik odznacza się niezmaconą uwagą i ustawiczną pracą. Wielcy mężowie, to nie ci, którzy sądzą się być wyższymi nad drobiazgi, ale właśnie ci, którzy drobiazgi te do swoich celów zastosować umieją.

Michał Anioł pokazywał odwiedzającemu go pewnego razu w pracowni gościowi, jakich zmian od czasu ostatniej jego bytności dokonał na posągu marmurowym.

— Część tę raz jeszcze opracowałem—tamtą ogładziłem, rysowi temu nadałem więcej łagodności, muskuł ten silniej uwydatniłem, wardze dałem więcej wyrazu, obliczu więcej energii....

— Ależ to są drobnostki, zauważył gość.

— Być może, odrzekł mistrz, ale nie zapominaj pan, że drobnostki te są podstawą doskonałości, a doskonałość wcale nie jest drobnostką!

Znakomity malarz Mikołaj Poussin za godło działania swego przyjął zasadę: że to co zasługuje na wykonanie powinno być wykonanem. Przyjacielowi pytającemu go czem zdobył sobie tak świetne stanowisko między malarzami włoskimi, odpowiedział z przyciskiem: „Tajemnica powodzenia mojego leży w tem, że nigdy niczego nie zaniedbywałem“.

Zdarzały się wprawdzie odkrycia, które zdają się być dziełem przypadku; ściślejsze jednak badania dowodzą, że przypadek nieznacznym i warunkowym tylko przyjmował w nich udział. Najczęściej tak zwane przypadki, które spowodowały odkrycia, były tylko sposobnością lub popełnieniem, prowadzącem umysł spostrzegacza na ślad wynalazku. Ci co bronią przypadku, zwykle na poparcie swego zdania przytaczają anegdotę, według której spadające jabłko stało się przyczyną odkrycia praw ciężkości przez Newtona. Ale zapominają, że cała dusza genialnego uczonego, oddawała się już od lat kilku cierpliwemu zgłębianiu tego przedmiotu, a spadające jabłko było lekkim potrąceniem, które

wielki wynalazek jak owoc dojrzały odłączyło od duszy filozofa.

Różnicę pomiędzy człowiekiem a człowiekiem stanowi stopień mniej albo więcej rozwiniętej zdolności spostrzegania. „Pragnąłbym, pisze Aleksander Humboldt w jednym z listów swoich, żebyś spostrzegać się nauczył, bo własne twoje obserwacje więcej cię oświecą jak wszystkie odczyty“.

— Panie, rzekł Johnson do jednego z dandysów stolicy, powracającego z podróży do Włoch, niektórzy więcej się nauczą z przejażdżki w dyliżansie, niż inni z podróży po Europie.

Oprócz oka cielesnego jest jeszcze oko duszy, bez którego pierwsze byłoby martwym zwierciadłem i patrząc pozostałoby ciemnem. Niektórzy widzą nie patrząc, inni zaś nie widzą, chociaż wytrzeszczają oczy. Patrz lepiej! słyszmy często w życiu przestrożę, a to znaczy: „zaostrz wewnętrzny zmysł widzenia, dowcip i rozum, przez uważne postrzeganie tego, co się wokoło ciebie dzieje, przez baczne porównanie różnic i właściwości wielu rzeczy; przyzwyczaj się patrzeć na przedmiot rozumnie, nie przepuszczaj żadnego objawu bez rozmyślenia, albo lepiej nie wyrobiwaj sobie własnego o nim zdania“. Kto ściśle wypełnia te przestrogi, może dojść do tego, że o nim powiedzą: widzi przez ścianę.

Wielu widziało przed Galileuszem, że ciała wolno wiszące w skutek potrącenia regularnie tu i tam się kołyszą; ale on pierwszy spojrział na objaw ten okiem myśliciela i odkrył prawo ruchu wahadeł. Sługa kościelny w katedrze Pizy napełnił olejem lampę zawieszoną u sklepienia i postawił ją kołyszącą się naturalnymi ruchami. Galileusz wtedy liczący lat 18, zauważył to, myślał ustawicznie o przyczynie ruchów i wpadł nareszcie na pomysł zastawienia ich do wymiaru czasu. A jednak pięćdziesiąt lat przeszło strawił na mozolnych pracach i poszukiwaniach, zanim doszedł użycia wahadła. Tenże uczony dowiedziawszy się przypadkowo, że holenderski fabrykant okularów Sipperseim darował hrabiemu Mauryemu Nassau instrument przez który przedmioty oddalone przybliżają się do oka patrzącego, tak wytrwale rozmyślał nad przyczyną tego przybliżenia, że ją odgadł jak mówią, w przeciągu jednej nocy. Galileusz nadał znaczenie teleskopowi, skierowawszy go w obszar nieba i w krótkim czasie porobił najważniejsze

odkrycia astronomiczne. On był pierwszym, który poznał nierówność powierzchni księżyca i próbował wymierzyć wysokość gór na tym satelicie, z cienia jaki rzucają; on pierwszy znalazł, że mgliste plamy na niebie, składają się z gwiazd pojedynczych. Siódmego Stycznia 1810 roku spostrzegł nigdy przedtem ludzkim okiem niezauważanego Jowisza, i wzniosłe wspomnienie tej duchowej rozkoszy, pokrzepiało go w późniejszych dniach cierpień i towarzyszyło mu do ostatniej godziny.

Uważnem postrzeganiem, ścisłem naśladowaniem natury, człowiek przez lat tysiące doszedł do tego, że środki zaspokajania różnorodnych swych potrzeb, do obecnej doskonałości doprowadził. Dlaczego, powiada Dr. Karol Müller w listach swoich o naturze i sztuce, narody miałyby się silić na tworzenie dzieł sztuki podług własnego swego pomysłu? Czyż nie posiadały przed oczyma tysiąca wzorów, tysiąca myśli artystycznych? W rzeczy samej, pierwotne narody w okresie swego dzieciństwa, naśladowały otaczające ich przedmioty. W krajach gorących, w tej kolebce ludzkości i sztuki, lasy dziewicze pełne były mostów z lianosów (pnąców) i łądyg bambusowych—a szumiący potok leśny nie zastraszał już więcej wędrowca.“

„Człowiek spostrzegł, że zwinna ryba przerzyna bałwany morskie, i wkrótce mknęła po wodzie łódź, która stopniowo została udoskonaloną. Łabędź spokojnie kołysał się na rozrukanych falach i rozpostarte skrzydła jego stały się szorem żagli. Palma dumnie wznosiła czoło w dziewiczym lesie i niebawem kolumna z niej podpierała świątynię, jako pierwsza myśl rodzącej się sztuki. Wierzchołki palm spłótły się w arkady, a ich wzorem człowiek wykonał podobne sklepienia w świątyniach bóstwom oddanych. Olbrzymia sosna dumnie spozierała w niebiosy, a w duszy artysty powstała myśl śmiała gotyckich budowli. Lilie wodne nie daremnie z wdziękiem zielone liście swoje rozwijają, a od liści tarce, talerze, palety biorą swój wzór uszlachetnionej formy. Powabny kształt owoców nie zaginął dla sztuki i posłużył za model urny. Nawet makówka przydała się artystycznemu pomysłom człowieka i postać kielicha, czary z pokrywą jest jej przypomnieniem. Ale pocóż mnożyć przykłady? Każdy z nich mówi to samo: każdy jasno dowodzi, że natura natchnęła duszę człowieka i wydała sztukę.“

Mysłące oko gruntownego badacza, w drobnostce nawet dojrzy głębsze znaczenie i wielką czasami doniosłość.

Pozorną i mało znaczącą okoliczność, widok płynącej trawy morskiej, użył bystry rozum Kolumba do obudzenia na nowo zachwianych nadziei pomiędzy załogą statku, na którym płynął i przez to przytłumi rokosz, grożący zniszczeniem wyprawy, przedsięwziętej w celu odkrycia nowego świata.

Nie ma nic tak małego i nieznaczącego, co by można pominąć lekko albo zapomnieć, każda rzecz choćby na pierwszy rzut oka wydawała się niewiedzieć jak małą i zwyczajną, może kiedyś dobrze użyta do większych nawet celów posłużyć.

Komu wiadomo, że wszakże jak wieże skały kredowe, napotykanne na wybrzeżach Anglii, wyspy Rugii i w innych miejscowościach nadmorskich, składają się z pancerzy mikroskopowych żyłatek, których podług przybliżonego rachunku, przypada 10 milionów na funt kredy, kto wie, że żyłatka takie utworzyły rafy koralowe, ten, podziwiając te cuda natury, czy odważy się wątpić o wielkiej doniosłości małych rzeczy? A czyż życie ludzkie i cała wieczność, nie składa się z minut i sekund?

Gruntowne badanie małych rzeczy, jest tajemnicą powodzenia w sztuce, nauce, a zwłaszcza w każdym powołaniu człowieka; cała wiedza ludzka jest tylko zbiorem drobnych wyników, na które złożyły się następujące po sobie pokolenia. Jeżeli wiele z tych postrzeżeń i faktów, zdają się być w danej chwili bez użytku, jak to się często zdarza w życiu jednostki, to przecież prędzej czy później, nadejdzie chwila, gdy znajdą użycie, a nawet częstokroć stają się bodźcem postępu ludzkości. Kiedy Franklin spostrzegł jednorodność błyskawicy i elektryczności, wielu niezrozumiało ważności odkrycia i szydęrozo pytało: „Na co się to zda dziecku nowonarodzone? Z czasem może być człowiekiem.“ Kiedy Galvani zrobił odkrycie, że udo żabie drga postawione w styczności z rozmaitymi metalami, wtedy nikt nie przeczuwał, że pozornie tak mało znacząca okoliczność, ważne skutki za sobą pociągnie. A jednak w tem spostrzeżeniu, spoczywał zaród telegrafu elektrycznego, który z szybkością myśli, pośredniczy w ruchu umysłowym między narodami i częściami świata. Wkrótce drut telegraficzny całą kulę ziemską obejmie, spełniając niejako cudowne uosobienie mytu o węzu Midgardskim, który podług wyobra-

żeń pogańskich przodków naszych, ciałem swoim jakby pierścieniem, opasywał całą ziemię.

Kto się przyuczył głębiej nad wszystkim zastanawiać, staje się także mistrzem w sztuce pochwycenia chwili pomysłnej i wyzyskania jej do celów swoich; zaprawdę sztuka to niezmiernie ważna—bo rzadko, bardzo rzadko, raz zaniebane przyjazne okoliczności, powracają znowu! Kto czuje w sobie dosyć energii [do utorowania własną siłą drogi życia, temu zapewne nie zabraknie na sposobności utrwalenia swojego szczęścia, a powinien je dzierżyć silną dłoń. Gdyby zaś okoliczności pomimo oczekiwania, nie ułożyły się dobrowolnie w sposób żądany, wtedy człowiek odważny powinien śmiało wyjść na ich spotkanie. Czasami może mu się udać jak Saulowi, który poszedł szukać zbłąkanego osła, a znalazł królestwo.

Nie jeden z największych mężów, w młodości swojej nie miał wcale, albo też miał bardzo małą sposobność nabywania gruntownie potrzebnych nauk szkolnych; ale to, czego los odmówił, genialni ludzie zyskiwali zwykle własną pracą. I tacy właśnie, którzy nie byli w szkołach ani w uniwersytetach, nie korzystali z muzeów, galerij i bibliotek, a każdy krok rozwoju swego okupywali największymi ofiarami, tacy to właśnie najwięcej uczynili dla nauki i sztuki. Częstokroć najzdolniejsze głowy pracowały przy pomocy najprostszych i najnudniejszych narzędzi. Środki nie stanowią pracownika, ale uzdatnienie i wytrwałość człowieka. Pewnego razu, ktoś pytał się znakomitego malarza, jakiego cudownego sposobu używa przy mieszanii farb. „Ja mieszam je głową“ odrzekł.

James Ferguson, znakomity mechanik i astronom, którego rodzice byli tak ubodzy, że w dzieciennych latach musiał paść owce, zwyczajnym nożykiem wycinał dzieła sztuki i regularnie idące zegarki, jakie każdy nosi w kieszonce; prawda, że nie każdy może być Fergusonem! Znakomity Walenty Trotzendorf (ur. 1490 † 1556 roku) syn niezamożnych wieśniaków, którego zakład naukowy w Goldbergu na Szląsku, był pierwszym swojego czasu, tak że nie uważano za uczonego tego, który tam nauk nie pobierał—pierwsze swoje próby pisania wykonywał na korze brzoźowej i pisał na niej atramentem z sadzy, własnej fabrykacji. Franklin „wydarł niebu błyskawice“ wypuściwszy podczas burzy latawca, który składał się z dwóch poprzecznie położonych

kijków i chustki jedwabnej! Watt przystępując do urzędzenia pierwszego swego modelu, miał tylko sikawkę! William Gifford założyciel „*Quarterly review*“ w młodości swojej był szewczykiem i każdą wolną chwilę poświęcał matematyce. Pozbawiony środków nabycia papieru i atramentu, pisał sztydłem na miękkich kawałkach skóry.

Znany publicysta (profesor prawa politycznego) niemiecki, Jan Jakób von Moser, został uwięziony w twierdzy Hohenweitz w r. 1759, kiedy jako radca wiejski w Wirtembergu stanął w obronie praw przeciwko ks. Karolowi Aleksandrowi. Tam dręczony był do r. 1764. Nie wolno było mu przez cały czas trwania więzienia mówić z kimkolwiek; wszelkie materiały piśmienne mu odebrano, a zostawiono tylko Biblią, książkę z pieśniami pobożnymi i kazaniami. Zobaczmy jak sobie ten człowiek, któremu pisanie było potrzebą tak potężną, że w życiu swoim napisał do 400 książek rozmaitej treści—jak sobie powiadamy, poradził w swym smutnym położeniu? Lecz najlepiej niech sam na to odpowie:

„Podzieliłem“ pisze „czas mój tak, że przepędzałem go naprzemian na modlitwie, czytaniu Starego, Nowego Testamentu i śpiewaniu. Żona moja przysłała małą książeczkę, którą mi komendant oddał, ale bez ołówka. Pisałem więc sprzączkami od trzewików i rękojeścią srebrnej łyżki na kartkach pergaminowych, na których niewiele się mieściło, bo książeczka była małą. Na prośbę podaną do księcia, aby pozwolił na napisanie pieśni duchownych przeze mnie ułożonych w więzieniu, żadnej nie otrzymałem odpowiedzi. Wtedy zacząłem kreślić poezje moje końcem szczypców na białej ścianie pokoju, która po jakimś czasie całkiem zapisana została. Tem samym narzędziem pisałem pomiędzy drukowanymi wierszami, egzemplarza kazań ewangelickich Steinhofera i Biblii.“¹⁾

„Kiedy nakoniec, naprzód żona moja, a potem i dzieci uzyskały pozwolenie pisanie do mnie, próżne miejsca ich

¹⁾ Przypomina się tu nam znakomity nasz dziejopis Szajnocha, który będąc uwięziony w Galicyi w 1848 r. na białej ścianie swej celi, całe poematy spisał grubą igłą, co tak mu nadwyrężyło wzrok, że w późniejszych czasach zaniewidział. Ociemniały pisał ostatnie swoje dzieła na papierze z podłożoną tabliczką wypukle liniowaną. Nadzwyczajna pamięć pozwalała mu kombinować źródła, które mu odczytywano.

listów, które komendant zawsze o ile możliwości obcinał, dostarczały mi nowego materiału, jak również każdy stary i choćby najbardziej zużyty papier, który z jakiegokolwiek dostać mogłem. Narzędzia, jakie stępiały z upływem czasu, to jest szczypcy i nożyczki, ostrzyłem na piecu żelaznym i polerowałem o dębowe sprzęty mojego pokoju. Przez przepisanie pieśni wydrapanych na ścianach i dodanie nowych, utworzył się powoli zbiór tak bogaty, że podając go do druku, zapełniłem ośm tomików *in octavo*.“

Doprawdy nie trzeba czytać powieści o wypadkach Robinsona Krusoe i innych utworów imaginacyi, aby się przekonać o tem, jak człowiek z konieczności często prostych i surowych narzędzi z pożytkiem używa, stosownie do swej woli i myśli. Rzeczywistość dosyć jest bogatą w takie przykłady!

Człowiek myślący umie wyciągnąć korzyści ze zdarzeń najpospolitszych, a te nawet mogą mu się stać sposobnością, która całemu jego życiu i dążeniu, nadaje wyższy polot, albo też stanowczy kierunek. Kiedy angielski etymolog Edmund Stone, zapytany był jakim sposobem on, syn biednego wyrobnika, doszedł do tego, że zasady Newtona czyta w języku łacińskim, odpowiedział: „Potrzeba tylko znać 24 litery alfabetu, aby nauczyć się tego, do czego kto chce posiada.“ Samuel Lee, inny znakomity etymolog angielski, był z powołania cieślą, a nakłoniła go do studjowania języka hebrajskiego, a następnie do badania języków w ogóle, ta okoliczność, że w synagodze pewnej, sporządzając ławki, znalazł przypadkowo pozostawioną Biblię. Od tej chwili, w duszy jego powstało pragnienie przeczytania świętej książki w jej pierwotnym języku. Kupił więc sobie starą gramatykę hebrajską, śmiało zabrał się do pracy i wyuczył trudnego języka, z wielkim mozołem, ale bez nauczyciela. Chemik angielski Józef Priestley, w skutek sąsiedztwa browaru ze swem mieszkaniem, pobudzony został do oddania się nauce chemii i do bogatych w skutki poszukiwań, o naturze i pochodzeniu gazów. Zwiedzając często ten browar i bacznie się przyglądając różnym fabrykacyi objawom, spostrzegł, iż zapalone drewno gaśnie w gazach wydobywających się na powierzchnię fermentującego piwa. Miał już lat czterdzieści, kiedy na to zjawisko zwrócił uwagę, a z chemii wiedział tylko, że podobna nauka istnieje. Od tego jednak czasu, wszystkie myśli i działania, skierował do wyjaśnie-

nia przyczyny tych zjawisk. Ponabycwał więc mnóstwo dzieł traktujących o chemii, lecz w nich nie znalazł wyjaśnienia kwestyi, z powodu mało rozwiniętych wtenczas zasad tej nauki. Wtedy aparatem własnego a najprostszego pomysłu, wykonał szereg prób, których rezultatem były odkrycia wielkiej wagi, jakie w następstwie czasu niezmiernie się przyczyniły do szybkiego rozwoju chemii, i różnych przemysłów na niej opartych. Jednocześnie niemal, w ustronnej wiosce szwedzkiej, pracował w tym samym kierunku ubogi prowizor aptekarski, Karol Wilhelm Scheele, a posiadając za całe aparata kilka flaszek od lekarstwa i stary pęcherz, odkrył szereg nowych gazów i pierwiastków chemicznych.

Humphry Davy, jeden z najznakomitszych chemików Anglii, będąc również uczniem aptekarskim, robił doświadczenia najpospolitszym naczyniami, zmienionemi jego talentem w instrumenta. Garnki i rynki w kuchni, flaszki i flaszeczki w laboratorium jego pryncypała, wszystko to zostało zużytkowane przy rozmaitych doświadczeniach, dla których młody człowiek tak dalece zaniedbał obowiązkowej pracy swego fachu, że został wydalony z zakładu. Następnie szedł na naukę do innego aptekarza, gdzie bawiąc, otrzymał pewnego razu od chirurga stary aparat do sprycowania. Z najwyższą radością przyjął ten upominek i zaraz użył go jako pompy powietrznej, w jednym ze swoich doświadczeń nad naturą i przyczyną ciepła.

Wielki naturalista francuzki Cuvier, przechadzając się pewnego rana nad brzegiem morza w Normandyi, gdzie był nauczycielem domowym, ujrzał wyrzuconą przez huczące bałwany sepię, która zajęła jego uwagę i rozbudziła chęć do nauki. Podniósł potwornego mięczaka, przypatrzył się mu dokładniej w domu, a w skutek tego, zagłębiwszy się w studia o mięczakach, stał się wkrótce jednym z najznakomitszych naturalistów świata. W podobny sposób, skamieniałe przedpotopowe zwierzęta, rozbudziły chęć do nauki w Hugonie Müller, kiedy jako robotnik pracował w łomach marmuru. Pytał się, rozważał, studiował i stał się geologiem. „Nędzą, mawiał, zrobiła mnie robotnikiem w kopalni, a to zajęcie naprowadziło na drogę geologa.“

Zdaje się, dostatecznie dowiedliśmy przykładami z życia, że człowiek nigdy nie powinien rachować na traf, na przypadek, ale zachowaniem osobistem, stałością woli,

wytrwałością w pracy, uwagą wewnętrznego oka duszy, zacnością postępowania, dążyć do powodzenia. Jest to prawdą wiecznotrwałą, że silna i szlachetna wola, staje się sprawcą pomyślności człowieka. Każdy ma własne szczęście w ręku, powiada Gete, jak artysta materyał surowy, który obrabia w postać kształtną. W Wilhelmie Mistrzu mówi dalej ten poeta: „Tkanina życia na tym świecie, złożoną jest z przypadku i konieczności, ale rozsądek ludzki staje pomiędzy obojgiem i jest zdolny nad niemi zapanować. Konieczność uważa jako podstawę istnienia, umie okiełznać przypadek, kierować nim, spożytkować go i ta siła, ta niewzruszoność człowieka, słusznie mu zjednywa nazwę boga ziemi. Biada temu, kto od lat młodych przyzwyczaił się w tem co koniecznie upatrywać samowolę, kto przypadkowi przypisuje pewien rozsądek, albo też fatalizm miesza do religii! Nie jest to zrzeczeniem się własnego rozumu i bezwarunkowem poddaniem się swoim skłonnościom? Wmawiamy w siebie pobożność postępując bez rozwagi i powodując się sprzyjającymi okolicznościami, a w końcu nazywamy boskiem zrządzeniem rezultat takiego chwiejnego życia.“

Człowiekowi słabemu, marzycielowi żyjącemu bez celu, najszcześliwsze okoliczności pomódz nie zdołają. Ale kto je umie uchwycić szybkim czynem, ująć żelazną dłońią i wyzyskać, kto skorzysta z najdrobniejszych powodów, najmniejszą chwilę czasu nauczy się wypełniać pracą pożyteczną i prawdziwie korzystną, ten jest powołany do wielkich rzeczy. Życie składa się z chwil, a od właściwego użycia tych chwil, zależy rezultat całego życia. Godzina poświęcona codziennie pożytecznemu zajęciu, stanowi w przeciągu tygodnia 7 godzin, miesięcznie 30, a w ciągu roku 365 godzin, to jest 15 dni i 5 godzin. Jedna taka godzina z pożytkiem spędzona, starczy na ukształcenie zupełnie nieoświeconego człowieka, w przeciągu lat dziesięciu. Jerzy Stephenson pracując przez 12 godzin dziennie przy maszynie, w nocy uczył się pisać, czytać i rachować. Dwunastogodzinna praca, powiada Smiles w zyciorysie tego wielkiego wynalazcy, ciągle ćwiczenia gimnastyczne, stanowiły mu wprawdzie mało czasu na wykształcenie umysłowe, ale umiał on i z krótkich chwil korzystać. Biednym rodzicom swoim zawdzięczał zdrowe ciało, przykładom ich winien był przyzwyczajenie do czystości, oszczędności i czynnego życia; podług możności wychowali go dobrze i wyro-

bili mu charakter, nie mogli mu dać naukowego wykształcenia, pozbawieni środków materyalnych i koniecznych umiejętności. Wstępując w życie, w dojrzałym wieku, musiał zaczynać od wiadomości, które dzieciom są znane. Silną wolą i bezustanną pracą zwyciężył przeszkody i został sam swoim nauczycielem. Trzy noce poświęcił sylabizowaniu i czytaniu. Próbował także pisać, a mając lat 19, dumny był z tego, że stanowisko swoje nakreślić zdołał. W zimie 1799 roku, Szkot Andrzej Robertson założył w wiosce Newbure szkołę wieczorną, z której Stephenson korzystał, jako niezbyt odległej od jego pomieszkania. Robertson uważany był za dobrego rachmistrza, a Stephenson chciał koniecznie nauczyć się rachować. Wkrótce więc prześcigał wszystkich, którzy z nim razem uczyć się zaczęli. Siłą jego spoczywała w wytrwałości. Każdą wolną chwilę dnia, obracał na obliczenie przykładów, które mu nauczyciel wypisywał na tablicy łupkowej, a wieczorem zanosił je do Robertsona, aby zadał nowe na dzień następny. Później też Stephenson tak biegle liczył, że nauczyciel jego chlubił się takim uczniem. Kirke White nauczył się po grecku, chodząc do adwokata. Dr. Charles Burney, znakomity kompozytor angielski, który między innymi napisał biografię Hendla, nauczył się po francuzku i po włosku, chodząc na lekcje do swoich uczniów. Albert von Haller, nieobdarzony zdrowiem, pracował jednak bez ustanku. Czytał jadąc konno, przy stole, a nawet na ulicy. Wiedza jego była niezmiernie rozległą. Był historykiem, poetą, a głównie naturalistą i oprócz języków martwych, posiadał jeszcze wiele nowożytnych. Szwedzkiego języka nauczył się będąc już profesorem, nie z pomocą słownika, ale demonstrując na trupie i pytając się szwedzkich swoich słuchaczy o wyrazy, których mu brakowało.

Elihu Burrit, uczony kowal i apostoł pokoju, nie przypisywał wrodzonej genialności, której istnienia stanowczo zaprzeczał, z cudownością graniczących wyników swoich studyów językowych, ale tylko starannemu korzystaniu z nieocenionych chwil czasu, które nazywał chwilami wytchnienia. Zarabiając na chleb jako kowal dziesięciogodzinną pracą na dzień, doszedł do władania 50 nowożytnymi i starożytnymi językami. Nadludzkie usiłowania na jakie jednocześnie wystawiał ciało i umysł, ściągały nań częste bóle głowy i inne dolegliwości; nie oszczędzał się je-

dnak. Dziennik jego z roku 1837, jest tego wymownym dowodem. Wypisujemy z tych pamiętników, następujący pełen naiwności a prawdy ustęp: Poniedziałek 18 Czerwca: ból głowy, 40 stronnic Cuviera o Teorii ziemi, 64 stronnic czytałem po francuzku, 11 godzin kułem. Wtorek 64 wierszy hebrajskich, 30 stronnic francuzkich; 10 stronnic Cuviera, 8 wierszy syryjskich, 10 wierszy duńskich, 10 wierszy czeskich, 10 wierszy czeskich, 6 wierszy polskich, 15 nazwisk gwiazd wyuczyłem się na pamięć; 10 godzin kułem." A jednak skromny ten człowiek nie przyznawał sobie żadnych zasług. Do przyjaciela pisał: „Kto ma charakter od dzieciństwa, nie będzie powątpiewał o szczerości słów moich, jeśli powiem, że mi nigdy do głowy nie przyszło chęć się z zasług osobistych. Wszystko do czego doszedłem lub dojść się spodziewam, zawdzięczam i zawdzięczać będę mozołnej, cierpliwej i ciągłej pracy, z pomocą której składając atom do atomu, myśl łącząc z myślą, a fakta sumując do faktów, zebrałem pewne zasoby. A jeżeli kiedykolwiek chęć sławy, była sprężyną moich czynności, to zapewne wtedy, gdy się poili nadzieją, że przekładem wskażę młodemu moim współrodakom, jak mają używać nieocenionych momentów czasu, które nazywają wolnemi chwilami."

Rzymski Konsul, Juliusz Cezar zajęty był czytaniem nawet podczas zabaw i uroczystości publicznych. Wojna w niczem nie zdołała go wstrzymać od niestrudzonego przykładania się do nauki. Pośród szczęku oręża w obozie, pisał historią wojen, którym przewodniczył z tą samą żywością, z jaką je prowadził. Podobnie używał czasu rzymski naturalista Pliniusz starszy. Śmiało o nim wyrzec można, że wiedział prawie wszystko o czem w jego czasach wiadano. Spał też mało i w każdej chwili rozszerzał zakres swoich wiadomości. Zwyczajem szlachetnych Rzymian, którzy osobnych do tego niewolników trzymali, kazał sobie czytać przy stole, a na przechadzkach miał zwykle przy sobie książkę, tablicę i pisarza—bo niczego bez wyciągów nie czytał. Ile załował czasu, dowodzi następna anegdota przekazana potomności przez siostrzeńca jego, Pliniusza młodszego. Kiedy raz lektor przy stole źle wymówił słowo, jeden z biesiadników kazał zatrzymać ciąg czytania i powtórzyć zdanie.

— Czyś je zrozumiał? zapytał Pliniusz przyjaciela, a po otrzymaniu potwierdzającej odpowiedzi rzekł dalej:

— Dla czego więc kazałeś powtórzyć czytanie? Przerwa ta kosztowała nas przynajmniej dziesięć wierszy.

Przy innej sposobności, widząc siostrzeńca przechadzającego się bez książki powiedział:

— Nie powinienes tak bezpożytecznie tracić czasu.

Do Tytusa pisał: „We dnie zajmuję się interesami, a nocą czytam i piszę. Żyjąc w ten sposób, żyję dłużej, a czyż tem samem nie jestem szczęśliwym? Sen zabiera większą połowę życia, słuszną zatem, żeby mu wydrzeć jak najwięcej chwil pochłoniętych.“

W uniwersytecie angielskim w Oxfordzie, w Kolegium Wszystkich Świętych, znajduje się kompas, nad którym jest napis: „Pereunt et imputantur.“ Godziny przechodzą, a są nam policzone. Właściwy użytek czasu nadaje dopiero prawdziwą „wartość życia. Nie tyle zależy na tem, że się żyje, ale wszystko—jak się żyje. Kto czas traci, życie traci, a czasu jak i życia przywołać napowrót niepodobna. Melancton zwykł był przypominać sobie godziny, które podług przekonania swego, nie dosyć starannie zapełnił, aby pamiętać na wartość czasu i stosować się do tego. Pracowitość jego była tak wielką, że zwykle już po północy do zatrudnień swoich powracał. Walter Scott wielki romanse-pisarz szkocki, jeden z najczynniejszych ludzi jacy kiedykolwiek żyli, napisał w swoim dzienniku: „Czas jest jak pieniądź. Zmieniając gwineę wydajemy szylingi sami nie wiedząc kiedy; jeżeli poranek przepędzamy na próżnowaniu, dalsze godziny dnia są bez wartości.“

Czas jest źródłem, z którego pracownicy wszelkich wieków, czerpali i czerpać będą niezgłębioną noc i rozmaitość myśli, doświadczeń i wyrazów. Ale wypadki i myśli przemijają z czasem. W ogóle mało z nich jasno i wiernie pozostaje w naszej pamięci. Dla tego ludzie głęboko rzecz pojmujący i sumienni, przyzwyczaili się przelewać na papier własne i cudze myśli i doświadczenia, aby nie poszły w zapomnienie. Jeżeli te notaty przyjmują formę dziennika, stają się zarazem drogą uszlachetnienia i samopoznania siebie. To też niejeden takiemu skrzętnemu notowaniu prywatnych i publicznych wypadków swojego życia, zawdzięcza literackie powołanie i sławę. Że wspomnimy tylko o Fryderyku Gerstäcker, który został pisarzem z tego powodu, że dziennik podróży jaki z Ameryki matce swojej przesłał, wydrukowano i przychylnie w całej prasie nie-

mieckiej oceniono. Inny pisarz Fryderyk Ludwik Bühlren, zachęcony został do prób literackich, przez przyzwyczajenie czytania z piórem w rękę.

Kto chce zrozumieć wielkiego człowieka, powiada często przez nas wspominamy Dr. Karol Müller w studium nad Albertem von Haller, musi przedewszystkiem znać jego metodę pracy. Ale na czem zależała ona u Hallera? Oto na najsumienniejszym podziale i użytku czasu i na tem, że nie nie czytał i niemyślał bez ołówka albo pióra do notowania myśli, zdań i faktów. Trudno uwierzyć, jaka masa myśli przebiega rocznie wykształcony umysł człowieka, a kto się przyzwyczaił do utrwalania ich, sam później się dziwi, z kądem się to wszystko wzięść mogło. Kto wiernie przechowuje skarby, kto nie przypuszcza najmniejszego ziarna złota, znajdzie swój umysł bogatszym a życie dłuższem, niż przy przeciwnym trybie postępowania. To wielkie prawo natury, w zastosowaniu do pracy umysłowej, zrobiło z Hallera znakomitego uczzonego, którego najpóźniejsze nawet wieki podziwiać będą. Toż samo Jan Paweł Richter największy humorysta niemiecki, przyzwyczaił się od lat najwcześniejszych do wypisywania z książek miejsc, które go w jakikolwiek sposób interesowały. Zachowywał w tej czynności najściślejszy porządek, tak że mając w rękę spis rzeczy, w najkrótszym czasie znajdował miejsce żądane. Ilość wypisów była tak znaczną, że zapełniła kilka dosyć łobzernych kufrów, a dzieła jego pełne są jemu tylko właściwych porównań z dziedziny natury, sztuki i nauki, które czerpał w bogatych swoich notatach.

Tak samo poczynił sobie wielki anatom i chirurg angielski John Hunter, który prostem a łagodnem porównaniem, wykazywał korzyści, wypływające z takiego utrwalenia myśli. „Notowanie myśli mawiał, podobne jest do prowadzenia inwentarza u kupca, bez którego handlujący nigdyby nie wiedział co posiada, a czego mu brakuje.“

John Hunter w skutek ciągłych ćwiczeń miał oko ciała i ducha tak bystre, że przyjaciół jego sławny Dr. Abernethy mawiał: Hunter ma oczy argusowe! Życiem swoim dowiódł czego może dokonać człowiek wytrwale dążący do wielkiego celu. W młodych latach odebrał wychowanie tak nędzne, że do 20-go roku nauczył się zaledwie czytać, pisać i to nie bez wielkich trudności. Pracując jako cieśla kilka lat w Glasgowie, później się udał do brata swego

Williamsa, który mieszkał w Londynie jako nauczyciel anatomii. John stał się jego pomocnikiem, ale prześcignął brata częścią przez większe zdolności, częścią też przez pracę. Należał do pierwszych, którzy się poświęcili studiom nad anatomią porównawczą, a jak był pracowitym bez granic, dowodzi ta okoliczność, że profesor Richard Owen, dziesięć lat zajmował się uporządkowaniem i ustawieniem zebranych przez niego anatomicznych preparatów. Zbiór ten wynosi około 20,000 numerów, a w swoim rodzaju jest najdokładniejszym, na jaki zdobyć się mogła praca pojedynczego człowieka. Hunter zwykle zajmował się od wschodu słońca do godziny 8 w swoim gabinecie anatomicznym. W ciągu dnia załatwiał rozległą swą praktykę, miewał odczyty dla studentów i kierował szkołą praktycznej anatomii, a jednak w obec tylu prac, znajdował czas na trudne doświadczenia i na pisanie wielu ważnych dzieł naukowych. Aby zadosyć uczynić tak rozległej działalności, pozwalał sobie tylko cztery godziny snu. Zapytany jaką drogą dochodzi do skutecznego wypełnienia wszystkich zatrudnień, odpowiedział. „Zasada w tej mierze jest taką: nim rozpoczynam pracę, zastanawiam się, wprzódoby dobrze nad tem, czy ona jest wykonalną. Jeżeli taką nie jest, porzucam ją; jeżeli zaś mogę wykonać, dokładam wszelkich sił dla wprowadzenia jej w życie, a rozpoczynawszy, nie cofam się przed żadnymi trudnościami, nie odpoczywam nie skończywszy raz zaczętego dzieła. Oto tajemnica mojego powodzenia!”

Człowiekiem z równą wytrwałością, zmierzającym do celów naukowych, był wynalazca szczepienia ospy, Dr. Edward Jenner, urodzony 1749 r. w Berkeley w hrabstwie Gloucester. Przedtem już, nim Jenner zaczął się zajmować tym tak ważnym przedmiotem, bardzo wielu słyszało podanie krążące pomiędzy dziewczętami tamtej okolicy, że ospa krowia dość często się tam zjawiająca, posiada siłę ochraniającą człowieka od ospy naturalnej; ale nikt nie wziął się do zbadania tego przedmiotu, uważając wieść tę jako równie bezzasadną i nieprawdopodobną, za jedną z bajek krążących między ludem. Wieść ta dziwnym zbiegiem doszła do Jennera i stała się nasieniem jego pożytecznej pracy. Uczył się wtedy u chirurga w Sudbury w Bristolu, kiedy dziewczyna ze wsi, przyszła spytać o radę jego pryncypała. W toku rozmowy wspomniano o ospie, o której dziewczyna rzekła: „Ja jej nie dostanę, po przebyłam krowią ospę.” Uwa-

ga ta utkwiała w umyśle Jennera i pobudziła go do rozmyślenia. Dopytywał się i zabrał do badania tego przedmiotu bezwzględnie. Współtowarzysze jego fachu, którym za komunikował uwagi swoje o ochronnej sile ospy krowiej, rozśmiali mu się w oczy i zagrozili zerwaniem stosunków, jeżeli zechce jeszcze kiedy żartować z nich, zajmując podobnymi niedorzecznościami. W Londynie, do kąd się udał Jenner, miał szczęście uczyć się anatomii pod kierunkiem Johna Huntera. Zwierzył mu się więc ze swoich myśli. Rada wielkiego chirurga była charakterystyczną: „Nie szperaj, ale probuj; bądź nie zmęczony, działaj gruntownie!” Odwaga Jennera wzmogła się wtedy. Powrócił na wieś, zaczął praktykować jako chirurg i przez dwadzieścia lat zbierał coraz nowe doświadczenia nad odkryciem swoim, czynił liczne próby, których wypadki napełniły go tak niezachwianą w nie wiarą, że własnemu synowi po trzykroć szczepił ospę.

Chociaż Jenner odkrycie swoje od roku 1775 za zupełnie dojrzałe uważał, wystąpił dopiero w roku 1798 r. z broszurą zawierającą tylko 73 stronnice druku. W pracy tej, jako dowód przekonywający o nieomyślności nowego środka ochronnego, przytacza dokładny opis 23 wypadków, w których szczepienie ospy krowiej tak się powiodło, że szczepieni ani za dotknięciem, ani też nawet za wszczęciem jadu ospy ludzkiej, nie ulegli chorobie. Ale jakże przyjęto tak wielkie dla ludzkości dobrodziejstwo? Najprzód obojętnie, później wprost nieprzyjaźnie. Jenner udał się do Londynu, aby lekarzy tamtejszych obznajmić ze swoim odkryciem; ale panowie ci wcale się nie spieszyli z udzieleniem posłuchania nieznanemu lekarzowi wioskowemu, i Jenner udał się do Londynu, aby lekarzy tamtejszych obznajmić ze swoim odkryciem; ale panowie ci wcale się nie spieszyli z udzieleniem posłuchania nieznanemu lekarzowi wioskowemu, i Jenner po trzechmiesięcznym oazekiwaniu, powrócił na wieś wyszydzony i wyśmiany. Szydzono z niego w karykaturach, że przez wpływ chorobliwej materii krowiej, chciał zbydlęcić ludzkość! Szczepienie zostało okrzyczane z ambony za sztukę diabelską. Twierdzono, że szczepione dzieci dostają puchliny, z której się później wytwarzają rogi; że stopniowo fizyognomia ludzka zamienia się w krowią, a głos w ryk bydlęcia. Lecz szczepienie ospy było prawdą i pomimo gwałtownego prześladowania, którego doznało w pierwszych czasach, przekonanie o niezbedności te-

go środka, powoli wkorzeniło się w umysły. W wiosce do której właściciel wprowadził odkrycie Jennera, osoby pozwalające sobie szczepić ospę, prześladowano wściekłymi okrzykami i gradem kamieni. Dopiero kiedy dwie wysoko postawione damy angielskie, przykładem swoim dodały odwagi, pozwalając na zaszczepienie ospy swoim dzieciom, wtedy przesady tłumu zwolna upadać zaczęły. Dłużej też i lekarze londyńscy nie osiąkali się już z uznaniem krowianki jako środka przeciw ospie, ale znaleźli się między nimi i tacy, co nikczemnie zaprzeczali Jennerowi, którego sami odepchnęli i wyśmiali, zasługi wynalazku. Mimo to przecież Jennera uznano dobroczyncą ludzkości, a naród angielski w dowód wdzięczności posłał znakomitemu mężowi po dwakroć w podarunku 30,000 funt. szter. (186,000 rs., 1,240,000 złp.). W r. 1805 miasto Londyn nadało mu prawo obywatelstwa. Ale skromność, jakiej dowody składał w smutnej połowie życia, nie opuściła Jennera i przy całym blasku szczęścia. Zachęcano go do osiedlenia się w Londynie, zapewniając praktykę przynoszącą przynajmniej 10 tysięcy funtów szterlingów rocznego dochodu. Wielki ten człowiek odpowiedział: „Nie, w poranku dni moich szukałem dróg życia cichych i spokojnych, dzisiaj na schyłku, nie przystoi mi być celem pocisków szczęścia i sławy.“ Piękniejszą nagrodą jak rozległa praktyka, było to, że odkrycie Jennera za jego życia jeszcze znalazło zastosowanie, w całym cywilizowanym świecie.

Na dwa lata przed Jennerem, roku 1747 w wiosce Solz, urodził się człowiek, który pierwszy zastosował zbawienne to odkrycie w Berlinie. Ernest Ludwik Heim, jeden z najgenialniejszych lekarzy, jacy kiedykolwiek istnieli, przeżył ciężką młodość. Ojciec jego, wiejski kaznodzieja, należał do ludzi wielkiej nauki i usiłowania też jego zwrócone były raczej do rozszerzenia zakresu wiadomości swoich, jak do wychowania dzieci. Z liczby trzech synów składających rodzinę. Ernest był najstarszym, ale wcale nieobiecującym. Był wątłej budowy ciała, podległy chorobom, które w dzieciństwie, mianowicie (szkarlatyna i ospa) nie tylko życiu jego po dwakroć zagroziły, ale znacznie jeszcze przeszkodziły rozwojowi umysłowych zdolności. Młodszy jego i silniejsi bracia, daleko prześcignęli go w nauce, przez co troskliwa matka, często utyskiwała na starszego Ernesta i karami usiłowała pobudzić do pracy. „Magister“ tak nazywano

ojca, który niechętnie odrywał się od swoich uczonych zatrudnień, przyzwyczajał chłopców swoich do bezwarunkowego posłuszeństwa, i w celu trzymania ich o ile możności zdaleka od siebie, zadawał im ciężką, często siły biednych maćków przechodzącą pracę. Heim opisuje te roboty w swoim dzienniku: „Wszystkie drzewo opałowe musieliśmy porzązać i drobno porąbać. W ogrodzie mieliśmy dużo do kopania i podlewania, do czego potrzebną wodę dobywaliśmy z głębokiej studni w podwórzu.

„Następnie rąbaliśmy w lesie tyki do chmielu i grochu i przynosiliśmy je do domu na plecach, co stanowiło ciężar, pod którym nie raz o mało nie oddałem ducha.

„Inną razą musieliśmy znosić owoce z pola i ogrodu, a także zebraną żołądź i buczynę. Przy wyrabianiu piwa, czem zwykle ojciec sam się zajmował, używano nas do pomocy w noszeniu wody. Nie lubiliśmy tych prac, ale zato koszenie siana, choć nam nie wyznaczone, było dla nas wielką przyjemnością, jak również chętnie biegliśmy pomagać na łąkach i przy układaniu siana w stogi. Podczas zbiorów, nosiliśmy jedzenie żniwiarzom i kosiarzom.

„W domu, naszymi rękami przysposabialiśmy paszę dla gęsi, słowem: porucono załatwienie wszelkich innych robót tego rodzaju. W zimie musieliśmy godzinami całymi młócić, a wieczorem obierać jabłka, które podzielone na 5 części, przewlekano na nitki.

„Przy tem wszystkiem, byliśmy nędznie ubrani i nędznie żywieni.“

Już najmniejsze wypadki w życiu dziecięcia, często wpływ wywierają na późniejszy jego kierunek, tak i tu zdarzyło się, że drobnostka, która się przytrafiła w życiu Heima, skierowała go na drogę, na której przyniósł zbawienie tysiącom, a sobie sławę!

Pewnego dnia mały E. Heim liczył bowiem wtedy za ledwie 5 albo 6 lat, w domu ojca zobaczył doktora, u którego zauważył kapelusz ozdobiony szeroką złotą torsadą. Chłopczyk nie mógł się napatrzeć doktorowi i powstała w nim myśl zostania takim uczonym. Przepyszny kapelusz ciągle mu stał przed oczyma. W ten sposób zaród myśli wrzucony w umysł dziecka, rozwinał się z latami do przeważającej skłonności, a na koniec wskazał powołanie człowiekowi. Raz na wspólną z braćmi, młody Ernest schwytał skradającego się do kuchni kota; zabrał się zaraz do roz-

członkowania jego trupa. Zamiar zostania lekarzem na nowo w nim ożył, z powodu przedwczesnej śmierci matki, której zgon uważał jako skutek niewłaściwego leczenia doktorów. Śmierć jej rzuciła posępny cień na jego młode lata; do głębi duszy zmartwiony, biegł często do lasu, aby się tam głośno i swobodnie wypłakać. Miało to miejsce w początkach 1764 roku. W maju tegoż roku, wstąpił Heim do liceum w Meiningen, gdzie żelazną pilnością, doszedł do tego, że w dwa lata zdolnym już był do słuchania wykładu uniwersyteckiego. Udał się wtedy do Halli, gdzie zajęty jedynie odczytami, pędził czas prawie samotnie. Do tego trybu życia, zmuszały go nędzne środki materialne, pozwalające zaledwo na wydatek jednego grosza srebrnego na obiad, a czterech fenigów na kolację! Ojciec Heima, który z 200 talarów dochodu jaki mu przynosił urząd, utrzymywał na uniwersytecie trzech synów, pisał do Ludwika zmartwionemu: Nie wiem już z kądby dostać oboć jednego szeląga, procentów mi nie płacą, kapitały wchodzą w konkurs, dzieciństwo po matce zabiera radca kameralny, a wy dręczycie mnie o pieniądze! Życie mi się sprzykrzyło. Bywaj zdrów!“

Po ukończonych studiach, Heim w towarzystwie najlepszego swego przyjaciela Menzla, syna sławnego medyka Fryderyka II, udał się w podróż przez Holandję, Anglię, Francję i Niemcy podczas której, w napadzie szalonej odwagi, wszedł na szczyt katedry w Strasburgu. Polecony przez przyjaciela udał się w r. 1785 do Berlina, gdzie do śmierci swej w r. 1834, zajmował się rozleglejszą praktyką, jaką kiedykolwiek lekarz posiadał.

Dr. Heim równie jak Dr. Jenner, uważał czynną pomoc za święty obowiązek lekarza i stawiał ją zawsze wyżej od materialnego zysku. Według listy chorych którą utrzymywał, udzielał rocznie rad swoich do 4,000 cierpiącym, od których nie tylko, że nie brał, ale ich jeszcze pieniędzmi wspomagał. W jednym z listów tak opisuje czynności swego powołania: „Jako lekarz w Berlinie mam więcej zajęcia niż którykolwiek z moich kolegów. Muszę się wyrzec wszystkich przyjemności życia, ażeby tylko zadosyć uczynić wezwaniom moich pacjentów. Ale ponieważ dusza moja znajduje w tem najwyższy spokój, więc nie ma właściwie z mojej strony żadnego poświęcenia. Na bale, koncerty, spacery i zebrania wieczorne, naturalnie nie znajduję czasu.“

Heim był w Berlinie osobistością tak znaną i szanowaną, że kiedy przejeżdżał przez ulice, witały go okrzykami dzieci, wyrobnicy, żołnierze: był on dobroczyńcą wszystkich.

Biografia powszechna nie wiele przedstawia wybitniejszych przykładów potęgi osobistych usiłowań, nad ten jaki czerpiemy z życia Ambrożego Paré, ojca nowoczesnej chirurgii. Urodził się w 1509 roku w Laval, gdzie ojciec jego był cyrulikiem. Rodzice ubodzy i obarczeni liczną rodziną, umieścili go u miejscowego proboszcza, w nadziei, że tam przynajmniej czegośkolwiek się nauczy. Ale proboszcz zamiast elementarzem, zajmował Ambrożego swoim mulem i innemi posługami domowemi, tak że nigdy nie pozostało chwili czasu na naukę. W tym czasie sławny chirurg Cotot przybył do Laval, celem wykonania operacji u jednego z kolegów proboszcza. Paré przytomny był operacji, która go nadzwyczaj zajęła, a jak utrzymują, ta okoliczność stanowczy wywarła wpływ za postanowienie oddania się nauce chirurgii. Porzucił księdza i wszedł jako uczeń do felczera Viatot, gdzie nauczył się puszczania krwi, rwania zębów i w ogóle wszystkich najprostszych operacji. Po czterech latach nauki, Paré udał się do Paryża, tam dzięki pilności i zdolnościom do nauki, wiele skorzystał z wiadomości medycznych i anatomii. Udało mu się wtedy pozyskać miejsce pomocnika chirurga w głównym szpitalu Paryża, gdzie wzorowem sprawowaniem się i świetnemi postępami zwrócił na siebie uwagę, tak że powierzono mu zastępstwo przy chorych profesora Goupil, który wtedy zajmował katedrę chirurgii w Collège de France.

Paré ukończywszy zwykły kurs nauk, otrzymał tak nazwany stopień *barbier chirurgien*, i wkrótce potem udał się do Piemontu z armią francuską pod dowództwem Montmorency'ego. Tam pole jego doświadczeń znacznie się rozszerzyło, a pilnie korzystając ze swego stanowiska, stosował do praktyki codziennej, śmiałe pomysły ognistego i oryginalnego umysłu. Nie szedł niewolniczo krok za krokiem ścieżką wydeptaną przez poprzedników, lecz ciągle zdawał sobie sprawę ze skutków choroby i lekarstw. Celem praktycznym tych jego studiów było znalezienie najskuteczniejszego sposobu złagodzenia bólu i pomaganie naturze w czynności leczenia. Na tej drodze udało mu się wprowadzić kilka ważnych ulepszeń nie tylko w praktyce chirurgicznej, ale

w ogóle w medycynie, a jego leczenie ran zadanych bronią palną w którym dał dowody zarówno nauki jak ludzkości, znalazło ogromne powodzenie.

Do jego czasów ranni żołnierze daleko więcej cierpieli od nieuctwa chirurgów, jak od nieprzyjaciół. Dla zatamowania krwi w ranach zadanych bronią palną, chirurdzy uciekali się do barbarzyńskiego sposobu okładania ran wrzącą oliwą, przypalania ich rozpalonem żelazem, a jeśli zachodziła potrzeba amputacyi, używali do niej noża rozpalonego w ogniu. Z początku Paré zmuszony był obchodzić się z rannymi podług zwykłej metody; ale razu pewnego kiedy szczęściem wrzącej oliwy zabrakło, użył zamiast niej środka łagodzącego i zwilżającego ranę. Całą noc męczył się obawą, że źle zrobił; można więc sobie wystawić jakiej doznał pociechy rano, przekonawszy się że ranni opatrzeni przez niego, stosunkowo lepiej się czuli i pokrzepili się snem, podczas kiedy inni całą noc jak zwykle doznawali najstraszniejszych cierpień.

Taki był początek jednego z najważniejszych ulepszeń, jakie Paré wprowadził w sposób leczenia rannych. Ważniejszym ulepszeniem, które nie było dziełem przypadku, stało się użycie igły i podwiązania, i zastąpienie tem dotychczasowego spajania arteryi oraz tamowania krwi rozpalonem żelazem. Z początku jak zwykle uważano te metody jako niebezpieczne nowatorstwa, a starzy chirurgowie połączyli swoje usiłowania dla przeszkodzenia wprowadzeniu ich w praktykę. Wyrzucali mu brak wiadomości, a głównie to że nie znał języka greckiego i łacińskiego; przesładowali go cytatai dawnych autorów, których Paré nie mógł ani sprawdzić ani zbijać. Ale najlepszą jego odpowiedzią na napaści przeciwników była ludzkość, zręczność i powodzenie w leczeniu. Ranni żołnierze zewsząd żądali pomocy Parégo, który zresztą był zawsze na ich usługi i pomagał im z całą starannością i słodyczą, żegnając zwykle słowem „Ja cię opatrzyłem, Pan Bóg niech wyleczy.“

Po trzyletniej praktyce wojskowej powrócił do Paryża, poprzedzony taką sławą, że wkrótce został mianowany chirurgiem Henryka II. Ale po krótkim wypoczynku znajdujemy go znów w obozie. Co rok z wiosną wyjeżdżał do armii, a powracał do Paryża dopiero po ukończonej kampanii. Przy oblężeniu Metz przez Karola V, załoga poniosła dotkliwie straty, a liczba rannych była niezmierna. Nie-

liczni i niezdolni chirurdzy zabijali więcej niż Hiszpanie. Księżę Guise dowodzący załogą pisał do króla, prosząc, aby przysłał na pomoc Parégo. Odważny chirurg natychmiast wyjechał, a po największych niebezpieczeństwach, bo jak sam powiada, „mógł być powieszonym, uduszonym albo rozsiekanym na kawały.“ udało mu się przejść linię nieprzyjaciół i dostał się do Metz. Księżę, jenerałowie i oficerowie przyjęli go jednym okrzykiem radości, „że teraz nie lekają się umrzeć, gdyby zostali ranieni,“ a żołnierze dowiedziawszy się o jego przybyciu, wołali: „Nie lękamy się śmierci z ran, bo przyjaciel nasz jest pomiędzy nami!“ W następnym roku Paré znajdował się w oblężonem mieście Hesdin, które wpadło w moc księcia Sabaudyi i lekarz więc dostał się do niewoli. Ale kiedy wyleczył z niebezpiecznej rany jednego z głównodowodzących armią nieprzyjacielską, został uwolniony bez okupu i powrócił do Paryża.

Całą resztę życia poświęcił nauce, dobrym i pobożnym uczynkom. Na usilne prośby współczesnych uczonych, streścił rezultaty swoich doświadczeń chirurgicznych w kilku dziełach wydanych w rozmaitym czasie, a które tworzą 28 tomów. Najważniejsze z pomiędzy nich są: „*Sposób leczenia ran zadanych rusznica*“ i „*Próby bezpośredniego spajania arteryi*.“ Pisma jego odznaczają się głównie wielką ilością faktów, rozmaitych wypadków i staraniem, z jakim autor unika najmniejszej wzmianki, któraby zasadała się tylko na teorii, a nie na osobistej obserwacyi.

Paré chociaż protestant, ciągle pełnił urząd chirurga królewskiego, a w dzień rzezi świętego Bartłomieja zawdzięczał życie tylko osobistej przyjaźni Karola IX, którego, jak sam powiada, wyleczył z niebezpiecznej rany, otrzymanej przypadkowo podczas puszczenia krwi. Brantôme w swoich pamiętnikach opowiada, jakim sposobem król ocalał życie Parégo. „Posłał po niego i zatrzymał w swoim pokoju i garderobie, nie pozwalając się na krok oddalić, bo nie byłoby rozsądnie, aby człowiek, który może życie przywrócić, został zamordowany w ten sposób.“ Tak więc Paré ocalał podczas tej nocy okropnej, a syt życia i sławy zmarł w Paryżu w 1590 r.

W życiorysach polskich lekarzy zasada samodzielności znajduje licznych przedstawicieli z tego już mianowicie powodu, że stan ten omijany także przez szlachtę a mimo to szanowany powszechnie, jako wymagający wiele pracy

i niezbędny w społeczności, był dostępnym dla uboższych, a nawet dla ludzi z niskich warstw narodu pochodzących. Pominawszy już wielu dawniejszych lekarzy naszych, jak Oczka, Strusia, który znaną już starożytnym ale później zaniedbaną naukę o pulsie na nowo w praktyce życia wprowadził, i innych, zacytujemy kilka życiorysów nowożytnych polskich lekarzy.

Jednym z takich szanownych dla swej nauki i dobroczynności mężów w Krakowie, był Dr. Wróblewski. Syn biednego kowala z miasteczka Skalmierza, przyszedł do Krakowa za wozami idącymi ze zbożem i leguminami. Jaki mógł mieć pierwotny zamiar chłopczyka, trudno zgadnąć; znalazłszy się jednak na bruku miejskim, postanowił sobie naprzód wyszukać służby. Wypadkiem trafił na sklep winiarza Leszczyńskiego. Gdy malec zbliżył się, kupiec właśnie stał przed sklepem.

— A czego ty szukasz moje dziecko? — spytał.

— Chleba — odparł młody Wróblewski.

Tak trafne znalezienie się, zwróciło uwagę pytającego, który wziął go do siebie na sklepowego chłopca. Widząc jednak, iż młody uczeń posiada wielką ochotę i zdolność, kazał go uczyć czytać i pisać. W domu, gdzie mieszkał jego pryncypał, mieścił się także i felczer; Wróblewski więc zauważył, jak chłopcy od felczera po całych dniach uczą się z książek. Prosił więc, aby mu pożyczyci tych dzieł szacownych, a zagłębiwszy się w nie, tak mu się nauka medycyny podobała, że postanowił za wszelką cenę zostać felczerem. Stopień ten dla jego młodocianej ambicji był szczytem marzeń. Objawił więc swoją ochotę pryncypałowi, który nie stawiając żadnych zapor, oddał go do felczera. Dla żadnego wiadomości umysłu; nauka felczera niedługo starczyła, z golarni więc przeszedł do szkoły, gdzie jako jednego z najpilniejszych uczniów poznał go Brodowicz Dr. medycyny i profesor ówczesnej kliniki. Zaczyn ten człowiek postanowił pomagać w dalszych krokach Wróblewskiemu, który skończywszy uniwersytet w 1835 r., zajął posadę adjunkta kliniki krakowskiej. Dalsze życie tego lekarza było pasmem poświęceń, cnót i zaparcia się najszczytniejszego.

Drugą postacią, jakiej w tem miejscu w żaden sposób opuścić nie możemy, był żyjący w Warszawie profesor Szkoły Głównej, Dr. Maurycy Ludwik Hirszfeld, urodzony

w Warszawie 1815 roku. Wówczas jeszcze żydzi polscy w zupełności naukom religijnym oddani, zaniedbywali po większej części świeckiego wychowania dzieci swoich. Uprawiając wyłącznie nauki rabiniczne, stronili od oświaty ogólnej, nawet w swoim widzeniu rzeczy za szkodliwą ją dla judaizmu uważali. Rodzice należący do klasy czysto zachowawczej, zamierzili go w tymże samym wychować kierunku i bacznie zwracali oko na to, by mu się czasem do ręki nie dostała książka, w innym jak hebrajski napisana języku. Hirszfeld zaś od najwcześniejszej młodości czuł w sobie niepochochowany pociąg do nauk — zostać medykiem, były jego ciąglem marzeniem, jego ideałem szczęścia; ale jakże tu rozpocząć przygotowawcze do tego zawodu nauki, kiedy mu oko rodzicielskie wszędy było na zawadzie, kiedy każda jego nieomal czynność przez nich była kontrolowaną?

Przez dzień cały ślęczał nad talmudem, i wieczorem razem z rodzicami zniewolony był udawać się na spoczynek. Nie zasypiał jednak, a widząc domowników we śnie pogrążonych, zrywał się i z szczerem zapalem, nie czując zmęczenia ni sennosci, całą noc prawie przepędził nad książką. Tym sposobem w ciągu lat kilku nauczył się sam, bez żadnej pomocy, czytać i pisać po polsku, francuzku i łacinie.

Taki stan rzeczy nie mógł jednak długo potrwać. W roku 1831, młodzieniec zaledwie szesnastoletni uczynił krok, któremu całą swą przyszłość zawdzięcza.

Prawie bez żadnych zasobów pieniężnych bez widoku możności utrzymania się — opuszcza on pokryjomu dom rodzicielski, w którym wprawdzie nie opływał w dostatki, ale przecież bez trosk mógł mieć byt zapewniony — opuszcza miejsce rodzinne, swych krewnych i znajomych i udaje się sam jeden, bez porady, bez kierownika, w świat zupełnie mu nieznany, pomiędzy ludzi dlań obcych, wiedziony jedynie owem niepohamowanym pragnieniem osiągnięcia ideału, jakim mu się być zdawał zawód lekarza. Przybył do Wrocławia. Tu nie doznając z niczyjej strony przeszkody, mogącej tamować drogę do upragnionego celu, rzuca się z gorączkowym zapalem do nauk, odrywając im zaledwie parę godzin dziennie, aby z dawania prywatnych lekcji na utrzymanie swoje zarabiać. Po krótkim w Wrocławiu pobycie udaje się do Berlina, gdzie wydoskonalivszy się w na-

ukach gimnazjalnych—po złożeniu egzaminu, wstępuje do uniwersytetu na wydział medycyny. Kilka lat poświęciwszy tu niezmodowanym studjom, udaje się do Paryża, gdzie celem gruntowniejszego poznania rozpoczętych nauk, wstępuje na nowo na pierwszy kurs tamecznego uniwersytetu; a z ogółu nauk medycznych największe znajdując upodobanie w anatomii i jej naznaczniejszą część swego czasu poświęca.

Wówczas pan Bourgeri wydając swój wielkopomny atlas anatomiczny, doznawał wielkich trudności w wynalezieniu dobrego preparatora nerwów. Słyszając już wówczas o Hirszfeldzie, jako studencie celującym w anatomii, wezwał go do wykonania dlań próbnego preparatu, i chciał się z nim umówić o wysokość wynagrodzenia. Młodzieniec w swej skromności odmówił przyjęcia takowego, oświadczając, iż jeśli tak sławny anatom uzna jego pracę za dobrą, to zaszczyt wzięcia udziału w wydawnictwie tego dzieła, dostatecznym będzie dlań wynagrodzeniem.

Pan Bourgeri obejrzawszy ów próbny preparat, wyрекł: „*Ahque c'est beau, c'est à se mettre à genoux!*” i uznał go za swego stałego współpracownika z wyznaczeniem mu znacznej płacy. Przez lat ośmnaście nieprzerwanie Hirszfeld tą pracą się zajmował,—a po zaszłej śmierci autora, wespół z najslawniejszym tegoczesnym fizyologiem p. Cl. Bernard, dzieło owe ukończył. Pierwszy owoc takiej wytrwałości i niezmordowanej pracy!

Okoliczność ta, zyskawszy mu pewien stopień sławy, zwróciła nań uwagę profesorów uniwersytetu. Owcześnie dziekan fakultetu lekarskiego w Paryżu, profesor Orfila, powierzył mu przygotowanie przeszło 200 preparatów, które dotąd za ozdobę tamecznego muzeum anatomicznego są uważane, świadcząc o głębokiej znajomości rzeczy, zarówno jak o biegłości ręki tego—co je wykonał. W uznaniu jego umiejętności, uniwersytet powołał go jeszcze jako studenta, przed ukończeniem kursów, do wykładu anatomii opisowej i chirurgii operacyjnej w szkole praktycznej fakultetu paryzkiego. Na jego prelekcye, miewane w ciągu pracy około preparatów dla pana Bourgeri, a odbywające się przez lat 15, przybywali w znacznej liczbie nie tylko studenci, ale nawet lekarze francuzcy i cudzoziemcy.

W roku 1848, po publicznej obronie napisanej przez siebie rozprawy: „O nastrzykiwaniach naczyń włoskowatych,” otrzymał tytuł Doktora medycyny.

W tym czasie rozpoczął on wydawnictwo swego wielkiego dzieła w języku francuzkim, p. t. „*Anatomie du système nerveux et des organes des sens de l'homme*” z 92 tablicami, rysowanemi podług jego własnych preparatów. Zbytecznem opisywać tu, ile trudu i mozółu wymagało samo wydanie tak dokładnego dzieła, lecz trudno nie zwrócić uwagi na gorliwość, zamiłowanie do nauki i żelazną wytrwałość, jakiej wymagało przysposobienie preparatów anatomicznych systemu nerwowego i organów zmysłowych, części jak wiadomo najtrudniejszej z całej anatomii—a oddanych z bezprzykładną wiernością na powyższych tablicach. Znawcy się o nich wyrażają, iż są mistrzowską ręką wykonane. Dzieło to zostało w roku 1852 przez Akademią Nauk Instytutu Francuzkiego uwieńczone nagrodą Montyona, i dotąd ma jak największą wziętość w świecie uczonym, czego dowodem, iż zostało przepisane do użytku uniwersyteckiego przez Paryżką Wysoką Radę Wychowania publicznego, i że wyszło drugie jego wydanie po zupełnem wyczerpieniu pierwszej edycji. Paryżanie z tego powodu wyrazili, iż dzieło to, które naturalnie jest kosztownem, pierwsze używa w literaturze medycznej szczęścia powtórnego wydania.

Wszakże nie tylko Francuzi uznali pożyteczność tej pracy; drukują ją także w przekładzie angielskim w Londynie i w Nowym Jorku, na język polski dzieło to acz jeszcze nie w całości, już jest przetłumaczone.

W roku 1857 fakultet lekarski w Paryżu jednogłośnie mianował Hirszfelda Naczelnikiem kliniki w szpitalu Hôtel Dieu w Paryżu. Tu nastręczyło mu się nowe pole do prac anatomicznych i patologicznych. Wynikiem takich jego ciągłych zajęć nad nauką, były odkrycia przezeń w Neurologii i innych częściach Anatomii poczynione. Niektórym z tych wynalazków jego nazwa nadaną została. On pierwszy także objaśnił ważność więzów żółtych, oraz rolę, jaką one w fizjologii odgrywają.

Poznali się też na nim ziomkowie. W roku 1859 podczas rozwijającej się wówczas w Warszawie Medyko Chirurgicznej Akademii, zaszła potrzeba powierzenia katedry anatomii. Na Hirszfelda padł wybór,—ale znów jego religia była na zawadzie; wówczas bowiem, jak wiadomo, nie wolno było izraelicie żadnej publicznej piastować godności! Dla dobra więc i pożytku nauki, zaporę tę usunięto i Hirszfeld otrzymał specjalne pozwolenie przyjęcia ofiarowa-

nej mu posady. Został zatem powołany na profesora zwyczajnego.

Wprawdzie w Paryżu [oczekiwały go nierównie większe honory i zaszczyty—nawet lepsze miał tam widoki materialne—wszelako otrzymawszy zaproszenie od Władzy, bez namysłu postanowił powrócić do swej ojczyzny, by na- byte wiadomości dla dobra swych ziomeków spożytkować. Paryżanie kilkakrotnie po jego odjeździe w gazetach wypowiedzieli: „Wprawdzie p. Hirszfeld nas opuszcza, nie przestaje on jednak do nas należeć, u nas bowiem się uczył, i naszą naukę medycyny wielce wzbogacił!”

Tak więc tenże sam młodzieniec, który Polskę przed 28 laty opuścił, wrócił jako mąż wielkiego rozgłosu i sławy w świecie naukowym. Podczas swego zagranicą pobytu, nie miał on w użyciu mowy ojczystej, nie więc dziwnego, że takowej prawie zupełnie zapomniał, i oto nowy dowód pracowitości jego, iż w nader krótkim czasie w języku polskim takie uczynił postępy, że odrazu w nim swe wykłady rozpoczął. Nie dość na tem. Widząc brak dokładnego dzieła na polu anatomii, i wchodząc w przykre z tego powodu położenie uczącej się młodzieży, zajął się bezzwłocznie wy-dawnictwem obszernej anatomii w języku polskim¹⁾.

Na innem polu nauki odznacza się silną wolą i pracą, wytrwałością w dążeniach, jako też i mądrym zużytkowaniem środków pomocniczych i zdarzających się okoliczności, sławny optyk Józef von Fraunhofer. Urodził się 6 marca 1787 r. w Straubing w Bawaryi. Ojciec jego ledwie mógł wyżyć ze szklarstwa. Od najwcześniejszych więc lat chłopczyzna musiał pomagać ojcu w pracy i dla tego rzadko chodził do szkoły, a jeszcze rzadziej czytał lub pisał. W jedenastym roku życia śmierć zabrała mu ojca i matkę. Opiekun oddał sierotę do tokarza, który jednakże wkrótce oddał chłopca, spostrzegłszy, że był za słaby do tego rzemiosła. Wkrótce Józef wstąpił znów jako uczeń do szlifierza szkielei i nadwornego fabrykanta luster, Weichselberga w Monachium. Nie potrzebował tu płacić za naukę, musiał się jednak zgodzić na sześcioletni termin bez wynagrodzenia. Majster jego, człowiek małego serca i chciwy zarobku, wyzyskiwał jak tylko mógł siły swych uczniów; nie pozwo-

lił więc Józefowi na upragnione gorąco uczęszczanie do szkółki niedzielnej! Kto wie czy siła woli słabego chłopca nie złamałaby się w obec tak niewolniczego obejścia, gdyby w drugim roku pobytu w warsztacie nie wydarzyło się nieszczoście, które pomyslny kierunek nadało życiu Fraunhofera. Dnia 21 lipca 1801 r. dom jego majstra zawalił się i zasypał mieszkańców gruzami. Józef cudem ocalał, podczas kiedy żona majstra o kilka kroków od niego została zabita. Kawały belek spadających w około niego utworzyły sklepienie, w którym głowa pozostała wolną, tak że był w stanie robotników pracujących nad uprzątnieniem gruzów naprowadzić na ślad swój wołaniem i krzykiem. Król Maksymilian Józef, osobiście kierujący poszukiwaniami, zainteresował się chłopcem tak cudownie ocalonym i darował mu ośmnaście dukatów.

Ośmnaście świecących dukatów w ręku biednego dziecka! Co to za pokusa do zaspokojenia jego potrzeb chwilowych! Fraunhofer jednakże oparł się pokusie. Cieszył się wprawdzie z hojnego podarku, ale seryo myślał nad tem, jakby użyć pieniędzy na zaspokojenie gwałtownego pociągu do nauki. Naprzód więc kupił sobie maszynę do szlifowania szkielei i z jej pomocą próbował wyrabiać szkła optyczne; spotkał jednak wszędzie trudności, bo brakło mu przygotowanej wiedzy. Tajny radca Utzschneider, który był obecny ocaleniu Fraunhofera, dopomógł do nabycia potrzebnych wiadomości z kilku dzieł traktujących o matematyce i optyce, jakie mu darował. Ale niestety, Fraunhofer znowu znalazł nowe przeszkody. Majster jego zaledwie spostrzegł u niego książki, najsurowiej mu czytania takowych zakazał. W takim położeniu któż mu mógł pomódz, jeżeli nie sam sobie, opierając się na silnej woli? We dnie zostawał pod ścisłym dozorem, a w nocy nie wolno mu było mieć światła w sypialnym pokoju, pozbawionym okien. Jedynie więc w święta, z książką ukrytą pod surdudem wymykał się z domu, aby choć przez kilka godzin oddać się swobodnie ulubionej nauce. Tym sposobem w przeciągu krótkiego czasu obeznał się z prawami optyki. Ażeby jednak raz zakończyć swe cierpienia i zyskać możność ciągłej naukowej pracy, odstąpił część swoich dukatów, odłożoną na nieprzewidziane wypadki, oraz pieniądze przez siebie zarobione, na rzecz chciwego majstra, który za to zwolnił go od pracy w święta i z ostatniego półrocza nauki. Za resztę pozostałą

¹⁾ Życiorys ten w skróceniu czerpiemy z Nr. 4 czasopisma „Izraelita,” za rok 1867.

z podarunku królewskiego zakupił sobie maszynę do szlifowania większych szkieł optycznych. Czyż nie zadziwiająca jest rozważa, z jaką sam sobie pozostawiony młody chłopiec kierował się w najtrudniejszej sztuce dobrego użycia pieniędzy?

Chcąc poprawić materyalne swoje położenie, Fraunhofer w wolnych chwilach rytował modele do kart wizytowych z wyciskaniem brzegami, na których według mody ówczesnej własnoręcznie się podpisywano. Wojna, która wybuchła pomiędzy Prusami a Francją, wstrzymała tę spekulację i postawiła Fraunhofera w trudnem położeniu. Skromny i oszczędny całą wartość niezależności, nie chcąc szukać wsparcia u króla, który mu jednak przyrzekł dalszą pomoc, znowu wziął się do fabrykacji luster i szlifowania szkieł. W ciągu tej pracy polecony przez Utzschneidera Ulykowi Schiegg, profesorowi matematyki, dnie świąteczne trawił na kształceniu się pod jego kierunkiem. Ale znowu też sama wojna, która wprzód krzyżowała jego plany, popchnęła go na stanowisko, na którem miał oddać nauce ważne usługi. Znakomity matematyk Reichenbach założył w Monachium z pomocą Utzschneidera instytut matematyczno-mechaniczny. Do chwili wybuchu wojny potrzebne szkła do instrumentów astronomicznych wyłącznie sprowadzano z Anglii. Ale kiedy od dnia 21-go listopada 1806 roku Napoleon zaprowadził system kontynentalny wymierzony przeciw Anglii, wtedy trzeba było pomyśleć o sposobach wyrabiania potrzebnych szkieł w kraju. Utzschneider zakupił klasztor Benedyktynów w celu założenia huty szklanej. Za wstawieniem się tego męża stanu powołano Fraunhofera na przewodnika optycznych robót zakładu. Po wielu nieudatnych próbach i usiłowaniach, Fraunhofer wynalazł narreszcie szkła, w dobroci nie tylko dorównujące angielskim ale je przewyższające. Zakład też wkrótce zakwitł, a instrumenta jego rozeszły się po Europie. Fraunhofer niezmordowanie pracował nad wynajdywaniem nowych ulepszeń i narzędzi i poczynił ważne odkrycia w dziedzinie optyki.

Któż nie słyszał o sławnych na świat cały teleskopach Fraunhofera? Największy z nich, za wykonanie którego w nagrodę mianowany został od króla bawarskiego kawalerem orderu cywilnej zasługi, znajduje się w obserwatorium Dorspackiem. Znakomity ten człowiek nie doczekał się je-

dnak późnego wieku. Troski i nędza w pierwszych latach młodości przy niezbyt silnej budowie ciała, trwoga śmiertelna przy zasypianiu gruzem i kurz połykany razem z powietrzem którem oddychał, natężenie umysłu w pracach przy których się nie szanował i wystawiał na gorące wyziewy huty—wszystko to zważyło jego piersi i zaszczerpiło zaród śmierci. Fraunhofer umarł w 39 roku życia, dnia 7-go czerwca 1826 r. z całą przytomnością umysłu, po kilkoletnich dotkliwych cierpieniach. Ale nazwisko jego wspominać będzie z czcią i szacunkiem, dopóki tylko istnieć będzie nauka. Kamień na jego grobie nosi napis: *Approximavit sidera (przysbliżył gwiazdy)*. Niedawno wielbicieli Fraunhofera wystawili mu pomnik w Monachium.

Obok Fraunhofera blaskiem gwiazdy pierwszorzędnej świeci jeden z najznakomitszych astronomów i ludzi wszech krajów i narodów—Fryderyk Wilhelm Herschel. Urodzony w 1738 r. syn biednego muzykanta z Hanoweru, będąc dzieckiem okazywał już szczególne upodobanie do rozmaitych wyliczeń, porównań i tym podobnych zajęć. Ojciec uczył go muzyki razem z trzema jeszcze braćmi, a w 14 roku młody Wilhelm dał się słyszeć publicznie na oboju i skrzypcach. Przytem pod kierunkiem sekretarza artylerii Hofschlāgera nauczył się gruntownie wstępnych wiadomości logiki, matematyki, historii naturalnej i kilku języków nowożytnych. Największy wpływ na wrażliwy umysł młodego chłopca wywierał wspaniały, nieskończenie wzniosły widok gwiazdzistego nieba, po którem już błakał się myślą, przygotowawszy sobie z tektury globus ziemski własnego pomysłu. W r. 1759 kiedy Hanower i Anglia zostawały pod berłem jednego króla, Herschel udał się do Londynu jako oboista z regimentem pułku hanowerskiego wojska. Tu naprzód bardzo źle mu się wiodło. Położenie jego było tak smutne, że musiał grywać do tańców. Szukano wtedy organisty do nowo wybudowanego kościoła w Halifax i Herschel skwapliwie pochwycił tę sposobność wydostania się z nędzy. Pensya jego w Halifax była jednak tak szczupłą, że dla wyżywienia się musiał zarabiać choć cokolwiek daniem lekcyj muzyki. W chwilach wolnych z całym zapalem przecież oddawał się matematyce. W 1766 r. opuścił Halifax i przyjął miejsce organisty przy kościele w kąpielach mineralnych w Bath, gdzie oprócz tego grywał na koncertach. Przyjemności i rozrywki pełnego wrzawy życia nie

miały wpływu na chciwy nauki umysł młodzieńca; często odbywał wycieczki na szczyt sąsiednich wzgórz i spędzał tam całe noce, na podziwianiu gwiaździstego nieba. Ażeby zaś lepiej to wykonać, pożyczył od przyjaciela teleskop gregoryański, ale ten mu nie wystarczał. Udał się więc do optyka londyńskiego w celu zakupienia lepszego narzędzia; lecz ten położył cenę tak odstraszącą, że Herschel powziął śmiałą myśl zbudowania teleskopu.

Ktokolwiek zna urządzenie reflektora i ma pojęcie o sztuce zrobienia metalicznego lustra, odbijającego promienie światła, a które stanowi ważną część teleskopu, ten może osądzić, ile trudności łączy się z podobnem przedsięwzięciem. Herschel jednak odważnie wziął się do rzeczy, a po długiej i niewypowiedzianej mozolnej pracy zbudował reflektor pięcio-stopowy, którym z najwyższą radością mógł obserwować planetę Saturna z pierścieniem i satelitami. Nie zadowolony, ale powodzeniem potężnie zachęcany do dalszych przedsięwzięć, wykonywał teleskopy coraz większych rozmiarów. Pracując nad reflektorem o 7 stopach, wyszlifował do dwustu zwierciadeł, zanim mu się powiodło jedno wykończyć przydatne. Zaprawdę piękny przykład wytrwałości człowieka!

W tym czasie kiedy jako natchniony astronom wymierzał przestrzenie nieba teleskopami przez siebie zbudowanymi, dla wyżywienia się ciągle jeszcze grywał po koncertach. Jakże często korzystając z chwili pauzy wybiegał z sali, aby choć przelotnie przyjrzeć się gwiazdom ukochanym! Nareszcie dnia 17 marca 1781 r. odkrył nową planetę w naszym systemie słonecznym, którą na cześć króla angielskiego nazwano naprzód „gwiazdą Jerzego”, później „Herschlem” a w końcu powszechnie przyjęto mitologiczną nazwę „Uranus”. W Bath już przedsięwziął Herschel zbudowanie teleskopu o 30 stopach długości, 4 stopach 10 calach szerokości, ważący 4,000 funtów i powiększający 3,000 razy. Ten olbrzym kosztował go cztery lata pracy. Zaraz po odkryciu gwiazdy Jerzego, Herschel został mianowany astronomem królewskim ze znaczną pensją i pomieszkaniem w królewskim pałacu Windsor. Szczęśliwa zmiana stosunków w niczem jednak nie zmieniła skromności tego genialnego pod każdym względem męża, gdyż jako człowiek stał on zawsze na równi mechanika, optyka i astronoma.

Z wielu względów podobnym do Herschla jest astronom Jan Hieronim Schröter, ur. 1745, zm. 1816, który w Lilienthal, wsi w księstwie Bremen urządził sobie obserwatorium i teleskopy swoje również sam budował.

W ogóle widok wspaniałego nieba zapalał do astronomii niemal wszystkich umysłów—to też między zajmującymi się tą nauką wielu spotykamy takich, którzy wyszli z niższych warstw ludu i sami sobie winni swe wykształcenie.

W drugiej połowie XVII stulecia w Sommerfeldt pod Lipskiem żył wieśniak Krzysztof Arnold, szanowany tak wysoko przez Schrötera, że na cześć jego aż trzem dolinom na księżycu nadał nazwisko Arnolda. Wieśniak ten własną pracą wykształcił się na astronoma i na domu swoim urządził obserwatorium, które pokazywano jeszcze w 1794 r. Poświęcając tylko wolne chwile studiom astronomicznym, do końca życia uprawiał rolę. W 1663 r. odkrył kilka nowych komet, a w 1690 r. spostrzegł przejście Merkurego przez słońce i opisał to zjawisko w broszurce noszącej tytuł: „Łaska Boża objawiona oczom przez cud na słońcu. Lipsk 1692”. Magistrat lipski uwzględniając zasługi jego na polu nauki, na całe życie uwolnił go od podatków. Arnold zostawał w korespondencji z najuczestniejszymi mężami swojego czasu, a papiery jego jako też portret po dziś dzień przechowują się w lipskiej bibliotece magistrackiej.

Jan Jerzy Palitzsch, żyjący w połowie zeszłego stulecia w Prohlis pod Dreznem, jest drugim przykładem wiejskiego astronoma. Zdobył on sobie również wiadomości matematyczne, astronomiczne i botaniczne własną tylko pracą. Posiadał oprócz wyborowej biblioteki małą kolekcję okazów naturalnych, a w ogrodzie zbiór roślin krajowych i zagranicznych. Przytem zachował wiejski strój i obyczaje. Ograniczeni sąsiedzi sztydził wprawdzie z niego w rozmaity sposób, ale Palitzsch nie zważał na to czując swą wartość, gdyż nawet wielki Herschel zaszczycał go swoją przyjaźnią. Kiedy w roku 1758 czekano na powrót komety Halleya, Palitzsch dostrzegł ją na miesiąc przed astronomami wyglądającymi jej z trwogą.

Piotr Anich, syn biednych wieśniaków, urodził się 1723 roku, w wiosce na stoku Alp Tyrolskich. Wzrósł pomiędzy krowami i owcami. Jak tylko zaczął chodzić, posłano go do szkoły wiejskiej, gdzie nauczył się przedzej

i łatwiej czterech działań jak czytania i pisania. Dlatego nauczyciel radził mu zostać kupcem, przepowiadając fortunę. W tym stanie ukończywszy nauki w szkole, wrócił do trzody w górach, uprawiał rolę, a w zimie pod kierunkiem ojca zajmował się misternymi wyrobami z drzewa, w czym celował. Był zawsze poważany i nieśmiały, zastanawiał się uważnie nad wszystkim i wiele myślał. Skutkiem tego usposobienia daleko chętniej patrzył w obszar nieba, jak w najpiękniejsze nawet oczy wiejskiej dziewczyny. Po śmierci ojca nie mógł już powstrzymać gorącego popędu do nauki. Umiał zaledwie czytać i pisać, a miał już lat 28! Pędzony naprzód żądzą nauki, pewnego dnia wziął łaskę, kapelusz i powędrował do Insprucku. Tam udał się prosto do profesora matematyki w uniwersytecie, D-ra Weinhardta. „Czy twoją to jest nauką, zagadnął po prostu, uważanie gwiazd i nieba?” A otrzymawszy odpowiedź potwierdzającą, tak mówił dalej: „I ja także chciałbym poznać bieg gwiazd, bo kiedy pasłem bydło, z przyjemnością im się przypatrywałem”. Uczony profesor nie wierzył uszom swoim, słysząc te słowa z ust wieśniaka, którego ręce i twarz ogorzała wskazywały większą sposobność do pługów jak do uczonych książek. Mimo to zadał mu kilka trudniejszych pytań, celem zbadania jego umysłowych zdolności, na które młody wieśniak jasno i trafnie odpowiedział. Wtedy profesor poprosił, aby go w każde święto odwiedzał.

Od tego dnia w ciągu czterech lat można było widzieć Anicha bez względu na stan pogody, odbywającego w każde święto długą drogę z gór do Insprucku. Przychodził i pracował z tym samym porządkiem, niezmęczeniem i systematycznością, jakiej coraz więcej poznawać się uczył w wzniosłym układzie wszechświata. Postępy jego w matematyce, optyce i astronomii były tak szybkie, tak niemal cudowne, że uniwersytet uznając jego naukę, powierzył mu wykonanie globusa niebios. Dla odpowiedzenia godnie położonemu w nim zaufaniu, Anich zaprzagnął przewyższyć wszystko, co dotychczas w tym kierunku było znanem. Zanim się zabrał do dzieła, w chwilach wolnych nauczył się pisać kaligraficznie i rysować. Wtedy dopiero, mając wszelkie ku temu potrzebne wiadomości, rozpoczął pracę, w której przydała mu się niemało mechaniczna jego zdolność, nabyta w ciągu długich zimowych wieczorów. Na tokarni toczył z drzewa oba globusy, na których później rysował cały zastęp gwiazd

uszykowanych w konstelacje, a do tego z mosiądzu wyrzytał pierścienie, zęby i potrzebny mechanizm. W jesieni 1756 roku ukończył to arcydzieło, przechodzące wszystko co znane w tym rodzaju, wielkością i dokładnością. Obrót kuli gwieździstej, stosujący się zupełnie do czasu jej pozornego obrotu około ziemi, dokonywał się mechanizmem wynalezionym przez Anicha. Kiedy jednak ukończony globus twórcą jego chciał odstawić do Insprucku, okazało się, że ani przez drzwi pokoju, ani też domu, nie można było wytoczyć tak kolosalnej kuli. Murarze i cieśle wnet temu zaradzili, a po uprzątnieniu przeszkody, Anich z owocem pięcioletnich trudów, pociągnął do Insprucku tą samą drogą, którą tylekroć odbywał, nie zważając na burze, słoty, zima lub upały. Globus, który stanowi ozdobę muzeum w Insprucku, podziwiają dotychczas uczeni i prostacy, jako rzecz niezmiernie ciekawą. Nauczyciel Anicha, któremu zawdzięczał wszystko, zacny profesor Weinhart, opisał ten globus w osobnej broszurze, ofiarowanej cesarzowej Maryi Teresie, która od dnia tego z wielkiem współczuciem śledziła za wszystkimi przedsięwzięciami i pracami niepospolitego wieśniaka.

Pochwały jednak nie zepsuły Anicha. Zabrał się znowu do pracy. Naprzód bez pomocy niczyjej wyrysował kartę środkowego Tyrolu, a uzyskawszy pochwałę ludzi fachowych, na żądanie D-ra Weinhardta wykończył kartę ówczesnego teatru wojny. Mapę tę mającą pięć stóp długości a trzy szerokości ukończył w siedemnaście dni, choć była tak pięknie rysowana piórem, że uważano ją za litografowaną. Pruscy generałowie Fink i von Platen znajdujący się wtedy w niewoli w Insprucku, gdy im tę kartę pokazano, znaleźli ją zupełnie wierną i zadziwili się niepomalu, dowiedziawszy się o stanowisku społecznym jej autora. Anich tymczasem zabrał się do pracy około kuli ziemskiej, którą w Kwietniu 1759 roku obok swego globusa niebios ustawił. Lecz wszystko to było zaledwie przedwstępem do dzieła, zapewniającego nieśmiertelność swemu twórcy. W roku 1760 Anich otrzymał od cesarzowej polecenie wymierzenia Tyrolu północnego. Zabrał się do tego, że tak powiemy z natchnieniem, bez którego nieby nie zdołał wykonać; bo trudności nagromadzone przez naturę i przeszkody ludzkie były niezmierne. Musiał wdrapywać się na wierzchołki gór, dotychczas stopą ludzką nietkniętych, a często spada-

jące lawiny albo zdradzieckie przepaście pokryte cienkim lodem, życiu jego zagrażały. Do ostatka wycieńczony trudami dnia, nocę często przepędzał pod gołem niebem, a nie raz wtedy temperatura tak się zniżala, że ziemia pod nim marzła. Innego rodzaju przykrości i to daleko gorszych doznawał od tyrolskich chłopów, którzy posadzali go, że wysłanym został przez rząd dla wymiaru ich pól celem podwyższenia podatków; inni sądzą znowu, że mapa ta posłuży nieprzyjacielowi za drogowskaz. Dlatego uważany wszędzie jako szpieg i zdrajcę kraju, nigdzie nie był bezpiecznym od czynnych obelg. Kiedy śmiertelnie strudzony wieczorem zachodził do jakiej wioski, wtedy fanatyczni chłopcy zamykali drzwi przed nim, zostawiając mu nocleg pod progiem. Pomimo wszystkich tych utrapień dzieło jego ciągle postępowało i dwie trzecie były już ukończone, kiedy Anich uległ pracy nad siłą i zmarł w 1766 roku.

Na krótki czas przed śmiercią, cesarzowa Marya Teresa wyznaczyła mu drobną stosunkowo pensję 200 guldenów rocznie. Mapę ukończył szczęśliwie Błażej Huber, który w ostatnich czasach pomagał Anichowi, a dzieło to pozostanie zawsze ważnem dla historii nauki, chociaż nowoczesne środki pozwalają na prace ściślejsze pod względem praktycznym.

Widzimy, że wzniosła nauka astronomii zapalała po wszystkie czasy umysły i możnaby rzec, iż promienie gwiazd, wprowadzały na światło pracowników z najniższych warstw ludu. I w szeregu naszych polskich astronomów spotykamy się z takim człowiekiem. Był nim Franciszek Armiński. Wiadomości nasze co do pierwszych chwil tego zasłużonego człowieka są niepewne. Biografowie jego powiadają, iż Armiński urodził się 1789 roku w Tymbarku w Galicyi w dzisiejszym powiecie Sandeckim, Rodzice odumarli go w niemowlęctwie a sierota pozostawał w domu wuja swego w Sleszowicach aż do ósmego roku. Zdaje się, że ten peryod nie był szczęśliwym dla młodego Franciszka, i że drobne jego siły do najprostszych posług wiejskich skierowano. To pewno, że bardzo młodo przybył do Krakowa i od pierwszej chwili sam na swoje utrzymanie zarabiał musiał. A jakkolwiek w owym czasie życie nie było kosztowne w Krakowie, ale i zarobek niełatwy. Nie mniej jednak młodzieniec przezwyciężył trudności i chlubnie kursa nauk szkolnych ukończył. Pragnąc coraz dalej się kształcić przy-

był do Warszawy i wszedł do ówczesnej szkoły kadetów, gdzie słuchał wykładu wyższej matematyki. Ile to go młokoń musiało kosztować i jak wielką obdarzony był wytrwałością, za dowód posłużyć może ta okoliczność, iż zdołał sobie zaoszczędzić małeńki fundusik, który mu pozwolił na wyjazd za granicę, i to zaoszczędzić jedynie z prywatnych lekcyj! Ruszył więc w tę podróż z wiarą w swą doświadczoną wolę 1811 roku, naprzód do Niemiec a później do Francji, gdzie w obserwatorium Paryżkiem, pod przewodnictwem najznakomitszych uczonych jak Arago i Delambec oddał się szczegółowemu studyum. Zdolności jego wkrótce też ocenione zostały, w dwudziestym bowiem piątym roku życia, otrzymał Armiński od rządu francuzkiego zaszczytne miejsce dyrektora obserwatorium astronomicznego na wyspie Isle de France. Chęcią jednak jego było poświęcić swe usługi własnemu krajowi. Przybył więc w 1815 roku w powrocie do Warszawy, gdzie też jako profesor astronomii i matematyki znalazł miejsce w Aleksandryjskim uniwersytecie. Jak wielką była gorliwość Armińskiego na tem stanowisku, dość wspomnieć, iż z własnego popędu i bez żadnego wynagrodzenia, podwoił liczbę wykładowych godzin, aby tylko jak największą korzyść przynieść młodzieży.

Jednocześnie z przybyciem swoim do Warszawy, Armiński zaczął się krzątać wraz z mężami stojącymi na czele oświeconego rządu, około założenia obserwatorium astronomicznego w Warszawie. Jakoż zabiegi te uwieńczone zostały skutkiem i w 1825 roku pod kierunkiem Armińskiego, stanęła ukończona budowa tego przybytku nauki. Armiński sam starał się o zaopatrzenie go w odpowiednie narzędzia i osobiście jeździł za granicę, aby dopilnować ścisłości wykonania zamówionych teleskopów, lunet i innych matematyczno-meteorologicznych przyrządów. To też od 1830 roku Armiński miał sobie powierzone miejsce dyrektora obserwatorium i które-to obowiązki pełnił do 1848 roku to jest do schyłku dni pełnego zasług życia.

Jest to zwykłym losem wszystkich obiektywnych badań i dzieł naukowych, że treść ich starzeje się i zarzuca, podczas kiedy forma im właściwa, w której zostały wypowiedziane i wcielone, droga na której powstały, uważana ze stanowiska kultury historycznej i ludzkiej, nigdy nie straci wartości i powabu, bo te pomniki pracy naukowej, są

charakterystycznym wyrazem osobistego uczucia i myśli. To stosuje się w szczególności do wybranych mężów nauki, którzy od czasu do czasu przechodzą przez scenę życia, a prace ich stają się nową erą w pewnej umiejętności. Takim człowiekiem był Karol Linneusz wielki naturalista i botanik. Systematyczny jego podział na klasy, rzędy i rodzaje królestwa zwierząt i roślin, utworzony w czasie, kiedy na polu tem panowało najdziwaczniejsze zamieszanie, dzisiaj już porzucony został, niemniej jednak dzielnie dopomógł do postępu na drodze badań przyrody; dla tego też właśnie podział ten i wszystkie dzieła geniuszu w formie przez Linneusza przekazanej, cenione być nie przestaną dopóty, dopóki ukształceni ludzie żyć będą na ziemi.

Karol Linneusz, urodzony 4 maja 1707 roku w szwedzkiej wiosce Smaland, był synem uboższego pastora wiejskiego i młodość swoją przepędził w niedostatku. Na dziecku tem dowodnie przekonać się można, jak przeważny wpływ wywierają pierwsze wrażenia lat młodocianych, na rozwój umysłu i kierunek dalszego życia. Jako przyczynę swego zamiłowania kwiatów, sam przytacza: „Ojciec zawsze lubił botanikę, znał nazwy łacińskie niektórych roślin i ożeniwszy się założył mały ogródek, w którym zasadził kwiaty i krzewy, ile ich tylko mógł pomieścić; nie go tak nie bawiło, jak praca około kwietnika. Matka moja także zajmowała się ogródkiem, i później kiedy nieчем mnie w płaczu uspokoić nie mogła, kładła mi kwiatek w rękę, a krzyki wnet ustawały.“ Gdy podrośł, powierzono Karolowi polewanie roślin, a ojciec darował mu zagon, na którym podług upodobania mógł siać, sadzić i to była jego pierwsza praktyczna szkoła botaniki. Nie miał jeszcze lat 9 kiedy zaczął zbierać rośliny w polu i lesie, albo pracował w ogródku i sadził w nim dzikie zioła i pachnące kwiaty, między którymi nie robił różnicy, bo wszystkie kochał namiętnie. Sprowadził nawet dzikie pszczoły i osy do ogródka ojca, przez co ule nie mało ucierpiały. Gdy ukończył lat dziesięć, oddano go do gimnazjum do Warxiö, i wtedy skłonność do obcowania z naturą, wykazała się w całej potęgę, pochłaniającej wszelkie inne względy. Z pomiędzy swych kolegów, on najwięcej czasu przepędzał pod gołym niebem. Jak tylko mógł się uwolnić, wybiegał do ukochanych gajów pełnych ziałości i tam z dziecięcym zapalem zagłębiał się praktycznie w świat roślin i zwierząt. Wtedy jednak za-

dania szkolne spoczywały nie tknięte w domu, co naturalnie stało się przyczyną, iż umiał daleko mniej od swoich współuczniów. Szczególniej postępy w językach starożytnych były tak słabe, że nauczyciele znacząco pokiwawszy głowami, znaleźli niezaprzeczony dowód nieudolności naukowej, w skłonnościach jego do zbierania kwiatów i motyli. Poradzono ojcu, aby oddał syna do jakiegokolwiek rzemiosła. Mało brakowało a świat utraciłby przyszłego reformatora nauk przyrodniczych; bo ojciec uwierzył nauczycielom i nie wybadawszy dziecka, oddał go na naukę do szewca. Szczęściem przyjaciel rodziny Linneusza Dr. Rothmann, lekarz z Waxiö, przypatrzawszy się myślącemu okiem zajęciom młodego chłopaka szewckiego, poznał się na świetnych jego zdolnościach i ocalił go dla nauki, poradziwszy ojcu, aby mu pozwolił studyować przyrodę. Zaczyn ten człowiek nie skończył jednak na radzie, wziął do siebie Karola iłożył na jego wychowanie, a oprócz tego sam wykładał mu fizyologię, botanikę i takim sposobem przygotował go do uniwersytetu.

Mając lat 20 w roku 1727, Linneusz udał się na uniwersytet do Lund, aby tam oprócz nauk przyrodniczych, uczyć się medycyny, w której upatrywał na przyszłość pewny kawałek chleba, jakiego botanika dać mu nie mogła. W Lund zajął się nim lekarz Stobäus, wspierał go wedle możliwości, a nawet raz uratował mu życie, kiedy na wycieczce botanicznej Linneusz ukąszony został przez jadowitego robaka, zdarzającego się w Szwecyi. W następnym roku Linneusz udał się na uniwersytet do Upsali, gdzie w botanicznym ogrodzie przy pracy, poznał go sławny teolog Olaf Celsius, któremu tak przypadł do serca młody botanik, że umieścił go w własnym domu i pozwolił korzystać z biblioteki. Za to Linneusz wywdzięczał się, pomagając mu przy opracowaniu dzieła teologicznego o roślinach biblijnych. Pomimo ciągłej walki z niedostatkiem, Linneusz czynił postępy tak znakomite, że profesor botaniki Olaf Rudbeck powierzył mu nadzór nad ogrodem botanicznym. Duch badawczy Linneusza naprowadził go na myśl, czy na stosunku płci u roślin, nie możnaby zbudować nowego systemu w nauce. Zakomunikował tę myśl później opracowaną Olafowi Rudbeck i tym sposobem zyskał tak wysoki szacunek dla swych zdolności, że miał sobie powierzone zastępstwo profesora przy doświadczeniach z roślinami w ogrodzie botanicz-

I
2
4
nym. Od maja do listopada 1732 roku, Linneusz z polecenia rządu, który mu na ten cel wyznaczył sumkę 50 talarów, podróżował w celach naukowych po Laponii. Aby nie uleść pod trudami i niedostatkiem tej prawdziwej kampanii, trzeba było być natchnionym taką miłością dla powołania, jaką posiadał Linneusz. Przebywający samotnie, pieszo okolice góryste, spędzał całe dnie wśród tysiąca niebezpieczeństw na zbieraniu roślin, a nocą najczęściej wypoczywał na twardej ziemi po trudach codziennych. Tak dzwigając zbiór przez siebie zebranych roślin, w przeciągu pół roku przeszedł 800 mil. Owocem tej pracy herkulesowej była: „*Flora Lapponica*” gdzie po raz pierwszy dzielił rośliny podług organów płciowych. Nie pozyskawszy jeszcze stopnia akademickiego, a zatem bez stałej pensji, Linneusz wraz z kolegami oddającymi się naukom, odbył drugą podróż po Laponii, tym razem w celu mineralogicznym. Wracając udał się do górniczego miasta Falun, gdzie miewał edyty o mineralogii, górnictwie i gdzie poznał przyszłą swą towarzyszkę życia, córkę doktora Stobäus. Sto dukatów, które otrzymał w darze od ojca narzeczonej, postawiły go w możności udania się do Holandyi, dla pozyskania tam stopnia uniwersyteckiego. W roku 1735 został też doktorem medycyny w Hardewyk. Potem dłuższy czas przebywał w Leydzie, gdzie zapoznał się z Hermanem Boerhave, jednym z najslawniejszych medyków XVIII wieku, jako też z botanikiem Janem Burmann, z którymi przyjacielskie stosunki ważny wpływ wywarły na jego rozwój umysłowy. Tutaj też wydał: „*Systema naturae seu regna tria naturae systematice proposita per classes, ordines, genera et species*,” (System przyrody albo trzy królestwa natury, systematycznie ułożone podług klas, rządów, rodzajów i gatunków) które się słusznie liczy do najznakomitszych dzieł jego. Na zlecenie Boerhava i Burmanna, Linneusz został w roku 1736 lekarzem domowym bogatego bankiera Jerzego Clifford, który także powierzył mu nadzór nad ogrodem, liczącym się do najpiękniejszych swojego czasu. Linneusz dwa lata pozostał na tem stanowisku. Działalność jego jako autora, przez stosunkowo tak krótki przeciąg czasu, zadziwić musi każdego. Przez ten czas bowiem wydał dziewięć najważniejszych dzieł swoich, tak że przecięciowo wypada po niecałym kwartale na opracowanie potężnego tomu. W dziele *Genera plantarum* (Rodzaje roślin) oznaczył 935 gatunków

podług wszystkich cech, a w dziele *Classes plantarum* (Klasy roślinne) wykonał zestawienie wszystkich dotychczas znanych systematów. Kosztem Clifforda objechał Francję i Anglię, gdzie zaznajomił się z najznakomitszymi ówczesnymi badaczami natury. Odmawiając czynionym mu w Holandyi i Francyi propozycjom, wrócił przez Getyngę do Szwecyi, gdzie o nim tak zapomniano, że czas jakiś musiał się utrzymywać z nędznej praktyki lekarskiej, a nakoniec zmuszony został wstąpić do służby marynarki, jako lekarz okrętowy. Wielki Haller, wprzód przeciwnik, poznawszy bliżej Linneusza, tak się doń przywiązał w Getyndze, że opuszczając uniwersytet, pragnął na własnej katedrze osadzić naszego uczonego. Nieszczęściem propozycya ta doszła Linneusza, kiedy już przyjął zobowiązanie w służbie. Wezwanie to jednak zwróciło na niego uwagę wysoko postawionych ludzi, którzy wydobyli go z zapomnienia, przedstawili u dworu, gdzie kilka szczęśliwymi kuracyami, pozyskał łaskę królowej Ulryki Eleonory. Królowa ta mianowała go swoim nadwornym lekarzem, a wkrótce najbogatsze i najszlachetniejsze rodziny; ubiegały się o zaszczyt liczenia się w poczet klienteli Linneusza. Sława jego z każdym dniem wzrastała. Za wstawieniem się protektorów swoich w roku 1739 został uwolniony z urzędu lekarza floty, a mianowany prezydentem akademii w Stockholmie, z tytułem botanika królewskiego; w roku zaś 1740 wybrany na przewodzcę wyprawy naukowej, w głąb Szwecyi przez radę państwa naznaczonej.

Wtedy to nadeszła dla Linneusza upragniona chwila połączenia się z ukochaną przez siebie dziewczyną p. Stobäus, a z powołaniem go w roku 1742 na profesora botaniki w Upsali, spełnione zostały życzenia do osiągnięcia stanowiska spokojnego, któreby pozwalało na dalsze badania naukowe. Rektorzy kilku zagranicznych uniwersytetów, czynili mu najświetniejsze w tym czasie propozycje nawet Hiszpania starała się o niego; ofiarowano mu pensyą 200 piastrow, chciano go wznieść do stanu szlacheckiego i pozwolić zarazem na pozostanie protestantem. Miłość ojczyzny przemogła! W roku 1762 akademii paryżka przyjęła go w grono ośmiu zagranicznych członków swoich. Dni Linneusza spokojnie teraz upływały; ale pomyślność nie ostudziła zamiłowania do pracy, przeciwnie zwiększała je tylko. Przykład Linneusza pokazuje dowodnie, że geniusz nie tylko

nie uwalnia od pracy nad sobą, ale przeciwnie, im geniusz wyższy, tem większy pociąga obowiązek kształcenia umysłu, rozszerzania granic swej wiedzy.

Oprócz kilku nowych edycji dawniejszych dzieł, Linneusz w czasie pobytu swego w Upsali wydał opis podróży po Szwecji; później w 1744 roku *Flora suecica* (Florę szwedzką); 1746 *Fauna suecica* (Faunę szwedzką); 1748 *Hortus Upsaliensis* (Ogród w Upsali); 1749 do 1752 *Materia medica* (Rośliny medyczne); 1751 sławną *Philosophia botanica* (Filozofią roślin); spisy szczegółowe kilku wielkich zbiorów naturalistów, a co najważniejsza w roku 1753 ogłosił drukiem głośną swą pracę *Species plantarum* (gatunki roślin). Oprócz tych prac obszernych wydał jeszcze do 200 okolicznościowych broszur akademickich i niemałą liczbę rozpraw dla uczonych towarzystw, których był członkiem.

Dotknięty atakiem apopleksyi w 1674 r., który się powtórzył we dwa lata później, niezmordowany badacz osłabiony na ciele i umyśle, zmuszony został do przejścia na stan spoczynku. Linneusz umarł 10 stycznia 1778 roku z zupełnego wycieńczenia sił. Czem był jako człowiek, widać z niedawno odszukanych notat, które miały być testamentem dla ukochanego syna. Wypisujemy z nich niektóre ustępy:

Mój synu jedyny!

Przeszedłeś na świat, którego nie znasz.

Nie spotykasz Pana domu, ale dziwisz się jego wspałałości.

Spostrzegasz że panuje zamieszanie, jak gdyby nikt nie widział porządku, nie słyszał harmonii.

Widzisz jak najcudniejsze lilie zagłuszone bywają zielskiem.

Jednakże jest Bóg wymierzający sprawiedliwość każdemu.

Żyj bez plamy, bo Bóg jest obecny!

Czyn dobrze i raduj się!

Jakie życie prowadzisz, takie też będzie powodzenie twoje.

Nie ma większego charakteru, nad charakter uczciwego człowieka.

Kogo przypadek nie wywyższył, tego nieszczęście nie poniży.

Strzeż się budować pomyślności swojej, na upadku bliźniego.

ROZDZIAŁ VI.

Malarze i Muzycy.

Tylko przy pracy zbratanej z natchnieniem,
Myśl sięga prawdy wiekistej szczytu,
Tylko pod silnem dźwiękiem uderzeniem,
W posąg się zmienia twardy łom granitu.
Szyller.

Joshua Reynolds, jeden z największych malarzów angielskich, wierzył tak silnie w wszechmoc pracy, że zwykł był mawiać: „mistrzostwo w sztuce, jakkolwiek będzie nazwane: geniuszem, darem niebios, lub inaczej jeszcze, zdobywa się zawsze pracą.“ Naturalnie pojęcie o pracy brał w najwyższym znaczeniu. W liście jego do malarza Jamesa Barry znajdujemy taki ustęp: „Kto pragnie odznaczyć się czy to w malarstwie, czy w innej jakiej gałęzi sztuki, powinien od chwili wstania do chwili, w której idzie na spoczynek, dzień po dniu, rok po roku, całą działalność swego umysłu skierować tylko na ten przedmiot.“ W innej okoliczności powiada: „Kto chce osiągnąć doskonałość, powinien chętnie czy niechętnie, rano w południe i wieczorem pracować nad udoskonaleniem siebie; a wtedy zrozumie, że sztuka to nie zabawka, ale ciężka praca.“

Staraliśmy się dowieść w rozdziałach poprzednich, że skutki pracy widoczne są tylko w granicach, jakie zdolności osobiste i kierunek umysłu zakreślają człowiekowi. Nie trudno byłoby wykazać prawdę tę w stosunku do sztuki. W tym względzie przypominamy, że Gete przy swym olbrzymim geniuszu, pomimo całej pracy został tylko bardzo miernym rysownikiem. W każdym jednak razie, praca nawet w sferach sztuki odgrywa rolę jeśli nie wszechmocną, to przynajmniej bardzo ważną. Bez pracy i ćwiczenia żadna zdolność się nie wykształci; pracą zaś i wprawą nawet iskierkę talentu rozdmuchać można w silny płomień. Jestto

faktem prawdziwie zadziwiającym, że większość najznakomitszych artystów urodziła się i wychowała w stosunkach zupełnie niesprzyjających rozwojowi ich talentu, a prawie w żadnym zawodzie nie znajdujemy tyłu mężów, którzyby pomimo nędzy i niepowodzenia śmiało szli naprzód po zdobycie palmy zwycięstwa.

Jako dowód, przytoczymy choć skrócony szereg artystów, którzy są dziećmi szlachetnej zasady pomocy własnej, angielscy malarze: Reynolds, Wilson i Wilkin, byli synami wiejskich kaznodziejów, Benjamin West synem wieśniaka, Turner synem cyrulika, James Barry w młodości służył jako chłopiec okrętowy. Z Włochów wymieniamy: Salvatora Rosę, który dość długo przemieszkował w górach z bandytami, Giotta—pasterza, Tintoreta—farbiarza, Zingarelli—cygana, Canovę—kamieniarza, braci Carracci, z których jeden tarł farby, a drugi był cieślą w Watykanie. Pomiedzy malarzami niemieckimi znajdujemy następujące przykłady: Albrecht Dürer był synem złotnika, i tem samem rzemiosłem trudnił się ojciec Wilhelma Kaulbacha; ojciec Łukasza Kranacha wyrzynał formy, Jakób Carstens był synem młynarza, Henryk Tischbein—piekarza, Jan Schraudolph synem tokarza i w młodości sam uczył się tego rzemiosła; ojciec rzeźbiarza Daniela Burgschmiet był ubogim kamieniarzem; Krystyan Rauch, twórca pomnika Fryderyka Wielkiego w Berlinie, długi czas był kamerdynerem królowej Ludwiki, której szlachetna piękność natchnęła go do pierwszej pracy—biustu zmarłej królowej i całe życie pozostała dlań ideałem.

Z polskich malarzów, Orłowski był synem oberżysty, sławny rytownik i sztycharz Oleszczyński oraz nieżyjący jego brat Władysław rzeźbiarz, urodził się z ubogich mieszczan w Kaźmierzu dolnym nad Wisłą. Szermentowski malował długi czas szyldy i t. d.

Większość tych mężów, a liczba ich dałaby się łatwo powiększyć—dosięgła stromych wierzchołków sztuki, nie bez mozolnej walki z przeciwnościami. Nie wznosili się oni szczęśliwym wypadkiem, ale każdy krok na drodze postępu okupywać musieli odwagą i ciężką pracą. A chociaż niektórzy z nich doszli do dobrobytu, chęć zarobku nigdy nie była sprężyną ich działań artystycznych. Nigdyby zwykła żądza bogactw nie nauczyła ich znosić dolegliwości, często przez całe życie towarzyszących apostołom sztuki. W roz-

koszy tworzenia, w dążeniu do doskonałości znajdowali największą i najmilszą nagrodę; zapłata za ich utwory służyła tylko do oddalenia ciężkiej troski życia powszedniego. Nie jest prawdziwie powołanym, poświęconym kapłanem sztuki, kto pracuje tylko dla zarobku, podobny do kramarzy wypędzonych przez Chrystusa ze świątyni.

Michał Anioł zapytany raz, co myśli o pewnym obrazie wykończonym z wielką troskliwością ale tylko dla materialnej korzyści, odpowiedział: „Sądzę, że twórca jego całe życie pozostanie rzemieślnikiem, jeżeli tak dalej będzie się ubiegał za bogactwami.“

Zarówno jak Joshua Reynolds, Michał Anioł wysoko cenił potęgę pracy. Sam należał do rzędu artystów najwięcej twórczych, jacy kiedykolwiek żyli. Pracował jednak przecięciowo dziennie o kilka godzin dłużej, jak większość społecznych mu artystów, a tę nadzwyczajną łatwość pracowania przypisywał wstrzemięźliwemu sposobowi życia. Przez większą część dnia spożywał tylko nieco chleba i wina. Bardzo często pracował w nocy przy świecy przymocowanej do hełmu papierowego, który nosił na głowie. Jeżeli praca zanadto go znużyła, rzucił się w ubraniu na łóżko, gotów powrócić do niej po kilkogodzinne wytchnienie. Michał Anioł posiadał w swej pracowni wyrzeźbiony symbol alegoryczny, drogi mu niezmiernie, a wyobrażający starca na wózku z klepsydrą i napis: „*Ancora imparo*—zawsze jeszcze nie jestem doskonały!“ Jak sumiennym był w każdej rzeczy ten wielki malarz, snycerz, architekt i poeta, dowodzi okoliczność, że samej anatomii poświęcił dwa naście lat nauki.

Droga do mistrzostwa w sztuce wije się zawsze po ścieżkach pracy i mozolów, chociażby nawet gwiazda talentu była przewodniczą. Zdarzało się, że niekiedy talent objawił się bardzo wcześnie; a życie wielu znakomitych artystów dowodzi uderzająco tej przedwczesnej dojrzałości. Tak opowiadają o malarzu Beniaminie West, że będąc chłopczykiem 7-letnim, siedział przy kolebce dziecka swojej siostry, kiedy nagle uderzony niezwykłą pięknnością niemowlęcia, spieszenie skopiował na kawałku papieru prześliczną jego główkę. W tem objawiło się jego powołanie, od którego później nic nie zdołało go odciągnąć. Richard Wilson w młodości swojej węglem malował postacie ludzi i zwierząt na drzwiach domu ojcowskiego. W początkach

swego zawodu był malarzem portretów. Ale zdarzyło się, iż podczas pobytu we Włoszech odwiedził sławnego malarza Zuccarelli, a nie zastawszy go w domu, na przygotowanym papierze wykonał rysunek okolicy. Kiedy powrócił gospodarz, zachwycony został pracą Wilsona i usilnie mu radził, aby się koniecznie oddał malowaniu pejzażów, zapewniając o wielkiem powodzeniu w tym rodzaju. Wilson usłuchał rady, usilnie pracował i stał się pierwszym pejzażystą angielskiej szkoły.

Potrzeba całego zapалу, jakim był ożywiony francuski malarz Claude Lorrain, aby wytłumaczyć świetne jego powodzenie jako pejzażysty. Okoliczności, wśród których powitał światło dzienne, były wcale nieprzychylnie rozwojowi artystycznego geniuszu. Urodzony w Château de Chamagne w Lotaryngii z ubogich rodziców, bardzo wcześnie — jak powiadają — oddany został na naukę do piekarza. Wkrótce potem, straciwszy rodziców, udał się do brata snyderza. Tam obudził się jego pociąg do malarstwa, a jakiś podróżny miłośnik sztuki, który to spostrzegł, wymógł na bracie Klaudyuszu, że pozwoli młodzieńcowi towarzyszyć mu w wycieczce do Rzymu. Klaudyusz pojechał i po rozmaitych ciernistych przejściach znajdujemy go w pracowni Agastino Tassi, znanego włoskiego pejzażysty. Tam dopiero zaczął poważnie pracować nad sztuką. Zjednaawszy sobie imię, objechał Włochy, Francję i Niemcy, zatrzymując się w rozmaitych miejscowościach w celu zdejmowania widoków i zarazem dla napełnienia pracą próżnego worka. Powróciwszy do Rzymu, zastał dzieła swoje więcej poszukiwane niż sądził, i od tego czasu poświęcił się wyłącznie i na zawsze malowaniu krajobrazów. Niezmęczony w studyowaniu natury pod każdą postacią, większą część czasu przepędzał na studyach z przyrody, na kopiowaniu zabudowań, pól, drzew, liści i innych przedmiotów w tym rodzaju, które wykończył z wszelkimi szczegółami i zatrzymywał dla siebie jako zapas materyałów do obrazów większych rozmiarów. Zwracał też wielką uwagę na stan nieba; całe dnie przechodziły mu na wpatrywaniu się i notowaniu rozmaitych zmian zachodzących w ciągu dnia, w skutek zmienności rozłożenia światła o różnych godzinach. Wytrwałością w pracy nabył powoli ale na zawsze wprawę ręki i pewność oka, które później zjednały mu pierwsze miejsce między pejzażystami francuskimi. Joshua Reynolds, będąc jeszcze

dzieckiem, zaniedbywał szkolne ćwiczenia i zajmował się tylko rysunkiem, za co często lajany był przez ojca. Z woli i życzenia rodziców miał zostać lekarzem, nie jednak odwieść go nie mogło od zamiłowania do sztuki i został malarzem. Rafael Sanzio w wieku dzieciennym okazywał już zarody przyszłej swej wielkości, które ojciec, jako także malarz, pielęgnował z całą troskliwością, przekonany, że kiedy skłonności człowieka biorą początek w dzieciństwie, wychowanie nadające im kierunek powinno rozpocząć się jak najwcześniej. Zamiast zabawek, mały Rafael otrzymywał malarskie narzędzia ojca. W dziewiątym roku życia Rafael już tak dalece postąpił w sztuce, że ojciec jego nie wahał się wypowiedzieć, iż nadal niepodobna mu już być nauczycielem swego syna. Równie troskliwą opieką w dzieciństwie cieszył się Albrecht Dürer, znakomity malarz niemiecki. Ojciec uczył go rysunku zanim nauczył pisać i czytać. Często dla zabawki rysował części ciała ludzkiego i całe figury, albo też od ręki kreślił proste linie i regularne koła, do których wykonania używa się zwykle pomocy liniału albo cyrkla. Do dnia dzisiejszego zachowują jego własny portret, jaki mając lat trzynaście wykonał, przypatrując się sobie w lustrze.

Znakomity rzeźbiarz włoski Canova, w młodości swojej pracował jako murarczyk w pałacu rodziny Falieri. Pewnego razu urządzono tam niespodzianie wspaniałą ucztę; kucharz dworski nieprzygotowany, przypomniawszy sobie, że brakuje mu środkowej zastawy do wetów, wpadł w rozpacz gorzko się żaląc przed księciem. Ale nikt nie umiał mu poradzić, a czasu pozostawało zaledwie pół godziny. „Gdyby tylko mnie posłuchano,“ odezwał się nieśmiało głos jakiś, „znalazłbym może na to sposób.“ Wszyscy zwracają się ku małemu Canovie, który zaglądając ciekawie do kuchni, posłyszał skargi kucharza i zaraz ofiarował się wyprowadzić go z kłopotu. Księżę, pan zamku, któremu podobala się otwarta i wyrazista twarz młodego ogłopca, zezwolił na jego żądanie. Czas podania wetów nadchodzi i ciekawość gości uwiadomionych o wszystkim przez księcia dosięga najwyższego stopnia. Nakoniec przynoszą zasłonięty półmisek i stawiają go przed gospodarzem. Zdejmują serwety i słychać zewsząd okrzyk podziwienia na widok prześlicznego lwa, uformowanego z masła.

„Brawo, brawo!“ zawołano naokoło stołu, „gdzie jest

murarczyk?" „Gdzie jest artysta!" woła ksiązę. Za otyłym kuchmistrem spostrzeżono ładnego małego Antonia, pomieszanego i czerwonego, ale spoglądającego nie bez pewnej dumy artystycznej. Taki był początek nieśmiertelnego zawodu Canovy. Ksiązę zajął się nim od tej chwili i odwiózł go do Wenecyi, gdzie kazał go kształcić u pierwszorzędnym mistrzów.

William Hogarth, którego dzieła znane nam są ze sztychów, w szkole już malował rozmaite ozdobne litery, a jego wypracowania szkolne odznaczały się raczej ozdobami pisania, jak wewnętrzną wartością. Ojciec oddał go na naukę do złotnika, gdzie William mało się nauczył, bo cała robota jego zasadzała się na ryciu herbów i nazwisk. Rytowanie na srebrze doprowadziło go do spróbowania rytowania na miedzi. Od tego czasu opracowywał tytuły książek i herby z gryfami i innymi bajecznymi potworami. W czasie tych zajęć, stopniowo rozwijała się w nim skłonność odtwarzania w obrazach rozmaitych charakterów i namiętności ludzkich. Łatwość do jakiej Hogarth doszedł w tym kierunku, łatwość jemu tylko właściwa, była przede wszystkim wynikiem troskliwych studyów i obserwacji. Posiadał dar wysoko wydoskonalony zachowania z najmniejszymi szczegółami rysów jakimkolwiek charakterem napiętnowanej twarzy, i mógł ją później odrysować z pamięci. Jeżeli mu się zdarzyło napotkać głowę szczególnie komiczną albo fantastyczną, szkicował ją na miejscu, na paznokciu wielkiego palca, a przy okazji szkic ten zużytkował. Wszystko dziwaczne albo komiczne miało dla niego siłę niezwykle przyciągającą i dlatego bywał w najbrudniejszych szynkach, aby tylko studyować tam grę twarzy ludzi poruszonych namiętnością. Ten rodzaj studyów postawił go w możności rozwijania w utworach swoich niezmiernego bogactwa myśli i spostrzeżeń. Z tego wynika, że rysunki Hogartha są wiernym odbiciem współczesnych charakterów, obyczajów a nawet myśli. „Prawdziwej sztuki malarstwa," zwykł był mawiać, „można się nauczyć tylko w jednej szkole, szkole natury." Hogarth oprócz fachowego, nie posiadał innego wykształcenia. W szkole nauczył się zaledwie jako-tako czytać i wykształcenia naukowego musiał później dopełniać własną pracą. Długi czas żył w bardzo przykrem położeniu. To nie przeszkadzało mu jednak pracować wesoło nad własnym wydoskonaleniem.

Chociaż ubogi, tak umiał się zastosować do swoich dochodów, iż z dumą wspominał o tem, że zawsze był punktualnym płatnikiem.

Niemniej szczególnym był początek artystycznego zawodu sławnego na całą Europę karykaturzysty polskiego, Aleksandra Orłowskiego. Urodził się w 1777 r., a ojciec jego utrzymywał dom zajezdny w Siedlcach. Zdarzyło się, iż ks. Czartoryska w przejeździe do ks. Ogińskiej właścicielki Siedlec, w oberży podmiejskiej spoczęła, i wtedy mały chłopczyk syn gospodarza oberży zasmolony i zabrukany zwrócił uwagę dostojniczki. Zabrukane chłopczyzny pochodziło stąd iż rodzice nastarczyć mu nie mogli sukienek, wałał się bowiem węglami będącymi dla niego wówczas jedynymi narzędziami rysunkowymi. Wszystkie białe ściany domu pełne były jego rysunkowych utworów, w których przebijał się spryt odtwarzania zarysów z natury uchwyconych, za co się ojciec nie mało na niego gniewał. Księżna obejrzawszy dzieła improwizowanego artysty, zawyrokowała, że jest w nim zdolność; a że dawni panowie mieli przynajmniej to dobrego i co ich różni od dzisiejszych, że lubili i uważali za obowiązek protegować zdolności, więc księżna postanowiła wziąć w opiekę młodego Orłowskiego. Rodzice, lubo niechętnie rozstawali się ze swoim swawolnikiem, przecież taka była powaga księżnej, iż nie śmieli się jej w niczem sprzeciwić. Aleksander kosztem tej pani umieszczony został w Warszawie w pracowni malarza Norblina, wcale zdolnego pejzarzysty. Młody jednak Orłowski odznaczał się wesołym usposobieniem, wcale niekwadrującym ze spokojem Norblinowskiej pracowni. Tysiączne figle, którym zawsze przewodził, wykazały już wcześniej jego żyłkę charakteru, oraz zdolności do karykaturowania czyli chwytania wszystkiego ze śmiesznej strony. Poduczony cokolwiek Orłowski, w roku 1794 zamienił ołówek na pałasz, a ta okoliczność, ułatwiająca mu dokładne zapoznanie się z obozowym żołnierskim życiem, stała się potem źródłem niewyczerpanych dla niego szkiców, z których tryska istotna zdolność. Powróciwszy z wyprawy, znowu udał się do Norblina, ale figle, które przebaczał szanowny malarz chłopięciu, nie uchodziły płazem młodemu wojakowi artyście. Wkrótce więc sprzeczka a potem kłótnia rozdzieliły ucznia z mistrzem, a zarazem osiągnęły dla pierwszego fatalne skutki, pozbawiając go opieki i zasilków od możnych protektorów, na których ówczesny byt artystów spoczywał. Pogنیwany

więc z tym światem, powziął dziwaczną myśl zostania skoźkiem. Jakoż wszedł do bawiącej wówczas w Warszawie trupy Chiariniego.

Z tej epoki posiadamy przepyszny jego szkic, wyobrażający pochód kawalkady, w której siebie skarykaturował, jako siedzącego na koniu z wielkim bębniem i przywołującego ludzi na sztuki łamane. Wkrótce jednak Orłowski zrozumiał, że nie tu jest pole dla jego talentu, powrócił więc do swoich rysunków, do swych szkiców ołówkowych i genialnych karykatur. Wesołość i dowcip towarzyszyły mu ciągle, a swobodne życie ułatwiała praca. Rysunki jego rozchwytywano w lot, a towarzystwo warszawskie dostarczało mu ciągłego materiału. Nie było głośniejszej osobistości, wybitniejszego wypadku publicznego, ploteczki, którejby nie ośmieszył swym pełnym satyry ołówkiem. Ale sfera żołnierskich szkiców, karykatury żydów i chłopów, udawały mu się najlepiej pozostałą szczytą jego artystycznej działalności. Po kilkunastu latach pobytu w Warszawie udał się do Petersburga, gdzie talent jego wysoko oceniono, gdyż akademія przyjęła go w grono swych członków, a prace z rąk do rąk sobie wrywano. Najwięcej jednak ołówkowe jego szkice cenione są w Anglii, gdzie ten rodzaj karykatur najlepiej odpowiada usposobieniu zbieraczy. Umarł Orłowski w Petersburgu 1832 r.

Romantycznym i awanturnikiem było życie Benvenuto Cellini, zdumiewającego złotnika, malarza, rzeźbiarza, rysownika, inżyniera i literata. Historia jego życia, spisana przez niego samego, jest tak nadzwyczajną, że trudno o drugą podobną. Giovanni Cellini, jego ojciec, był muzykiem na dworze Wawrzeńca Medyceusza we Florencji i najmilszym jego marzeniem było wykierować syna na biegłego flecistę. Ale Giovanni utracił miejsce i zmuszony porzucił na rzemiosło dla swego syna oddał go do złotnika. Benvenuto, który dawniej już okazywał wielkie zdolności do rysunku, przykładał się szczerze do nowego zajęcia i wkrótce stał się biegłym robotnikiem. Wmieszany jednak w kłótnię i wygnany na sześć miesięcy, przepędził je u innego majstra w Siennie, gdzie wydoskonalił się w sztuce złotniczej i jubilerskiej. Ulegając ojcu, którego życzeniem zawsze było widzieć syna skończonym flecistą, Benvenuto pracował dalej nad tym instrumentem, chociaż go w głębi duszy nienawidził. Za to z całym zapalem oddawał się ry-

sunkowi. Powróciwszy do Florencji, starannie studiował dzieła Leonarda da Vinci i Michała Anioła, a dla wydoskonalenia się w sztuce złotniczej, przedsięwziął pieszą podróż do Rzymu, doznając po drodze rozlicznych przygód. Wkrótce powrócił do Florencji, poprzedzony sławą najbieglejszego mistrza w obrabianiu drogich metali; dzieła jego były też nadzwyczaj poszukiwane i cenione. Ale gwałtowny temperament Celliniego był przyczyną, że częste zatargi zmuszały go do walk lub ucieczki; takim sposobem zniknął z Florencji przebrany za mnicha i schronił się do Sienny, z kądem później znowu dostał się do Rzymu.

W Rzymie Cellini znalazł potężnych protektorów i wstąpił w służbę papieżką w dwojakim charakterze, złotnika i flecisty. Studiował ustawicznie i doskonalił się obznajmiając z dziełami największych mistrzów. Oprawiał brylanty, poprawiał emalie, rytował pieczęcie, rysował i wykonywał rozmaite utwory ze złota, srebra, brązu, a wszystko to stylem, którego żaden artysta osiągnąć nie był w stanie. Słyszając o złotniku sławnym w jakiegokolwiek gałęzi tej sztuki nie miał pokoju póki go nie przewyższył. Wkrótce doszedł do tego, że mógł współzawodniczyć z jednym w medalach, z drugim w emaliowaniu, z trzecim w osadzie brylantów, tak iż śmiało powiedzieć można, że w każdej gałęzi sztuki swojej był mistrzem.

Ożywiony takim duchem, nie dziwnego że Cellini wykonał tyle utworów. Był to człowiek niesłychanie czynny. Podróżował wiele. Znajdujemy go to we Florencji, to w Rzymie, Mantui, później w Rzymie, w Neapolu, znowu w Florencji z kądem udaje się do Wenecji, a zamtąd do Francji. Odbываяc tak odległe podróże konno, nie mógł zabierać wielu pakunków, to też osiadłszy gdziekolwiek, zaczynał od fabrykowania sobie narzędzi. Wzory swoje nie tylko rysował, ale sam je wykonywał: kuł je, rzeźbił, lał i modelował własnymi rękami. I rzeczywiście utwory jego tak widoczne noszą na sobie piętna geniuszu, że nie mogłyby być rysowane jedną a wykonywane drugą ręką. Najmniejsza drobnostka: klamra, pieczęć, spinka do kapelusza, albo pierścioneł w rękę jego stawiały się arcydziełami sztuki.

Przytaczamy znakomity przykład biegłości Celliniego jako robotnika. Będąc u złotnika Rafaela del Moro, zobaczył chirurga zabierającego się do operacji, a spojrzenie rzuczone przypadkiem na instrumenta, wystarczyło mu do

należytego ich ocenienia. Poprosił chirurga a'by wstrzymał operację na kwadrans, pobiegł do swego warsztatu i w przeciągu tego czasu wykończył nóż przepyszny, przy pomocy którego operacja najszcześliwiej się udała.

Pomiędzy posągami dłuta Celliniego najważniejszymi są: Jowisz ze srebra wykonany w Paryżu dla Franciszka I i Perseusz z brązu dla wielkiego księcia Kosmy Medyceusza we Florencyi. Pozostawił także marmurowe posągi Apolina, Hiacynta, Narcyza i Neptuna.

Ary Scheffer urodzony w Dordrecht w Holandyi, syn niemieckiego artysty, wcześniej także okazywał zdolności do rysunku i malarstwa, a dary ducha rodzice jego starali się w nim rozwinąć. Dieckiem jeszcze utracił ojca, ale matka postanowiła pomimo szczupłych funduszy przenieść się do Paryża, aby syn jej mógł tam odbywać swoje studia artystyczne. Potrzebując czasu na spieniężenie niewielkiego mająteczku, umieściła tymczasowo młodzieńca w zakładzie naukowym w Lille.

Podczas pobytu w tem mieście, Ary odbierał od niej listy, w których rady rozsądne i poważne, przeplatają wyłewy żywej i wzruszającej miłości macierzyńskiej. „Gdybyś mnie mógł widzieć — pisze w jednym z tych listów, — jak ze łzami całe godziny wpatruję się w twój portret, mój synu kochany! czułbyś wtedy ile mnie kosztuje ton poważny, jaki kreśląc te wyrazy do ciebie przybieram i kilka chwil smutku, jakie ci to sprawi. Zawsze mam nadzieję, że kiedyś ujrzę cię najznakomitszym malarzem wieku, a może i ludzkości... Pracuj wytrwale, ukochana skromność nadewszystko, a kiedy będziesz mógł powiedzieć sobie, że przewyższasz innych, wtedy porównaj prace twe z naturą i ideałem przez siebie wymarzonem, a porównanie to przeszkodzi ci oddać się dumie i zarozumieniu”. Nadzieje matki co do przyszłej wielkości syna zostały urzeczywistnione; wpływała na to zapewne i ona w wielkiej części, dając przykład szlachetnej siły, czułości i czystości charakteru. Pewnem jest, że matka była natchnieniem całego życia Ary Scheffera. W Paryżu, Scheffer był uczniem Piotra Guérin malarza; ale fundusze matki nie pozwalały na całkowite oddanie się studjom, trzeba było malować dla handlujących obrazami. Matka, która odmawiała sobie wszystkiego, sprzedawała ostannie kosztowności dla kształcenia innych swoich dzieci. W takich okolicznościach, Ary starał się przyjść jej w po-

moc, malując wielką liczbę małych obrazków, na które nie nakładając cen zbyt wysokich, zawsze znajdował kupców. Probowal także malować portrety i takim sposobem zarabiając uczciwie na życie, nabył koniecznego doświadczenia. Szybko postąpił w rysunku, kolorystyce i kompozycyi. Obraz przedstawiający Chrzest rozpoczął w życiu jego nową epokę i był punktem, z którego Ary Scheffer zaczął się wznosić do szczytu sławy, do jakiej doszedł malując Fausta i Małgorzatę, Franceskę z Rimini, Chrystusa Pocieszyciela, Święte niewiasty i tyle innych wspaniałych utworów.

„Siła myśli, pracy i uwagi — powiada Mistress Grote w swoich pamiętnikach o życiu Ary Scheffera — jaką ten malarz włożył w wykonanie swojej Franceski z Rimini, musiała być niezmierną. Wykształcenie jego artystyczne pozostało tak niedoskonałe, że zmuszony był wszystko wytwarzać z siebie, a przytem ręka jego i umysł bezustannie pracowały. Obrabiał swoje temata w rozmaity sposób, czynił doświadczenia nad kolorami, malował i przemalowywał z nieustającą i niezmqęconą wytrwalością. Szczęściem natura obdarzyła go przymiotami, które wynagrodziły w części błędy jego wychowania fachowego. Szlachetność charakteru i czułość, pozwoliły mu oddziaływać swemi utworami na uczucia drugih. Sam niejednokrotnie powtarzał: „Aby być artystą, trzeba mieć w duszy wzniosłe uczucie, albo silną wiarę — zasługujące na wypowiedzenie językiem, którym zarówno może być poezya jak proza, muzyka jak rzeźba albo malarstwo”.

Pomimo niektórych niedoskonałości, Ary Scheffer zostanie zawsze malarzem głębokiej boleści, pocieszycielem zwątpiałych i zrozpaczonych, przyjacielem dusz co przechodziły walkę życia. Francya i Niemcy złożyły się na geniusz Scheffera. Niemcy dały mu swoją rozagę, badawczość i wytrwalość, Francya zapal, miłość życia, uczucie ważności chwili; a do tych skarbów Scheffer dołączył głęboką wiarę, owoc pracy całego żywota”.

Artystą, którego Scheffer najwięcej cenił — był Flaxman i pewnego dnia mówił do przyjaciela: „Jeżeli przez nieuwagę zapożyczyłem czego do mojej Franceski, to chyba tylko z rysunków Flaxmana”.

Mówiąc o zasługach Josiah Wedgwooda co do uszlachetnienia smaku w wyrobach glinianych, wspominaliśmy już że pomagał mu w tem John Flaxmann, jako dzielny

i uzdolniony współpracownik. Zawód tego człowieka, którego Anglia słusznie zalicza w poczet pierwszorzędných swych przedstawicieli sztuki, jest tak nauczający a przytem tak nadzwyczajny, że nie wahamy się pomieścić obszerniejszy jego życiorys.

Flaxmann był synem ubogiego handlarza figurami gipsowemi i w wieku dzieciennym do tego stopnia znękany został chorobami że zazwyczaj siedział w poduszkach w sklepie swego ojca, gdzie przepędzał czas na czytaniu albo rysowaniu. Jednego razu, zastał go w takim stanie w sklepie pewien duchowny, a widok pilnie czytającego chłopca obudził współczucie; przybliżywszy się więc spytał łagodnie co czyta. John podał mu książkę: był to Cornelius Nepos. Nieznajomy rozpoczął rozmowę z bladym chłopcem, zauważył że niewłaściwa książka do rąk mu się dostała i obiecał przynieść inne, któreby młodzieńcowi dały więcej przyjemności. I dotrzymał słowa. Przyniósł więcej książek: a między innemi Homera i hiszpański romans „Don Quixote”, które, że tak powiemy, całkiem pochłonięły Flaxmana. Wkrótce dusza jego przepełniona była poezją, jaką oddychają bohaterkie poematy wielkiego greckiego pieśniarza. Gipsowe figury Achillesa i Ajaksa martwe dotychczas, teraz ożyły dla niego życiem gorącym i w piersi jego rozbudziły pragnienie poetycznego odtworzenia bohaterów boskiej Odyssei i Iliady. Z czarną kredą w ręku, męczył się rozpaczliwie nad odtworzeniem w obrazach czynów Trojan i Greków.

Pierwsze próby młodego Flaxmana były jak każde początki, surowe co do pojęcia i co do wykonania. Ojciec pewnego dnia z dumą pokazał je snycerzowi Roubilliac, który zaledwie spojrzawszy, pogardliwie się odwrócił. Takie przyjęcie powinno było zrazić młodzieńca, ale Flaxmann posiadał wytrwałość i cierpliwość; niezmordowanie dalej czytał, rysował i próbował modelować z gipsu i wosku. Tymczasem zdrowie jego coraz się polepszało. Upłynął czas niemały zanim nauczył się chodzić o kulach, przybywające przecież siły pozwoliły wreszcie na odrzucenie kul i nakoniec mógł się swobodnie poruszać i zajmować się ulubionemi czynnościami. Zaczynał pastor, nie spuszczał z oczu pracowitego chłopca. Zaprosił go do siebie, gdzie mu wysokiego wykształcenia żona pastora objaśniała Homera i Miliona. Zaczni ci ludzie, uczyli także Flaxmana greckiego i łacińskiego języka, nad którymi i sam w domu szczerze pracował.

Pod kierunkiem opiekuna, Flaxmann próbował znowu odtwarzać ołówkiem obrazy poetyczne, które go najwięcej zajęły. Ale szkice te nosiły na sobie takie piętno nieudolności, że jeden z malarzy, któremu pokazał rysunek oka, z udanem zadziwieniem zapytał: „Czy to przedstawia ostrzygę?” Flaxmann uczul ten przygryzek głęboko i od tego czasu nie pokazywał nikomu swoich utworów. Podwoił tylko usiłowania i w krótkim czasie do tego stopnia się wydoskonalił w rysunku, że za pośrednictwem pastora, zamówiono u niego sześć obrazów czarną kredą z tematów Iliady. Młody artysta oprócz zasłużonych pochwał za udatne wykonanie, otrzymał jeszcze sówitą zapłatę.

W 15 roku życia, Flaxmann został uczniem akademii królewskiej. Chociaż bardzo ostrożny w obejściu, wkrótce wyrobił sobie znaczenie u współkolegów, którzy przepowiadali mu znakomitą przyszłość. I nie pomylili się w zdaniu, bo już w pierwszym roku Flaxmann otrzymał medal srebrny, a w drugim wystąpił jako kandydat do złotego medalu. Każdy wróżył mu zwycięstwo, widząc jak Flaxmann przewyższa wszystkich pracą i dzielnością. Młodzieniec wyteżył ku temu wszystkie siły, nie otrzymał jednak medalu. Ale zawód zamiast go zniechęcić był mu zbawiennym, należał bowiem do liczby tych ludzi niezwykłych, którzy po każdym upadku wznoszą się silniejsi niż kiedykolwiek. „Pozwól mi pracować — mówił do ojca, — a ja wystąpię z dziełami, które akademia uzna za dumą”.

Pracował gorliwiej jeszcze — jeśli podobna było pracować gorliwiej — nad wykształceniem artystycznym, które też coraz się więcej rozwijało. Pośród tych usiłowań, nęda i niedostatek nawiedziły jego rodzinę. Handel figurami gipsowemi wystarczał zaledwie na opędzenie najniezbędniejszych potrzeb życia. Z szlachetnem zaparciem się siebie, Flaxmann ograniczył swoje studia, aby pomagać ojcu w staraniach około utrzymania rodziny. Zaczynał syn chętnie zamienić akademię na warsztat, z radością spełniał najniższe posługi, aby tylko dopomódz swoim i zapobiedz nie-szczęściu. W tym celu pracował długi czas, ale nie z własną szkodą ale z pożytkiem, bo w twardej tej szkole nauczył się pracować bezustannie, wyrobił w sobie cierpliwość, siłę opierania się przeciwnościom, które to przymioty przydały mu się w chwilach walk dalszego życia. Pod tę porę zasłynął Wedgwood, a z nim nadeszła pomoc w najokropniejszej

ędzy. Słyszał on o biegłości Flaxmana w rysunku i zamówił u niego wzory i obrazy do swoich naczyń. Przed wystąpieniem Wedgwooda, ozdoby glinianych i porcelanowych naczyń były szkaradne, tak co do pomysłu jako też i wykonania. Zamiarem Wedgwooda było przetworzyć i ulepszyć te wyroby z gruntu. Odszukawszy Elaxmana, tak do niego przemówił: „Mój chłopcze, słyszałem że dobrze szkicujesz i jesteś dzielnym rysownikiem. Ja jestem garncarzem, nazwisko moje jest Wedgwood. Pragnę mieć kilka wzorów — niefantastycznych ale prostych, gustownych a nadewszystko poprawnie wyrysowanych. Zapłacę dobrze. Czyż pracę taką uważałyś za niedogodną siebie?” „Wcale nie, odpowiedział Flaxmann, zajęcie to jest nawet dla mnie bardzo pożądanem. Dajcie mi cokolwiek czasu na przygotowanie niektórych rzeczy, a prace moje osądzicie sami”. „Dobrze więc, zaczynaj coprędzej, ja zaraz spożytkuję twoje rysunki. Potrzebuję wzorów rozmaitego rodzaju: na garnki, dzbany, filiżanki i podstawki, ale najpotrzebniejsze mi są modele serwisów stołowych. Zaczynaj od tego. Zamyślam dostarczyć serwis na stół królewski, pamiętaj więc o tem młodzieńcze, że to co teraz wyrysujesz oglądać będą oczy możnych!” „Uczynię co będzie w mojej sile, możecie liczyć na to”. Flaxmann dotrzymał słowa. Przy powtórnych odwiedzinach Wedgwooda, przedstawił mu obfity wybór wzorów. Składały się one po większej części z małych grup, do których treść wzięta była z Homera albo z historyi starożytnej. Z przepysznych wazonów etruskich, znajdujących się w muzeach publicznych i gabinetach miłośników sztuki, zapożyczył wielką rozmaitość form szlachetnych, które użył do oddania własnych pomysłów. Flaxmann pracował dla Wedgwooda z wewnętrzną radością; bo rozumiał dobrze że pracuje nad ważnem dziełem, nad uszlachetnieniem smaku całego narodu. Później z dumą spoglądał na prace swojej młodości, które pozwoliły mu zadosyć uczynić własnym pragnieniom estetycznym i w narodzie rozpowszechnić zamiłowanie do sztuki. Pomagając jednocześnie zabiegom przyjaciela i dobroczyńcy, pracował dla siebie i swojej rodziny. Zajęty takimi czynnościami, Flaxmann wiódł życie spokojne, skromne; we dnie rysował, a wieczór zapełniał studjami nad sztuką. Tworzył nawet rzeźby; ale dla braku środków modelował je tylko z gipsu. Wystawił jeden posąg marmurowy na zamówienie.

W 27 roku swego życia, Flaxmann opuścił dom rodzicielski i najął sobie małego domek, gdzie założył pracownię i ożenił się z Anną Denman, kobietą pełną serca, energii i szlachetności. Wierzył że rozpocznie pracę z większą energią, z żywszą ochotą, jeśli wybrana będzie pomocą; bo jak on posiadała zamiłowanie do sztuki i uwielbiała geniusz swego męża. Ale Joshua Reynolds, ówczesny prezydent akademii, był jako bezzenny zupełnie innego zdania. Spotkawszy Flaxmana wkrótce po ożenieniu, powiedział mu: „Flaxmann, mówiono mi żeś się ożenił; jeżeli to prawda, to jesteś stracony dla sztuki”. Flaxmann wrócił do domu i siadając obok żony rzekł z przyciskiem: „Anno, już ze mnie nie będzie artysta”. „Jak to? Co się stało, co za przyczyna?” „Stało się w kościele, a przyczyną jest Anna Denman”. Opowiedział jej rozmowę z Reynoldsem, który twierdził: że artysta powinien cały swój czas wyłącznie poświęcić studyowaniu sztuki, a oprócz tego nikt nie może się nazwać artystą, kto nie studyował wzniosłych utworów Rafaela i Michała Anioła, pod klasycznym niebem Italii. Wszystko to młodzi małżonkowie rozważyli. „A ja, mówił Flaxmann, chciałem zostać artystą”. „I zostaniesz nim, zapewniła Anna i pojedziesz do Rzymu, jeżeli bez tego nie możesz zostać artystą”. „Ale zkąd środki do tak dalekiej podróży?” — pytał Flaxmann. „Praca i oszczędność pozwoli nam dojść do nich” — odrzekła zacna kobieta. „Nikt nie powie, że przez Annę Denman, mąż jej został straconym dla sztuki”. — Zdecydowali więc oboje odbyć podróż do Rzymu jak tylko środki materyalne na to pozwolą. „Pojadę do Rzymu rzekł Flaxmann i dowiodę prezydentowi, że stan małżeński nie psuje artysty, ale go podnosi, a ty Anno będziesz mi towarzyszyć”.

Pięć lat przeżyli w małym domku zanim postanowienie to mogło być wprowadzonym w życie. Nadzieja podróży do Rzymu pokrzepiała i wzmacniała ich do coraz nowych usiłowań, a każdy grosz zaoszczędzony, pilnie odkładali do funduszu przeznaczonego na drogę. Słowkiem żadnem nie objawili swego zamiaru, nie starali się o wsparcie od akademii, a dojdęcie do zamierzonego celu postanowili przede wszystkim zawdzięczać własnej wytrwałości i cierpliwej pracy. W tym okresie swego życia Flaxmann pracował zawsze jeszcze dla Wedgwooda, za co brał dobrą zapłatę i ośmielony powodzeniem był pełen radosnych nadziei. Wszyscy

blizy mu, rodzina, przyjaciele kochali go i szanowali za skromność i rzetelność charakteru, a jak wysoko stał w opinii swych współobywateli, dowodem nierzadko powierzane mu honorowe urzędy publiczne.

Nakonec Flaxmann i żona jego zebrali oszczędności i pracą pieniądze potrzebne, i w roku 1787 udali się w drogę do Rzymu. Przybywszy tam Flaxmann, z zapalem oddał się studiom przepysznych starożytnych arcydzieł, zarabiając na życie równie jak inni ubodzy artyści, naśladowaniem antyków (arcydzieł sztuki pochodzących z czasów starożytnych). Podróżnicy Anglii odwiedzali często ziomka w jego pracowni, dając mu rozmaite zlecenia i wtedy powstały sławne jego szkice do *Odysei* i *Illiady* Homera, jako też następnie rysunki do *Eschyleśa* i *Danta*, powszechnie naśladowane później. Zapłata za to była niewielka, bo za arkusz płacono po 15 szylingów; lecz Flaxmann pracował nietylko dla zarobku ale i dla udoskonalenia się w sztuce, a szlachetna piękność jego rysunków, zjednała mu wiele przyjaciół i protektorów.

W roku 1794 Flaxmann opuścił Włochy, będąc poprzednio przyjęty za członka akademii w Karrara i Florencji, w nagrodę zasług położonych w dziedzinie sztuki. Sława poprzedziła go do Anglii, za powrotem został formalnie zasypyany zamówieniami. W Rzymie jeszcze ukończył sławny pomnik, poświęcony pamięci Lorda Mansfilda, który wkrótce po jego powrocie ustawiony został w północnym skrzydle opactwa Westminster. Flaxmann nie mógł wznieść godniejszego pomnika swemu geniuszowi, jak to dzieło szlachetne i wielkie, które z taką powagą i prostotą, nosabia myśl wzniosłą. Snycerz Banks będący natenczas u szczytu sławy, gdy po raz pierwszy zobaczył ten pomnik, zawołał: „Ten mały człowiek wszystkich nas przewyższy!”

Akademia królewska, która niezbyt szlachetnie obeszła się z nieznanym Flaxmanem, pośpieszyła teraz sławnemu niegdyś uczniowi, wynagrodzić spóźnione uznanie; wybrała go na członka i mianowała profesorem rzeźby.

Niktby tego nie przepowiedział chorowitemu, małemu chłopcu, którego studia zaczęły się za kantorem biednego handlarza figur gipsowych? Teraz był to mąż wysokiej nauki, artysta pierwszorzędny i jako profesor rzeźbiarstwa miewał odczyty w akademii królewskiej dla chciwej nauk

młodzieży. I nikt zaprawdę godniejby nie zajmował tak ważnego stanowiska, jak John Flaxman; bo nikt nie posiadał większego powołania do nauczania drugich, jak ten, kto osobistemi usiłowaniami i bez obcej pomocy, nauczył się walczyć i pokonywać trudności. Flaxman rozstał się z tym światem 9 grudnia 1826 r. w sześć lat po wiernej swojej Annie.

Był on jednym z pierwszych, którzy po Winckelmanie wniknęli w prawdziwego ducha sztuki starożytnej, sprzeciwiającej się fałszywej klasycyzacji, jaka zapanowała naówczas. Studiowanie waz i fresków pompejańskich sprawadziło go z miękkej, niepewnej manieri poprzedników, do surowej prostoty tak, że słusznie uważany być może jako twórca nowożytnej płaskorzeźby.

Do biografii Flaxmana przyłączamy życiorys Jana Joachim Winckelmana. Dzień śmierci Flaxmana, był dniem jego urodzin. Wielki ten reformator gustu w sztuce i apostoł idei piękna, urodził się 9 grudnia 1717 roku w Stendal w Saksonii i był synem szewca. Sztuka nowożytna wiele zawdzięcza jego usiłowaniam i już z tego powodu, to życie pełne zajmujących i pouczających szczegółów zasługuje na uwagę. Sprytny i chciwy nauki, od dzieciństwa walczył z nędzą, idącą w parze z niedostatkiem, co nie pozostało jednak bez wpływu na ten umysł potężny, dążący do postępu. Chodził do szkoły w swoim rodzinnym mieście i tam pod kierunkiem rektora Tapperta, nauczył się gruntownie języków starożytnych. Tappert tak polubił młodego Winckelmana, że przyjął go do swego domu, a gdy później wzrok utracił, Winckelman stał się jego przewodnikiem i lektorem. W 18 roku życia uczęszczał w Berlinie do gimnazjum Kołńskiego, gdzie przez rok pozostawał. Wtedy to wybrał się w podróż do Wiednia, dla nabycia kilku najlepszych wydań starych klasyków, na licytacji po sławnym Fabrycyuszu. Pieniądze na podróż i na zakupienie książek wyprosił po drodze od szlachty, urzędników i pastorów, a na bycie książki sam przyniósł do Berlina. W 1737 roku powrócił na krótki czas do miejsca urodzenia, gdzie jako dyrygujący chórem zarabiał cokolwiek pieniędzy, które obracał na wsparcie swoich biednych rodziców. Podług ich życzenia udał się następnego roku na uniwersytet w Halli, gdzie miał studiować teologię; ale nauka ta tak mało od-

powiadała usposobieniom Winckelmana, że prawie wyłącznie poświęcił się literaturze i sztuce pięknej.

Chociaż Winckelman do tego stopnia pozbawiony był środków, że można powiedzieć całkiem żył ze wsparcia swoich kolegów, jednak dnia pewnego śmiało wybrał się w drogę do Paryża; doszedł przecież tylko do Frankfurtu nad Menem, bo gościeńce były niebezpieczne, z powodu wybuchłej pierwszej wojny szląskiej. Po dwuletnim pobycie w Halli, przyjął miejsce domowego nauczyciela u pewnej rodziny szlacheckiej i pozostawszy tam na rok cały, udał się do Jena, dla wyuczenia się medycyny i matematyki. Ale ubóstwo zmusiło go do zaprzestania tych studyów i oddania się lekcjom prywatnym. Wtedy także dla potrzeb swoich nauczył się języka francuzkiego i angielskiego. Objąwszy cokolwiek później miejsce guwernera w Heimersleben, powołany został na bakalarza w Seehausen. Do posady tej przywiązana była pensja tak szczupła, że Winckelman zmuszonym się widział prosić mieszkańców o pomoc, gdyż nie miał za co kupić obiadu; gorszą przykrością dla wzniosłego umysłu takiego męża było, że większą część czasu musiał poświęcać nauczaniu brudnych, nieokrzyszczanych chłopców, i to nauczaniu początków czytania i pisania. Jednakże silna dusza Winckelmana nie straciła odwagi i nadziei, pracował dalej z taką wytrwałością, że nawet podczas mroźnych nocy zimowych nie kładł się do łóżka, ale owinięty w futro dopiero po północy zasypiał w fotelu na cztery godziny, a przebudziwszy się pracował przy lampie do szóstej rano, o której nauki w szkole się rozpoczynały. Pięć lat przepędził Winckelman w ten sposób, kiedy zebrawszy odwagę, poprosił o jakąkolwiek posadę Sasko-Królewskiego ministra Hrabiego von Büna, który w 1748 r. umieścił go jako sekretarza przy bibliotece swojej w Nöthenitz w pobliżu Dreznia z roczną pensją 80 tal. Hrabia pracował nad historią państwa niemieckiego, a uczonego swego sekretarza, który wkrótce pozyskał całe jego zaufanie, używał do wypisywania wyciągów ze starych dokumentów i t. p. prac. Winckelman bolał po cichu nad tak suchem zajęciem i wspominał je gorzko jeszcze w szesnaście lat później, w liście pisanym z Rzymu, gdzie powiada: W Saksonii całymi dniami przepisywałem stare dokumenta, kroniki i czytałem żywoty świętych, a w nocy studyowałem Sofoklesa i jemu podobnych. Ale powtarzałem sobie ciągle jak

dotychczas: „Milcz serce! Cierpliwości! Przechodziło już cięższe próby!“

Widok skarbów malarskich nagromadzonych w pobliżu Dreznia, rozplómił serce jego gorącą miłością dla sztuki. Zaznajomił się z niektórymi artystami pracującymi w galerii, i z ich pomocą postanowił dostać się w słoneczną krainę piękną. Przekonał się jednak wkrótce, że był już za stary aby zostać mistrzem co do wykonania. Z zapalem oddał się więc historycznym i teoretycznym studyom o sztuce, przyczem wielce mu pomocnem było obcowanie ze sławnym malarzem Fryderykiem Adamem Oeser. Wskazówki jego zaznajomiły Winckelmana głębiej ze sztuką i dążnościami nadały stały kierunek do ideału pięknego, którego stał się później wymownym propagatorem

Wtedy Winckelman z upragnieniem zwrócił się do klasycznej Italii, ojczyzny sztuki. Tam, w obec cudnych pomników starej Grecyi, chciał pochwycić czyste bezpośrednie objawy piękna; tam chciał się udać choćby kosztem najcięższych ofiar! Czyż dziwnem wydawałby się mogło, jeśli idąc za wewnętrznym przekonaniem, posadę bibliotekarza w Watykanie ofiarowaną mu przez nuncjusza papieżkiego w Dreźnie, opłacił przyjęciem wiary katolickiej. Stało się to 1754 r. Ale teraz poseł papieżki czynił jeszcze różne trudności względem wypłacenia do urzędu przywiązanej rocznej pensyi, i prawdopodobnie Winckelman nigdyby nie wyjechał z Niemiec, gdyby z innej strony nie znalazł był sobie pomocy. Czekając na rezultat układów, od czasu zmiany religii stale przemieszkował w Dreźnie i podczas tego wydawał swoje „Myśli o naśladownictwie arcydzieł greckich“, które zarówno treścią, jak formą i sposobem wykładu, zwróciły na siebie powszechną uwagę i skłoniły elektora saskiego do wyznaczenia mu sumy 200 talarów, tytułem wsparcia na podróż do Rzymu. Winckelman udał się tam w jesieni 1755 roku. Od tego czasu wyłącznie żył dla sztuki. Zapusciwszy się raz na to pole, pracował i badał dopóty, dopóki nie wykrył najgłębszych i niewzruszonych praw wiodących do zrozumienia artystycznej formy, jak i do pojęcia samej treści utworów. W Rzymie wszedł w ścisłe stosunki przyjaźni z najznakomitszymi mężami, między innymi z wielkim malarzem niemieckim Rafaelem Mengs i ze sławnym przez swoje gemmy (rzeźby

na drogich kamieniach) Baronem von Stosch, którym zawdzięczał niejedną naukę i zachętę. W 1759 roku został bibliotekarzem kardynała Albani i nadzorcą jego starożytności, a w r. 1763 przełożonym nad wszystkimi starożytnościami w Rzymie i jego okolicach. W Rzymie, gdzie teraz stałe obwał zamieszkanie, Winckelman pracował nad swemi nieśmiertelnymi dziełami, pomiędzy którymi najznakomitszem jest „*Historia sztuki w starożytności*.” Czyniąc zadość dawnemu życzeniu, z wiosną 1768 roku udał się do kraju rodzinnego, aby go ujrzeć raz jeszcze, a potem pożegnać na zawsze. Ale serce jego zanadto się zrosło z pięknem niebem i artystycznymi skarbami Italii, i oddalając się od niej czuł że go ogarnia coraz posępniejsza tęsknota. Pełen ponurej melancholii, zawrócił z Regensburga i udał się przez Wiedeń, gdzie między innemi przyjmowany był zaszczytnie przez cesarżową Maryę Teresę, do Tryestu, aby drogę do Ankony odbyć morzem. Ale inaczej się stało. Włoch Francesco Archangeli złoczyńca skazany na śmierć, któremu się udało ująć zasłużonej kary, przyłączył się w Tryeście do znakomitego uczonego i potrafił się wkraść w jego zaufanie, zapolony żądzą posiadania kilku złotych medali i całego zbioru skarbów sztuki, postanowił zamordować Winckelmana. Dnia 8 czerwca 1768 r. około godziny 10 z południa, kiedy dziwnym wypadkiem Winckelman spisywał swoją ostatnią wolę, włos wszedł do pokoju. Korzystając z chwili, kiedy Winckelman obrócony był tyłem do drzwi, zarzucił mu na szyję petlicę, którą z całych sił ściągnął. Po straszliwej walce w której Winckelman otrzymał pięć ran śmiertelnych, zabójca uciekł. Z powrozem na szyi, w rozdartem odzieniu, z krwią lejącą się z ran, konający Winckelman zbiera ostatek sił i woła ratunku. Wnet około niego gromadzi się tłum ludzi, ale przywołany chirurg oświadcza, że dla niego niema ratunku. Wtedy Winckelman kończy testament, przyjmuje sakramenta, przebacza mordercy i umiera z całą przytomnością w siedm godzin po wykonaniu na nim zbrodni.

Winckelman posiadał umysł wesoły, miły, wszystkim zarówno przychylny, głęboko religijny. Nie rozpaczał w nieszczęściu, a w szczęściu nie był zuchwały. Na ciężkie godziny miał zapas niewzruszonej odwagi, która odbiera życiu całą jego gorycz. Przyjaciół, który go odwiedził w Rzymie, tak się o nim wyraża: „Otwarty, gdzie nie widzi ude-

rzającej przyczyny niedowierzania, cały oddany przyjacielom, gotów poświęcić się aby im tylko usłużyć.” Po śmierci jego dopiero dowiedziano się od biednych o dobrodziejstwach, jakie im świadczył wedle możliwości. Dochody jego składały się z niewielkiej rocznej pensji od kardynała Albani, i z innej, którą pobierał jako prezydent starożytności kapitolinśkich. Wszystko to razem wzięte, wcale go nie czyniło bogatym, ale z dzieciństwa przyzwyczajony do niewielkich potrzeb, mało zważał na wszelkie dobra ziemskie. Nieznał również namiętności, oprócz tych, które dążyły do podniesienia i tak już wzniesłego umysłu.

„Gdybyście się przypatrywali” — pisał Winckelman z Rzymu — „życiu mojemu od rana do nocy, bylibyście zdziwieni jak pojedynczy człowiek sam sobie wystarczyć może: jestem służącym, lokajem, pisarzem i posłańcem. A jednak jeszcze pół godziny dziennie próżnuję i wtedy rozmyślam o swoim szczęściu; przy tych rozmyślaniach śpiewam rozmaite pieśni i chwilami jestem szczęśliwszy od Wielkiego Mogola.” Winckelman zadał stanowczy cios panującemu dotąd zepsutemu smakowi. Nieśmiertelna piękność greckiej sztuki stanęła znowu w całej potęgze przed oczyma jakby z głębokiego snu przebudzonej ludzkości. Wielka artystyczna rewolucja rozpoczęta została przez Winckelmana.

Wilhelm Kaulbach urodził się 15 Października 1806 roku w Arolsen w księstwie Waldeck, gdzie ojciec jego, człowiek z talentem, obok złotnictwa zajmował się rytowaniem na miedzi, malowaniem miniatur i portretów. Chcąc poprawić smutne a nawet nieszczęśliwe położenie swoje, ojciec Kaulbacha próbował rozmaitych zajęć, w żadnym nie doznawszy powodzenia. Zmieniał też ciągle miejsce zamieszkania. W takich okolicznościach Wilhelm przeżył bardzo smutne lata dziecińne, łatwo to każdy zrozumie. Położenie jego w niczem się też nie polepszyło, kiedy niezmięczony w próbowaniu szczęścia ojciec umieścił go na czas jakiś u krewnych w Westfalii, gdzie bardzo mało zajmowano się jego wykształceniem i postępami w naukach. Stary Kaulbach, będący potrochu malarzem, serdecznie życzył sobie żeby syn jego obrał zawód malarski, ale Wilhelm tak mało okazywał do tego skłonności, że tylko w braku innego zatrudnienia pod kierunkiem ojca brał ołówki do rę-

ki. Potrzeba było jednak tylko iskiej dla rozbudzenia w duszy młodego chłopca zapału i drżającej w nim skłonności artystycznej.

Pewnego razu dostał zeszyt z obrazkami. Były to ilustracje tragedii Schillerowskich—zdolne poruszyć głęboko duszę młodego Kaulbacha, zachmurzoną wprawdzie niejednym gorzkim doświadczeniem życia, ale pełną fantazji. Wtedy ocknęła się w nim długo milcząca strona artystyczna i wionęła życiem wzniosłym i twórczym. Wnet ożyły dla Wilhelma tajemnicze sagi i legendy o olbrzymach i rycerzach, starych bohaterach i bitwach, słyszane wieczerami przy kądzieli, albo w czasie nocy letnich przy ognisku w gronie wieśniaków. Już wtenczas najchętniej przysłuchiwał się opowieściom o Karolu Wielkim i jego czynach bohaterskich, o wielkiej bitwie Hunnów i innych wypadkach legendowo-dziejowych, które miał później świata odtworzyć w szeregu znakomitych obrazów.

W siedemnastym roku życia, ojciec Kaulbacha wysłał go na akademię Düsseldorfską, gdzie mistrzowską ręką Corneliusa, sędziwego Nestora niemieckich malarzy, wprowadzony został do przybytku sztuki. Dziwaczny wypadek dał popęd Kaulbachowi do pierwszego samodzielnego obrazu, który wyszedł z pod jego pędzla. Zdarzyło się, iż w jakimś czasie po ukończeniu szkoły, wymalował na zamówienie, kilku aniołów do kaplicy domu obłąkanych w Düsseldorfie. Lekarz tamtejszy zawdzięczając mu tę usługę, oprowadził go po całym zakładzie, i tu gorąca wyobraźnia Kaulbacha przejęła się scenami, które odtworzył w obrazie znanym pod nazwą: „Dom obłąkanych.“ (1828—29 roku).

Przejmując potęgą charakterystyki, jaką rozwinął w tym utworze, odrazu ustalił swą sławę artystyczną. Tryumfy szybko następowały po sobie. Wkrótce po ukazaniu się Domu obłąkanych, Kaulbach wymalował z polecenia Księcia Maksymiliana, w jego pałacu w Monachium, szesnastą fresków na tle podania o Amorze i Psyche, wykonanych w prostym surowym stylu antyków. Jednocześnie naszkicował wielki karton do obrazu „Walka Hunnów“ który ukończył w 1837 roku. Dzieło to jest przedstawieniem wspaniałej legendy o walce trwającej w powietrzu, pomiędzy duchami zabitych Hunnów i Rzymian już po ukończonej bitwie. Z pola zaległego trupami, cienie poległych

wznoszą się w obszar powietrza w namiętnych grupach i tu dalej prowadzą zaciętą walkę narodów. Przedmiot ten był tak nowy, założenie i sposób oprobienia tak niezwykle, duch wiejący z potężnej kompozycji, czarownej i prawie niezmierniejskiej—tak wzniosły, że krytyka radośnie powitała utwór ten, jako kwiat nowej sztuki. W tym czasie w chwilach wytchnienia, Kaulbach oddał się studjom nad Hogarthem i świetnym ich rezultatem były satyryczne ilustracje do starej epopei (poematu bohaterskiego) zwierzęcej Getego „Reinecke Fuchs.“ W 1845 r. Kaulbach otrzymał polecenie malowania fresków w muzeum berlińskim, które wkrótce przez rozpowszechnienie litografii, stały się własnością całego ukształconego świata. Artysta ten, tworzący niezmordowanie, bawił w Monachium, jako nadworny malarz awaryski i dyrektor akademii sztuk pięknych.

Z pomiędzy artystów polskich wspomniemy o Danielu Mikołaju Chodowieckim, który lubo całe swoje życie spędził w Prusach, słusznie jednak ze względu swego charakteru do nas należy. Chodowiecki wprawdzie nie potrzebował walczyć z przeszkodami materyalnymi, z ubóstwem, ale ojciec jego, dość zamożny kupiec gdański, pragnął widzieć syna kupcem. Posłuszny Daniel oddał się zawodowi handlowemu naprzód w rodzinnym mieście, a później u swego wuja w Berlinie. W wolnych tylko chwilach ulegając nieprzepartemu pociągowi, świadczącemu o wysokich jego zdolnościach, malował miniatury do tabakierek, które dla wuja jego stały się przedmiotem zyskownego handlu. Rzemieślnicze to zajęcie nie mogło jednak zadowolić budzącego się w nim ducha artystycznego, w roku więc 1754 porzucił kupiectwo i zamienił je na zawód artysty. Zapoznał się z dobrymi artystami jak Rhode, Le Sueur i inni, badał ich prace ale zawsze został sobą. Od r. 1756 oddał się rytownictwu i na tej drodze poczynił najszcześniejsze postępy, tak że stał się założycielem nowej zupełnie szkoły. W rycinach z pod jego ręki wyszły widzimy gruntowne studia natury i charakterów, w przedstawieniu przedmiotów już to z punktu humorystycznego już poważnego. W tych ostatnich religijność i cnota, którą sam był przejęty, wybitnie górują. Całe życie przepędzał na pracy, czego dowodem, że liczba rycin, które wykonał 3.000 sztuk do chodzi. W r. 1798 został dyrektorem akademii sztuk pięknych w Berlinie; w trzy lata zaś później w sędziwym wieku życie zakończył.

Podobny z wielu względów jest żywot Antoniego Oleszczyńskiego, który pierwotnie był urzędnikiem i sam własną pracą, poświęcając się sztuce w godzinach wolnych, doszedł do niezmierniej biegłości, jaką mu i francuzi, między którymi osiadł w Paryżu, przyznali za wystawione kompozycje, portrety rytowane i sztychowane, nagradzając złotymi srebrnymi medalami. Pracowitość Antoniego Oleszczyńskiego jest niezmierna; dokonywa on sam jeden dzieł, któreby dobrze świadczyły nawet o dzielności kilku artystów. Z młodszych malarzy naszych bardzo wielu mimo talentu walczyć musiało i musi na skromnych bardzo stanowiskach—i pracy tylko, oraz wytrwałości zawdzięcza swe artystyczne wykształcenie. Na ich czele postawimy najwięcej utalentowanego Matejkę. Urodził się w Krakowie d. 30 lipca 1838 roku, z ojca Franciszka Ksawerego, pochodzącego ze starej czeskiej rodziny i matki Karoliny z Rozberbów, mieszczan krakowskich. Ojciec jego, z powołania zdolny i pracowity nauczyciel, wychowywał dzieci w pobożności i pracy, matka odumarała je za młodu.

Gdybyśmy chcieli wykazać wpływy zewnętrzne, jakie działały na rozwinięcie przyszłych zdolności młodego Jana, rzeklibyśmy, że tony muzyki, które słyszał ciągle, opowiadania ojca, który w młodości swej zaznał znakomite domy polskie, obudziły w nim wczesnie wrażliwość artystyczną. Oddany do szkół przez ojca, wkrótce objawił szczególniejsze zamiłowanie do rysunku i przeniósł się do szkoły sztuk pięknych. Młody chłopczyna, wątły, z którego oczu świeciła pojętność, przybywszy do szkoły, znalazł się w gronie rówieśników swych serdecznie z nimi związany. Nauka szła w krakowskiej szkole zwykłym akademii trybem, o ile dozwalały szczupłe środki; o wygodach wielkich dla sztuki nie można było i myśleć. A jednak było to jak rodzinne kółko, gdzie rozwijał się każdy talent swobodnie w swoim kierunku, a broniono mu tylko wchodzić na manowce, wskazując i tłumacząc naturę, którą tu jedynie za wzór przedstawiono. Była to epoka, kiedy tradycje starej sztuki włoskiej, któremi szkoła dotąd się kierowała, ustąpiły na chwilę, a obrazy nadsyłane z Warszawy na tylko co zawiązaną wystawę Tow. sztuk pięknych, pełne fantazji, zwróciły młodzież ku sztuce swojskiej.

Młody Matejko nie należał do tak zwanych szkolnych talentów, zasadzających się najczęściej na tem, że młodzian

posiada instynkt bezdusznego naśladowania wzoru; owszem strona myśli od pierwszych już kroków w nim przeważała. Po za godzinami szkolnymi przedsiębrał nowe studia, studia pomników i pamiątek przeszłości, a zaledwo nauczył się kreślić antykowo głowy, już ołówek jego przenosił daleko zreźnziej na papier oblicza i postacie przeszłości.

Niezmordowany w pracy, a przytem przenikliwy i łatwo pojmujący, szybko rozwijał w sobie zdolności wykonania. Nie wstrzymywali też nauczyciele zapалу jego i wkrótce wziął się do malowania swego pierwszego pomysłu. Był to „*Starowolski napominający Karola Gustawa przy grobie Eo-kietka*”—przedmiot doskonale obrany dla poety, mniej trafnie dla malarza. Namalowany obraz zwrócił uwagę znawców na wystawie szkolnej. Nie było jeszcze w nim tej swobody, jaka charakteryzuje dziś dzieła Matejki, ale prawda historyczna, przy pewnej sile wrażenia, przy dobrze wystudowanych niektórych częściach, świeciła z obrazu. Zaczny bibliotekarz wszechnicy jagiellońskiej s. p. Muczkowski pokochał go za ten obraz i otworzył Matejce serce swe i wiadomości; artysta zaś, jakby odwiedzając mu się, odmalował następnie drugi obraz: „*Król Zygmunt Stary, nadający szlachectwo profesorom akademii*”, który jako owoc młodszej pracy zdobi salę biblioteki jagiellońskiej w Krakowie.

Przy końcu 1857 roku, opuścił Matejko swą rodzinę i szkołę na czas dłuższy, wyjechał bowiem jako stypendysta dla dalszej nauki do Monachium. Po raz pierwszy miał mu tam przedstawić się arcydzieła malarstwa, o których dotąd zasłyszał tylko; dążył do stolicy dzisiejszej sztuki niemieckiej, gdzie hojność monarchy zgromadziła to właśnie, co stanowiło dotąd podstawę nauki, to jest wzory starożytne. Z początkiem 1848 roku przybył do Monachium i zapisał się do tamtejszej akademii sztuk pięknych. Wiemy to od towarzyszy jego pobytu tamże, z listów jakie pisał do przyjaciół w kraju, że odurzyły go arcydzieła dzisiejszej sztuki, ani przywiązał się do którego z mistrzów; przesadywał głównie w szkole i nad zbiorami rycin dawnych. Zrozumiał odrazu o co idzie w studiach i w krótkim czasie dostał medal akademicki za studium olejne głowy.

Z czasu pobytu Matejki w Monachium mamy jego obraz „*Otrucie Bony*”— obraz, który dokończył u siebie w domu. Obraz ten w ogólnym tonie, w traktowaniu pędzlem i w rysunku ma już piętna celnych obrazów mistrzów

dzisiejszej sztuki; surowe studia natury ucznia i badania archeologiczne miłośnika przeszłości, zlały się w obraz pełen dramatyczności i prawdy w wykonaniu. Dziś obraz ten znany jest wszystkim z reprodukcji Warszawskiego Tow. Zachęty sztuk pięknych. Zarzucono mu dość słusznie brak praktyki w rozkładzie kompozycji; ale postacie są wyborne oddane, a figura doktora jest tak doskonała, że Matejko dziś-by ją jeszcze mógł podpisać.

Z obrazem tym łączy się smutna okoliczność w życiu Matejki. Malując go, przy ciągłej wysiłającej pracy, rozchorował się ciężko i tylko starania przyjaciół potrafiły go ocalić od śmierci. Przyszedszy do zdrowia, powrócił po roku do Krakowa, a następnie udał się do Wiednia, gdzie jako uczeń dyrektora Rubena pracował w tak zwanej Meisterschule i rozpoczął obraz równie znany powszechnie „Jan Kazimierz na Bielanach”. Śmiało rzucona na płótno myśl, zadziwiła kolegów wiedeńskich; czy obudziła niechęć w sercu mistrza, trudno powiedzieć; dość że uwagi nauczyciela mniej zręcznie wypowiedziane, oburzyły serce młodzieńca: zaprzestał chodzić do akademii i wkrótce z Wiednia wyjechał, czując się obrażonym, że mu zarzucone niezajomość własnych postaci. Przyszłość pokazała mylność tych zarzutów, bo obraz ogólnie zyskał powodzenie.

Kto miał sposobność poznać Matejkę po powrocie z zagranicy, widział go skupiającego wszelkie swe myśli w chwytaniu prawdy na uczynku, w badaniu natury w rozmaitych fazach życia. To co spostrzegł około siebie, co spotykał na drodze, miało kiedyś wejść w jego obrazy pod formą nieco odmienną przeszłości; czy w ruinach zamku, czy wśród walących się chat żydowskiego miasta, wynajduje on sobie przeszłe tła obrazów. Niedziw więc, że pośród swojskiej natury, siły jego artystyczne nabrały wkrótce pewności, a za nią poszła łatwość wykonania. Przy takich usiłowaniach nie rozstawał się z ciąglem zbieraniem dawnych strojów; nie obcą mu była żadna praca literacka na polu historii; co więcej, jakby chciał się przejrzeć w własnych swoich studiach, wydał wtedy swe nieoszacowane tablice dawnych ubiorów w Polsce, własnym nakładem i z niemalym trudem.

Kto wie co to jest dobrze urządzona pracownia francuzkiego na przykład malarza historii, istne muzeum starożytności różnych wieków, urządzone z pewnym nieładem artystycznym, gdzie światło bije z góry i da się urządzić

wedle potrzeby, ten może zrozumieć, na jakie przykrości narażonym jest u nas artysta rozpoczynający swój zawód. Trzeba było posiadać tyle wytrwałości w zdobywaniu sobie wszystkiego, ile miał Matejko, tyle spokoju i wiary co on, aby się niezrazić i zacząć malować obrazy swoje. Ale zaraz po wystawieniu pierwszego, to jest „*Śmierci Wapowskiego*”, przyjętego przez publiczność z zapalem, na który (co u nas zdarza się rzadko) kilku znalazł amatorów, mógł już założyć pracownię stosowną do światła i koniecznych przyborów dla historycznego malarza.

Wtedy rozpoczęty w Wiedniu Jan Kazimierz na Bielanach, znalazł się pod pędzlem artysty; za nim poszły obrazy: „*Urszulka*”, „*Stańczyk*”, tysiące pomysłów zostających w tekach artysty, niejeden portret, jak rektora Dietla, a na koniec niezrównany, wielkich rozmiarów obraz „*Skarga królów w obec Zygmunta i sejmu*”¹⁾.

Szermentowski dość ceniony malarz fabrykował sztyldy w Kielcach aby się mógł utrzymać, Tępa lwowianin bawiąc na nauce w Monachium walczyć musiał z niedostatkiem tak dotkliwym, że pewnego razu zadłużwszy się w dystrybucji za ulubione sobie cygara, zmuszony był wymalować sztyld, który do dziś dnia widzieć można przed sklepem tytoniu am Sendlinger Thor w Monachium. Szlegel także lwowianin, zajmuje bardzo skromną posadę nauczyciela rysunków przy gimnazjum realnem w Drohobyczy. Przed kilku laty umarł we Lwowie Lang, pejzażysta jakich mało, malując sztory do okien! W Warszawie połowa tegożczesnych malarzy nie miałaby z czego żyć, gdyby nie pisma ilustrowane potrzebujące rysunków na drzewie.

Jak żadna doskonałość prawdziwa czy to w malarstwie, czy w rzeźbiarstwie nie może być osiągnięta bez pracy i wytrwałości, tak samo przymioty te są koniecznymi do powodzenia w tej sztuce—w muzyce; dla tego też mężowie którzy najwyższej doszli potęgi w państwie tonów, należeli do najwytrwalszych i najczynniejszych pracowników. To samo można powiedzieć o wykonawcach, którzy więcej pracowali nad wprawą mechaniczną, jak kompozytorzy u których teoria, sztuka tworzenia jest główną rzeczą.

Jerzy Fryderyk Händel (ur. 24-go lutego 1685 w Halli, zm. w Londynie 1750), o którym Sebastyan Bach wyrzekł:

¹⁾ Życiorys wzięty z Tygodnika ilustrowanego Nr. 325 z 1866 r.

„Jest to jedyny człowiek którego pragnę zobaczyć przed śmiercią i którym chciałbym zostać gdybym nie był Bachem“, którego Beethoven nazwał „niedościęłym mistrzem mistrzów“—ów Händel był pracownikiem zarówno czynnym jak niezmęczonym. Wiadomo, że większą połowę życia przepędził w Londynie, gdzie pobierał stałą pensję 400 funtów szterlingów od króla Jerzego I, za co jako dyrektor muzyki i kompozytor wytrwale pracował dla kościoła, teatru i koncertów dworskich. Za życia nie doznawał tak powszechnego uznania, jak sądzićby można z dzisiejszego entuzjazmu narodu angielskiego dla wzniosłych utworów Händla. Zdarzało się dosyć często, że swoje oratoria (utwory kościelne) wykonywał przed publicznością zaledwie wyrównyującą liczbę jego orkiestry. A kiedy przyjaciele ubolewali nad tem, zwykle odpowiadał: Nic nie szkodzi, tem lepiej wyda się muzyka. „Zaden cios losu nie mógł osłabić siły jego duszy, która przeciwnie tem wytrwalej stawiała do walki, im cięższe były próby dotykające. Przyciśniony od wierzących którym nie miał czym zapłacić, z zadziwiającą siłą woli stworzył w stosunkowo krótkim przeciągu roku oratoria swoje: *Saul i Izrael*, dwanaście wielkich koncertów i operę *Jupiter w Argos*, dzieła policzone do rzędu jego najznakomitszych utworów.

Jednocześnie z Händlem urodzony i zmarły, równy mu wzniosłością stylu i głębokością myśli, siłą twórczości i żelazną pracą, żył i działał przez całe swoje życie w kraju rodzinnym, współziomek jego i kolega z powołania, Jan Sebastian Bach, ur. 21 marca 1685 r. w Eisenbach, zmarły 28 lipca 1750 r. w Lipsku. Protoplasta znakomitej rodziny Bachów, która wydała w Niemczech pięćdziesięciu mniej albo więcej uzdolnionych kompozytorów, nazywał się Veit Bach i był piekarzem w Presburgu w Węgrzech. W czasie wojen religijnych w XVI wieku, szukając spokoju i bezpiecznej siedziby, pociągnął do Turynii i zamieszkał w wiosce Wechmar w pobliżu Gotha. Tu piekł chleb i grał na cytrze. Trzej jego wnukowie tak się odznaczyli zdolnościami muzycznymi, że panujący wówczas hrabia Schwarzbürg Arnstadt kosztem swoim wysłał ich do Włoch. Z tej muzycznej rodziny wyszedł Sebastian Bach. Ojciec jego Jan Ambroży był nadwornym muzykiem w Eisenbach. W 10 roku życia Sebastian Bach utracił ojca i przeniósł się do starszego brata organisty w pobliżu Gotha, gdzie nabył pierw-

szych gruntownych zasad gry fortepianowej. Wkrótce obznajmił się z utworami najcelniejszych ówczesnych kompozytorów, pracował bowiem niezmiennie—grał we dnie i w nocy. Po śmierci brata uczęszczał do gimnazjum w Lüneburgu, gdzie ciągle zajmował się muzyką i kilka razy dla tego tylko odbył podróż do Hamburga, aby tam słyszeć sławnego wtedy organistę Reineken. Mając lat 18 został nadwornym muzykiem w Weimarze, a następnego roku organistą w Arnstadt. W 1723 roku Bach mianowany był dyrektorem muzyki i kantorem przy szkole Tomasza w Lipsku i do śmierci swej pozostawał na tem skromnym stanowisku. Staraniem Mendelсона Bartholdy wystawiono Bachowi pomnik na placu przed ową szkołą Tomasza.

W 50 lat po śmierci Händla naród angielski powołał na osierocone i niezajęte przez ten czas miejsce „mistrza mistrzów“ genialnego twórcę austriackiego hymnu, Haydn, lubo już w sędziwym wieku, pojechał i został przyjęty z zapalem przez Anglików. Poranek życia pełen goryczy i udręceń był poprzednikiem pięknego, spokojnego a zarazem pełnego holdów i uznania wieczoru. Józef Haydn urodzony 31 marca 1732 r. przy granicy węgiersko-austriackiej we wsi Rohrau, był synem biednego kołodzieja, który przygrywając na harfie do śpiewu swojej żonie ciągnął z tego zarobek w dnie niedzielne. Pięcioletni Józef przyczyniał się w oryginalny sposób do tych występów, w braku bowiem innego instrumentu, nader poważnie bębnił kijkiem na deseczce. Tak zastał go raz nauczyciel z pobliskiego miasteczka Haimburg i zwróciwszy uwagę na muzyczne zdolności dziecka, ofiarował się przyjąć pozbawionego całkiem nauki do swej szkoły. Nauczył go czytać i pisać, a obok tego śpiewu, gry na skrzypcach i innych instrumentach. Trwało to dwa lata, gdy kapelmistrz cesarski von Reuter, zarazem dyrektor muzyki w katedrze ś-go Szczepana w Wiedniu, poznał Józefa, a śpiew dziecka tak mu się podobał, że wymógł iż ośmioletni wtenczas Haydn pojechał z nim do Wiednia, aby zostać chórzystą w kościele katedralnym.

Bez głębszej nauki, młody Haydn pomimo przykrych okoliczności ubogiego położenia, w jakim się znajdował, jedynie siłą geniuszu wykształcił się w muzyce. Kiedy w szesnastym roku życia z utratą pięknego sopranu pozbawiony został miejsca w chórze, zmuszony był zarabiać na swe utrzymanie daniem lekcji i grą w orkiestrze. Przytem

z całym przejęciem się i sumiennością studyował sonety Bacha, które przypadkiem do rąk mu się dostały. Położenie Haydna ciągle było przykre, póki wypadek nie sprowadził mu bogatej uczennicy, której rodzice jako wynagrodzenie za lekcyje zapewnili mu stół i mieszkanie. Ale szczęście to trwało krótko, a po wyjeździe owej uczennicy z Wiednia Haydn popadł w najokropniejszą nędzę. W tym czasie zaznał się z nauczycielem śpiewu Porgorą, który używał Haydna jako akompaniatora przy lekcyach śpiewu i u którego Haydn spełniał najniższe posługi, aby tylko korzystać z jego znajomości kontrapunktu i włoskiego języka. Ale i to źródło wkrótce się wyczerpało, a wtedy pewien fryzyer zajął się biednym muzykiem. Pomoc ta nie wyszła na dobre Haydnowi, bo córka jego dobroczyńcy z którą się później ożenił, zatrula mu najpiękniejsze lata. Pierwsza jego praca, kwartet z którym w 18 tym roku życia wystąpił publicznie, był początkiem dni szczęśliwych. Obok nieuniknionej nagany surowych krytyków dzieło to przyniosło mu rozgłos, oklaski i protekcyę kilku ludzi szlachetnych, za których wstawieniem się otrzymał posadę organisty przy kościele Karmelitów. Teraz wolny już od ciężkiej troski życia powszedniego, Haydn rozwinął swobodniejszą i żywszą działalność, która wiodła go od tryumfu do tryumfu.

Do 1760 roku znaczenie jego tak wzrosło, że książę Esterhazy powołał go na dyrektora swojej kapeli i zapewnił mu stanowisko, na którym Haydn 30 lat pozostawał. A jak używał ten genialny muzyk godzin wolnych od obowiązkowej pracy, świadczy o tem liczba pozostałych kompozycji dochodząca do 990 numerów, pomiędzy którymi 118 symfonij, 83 kwartetów, 23 triów, 19 oper, 24 koncertów na rozmaite instrumenta, 44 sonat na fortepian. A jednak Haydn pracował powoli i rozważnie, korzystając z każdej wolnej godziny, dniem czy nocą, zdrow czy chory. Na kompozycyę poświęcał dziennie 16 do 18 godzin; kiedy zasiadał do pracy ubierał się i pudrował jak najstaranniej, kładł najlepsze suknie jak w uroczyste święta. Pisał tylko na najpiękniejszym papierze, a rękopisma jego były tak dokładne i staranne, że zdawały się litografowane. Najznakomitszymi dziełami jego są: „Pory roku“, a przede wszystkim „Stworzenie“. Opowiadają, że Haydn na kilka lat przed śmiercią, przy wykonaniu swego „Stworzenia“ tak został porwany wielkością skomponowanej przez siebie harmonii, że przy

cudnym ustępie: „Niech stanie się światło!“ z płaczem zawołał, wznosząc ręce ku niebu: „Nie ze mnie, ztamtąd wszystko pochodzi!“ Musiano wynieść starca, upadającego pod potęgą uczucia.

„Największą moją przyjemnością“—mawiał Wolfgang Amadeusz Mozart—„jest praca“. Chociaż żył tylko 35 lat (ur. 27 lipca 1756 w Salzburgu, umarł 5 grudnia 1791 po długich cierpieniach, pochodzących w części z natężenia władz umysłowych), jednak w przeciągu tak krótkiego życia stworzył do 800 większych lub mniejszych dzieł muzycznych. Wprawdzie zaczął komponować bardzo rychło, przez co poniekąd wynagrodził przedwczesną śmierć swoją. Pewnem jest, że talent muzyczny objawia się wcześnie, co podług Getego zdąd pochodzi, że nie wymaga wpływów zewnętrznych, ani doświadczenia nabytego życiem. Zawsze jednak podobne zjawisko jak Mozart pozostanie cudem, którego sobie wytłumaczyć trudno. Od dzieciństwa Mozart okazywał niezwykłą chęć do nauki. Uczył się z najzupełniejszym oddaniem, a w końcu nieprzewyciężona skłonność do muzyki nad wszystkim zapanowała. Kiedy pewnego razu ojciec Mozarta w towarzystwie przyjaciela wszedł do domu, zastał pięcioletniego synka piszącego coś bardzo pilnie. „Co ty tu robisz?“ zapytał małego Wolfganga, a ten odpowiedział: „Piszę koncert na fortepian, pierwsza część prawie już gotowa“. Ojciec wyjął mu z ręki papier i z początku uśmiechając się przeglądał chaotyczną bazgraninę, aż w końcu nie znajdując słów, łzami radości powitał przyszłego kompozytora. „Spojrzyj“—rzekł uspokoiwszy się do przyjaciela—„jak tu wszystko napisane jest trafnie i podług zasad kompozycyji, szkoda tylko że tak trudne, iż nie jestem w stanie tego odegrać“. „Bo też to koncert“—przerwał dziecko—„chcę go dobrze oddać, trzeba się długo ćwiczyć. — Ot, tak się gra“. Nigdy nawet w dzieciństwie Mozart nie był napędzany do grania, przeciwnie trzeba było uważać, żeby zbyt pilnością nie nadwężył zdrowia. Od pierwszych chwil młodości najchętniej grywał w nocy. Zwykle siadał do fortepianu o 9 ej, a przed północą niepodobna go było oderwać od grania. Godziny poranne od 6 do 10 poświęcał wyłącznie kompozycyji, potem zwykle odpoczywał, a w nagłych wypadkach pracował całymi nocami.

Dnia 17-go grudnia 1770 roku w Bonn, w rodzinie biednych muzykantów, ujrzał światło dzienne człowiek, który,

śmiało można powiedzieć, był spadkobiercą wspomnianych przez nas muzyków, i wszystkie ich przymioty w sobie połączył. Był nim Beethoven. „Poranek” — powiada jeden z pisarzy niemieckich — „należy do Händla i Bacha. Przed nimi były tylko głosy pojedyncze, zwiastuny sztuki. Mozart i Haydn wywiedli jasny ożywczy dzień, a Beethoven i Schubert roztoczyli wspaniały wieczór gwiazdzisty”. Beethoven w ósmym roku swego życia zadziwiał wszystkich biegłością w grze fortepianowej, a w 11-tym roku wydał pierwsze swoje kompozycje. Zwykł być mawiać: „Chciałbym wiedzieć, gdzie są zapory wołające na talent i pracę: dotąd a nie dalej!”. Kiedy sławny fortepianista Ignacy Moscheles przysłał Beethovenowi jego operę Fidelio w układzie na fortepian, kompozytor znalazł na końcu rękopismu słowa: „Finis z Boską pomocą!”. Natychmiast dopisał pod tem: „O człowieku! pomagaj sam sobie!”. Beethoven często żartował z nieczytelnego swego pisma i tłumaczył się zawsze tem, że życie jest za krótkie, żeby je przepędzać na malowaniu nut albo głosek; najpiękniejsze nuty nie pomogą nikomu w biedzie. Od świtu aż do południa Beethoven zajmował się utrwaleniem na papierze swoich muzycznych pomysłów. Życie jego było o ile możności skromne. Wolał prosty obiad w traktynie, niż najświetniejszą biesiadę, na którą go zapraszano, bo jako nieprzyjaciel wszelkiej etykiety, pod żadnym względem nie potrzebował sobie w miejscu publicznym zadawać przymusu. Często, gdy mu się zdarzyła myśl świeża i szczęśliwa, rzucał zaczęty obiad i biegł do domu. Beethoven zmarł 26 marca 1827 roku w skutek zapalenia płuc po którym nastąpiła wodna puchlina; w tym czasie Beethoven cztery razy z całą cierpliwością poddawał się operacji.

Obok Beethovena umieścimy Franciszka Schuberta, twórcę klasycznej pieśni niemieckiej, który równie jak Mozart zgasł w kwiecie krótkiego, ale pełnego w owoce życia i który wzniosłemu pierwowzorowi ustępuje tylko głębokością, a nadewszystko górującą znajomością sztuki. Obok nich wspomnimy Krysztofa Glucka, Jana Fryderyka Reicharda, Roberta Schumana, Karola Maryę Webera, Giacomo Mayerbera, Feliksa Mendelsohna Bartholdy, Henryka Marschnera, Ludwika Spohra, Ryszarda Wagnera, Franciszka Liszta (Węgry) i innych.

Wymieniwszy tylu muzyków niemieckich, nie możemy się wstrzymać od przytoczenia w tem miejscu życiorysu

Fryderyka Chopina, który pozostanie po wszystkie wieki jednym z najgenialniejszych kompozytorów i twórców muzyki polskiej. Chopin jest dzieckiem dwóch narodowości. Ojciec jego, urodzony we Francji w Nancy czy Luneville, bardzo młodo przybył do Polski, gdzie się też ożenił z Justyną Krzyżanowską. Pierworodnym synem tego małżeństwa był Fryderyk, przybyły na świat w nocy z dnia 1-go na 2-gi marca 1809 r. we wsi Żelaznej Woli pod miasteczkiem Sochaczewem położonej, gdzie Chopin zostawał w obowiązkach nauczyciela u hrabiostwa Skarbów. Powiadają, że Fryderyk w dzieciństwie już okazywał drażliwość niezmierną na dźwięki muzyki, czemu łatwo wierzyć, całe życie bowiem Chopin zatrzymał tę niezmierną czułość nerwową. To pewna, iż bardzo wczesnie okazał żywy pociąg do muzyki i fortepianu, co spostrzegłszy rodzice, dali mu za nauczyciela czecha Żywnego, czerpiącego swe tradycje muzyczne ze szkoły S. Bacha.

Wpływ jednak tego nauczyciela jak i późniejszych na Chopina pozostał bez śladu, potęgą bowiem osobistą u tego kompozytora pozostała zawsze nietkniętą przez obce sobie naleciałości. Podobnie jak Haydn, Fryderyk Chopin w dziewiątym już roku życia odebrał pierwszy chrzest artystyczny, wystąpiwszy w koncercie na dochód ubogich, oraz wydając choć bezimiennie kilka swych fortepianowych utworów. Przybywszy wraz z rodzicami do Warszawy, młody Chopin uczęszczał do liceum, gdzie uczył się bardzo dobrze, jak świadczą dwie otrzymane nagrody szkolne, co służyć powinno za przykład, iż najznakomitszy geniusz nie uwalnia od ścisłego spełniania obowiązków ucznia i pilności w naukach, jak się to bardzo często zdarza dzisiejszym muzycznym artystom, lekceważącym stronę ogólnego wykształcenia. Zaiste! nikt nie zostanie artystą, kto nie jest naprzód człowiekiem, a chociaż szkoła niekoniecznie daje patent skończoności, to jednak szczęśliwy ten, kto może korzystać ze światła zdolnych nauczycieli. Jednocześnie z temi zajęciami Chopin robił szczęśliwe postępy w nauce muzyki, której mu udzielał Elsner. Tryumfy w najarystokratyczniejszych salonach Warszawy, tryumfy podczas jego wycieczek za granicę do wód w Reinertz, do Berlina, do Wiednia, zapowiadały znakomite powodzenie Chopinowi, ale nie mogły starczyć jego żądzy działalności; mianowicie zaś pragnął urzecz Włochy, dziedzictwo sztuki, obiecaną

ziemię artystów. W jesieni więc 1830 r. opuścił Warszawę, a jak był kochany i szanowany mimo młodocianego wieku świadczy to, że liczni jego wielbiciele odprowadzili go aż do Woli, gdzie wyprawiono ucztę i obdarowano Chopina pamiątkowym pucharem. Przybywszy do Wiednia, musiał się nasz kompozytor zatrzymać w stolicy Austrii, panujące bowiem zaburzenia we Włoszech nie pozwoliły wypełnić zamiaru; zmienił więc takowy i postanowił osiedlić się w Londynie. Ale drogę obrał na Paryż, gdzie przyjęty sympatycznie przez bawiących tamże Polaków, tak zniewolonym został, iż zapomniał o dalszym celu podróży i pozostał w pięknej stolicy Francji. Tu jednakże czekały go próby zawodów na wielkim świecie. Paryż przepełniony artystami, zajęty codzienną nowostką, mało zwracał uwagi na Chopina i nie spieszył się z uznaniem artysty. Pierwszy koncert zaledwo starczył na pokrycie kosztów, a tu trzeba było żyć, znaleźć nakładcę na kompozycje, w których spoczywała nadzieja jego przyszłości. Należało więc przyjmować lekcje, jakie się nadarzyły choć po franku i komponować na obstalunek. Tak powstały jego waryacje z Ludovica, duo z Roberła Djabla i inne. Pracą jednak wyrobił sobie szersze stanowisko i wtedy sądził, że nadszedł czas przypomnieć się publiczności. Najął więc salę teatru włoskiego (1834 r.) i wystąpił przed licznie zgromadzonym towarzystwem. Ale tłum goniący za grubym efektem nie dorósł do jego muzyki delikatnej, pozostał więc chłodnym, czem zrażony artysta wyrzekł się raz na zawsze publicznych występów zgiełkliwych i wszelkie jego późniejsze koncerty raczej za prywatne zebrania w kole dobranego towarzystwa uważać należy. W 1836 roku zrobił Chopin wycieczkę do Czech, gdzie się spotkał ze swoją rodziną, a po powrocie do Paryża widzimy go już w pełni sławy i uznania dla niezrównanego geniuszu kompozytorskiego. Otoczony licznymi wielbicielami, między którymi znajdowały się wszystkie znakomitości ówczesnej Francji, Chopin poszukiwany nauczyciel (za lekcje bowiem we własnym mieszkaniu płacono mu po luidorze) pędził życie swobodne. Ale niestety wątłe zdrowie pracą i wrażliwością nerwową wyczerpięte, coraz się pogarszało zaczęło tak, że w pośród cierpień d. 17 października zgasł ten duch, umięjący wyśpiewać tyle nieśmiertelnych pieśni. Pochowano go na cmentarzu Père Lachaise w Paryżu, między grobowcami Belin-

gd i Cherubiniego. W muzyce fortepianowej był Chopin twórcą nowej szkoły, tak pod względem kompozycji jak i wykonania, rozszerzając znacznie środki i sposoby gry na tym instrumencie. Co się zaś tyczy ducha jego utworów, ten jako nasz czysto polski, pozostanie punktem wyjścia dla przyszłości.

Na zakończenie jeszcze jeden przytoczymy żywot wodzący, iż przy pracy nawet z niewielkimi zdolnościami wiele działać można. Franciszek Mirecki, o którym chcemy mówić, urodził się w Krakowie 1791 r., gdzie ojciec jego był organistą i z trudnością tylko mógł go posyłać do szkoły. Mirecki przecież przy pracy własnej zdołał ukończyć klasy gimnazjalne, jednocześnie zajmując się pod okiem ojca muzyką. Ale tę w piętnastym roku, czy to że mało zapewniała przyszłości, czy też że szła mu trudno, opuścił Mirecki i wziął się do aptekarstwa. Wkrótce jednak spostrzegł, iż postępuje niewłaściwą dla siebie drogą, wraca więc znowu do muzyki, lecz niestety w wyborze powołania zostaje nauczycielem języków starożytnych. Należy nam wspomnieć, iż zostając na tej posadzie lat trzy, dał dowody ogromnej wytrwałości i siły woli. Po przyzwyczajeniu przeszkód, kiedy już zdało się, że skromne ale pewne stanowisko otworem przed nim stoi, rzucił Mirecki nauczycielstwo i wyjeżdża do Wiednia. Tu słysząc znakomitych fortepianistów, a mianowicie Humla, poznał dopiero jak sam nisko stoi. Zabiera się więc z zapalem do pracy nad fortepianem i poświęca grze wszystkie wolne chwile od obowiązku sekretarza przy Osolińskim; jaki objął na szczęście, inaczej niepodobna byłoby mu wyżyć w obcym mieście. Poduczony niemało, opuszcza Wiedeń i udaje się do Florencji i Mediolanu, skąd przybywa do Paryża. W stolicy Francji spotyka go jeszcze większa nędza, z której uratowanym został jedynie listem polecającym do wydawcy Carlego. Ów Carli czystej krwi edytor, zamierzwszy wydać na widok publiczny pięćdziesiąt psalmów Marcela, sławnego weneskiego kompozytora, chciał do nich mieć dorobioną harmonię, odpowiednią w układzie nowożytnemu smakowi. Zamiast więc powierzyć tę sprawę jakiemuś znakomitemu harmoniście, wołał wydawca dać ją młodemu, ubogiemu muzykowi, który oczywiście przyjął musiał z podziękowaniem co mu sam ofiarować zechce. Mirecki wziął się energicznie do tej pracy; raz że jakkolwiek grosz mógł na tem

zarobić, a potem i co ważniejsza, że miał sposobność dać się poznać muzykalnemu paryżkiemu światu. Kilka pierwszych psalmów, puszczonej jakoby dla wybadania opinii publicznej, krytyka niechętnie przyjęła i na Mireckiego ostre padły groty, ale na szczęście wszechwładny naówczas w rzeczach muzyki Cherubini, dojrzawszy w nich zarody talentu, wsparł swą powagą młodego kompozytora. Wydanie psalmów korzystnie wpłynęło na los Mireckiego, imię jego bowiem stało się głośnem, nie brakło lekcji a więc i chleba, a praca około sztuki szła z łatwością. Rzuca się przeto na pole muzyki dramatycznej, a goniąc za ciągłymi przedstawieniami, które mu więcej rozgłosu niż pożytku przyniosły, zwiedza różne miasta włoskie: Genuę, Florencję, Rzym, Neapol, Turyn, a nawet udaje się do Lizbony, Anglii, Niemiec i przez Francję wraca do Genui, gdzie ożeniony dwanaście lat przebywał. Dusza jego przecież zatęskniła do rodziny, skwapliwie przeto po dwudziestu czterech latach powrócił do Krakowa, gdzie go zawezwano na dyrektora szkoły śpiewu, na którym-to stanowisku, otoczony uznaniem ziomków, były syn organisty, samouczek, zostawał aż do śmierci zasłanej w 1862 roku.

ROZDZIAŁ VII.

Energia i odwaga.

I w każdej sprawie, którą zaczął... wszystko czynił z całego serca swego, i szczęściło mu się.

Wtóra księga kroniki 31, 21.

Łamie się żelazo i skała kruszy,
Tylko odwaga jest niezłamaną.

E. M. Arndt.

Historja przechowała potomności, pełne znaczenia wyrazy bohatera północy, nader trafnie charakteryzujące ludy rasy germańskiej, pod względem wrodzonego im poczucia i sposobu postępowania. „Nie wierzo ani w bałwany ani w złe duchy“ powiada on „lecz ufam i funduję jedynie na

sile mojego ramienia i mojej duszy.“ Ów stary herb z motyką w polu i napisem „albo znajdę drogę albo ją utoruję sobie“ jest wyrazem tego na przebój idącego, niepodległego umysłu i praktycznego wzięcia się do każdej sprawy odznaczających stale charakter angielskiego ludu.

Nie też wybitaiej nie maluje pierwotnej siły ducha starożytnych Germanów, jak ów mitologiczny obraz bożka piorunów i grzmotów, zwanego Thor, po starosasku Thunar (grzmot). Olbrzymia postać bohatera, z długą rudą brodą, w potężnych pazurach żelazem opancerzonej prawicy, dzierży straszny młot, który wyrzucony, sam na nowo do pięści powraca. Błyskawice i gromy towarzyszą każdemu jego rzutowi. Gdy bożek ciągniony w rydwanie przez dwóch kozłów toczy się po chmurach, grzmot huczy, drżą góry, łamią się skały a niebo i ziemia płoną ogniem. Jemu święcono miesiąc kwiecień i każdy piąty dzień w tygodniu, dotychczas też nazywany dniem grzmotu, po angielsku *thurs-day*, Straszliwe to bóstwo, będące uosobieniem odwagi i energii, doznawało fantastycznej czci u starych Germanów, którzy w walce z dzikim zwierzem i wrogiem, widzieli najpiękniejszą cnotę męźnych. Tacyt świadczy, że jeżeli w którym pokoleniu lub gminie zapanował długi pokój osłabiający energię, młodzieńcy wyprawiali się do sąsiadów, u których toczyła się walka, aby na polu bitew zahartować swą odwagę i dostąpić chwały.

Jak ongi tak i obecnie, rozumie się tylko w nieskończenie wyższem i szlachetniejszym pojęciu, energia jest podstawą i treścią męzkiego charakteru. Ona to pobudza niezmordowanie na wszelkich drogach życia do męźnych czynów i ona to stanowi duszę wszelkich usiłowań; można rzec, iż energia jest nawet wyższym przymiotem od geniuszu, gdyż geniusz tylko wsparty na niej ma możność dokonania swych prac herkulesowych, powszechny podziw budzących. Energia jest ciężkim młotem bożka Thor, danym w ręce człowiekowi, aby nim utorował sobie bezpieczną ścieżkę wśród trudów, nędzy i dolegliwości tego życia. Z energii płynie obfity źródło ożywczej nadziei pojącej serce radością ufnością, wieńczącej błogosławieństwem uznojone czoło. Ztąd też ów odważny rycerz nosił w swej tarczy dewizę: „*L'espoir est ma force*—nadzieja jest moja siła“ mogącą być śmiało hasłem wszystkich ludzi „Biada tchórzliwym i rozpaczającym!“ woła mądry Jezus Sirach w Starym Te-

stamencie. Zaprawdę, nie ma większego ubłogosławienia nad posiadanie silnej duszy. Kto nosi w sobie ten talizman, po daremnych walkach i nieziszczonych od losu zabiegach, znajdzie zawsze owo błogie zadowolenie uczciwie spełnionych obowiązków, tudzież siłę do nowych zapasów. W godzinach zwątpienia, kiedy wycieńczeni po bezowocnych usiłowaniach upadamy na duchu, nie nas szczerzej nie pociesza, nie nam ufności więcej nie dodaje, jak widok człowieka, co cierpliwością zwalczywszy przeciwności, zachowuje odwagę, stawia czoło chociażby cały świat przeciwko niemu się sprzysiężył.

Samo życzenie, chcenie czegoś choćby najszczerze, jest dowodem lekkomyślności, jeżeli przy odpowiednich warunkach w czyn wcielone nie zostanie. Szekspir ostrzega: „Zamiar jest tylko sługą przypomnienia, silny na początku z czasem słabnie.” Kto zamiast działać, chwieje się i czeka „aż Blicher nadejdzie” zawiedzionym bywa. Rzeczywiście mąż idzie za przykładem Wellingtona w bitwie pod Waterloo — mężnie znosi trudy i nie przestaje walczyć. Trzeba zawsze chęcią być u celu do którego się dąży, tak jak Stefan Czarnecki, który zdobywając Monasterzyska otrzymał postrzał w twarz, a gdy go zlanego krwią unosili żołnierze zapytał: „Czy miasto zdobyto?” Zamiar skoro tylko dojrzeje do czynu, powinien być zamieniony w rzeczywistość, śmiało bez żadnego wahania. Każda chwila zwłoki zwiększa trudności wykonania, zmniejsza pewność powodzenia, a co się odwlecze to często uciecze. Życie wkłada na barki ludzkie ciężkie brzemie pracy i ciągłych trudów, które należy znieść z pogodnym czołem, gdyż one pośredniczą w naszym wychowaniu. Hugh Miller powiada, iż jedyną szkołą, w której się nauczył czegoś pożytecznego, była owa obszerna dziedziina praktycznego życia, gdzie praca i trud jako surowi lecz wyborni nauczyciele, lekcy swe wykładają. Kto zaniedbuje się w pilności, kto dla błahych pozorów od pracy stroni, ten biegnie po spadzistej drodze wiodącej do zguby. Każdy czujący wstręt do pracy niech wie, że ona jest jako zadanie, które wolą niewolę rozwiązać musi, niech pomyśli, że szczerą chęć słodzi mokoły i trudy — a wtedy może uznać, że jest jakby stworzonym do pracowania. Karol IX król Szwecyi wierzył bezwarunkowo w wszechwładztwo woli nawet u dziecka. Pewnego razu gdy najmłodszy syn jego pracował z trudnością nad rozwią-

zaniem jakiegoś zawilego zadania, król kładąc z mocą ręką na jego głowę zawołał: Musi je rozwiązać, musi! Przyzwyczajenie do wytrwałej pracy, jak każde przywyknienie z czasem staje się łatwem i przyjemnem, a wtedy trudno uwierzyć jak wiele popospolite nawet umysły zdolne są dokonać, jeżeli z natężeniem wszystkich sił do celu dążą. Dwu panom służyć jednocześnie nie jest rzeczą bezpieczną, a kto przedsięwzięcie na raz kilka robót, żadnej dobrze nie wykona.

Bierz przed siebie jedną rzecz, pracuj nad nią we właściwym czasie, z całego serca! — brzmi mądre prawidło, przeciw któremu niestety! — tak często w życiu wykraczamy. Kto poluje na dwa zające, żadnego nie ubije. „Partaczem taki rzemieślnik, który wiele rzemiosł umie” powiada Brandt. Lub jak Freidank mówi: „Ktoby odrazu chciał iść dwiema drogami, musiałby mieć długie bardzo nogi” „Kto dwie rzeczy naraz czyni, temu się żadna nieuda” albo jak się wyraża Agrikola: „Czternaście rzemiosł, piętnaście nieszczęść!” „Lepsze żebractwo niż wiele rzemiosł” dodaje Sebastian Frank. Natomiast kto jednemu a wiernie służy, ten zyskuje nagrodę przywiązanego sługi. Żadna rzecz, prawdziwą mającą wartość, nie zdobywa się bez trudu i ciężkiej pracy. Czemuż więcej zawdzięcza ludzkość swe postępy, jeżeli nie ciągłemu wytężeniu woli, usilnej działalności w przezwyciężeniu przeszkód? Godnem zaiste podziwu, jakże to w życiu ludzkim trudności siłą woli są pokonywane. Stary Derflinger będąc jeszcze zwyczajnym jeźdźcem w marzeniach postanowił zostać generałem i dotrzymał sobie obietnicy. Opowiadają o jednym z marszałków francuzkich, iż za czasów swej młodości, jako prosty jeszcze oficer, przechadzając się po pokoju zwykł był mawiać: „Chcę zostać marszałkiem Francyi i wodzem,” „Jest to wola — ów kategoryczny *imperativus* — musisz! która człowieka czyni zdolnym zostać tym lub działać to, czem zostać lub co zdziałać przedsięwziął. Pewien czeladnik ciesielski hyblował z niezwykłą troskliwością oddaną mu do reparacyi ławkę magistracką; zapytany o przyczynę tego, odpowiedział tonem spokojnej pewności: „Pragnę zrobić tę ławkę tak wygodną jak tylko można, bo przyjdzie czas, gdy sam na niej zasiądem.” I w istocie, później zasiadał na niej jako członek magistratu.

Gete opowiadał Eckermanowi kilka wypadków jak siłą swej woli, zapobiegł chorobom i mimo słabości pracował

jak człowiek zdrowy. „Trudno uwierzyć—mówi on—jak potężny wpływ wywiera duch na zachowanie ciała. Często doznaję dolegliwości jakiej części ciała, lecz wola mego ducha tudzież siły reszty organizmu, utrzymują mię w rzeźkości i ruchu. Trzeba tylko, aby duch nie dał się nigdy przemódz ciału. I tak gdy barometr się podnosi, pracuję z większą swobodą niż wtedy, gdy słup merkuryusza opada, wiedząc o tem, staram się wysileniem znieść szkodliwe wpływy powietrza i zawsze mi to się prawie szczęśliwie udaje.“ „Mogę nawet zacytować fakt z własnego mego życia, jak pewnego razu narażony na niechybną febrę, tylko siłą woli przeszkodziłem rozwijaniu się choroby.“ Tylko wpływ umysłu na ciało, wzmocniony w tym przypadku bezwarunkowym zaufaniem, tłumaczy nam tak zwane sympatyczne uleczenia. „Czyż można zaprzeczyć, powiada znakomity lekarz Chr. Wilhelm Hufeland—istnieniu cudownych sposobów leczenia? Ale czemu są one, jeżeli nie wynikiem silnej wiary w moce niebieskie lub ziemskie. Są to zatem siły naszego ducha. Każdemu znana jest potężna władza imaginy i nikt nie wątpi, że są fantazyjne choroby, którym wielu ludzi podlega uroiwszy sobie słabość? A czyżby nie można tak samo wmówić w siebie zdrowie i czy w tym razie zdrowie istotnie się nie wzmoże, nie ustali jak w pierwszym razie choroba?“

Jakąkolwiek teorię filozoficzną przyjmujemy pod względem wolnej woli, każdy rozsądny i nie zabobonny wyznać musi, iż człowiek jest panem swoich postanowień, czynów i postępowania i nie może być podobny do słomki, co rzucana na wodę bieży za prądem strumienia. Jakieżby znaczenie miała odpowiedzialność za nasze czyny, jakąż wartość cnota i zasługa, gdyby nasza wola nie była swobodną, gdyby nasze czyny naprzód i przymusowo we wszystkich szczegółach przez nadziemską władzę nakreślone zostały. Na cóżby się zdało uczyć, radzić, pracować w pocie czoła, starać się usilnie, gdyby wszystko tak a tak i nieinaczej być musiało. Słaba wiara pospólstwa, niezajomość wszelkich praw rozwoju, mogą uznawać fatalizm w życiu ludzkim; ale dla nas pewną jest rzeczą, że wola naturalnie w obrębie pewnych granic i praw, zupełnie jest wolą i że człowiek we wszystkich niemal wypadkach jest twórcą swego szczęścia lub niepomysłnej doli własnej. Tym zaś, którzy wierzą w przeznaczenie, odpowiemy wyrazami jedne-

go ze znakomitych myślicieli: „Istnieje wprawdzie przeznaczenie, bo wszystko co się dzieje jest koniecznem następstwem tego co poprzedziło. Gdyby jednakże wypadki, jakich doznaje człowiek w swem życiu, były z góry przeznaczone, a zatem nieodwołalne, na nic nie przydałyby się troski, starania, trudy bo i bez tego wszystko stałoby się musiało jak jest.“ Człowiek przecież to nie maszyna, którą bezwiednie kierują. Jakkolwiek fizyczność jego jest zawisłą od połączenia niezmiennie po sobie następujących przyczyn, tak że nie zawsze jest mocen wyłamać się od tych wpływów (choroba, wiek), to moralne dobro człowieka w zupełności zawisło od własnej jego woli, trybu postępowania, siły ducha i władzy, jaką sam nad sobą posiada. Człowiek rozporządza swoim losem jeżeli tylko ma odwagę silnej woli. „Tam gdzie jest wola, znajduje się także i droga“ powiada praktyczny Anglik, co po naszymu „szukaj a znajdziesz“ dałoby się tłumaczyć.

Kto przedsięwzięcie zamierza z silną wolą, zdobywa punkt oparcia i spokojność, usuwa połowę oczekujących go trudności. Biada! czyje postanowienia słabnąć zaczynają; widzieć on będzie przeszkody gdzie ich niema i wśród białego dnia ujrzy mary zamiast rzeczywistości. Tymczasem myśl: „to umiesz, na to wystarczą ci siły“ znaczy tyle co sama możność, a niewzruszona chęć osiągnięcia jakiegoś zamiaru, to już połowa jego wykonania. „Kto nie ryzykuje ten nic niema.“ „Jeżeli masz przedsięwziąć coś zuchwalego“ mówi znakomity Hebel „a czego uniknąć nie możesz, wtedy odwaga jest środkiem, który rzadko zawodzi. Ale jeżeli będziesz tylko chciał a nigdy nie zaczniesz czynić, albo zacząwszy wnet załujesz tego, tedy sprawdzi się powyżej przytoczone przysłowie.“ Richelieu i Napoleon I chcieli wykreslić ze słownika wyrazy „Nie można,“ „Nie mogę.“ — „Ucz się“ „Działaj“ „Spróbuj“ były ich odpowiedzi.

Dwoma znamionami właściwemi energii są: punktualność i szybkość postanowienia. Punktualności zawdzięczać głównie należy wygraną bitwę pod Waterloo. Pół godziny opóźnienia, a Wellington zostałby pobity i Europa znowu byłaby wpadła w ręce Napoleona. „Każda stracona chwila—mówił ten genialny wódz i cesarz, łatwo nieszczęście sprowadzić może“ i zwykł był dodawać, iż Austryaków dla tego tyle razy pobił, że nigdy nie znali się na wartości cza-

su i szybkości postanowienia. Podczas ich zwłoki i wahania się, Napoleon napadał i zwyciężał. Gdy zapytano się Colina Campbell, głównie dowodzącego wojskiem angielskim podczas ostatniego powstania indyjskiego, kiedy może odjechać do Indyj, odrzekł: jutro rano! I rzeczywiście tak spieszenie był ów sędziwy generał do podróży gotów, że nie czekając na asygnacye rządowe, musiał sobie pożyczyć pieniędzy na drogę. Jaką heroiczną energię rozwinęli Campbell, Havellock, Lavrence, Outram i wielu innych pod palącym słońcem Indyj przeciwko dzikiemu i fanatycznemu nieprzyjacielowi, świadczą wymownie dzieje tej pamiętnej kampanii. W ogóle w zawodzie wojskowym, odwaga i energia były po wszystkie czasy najsilniejszą dźwignią wielkich czynów, które wyniosły ludzi z najniższych warstw na wyżynę społeczną. W Anglii nawet gdzie przystęp trudny, a awans bez majątku prawie niepodobny, widzimy znakomitszych ludzi ze średniego stanu i z najbiedniejszej klasy. W marynarce mianowicie oddawna zdolność i energia wyniosły wysoko z najniższego stanu. Wspomnieliśmy już, że admirałowie Drake i Nelson byli synami biednych pastorów, Cook synem prostego wyrobnika. Najwaleczniejszy może z angielskich marynarzy admirał Hobson, był terminatorem u krawca na wyspie Whight. Kiedy rozeszła się wieść, że eskarda przybiła do brzegu, pobiegłszy wraz z innymi chłopakami przypatrzeć się mundurom wysiadających na ląd majtków, taką naraz w sobie poczuł chęć do marynarki, iż nie wiele się pytając skoczył na jedną z łodzi, dostał się do okrętu admirałowskiego i wprosił na ochotnika. Po wielu latach wrócił do wsi rodzinnej, okryty zaszczytami i w tej samej chałupie, w której kiedyś terminował, nie wstydził się pan admirał przyjąć u swego dawnego majstra obiadu złożonego ze słoniny i jajek. W armii francuskiej, dopiero od czasów rewolucyi, przysłowie iż każdy żołnierz nosi w patrontaszu buławę marszałkowską, nabrało istnego znaczenia. Historia Napoleona I i zadziwiających kolei jego losu, zbyt dobrze jest znana, abyśmy potrzebowali powtarzać ją w tem miejscu. Wspomnimy tylko, że tak rewolucya francuska jak i Napoleon, otworzyli drzwi, przez które mnóstwo ludzi z najniższych warstw społecznych, dzięki swej energii, doszło do wybitnego stanowiska. Generałowie Hoche, Humbert, Pichegru rozpoczęli karierę wojskową od prostych żołnierzy. Humbert

był ladaco za młodu; w szesnastym roku uciekł z domu rodzicielskiego i wszedł naprzód do służby w Nancy, potem był robotnikiem w Lyonie, наконец zaczął handlować skórkami zajęczemi. W 1792 roku zaciągnął się na ochotnika, a w rok potem został generałem brygady.

Saint Cyr syn biednego garbarza, był naprzód aktorem, poczem wstąpił do strzelców i w rok został mianowany kapitanem. Marszałek Victor książę Belluno, wszedł w 1781 roku na prostego żołnierza do czwartego pułku artyleryi; wydany z wojska wstąpił na nowo po wybuchu wojny z Prusami, a w kilka miesięcy nieustraszoną odwagą i energią, dały mu stopień szefa batalionu. Murat był synem oberżysty, a sam staje się u ojca. Wszedł do strzelców konnych, ale wkrótce wypędzonym został za nieposłuszeństwo. Za wybuchem wojny znowu się zaciągnął i rychło został pułkownikiem. Ney wstąpił do huzarów w 18 roku życia, a Kleber nazywał go niezmordowanym i mianował generałem w dwudziestym piątym roku. Marszałek Soult żadnego nie odebrał wychowania; jeografii uczył się dopiero będąc ministrem spraw zagranicznych; sześć lat służył jako prosty żołnierz. Trudniejsze jeszcze były początki marszałka Masseny, który czternaście lat musiał dosługiwać się stopnia podoficerskiego.

Niemniej ciekawymi i godnymi uwagi są przykłady wytrwałości z życia znakomitych założycieli angielskich rodzin arystokratycznych. Obecnie bowiem największą część hrabiów i książąt Wielkiej Brytanii początek swój wiedzie od księży, prawników, bankierów, kupców, złotników, kramarzy, nawet od ciężko pracujących robotników. Dzisiejsza rodzina hrabiów Warwick nie pochodzi od sławnego Warwicka co dumnie utrzymywał, że królów mianuje, ale od Grenwilla prostego handlarza wełny; dzisiejsi książęta Northumberland ród swój wiedzą nie od Pereych, ale od Smithsona aptekarza Londyńskiego. Z podobnie skromnego rodu pochodzą książęta Leeds, hrabiowie Doudley, Ellenborough, Shaftesbury, Clarendon, a w naszych prawie czasach lordowie Tenterden, Brougham, Lyndhurst, St. Leonardo, którego ojciec był perukarzem. Ciekawą jest niezmiernie historia członka parlamentu angielskiego Lind-saya. Zostawszy w czternaście roku sierotą bez opieki, bez żadnych środków, z Glasgowa puścił się do Liwerpoolu z czterema i pół szylingami w kieszeni; kapitan okrętowy

widząc jego nędzę sam mu ofiarował wolny przejazd za roznoszenie węgla do maszyny i kuchni. Palacz, za pomocą w pracy, udzielał mu część obiadu; w Liwerpoolu sypiał po szopach i kątach jak mógł, a żył za owe cztery szylingi, aż nakoniec dostał się na chłopca kampanii wschodnio-indyjskiej. Jak musiał pilnie pracować, jak się zasługiwać, dość powiedzieć, że w dziewiętnastym roku został kapitanem okrętu kompanii. W cztery lata przecież opuścił służbę i zaczął z małymi wprowadzić środki sam na siebie pracować i rychło dorobił się wielkiego majątku i znaczenia.

Niemniej wielkie imię po sobie zostawił Warren Hastings, człowiek silnej woli i nieustraszonej wytrwałości. Rodzina jego była starożytną i znakomitą, jednakże nie szczęścia losu i fanatyczne przywiązanie do sprawy Stuartów, doprowadziły ją do ubóstwa. Wspaniała ich siedziba w Daylesdorf przeszła w inne ręce, a ostatni z zamożnych Hastingsów oddał swemu drugiemu synowi tylko probostwo w którym urodził się Waaren. Dziecko uczyło się czytać w szkole wiejskiej razem z synami okolicznych wieśniaków, bawiło się na polach i łąkach, które jego przodkowie dziedziczyli — a w młodej swej wyobraźni roilo sobie postacie dzielnych i prawych Hastingsów. Ambicya Warrena pod takim wpływem rozgorzała, a jeżeli mamy wierzyć tradycji, to w siódmym roku życia, siedząc pewnego letniego dnia nad brzegiem strumienia zraszającego posiddłości Daylesdorfu, powziął stanowczy zamiar odzyskania utraconej ojcowizny. Byłoby tylko dziecinne marzenie, ale Warren miał dość energii i dość silnej woli, aby w ciągu życia długiego zamienić to postanowienie w rzeczywistość. Co postanowił jako dziecko, dotrzymywał będąc młodzieńcem, w męskim wieku życia doprowadzał swe zamiary do celu ze spokojem i nieugiętą wolą cechującą cały charakter Warrena. Biedny sierota, dzięki tym przymiotom, stał się jednym z najpotężniejszych ludzi swej epoki, podniósł świetność rodu, odkupił starożytne dziedzictwo, odbudował zamek.

Kiedy pod palącymi promieniami zwrotnikowego słońca — mówi Macauley — rządził piędziesięcioma milionami Azyatów, jego nadzieje wśród trosk wojennych, prawodawczych, finansowych, zwracały się nieustannie do Daylesdorfu, a kiedy po długim zawodzie publicznym przedstawiającym szczególną mieszaninę dobrego ze złem, sławy i znik-

czemnienia, doszedł nareszcie do celu; zapragnął usunąć się i humrzeć pod dachem swych przodków.

Jakimi to drogami energii i pracy dochodzono do podobnych celów zacytujemy jeszcze historię protoplastów rodziny Foleyów, Normanby i markizów Lansdowne, odznaczających się wielkimi przymiotami moralnymi i szanowanymi też powszechnie. Założycielem pierwszej z tych rodzin był Ryszard Foley syn ubogiego Yeomana, to jest właściciela małego kawałka ziemi, w okolicy Stourbridge, urodzony za Karola I. Oddany do nieodległej fabryki, wyrabiał gwoździe jako prosty rzemieślnik. Wtedy-to spostrzegł, że rozcinanie prętów żelaznych na gwoździe, odbywając się kosztem ciężkiej pracy i ogromnej straty czasu, jest przyczyną niemożliwości w utrzymaniu konkurencji gwoździarzy z Stourbridge z wyrobami szwedzkich fabryk, które opatrzone w maszyny do rozcinania żelaza, taniej mogły produkować.

Konstrukcja tych machin jak zwykle w tamtych czasach w ścisłej trzymana była tajemnicy. Foley postanowił wykryć tę tajemnicę; nikomu się przecież nie zwierzył, z obawy śmieszności w razie niepowodzenia. Nagle znikł z fabryki i przepadł na lat kilka bez wieści. Bez pieniędzy prawie, piechotą udał się do Hull i tam najął się za robotnika na okręcie, udającym się do jednego z portów szwedzkich, za jedyne wynagrodzenie wymawiając sobie przewóz i życie. Całym jego majątkiem były skrzypce i za ich pomocą, po wylądowaniu w Szwecyi, grając i zebrząc prawie po drodze, dostał się do fabryk żelaznych w Dannemora pod Upsalą. Wesoły, zabawny, ze skrzypcami w ręku, rychło zaprzyjaźnił się z robotnikami, przyjęty został do fabryki, a niebudząc niczem podejrzenia, miał wstęp do wszystkich jej wydziałów; baczenie na wszystko zważając, pilnie wbijał w pamięć całą maszyneryę rozcinania prętów na gwoździe. Kiedy już był pewny, że wszystko dobrze zbadał i zna dokładnie, znikł znowu z pośród nowych przyjaciół. Nikt nie wiedział ani gdzie poszedł, ani co się z nim stało.

Za powrotem do Anglii wyjawiał cel i wypadek odbytej podróży i udzielił nabytych wiadomości dyrektorom dawnej swej fabryki. Ci nie wahali się wyłożyć funduszy na nowe, budynki i maszyny. Kiedy jednak wszystko stało się pokazało się ku wielkiemu zmartwieniu i wstydnemu Foley, że wszystko na nic się nie zdało, że maszyna nowa

nie chce ciąć prętów żelaznych. Foley znowu znikł tajemnie. Wszyscy wniemali, że ze wstydu wyniósł się na zawse. On tymczasem postanowiwszy sobie dociec tajemnicy, nie dał się zniechęcić niepowodzeniem, ale powiedział sobie, że musi postawić na swoim. Puścił się znowu do Szwecyi, tak samo jak poprzednio ze skrzypkami pod pachą, przyjęty jak najlepiej przez robotników w Dannemora, umieszczonym został dla pewności, żeby znowu nie zbiegł, w samej fabryce gwoździ. Tam umiał udać obojętnego na wszystko, niezdarnego, niezdolnego do niczego prócz do skrzypek, tak że robotnicy najmniejszego nie mieli podejrzenia, i sami ułatwili mu dopięcie tego, co sobie za zadanie życia postanowił. Na nowo skwapliwie badał wszelkie szczegóły maszyny, przerysował je jak mógł, chociaż nigdy się nie uczył rysunków; a pozostawszy na miejscu dopóki nie sprawdził dokładnie swych badań i dobrze sobie nie wbił w pamięć całej maszyneryi, uszedł znowu potajemnie i dostał się szczęśliwie do Anglii. Stanawszy pomiędzy zdziwionymi przyjaciółmi poprawił i uzupełnił maszynę, a tym razem praca jego pomyślnym uwieńczoną była skutkiem. W niedługie lata przemysłem i pracą wielkiego doszedł majątku, podniósł przemysł i dobry byt całej okolicy. Syn jego był już szeryfem hrabstwa Worcester, a rychło rodzina ta otrzymała godność parowską.

Wilhelm Phipps, protoplasta rodziny Mulgravów albo Normanbych, niemniej pouczający daje przykład wytrwałości. Urodził się w roku 1651 w Maine, kolonii wówczas angielskiej w Ameryce północnej. Ojciec jego, biedny puszkarz, miał 26 ro dzieci, a pomiędzy niemi 21 synów. Za cały majątek dał im silne ręce i nieustraszone serce. Wilhelm od dzieciństwa miał chęć do żeglarsstwa; coś go ciągnęło do zwiedzenia szerokiego świata, szukania przygód. Ale że nie mógł się dostać na żaden statek, wszedł do terminu do małego warsztatu statków wodnych. Tam pilnie uczył się rzemiosła, a w godzinach wolnych od pracy wprawiał się w czytanie i pisanie, kosztem snu i wypoczynku po całodziennej pracy. Po skończonym terminie udał się do Bostonu, gdzie zaślubił dość zamożną wdowę, założył sam warsztat, zbudował sam sobie okręci i puścił się na morze, handlując drzewem; tak dziesięć lat przepędził w pracy i trudzie przy niewielkich zyskach.

Raz przechodząc przez tłumne ulice Bostonu, usłyszał przypadkiem majtków, rozpowiadających o wypadku świeżo zaszłym około wysp Bahama o zatonięciu okrętu hiszpańskiego z wielkimi, jak mówiono, pieniędzmi. Te kilka słów obudziły w nim awanturniczego ducha. Nie tracąc czasu, zebrał osadę z odważnych i gotowych na wszystko marynarzy i puścił się do wysp Bahama. Ponieważ okręt zatonął blisko brzegu, z łatwością go wyszukał, wydobył z niego znakomitą część ładunku, ale bardzo mało gotówki, tak że zysk zaledwie opędził kosztu. Takie przecież powodzenie podnieciło przedsiębiorczy jego umysł. Niedługo dowiedział się o innym okręcie, obładowanym samem złotem i srebrem, zatopionym przed pół wiekiem blisko Port de la Plata. Postanowił natychmiast wydobyć go, a przynajmniej wyłowić zawarte w nim skarby.

Przedsięwzięcie takie przechodziło jednak jego możność; przybył więc do Anglii w nadziei znalezienia tam pomocy pieniężnej. Poprzedzony sławą wydobywania okrętów zatopionych około wysp Bahama, udał się wprost do rządu; wytrwałością potrafił przełamać zwykłe w takich razach zwłoki, przeszkody i otrzymał od Karola II dowództwo nad okrętem o 8 działach i 95 ludziach osady, oraz zasoby potrzebne do odbycia zamierzonej podróży.

Z łatwością przybył na wybrzeża, gdzie statek ze skarbami miał być zatopiony. Ale jak tu wynaleźć samo jego miejsce? Pięćdziesiąt lat już upłynęło od wypadku; tradycyjne tylko zebrać można było wskazówki. Należało więc dokładnie zbadać rozległe wybrzeża i gładki ocean, na których nie było naturalnie ani śladu zatopionego okrętu. Ale Phipps był wytrwały w pracy, miał niezłomną wiarę w powodzenie. Zaprzął więc ludzi osady do dragowania wybrzeży, i ci biedacy przepędzali całe tygodnie na wydobywaniu z morza wodorostów (Algae), kamyków i skał odłamów. Nie mogło być nudniejszej roboty, mianowicie też dla marynarzy. Zaczęli więc szemrać, że to wcale nie ich rzecz. Od szemrań coraz głośniejszych, przyszło do otwartego buntu. Raz pewna ich liczba nasza Phippsa na galerii kapi-tańskiej z krzykami i groźnem domaganiem porzucenia wszystkiego i powrotu do Anglii. Ale Phipps nie dał się ustraszyc. Siłą charakteru i woli przytłumił bunt, hersztów ukarał, innych umiał ująć w karby posłuszeństwa. Nie na długi przecież. Wkrótce trzeba było dla naprawy stat-

ku zarzucić kotwicę przy samym brzegu małej wysepki i całkiem go prawie wylądować. Niezadowolenie osady, nudzącej się znowu na bezludnem wybrzeżu, wzmagalo się: część jej nowy zrobiła spisek z zamiarem owdarcia statkiem, wrzucenia Phippsa w morze i puszczania się na południowy ocean na korsarstwo. Ale dla uzupełnienia tych projektów trzeba było zapewnić sobie współudział naczelnego cieśli, przypuszczono go więc do tajemnicy. Ten nie podzielał widoków spiskowych i uwiadomił Phippsa o wszystkim. Phipps zebrał na okręcie wiernych sobie ludzi, ściągnął pomost łączący okręt z brzegiem i wymierzył działa nabite kartaczami, tak że zupełnie ostrzeliwały pozostały na lądzie ładunek. Kiedy ukazali się zbuntowani majtkowie, zapowiedział że każe ich kartaczować jeżeli się na krok zbliżą do ładunku. Cofnęli się przerażeni. Ładunek pod zasłoną dział przeniesiony został na statek, a wtedy zbuntowani w największej obawie, aby ich nie pozostawiono na bezludnej wyspie, złożyli broń i na klęczkach błagali o pozwolenie powrotu do posłuszeństwa. Nie wahał się Phipps przyjąć ich na okręt, z wszelkimi przecież środkami ostrożności, ale z pierwszej korzystał sposobności żeby się ich pozbyć a nowo zwербowanymi zastąpić. Niedługo jednak uznał, że zanim dalsze poszukiwania rozpoczną, koniecznie musi wracać do Anglii dla naprawy statku. A zyskawszy dokładniejsze wiadomości o miejscu zatonięcia hiszpańskiego okrętu ze skarbami, wracał z próżnemi wprawdzie rękoma, ale z większą pewnością pomyślnego dokonania.

W Londynie Phipps zastał na tronie Jakóba II Stuarda, a naród innemi zajęty sprawami; odwołał się więc do publiczności o składkę. Przez cztery lata w największej biedzie póty przekonywał, starał się, deptał po wszystkich progach, aż nakoniec utworzył kompanię pod opieką księcia Albermale.

Przybywszy do Port de la Plata w bliskości raf, o które, jak wieść niesła, okręt hiszpański miał się rozbić, zajął się naprzód zbudowaniem łódki na 10 wiosłarzy, tak płaskiej, by do każdego zakątka miała przystęp. Sam nieraz musiał ręki przyłożyć do siekiery. Następnie wymyślił coś nakszałt dzisiejszego dzwonu podwodnego, potem najął najlepszych nurków indyjskich, wprawionych do łowienia pereł i kazał przeszukiwać dno morskie. Ta robota szła

przez kilka tygodni. Aż raz, wychyliwszy się nieco z łódki, spostrzegł przez przejrzystą wodę jakąś dziwną roślinę morską i kazał jednemu z nurków zerwać ją dla siebie. Nurek wypłynawszy z żadaną rośliną, doniósł, że w morzu widział mnóstwo dział okrętowych. Zrazu nie dowierzano mu, ale bliższe poszukiwania przekonały, że mówił prawdę. Skrzętniej zaczęto szukać i niezadługo jeden z nurków wyniósł z morza ciężką sztabę srebra. Pilniej zaczęto pracować i w kilka dni wydobyto z dna morskiego złota i srebra w sztabach wartości 300,000 f. szt. Kiedy Phipps powrócił z temi skarbami do Anglii, z podziału wypadło na niego 20,000 f. szt., prócz tego król obdarzył go szlachectwem. Rychło Phipps został szeryfem Nowej Anglii. Następnie piastował urząd gubernatora Massachussettu, poczem wrócił do Anglii, gdzie zakończył życie 1695 roku. Nigdy nie wstydił się swego pochodzenia, owszem szczylił się, że z prostego cieśli okrętowego doszedł najwyższych godności.

Niemniej wytrwałym i pracowitym był przodek rodziny markizów Lansdowne. Urodził się on w r. 1623 w Romsey w Hampshire, gdzie ojciec jego miał mały kramik z suknem. Po skończeniu szkół w mieście rodzinnem, udał się do Francji na uniwersytet do Caën. Nie mając żadnej pomocy od ojca, utrzymywał się z małego handlu drobiazgami, które w skrzyneczce na plecach roznosił. Widząc przecież, że tak uczyć się trudno i że to do niczego prawie nie doprowadzi, powrócił do Anglii i zgodził się za chłopca na okręcie kupieckim. Ale że go kapitan parę razy dobrze oćwiczył liną za krótki wzrok, porzucił marynarkę i udał się znowu do Paryża na medycynę. Tu utrzymywał się z przepisywania, kopiowania rysunków, ale mu to niewiele przynosiło; w takiej nieraz był biedzie, że po całych tygodniach żył tylko orzechami. Czas spędzony w Caën i Paryżu nie był straconym. Naprzód wynalazł maszynę do kopiowania listów, następnie zaczął pisać do dzienników o sztukach, umiejętnościach, chemii i fizyce; powołany do Oxfordu na adjunkta profesora anatomii, w r. 1652 mianowany został naczelnym lekarzem armii irlandzkiej. Obok zatrudnień lekarskich, wziął się do miernictwa i takie na tem pieniądze zarabiał, iż zazdrośnicy oskarżyli go o przedajność. Potrafił przecież udowodnić swą niewinność. Przez całe życie niezmordowany w pracy, na wszystko czas umiał znaleźć. Pisał o farbiernictwie, fabrykacyi sukna, marynarce, ekonomii politycz-

nej i innych przedmiotach; robił wynalazki, zakładał fabryki żelaza, kopalnie ołowiu, dał początek rybołówstwu sardynek i handlowi budulcem. To mu nie przeszkadzało brać czynnego udziału w pracach towarzystw uczonych. Znaczny zostawił majątek, a syn jego już mianowany został baronem Shelburne.

Dowody podobnej energii i odwagi znajdujemy i w wielu innych zawodach, które nie będąc tak świetne jak wojskowy, niemniej są użyteczne. Wszystkie też gałęzie sztuk, nauk i przemysłu dostarczają nam uderzających przykładów, co można zdziałać, biorąc sobie za hasło niepokonaną odwagę. Na czele jednak postawimy biografię kobiety, pierwszą zdaje się w ciągu tego dzieła, a która w sposób wzruszający i niezbity dowodzi głoszonej przez nas prawdy.

Tą kobietą jest lady Blackwell, która przewyciężywszy wszystkie trudności, przesady, niechęci, jakie każda nowa myśl na drodze swojej znajduje, potrafiła zyskać wśród zadziwionego społeczeństwa naukę i tytuł doktora medycyny i chirurgii, a następnie staraniem swem założyła w Filadelfii fakultet medyczny dla kobiet, gdzie kilkaset amerykańek uczęszcza, sposobiąc się na lekarzy. Towarzystwo Ameryki i pojęcie, jakie tam sobie wyrobiono o kobiecie, wspomagało ją dzielnie w skutecznieniu powziętego zamiaru, to też Elżbieta Blackwell choć Angielką rodem, albowiem 1820 r. urodziła się w mieście angielskiem Bristol w hrabstwie Somerset, przecież sercem i duszą całą przyswoiła sobie nową tę ojczyznę, wśród której wychowała się i wzrosła; w piątym bowiem roku życia przybyła tam z rodzicami, którzy z liczną rodziną zamieszkali w Nowym Yorku.

W piętnastym roku straciła ojca, który umarł zostawiając wdowę i sieroty prawie bez żadnego funduszu. Wówczas to miss Elżbieta dała pierwszy dowód szlachetnej odwagi, która się w przeciwnościach nie łamie i stawiając się dobrem natchnieniem dwóch swoich siostr, starszych nawet od niej, założyła wraz z nimi pensję pańien i tyle zdolności i zacnych zabiegów rozwinęła w tym zawodzie, iż w siedm lat zapewniła całej rodzinie byt skromny ale niezależny.

Uspokojona zatem z tej strony, w 22-gim roku zaczęła myśleć o wykonaniu zamiaru dawno powziętego. Poznawszy z młodu z jakimi trudnościami musi walczyć kobieta, pra-

cować na utrzymanie zmuszona, zachciała rozszerzyć pole ścieśnionego zakresu, w jakim utrzymywano ją dotąd i mając przekonanie, iż kobieta uzdolniona do tego przez naukę potrafi z korzyścią poświęcić się leczeniu chorych, do czego wrodzona jej delikatność uczucia, łagodność i cierpliwość niejako przeznaczać ją się zdaje—postanowiła uczyć się medycyny—zostać lekarzem!

Wprowadzając zatem w czyn swe marzenia, poświęciła dwa lata na uczenie się łacińskiego i greckiego języka, jako niezbędnych pomocy do nabycia potrzebnych w obranym zawodzie umiejętności; lecz gdy sądziła, iż może już z pożytkiem słuchać kursów medycyny, przystęp uczęszczania na nie został jej jako kobiecie wszędzie wzbronionym. Musiała więc poprzestać tymczasowo na lekcjach prywatnych i radach, szlachetnie jej udzielanych przez dwóch profesorów fakultetu medycznego w Charlestown (w stanie Karoliny północnej). Anatomii znowu uczyła się w Filadelfii u znanego w Stanach Zjednoczonych doktora Allenda, i ten chociaż z wielką trudnością wyrobił jej nareszcie pozwolenie asystowania w klinice szpitala Blockley.

Przełamawszy pierwsze doktorów i publiczności niechęci, iż jakaś kobieta poważyła się pomyśleć o zostaniu doktorem, otrzymała już łatwiejszy przystęp na słuchanie wykładów medycznych w naukowym zakładzie Nowego Yorku, zwanym Szkołą Genewską.

Przez lat sześć w podobny sposób, niezrażona żadnemi przeciwnościami, oprócz mozolnej nauki walczyła z przesądem i niechęcią.

Funduszu na książki, egzamina i utrzymanie, dostarczały jej lekcje muzyki i angielskiego języka, jakie przez ten czas dawała, a których przecież nie tak łatwo znaleźć przychodziło oryginalnie śmiesznej pannie, która uczyła się anatomii! Ale panna, pełna szlachetnej godności w każdym kroku swoim, była wytrwałą i pracowitą istotą. Biła, jak mówiono, mur głową i mur przebiła.

W 1849 roku a 29 jej życia, przyjętą została przez fakultet medyczny w Nowym Yorku jako doktor medycyny i chirurgii. Rozprawa, jaką każdy uczeń kończący medycynę wypracowywuje przed dostaniem stopnia doktora, a która dla miss Blackwell wypadła na zadany temat o przyczynach skorbutu u marynarzy, napisana została z tak niepospolitą zdolnością, że w znacznej ilości egzemplarzy kosz-

tem fakultetu medycznego w Nowym Yorku wydrukowaną została.

W rok później zwiedziła Anglię, gdzie przyjęto ją z odznaczającymi oznakami czci i szacunku, a doktorzy londyńscy żądali, aby im zostawiła zaszczyt koleżeństwa, nie wyrzekając się miana angielskiej. Z Londynu udała się do Paryża, gdzie chciała przez jakiś czas uczęszczać jeszcze na kursa medycyny, lecz położono jej warunek, aby przebrała się po mężku, co z oburzeniem odrzuciła. Nie słuchała więc kursów, lecz otrzymała pozwolenie zwiedzania szpitalów i asystowania tamże przy operacjach chirurgicznych. Przez czas dość długi uczęszczała szczególnie do szpitala wyłącznie przeznaczonego dla kobiet, gdzie pilnie i starannie badała choroby kobiet i dzieci.

Powróciwszy do Ameryki, zajęła się gorliwie założeniem fakultetu medycznego wyłącznie dla kobiet i po wielu odczytach, metingach, artykułach rezonowanych w pismach publicznych, postawiła nareszcie na swoim. Fakultet medyczny został otwarty w r. 1856 w Filadelfii (stan Pensylwania).

Od tej epoki corocznie kilkadziesiąt amerykańek przybywa w różnych a najodleglejszych stron Stanów Zjednoczonych, dla słuchania kursów medycznych wykładanych z talentem przez Elżbietę Blackwell i wielu innych profesorów płci żeńskiej, których ona już wykształciła, a między którymi jest panna Zakrzewska rodem z Prus wschodnich.

Miss Blackwell nie poszła nigdy za mąż i nosi nazwisko swego ojca, według przyjętych zwyczajów powinno się ją zatem nazywać miss Blackwell, lecz z przyczyny powagi jaką otoczona została i po przyznaniu jej stopnia doktora medycyny, nadano jej tytuł lady ¹⁾.

Do liczby najbardziej ciekawych przykładów, ile to choćby w skromnym obrębie zdziałać może siła woli, jest odkrycie znaczenia napisów ówiekowych i klinowych na marmurach znalezionych w Niniwie, do których klucz od czasów zawojowania Persyi przez Macedończyków zagubionym został. Młody a zdolny kadet kompanii wschodnio-indyjskiej, nazwiskiem Rawlinson, przebywając w Kerman-shah w Persyi, spostrzegł iż okoliczne pomniki—tak staro-

żyte że o nich wszelka wzmianka historyczna zaginęła—pokryte są rodzajem znaków mających kształt ówieka. Rawlinson zabrał się do kopiowania tych napisów, a między innymi zdjął także napis ze słynnej skały Behistun, wznoszącej się prostopadle na 1700 stóp ponad równinę; niższa część tego kolosu przynajmniej do wysokości trzystu stóp, pokryta jest napisami w trzech językach: perskim, scytyjskim i asyryjskim. Uważnem i cierpliwem porównywaniem języka obecnego z tym jaki zaginął, doszedł młody kadet pewnej wprawy w kombinowaniu pisma ówiekowego, a nawet zdołał utworzyć alfabet, mogący służyć do odcyfrowania napisów. Rawlinson, zdjawszy mnóstwo kopij, posłał je z własnymi objaśnieniami do Anglii celem bliższego rozpatrzenia. Natenczas jednak na uniwersytetach Wielkiej Brytanii profesorowie nie słyszeli jeszcze o ówiekopisach, a żaden z tych uczonych erudyta o kształcie ówiekowych znaków najmniejszego nie miał wyobrażenia. Szczęście znalazł się mało znany bo skromny, były komisant kompanii indyjskiej nazwiskiem Morris, który sam zajmując się studiami nad zamarkiem pismem, lepiej niż uczeni archeologowie mógł ocenić kopie Rawlinsona. Morris mimo tego że nigdy skały Behistun nie widział, jedynie tylko cierpliwem zastanowieniem się nad przedmiotem doszedł, iż kopia Rawlinsona w wielu miejscach nie była wierna. Rzekł: czywiście kadet; który bawił jeszcze w Behistun, porównawszy swój rysunek z oryginałem, znalazł, że Morris ma słuszną; tym-to sposobem przez porównywanie i uważne studia, pracą niecofającą się przed niepodobieństwem prawie, znajomość ówiekopisma posuniętą została na drodze postępu.

Ażeby jednak nabyta nauka przez Rawlinsona i Morrisa mogła w praktyce wydać owoce, potrzeba było trzeciego człowieka, który swemi wiadomościami przyszedłby w pomoc. Tym współpracownikiem był Austin Layard, poprzednio dependent u notaryusza w Londynie. Któżby pomyślał, iż ci trzej ludzie: kadet, komisant i dependent odkryją język całkiem zapomniany i rozjaśnią historię Babilonu? A jednakże tak było. Layard liczył dwadzieścia dwa lat wieku, kiedy podróżując po Wschodzie, powziął pierwszą myśl zwiedzenia miejsc położonych nad Eufratem. Z jednym tylko przewodnikiem, ufając doskonałej swej bronni a bardziej jeszcze wytrwałości, oraz szczęśliwemu uspo-

¹⁾ Życiorys ten pióra Kaliksta Wolskiego, wzięty jest z N-ru 35 pisma „Bluszczerz“.

sobieniu i wrodzonej uprzejmości, przeszedł bezpiecznie pośród dzikich hord koczujących i wiodących między sobą nieustanne walki. Mimo więc przeszkód i trudności, stesunkowo z niewielkimi zasobami materyalnymi, ale z potężnym zasobem cierpliwości prawie nadludzkiej, po kilku latach trudów i zaparcia się, zdołał wydrzeć zapomnieniu nieoszacowane skarby historyczne. Ażeby o tem powziąć wyobrażenie, powiemy, iż Layard odszukał przeszło trzy kilometry płaskorzeźb, a zbiór ten starożytności pomieszczony w British Muzeum, w wielu razach posłużył do objaśnienia Pisma Ś-go, stanowiąc jakby świadectwo o wypadkach mających miejsce temu lat trzy tysiące.

Sprawozdanie ze swych prac i poszukiwań, jakie Layard pomieścił w dziele noszącem tytuł: „Pomniki Niniwy,“ — może posłużyć za przykład, co przemysł, przedsiębiorczość i wytrwałość pojedynczego człowieka dokonać są zdolne, aby cel zamierzony osiągnąć.

Dla ocenienia trudów, na jakie uczeni ci wystawieni byli pod gorącym słońcem Indyj, należy nam w całej rozciągłości poznać cierpienia i prace, na jakie są narażeni śmieli apostołowie oświaty i wiedzy, niewahający się zapuścić w nieziewiedzane dotychczas okolice środkowej Afryki. Ile poświęcenia, ile zapалу graniczącego z zachwytem, ile odwagi, energii potrzebuje ten, kto często życie swoje kładzie za naukę — widzimy z kilku życiorysów najznakomitszych podróżników tegoczesnych.

Na ich czele, dla swych zasług, odwagi i szczęśliwej gwiazdy, stoi niezaprzeczenie Dawid Liwingstone. Przeniknął on już kilkakrotnie w głąb Afryki i z niezmordowaną gorliwością podejmuje się coraz nowych wypraw, z których przyniesione odkrycia i wiadomości porządkuje po powrocie do Anglii, gdzie między jedną a drugą podróżą używa kilka chwil wypoczynku. Ojciec Liwingstonea był biednym kupcem smoły, w małej wioseczce wśród gór szkockich położonej. Młody Dawid w dziewiątym roku życia zaczął pracować w poblizkiej przędzalni bawełny. Z zarobionych w ten sposób pieniędzy zakupił sobie gramatykę łacińską, potrzebną mu przy lekcjach tego języka, którego się wyuczył, uczęszczając do szkoły wieczornej. Codzień przepędzał tam po całodzienniej pracy dwie godziny od 8 do 10-ej, poczem śleczął sam nad zadaniami lekcjami do północy i później; widząc to matka, odbierała mu często świe-

cę, bo Dawid nazajutrz o szóstej rano musiał się już znajdować w fabryce. W ten sposób męczył się nad Wirgiliuszem i Horacyuszem do szesnastego roku życia, czytując w chwilach swobodniejszych rozmaite naukowe książki, między którymi opisy podróży szczególną sprawiały mu przyjemność. Nawet w fabryce podczas pracy mimo szumu i hałasu czytywał, położywszy przed sobą książkę na maszynie. — W czasie lata w niedziele i święta zwykł czynić wycieczki w odleglejsze nawet okolice w celu poznania roślin dzikich, a gdy pewnego razu w szczelinie skały znalazł skamieniałe muszle, z całym zapalem rzucił się do studyów geologicznych. Powoli więc, powoli ale ciągle, wytrwały ten i pracowity chłopiec zbogacał swój umysł najrozmaitszymi wiadomościami, a im obszerniejszy roztwierał się przed nim horyzont duchowy, tem więcej utrzymywał się w nim życzenie poświęcenia życia na usługi cierpiącej ludzkości.

W młodzieńczem marzeniu postanowił udać się jako misyonarz do Chin. W tym celu wstąpił do uniwersytetu w Glasgowie, aby systematycznymi studjami i pracą usposobić się do tego szczytnego zawodu. Ubóstwo nie pozwoliło mu całkiem oddać się nauce; podczas lata więc pracował wytrwale w fabryce, a zimową porą słuchał wykładów medycznych, nauk przyrodniczych i teologii; utrzymywał się najskromniej z funduszu, jaki zdołał sobie oszczędzić; nie potrzebował więc nic od nikogo — ale jedynie pracy rąk własnych zawdzięczał wszystko. „Kiedy teraz rzucę okiem poza siebie,“ — pisze on w swej autobiografii — „kiedy przebiegam myślą ścieżki, po których szedłem, kiedy przypominam sobie czasy minionie a tak pełne dolegliwości i utrapień smutnych, składam dziękczynienie Bogu, iż mię przeprowadził przez tę surową szkołę życia i nędzy. A gdyby to odemnie zależało, chętniebym raz jeszcze w tych samych warunkach, puścił się przebytą drogą mej młodości.“ Po ukończeniu studyów medycznych i złożeniu egzaminów doktorskich, Liwingstone wszedł w związku z Londyńskim Towarzystwem Misyonarzy, które mu zleciło udać się do Chin. Przygotowania niedługo trwały i odważny ten człowiek gotów był odpłynąć na miejsce przeznaczenia, gdy wiadomość o wybuchu wojny o opium między Anglią a *Państwem Niebieskiem*, nadała inny kierunek jego chęciom poświęceń i popopowi do czynów. Udał się więc w r. 1840 w okolice południowej Afryki, gdzie w charakterze lekarza, misyonarza,

podróżnika rozwinął niezmierną działalność. Przemieszkując pośród dzikich pokoleń Betszuatów, zajmował się na rozległą skalę uprawą roli, hodowlą bydła; sam sobie budował domy, kopał kanały w celu osuszenia gruntów, jednym słowem we wszystkich robotach przewodził krajowcom, ucząc ich i cywilizując przykładem własnym. Wytrwałość jego w dalekich podróżach godna uwielbienia, a jeżeli szczęście stale mu przyświecało w odległych wycieczkach, podczas których wystawiony był na tysiące niebezpieczeństw — to głównie przypisać należy potężnemu wpływowi, jaki wywierał na ludy dzikie osobistą odwagę i energią. Pewnego razu, w samym początku swego pobytu między Betszuatami, podczas podróży, usłyszał rozmowę kilku swoich czarnych przewodników, jak wyrażali się z powątpiewaniem o siłę jego ciała. „Nie jest on tak silny“ — mówili oni — „jak się wydaje. Obecnie włożył swoje worki (spodnie), które mu nadają pozór, ale można być pewnym, że się przedko zmęczy.“ — Liwingstona gniewały te uwagi, postanowił więc dać lepsze o sobie wyobrażenie swym czarnym towarzyszom. Nie zważając więc na utrudzenie, odbywał przez kilka dni dalszą pieszą wędrówkę z takim pośpiechem, aż zmęczeni przewodnicy sami zmienili o nim pierwotne zdanie i oddali mu sprawiedliwość. O zasługach Liwingstona, położonych w sprawie religii, ludzkości, tudzież dla umiejętności geograficznych i przyrodniczych, najlepiej świadczą między innymi sprawami misyjnymi, własnem jego piórem spisane. Dzieła te wydają się raczej powieścią z tysiąca i jednej nocy, niż historią rzeczywistych wypadków życia człowieka.

Obok Anglików, którzy z taką wytrwałością i odwagą starają się przeniknąć w głąb Afryki, najwięcej czynią się do tego Niemcy. Lecz niestety iluż z nich padło ofiarą zuchwałych przedsięwzięć? Dnia 27 września 1852 r. umarł w Cuka Dr. Overweg, otruty wyziewami wywołującymi się zwykle w porze dżdżystej w tych zabójczych dla Europejczyków okolicach. Był on współtowarzyszem wyprawy H. Bartha. Dnia 11 stycznia 1856 roku umarł Schönlein na przykładu Palmas, skutkiem endemicznej febry. W tym samym niemal czasie Dr. Vogel zamordowanym został w Warra, stołecznem mieście Waday. Z liczby odważnych mężów, którzy puścili się w niebezpieczną podróż w celu odszukania śladów Vogla — baron von

Neims dnia 15 Marca 1858 r. uległ w Kairze wpływowi morderczego klimatu, a Maurycy von Beurman padł pod ciosami zabójców. Nareszcie dnia 19 marca 1860 roku młody Albert Roscher, w kwiecie pełnego nadziei życia, zabitym został; spoczywającego w swoim namiocie we wsi Hisonguny nad jeziorem Nyansa napadli dzicy krajowcy; w walce otrzymał ranę pociskiem zatrutej strzały, od której umarł niebawem. Podobnemu nieszczęściu o mało co nie uległ Fryderyk Gerhardt Rohlfs; przybywszy do Braman, znalazł u miejscowego szejka nader przychylne przyjęcie, zamierzał więc ztąd w dalszą puścić się drogę przy jakiejś podróźnej karawanie. Gdy jednak w ciągu dzieńcia dni nie znalazła się żadna tego rodzaju sposobność, wyprosił sobie u szejka przewodników, którzy go mieli odprowadzić do Knetza (Kenatza). Wieczorem więc wybrał się Rohlfs ze służącym szejka, który miał być z miejscowości obeznanym; po czterogodzinnym pochodzie podróżni spojczyli cokolwiek nad brzegiem niewielkiej rzeczki. Wkrótce zmęczony Rohlfs zasnął, aby się przebudzić wśród wiru straszliwej napaści. Lewe jego ramię było zgruchotanem i pięćoma ranami okrytem, prawe udo przebite, a prócz tego ręce cięciami pałasza, pokiereszowane. Sprawcą tego niecnego napadu był szejik ze swoją drużyną, który pospieszył za Rohlsem celem zamordowania go i ograbienia. Nieszczęśliwy podróżnik padł zbroczony krwią własną, a wielka utrata sił spowodowała omdlenie, które barbarzyńcy wzięli za śmierć. Gdy dnia następnego Rohlfs powrócił do przytomności, ujrzał się samotnym (własny bowiem jego służący uciekł w czasie walki) w położeniu rozpaczliwem. Znajdował się w pustyni sam, pozbawiony wszystkich rzeczy i pieniędzy. Jakkolwiek strumień wody płynął nieopodal, Rohlfs jednak z powodu zbytniego osłabienia nie mógł się do niego dostać. Straszne pragnienie dokuczało mu. W takim to okropnym stanie walcząc ze śmiercią, przebył dwa dni i dwie noce. Nareszcie trzeciego dnia nadeszli dwaj Marabuci, którzy dowiedziawszy się o napadzie, pospieszyli pochować jak im się zdawało trupa. Jakaż więc radość była tych zacnych ludzi, gdy znaleźli podróżnika przy życiu. Umieścili go na noszach zawieszonych na grzbiecie muła, a po dwóch godzinach Rohlfs znalazł się pod gościnnym i liściowym dachem. W pamiętnikach swoich, śmiały ten badacz Afryki nie znajduje wyrazów na wypowiedzenie ludz-

kości i delikatności miłosierdzia swego zbawcy Sivi Loschmy i jego żony, jakich przez dwa miesiące choroby bezinteresownie doznawał. †

Tak okropna przygoda nie zdołała jednak wstrzymać odważnego męża od dalszej podróży. W sierpniu 1863 roku opuścił on Algier celem dostania się nową, acz niebezpieczną drogą do Timbaktu, wielkiego miasta położonego nad Nigrem, dokąd tylko co Dr. Barth i Rene Collin z innej strony zawitali.

„Przedemną rozciąga się ogromna pustynia — pisze Rohlfs — pierwszy więc krok do Timbaktu zrobiony! Co za rozkosz gdy pierwszy z pomiędzy Europejczyków przybędę z Algieru do Senegalu. Jakiegokolwiek napotkałbym przeciwności, muszę je pokonać.“ Podróż swą odbywał pod nazwiskiem Sherif el Nemdi, przebrał się w strój arabski i grał rolę wyznawcy proroka, rolę trudną, niebezpieczną na przyjęcie której mógł się odważyć tylko człowiek tak energiczny jak Rohlfs, obdarzony znajomością języka, religii i zwyczajów wschodnich. Po przebyciu Trypolis, brak gotówki zmusił go cofnąć się, a to w sam czas, Arabowie bowiem dowiedziawszy się że jest chrześcianinem i że ich tak dzielnie podejść potrafił, nie posiadali się od gniewu, iż tego psa chrześciańskiego i francuzkiego szpiega, pierwszego który objechał ich kraj, bezkarnie z rąk swoich wypuścili. Rohlfs długi czas jeszcze nie przestawał swych wycieczek po Afryce, która bodaj jak najprędzej stała się przystępną dla ludzkości i cywilizacyi, w nagrodę krwi tylu męczenników wiedzy i wiary.

Do liczby niewielu szczęśliwych podróżników po Afryce, którzy z życiem wrócili w ojczyste progi, aby się stać przykładem wytrwałości i męznego znoszenia trudów, należy także Henryk Barth urodzony w Hamburgu 1821 roku. Odbył on z polecenia rządu angielskiego podróż po Afryce, o kolosalnych rozmiarach, o której dać może wyobrażenie to, iż podróżnicy zrobili przeszło trzy tysiące mil geograficznych. W ciągu tej długiej drogi zawiązali mnóstwo stosunków handlowych i poczynili mnóstwo odkryć geograficznych, botanicznych, zoologicznych i t. d. Uniknąwszy szczególnie zabójczego klimatu, uszedłszy tysiąca niebezpieczeństw, Barth wśród cichej ojczystej zagrody, gdzie spoczywał po trudach porządkując swe notaty, zmarł nagle w ostatnich tygodniach 1865 roku. Rodzinny piasek zasy-

pał mu oczy, jak tego nieraz gorąco pragnął bawiąc w Afryce. Barth wydał obszerny opis podróży i odkryć w północnej i środkowej Afryce, między 1849 a 1855 rokiem poczynionych, dzieło pomnikowe, którego odczytania posiadającym język niemiecki szczerze życzymy, znajdują tam bowiem nie tylko wierny obraz kraju i ludów afrykańskich, ale dowody olbrzymich trudów i przeszkód doznanych w ciągu wyprawy, a przewyciężonych energią i odwagą.

Historia wypraw do bieguna północnego jest niemniej obfitą w przykłady wielkich poświęceń i stałości duszy, udających się w te niegościnne strony podróżników. Począwszy od Frobishera, który w 1576 r. pierwszy z nauką dążnością zeglował po arktycznych morzach, aż do Kanego, Rea i M'Clintocka — wielu złożyło dowody swej śmiałości i szlachetnej żądzy rozwiązania zagadki XIX wieku: dotarcia do bieguna. Opis podróży na Szpitzberg Edwarda Parry, wydaje się jak fantastyczna legenda. Dawniejsi podróżnicy utrzymywali, iż ławy lodowe utrudniające przystęp do bieguna tworzą gładką płaszczyznę, którąby można przebyć piechotą lub na sankach. Otóż Parry, który mając tylko trzydzieści siedm lat życia, odbył już kilka podróży na północ i dwie zimy przepędził w zatoce Baffińskiej, postanowił rozwiązać tę trudność.

Wypłynąwszy na statku *Hekla* i dotarłszy do zatoki Magdaleny, Parry z całą osadą puścił się dalej w sankach po lodzie. Po trzydziestu dniach niewysłowionych trudów, dotarł 82°44' szerokości geograficznej. Ława lodowa wbrew twierdzeniu dawniejszych podróżników nie przedstawiała powierzchni gładkiej jak się wydawało zdaleka, ale najeżoną była odłamami lodu i pełną szczelin, w których morze stało zupełnie czyste. Bezużytecznie było iść dalej, w miarę bowiem jak Parry podążał w kierunku północnym, sama ława posuwała się ku południowi. Więc powrócono do okrętu po przewyciężeniu tysiąca przeszkód. Nie tak szczęśliwym był sławny Franklin. Urodzony w 1786 roku hrabstwie Lincoln, walczył pod Kopenhagą, Trafalgarem i Mallaką. W 1820 r. przedsięwziął pierwszą podróż ładową wzdłuż brzegów Północnej Ameryki na długości 120 mil geograficznych. W rok po swoim powrocie ożenił się z młodą osobą, która zwróciła jego uwagę piękną poezją opisującą podróż podbiegunową. Gdy w 1825 roku wybierał się w nową podróż ładową, żona uszyła mu własnymi rękami

chorągiew, którą miał zatknąć na północnej ziemi. W roku 1845 na propozycję rządu Angielskiego, Franklin objął dowództwo wyprawy i 25 maja odpłynął na okrętach Erebus i Terror. Załoga tych statków licząc i oficerów wynosiła 128 ludzi. Po raz ostatni widziano Franklina 26 lipca t. r., potem dwa lata upłynęło bez żadnej wiadomości. Zaniepokojono się o los śmiałego podróżnika i odtąd rozpoczęły się wyprawy w celu odszukania Franklina. Do roku 1854 mało nadzieję ocalenia, zebrane jednak wiadomości w ostatniej wyprawie doktora Rea i M'Clintocka ostatecznie dowiodły, iż Franklin umarł 11 Czerwca 1847 r., a osada w nieopisanych cierpieniach, skutkiem braku żywności i szkorbutu, wyginęła w zatoce Ryb i na wyspie Króla Wilhelma.

W innym zupełnie kierunku odwagi i wytrwałości, świetnym przykładem jest znakomity nasz podróżnik po Azji, uczony orientalista Józef Szczepan Kowalewski, dziekan wydziału filozoficznego Szkoły Głównej Warszawskiej. Potężny ten swą inteligencją i siłą woli człowiek, urodził się w Grodzieńskim 1800 roku, i kształcił się naprzód w Swisłoczy, a następnie w Uniwersytecie w Wilnie, gdzie będąc jeszcze studentem, pozyskał rozgłos z niepospolitej swej znajomości języków starożytnych. Przetłumaczył on kilka szacownych dzieł pisarzy greckich i rzymskich, jak Herodota (IX ksiąg historii); Longina sześć ksiąg przemian Owidiuszowych, które zbogacone komentarzami, stały się niepospolitym przyczynkiem w dziedzinie naszej wiedzy. Zawistny jednak wypadek, uparcie prześladowający pod tym względem Kowalewskiego, pozbawił go w części owocu trudów, przez zatracenie pozostały po jego wyjeździe z Wilna rękopisów. Zasługi jednak i zdolności młodego uczonego na tem polu ocenione zostały, w dwudziestym bowiem trzecim roku życia, przeznaczono go na profesora języków starożytnych, w dwudziestym zaś dziewiątym wezwano do objęcia katedry uniwersyteckiej. Najznakomitsza jednak działalność Kowalewskiego rozpoczyna się z chwilą, w której w Kazaniu oddał się całej nauce języków wschodnich i studyum nad tym ciekawym a mało znanym przedmiotem. Przewodnikami byli mu najprzód sławny Franciszek Erdmann, Mirza Kazem-Beg rodowity Pers i Ibrachim Chaffin, rodowity Tatarzyn. Więcej jednak niżeli z tych studyów nauczył się Kowalewski sam, przy bezpośrednim zetknięciu z ludami mongolskimi i chińskimi. „A olbrzymia to by-

ła praca, nadludzkie prawie wysilenie — mówi jeden z biografów tego uczonego. Tam nie badać, nie odnajdywać, ale tworzyć trzeba było. Kowalewski utworzył też słownik i gramatykę mongolską, gramatykę języka, w którym żadne dotychczas nie istniały zasady, w którym każdy wyraz, każdy zwrot trzeba było wynajdywać, klasyfikować, porządkować, wydzierając to wszystko z niesfornej mowy na pół dzikiego ludu. Trzeba było zbadać wszystkie te niezliczone narzecza, różniące się tak od siebie jak języki narodów europejskich, a objęte jednak ogólnem mianem, bo z jednego pochodzące szczepu.“

„Trzeba było nagiąć się do stopnia dzikości tych ludów, żyć razem z niemi pod zadymionemi jurtami, żywić się potrawami, o których wspomnienie samo w każdym Europejczyku wstręty obudzało, wtajemniczyć się w obrzędy jego religijne i mistyczne zabobony, trzeba było w mniemaniu ich stanąć na równi z tymi, których oni za bóstwo żyjące uważają, ażeby wydobyć ten cały zasób wiadomości nieznanych dotąd, nauki niedostępnej jeszcze dla nas.“ — W podróżach swoich Kowalewski dostał się do Pekinu i przebywał tam w roku 1830 przez ośm miesięcy. Umyslnie kładziemy datę, w owym bowiem czasie przed ostatnią wojną mocarstw zachodnich z Chinami, zwiedzenie Pekinu należało do wielkich osobliwości i zaledwo kilka osób w Europie mogło się tem pochlubić.

W jednej ze swoich wycieczek, Kowalewski zapoznał się z Mindzulem Chu-tu-ktu, który odbierał część boską od wszystkich wyznawców Buddy jako bóstwo wcielone. Mindzul, poznawszy i oceniwszy zdolności młodego Polaka, zażądał aby go kształcił w nauce historii i geografii według zachodnich pojęć. Sam zaś zobowiązał się wyklądać zasady wiary, której był jednym z naczelników i przedstawicieli. Z takiej to, zaledwo w ciągu wieków zdarzyć się mogącej sposobności korzystając, Kowalewski potrafił zgłębić całą filozofię i mistycyzm nauki Buddy, a przytem zdobył mnóstwo nieocenionych i nieznanych materiałów historycznych i lingwistycznych nad rozklasyfikowaniem których, uczony ten z niezmordowaną pracował gorliwością. Mindzul, polubiwszy Kowalewskiego, sprowadzał na jego żądanie mnóstwo ciekawych rękopisów, ukrytych w lamaickich klasztorach Mongolii i Tartaryi. Władząc takimi źródłami, Kowalewski wypracował kurs historii

starożytnej ludów wschodnich, ale niestety praca ta jak również i mnóstwo nader cennych dzieł z podróży przywiezionych, wypadkowemu zniszczeniu uległa. Powyżej wspomniane stosunki z Mindzulem oprócz korzyści naukowych, postawiły Kowalewskiego na tak wysokim stopniu wziętości w oczach Mongołów, iż podczas drugiej jego podróży za Bajkałem, odbierał sam cześć niemal wcielonemu Buddzie należną, a nawet Lamowie, Wangowie i Szaberenowie, — to jest naczelnicy świeccy i duchowni tamtejsi — nadali mu nominację na Buddę wcielonego, siedemdziesiąt dwoma podpisami opatrzoną.

„A jednak mimo tej nominacji na Buddę żyjącego — mówi wspomniany biograf — pomimo stosunków z Mindzulem, pomimo czci jaką ludy wschodnie mu oddawały pomimo znajomości języków: arabskiego perskiego, tatarskiego ze wszelkimi jego dyalektami, chińskiego, mandżurskiego, tybeckiego, sanskryckiego, zendzkiego, greckiego, łacińskiego i kilku nowożytnych, pomimo wezwania go na członka wszystkich niemal uczonych towarzystw europejskich, pomimo całej tej pracy, tej ogromnej nauki, tylu zasług, takiej przeszłości, jaką rzadko kto poszczycić się może — Kowalewski był człowiekiem skromnym na podziw i tak mało tuszącym o sobie, jakby to przystało na któregośkolwiek z najzwyczajniejszych ludzi.“

Świetne przykłady szlachetnej odwagi opromienionej miłością bliźniego, pozostawili nam wielcy misjonarze chrześcijańscy wszystkich wieków i wielcy dobroczyńcy, którzy w niesieniu światła wiary i cywilizacji, tak między dzikimi narodami jak i wśród ubogich warstw ludu trawionego nędzą, demoralizacją, posuwali swe zaparcie do ideału, do cnoty! Jakkolwiek kościół chrześcijański przyznaje tym świętym widoczną łaskę bożą, niemniej jednak osobista dzielność, siła poświęcenia, prowadzą po drodze świętości i zacności. Żywoty S-go Ignacego Lojoli, założyciela znanego zakonu Jezuitów, jak również S-go Franciszka Ksawerego, znakomitego apostoła na krańcach cywilizacji w Chinach i Japonii, wymownie o tej prawdzie przekonywają, że i sama świętość jest doskonałością, której niepodobna bez ziemskich osiągnąć przymiotów. W ślady tych świętych i dziś idzie mnóstwo niespracowanych misjonarzy, których życie godne uwagi, jak Schwartz, Marschmann i Carey (o którym wspomnieliśmy wyżej w Indyach), Gutz-

laff, Morisonn w Chinach i tylu innych zwiedzających ludzereze wyspy Polinezyi lub niedostępne wnętrza Afryki.

Jednym z najwznioślejszych wzorów odwagi i energii w niesieniu ulgi cierpiącej ludzkości, jest bezwątpienia S ty Wincenty à Paulo, syn ubogich rolników, urodzony w wioseczce Ponny we Francyi 1576 roku. W młodości, jak wiadomo, pisał bydlę i trzodę i jedynie usilnej pracy w klasztorze Bernardynów zawdzięczał swe początki naukowe, które mu pozwoliły przejrzeć na światło i stać się tak użytecznym dla ludzkości. Nie wdajemy się jednak w szczegóły życia tych wielkich Świętych; czytelnicy nasi bowiem z łatwością znajdą je przytoczone w Żywotach Świętych księdza Skargi lub w innym jakim zbiorze, w które obfituje literatura polska. Przechodzimy zaś do innych, nie tak rozgłoszonego imienia używających dobroczyńców ludzkości, których przykład niemniej winien być naśladowany, uczenni serca nasze, natchnie nas prawdziwą odwagą.

Jedną z najznakomitszych tego rodzaju postaci w Niemczech, poszukujących z bezprzykładną energią i zaparciem się środków ulżenia nędzy trapiącej ludzkość, dania pomocy w wychowaniu przyszłych pokoleń, jest August Herman Francke, założyciel domu sierot w Halli wraz z należącemi do niego szkołami i instytucjami. Jest to może najobszerniejszy i najliczniej uczęszczany zakład tego rodzaju na ziemi, a urządzony tak wybornie, iż służyć może za wzór, mimo to że powstał z niczego, jedynie siłą starań i woli jednego człowieka. Francke urodził się 23 marca 1663 r. w jednym z miast starej *Hanzy* w Lubece, gdzie ojciec jego był syndykiem. Młodzieniec rozwijać się zaczął wcześnie, tak iż w czternastym roku życia, skończywszy szkoły w Gotha, uznanym został jako dostatecznie usposobiony do wstąpienia w poczet uczniów uniwersytetu. Rodzina jednak rozsądnie wstrzymała tę chwilę, aż do pełniejszej dojrzałości ciała i umysłu, i dopiero od szesnastego roku młody Francke poświęcił się na uniwersytetach w Kiel i Erfurcie naukom teologicznym. Po ukończeniu studyów udał się do Lipska, gdzie przy tamtejszej szkole głównej, urządził odczyty biblijne, liczną zgromadzając publiczność. Wkrótce jednak prelekcyje te, tchnące duchem liberalniejszych pojęć religijnych, oraz lekceważeniem zastarzałych ortodoksów protestanckich, ściągnęły na młodego mówcę gromy uprzedzenia, pociski zazdrości, tak że w końcu z otwartem prześladowa-

niem wystąpiła fanatyczna partya nieprzychylnych. Prawda, że sławny podówczas Chrystyan Thomasius stanął w obronie Franckego tak ustnie jak i piśmiennie, lecz nie zapobiegło to konieczności opuszczenia Lipska przez tego ostatniego. Udał się więc do Erfurtu jako kaznodzieja pomocniczy czyli diakonus.

Ażeby zrozumieć ograniczenia i niechrześcijański kierunek pojęć owoczesnych ortodoksów kościoła protestanckiego, należy przypomnieć, iż wtedy praktykowały się jeszcze bardzo często procesa czarnoksiężkie z torturami, które w północnych Niemczech dopiero dzięki piorunującej wymowie Thomasiusa, koniec swój wzięły. Znakomity ten uczony, pierwszy też zdobył się na odwagę obalenia starego zwyczaju wykładania niemieckim studentom w języku łacińskim i zastąpienia go językiem ojczystym: Przeciwnicy zarzucali mu zniesławienie nauk, ale od czasu jak Thomasius zaczął czytywać po niemiecku, audytorya uniwersyteckie były przepełnione. To ściągnęło nań podobnie jak na Franckego prześladowanie zazdrośników, tak że unikając scen gwałtownych, przeniósł się w 1691 r. do Halli, gdzie wskrzesił dawny uniwersytet. W tymże samym roku przybył do Halli i Francke, wydany z Erfurtu za swe kazania. Tutaj objął on prócz katedry teologii pastorat przedmieścia Glauchau, które też stało się widownią jego szlachetnych czynów. Ciemnota, zdzieczalałość, następstwa niezmierniej nędzy, jaką zastał w swej gminie, zasmuciły głęboko jego szlachetne serce i stały się pierwszą pobudką usiłowań, zwróconych ku praktycznemu podniesieniu tej biednej ludności. Zaczął od udzielania w pewnych dniach i godzinach lekcyj dzieciom, który do niego przychodzili po jałmużnę. Dalej rozszerzył te lekcye do dzieci nieco zamożniejszych, a ustanowiwszy nader niską opłatę tygodniową, bo tylko grosz srebrny, liczba jego uczniów szybko wzrastała i doszła do sześćdziesięciu. Francke rozdzielił ich według obmyślonego planu nauk i rozwinięcia zdolności na kilka oddziałów, które w następstwie czasu jako praktyczne utrzymały się i stanowią cwa sławną szkołę należącą do domu sierot. Badawczy umysł Franckego wkrótce spostrzegł, iż sama nauka jest niewystarczającą i nie zapobiega zaniedbaniu między biednemi, iż co dobrego wpoi szkoła, to zepsuje zły przykład rodziny i ulicy, zwłaszcza między sierotami. Niczego się więc po nauce spodziewać nie moż-

na, jeżeli nie będzie wspartą odpowiedniem wychowaniem jako koniecznem dopełnieniem w życiu młodzieży. Tegoż więc samego jeszcze roku postanowił założyć dom sierot. Z jakimi środkami przystępował do wykonania swego zamiaru, dość powiedzieć, iż kiedy pewnego razu w skarbonce kościelnej znalazł talarą, uniesiony radością zawołał: To są pocziwe pieniądze i przyczyniają się do założenia pożytecznej instytucji! — Silne zaufanie w błogosławieństwo boże i pomoc własną dodawało mu odwagi, iż z tak małym zasobem przystąpił do urzeczywistnienia swego olbrzymiego przedsięwzięcia i takowe z niewzruszoną wytrwałością przyprowadził do skutku. Przyjaciele i zwolennicy dzielący jego zamiary chętnie dobrowolnemi ofiarami zwiększyli pierwotny kapitał, tak iż wzrósł on do 500 talarów. Wtedy Francke na początek z procentu od tej sumy postanowił wychować jedną sierotę, ale jak się zaczął rozglądać za najbiedniejszą, przyjął zamiast jednej czworo osierocalnych dzieci. Opiekował się wszystkimi ożywiony przekonaniem, iż niłosierdzie ludzkie nie pozwoli upaść jego pracy i zawsze znajdzie się pomoc skuteczna. Z początku sierotki umieścił po familiach, o których moralnem prowadzeniu się był przekonany, później gdy liczba dzieci wzrosła, żelazny fundusz obrócił się na wybudowanie domu sierot i w 1698 r. zgromadził je pod jednym dachem.

W ten sam sposób powstało pedagogium czyli pensya wychowawcza. Skutkiem rozgłosnego imienia Franckego kilka rodzin z prowincyi i z zagranicy powierzyło mu swoje dzieci do wychowania; młodzieńcy naprzód pomieszczeni zostali w domach obywatelskich, a gdy ta metoda nie okazała się dość dogodną, a liczba uczniów zwiększała się ciągle, w 1712 roku wzniesiony został w połączeniu z domem sierot osobny gmach na pomieszczenie zakładu wychowawczego. Do tych instytucyj wkrótce dodano szkołę o kilku oddziałach. Sława zakładu rozchodziła się na wszystkie strony, zewsząd sypały się składki, fundusze rosły. Największem jednak wsparciem dla instytucji była sprzedaż pewnego środka lekarskiego, którego przepis zostawił Francke'mu jakiś chemik na łożu śmierci jako ostatni dar dla ludzkości. Recepta doznała takiego pokupu, iż średnio przynosiła od 30 do 40,000 tal. rocznego dochodu, stawiają Franckego w możności przeprowadzenia swych zamiarów, bez uciekania się o pomoc rządową. Już w maju 1714 r.

uczęszczało ogółem do różnych oddziałów zakładu 1,075 chłopców i 700 dziewcząt, pod kierunkiem 108 nauczycieli. Zakłady rozszerzały się z każdym rokiem, aż nareszcie urosły w potężne miasto szkolne o 800 mieszkańców. Obecnie mieszczą się w instytucjach Frankego: szkoła niższa ludowa tak nazwana wolna, to jest bezpłatna dla 700 dzieci; średnia szkoła obywatelska dla 800 uczniów, tudzież pensjonat średni dla 500 dziewcząt. Dalej wyższy instytut pańien, do którego 220 uczennic uczęszcza, wyższa szkoła męzka na 500 uczniów zawsze przepełniona, wreszcie dwa gimnazya, szkoła katolicka i pedagogiczna licząca około 500 uczniów, uzupełniają to wspaniałe dzieło siłą jednego człowieka i czasu tak olbrzymio rozrosło. Do tych szkół zawsze się jeszcze liczą owe trzy pierwotne zakłady Franke'go, jakoto: sala sierot na 130 dziewcząt i chłopców, pedagogium na 60 i pensjonat wychowawczy na 280 uczniów. Stu dwudziestu do stu trzydziestu nauczycieli i dozoruujących zajmuje się wykładami nauk i ściśle pilnowaniem porządku.

Obszerny gmach tego miasta pedagogicznego, zwykle domem sierot zwany, otacza podwórze na którym w ostatnich czasach wzniesionym został pomnik z brązową statua założyciela przez Raucha modelowaną. Na monumencie tym położono napis: „Ci, którzy oczekują w Panu, nabywają nowej siły, podnoszą się pióry jako orłowie; bieżą a nie spracują się, chodzą a nie ustawiają“ (Izajasz 40. 31). Że owe oczekiwanie czyli zaufanie w Panu, tylko w znaczeniu czynnego chrześcianizmu, to jest wypełniającego dobre uczynki, branem być powinno, okazał Franke dostatecznie swymi obszernymi zakładami naukowymi. Niemniej i to pewną jest prawdą, że na owem zaufaniu opiera się wewnętrzna odwaga. Prowadzenie tylu zakładów w części dopiero ukończonych, w części dopiero powstałych i codziennie się rozszerzających, wyczerpałoby wkrótce siły mniej gorliwego męża, mniej odważnego i ufającego. A jednak Franke miał jeszcze tyle sił i czasu, iż wypełniał ściśle obowiązki do swego zawodu kaznodziejskiego przywiązane, regularnie odbywał teologiczne odczyty i znajdował jeszcze wolne chwile do studyów i prac literackich. Zaiste!—życie zasobne w wielkie wyniki pracy i godne naśladowania.

Jedno jeszcze nazwisko wymówić nam wypada—nazwisko ze wszech miar budzące poszanowanie w naszym

społeczeństwie. Piotr Gabriel Bandonia francuz z urodzenia, w Polsce zjednał sobie wiekopomną pamięć i nie przestanie być dla nas wzorem szlachetnej odwagi, umiejącej z niczego stwarzać potężne środki ku pomocy, ku obronie nieszcześliwej ludzkości. Jako kapłan misyonarz w 1717 r. przybył z Francji do Polski, osiedlił się w Warszawie, a pierwszą pracą, ku której skierował swe usiłowania, było do-
kładne nauczanie się języka polskiego. Jeżeli zważymy iż nasz język nie należy do najłatwiejszych, że Baudouin mógł się bez niego obejść, zatopiony w kontemplacjach swego stanu lub oddając się na usługi wyższemu społeczeństwu, w którym język francuzki stale jest upowszechnionym—to przyznać musimy, iż widać w tem ów przejaw usilnej woli i zamiłowania pracy. Wkrótce też znajomość języka stała mu się wielce użyteczną. Pewnego razu bowiem, zatopiony w pobożnych rozmyślaniach, przechodząc ulicą, nagle spostrzegł wielkiego psa, unoszącego pokrwawioną głowę i resztki członków niemowlęcia. Ten widok przeszył go zgrozą, a zarazem rozbudził pierwszą myśl, pierwszy zaród szlachetnego jego przedsięwzięcia, które na resztę życia stało się jego zadaniem. Nie trudno mu było dociec przyczyny tego strasznego wypadku jaki miał przed sobą, biedna bowiem istota, opuszczona od ojca i matki, stała się pastwą zgłodniałego zwierzęcia.

Baudouin, wróciwszy do klasztoru, zwierzył się przełożonemu ze swego postanowienia, a na uczynione sobie uwagi o trudności przedsięwzięcia odrzekł: „Dozwólcie mi tylko działać, a ufam Opatrzności, że czego nasz fundator śty Wincenty à Paulo dokonał w Paryżu, tego synowie jego w Polsce dokonać zdołają“.—W tych słowach widzimy już silny wpływ przykładu i rozpamiętywania żywotów zasławnością jaśniejących ludzi. Rozumie się, iż widząc tak silną wolę Baudouina, przełożony udzielił mu pozwolenie i błogosławieństwo, czem wsparty zacny kapłan zabrał się do pracy. A była to praca niemała, należało bowiem samemu wszystko stworzyć. Ale to nie zrażało Baudouina. Z puszką w rękę jak prosty kwestarz obchodził możnych i ubogich, zebrząc dla tych co nie nie posiadają—dla niemowląt opuszczonych. A nie zawsze datek był owocem jego prośby... bo nie wszyscy rozumieli cel szlachetny, bo nie wszyscy posiadają miłosierdzie. Częstość jednak najtwardziej opancerzone egoizmem serca umiał Baudouin zwyciężać. Sławną

i nauczająca jest jego przygoda z graczami. Pewnego razu, podczas pobożnej pielgrzymki od proga do proga domów Warszawy, w jednym z nich natrafił na liczne towarzystwo zajętych grą hazardowną. Kupy złota przesuwają się z rąk do rąk chciwych i namiętnych graczy. Nie zrażony tem Baudouin, korzystając z chwilowej ciszy, wystąpił z prośbą o jałmużnę, objaśniając jej przeznaczenie. Ofuknięty grubiańsko, nie ustępuje zacny kapłan, spodziewając się iż słowami miłości zmiekczy zatwardziałe serca; ale jeden z graczy, oburzony zuchwałą w jego oczach natarczywością kapłana, uderza go w policzek dodając szyderczo: „Oto masz jałmużnę!“ „To dla mnie“ odzywa się ksiądz Baudouin „a cóż dla moich dzieci?“—Słowa te pełne pokory i zaparcia się prawie nadludzkiego, stłumiły namiętność graczy i złoto posypało się do rąk ubogiego zakonnika. Trudnoby było wdawać się w szczegóły tych wszystkich prac i niezliczonych poświęceń. Najlepiej to może każdy ocenić, gdy powiemy jakie owoce one przyniosły. Początkowo za pieniądze zebrane ze składek, kupił Baudouin pałac zwany Karasia i tam osadziwszy siostry miłosierdzia, otworzył przytułek dla dzieciak najuboższych rodziców i pozbawionych wszelkiej opieki sierot. Niemowlęta, których liczba wkrótce do 200 wzrosła, oddawał na wykarmienie mamkom na wsi i w mieście, starsze zaś sieroty kształcił w rzemiosłach, opiekując się i pomagając w ich dalszem życiu. Gdy jednak liczba tych dzieci i sierot których stał się opatrnością ciągle wzrastała, zamierzył wybudować gmach dla pomieszczenia ich przeznaczony i dość obszerny.

W tym celu wsparty pomocą kilku zamożnych a dobroczynnych osób, zakupił plac i wybudował dziś istniejący szpital w Warszawie p. n. Dzieciątko Jezus i instytucja ta najwięcej zawdzięcza księdzu Baudouinowi. Często zdarzało się w ciągu robót murarskich, iż brakło pieniędzy na najbardziej nagłe potrzeby. Wtedy Baudouin brał puszkę i zebrał, szczęśliwy jednak iż miłosierdzie przychodziło mu z chętną pomocą. Wkrótce więc stanął gmach, w którym tyle tysięcy ludzi znalazło już ulgę w cierpieniach, tyle niewinnych istot uratowano od niechybnej śmierci lub poniżenia! Ostatnie lata swego życia spędził Baudouin w zakładzie, ciesząc się dziełem swoim. Zmarł 10 lutego 1768 r.

Zakończymy nareszcie ten rozdział odważnych kilka szczegółami z życia Florentyny Nightingale, zwanej

w całej Anglii i w całym świecie „opiekunką chorych“. Wychowana starannie i obdarzona sercem czującym każdą niemoc i niedolę, z młodych lat jeszcze miss Florentyna zajmowała się i badała wytrwale stan angielskich szpitalów pod względem obsługi, administracji i środków poprawy wszelkich niedogodności i nadużyć. W tym celu urządziła według własnego pomysłu szpital w Londynie, który powszechnie stawiano za wzór porządku i ludzkości w traktowaniu chorych. Działalność jednak miss Florentyny oczekiwiała szerszego pola, aby się wykazać w całym blasku. Sposobność wkrótce się nadarzyła. Wybuchła wojna wschodnia, a wojska angielskie udały się do Krymu. Dzieje tej kampanii odznaczały się klęskami dla armii angielskiej, klęskami — których przyczyną był nie oręż nieprzyjaciół, ale nieład administracji. Wojsko angielskie cierpiało pod każdym względem niedostatek, ale najsilniej uczuwać się to dawało chorym i rannym. Dowiedziawszy się o tem, miss Nightingale zebrała około siebie kilkanaście równie jak ona zacnych, jej odwagą ożywionych kobiet i pospieszyła wraz z nimi do Krymu. Przybywszy do Balaclawy, przekonała się ze wieści dochodzące do kraju były zaledwo słabem odbiciem istotnego stanu rzeczy. Zarząd całej służby zdrowia opierał się na pisaninie—nigdzie zaś istotnego czynu. Brak żywności, brak materiałów aptecznych, narzędzi chirurgicznych, szarpi, bandaży, bielizny, słowem brak wszystkiego, co koniecznem jest dla chorych i rannych, obok zupełnego niedostatku rąk niewieścich, tak czule, tak troskliwie umiejających opatrywać, a więcej jeszcze jak opatrywać, bo cieszyć i pociechać umilać ostatnie godziny umierającym, pokrzepiać przychodzących do zdrowia.

Miss Nightingale z prostotą, ale niemniej przerażające obrazy tych scen szpitalnych, kreśli w swym skromnym pamiętniku. Brak wozów ambulansowych nie pozwalał z dostateczną szybkością odsyłać z pola bitwy nieszczęśliwych wojowników; szpitale połowe najgorzej urządzone, mnóstwo rannych bez opatrzenia w okropnych męczarniach ginących, mnóstwo zmarłych po kilka dni oczekujących na pogrzebanie. Słowem chaos. Zdawałoby się, iż odwaga jednej kobiety musi uleść niepodobieństwu. Stało się przeciwnie, odwaga zwyciężyła. Energia jej wkrótce przełamała biurokratyczne nawyknięcia, pod jej wpływem powstały nowe szpitale, a stare odświeżono i przeczyszczono; na głos

jej przybyły okręta z bielizną i lekarstwami, z narzędziami i żywnością. Miss Nightingale była wszędzie jak dobry duch, jak opiekunka chorych. Wśród największego ognia bitwy pod Ikermanem, przy zdobyciu Sewastopola, ona sama na czele zastępu słabych kobiet, z pod kopyt końskich, z pod jaszczyków i kul armatnich, z rowów fortecznych i obłężniczych nasypów, wyrywała i unosiła biednych rannych i najmniej połowę od pewnej uratowała śmierci. Takie bohaterstwo, taka odwaga podtrzymywana była rzadką energią, nieustającą starannością i czynnością. Siły jednak ludzkie mają swe granice i miss Florentyna wycieńczona zabijającą pracą zapadła na gorączkę żółtą. Wszyscy: jenerałowie, żołnierze, którzy jej tyle zawdzięczali, błagali ją teraz aby wróciła do Anglii — lecz miss Florentyna lękała się aby dezorganizacya na nowo nie wkradła się w dzieło, z takim mezołem ulepszone. Energiczną wolą stłumiła chorobę: pozostała między chorymi i cierpiącymi do końca kampanii i można o niej jak o owym dobrym wodzu — który ostatni schodzi ze swego stanowiska — powiedzieć, że spełniła całą swą dobrowolnie przyjętą powinność!

ROZDZIAŁ VIII.

Przymioty handlowe.—Kupcy. Ludzie czynni.

Gdy widzisz męża pilnego w sprawach swoich,
takowyc godzien przed królami stanąć....

Przypowieści Salomonowe 22, 29.

W dzisiejszym stanie naszego społeczeństwa każdy człowiek zatrudnia się jakąś pracą, prowadzi rzemiosło, handel, przedsiębiorstwo, słowem ma swój oznaczony zawód, w którym widzi cel swych zabiegów i starań. Można więc niebezzasadnie utrzymywać: że wszyscy ludzie czynni, pracujący, są kupcami, gdyż ściśle biorąc stan kaznodziei lub artysty ze strony materyalnej, tak dobrze przynosi korzyści jak handel kupcowi, chociaż tylko tego ostatniego podobną nazwą mianujemy. Im zaś jakikolwiek zawód praktyczniejszy jest w codziennem życiu, im bardziej działa na zewnątrz, im wyłączenie dąży do nbiegania się za zarob-

kiem, tem więcej zbliżony jest do powołania kupieckiego, które łączy te właściwości w najwyższym stopniu.

Celem działalności kupca jest korzyść, a przymioty handlowe niezbędne do pomyślnego prowadzenia interesów grają tu podobną rolę, co karność i waleczność u żołnierza. Chcąc więc nabyć praktycznej sztuki prowadzenia interesów i spraw wynikających z naszego powołania, należy czerpać naukę z zasad kierujących handlem i przyswajać sobie przymioty kupieckie każdemu mniej więcej dziś niezbędne.

Zrozumiemy tylko dobrze, na czem polega prawdziwe stanowisko kupca? Powszechnie w codziennych stosunkach słyszymy to płytkie zdanie, iż życie kupca, wszystkie działania jego umysłu i woli skierowane są jedynie do przeprowadzenia opartych na chłodnym obrachunku przedsiębiorstw, mających za cel *wyłączny* korzyść materyalną, że właściwie do tego tylko dążyć powinien, aby zarabiać pieniądze — tylko pieniądze; że rzeczywistą jego zasadą jest kupować i sprzedawać z jak największym zarobkiem, to jest nabywać jak najtaniej, odstępować jak można najdrożej. Zdanie to, powtarzamy, jest nader płytkie i kto według niego sądzi, wcale nie zna istoty prawdziwego kupiectwa. Rzeczywiście w codziennem życiu spotykamy co krok niemal kupców — słuszniej kramarzy — na wskroś zmateryalizowanych, którzy przez ciągłe obroty i czynności z pieniędzmi doszli w końcu do bałwochwaltwa dla złota. Ale czyż i w innych kierunkach zajęć ludzkich mało spotykamy podobnych czciocieli pieniędzy, którzy zdają się po to żyć tylko, aby umrzeć bogaczami? Natomiast żyją i żyli po wszystkich czasach kupcy z umysłem szlachetnym i duchem potężnym, którzy mimo wysokiej doskonałości w swoim zawodzie, wykonywali najwznioślejsze czyny miłosierdzia i obywatelskich obowiązków. Szlachetni przyjaciele ludzkości, jak Tomasz Hanway, wzory prawości, jak nasz Augustyn Spiski i inni, byli przecież kupcami.... I dlatego też nie błędniejszego nad te zdania, któreby stan kupiecki poniżyć chciały, handel podać w pogardę, jak się to niestety z niemałą szkodą przez długi czas u nas praktykowało. Wynikło to tylko z niezrozumienia zasad kierujących tym stanem. Od kupca bowiem, stojącego na wysokości swego powołania, wymaga się nie tylko zdrowego rozumu, znajomości fachowych i kantorowych, ale przede wszystkim szlachetności w charakterze, punk-

tualności, pilności, oszczędności, porządku, energii, oględności. Kupiec powinien mieć dar poznawania ludzi, trafnego korzystania z nabytych w ciągu czasu doświadczenia i rozumienia właściwych potrzeb życia praktycznego.

„Sądzę—mówi Gete—iż władze ducha u kupców nie ustępują i nie mogą ustępować nikomu w rozwinięciu“. Gete też pokazał wielkość nawet w swych czynnościach handlowego charakteru i tym sposobem dotykalnie obalił przesąd, jakoby geniusz nie mógł i nie powinien zajmować się sprawami codziennymi, ale miał przywilej prowadzić życie bezładne i zaniedbane. Gete, jak wiadomo, dość długi czas pełnił obowiązki ministra swego przyjaciela i pana: Karola Augusta księcia wejmarskiego, a wtedy miał sobie poruczone wiele najważniejszych interesów państwa, załatwienie gorliwych których za najświętszy sobie uważał obowiązek. Wtedy także między innymi kierował ministerstwem wojny. Ażeby się własnoocznie przekonać o stanie ludu i spełnieniu przez podwładnych poleceń, poeta minister często cały kraj konno objeżdżał, a zauważywszy gdziekolwiek niedostatki, takowym pilnie starał się zaradzić. Dziennik z owego czasu przekonywa dowodnie, z jakim poświęceniem Gete pracował na swem stanowisku dla dobra ogółu: „Nikt nie wie co robię—pisze on—z iloma walkami nieprzyjaciółmi, aby choć mało znaczący osiągnąć skutek“. Poeta przyłożył się także do wydoskonalenia przyrzędów do gaszenia ognia służących, a podczas kilku znaczących pożarów w Weimarze narażał swoją osobę na działanie wściekłego żywiołu, tak że raz brwi mu się przypaliły a woda poparzyła mu palce u nóg. Skłonił też Gete wielkiego księcia wejmarskiego do zaprowadzenia stałej straży ogniowej w całym kraju, i dla niej odpowiedni regulamin przepisał. Wszystko to dokonywał, że tak powiemy, handlujący Gete, gdy tymczasem Gete poeta pisał jednocześnie najświetniejsze utwory fantazyi. Jako praktyczny syn swego wieku, znał się na wartości pieniędzy i żył nie dla poetyzowania, ale pisał poezye aby żył. Pieniądze były dla niego, jak być powinny dla każdego ukształconego człowieka, godziwym środkiem osiągnięcia najpiękniejszych celów życia, ale nigdy celem samym. Pewnego razu mówił on do Eckermana: „Każdy poemat kosztuje mię worek pieniędzy; pół miliona przeszło przez moje ręce; na zdobycie tego co umiem wydałem cały ojczysty majątek, pensję i znaczny

mój dochód literacki do lat pięćdziesięciu. Prócz tego byłem świadkiem, jak przeszło półtora miliona z kasy książąt użyte zostały na wielkie cele dobra publicznego i nauk, w których to przedsięwzięciach brałem większy lub mniejszy udział“.

W podobnych okolicznościach i inni wielcy ludzie okazali owego czynnego, przemysłowego ducha. Szekspir, podobnie jak Gete, był skrzętnym dyrektorem teatru i więcej się chlubił ze swych zdolności w prowadzeniu interesów, niż z dramatycznego geniuszu. Tak przynajmniej należy przypuszczać, zdaje się bowiem, że wielki ten poeta sam w swej niedbałości skromnej, żadnego ze swych nieśmiertelnych dzieł osobiście do druku nie podał, gdy tymczasem dobrze wiadomo, iż z dyrekcyi teatrów usunął się z niemałym majątkiem do swego zacisza.

Tylko ten, kto posiada dostateczne zdolności praktyczne, własną siłą i pomocą los swój zdobędzie i zapewni. Bajka o pracach Herkulesa jest pięknym i najprawdziwszym obrazem ludzkich trudów i powodzeń. Znakomity pedagog szwajcarski Pestalozzi, z którym się niejednokrotnie jeszcze w ciągu tego dzieła spotkamy, za pomocą swej metody chciał uzmysłowić tę prawdę i pokazać drogę wiodącą do szczęścia. Każdy w pałacu czy w chacie zrodzony, od młodości powinien być przyzwyczajany, aby nauczył się polegać jedynie na własnych swych siłach, gdyż wtedy tylko zdobędzie sobie możność działania z prawdziwym pożytkiem, w późniejszym swem powołaniu użycia wpływów i środków mogących zapewnić mu szczęście. Sztuka użycia własnych sił i samodzielność nie rozwijają się wcześniej i prędko, trzeba się w niej ćwiczyć tak jak w każdej innej umiejętności. Przeciwnie w pewnych okolicznościach duch samodzielności upada zupełnie, mianowicie gdy droga życia ściśle nam się zbyt gładko i gdy obca pomoc usuwa wszelkie przeszkody. Lepiej jest stokroć być zmuszonym siłą okoliczności do ciężkiej pracy za młodu, lepiej dojrzewać wśród trudności i przeszkód losu, niż rozleniwieć spoczywając na miękkim posłaniu, oczekując aż pieczone gołąbki same przyjdą do gąbki. Kto w początku poprzestaje na małym i skromnym, temu później większych rzeczy nie zabraknie. Jest to prawda tak jasna, iż nigdy jej zaprzeczycie niepodobna, ale uważać ją należy za jedną z podstaw życia, za najistotniejszy warunek wszelkiego powodzenia. Zwykle to

Pomoc własna.

wypadki w świecie kupieckim, iż tacy, którzy nie posiadają nic więcej jak tylko zdrowe ramiona, chłopski jak to mówią rozum, niepokonaną energię i pilność, prędzej i pewniej idą w górę niż ci, którzy od początku swej handlowej kariery wielkimi środkami pieniężnymi, obszernym kredytem rozporządzają.

W tem miejscu niepodobna wstrzymać się od przytoczenia krótkiego życiorysu Augustyna Spiskiego, którego pamięć żyje jeszcze między nami; znajduje się bowiem mnóstwo kupców, którzy jemu swoją egzystencję dostatnio zawdzięczają. Spiski był synem ekonoma, który jednak nie posiadał żadnego majątku prócz poczciwości, a umierając zostawił rodzinę w ostatniej nędzy. Jedenastoletni Augustyn widząc, iż w okolicy którą zamieszkiwali w Krakowskiem pod Skalmierzem, tylko ciężarem a nie pomocą może być swej matce, postanowił własną pracą poszukać sobie lepszego losu. W tym celu bez żadnych środków, jedynie tylko z błogosławieństwem matki wybrał się do Warszawy, która przedstawiała mu się jak port zbawienny. Silna wiara, szlachetna nadzieja dodawały siły chłopczynie, i tak piechotą, z kilku groszami zaledwie doszedł do bram miasta. Słońce już zachodziło gdy przebywał rogatki, i ani spostrzegł się oszołomiony lasem domów, zgłębkiem i zamętem miejskim gdy noc ciemna zapadła. Pozostał sam jeden bez pieniędzy, nieznany nikomu—na bruku. Znużony przytulił się na schodkach kamiennych u podnóża katedry ś. Jana i zasnął. Nazajutrz po przebudzeniu pierwsza myśl w pobożności wychowanego Augustyna, pociągnęła go do stóp ołtarza w kaplicy Pana Jezusa. Gorąco modlił się chłopiec, a żywe i postawa skromna zwróciły uwagę jednego z modlących się. Zaczął więc wypytować młodego chłopca o szczegóły, a widząc w opowiadaniu prawdę, oceniając siłę woli i mocne postanowienie dojścia pracą i uczciwością do szlachetnego celu, ów pytający zaproponował Augustynowi służbę u siebie w sklepie korzennym. Rozumie się iż dziecię z radością przyjęło miejsce, które mu zapewniało punkt oparcia, dawało środek do utrzymania życia, a nawet uzdolnienie się na pożytecznego w społeczeństwie człowieka. Od tej chwili Spiski nie porzucił już miejsca w którym praktykę rozpoczął. Niejeden z nas jeszcze pamięta na Krakowskiem Przedmieściu ów sklep niski, niepozorny, bez żadnych wystaw eleganckich urządony, ale jakże zasobny we

wszystko co do tej gałęzi handlu należy, jakże głośniejszą używającą sławy z uczciwości i rzetelności swego właściciela. Tam to Spiski się wychował; naprzód jako skromny obłopiec sklepowy, następnie jako subiekt z płacą tysiąca złotych rocznie a w końcu jako właściciel tego handlu.

Ażeby przejść te wszystkie stopnie, ażeby z niczego dojść do znakomitego majątku trzeba było niezmiernie pracy, uczciwości niezem nieposzlakowanej, ciągłej pilności i zabiegliwości rozsądnej. Te przymioty handlowe nie opuszczały go nigdy. Pan krociowych dostatków, nie odstąpił od działalności i zwyczajów, którymi się kierował w pierwszych chwilach swego życia. Sam codziennie w szaraczkowym surducie czystym choć znoszonym, przychodził do sklepu i kierował pracą swych subiektów, baczny na wszystkie żądania przybywających. Żadne opóźnienie w załatwieniu kupującego, żadna niedokładność w wadze lub opakowaniu towaru, bystrego wzroku jego nie uszło. Zwykle za nadejściem pory obiadowej przynoszono Spiskiemu w prostych glinianych dwojczkach posilne ale skromne potrawy, jadał bowiem umiarkowanie, a i wtedy zaspakajając apetyt, bacznie nie przestawał czuwać nad żadaniami zgłaszających się, bez względu czy one wymagają towaru za trzy grosze, czy też za kilkanaście dukatów. Może niejedną z naszych czytelniczek słysząc to pomyśli: to był skąpiec — sknera! Taki sąd byłby błędem.... Spiski pragnący we wszystkich czynnościach uwagi i porządku łaje chłopca, a wtem wchodzi do sklepu damy zbierające kwotę wielkotygodniową. Widząc naczelnika sklepu surowo gromiącego ucznia za niewielką stratę, chcą się cofnąć źle tusząc o sercu i uczynności jego, lecz Spiski spostrzegłszy to, natychmiast chwytając z szuflady rulon stu dukatowy i kładzie na tacę z uśmiechem wskazującym, iż pilnowanie własnego dobra nie przeszkadza być dobroczyнным, lecz owszem mnoży środki skutecznego miłosierdzia. Przytoczony wypadek, jeden z tysiąca, wskazuje dowodnie jak Spiski pojmował swój zawód. Był to kupiec i człowiek w jednej osobie. Skoro tylko uzyskał pierwszą pensję jako subiekt handlowy, pierwszą też jego czynnością było posłać jej połowę swej matce, pozostającą w dawnym ubóstwie. Później, gdy już sklep posiadał, nie tylko że się dzielił dochodem, ale sprowadził rodzinę do Warszawy, a sędziwej matce zapewnił wszelkie należne jej wygody. Szczególną namiętnością Spiskiego było

wyszukiwanie młodych ludzi uczciwych, chętnych do pracy choć ubogich, a wyszukiwanie w tym celu, aby im czynnie pomódz. Śmiało możemy powiedzieć, iż jedna czwarta starszych kupców po prowincjonalnych miastach u niego naprzód przebyła szkołę pracy i uczciwości, a następnie z jego pomocą przyszła do sklepów i posiadała możność prowadzenia na własną rękę interesów. Dziś są to po większej części kupcy starej daty, mający tak wielkie poszanowanie dla swej firmy jak potomkowie najbardziej arystokratycznych rodzin dla herbów, ceniący wysoko rzetelność i uczciwość w każdym stosunku, w każdym interesie handlowym. Świadcząc tyle dobrego swym bliźnim, nie zapomniał Spiski pierwszych kroków swego zawodu. Jednemu z młodych ludzi wypuścił ogrody w kupionych przez siebie Falentach, jedynie z tym warunkiem: aby codziennie dostarczał kwiatów, przeznaczonych do ubrania ołtarza w kaplicy Pana Jezusa w kościele katedralnym w Warszawie.

Widzieliśmy więc żywy a piękny przykład, co może praca i rzetelność, jaką dźwignią są te przymioty w świecie handlowym i jak za ich pośrednictwem z niczego kupiec dochodzi do majątku, fundując nową znaczną firmę. Często się jednak zdarza, iż to, co zbiorą w pocie czoła ojcowie, puszczają lekkomyślnie i tracą niebaczne dzieci.

„Bywa to zawsze—powiada Schulze z Delitzsch—ze czeladnicy i wyrobnicy, zdolnościami, wytrwałością wybijają się z najgłupszego położenia na pierwsze stanowisko w przemyśle, obejmują przewodnictwo najznacześniejszych przedsięwzięć, dochodzą znacznego majątku, lub przynajmniej zapewniają sobie spokojną zamożność. Natomiast spostrzegamy często, iż synowie bogatych rodzin postawieni w najpomyślniejszych warunkach na początku kariery, przez nieudolność, lenistwo, marnotrawstwo, tracą majątek lub zupełnie nikną z widowni przemysłowego świata, albo też zaozerpnąwszy nauki w upadku, na nowo karierę rozpoczynają muszą. Tym sposobem odbywa się ciągła zmiana, ciągłe kołysanie między ostatecznymi położeniami przemysłowców, od wielkiego przedsiębiorcy do najuboższego robotnika i na odwrót. Fakt ten tłumaczy się bezpośrednio pewnymi właściwościami natury ludzkiej. Każdemu wiadomo, iż wywalczenie sobie stanowiska wyższego, mianowicie gdy traf urodzenia stracił w najniższe warstwy społeczne, połączone jest z niezmiernymi trudnościami; ale właśnie dla

tego, dla tych przeszkód i nieprzewidywanych zawał uderza nas widok ludzi, którzy pracą i wytrwałością pomyślnie rozwiązują postawione sobie zadanie w życiu. Leży to w naturze człowieka, iż zdolności jego i przymioty wtedy się tylko w całej pełni rozwijają najdzielniej, gdy zostawimy go o własnych siłach wśród ciężkich prób losu. Z drugiej strony gdy niema konieczności, gdy brakuje podniecia w potrzebie, gdy odziedziczone środki przyzwyczajają do wykonywania zamiarów bez wysilenia—człowiek łatwo ustępuje przed trudnościami, zatracą dążność do zarobkowania, chęć używania podkopuje siłę działalności,—co wszystko znowu prowadzi do osłabienia i demoralizacji. Na tem polega owa równowaga między wyższym a niższym stanem społeczeństwa, równowaga ułatwiająca wzajemne zetknięcie, przejście jednego w drugi, przeniknięcie się wspólne tak wiele przyczyniające się do utrzymania ludzkości w jej stanowisku kwitnacem i postępowem“.

Opowiemy tu jeszcze kilka przykładów z życia kupców i przemysłowców, którzy rozpoczynawszy z niczem, dorobili się pracą i wytrwałością niezmiernych bogactw. Stefan Girard, zmarły w Filadelfii 1831 roku, pozostawił majątku 75 milionów franków. Wyjechał mając lat dwanaście jako prosty okrętowy chłopiec z miasta rodzinnego Bordeaux do Stanów Zjednoczonych i tam niezmierną pracowitością, zuchwałością swych przedsiębiorstw, doszedł do stanowiska pierwszorzędnego kupca w świecie. Podobny bieg życia przedstawia biografia Niemca Jakóba Astera, jednego z najznakomitszych przedsiębiorców i najzamożniejszych ludzi nowszych czasów. Urodził się on w 1763 r. w Waldorf w pobliżu Heidelbergu i był synem ubogich rodziców. Dobiegłszy lat w których młody człowiek puszcza się o własnych siłach, odpłynął do Ameryki na los szczęścia z niewielkim zapasem towarów. W czasie podróży, na statku zapoznał się z jakimś kupcem futer, który przedstawił mu w jaskrawych barwach korzyści wynikające z handlu futrami i skłonił do poświęcenia się w zupełności tej gałęzi kupiectwa. Aster po przybyciu do Nowego Yorku, umieścił się u jednego z najznakomitszych handlarzy futrami, a nabywszy wprawę i stosownych wiadomości, założył naprzód z małym kapitałem własny sklep, który prowadził z takim rozumem, pracowitością i wytrwałością, iż po upływie lat sześciu zebrał około 200,000 dolarów. Z czasem stosunki je-

go rozszerzyły się, sied interesów w gałęzi handlu futrami osnuła świat cały, a jego okręta zwiedzały wszystkie morza i porty. Majętności, które posiadał w Stanach Zjednoczonych, miały większą rozległość niż wiele księstw udzielnych w niemieckiej jego ojczyźnie. Po śmierci, która w 1848 roku nastąpiła, majątek Astera oszacowano na 30 milionów dolarów (240 milionów złotych).

Historia rodziny Rotschildów powszechnie jest znana. Majer Anzelm Rotschild urodził się 1743 roku w żydowskiej dzielnicy Frankfurtu. Mądrością, nadzwyczajną uczciwością i nadzwyczajną wytrwałością położył kamień węgielny bogactw tej rodziny, która przez jednoś i zgodę pomnożyła je w sposób niezmierny, tak że mytyczne skarby Krezusa lub Krassusa, nie mogą żadnego wytrzymać porównania. Jeżeli wierzyć wiadomościom ostatnim, to obecnie majątek ich oceniony jest na 13 miliardów franków, a dochód roczny nie licząc zysków z przedsiębiorstw wynosi 60 milionów franków.

Smutnym to udziałem niedoskonałości ludzkiej natury, iż rzadko bardzo pobudką czynów jest czysta miłość dla tego co słuszne, piękne i dobre; miłość podobna opromienia tylko dusze wybrańców i do niezmordowanych działań pobudza, gdy tymczasem większość pracuje jedynie w celu zaspokojenia codziennych potrzeb, dla tego tylko, że bez trudów nie można takowych innym sposobem osiągnąć. Ale jakie błogosławieństwo spływa na ludzkość z tej konieczności pracy! Rozwój samodzielności rodu ludzkiego rozpoczyna się od chwili, gdy według brzmienia podań Starego Testamentu, ludzie zmuszeni zostali porzucić leniwe życie w raju, aby na wygnaniu w pocie czoła chleb swój spożywać. Tylko przez pracę człowiek osiąga godności swego przeznaczenia, tylko praca czyni człowieka podobnym Bogu, gdyż ona podnosi jego serce, bo przez nią i w niej rozwijają się wszystkie jego fizyczne, moralne i obyczajowe siły pierwotne. „Praca, powiada Diesterweg, jest ćwiczeniem religijnem, jest rzeczywiście ożywiającą i praktyczną modlitwą, gdyż obie zostają w ścisłym między sobą związku.—Modl się i pracuj!—Praca jest najgłówniejszym warunkiem, bo ten kto uczciwie pracuje, modli się też szczerze“. Praca zarówno dla pojedynczego człowieka jak i dla całej ludzkości jest dźwignią, ona, że tak powiemy, jest korzeniem, którym najpożywniejsze soki ciągną narody. Śmiało

możemy utrzymywać, iż byłoby to największym nieszczęściem, gdyby człowiek naraz zwolnionym został od konieczności pracowania i wytężenia sił swoich, i gdyby wszystkie potrzeby, wszystkie życzenia bez pracy mogły się urzeczywistniać. Dla tego też stary arcychrześcijański Arnot, wypisał sobie dewizę: „Lepsze czynne piekło niż leniwy raj!“. Przysłowie mówi: bez pracy nie będzie kołaczy. Rzeczywiście, chcąc jeść trzeba pracować. Praca człowieka wzbogaca. Kto pilnie chodzi około spraw swoich, ten łatwo zapracuje nie tylko na własne utrzymanie, ale i na zaspokojenie go-dziwych i szlachetnych uciech życia.

Kto zaniedbuje się w swoich interesach, ten zamiast naprzód idzie wstecz, a wtedy człowiek sam sobie jest winien, bo jak sobie pościelesz tak się wypiszesz. Zwykle jednak popadłszy w przykre położenie, staramy się uniewinnić rzucając odpowiedzialność na ludzi, losy, okoliczności i wypadki. Pestalozzi, który znał wybornie te zboczenia natury ludzkiej, w swem prawdziwie ludowem dziele *Leinhard i Gertruda*, w usta poprawionego Vogta te wyrazy kładzie: „Poprzednio zdawało mi się zawsze, że wszystko złe którym doznał, było winą innych i nigdy nie przyszło mi na myśl, ilem się własnymi przekroczeniami do tego przyczynił. Wściekałem się więc jak opętany na złośliwych ludzi“.

Ścisłej badając, zawsze niemal przyjdziemy do wniosku, że w ogóle ludzie wiecznie się uskarżający na losy, najczęściej zbierają tylko owoce własnego niedbalstwa, nieporządku, braku przewidywania i wytrwałości w pracy. Doktor Johnson, który do Londynu zaszedł z jedną gwineą w kieszeni, a który w liście do pewnego szlachetnego lorda podpisał się „*Impransus—który nie jadł obiadu*“, otwarcie wypowiedział zdanie swoje w tym względzie. „Wszystkie skargi na świat są niesprawiedliwe; nie widziałem nigdy człowieka zasługi zapoznanego; niepowodzenie zawdzięczamy zwykle samemu sobie“. To cośmy powiedzieli na rachunek spraw naszych, rzecz można o tak zwanej zaniedbanej przez świat i ludzi zasłudze. Waschington Irving, znany autor amerykański pisze: „Wszystko co mówią w przedmiotach nieocenionej zasługi, jest aż nadto częstą wymówką ludzi niedołężnych i niezdolnych, dla zrzucenia na ogół swego niepowodzenia. Przyznać też trzeba, że skromna zasługa często jest niedbałą, nieczynną, albo też bez nauki. Ale talent dojrzały w nauce i pracy, zawsze jeśli

tylko zechce, znajdzie pole działania i nie powinien czekać aż go wynajdą w ciszy ogniska domowego. W gruncie jest wiele obłudy w skargach na świat, że wszystko wybaczają śmiałkom występującym naprzód i chępiącym się ze swych powodzeń, a zapomnieniu pozostawia ukrywającą się zasługę. Dowiedzionem jest, że śmiałkowie na których tak narzekamy, bardzo często obdarzeni są przymiotami niepospolitymi, to jest energią i niezmordowaną działalnością, bez których zasługa jest polem leżącym odłogiem. „Użyteczniejszy jest pies który szczeka od śpiącego lwa“.

Rosyjskie przysłowie mówi: „nieszczęście sąsiaduje z głupotą“, a kto otwartymi oczyma obejrzał się po świecie, ten musi przyznać prawdziwość słów naszych. Główną więc przyczyną ludzkich niepowodzeń jest niedostateczne wykształcenie, a nie tylko ogólne ale i owych przymiotów, które nazywamy handlowymi i od których zastosowania powodzenie losu zawisło. Rodzice bacznią winni na nie zwracać uwagę, tak w wychowaniu chłopców jak dziewcząt, nadając im kierunki o ile możliwości praktyczne, a z rzeczywistością zgodne.

Pilność, uwaga, dokładność, punktualność, porządek, oto mniej więcej główne przymioty handlowe, których każdy w swym czy to kupieckim czy innym zawodzie potrzebuje i im powodzenie i pomyślność zawdzięcza. One to tworzą wraz z uczciwością i prawością posadę szeroką, fundament, na którym budynek ogólnego moralnego i materialnego dobrobytu śmiało wznieść można — a trwać będzie wieki!

Liczne przykłady wielkich pracowników na polu przemysłu, sztuk i nauk, które na poprzednich kartach mniej więcej wyczerpująco przytoczyliśmy, przekonywują nas dostatecznie o wielkiem znaczeniu pilności. Każda chwila potwierdza prawdziwość słów Beniamina Franklina: „że pilność jest matką szczęścia i że Bóg pilnemu wszystko daje“. Wielki ten amerykańczyk kładzie w usta biednemu swemu Ryszardowi ¹⁾ następujące wyrazy: „Lenistwo wszystko utrudnia, pilność ułatwia. Lenistwo pełza tak powolnie, że ubóstwo łatwo doścignąć je może. Lenistwo równa się rdzy, która więcej zużywa aniżeli praca; klucz, który jest w ciągłym używaniu, nie traci nigdy blasku. Przy pracy i wy-

¹⁾ Taki tytuł nosił kalendarz przez Franklina wydawany.

trwałości myszka drobna przegryza potężną linę, powtarzane cięcia obalają największe dęby. Z próżnowania płyną troski, z niepotrzebnego odpoczynku — przykrości“.

Uwaga i gruntowność są również niezbędne dla pomyślności w życiu — gruntowna uwaga w spostrzeganiu, mowie i wszystkich uczynkach to warunki pomyślnego osiągnięcia celu. Każda robota niechaj będzie wykonywana o ile można doskonale, bo nierównie korzystniej dokonać małej rzeczy we wszystkich jej częściach troskliwie i dokładnie, aniżeli wielkiej powierzchownie.

Niedokładność, brak gruntowności, które niestety zbyt często w życiu się przytrafiają, są to odwieczne przyczyny nieporozumień i błędów, słowem całego zastępu małych i wielkich dolegliwości. Słyszeliśmy niedawno z ust jednego bardzo praktycznego człowieka uwagę: „Jest to zadziwiająca rzecz, jak mało napotkałem ludzi, którzyby byli w stanie dać dokładną definicję swoich pojęć“. Uwaga ta stosuje się do znacznej większości ludzi. Zadaniem mowy jest wyrażenie naszych myśli i pojęć. Ponieważ zaś mało osób głęboko myśli i z pojęć swych dokładnie sprawy sobie zdaje, powstaje złąd bardzo naturalny skutek, że mało kto umie dokładnie mówić, ściśle się wyrażać.

Wina za tę jałowość umysłów spada, ile nam się zdaje, na błędny system domowego wychowania dzieci. Dopóki, zamiast rozbudzać władze ich umysłu, zaprzętać się będziemy obciążaniem ich pamięci, zmieniając ją w martwą maszynę, dopóty dokładność i logiczność w myśleniu, mowie i działaniu nie staną się przymiotami ogółu, ale tylko wyjątków. Niedokładność czyli nielogiczność w myśleniu przechodzi na rozmaite nasze czynności i wtedy, mianowicie w czynnościach handlowych, niemałą nam wyrządza szkodę. Chociażby kto pod każdym względem był rzetelnym i zdolnym, jednak zaufania nie obudzi, jeżeli posiada nałóg niedoskonałości; wszystkie jego prace muszą być ściśle przeglądane, bo polegać na nim nie można; jego niedokładność spowodowana bezustannie niepokoję, zwłoki, zawody i niepotrzebne trudy.

Do charakterystycznych przymiotów znakomitego angielskiego męża stanu Karola Jakóba Foxa należało to, że we wszystkim cokolwiek tylko przedsięwziął, postępował z nadzwyczajną dokładnością. Kiedy już był sekretarzem stanu, ktoś zganił jego charakter pisma. Fox natychmiast

przyjął sobie nauczyciela kaligrafii i pisał ze wzorów jak uczeń pierwszej klasy, dopóki pisma swego dostatecznie nie poprawił. Pismo wyraźne i czytelne jest niemniej ważne, jak mowa głośna i zrozumiała. Praktyczny kupiec, który tak wiele ma do pisania, szczególną przywiązuje wagę do dobrego charakteru piśmiennego i względ ten kieruje nim często przy wyborze pomocników handlowych. Tymczasem uczeni i tak nazwani wielcy ludzie z niepojętych dla nas powodów szukają często chluby w tem, ażeby pisać o ile można niezrozumiale, nieczytelnie, hieroglificznie; pismo ich wydaje się jakby jakaś niekształtna masa punkcików, kresków i zakrętów, które niekiedy wcale, a często dopiero za pomocą szkła powiększającego odcyfrować można. Kto sądzi, że nieczytelnym pismem obudzi uszanowanie dla swego rozumu i posądzonym będzie o głęboką uczoność, ten się bardzo myli. W piśmie przeznaczonem do wyłącznego użytku piszącego, może każdy bazgrać jak mu się żywnie podoba, ale żądać od obcych, ażeby pismo czyjeś raczej odgadywali, aniżeli czytali, jest oznaką złego wychowania piszącego i naruszeniem praw przyzwoitości, jakie się należą od nas każdemu naszemu bliźniemu. Każdy więc, czy to minister, czy wieśniak, uczony czy prostak, może i powinien nauczyć się pisać niekoniecznie pięknie, ale czytelnie. Lord Palmerston nie uważał za ujmę swej godności ministeryalnej, w jednej po za parlamentarnej mowie rozwodzić się nad właściwym użyciem piór stalowych. „Charakter piśmienny, powiada między innemi, musi przedewszystkiem być czytelny; czy pięknie lub niepięknie wygląda, to już rzecz obojętna.“ Całą sztukę pisania streszcza on w następującej wskazówce: „Pisz duże litery i niech każda z nich będzie regularnie ukształtowaną.“ Kupcy i prowadzący interesa ulżyliby niemało trudów sobie i innym, gdyby się w ogóle więcej starali o dobry charakter piśmienny.

Każda praca może być ułatwioną i przyspieszoną przez metodę, czyli wykonywanie danych czynności według obmyślanego planu; skoro bowiem wszystko dokonane zostanie według należytego porządku, to natralnie można pracować szybciej, a skutkiem tego i więcej. Dzieje się to podobnie, jak przy pakowaniu kufra; kto ma większą w czynności tej wprawę i pojedyncze przedmioty umie właściwie poukładać, ten nierównie więcej do kufra zmieści, aniżeli ten kto wprawę tej nie posiada. Jednego z francuzkich mi-

nistrów, który z czynnościami swemi załatwiał się zawsze codziennie t. j. nie miał żadnych prac zaległych, i który nadto miał jeszcze czas uczęszczać regularnie na zabawy, zapytano w jaki sposób sztuki tej dokazać może, w jaki sposób jest w stanie godzić pracę swoją z zabawą. „Rzecz to bardzo łatwa do wytłumaczenia“ odpowiedział „nie odraczam nigdy do jutra czynności, która ma być dziś załatwioną.“ — Znajduje się jednak wielu, którzy przeciwnie postępują, wszystko na później odkładają i nakoniec gromadzi się im tyle zaległości, że tracą wszelką ochotę i możność wyrobienia tego, w czym się zapoznili. Taka metoda prowadzi nie do pomyślności, ale do ruiny. Ludzie opieszali lubią uporządkowanie swoich czynności spychać na innych, na których nie zawsze z pewnością liczyć można. Interesami swymi trzeba się samemu zająć. „Oko pańskie koniutuczy,“ mówi przysłowie polskie. Biedny Ryszard (Franklina) w następujący odzywa się sposób: „Jedno *dzisiaj* więcej jest warte jak dwa *jutro*; co masz jutro robić, rób dzisiaj. Jeżeli chcesz interes jakiś *dobrze* załatwić, to chodź za nim osobiście, jeżeli *źle* — to wyręcz się osobą trzecią.“ Pewien właściciel ziemski przez próżniactwo i złe gospodarstwo tak podupadł, że dla zaspokojenia swych wierzyteli, musiał sprzedać połowę swoich dóbr, przynoszących około 20,000 złp. rocznego dochodu, a drugą połowę wydźwiznąć na lat 20. Termin dwudziestoletni jeszcze nie był upłynął, kiedy pracowity dzierżawca, płacąc pewnego razu dziedzicowi czynsz dzierżawny, zapytał się czyby czasem dóbr swych nie chciał sprzedać. „Czy pan je kupić chcesz?“ zapytał się zdziwiony dziedzic. „Gdybyśmy się mogli zgodzić co do ceny, to bardzo chętnie.“ „To mnie dziwi, nadzwyczaj dziwi,“ odpowiedział dziedzic, „wyjaśnijże mi pan, proszę, jakim to sposobem diać się może, że ja utrzymać się nie mogłem, jakkolwiek ciągnąłem dochody z majątku dwa razy tak rozległego, z którego nie potrzebowałem płacić czynszu dzierżawnego, a pan korzystając tylko z połowy dawnego mego majątku i płacąc regularnie 8,000 złp. rocznej dzierżawy, dorobiłeś się do tego stopnia, że jesteś w stanie kupić dobra.“ „Rozwiązanie tej zagadki jest bardzo proste,“ odpowiedział dzierżawca. „Pan siedziałeś sobie spokojnie i wołałeś tylko: *idźcie do roboty!* Ja jestem w ciągłym ruchu i wołam: *pójdźcie do roboty!* Pan leżałeś sobie w łóżku i ży-

Jeś tylko na to aby używać, ja już bardzo rano jestem na nogach i w ciągłej pracy."

Walter-Scott pisał do pewnego młodego człowieka, który zasięgał u niego rady: „Staraj się pan zawsze o zajęcie użytecznymi czynnościami, i nie trwój czasu na błahostki. Hasłem pańskim niech będzie ciągle: działać! To co zrobionem być musi, zrób natychmiast; wypoczynkowi i przyjemnościom oddawaj się zawsze po pracy, a nigdy przed pracą. Podczas marszu kolumny wojska, w tylnych szeregach powstaje nieład, jeżeli przednie nie postępują ciągle i bez przerwy. Zupełnie tak samo rzecz się ma z wszelkimi innymi czynnościami. Jeżeli to, co mamy wykonać na początku, nie zostaje punktualnie, troskliwie i regularnie załatwione, to nagromadza się tyle pracy, masa zaległości staje się tak uciążliwą, że już niepodobna dać sobie z niemi rady."

Właściwe ocenienie czasu jest może najdzielniejszym bodźcem gorliwej i szybkiej pracy. Pewen filozof włoski nazwał czas swoim polem, które bez troskliwego zagospodarowania nie pożytecznego nie wydaje, ale dobrze uprawiane wynagradza z pewnością pracę pilnego sowicie. Zostawiając pole to odłogiem, zbierze się z niego tylko zielisko i wszelkiego rodzaju jadowite chwasty. Bezustanna, użyteczna praca już dla tego samego jest nadzwyczaj zbawienną, że odgania od pracującego złe myśli i szkodliwe zamiary; bo zaiste lenistwo jest początkiem wszelkich występków i siedliskiem złego.

Kupcy wyznają zasadę: czas — to pieniąż! Tak samo mógłby powiedzieć uczony: czas — to nauka! a artysta: czas — to sztuka! Każdy z nich miałby słusność. Bo jak przestrzeń jest ogólnym polem ruchu, tak czas jest ogólnym polem wszelkiego rozwoju. „Jeżeli miłujesz życie, powiada Biedny Ryszard, to nie trwój czasu, bo on jest materyałem z którego życie jest utworzone. Ileż to marnujemy czasu, sypiąc dłużej aniżeli potrzeba tego wymaga; zapominamy o tem, że śpiący lis nie złowi kury, i że w grobie będziemy mieli dość czasu do spania." Jeżeli czas jest najdroższym ze wszystkich skarbów, to zmarnowany czas jest największym marnotrawstwem, bo czas stracony nigdy nie wraca. Sztuka życia jest to właściwa sztuka umiejętnego używania czasu i wykonywania wszystkiego w właściwej chwili. Wszystko pod słońcem ma swoją porę, mówi Biblia, i wiele

na tem zależy, ażeby czas ten dobrze zużytkować. Co w młodości zostało zaniedbane, to w późniejszym wieku trudno jest dogonić, a często nawet niepodobna, czyli jak się lud wyraża: „czego Jasio się nie wyuczył, tego Jan już nigdy nie będzie umiał." Całą naukę o dobrem używaniu czasu można streścić w tych kilku wyrazach: „Cokolwiek robisz, to rób dobrze i w właściwej porze." Gospodarski użitek czasu jest najwygodniejszą i najnaturalniejszą drogą do zyskania wczasu, i uskutecznienia wszystkich swych czynności spokojnie i zupełnie. Natomiast tryb życia nie obchowujący się dokładnie z czasem, powoduje gorączkowy pośpiech, niepokoje, kłopoty i zamieszanie, a całe życie staje się nagromadzeniem trudności, które zwykle złe skutki za sobą prowadzą. Angielski admirał Nelson; zamówił pewnego razu towary u kupca, i prosił go usilnie, ażeby mu je o godzinie 6-ej z rana odesłał. „Będę miał zaszczyt obojście milordowi odnieść punktualnie o 6-ej rano." Nelson pokiwał głową i odpowiedział z uśmiechem: „To nie dość, powinienieś się pan u mnie znajdować o kwadrans wcześniej." „Dobrze, milordzie, stawię się u wrot pańskich punktualnie o trzy kwadranse na szóstą." „Dobrze, kochany panie, lepiej zawsze o kwadrans wcześniej, temu kwadransowi zawdzięczam wszystko dobre i użyteczne, co w życiu mojem zrobiłem."

Nic nie budzi większego zaufania, jak punktualność, i nic bardziej takowego nie niweczy, jak brak tego przymiotu. „Punktualność—powiedział Ludwik XIV—„jest to grzeczność królów." To też punktualność jest jednym z warunków, bez których nie może mieć miejsca powodzenie w zawodzie kupieckim. Kto swoją obietnicę w oznaczonym czasie spełnia i nie każe na siebie czekać, ten składa dowód, że musi szanować i cenić cudzy i własny czas. Punktualność jest środkiem okazywania szacunku naszego wszystkim tym, z którymi jesteśmy w stosunkach. Punktualność jest także dowodem sumienności, gdyż każda obietnica jest wyraźnem lub domyślnem zobowiązaniem; kto takowego nie spełnia, ten jest niesłownym i własny honor oraz sławę na szwank wystawia. Dochodzimy do wniosku, że kto niedbale z czasem się obchodzi, ten i w interesach swych niedbałym być musi, i że w ważnych okolicznościach żadną miarą na zaufanie nie zasługuje. Gdy jeden z sekretarzy Jerzego Waschingtona, usprawiedliwiał się przed nim pewne-

go razu ze swego spóźnienia i winę na zegarek zwałił, Waschington spokojnie mu odpowiedział: „Albo pan się postaraj o inny zegarek, albo ja się postaram o innego sekretarza.“

Przymiotem niemniej ważnym, jak punktualność i będącym niejako fundamentem — jest porządek. Jakiż to zadziwiający ład panuje w gospodarstwie natury! Porządek w życiu jest to ów niewzruszony biegun magnesowy podczas srożącej się burzy, czerwona nie snująca się widocznie w pasmie różnorodnych wypadków codziennego życia. Do utrzymania porządku w interesach czy to skromnych, czy rozległych kupieckich lub przemysłowych, konieczne jest prowadzenie ksiąg. Jedną z najczęstszych przyczyn dla których wielu przemysłowców w interesach swych nie posuwa się naprzód ale przeciwnie cofa w tył, jest niedbałe prowadzenie ksiąg, nieznajomość własnych przychodów i rozchodów, wierzytelności i długów. Chociażby zakres interesów był jak najmniejszy, jak najskromniejszy, porządek panować w nim powinien. Do porządku zaś należy zapisywanie do osobnej książki wszystkiego tego, co majątek nasz pomnaża lub uszczupla, ażeby w każdej chwili można mieć dokładny obraz stanu swoich interesów. Któż może bez tej znajomości robić oszczędności w domowym życiu, jeżeli takowe okazują się niezbędnymi? Jeżeli każda pozycja jest zapisana, łatwo znaleźć można te, które przy niekorzystnym stosunku dochodów do rozchodów, w przyszłości zmniejszone być powinny dla doprowadzenia zachwianych interesów do równowagi. Myli się bardzo ten, kto sądzi, że może się pod tym względem spuścić na swoją pamięć. Nie wystarczy ona przy najmniejszym nawet interesie. Jeżeli długi są zanotowane, to przypominamy sobie łatwiej o potrzebie zapłacenia ich, i staramy się o to, ażeby zaspokojenie nastąpiło w właściwym czasie, przez co utrwalamy nasz kredyt i w razie potrzeby, znajdujemy znowu wspierających nas chętnie pożyczycieli. Tak samo staramy się we właściwym czasie zrealizować nasze wierzytelności jeżeli takowe są zapisywane; przez co wyświadczamy przysługę i dłużnikom naszym, bo zaniedbanie ze strony wierzycieli i zbyttnia ich pobłażliwość czynią często złych dłużników z tych, którzy zapłaciliby drobne sumki, gdyby we właściwym czasie o nie się upominano, wielkich zaś przez czas nagromadzonych i zaległych długów, przy najlepszych nawet chęciach uiścić

już nie są w stanie. Czyż nie brak dokładnej buchalterii jest często przyczyną, że kupiec nie znając dobrze wysokości swych przychodów i rozchodów, nakłada na swe towary ceny albo tak niskie, że sam się rujnuje, albo tak wysokie, że kupujących od sklepu swego odstrasza? Coż nas bardziej ostrzega o niebezpieczeństwie grożącym majątkowi naszemu, jak księgi rachunkowe? W jakież to opłakane położenie popadła już niejedna rodzina, gdy umarł nagle ojciec, który buchalterię swoją w głowie tylko prowadził, albo wreszcie zostawił tylko dorywcze na świstku spisane wiadomości o stanie swego majątku?

A jednak bardzo mało trzeba czasu do prowadzenia skromnej książki przychodów i rozchodów, wierzytelności i długów.

Wyliczone tu przedmioty stanowią, że tak rzecz można, zewnętrzne czyli mechaniczne warunki wszelkiej skutecznej działalności kupieckiej. Do nich przyłączyć jeszcze należy rozagę, przezorność, dyskretność, szybkie postawienie i wytrwałość w uskutecznianiu powziętych zamiarów. Takt towarzyski jest również ważnym przymiotem przemysłowca, i jakkolwiek wzrasta wraz z człowiekiem i przez dobre wychowanie od dzieciństwa wszczepionym być powinien, to jednak można go sobie i w późniejszym wieku przyswoić lub wielce wykształcić przez pilną obserwację i doświadczenie.

Wszakże cały ten ryzsztunek przymiotów kupieckich staje się narzędziem kradzieży w ręku nierzetelnego — i tylko w połączeniu z charakterem uczciwym, przynosi zbawienne skutki. *Najważniejszym, najkorzystniejszym i najbardziej uszczęśliwiającym przymiotom kupca — jest rzetelność.* Uczciwy zarabia najwięcej i zachodzi najdalej. Uczciwość, tak samo jak dobra moneta na całym świecie popłaca. Doświadczony pewien kupiec daje uczniowi, swemu następującą radę: „Miarą niechaj będzie lepiej za duża aniżeli za mała, a pewnie źle na tem nie wyjdiesz.“ Jeden z najznakomitszych piwowarów w Anglii — przypisywał powodzenie swe tej głównie okoliczności, że zawsze dużo siodu dodawał. Idąc od kadzi do kadzi i z każdej kosztując, zwykł był powtarzać. „Jeszcze za cienkie, dodajcie jeszcze po miarze siodu.“ Piwo też jego było wybornym napojem i przyniosło mu uczciwe imię i bogactwo. — Uczciwość w sławie i czynie powinna być kardynalnem prawem dla kupca, fundamentem

wszelkiej jego działalności i wszelkich przedsięwzięciach; ona powinna dla kupca i przemysłowca być tem samem, czem sława dla żołnierza, miłość dla chrześcijanina. Uczciwy rzemieślnik szuka zaszczytu w dokładnem uskutecznianiu swej roboty. Rzetelny fabrykant zyskuje na dokładności i przystępności swych wyrobów, kupiec taniością i przystępnymi warunkami klientów—dobre imię i korzyści materialne.

Żaden zawód nie wystawia charakteru człowieka na takie próby, co kupiectwo. Tu narażone bywają na pokusy najszlachetniejsze przymioty duszy człowieka, a kupiec który z tej walki mozolnej wychodzi niesplamiony, zasługuje na nie mniejsze uznanie, jak żołnierz, który nie stracił odwagi na polu bitwy. Według nas owym tysiącom ludzi, czynnych we wszystkich częściach handlu oddać można świadectwo, że pokusom w ogóle z honorem się opierają. Jeżeli tylko na chwilę się zastanowimy, jak niezmierna jest masa obcej własności, przechodzącej codziennie w postaci towarów albo gotówki przez ręce kupców, ich subiektów i wszelkich pośredników, kasyerów, meklerów i t. p., którzy zwykle sami znajdują się w miernym stanie majątkowym, i jeżeli z drugiej strony zauważymy, jak pomimo to rzadko się przytrafiają nadużycia, — przyznać będziemy zmuszeni, że ta każdodziennie na tysiącnych przykładach dowiedziona uczciwość w olbrzymim ruchu handlowym, największy przynosi zaszczyt naturze ludzkiej. Widzimy w tem zwycięztwo, którem słusznie szczycić się możemy. A ta zasada obyczajowa zmieniła się już w świecie kupieckim — okrzyczanym tak powszechnie za wyłącznie materialny — w systemat, zwany kredytem, który jest milczącym uznaniem powszechnej uczciwości i na całym świecie ma zastosowanie. Kredyt byłby pewno za cud uważany, gdyby nie był zjawiskiem codziennem. — „To na szczególną w kredycie zasługuje uwagę, powiada Schulze-Delitzsch, że fundamentem jego jest zaufanie w uczciwość i pracowitość ludzi. I w ten sposób w dziedzinie ekonomicznej, z której nieświadomi rzeczy wyłączają wszelkie szlachetne objawy, panuje pocieszające i wzniosłe prawo: że największa część przemysłowych stosunków polega wszędzie na kredycie, czyli innemi słowy: na wierze i zaufaniu. Widać, że prawo to jest korzystne dla rozwoju życia ekonomicznego, kiedy ludzie wsparci na niem podnoszą się ciągle na coraz wyższe szczeble.“

Jakkolwiek duch uczciwości jest we wszystkich gałęziach handlu zjawiskiem powszechnem i pocieszającym oraz ciągle większe przybiera rozmiary, to nie można wszakże zamilczeć o tem, że niestety mimo to jeszcze zbyt wiele zdarza się wypadków zuchwałego oszustwa i przemieszczenia, popełnianych przez niesumiennych spekulantów, pragnących najkrótszą i najmniej mozolną drogą zapełnić swoje kieszenie. Znajdujemy niestety! kupców nieprawnie wyzyskujących swoich klientów nakładaniem wysokich cen, albo fałszowaniem towarów, kasyerów uciekających z pieniędzmi swych pryncypałów, fabrykantów dostarczających igieł bez uszek, żelaznych zamiast stalowych wyrobów i t. p. Ale podobnie niegodziwe zamachy na wiarę publiczną, które zwykle tym lub owym sposobem na złe wychodzą samym sprawcom, należą już Bogu dzięki do wyjątków. Ci, co nie cofają się przed tak nędznymi środkami dla naładowania swych skarbów złotem, nie są w stanie nawet przy pomocy wszystkich swych skarbów pozyskać choćby na chwilę to, bez czego i najbogatszy jest tylko nędznikiem — uczciwego charakteru i czystego sumienia. „Łotr ten oszukał nie mnie, ale własne swe sumienie“ — powiedział biskup Latimor o pewnym nożowniku, który go oszukał na cenie. — Bogactwa zyskane przez lichwę, podstęp, lub inne niemoralne środki, olśniewają wprawdzie na chwilę ludzi niemyślących ale niebawem nadchodzi pora, w której gaśnie ten blask zapożyczony, podobny do gry kolorów w bańce mydlanej i pozostaje tylko najgłębsza pogarda dla zubożonego oszusta.

Być może, że człowiek sumienny nie wzbogaca się tak prędko jak niesumienny i nieuczciwy. Ale za to jego pomysłowość jest czysta i szlachetniejsza; może się nią serdecznie cieszyć, należytem jej użytkowaniem przynieść rzeczywiste szczęście i sobie i innym.

A choćby znaczne zabiegi na chwilę nie odniosły skutku — przy uczciwości wszakże pozostać należy z niewzruszoną wytrwałością, bo szczęśliwy ten, kto utraciwszy wszystko ocalił wszakże nieposzlakowany charakter, już sam przez się będący nieocenionem bogactwem.

Dla wykazania, iż to wszystko, co się dotąd powiedziało o warunkach koniecznych dla wzorowego kupca, w życiu się urzeczywistnia, przytoczymy biografie kilku znakomych kupców i przemysłowców, z których nasi han-

dlujący wszelkich gałęzi przykład brać mogą i powinni. Piotr Hasenclever—kupiec pelen twórczego ducha—urodził się w r. 1716 w Remscheid, w księstwie Berg, gdzie jego ojciec był właścicielem fabryki żelaza. W siódmym roku oddany był do dziadka, który w Lennep posiadał fabrykę wyrobów bawełnianych. Tu należało do ulubionych zatrudnień wzrastającego chłopca, po ukończeniu lekcji, przyglądać się pracy tkaczy, a ciągle widok robotników wszechpił w jego duszę zamilowanie i przyzwyczajenie pracy. W szkole uchodził za jednego z najpilniejszych uczniów i już tu pokazał, jaki kierunek charakter jego przeważnie przybierze, bo głównie upodobał sobie naukę geografii, opisy obcych krajów i obyczajów. Ojciec chciał go przyjąć do uczestnictwa w swej fabryce, gdyż był przekonania, że kupiec, który chce zostać fabrykantem, powinien we wszystkich częściach fabrykacji nabierać praktycznego doświadczenia, i dlatego skoro Piotr obeznał się gruntownie z rachunkowością i buchalterią umieścił go w swej kuźni. Czternastoletni chłopiec musiał jak prosty terminator przejść wszystkie stopnie fabryczne. Tu czekała go ciężka praca, skromne pożywienie i twarde łóżce. Sam wyznaje, że robota, którą go obciążano, przechodziła prawie siły słabego ciała. Z małemi przerwami pracował od 5-ej rano do 9-ej wieczór; śniadania i obiady jadał stojący i dopiero wieczorem spożywał wraz z robotnikami spokojnie porządną kolację. Lecz jakkolwiek ciężkie były lata terminatorskie—w skutkach okazały się wszakże zbawiennymi. Hasenclever przyznaje w późniejszych latach, że pracowity tryb życia wznosił słabe ciało i uzdolnił do zniesienia niewygód podczas licznych podróży. Towarzysze jego podróży skarżyli się zwykle po złych hotelach na jedzenie, on zaś wszystko smacznie zjadał i nie mu niezaszkodziło. Dla niego najtwardsze łóżce było jeszcze dość miękkim i wygodnym; niepogody i złe drogi bynajmniej humoru mu nie psuły. Powiadał często: „że życzy wszystkim rodzicom, aby przyzwyczajali dzieci swoje do złej strawy i do znośzenia niewygód, bo większa część ludzkiego szczęścia polega na możliwości stosowania się w każdym czasie do wszelkich okoliczności.“

Gdy Hasenclever w dziewiętnastym roku odbył pierwszą podróż do Paryża, poznał się w drodze z pewnym czcigodnym starcem, który młodzieńcowi dał następującą naukę: „Mój panie, jesteś jak widzę cudzoziemcem

w tym kraju i odwiedzasz może Paryż, ażeby widzieć wielką i piękną stolicę Francji i zapoznać się z obyczajami naszego narodu. Pozwól mi pan, ponieważ jesteś młodym i świata jeszcze nie znasz, ażeby cię zaopatrzyć na drogę w niektóre prawidła życia i przestrogi użyteczności, o których przekonałem się z długiego ciągu doświadczeń. Byłem dawniej lekarzem i miałem rozległą praktykę, teraz z pomocą boską tyłem zaoszczędziłem, że mogę resztę moich dni w spokoju i zadowoleniu przepędzić; mieszkam na wsi. Pamiętaj pan o tem dobrze: kto chce na świecie zachować zdrowie i być szczęśliwym, ten musi się głównie trzech rzeczy wystrzegać: pijaństwa, gry i towarzystwa płochych kobiet. Z pijanstwa wynikają łatwo wszystkie inne występki. Podczas mojej praktyki leczyłem tysiące młodych ludzi, którzy z tych powodów stracili zdrowie i szczęście; wielu z nich umarło, reszta zachowała na całe życie zrujnowane zdrowie. Stosuj się pan do mojej rady, a w starości z wdzięcznością o mnie wpominając będziesz.“—Prestroga ta utkwiała w umyśle młodzieńca. Hasenclever przeszedł pieszo całą Francję aż do Pireneów, i powtórzył następnie tę samą podróż pięć razy w interesach swego ojca, który przez bankructwo kilku domów wiele ucierpiał majątkowo, a to do tego stopnia; że synowi swemu, gdy ten opuścił dom rodzicielski, ażeby o własnych siłach szukać szczęścia, nie mógł nic więcej dać, jak swe ojcowskie błogosławieństwo. Ale Piotr pomimo-to nie był ubogim opuszczając dom rodzicielski, bo jego serce było bogate w dobre zasady, a jego kapitał nakładowy obejmował wszystko, czego samopomoc wymaga: *odwagę, pracowitość, pilność i uczciwość.*

W roku 1742 Hasenclever został agentem podróżnym w przedsiębiorstwie swego krewnego, który pod Akwizgraniem posiadał fabrykę tytoniu. Objeżdżał Francję, Saksونیę, Śląsk, Polskę, Rosyję i niesłychanie powiększył odbyty fabryki rozumną swoją działalnością. Na Śląsku wyuczył się przemysłu płóciennego, któremu później miał oddać ważne przysługi; wysłał nawet próbki szląskich płócien do stryja swego Antoniego Hasenclever, kupca w Lizbonie, przez co otworzył dla tego towaru nowy, korzystny rynek, z którego i sam później korzystał. Gdy po długiej podróży po Hiszpanii i Portugalii powrócił do Akwizgranu i przypomniał swemu krewnemu daną mu przez tegoż obietnicę, że go przyjmie jako spółnika do swego przedsiębiorstwa,

ten mu odpowiedział, że ma pięciu synów, dla których ma większe niż dla niego obowiązki. Niewdzięczny ten człowiek w zamian za wyświadczone mu wielkie usługi nietylko nie przypuścił Piotra do udziału w korzyściach, ale kazał mu nawet zapłacić połowę kosztów podróży. Hasenclever, rozgniewany takim niesprawiedliwym postępowaniem, porzucił interesa swego krewnego. Zawiązał korespondencją ze swoim stryjem w Lizbonie, który był gotów przyjąć go za spółnika, jeżeli włoży do wspólnego handlu 8,000 guldenów. Hasenclever nie posiadał nawet połowy tego; ale jego wzorowe sprawowanie się, uczciwość i niezmordowana gorliwość kupiecka, zyskały mu zaufanie obcych ludzi; kupiec Franquinet w Verviers pożyczył mu potrzebną sumę, uważając za dostateczną rękojmię jego uczciwość i pracowitość. Gdy przybył do Lizbony, stryj już nie żył, a interesa znajdowały się w rękę dwóch kuzynów. Połączył się z nimi pod firmą Lang i Hasenclever, ożenił się i żył cztery lata szczęśliwie. Następnie wystąpił ze spółki i połączywszy się z jakimś Piotrem Zimmermannem założył nowe przedsiębiorstwo kupieckie w Kadyksie. — Ażeby ulżyć ojcu w utrzymaniu licznej rodziny, szlachetny syn wziął na siebie wychowanie trzech najmłodszych braci.

Horyzont polityczny Europy w owym czasie coraz bardziej się zachmurzał, a skutkiem tego i położenie świata kupieckiego było niepewne i niebezpieczne. Liczne bankructwa rozniosły przestraszyć w świecie handlowym, ale Hasenclever nie stracił ani na chwilę przytomności umysłu i zwycięzko wszedł z tej próby. Chęć ożywienia ducha przedsiębiorczego swoich kolegów za pomocą osobistego wpływu i dodania im odwagi do znakomitych przedsięwzięć, niemniej życzenie naocznego oglądania najznakomitszych fabryk w Europie—spowodowały go do odbycia długiej podróży po Francji, Anglii, Holandji i Niemczech. Jak bardzo temu dzielnemu mężowi leżało na sercu, ażeby obok własnych korzyści przyczynić się i do pomyślności innych, a także do wzrostu krajowego handlu i przemysłu, pędził ta najwymowniej udowodniła. I tak: kupił we Francji partję płótna i rozdzielił ją po fabrykach szlążkich dla nauki i zachęty tamecznych tkaczy. Tak samo wpływał w Osnabrück na polepszenie przemysłu płóciennego, wprowadzając tam francuzki sposób fabrykowania, przez co dobroć wyrobu podniosła się o 25%, a w tym samym stosunku

i odbył. Gdy go w Berlinie wezwano do narady w przedmiocie środków podźwignięcia handlu szlążkiego, Hasenclever zrobił uwagę, że w Hiszpanii i Portugalii skarżą się bardzo na niejednostajną szerokość szlążkich płócien, przez co odbył ich znajduje przeszkody; w skutek tej uwagi rząd pruski wydał szczególne rozporządzenie dla ujednolajnienia szerokości płócien. W ciągu tej podróży umysł swój w różnych kierunkach wzbogacił i widnokrąg swych wiadomości rozszerzył, tak że stał się pierwszorzędnym kupcem w ścisłym znaczeniu tego słowa. Powróciwszy do Kadyksu, zastał kilka niemiłych dla siebie niespodzianek. Spółnik podczas jego nieobecności źle gospodarował; Hasenclever rozłączył się więc z nim i zawiązał spółkę z dwoma innymi kupcami. Stosunki jego z Ameryką znacznie się ożywiły, jak niemniej handel szlążkiem płótnem, do którego dawniejszą swoją przesyłką dał pierwszy popęd. Roczny dochód wynosił kilka milionów. Ale zdrowie Hasenclevera pod wpływem gorącego południowego klimatu zostało zachwiane, musiał więc za radą lekarzy przenieść się z rodziną swoją do Londynu.

W r. 1761 przyjechał znowu do Lizbony, gdzie o mało śmierci nie znalazł podczas strasznego trzęsienia ziemi (30 kwietnia). W następnym roku podróżował w innej stronie Europy, a mianowicie zwiedzał kraje północne, głównie Szwecję, częścią dla wzmocnienia dawnych i zawiązania nowych stosunków handlowych, częścią dla wykonania planu, którym czynny jego umysł już oddawna był zatrudniony. Zaatlantycy kupcy donieśli mu, że w północno-amerykańskich koloniach Anglii (dzisiejszych Stanach Zjednoczonych) znajduje się niesłychane mnóstwo rudy żelaznej i że gruntu wraz z lasami nabyć można za bezcen. Na tej wiadomości budował Hasenclever swe plany. Znajac Anglię, uczynił spostrzeżenie, że kraj ten potrzebuje rocznie przeszło 400,000 beczek rudy żelaznej i za nią, niemniej jak za len, konopie, drzewo i potaż, płaci zagranicy rocznie 2 miliony funtów szt. (80 milionów złp.). Obliczył więc, że te produkty w Ameryce mogą być nabyte za cenę niższą, aniżeli gdziekolwiek indziej, a tem samem, płody innych krajów konkurencyi z niemi na angielskim targu wytrzymać nie będą w stanie. Techniczne wiadomości czyniły go zdolnym do kierownictwa takim przedsiębiorstwem. W podróżach swoich wyuczył się dokładnie uprawy lnu i konopi;

fabrykację żelaza i stali znał z własnej praktyki, s z górnictwem obeznał się dostatecznie w Szwecyi. Hasenclever był obywatelem angielskim. Dla podniesienia swoich kapitałów do odpowiedniej wysokości połączył się z dwoma anglikami: Setonem i Krafterem, którzy do spółki włożyli kapitał 21,000 f. szt. (840,000 złp.). Niezmierne pole działalności leżało teraz otworem przed przedsiębiorczym duchem Hasenclevera, który przyzwyczajony w ciężkiej szkole życia do żelaznej i wytrwałej pilności—nie uląkł się olbrzymiej pracy. Udało mu się zainteresować rząd i znaczną liczbę zamożnych kupców, którzy z nim spółkę zawiazali, a gdy już wszystkie przygotowania były dopełnione, wyruszył w r. 1764 do nowego świata.

Znalazłszy w Ameryce stan rzeczy zgodny z otrzymanymi wiadomościami, zakupił kopalnię żelaza, nadto grunta i lasy na przestrzeni 52, morgów, sprowadził z Niemiec dzielnych górników, kowali, węglarzy, cieśli i t. p. robotników, wystawił 217 budynków wszelkiego rodzaju, magazyny, piece szmelcowe, kuźnie, młyny, fabryki potażu i t. p., otworzył nowe kopalnie żelaza, wybudował mosty, wykopał wielkie wodozbiory, ażeby młyny jego nawet podczas panującej tam posuchy w ruchu być mogły, słowem rozwinął nadzwyczajną działalność. Wydobywanie żelaza rozwinięto bardzo znacznie, a wytapiany metal tak był wyborny, że posłany do Anglii w sztabach prędki znalazł odbył. Wszystko szło bardzo pomyślnie. Hasenclever doprowadziłby bez wątpienia olbrzymie to przedsięwzięcie do skutku z ogólnym zadowoleniem, gdyby miał wszędzie do czynienia z uczciwymi ludźmi. Wiadomość, że spółnik jego Seton znajduje się na drodze bankructwa, skłoniła go do spiesznego powrotu do Anglii, pozostawi na swoim zaś mejsu kilku dyrektorów, których uważał za godnych zaufania. Powróciwszy do Anglii, znalazł już bankructwo Setona ogłoszonym, gdyż ten zosłał dłużny towarzystwu 15,000 f. szt. (600,000 złp.). Hasenclever dla ocalenia swego honoru złożył natychmiast członkom amerykańskiego przedsiębiorstwa dokładne sprawozdanie, które tak korzystne wywarło wrażenie, że powtórnie jako pełnomocnik spółki do Ameryki wysłanym został. Tu czekały go jednak nowe kłopoty. Pozostawieni dyrektorowie dopuścili się podczas jego nieobecności licznych nadużyć i zaciągnęli znaczne długi. Hasenclever, dla odwrócenia ciosu grożącego przedsięwzięciu, wystawił we-

ksle, których wszakże wierzycciele przyjąć nie chcieli; a gdy Hasenclever skarżył się z tego powodu przed zarządem towarzystwa, oświadczone mu, że pozbawiony został swego urzędu. Chciano go widocznie usunąć, aby zebrać to, co on zasiał. Hasenclever ani na chwilę nie stracił odwagi. Ażeby mieć środki zaspokojenia zwróconych weksli, sprzedał swój udział w amerykańskich posiadłościach, poczem wytoczył towarzystwu proces dla skłonienia go do wypełnienia przyjętych względem niego zobowiązań. Najznakomitsi kupcy angielscy i amerykańscy, którzy znali jego uczciwość i widzieli intrygi nieprzyjaciół, zapewnili go o głębokim dla niego szacunku, a sam mógł ze spokojnem sumieniem o sobie wyrzec: wiele cierpiałem, wiele straciłem ale zachowałem to, co jest więcej warte, aniżeli wszystkie skarby—imię uczciwego człowieka. Stracił 280,000 talarów, a nadto, musiał płacić ze swej kieszeni długi towarzystwa. W dwadzieścia lat później miał tę pociechę, że wygrał proces wytoczony z tego tytułu spółce.

Hasenclever opuścił Anglię i osiadł w Landshut na Szlązku, gdzie z resztkami swego majątku rozpoczął na nowo rozległą działalność kupiecką i pracował niezmordowanie nadal, tak jak poprzednio dla dobra ogółu. Wydoskonalil szlązki handel płócienniczy urzeczywistnionym projektem zakładania magazynów lnu i przędzy, zawiązaniem stowarzyszeń w celu podniesienia oświaty ludności fabrycznej i kupieckiej i t. p. W r. 1787 współobywatele w uznaniu wielkich jego zasług wysłali go do Berlina, w celu współdziałania u rządu na korzyść wolnego handlu. Prócz tego Hasenclever był do brodziejem swego rodzeństwa, uszczęśliwił wszystkich swych krewnych i nie zapomniał o nich nawet w ostatniej swej woli. Dzielny ten mąż umarł w 76 roku czynnego swego życia. Odroślą jego rodziny jest znakomity malarz Jan Piotr Hasenclever.

Drugim kupcem, którego chcemy przedstawić czytelnikom naszym jako wzór godny naśladowania, jest Gottlieb Nathusius. Pod dachem ubóstwa ujrzał on światło dzienne w Baruth (Brandenburgii) 1760 roku. Jedynym majątkiem jego rodziców była pobożność i uczciwość. Te skarby odziedziczył po nich syn. Nathusius oddany został jako uczeń do kramarza w Berlinie, gdzie z początku musiał wykonywać najniższe czynności, jako: to odnosić listy i pakiety, przynosić towary, wycierać stoły, zamiatać sklep i t. p.

Przytem żywiono go źle, a współtowarzysze sklepowi nieznośnie się z nim obchodzili. Między innemi chcieli go przymusić, ażeby każdej soboty wspólnie z nimi tajemnie wynosił ze sklepu kawę, cukier i inne towary. Oburzony takim występkiem postępowaniem uczciwy uczeń, doniósł o tem pryncypałowi, który natychmiast przedsięwziął śledztwo i winnych ze sklepu swego wydalili. Takim sposobem dręczony chłopiec został uwolniony od swoich ciemieczów, i od tej chwili los jego stał się znośniejszym. Sumienne wypełnianie obowiązków zyskało mu szacunek i zaufanie pryncypała, który w r. 1780 gdy czas nauki Nathusiusa się skończył ofiarował mu 30 talarów rocznej płacy, jeżeli w sklepie jego pozostać zechce. Nathusius zgodził się na ten układ, jakkolwiek serdecznie sobie życzył przejść z drobnego tego kramu na szersze pole działalności kupieckiej. W sklepie, gdzie pracował, widział tylko elementarne pierwsze zarysy handlu, bo nie było tam nawet mowy o żadnej regularnej buchalteryi. Pryncypał jego był poczciwym człowiekiem, ale ograniczonego umysłu. Silna więc chęć Nathusiusa rozszerzenia widnokręgu swoich wiadomości kupieckich, nie mogła znaleźć zaspokojenia u takiego kupca. Jedynym środkiem dojścia do celu było własne kształcenie się, i tego też środka użył młody Nathusius z taką pilnością i wytrwałością, że to nas dziwić nie powinno, jeżeli spotykamy go później odrazu w olbrzymiej działalności kupieckiej. Zbyt biedny, ażeby sobie mógł kupować drogie książki, przeglądał dokładnie każdy kawałek makulatury używanej do obwijania towarów, a jeżeli znalazł w niej cokolwiek, co miało związek z handlem lub przemysłem, odkładał świstek na bok, ażeby wieczorem, po zamknięciu sklepu lub nazajutrz rano, albo nakoniec w najbliższą niedzielę, uważnie go przeczytać. W ten sposób odszukał kilkanaście arkuszy wybornego dzieła handlowego. Przeczytał te arkusze kilkakrotnie z natężoną uwagą i wtedy otworzył się przed nim nowy świat pojęć, poznał co robić powinien prawdziwie wykształcony kupiec, który chce odegrać w świecie handlowym znakomitszą rolę. Ażeby zaspokoić swój zapal do nauk, poświęcał na kupowanie książek *trojaki* przeznaczony na śniadanie. W ten sposób zaopatrywał się powoli w znakomite dzieła, traktujące głównie o handlu i ekonomii politycznej. Pomiedzy innemi nabył dzieło znakomitego anglika Adama Smitha, p. t. *O naturze i przyro-*

nach bogactwa narodowego, które tylokrotnie czytał, że je w końcu prawie całe umiał na pamięć. Oprócz tego wyuczył się sam bez pomocy nauczyciela: arytmetyki kupieckiej, podwójnej buchalteryi włoskiej, nauki o wekslach, monetach, kursach i t. p. Lecz jego umysł praktyczny poznał wkrótce, że cała ta nauka na nie się nie zda, jeżeli nie będzie wsparta praktyką. Dlatego ćwiczył się w pisaniu pracowań na temata kupieckie, wymyślał jakieś fikcyjne interesy, wszedł nibyto z rozmaitymi kupcami w stosunki, prowadził z nimi najrozmaitsze czynności handlowe, korespondował, debitował i kredytował ich w swoich księgach, i w ten sposób zebrał korespondencyę wypełniającą kilka set arkuszy wraz z odpowiedniami dziennikami, księgami i t. p. Czynności te wykonywał po cichu, sam dla siebie, tak dalece, że nikt o nich nie wiedział. Nawet takie nauki, które pozornie leżą po za obrębem działalności kupieckiej, były przedmiotem jego studyów, a mianowicie nauki przyrodnicze, głównie zaś chemia.

Im bardziej skutkiem niezwykłych wysiłen obszar jego wiedzy się rozszerzał, tem gwałtowniejsze poczuwał pragnienie opuszczenia dotychczasowego ograniczonego pola działalności, i wstąpienia do wielkiego domu kupieckiego. Pryncypał jego podwyższył mu wprawdzie płacę w dwójnasób, to wszakże nie wstrzymało zdolnego subiekta do napisania obszernego listu do Sengewalda, naczelnika sławnej wówczas firmy kupieckiej w Magdeburgu, w którym opisuje historię swego wykształcenia i zarazem uprasza o powierzenie mu sposobem próby, choćby najniższego stanowiska w kantorze. Sengewald poznał z treści i tonu listu, że piszący jest człowiekiem niezwykłych zdolności i dla tego z zaufaniem powierzył mu zaszczytne miejsce buchaltera w swoim kantorze. Nathusius był nadzwyczaj wzruszony tą ofertą i czuł się szczęśliwym, że jego życzenie nad wszelkie oczekiwanie tak prędko i pomyślnie spełnione zostało. Gdy zawiadomił pryncypała o swoim zamiarze i prosił o uwolnienie, ten wzruszając ramionami ostrzegał go, ażeby nie przeceniał swych sił i nie przyjmował obowiązków, do pełnienia których nie ma ani zdolności, ani nauki, nakoniec oświadczył, że zatrzyma dla niego przez 4 tygodnie wolne miejsce w swoim sklepie, ażeby mógł wrócić na dawne swe stanowisko, gdy się okaże niezdolnym w magdeburgskim domu kupieckim, o czem ani na chwilę nie wątpił. Nathu-

sius dla uspokojenia pocziwca i przekonania go, że posiada naukę buchalteryi w dostatecznym stopniu, poddał się egzaminowi, który tak świetnie złożył, że mu ofiarowano miejsce adjunkta w ministerium. Wstąpił jednak do domu Sengewalda, gdzie wprowadził zupełnie nowy i wzorowy porządek a w krótkim czasie pozyskał sobie zadowolenie i zaufanie swoich nowych pryncypałów, niemniej szacunek i przychyłność kolegów. Dawny jego zwierzchnik chciał go napowrót do swego sklepu odzyskać, ofiarując mu miejsce spółnika i przyrzekając uczynić go spadkobiercą całego swego majątku, był bowiem bezdzielnym. Nathusius nie przychylił się do żądania tego. W krótkim czasie, cały zarząd przedsiębiorstw Sengewalda spoczywał wyłącznie w jego ręku, a gdy Sengewald niespodzianie umarł, znaleziono jego testament, w którym na dalsze istnienie swojej firmy pod tylko zezwala warunkiem, jeżeli Nathusius zostanie spółnikiem domu. Stało się jak sobie życzył, i Nathusius po raz pierwszy miał sposobność znakomite swoje zdolności swobodnie rozwinąć.

Z początku nagle to wyniesienie się było dla Nathusiusa powodem wielu kłopotów; ale nie stracił ani na chwilę odwagi, pracował z zupełnem oddaniem się i powiększył kredyt swego domu tak przez oszczędny i rozumny tryb życia, jak przez szczęśliwie przeprowadzone przedsiębiorstwa. Doświadczał swej kupieckiej zręczności w szeregu śmiałych spekulacji, które przyniosły mu po większej części znakomite zyski. Jak przezornie do dzieła przystępował, dowodzi następujący wypadek. Dom jego miał udział w wysyłce tytoniów, które według otrzymanych wiadomości przybyły do Hamburga w stanie bardzo uszkodzonym. Nathusius wyjechał sam do Hamburga i przekonał się, że uszkodzenie nie jest tak znaczne jak to przedstawiano, kupił więc na licytacyi większą część tych tytoniów, przyprowadził je do dobrego stanu i zarobił na tym interesie 30,000 talarów. Gdy po śmierci Fryderyka II, w Prusach ustał monopol tabacznym, Nathusius założył fabrykę wyrobów tabacznym, które tak znakomity miały odbyt, że żądanie było większe aniżeli ofiarowanie, i w ciągu jednego roku sprzedano przeszło za 700,000 talarów. Przez swoje przedsiębiorstwa wszedł w stosunki z rozmaitymi rządami i ofiarowano mu nawet posadę członka pruskiego zarządu tabacznego z tytułem tajnego radcy; posady tej jednak nie przyjął

z powodu, że zamierzone przez rząd zmonopolizowanie handlu tabacznego nie zgadzało się z jego przekonaniem.

Po utworzeniu przez Napoleona I dla brata swego Hieronima królestwa Westfalskiego, Nathusius wycofał swoje kapitały z fabryk tabacznym i zakupił w bliskości Magdeburga klasztor wraz z kilku przyległymi dobrami. Posiadłość, ta wynosząca prawie $\frac{1}{2}$ mili kwadratowej i położona w najżyźniejszym gruncie, stała się teraz widownią wszechstronnej jego działalności przemysłowej w związku z rolnictwem. Naprzód polepszone gospodarstwo rolne we wszystkich gałęziach, następnie wybudowano według najdoskonalszych wzorów browary, gorzelnie, młyny, założono wspaniałe ogrody i cieplarnie, w kilku żyznych miejscach zasadzono 30,000 drzew owocowych, wybudowano cegielnię, fabryki fajansu i porcelany, niemniej fabrykę cukru, a na czele tego wszystkiego stał dawny uczeń kramarza — jako twórca i zarządca tego małego świata. Podołanie tak licznym obowiązkom było możliwe jedynie przy pomocy wzorowego, wszystko przenikającego porządku. Porządek był też hasłem pracy Nathusiusa. Ażeby w każdym czasie ułatwić sobie możność zdania sprawy z wszystkich części wielkiej całości, Nathusius oddzielił od siebie pojedyncze gałęzie i nad każdą postawił osobnego zarządcę, który za wszystko był odpowiedzialny. Żaden z nich nie mógł nic od innego dostać bez zapłacenia gotówką albo przekazem. Nawet gospodarstwo domowe było prowadzone według prawideł kupieckich i za wszystko płacono gotówką. Nad całym tym mechanizmem czuwała najdokładniejsza i najsurowsza kontrola buchalteryjna. Wszyscy zarządcy cząstkowi składali w końcu każdego tygodnia sprawozdania do bióra centralnego, gdzie było siedlisko głównej buchalteryi. Od czasu do czasu Nathusius zgromadzał rozmaitych rządów do wspólnej narady. Dla ułatwienia stosunków pomiędzy pojedynczymi częściami zarządu, wydawano własną papierową monetę, która w okolicy nawet była chętnie przyjmowaną, bo w każdym czasie mogła być w biurze centralnem na srebro zamieniona.

Ale Nathusius nie dbał jedynie o sprawy własne — leżało mu również na sercu i dobro ogółu. Poświęcał tysiące na rzecz nowych odkryć i wynalazków w dziedzinie mechaniki i chemii. Tworzyć coś użytecznego było główną sprężyną i przewodnią myślą wszystkich jego przedsięwzięć.

Z ojcowską troskliwością starał się o dobro swoich robotników, założył dla nich kasę oszczędności i kasę dla chorych. Gdzie tylko mógł radzić, dopomódz, wesprzeć — tam czynił to z radością. Każdy obcy był chętnie przyjmowany u jego stołu. Nathusius do ostatnich chwil życia nie przestawał pracować nad swoim wykształceniem. Dlatego szukał towarzystwa ludzi, od których mógł się czegoś nauczyć i bezustannie czytywał najlepsze dzieła ekonomiczne, kupieckie, technologiczne i przyrodnicze. Gdy w r. 1835 niezmordowany ten człowiek umarł otoczony dostatkiem, pozostawił w posiadłościach swych w miejsce 200 biednych mieszkańców, których zastał przy nabyciu dóbr, 1300 pilnych i szczęśliwych robotników, nadto pod każdym względem wzorowe gospodarstwo. Tak żył i działał prawdziwy kupiec!

Zwróćmy się jeszcze do kilku przykładów z życia tak nazwanych ludzi czynnych, produkcyjnych, którzy jakkolwiek nie byli kupcami w ścisłym słowa tego znaczeniu, jednakże tylko zastosowaniem przymiotów zdobiących kupca, a o których szeroko mówiliśmy wyżej, zdołali swe zadanie z pomyślnością spełnić.

Jednym z najwybitniejszych typów takich ludzi, którego zdolność do interesów dochodziła genialności — był Piotr Paweł Riquet de Bonrepos, któremu Francya zawdzięcza budowę kanału Langwedockiego. Był to umysł śmiały i bystry, obdarzony inteligencją zarówno żywą jak głęboką, zadziwiającym darem urządzania i niezmordowaną działalnością.

Połączenie morza Śródziemnego z oceanem Atlantyckim za pomocą sławnego kanału, oddawna już było przedmiotem ciekawych i interesujących badań; ale trudności wykonania zdawały się tak wielkie, że do czasu Riqueta nie uczyniono ani kroku dla wprowadzenia w życie tego projektu. Potomek rodziny szlacheckiej, Piotr Paweł Riquet był tylko poborcą podatków od soli, posiadał jednak wioskę u stóp Góry Czarnej w Langwedoku.

W tem miejscu właśnie przypadał najwęższy punkt Francyi. Riquet więc wpadł naturalnie na myśl zajmującą już tylu, że dla dobra publicznego połączenie za pomocą sławnego kanału Garonny uchodzącej do oceanu Atlantyckiego, z mniejszą rzeką Aude wpadającą do morza Śródziemnego, byłoby rzeczą wielkiej doniosłości. Obie te rze-

ki wypływając z Pyrenów w biegu zbliżały się do siebie na odległość czternastu mil francuzkich. Myśl połączenia ich była bardzo prostą; cała trudność wykonania leżała w przecięciu wzniesienia pomiędzy dwoma morzami, a w części z przyczyny skalistego i górzystego gruntu tej miejscowości. Deputowani Langwedoku do jeneralnych stanów Paryża, po kilka razy przedstawiali rządowi całą ważność podobnego kanału; posyłano nawet inżynierów dla rozpoznawania miejscowości i zawyrokowania o możliwości wykonania takiego projektu. Rezultatem było potwierdzenie zdania powszechnego, że przekopanie kanału pozostaje najzupełniejszym niepodobieństwem.

Położenie wioski Riqueta u stóp Góry Czarnej naprowadziło go bezwątpienia na ten przedmiot, w skutek czego zajął się uważaniem biegu obu rzek i obmyśleniem najlepszego sposobu połączenia ich z sobą. Zdaje się, że długo pracował nad tym przedmiotem, zanim publicznie wystąpił ze swymi zamiarami. Wypracował jaknajstaranniej mnóstwo planów, których zastosowania próbował w ogrodach swoich w Bonrepos. Narzędzia i urządzenia do tego używane były jaknajprostsze, ale wystarczające do osiągnięcia celów.

W 1662 roku Riquet po raz pierwszy przedstawił plan swój sławnemu ministrowi Colbert. W notatce do tego planu dołączonej pisał, aby minister się nie dziwił, że poborca podatków zamysła o przekopaniu kanału, że podejmuje się rzeczy której nie zna. Opowiadał: że zajmując się wyłącznie tym przedmiotem, doszedł do wypracowania ścisłych planów, dotyczących się projektowanego kanału, a których opis przesyłał. Colbert był wtedy jeneralnym kontrolerem finansów i zajmował się głównie utworzeniem dla Francyi nowych źródeł bogactwa. Plan Riqueta zwrócił natychmiast jego uwagę i uwielbienie, nie tracąc więc czasu, przedstawił go Ludwikowi XIV, który chętnie popierał wszelkie przedsięwzięcia, noszące na sobie piętno wielkości. Z rozkazu jego wyznaczono komisję królewską dla rozpatrzenia planów, zbadania na miejscu kierunku kanału i złożenia raportu o rezultatach badania. Tymczasem Riquet ani na chwilę nie ustawał w pracy. Ukończywszy studia, przygotował wszystko do prac komisji, które zaczęte w Tuluzie a skończone w Béziers, trwały przeszło dwa miesiące. Rezultat ich przychylny był planowi Riqueta; uznano jego

projektu za wykonalne z niektórymi wszakże zmianami, dotyczącymi wód przeznaczonych na zasilanie kanału.

Wskutek tego raportu Colbert i Riquet długo korespondowali w przedmiocie szczegółów przedsięwzięcia. Riquet stanowczo zaprzeczał zdaniom komisarzy królewskich, co do nadzwyczajnych trudności w urządzeniu wielkiego rowu, za pomocą którego kanał zasilaby się wodą; a dla pokazania jak ufał własnym pomysłom, ofiarował się ponieść kosztu tej pracy. Taka była jednak różnica zdań i opinii w tym względzie pomiędzy ludźmi nauki a Riquetem, że Colbert postanowił nie pozwalać na rozpoczęcie robót około kanału, dopóki punkt ten nie zostanie wyjaśnionym. Jednakże, aby Riquet mógł dowieść trafności swoich pomysłom, a więc zapewne dla przekonania się, czy rzeczywiście będzie zdolnym do poprowadzenia prac tak olbrzymich, pozwolono mu kopać rowy dla spróbowania spadzistości i biegu wód.

Riquet z całą energią zaraz się zabrał do pracy. Szybkość wykonania zadziwiła wszystkich; rów został wkrótce ukończony ku wielkiemu zadowoleniu inspektorów rządowych. Po ukończeniu tej pracy, Riquet jednomyślnie został obwołany za „Mojżesza Langwedoku.“ Nakoniec król, uprzedzony jak najlepiej przez Colberta o próbach Riqueta, udzielił pozwolenie na rozpoczęcie prac około właściwego kanału.

Pozostawała jednak kwestya kosztów budowy. Ponieważ prowincya Langwedoku w przyszłości ciągnąć miała główne korzyści z kanału, przedstawiono zgromadzeniu stanów w 1665 r., aby prowincya ta poniosła część kosztów, resztę zaś pokryje skarb królewski. Ale stany Langwedoku odrzuciły tę propozycję, a nawet 26 lutego 1666 roku oświadczyły, że ani obecnie ani w przyszłości nie przyczynią się do kosztów budowy. Z drugiej strony kosztowne wojny wyczerpały skarb królewski, który nie mógł się odważyć na jakiegokolwiek nowe przedsięwzięcie. Zdawało się więc, że Riquet daremnie pracował nad udowodnieniem możliwości połączenia oceanu z morzem Śródziemnem. Ale on zaszedłszy tak daleko nie myślał się cofać. Śmiałość i odwaga cechująca pomysł nie opuściły go przy wykonaniu, nalegając więc znowu na rząd o pozwolenie rozpoczęcia robót, podał sposób wystarania się o potrzebne kapitały, nie przeciążając finansów państwa. Ofiarował się swoim kosztem

przeprowadzić w 8 lat część kanału pomiędzy Tulużą a Trèbes, a w zamian żądał na czas sześcioletni dzierżawy podatków od soli po cenie ówczesnej, na prowincye Langwedok, Roussillon, Conflans i Cerdagne i dochodów z żup solnych w Peccais. Rada stanu przyjęła wniosek Riqueta, a on otrzymawszy potrzebne rozporządzenia rozpoczął prace.

Wtedy geniusz jego musiał się przejawiać z innej jeszcze strony. „Pragnąc w jak najkrótszym czasie ukończyć roboty“ powiada historyk kanału, „podzielił je na kilka oddziałów; każdy miał naczelnika, pod rozkazami którego było 5-u brygadyerów, a każdy brygadyer dowodził 50 robotnikami. Oddziały dzieliły się na departamenta, w których zaprowadził ogólnego kontrolera; od niego zależeli kontrolerowie ruchomi, którzy przyjmowali naczelników oddziałów, brygadyerów i zwyczajnych robotników, jakich liczba dochodziła czasami do 11 lub 12 tysięcy głów.

Jedyną przeszkodą był często się ponawiający brak pieniędzy. Dochód z podatków nie wystarczał na energiczne prowadzenie robót; ale Riquet dla przyspieszenia ich zaciągnął znaczne długi i sprzedał albo też zastawił całą swoją majątność. Stany Langwedoku, do których pomimo stanowczej ich odmowy, Riquet po kilka razy się zwracał, odmawiały mu zasiłków przez czas niejaki. Skarb królewski ratował go wprawdzie pokilkakrotnie, ale Ludwik XIV prowadząc znowu wojnę, nie mógł dostarczać funduszy, a Riquet, wyczerpawszy wszelkie osobiste fundusze, lękał się czy roboty nie będą musiały zostać przerwane. W końcu jednak za wpływem Colberta stany Langwedoku uznały całą korzyść kanału dla swej prowincyi i ofiarowały na ten cel 500,000 liwrów. To było tylko początkiem znacznych pożyczek, jakie Riquet od nich otrzymał. Długo niedowierzano, ale jak tylko stany ujrzaly część kanału gotową i oddaną żegludze, pierwsze uznały całą doniosłość takiej pracy i wszelkimi sposobami dopomagały Riquetowi do zebrania pieniędzy, koniecznych dla prowadzenia jej do końca.

Riquet jednak oprócz rozmaitych trudności walczył jeszcze musiał z uprzedzeniami właścicieli gruntu, którzy po większej części niesprzyjając jego pomysłowi, sądzili, że posiadłościom ich wyrządza niczem nienagrodzoną krzywdę. Nie jednak nie zraziło Riqueta, ani trudności, ani zawody, ani cierpienia fizyczne, ani krzyki jednych o nieużyteczności takiego kanału, ani skargi drugich na nieumiejętne pro-

wadzenie robót, które chociaż zostaną ukończone, nigdy kosztów nie powrócą; zgola, nic nie zdołało zachwiać jego ufności i odwagi.

Z początkiem 1670 roku, po trzyletniej pracy, część kanału od Tuluzy do Dupérrier została otwartą i użytą do transportu materyałów. W dwa lata potem druga część kanału została ukończoną i oddaną na użytek publiczny; spieszono też z ukończeniem innych części, ale brak pieniędzy dotkliwie czuć się dawał Riquetowi. W 1675 roku znów udawał się z prośbą do Colberta o pomoc od króla, bez której jak mówił niepodobna mu będzie ukończyć roboty przed śmiercią, a czas upływa bezpowrotnie.

I słusznie się lękał. Od lat 15 jak trwały roboty, żył ciągle w takim stanie rozdrażnienia fizycznego i umysłowego, że po kilka razy niebezpiecznie zapadał na zdrowiu. Ale roboty na tem nie cierpiały. Administracya, którą zaprowadził, była tak doskonałą, że nieobecność kilku dni a nawet i tygodni, zaledwie uczuwać się dawała; oprócz tego, najstarszy syn Riqueta oddawna godnie go zastępował. Pracowano więc niezmordowanie nad trzecią częścią kanału, prawie gotów, miał już zostać otwartym na całej przestrzeni, kiedy wycieńczony pracą i trudami Riquet zakończył życie, nie doczekawszy całkowitego spełnienia ukochanej swej myśli. Kanał ukończony pod kierunkiem jego syna—w sześć miesięcy dopiero po śmierci Riqueta oddano na użytek ogólny.

Taka była działalność, jakiej zaledwie króciutki zarys podać tu zdołaliśmy,—jednego z najzdolniejszych inżynierów Francyi, człowieka geniuszu oryginalnego, niezwykłej mocy charakteru i niepospolitej zdolności do interesów.

Wspominaliśmy na początku tego rozdziału, że przymioty człowieka praktycznego mogą się uwydatnić nietylko w zawodzie kupieckim, jak sądzą powszechnie, ale w każdej innej gałęzi działalności ludzkiej. Dobra gospodyni na przykład musi koniecznie pamiętać o nieprzewidzianych wypadkach i tak zarządzić gospodarstwem, żeby wszystko w niem odbywało się regularnie i spokojnie. Wymaga to roztropności, zdrowego sądu o rzeczy i pewnego talentu administracyjnego. Artysta, doktor, literat, chcąc mieć powodzenie, powinni być praktycznymi: bo do doskonałości można dojść tylko bezustanną pracą nad własnym postępem, starannem oszczędzaniem czasu, życiem porządnem i systematycznym.

Życie Walter-Scotta jest tego świetnym przykładem. W kancelaryi patrona, gdzie przez kilka lat pełnił obowiązki zaledwie o stopień wyższe od zajęć zwykłego kopisty, nabył i rozwinął nadzwyczajną swoją działalność. Suche zajęcia całodzienne sprawiły, że lepiej czuł całą wartość wolnych wieczorów i poświęcał je czytaniu i pracy. On sam przypisywał karności prozaicznej u patrona przyzwyczajenie do poważnych i długich zajęć, na czem tak często zbywa ludziom, oddającym się wyłącznie literaturze. Jako kopista zarabiał po 6 *sous* od strony; czasami udawało mu się przepisać dziennie do 120 stonnic, co czyniło około 36 franków, a z tego zarobku od czasu do czasu kupował jakie dzieło niekompletne, do którego przy takich funduszach innym sposobem dojśćby nie mógł. Później też szczylił się, że jest człowiekiem praktycznym i powtarzał, że niema żadnego koniecznego związku pomiędzy geniuszem a zniechęceniem lub pogardą powszednich obowiązków życia. Utrzymywał nawet, że dla rozwinięcia wyższych zdolności, pożytecznem jest poświęcić pewną część dnia jakiemu fizycznemu zajęciu. Kiedy później został pisarzem sądowym w trybunale Edynburskim, zwykle rano przed śniadaniem zajmował się pracami literackimi. Dnie całe przepędzał w sądzie nad czynnościami swego urzędu. „Charakterystycznym rysem”—powiada Lockhart biograf wielkiego romansopisarza—„jest, że w okresie najobfitszej działalności literackiej, wielką część czasu poświęcał sumiennemu wypełnianiu obowiązków swego urzędu.” Zasadą jego było żyć z posady, a nie z literatury. „Postanowiłem,” mawiał, „że literatura będzie mi laską a nie kulą i że nigdy o ile możliwości nie będę liczył na prace literackie dla opędzania zwykłych wydatków.”

Punktualność była u niego przyzwyczajeniem a raczej enotą; bez niej nigdyby nie podolał olbrzymim swoim pracom literackim. Odpowiadał tegoż samego dnia na otrzymane listy. Inaczej nie wystarczyłby rozlicznym stosunkom, wystawiającym często jego dobroć na ciężkie próby. Wstawał o 5 rano, sam rozpalał sobie ogień, powoli golił się i ubierał, a o szóstej już siedział przed biurkiem z papierami ułożonymi w największym porządku i książkami ustawionemi na podłodze. Między 9 a 10, kiedy rodzina jego zbierała się na śniadanie, on już załatwił dzienną robotę. A jednak pomimo pracy rozsądnej, niezmordowanego zapału i ogromnej wiedzy, Scott o sobie i o swych zdolno-

teru i stanowi jeden z przymiotów kardynalnych. John Sterling powiedział wielką prawdę: że najgorsze wychowanie, jeżeli wpoilo zaparcie się, więcej jest warte niż najstaranniejsze, które tę cnotę pominęło. Rzymianie nie bez zasady używali wyrazu *virtus* nie tylko do oznaczenia cnoty ale i odwagi, która w znaczeniu fizycznym stanowi toż samo, co zaparcie się w moralnym i jest najszczytniejszą z cnot, bo nam przynosi zwycięstwo nad sobą samym.

Czego najwięcej brakuje naszym rzemieślnikom i w ogóle ludziom żyjącym z pracy rąk swoich, to tej wstrzemięźliwości moralnej, tego poświęcenia drobnych przyjemności i uciech chwilowych w widokach przyszłego dobra. Można by uwierzyć, że klasy ludzi najwięcej pracujących, najmniej znają się na wartości pieniędzy. A przecież łatwość z jaką robotnicy, z małym wyjątkiem, zdolni są do życia z dnia na dzień, wydając to wszystko co zarabiają, jest przyczyną, iż stają się ciągle zależni od klas zamożnych. Znajduje się wielu, którzy jakkolwiek mają dostateczne środki do zapewnienia sobie dobrego bytu i niezależności w razie niespodziewanych wypadków, marnują pieniądze, a zaskoczeni potrzebą, nie mając żadnych zasobów są postawieni w najprzykrejszym położeniu; a to jest najgłówniejszą przyczyną cierpienia, oraz bezwładności społeczeństwa. Ze wszystkich wielkich kwestyj interesu ogólnego, nie ma może ważniejszej, jak wpajanie i rozpowszechnianie wszelkimi sposobami oszczędności, jakoteż doskonalenia się osobistego. Ekonomisci i propagatorowie idei społecznych niewiele się troszczą o te dwa środki dobra publicznego, a przecież gospodarstwo jednostek, pomyślny byt warstw niższych w praktykę wprowadzone, mogą jedynie zapewnić szczęście powszechne. Nie ulega już wątpliwości, że nieskończenie łatwiej jest zreformować sprawy publiczne, jak pozbyć się najdrobniejszej ułomności w życiu pojedynczego człowieka i w tym względzie daleko dogodniej jest poprawiać swego bliźniego, jak siebie samego.

Wszystkie warstwy żyjące z dnia na dzień zostaną zawsze klasą niższą w społeczeństwie. Jednostki jej pozostaną bez siły i obrony, przyćmione do warstw wyższych, jak rozbitki do krawędzi okrętu. Nie szanując samych siebie, nie mogą wzbudzić szacunku drugich. Za zjawieniem się przesileni handlowych, giną najpierwsi. Pozbawieni przymiotu robienia choćby najdrobniejszych oszczędności, a tem

samem posiadania choćby małego zapasu, który od nieprzewidzianych wypadków zabezpiecza, pozostają na łasce całego świata. A jeżeli mają jakiekolwiek uczucie dobra, sumienie, to tem bardziej muszą drżeć o przyszły los swych żon lub dzieci.

„Świat — rzekł Bobden w pewnej okoliczności do robotników w Huddersfield — dzielił się zawsze na dwie klasy, to jest na tych co oszczędzają i tych co trwonią; na gospodarnych i rozrzutnych. Wszelkie przedsięwzięcia przemysłowe, ekonomiczne i t. d. są zwykle udziałem umiarkowanych oszczędzających, a ci też są panami marnotrawców i tych, co nieogłędnie wyczerpują źródła swych dochodów. Prawa Opatrzności wymagają tego aby tak było. Byłbym szalbierzem, gdybym robił nadzieję jakiejkolwiek klasie społeczeństwa, iż może polepszyć swój los będąc nieogłędną, nie dbałą, leniwą“.

Takież same przekonania i niemniej pożyteczne jak poprzednie, wyraził Bright w roku 1847 na zgromadzeniu robotników w Rochdale. Dowiodłszy naprzód, że uczciwość można znaleźć zarówno w każdej klasie społeczeństwa, tak dalej mówił: „Jedna jest tylko droga pewna, tak dla pojedynczego człowieka, jako i całej warstwy ludzi, do podtrzymania swego stanowiska, jeżeli to jest dobre, albo staranie się o lepsze, a tą drogą jest praca praktyczna, wstrzemięźliwość, uczciwość. Jedyne sposoby za pomocą którego ludzie starają się wyjść z pozycji nie dającej im ani zaspokojenia potrzeb ciała i umysłu, ani zadowolenia wewnętrzne — zależy na wykonywaniu cnoty dopiero wymienionych, które zawsze i wszędzie posłużyły tak znakomitej liczbie mężów do wyniesienia się w towarzystwie ludzkim na wyższe stanowiska i do polepszenia swego losu“.

Nie ma żadnej zasady, któraby przeszkadzała klasie rzemieślników i w ogóle robotników być użyteczną, znaną, szanowaną i szczęśliwą. Znaczna liczba osób tej warstwy ludności składająca, może zostać równie cnotliwą, oświeconą; używać zarówno dobrobytu, jak ci co sobie zdobyli tę wszystkie korzyści w życiu społecznym. Czego dopięły pojedyncze osoby, tem mogą być wszyscy bez trudności. Używamy tych samych sposobów, a otrzymamy także skutki. Że w każdym społeczeństwie jest pewna klasa ludzi żyjąca z pracy dziennej, to sam Bóg tak rozporządził i rozporządzenie to bezwzględnie musi być równie sprawiedliwe jak

mądre, lecz że ta klasa nie żyje w dostatku, zadowoleniu, oświacie i pomyślności, to bynajmniej nie jest i być nie może w zamiarach Opatrzności, ale pochodzi jedynie ze słabości, niestateczności i przewrotności samego człowieka. Zbawienna myśl ukształcenia osobistego, gdyby raz w czyn została zamienioną między rzemieślnikami, skuteczniej niż wszelkie inne środki posłużyłaby do podźwignienia i uszlachetnienia tej klasy, i to bez ujmę innym, a tylko wznosząc ją stopniowo na coraz wyższe stanowiska w zasadach religii, oświaty i cnoty.

Spojrząwszy w przyszłość — widzimy trzy główne i czasowe okoliczności, przeciw którym każdy winien się przygotować, a mianowicie: brak pracy, chorobę i śmierć. Dwom pierwszym można zaradzić, lecz trzecia jest nieuniknioną. W każdym razie obowiązkiem jest człowieka roztropnego żyć w ten sposób i tak się urządzić, aby ciężar cierpień, gdy jeden z tych wypadków się zdarzy, mógł być ulżony o ile jest w mocy człowieka, nie tylko dla siebie samego, ale i względem tych, którzy od niego zależą, to jest rodziny. W stanie bezżennym obowiązek ten może być mniej koniecznym jak dla człowieka żonatego, jakkolwiek i pierwszy nie powinien przekraczać swych środków zarobku i oszczędzać ile można na wypadek choroby, oraz w przewidywaniu starości. Nic smutniejszego nad położenie tego, który mając dostateczne fundusze z swej pracy, wszystko wydaje, a na starość jest ciężarem swych krewnych lub towarzyszt dobroczynnych. Człowiek, pojawiając się żonę i tym sposobem zaciągawszy dobrowolnie zobowiązania oraz odpowiedzialność jako ojciec rodziny, ma święty obowiązek nie tylko pamiętać za życia o potrzebach i losie swej żony, swych dzieci, ale powinien także o ile można tak postępować, aby na wypadek zgonu nie pozostawił ich w niedostatku. Nie powinien zaniedbywać tego obowiązku, aby nie wydać ich na pastwę nędzy, a siebie na pogardę i bolesną pamiętkę.

Pod tym względem uważany pieniądź, nabiera wszelkiego znaczenia. Grosz uczciwie zarobiony rzeczywistym jest przedstawicielem wytrwałego przemysłu i nieustannych usiłowań w celu zwalczania pokus zbytku, a pieniądze dobrze użyte są miarą roztropności, przezorności i zaparcia się, rzetelną podstawą męskiego charakteru. Chociaż pieniądze przedstawiają mnóstwo przedmiotów nie mających

rzeczywistej wartości, przedstawiają przecież i wiele takich co posiadają ogromny użytek: jak pożywienie, odzież, dobry byt i co niemniej jest cennem, jakoto poszanowanie siebie samego, oraz niezależność osobistą. Tym sposobem oszczędność stanowi dla rzemieślnika pewną zaporę przeciw niedostatkowi, dającą stałszy punkt oparcia, a tem samem dozwala oczekiwać lepszej pory, bez troski wyglądać powrotu dni szczęśliwych. Samo usiłowanie zyskania w świecie lepszego stanowiska jest miarą poczucia swej godności, która prowadzi do zrobienia człowieka lepszym, silniejszym. W każdym przypadku oszczędność daje możność swobodniejszego działania, oraz dozwala mieć nadzieję w widokach dalszych usiłowań ku podniesieniu się w stanie moralnym i materyalnym.

Człowiek, który ciągle stoi nad zięjącą pod jego stopami przepaścią nędzy, znajduje się blizkim stanu niewolnictwa. Nie jest on już pewnym siebie, gdyż nieustannie grozi mu niebezpieczeństwo popadnięcia w moc cudzą, musi przyjmować warunki jakie mu inni narzucają. Nie może być jak tylko zależnym od drugich, gdyż nie jest zdolnym wznieść śmiało czoła przed światem, wiedząc o tem, iż w razie popadnięcia w większe ubóstwo, nie ma innego dlań ratunku, jak tylko pomoc w jałmużnie lub opieka dobroczynnych zakładów. Nareszcie, jeżeli mu zabraknie zupełnie zarobku, nie ma środków szukania go w innej miejscowości; jest on przykuty do gleby jak ostryga do skały, bo mu niedostatek przecina możność przeniesienia się w strony korzystniejsze.

A jednak dla zdobycia sobie niezależności, nie potrzeba nic innego, jak tylko wprowadzenia w praktykę prostej oszczędności, a dobre gospodarstwo swemi funduszami nie wymaga ani wyższej odwagi ani cnót znamienitszych. Trzeba tylko pewnej miarki energii, dość zwykłej, pospolitej. W gruncie rzeczy oszczędność nie jest czem innym jak duszą porządku, stosownego do urządzenia domowych interesów, czyli jasniej jeszcze mówiąc, cokolwiek statku w postępowaniu, regularności, przezorności i starannego unikania trwonienia grosza. Duch gospodarstwa domowego określony został przez naszego Boskiego Nauczyciela w tych wyrazach: „Zbierajcie pozostałe okruszyny, ażeby nie ginęły”¹⁾. Jego wszechmocność nie gardziła nawet drob-

¹⁾ Ś. Jan. VI. II.

nostkowymi szczegółami życia, a nawet w chwili, kiedy jego potęga wzniosła się nad resztę i wtedy udzielał jej zbawiennych nauk oszczędności, której wszyscy potrzebują.

Ale to nie wszystko: oszczędność jest także siłą, przez którą odmawiamy sobie obecnych przyjemności dla zapewnienia większego dobra na przyszłość, i pod tym względem przedstawia ona panowanie rozumu nad instynktami zwierzęcymi. Jest zupełnie różną od skąpstwa, gdyż jej to zawdzięcza człowiek, iż może być wspaniałomyślnym, dobroczynnym. Stanisław Staszic będąc ministrem chodził do teatru na *jaskółkę* za złotówkę, ale za oszczędzone pieniądze ileż dobrego uczynił ten wspaniałomyślny człowiek! Oszczędność nie tworzy z pieniędzy bożyszcza i uważa je tylko za użyteczny czynnik. Tak go oznaczył Dean Swift mówiąc: „Trzeba mieć pieniądze w głowie a nie w sercu”. Oszczędność jest dzieckiem rozumu, córką wstrzemięźliwości, a matką wolności. Jest ona bezwzględnie zachowawczą, — zachowawczynią uczciwości charakteru, szczęścia domowego i dobra społecznego; ona usmierza drażliwości życia, rodzi pocięchy, robi ludzi przyjaciółmi porządku i bezpieczeństwa publicznego. Gojąc cierpienia, odejmuje przewódcom niepokojące pozory, na które oni spekulują. Kiedy rzemieślnicy i w ogóle pracownicy przez swój przemysł i oszczędność raz zdobędą sobie niezależność, wtedy przestaną oni poglądać na dobrobyt klas zamożniejszych, jako na niesprawiedliwość względem nich popełnioną.

Oszczędność dla samej przyjemności zbierania pieniędzy jest rzeczą haniebną, lecz zrobić oszczędności w widokach poprzednio wymienionych — jest najdobitniejszą cechą mocy charakteru; a cnota ta, gdy ją pielęgnujemy w widokach zaspokojenia potrzeb tych co od nas zależą, przedstawia cel szlachetny, godny człowieczeństwa. Jestto rozwinięcie usiłowań osobistych pod najszlachetniejszą formą. Kiedy Franciszek Horner miał puścić się w świat, jego ojciec nie umiał mu dać lepszej rady jak ta: „Życząc z całej duszy, ażebyś żył w dostatku, nie mogę ci jak tylko zalecić oszczędność. Jestto cnota potrzebna do wszystkiego i jakkolwiek gardzą nią umysły subtelne, ona tylko przecież prowadzi z pewnością do niezależności, która liczy się do jednych z największych cnót, jakie człowiek posiadać powinien”.

Należy zawsze stosować swoje wydatki do dochodów. Zwyczaj ten stanowi treść samej uczciwości. I w istocie — jeżeli człowiek nie potrafi lub nie chce tak się urządzić, aby żył uczciwie z swej pracy, to w danym razie musi żyć nieuczciwie z pracy drugich. Nadto, ci co są obojętni na własne wydatki, dogadzając tylko swoim przyjemnościom bez względu na potrzeby innych, zbyt późno i ze swą szkodą nabierają pojęcia o wartości pieniędzy. Chociaż szlachetni z natury, hojność doprowadza ich w końcu do pełnienia czynów niegodnych. Trwonią oni pieniądze jak i drogi czas, żyjąc kosztem przyszłości uprzedzają swe dochody i widzą się następnie w potrzebie obciążania siebie długami — zobowiązaniami, które rujnują z gruntu ich działania jako ludzi wolnych i niezależnych.

Drobna moneta, którą wielu wydaje bezużytecznie, a nawet zgubnie, może często stać się zarodkiem fortuny i następnie niezależności. Marnotrawcy zaś, którzy zwykle deklamują przeciw niesprawiedliwości świata, nie mają strasniejszych nieprzyjaciół nad siebie samych; gdyż jeżeli człowiek nie chce być dla własnej osoby przyjacielem, jakże może wymagać aby drudzy dlań byli? Cłowiek miłujący porządek, jakkolwiek byłoby skromne jego dochody, zawsze jeszcze może mieć tyle ażeby drugiemu pomógł, tymczasem trwoniciiele wydający bez rozważenia wszystko co posiadają, nie mają nigdy środka dopomożenia drugim. Z drugiej strony smutną jest oszczędność kutwów. Nędza umysłowa oraz małość serca w stosunkach życia, prowadzi zwykle do skąpstwa. *Dusza grosza*, mówi przysłowie angielskie, *nie doprowadzi nigdy do tego, aby warta była dwóch groszy*. Szlachetność i hojność są więc ostatecznie, jak rzetelność wytyczną drogi mądrego postępowania. Chociaż Jenkinson w Wikarym z Wakefield, tym lub owym sposobem starał się co rok oszukiwać Flamborough'a, to jednak nie przeszkodziło, że ten ostatni stawał się coraz bogatszym, tymczasem Jenkinson doprowadził się do ubóstwa, a następnie do więzienia. Doświadczenie w życiu wskazuje nam dostatecznie, ile to świetnych rezultatów codziennie otrzymano, przez uczciwe i szlachetne postępowanie.

Przysłowie mówi: *Próżna sakwa prosto nie stoi*. Tożsamo zastosować można do człowieka obdłużonego. Kredyt na wszystko sprawia pokuszenie, a zadłużonemu trudno być rzetelnym w przyrzeczeniach; ztąd też urosło francuskie

przysłowie „*że kłamstwo podróżuje razem z długami.*“ Dłużnik w istocie zmuszony jest nieraz uciekać do kłamstwa dla uzyskania zwłoki w oddaniu pieniędzy, które winien. Nie trudną jest rzeczą człowiekowi, który ma wolę, uniknąć pierwszej pokusy zrobienia długu, lecz łatwości kredytu jaka się mu nastręcza jeżeli nie umie jej pokonać, to za drugą razą pokuszenie przemoże, i wkrótce nieszczęsny dłużnik ujrzy się w matni takich trudności, że już potem żadna siła energii nie zdoła go z nich oswobodzić.

Pierwszy krok w zaciąganiu długów jest tożsamo co pierwsze kłamstwo; pociąga on za sobą konieczność brnięcia po drodze, bo jeden dług pociąga drugi — podobnie jak kłamstwo zmusza do nowego. Malarz Hoidon jest smutnym tego przykładem. Biograf jego opisując życie artysty, przytacza rady, jakie on dał na piśmie pewnemu młodzieńcowi, wchodzącemu w zawód marynarza:

„Niepozwalaj sobie żadnych przyjemności, jeżeliby te zmuszały cię do pożyczania pieniędzy, bo to jest poniżającym. Nie powiadam, abys nigdy nie pożyczal, gdyż wtedy tylko możesz to robić, jeżeli masz niezaprzeczoną pewność oddania długu; lecz najlepiej będzie gdy pod żadnym pozorem i w jakiejby okoliczności nie będziesz pożyczal.“

Doktor Johson był zdania, że długi zaciągnięte w młodości, są ruiną w wieku dojrzałym. To co powiedział w tym przedmiocie jest ważnem i godnem pamięci. „Nie przyzwyczaj się, mów i on — uważać długów jako niedogodność, bo w krótko przekonasz się, że są nieszczęściem.“ Ubóstwo pozbawia nas robienia tyle dobrego i sprowadza taką niemoc oparcia się złemu fizycznemu i moralnemu, że wszystkiemi sposobami uczciwymi trzeba go unikać. Niech będzie najpierwszem twem staraniem nie być dłużnym nikomu. Postanów sobie silnie nie być ubogim, aby zaś spełnić ten zamiar z najszczuplejszych swych dochodów staraj się jeszcze oszczędzać. Ubóstwo jest wielkim nieprzyjacielem szczęścia, niszczy ono wolność, robi niektóre cnoty niemożliwemi do spełnienia, a wykonywanie innych utrudnia znacznie. Dobrobyt nie tylko jest podstawą spokoju, ale także i dobroczynności: nikt nie może spieszyć z pomocą drugim, kiedy sam jej potrzebuje. Należy naprzód sobie wystarczać, nim zdołamy oszczędzić coś dla innych.

Jest nieodzownym obowiązkiem każdego człowieka, aby znał swoje interesa i prowadził dokładny rachunek

swych przychodów i wydatków. Pod tym względem praktyka najelementarniejszych zasad arytmetyki jest wysokiego znaczenia. Roztropność wymaga, ażebyśmy żyli o jeden stopień niżej od naszych dochodów, nie zaś na równi, — lecz nie można dojść do tego, jak wiążąc oba końce. Locke usilnie doradzał stowanie się do takiej metody. „Nic właściwiej nie utrzymuje człowieka w równowadze swych dochodów, jak tylko nieustanne mienie przed oczyma swych wydatków.“ Wellington utrzymywał ściśle swe rachunki. „Postanowiłem dla siebie prawo, — mówił do p. Gleig, — płacić sam to co się komu odemnie należało i radzę to każdemu. Dawniej miałem zwyczaj powierzać wypłaty zaufanemu słuzącemu, lecz zostałem wyleczony z tej niedoręczności, odebrawszy pewnego dnia z wielkiem podziwieniem rachunek należności od lat dwóch nie uiszczony; hultaj spekulował memi pieniędzmi i długu niezapłacił.“ „Długi czynią człowieka prawdziwie niewolnikiem. Doświadczyłem sam tego, co to jest potrzeba pieniędzy, lecz nigdy się nie zadłużyłem.“ — Waschington był pod tym względem równie ścisły, a godnem jest uwagi, iż nie uważał za niewłaściwe dla siebie sprawdzać surowo najdrobniejsze wydatki swego domu, gdyż postanowił żyć uczciwie według swej możliwości, nawet wtedy, kiedy pełnił najwyższy urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych w Ameryce.

Admirał Jervis, hrabia de Saint-Vincent, opowiadał historię swego młodzieńczego wieku, a między innemi i okoliczność, która zdecydowała go do nierobienia nigdy długów. Mój ojciec obarczony liczną rodziną, a niemający majątku, przy wyprawieniu mnie w świat, dał mi 500 fran. Pozostając długo na morzu, wystawiłem na niego weksel na 500 fran. Lecz weksel został mi zwrócony. Tą odmową ojca byłem do żywego tknięty, lecz postanowiłem sobie i dotrzymałem obietnicy nie podpisywać nigdy weksu, którego niebyłbym w stanie zapłacić. Zmieniłem więc zaraz tryb mojego życia, porzuciłem stół oficerski odosobniony, jadłem potrawy jak każdy prosty majtek, prałem mą bieliznę i naprawiałem sam suknie, zrobiłem nawet parę spodni z płótna mojego łóżka. Zebrawszy pewną ilość pieniędzy, byłem w stanie zapłacić mój weksel, lecz odtąd poprzysiągłem nie robić żadnych wydatków, któreby przewyższały moje dochody. Przez sześć lat Jervis poddał się trudnemu niedostatkowi, lecz ocalił swą niezależność, wy-

doskonalił się w swym zawodzie, a przez odwagę i swe zasługi, doszedł powoli lecz z pewnością do stopnia najwyższego w marynarce.

Dla młodzieńców początkowe kroki w życiu są wielkiem zadaniem, gdyż w młodości tylko można przywyknąć do systemu o którym mówiliśmy, jeżeli chcemy aby się stała naszą naturą. Kiedy się raz wstąpi na dobrą drogę, to już bardzo łatwo dobrze działać. *Praca dobrze rozpoczęta jest w połowie zrobiona*—mówi przysłowie; a batalia dobrze rozpoczęta, jest także w połowie wygrana. Iluż to młodzieńców czyniących najświetniejsze nadzieje wyrzadzili sobie niepowetowaną krzywdę przez fałszywy krok zrobiony w początku swego zawodu, kiedy inni, na których zdolności mniej liczono, doznali powodzenia, gdyż rozpoczynawszy dobrze, mogli pewniej iść obraną raz drogą. Dobry początek jest pod pewnym względem zobowiązaniem, zapowiedzią dopięcia ze skutkiem obranego celu. Iluż nędzarzy, dla których życie stało się nieszczęściem, nigdy niebyliby wyciągnęli ręki, gdyby zamiast zadawałnic się dobrymi zamiarami, chcieli się tylko jąć dzieła i trafnie rozpocząć swoją karierę.

Na nieszczęście, większa część ludzi nie umie czekać na powodzenie, nie jest zdolna zadawałnic się początkiem tak jak robili ich ojcowie, i chce rozpoczynać tem, czem oni kończyli. Spodziewają się używać owoców przemysłu bez dołożenia doń kiedykolwiek swej ręki, a nieumiejąc oczekiwać na rezultaty pracy i usiłowań, spożywają na przód przyszłość, aby wcześniej użyć przyjemności. Między klasami średnimi nadewszystko istnieje zgubna dążność do wyczerpania zupełnego swych dochodów, a nawet robienia większych nad możność wydatków, nadto do prowadzenia życia okazalszego niż na to zwykle środki wystarczają. Rodzice starają się zwykle uformować ze swych dzieci nie ludzi dobrze wychowanych lecz modnych, tworząc z nich karykatury dantystów. Te nieszczęsne istoty nabywają gustu do pięknych strojów, do błyskotek i rokoszy, które w żadnym razie nie mogą służyć za zasadę szlachetnego oraz męskiego charakteru. Rezultatem jest to, że mamy wielką liczbę lalek z masy papierowej, jak widma błakające się w nieswoim świecie. Widok ich robi wrażenie czerpu rozbitego okrętu, na którym zupełnie pusto i tylko z za burtów mała wygląda.

Młodzieniec wchodząc w stosunki światowe przebywa zwykle śliską drogę pokus; jeżeli ulegnie—to jego poniżenie mniej lub więcej zupełne jest skutkiem słabości charakteru. Świat zawsze zastawia swe sidła, ale trzeba wyrobić w sobie siłę odepchnięcia miłych pokus i powiedzieć sobie *nie*—gdyż młodość podobnie jak kobieta, rozmyślająca za i przeciw—jest zgubioną. Wielu rozważa, nie mogąc na nic się zdecydować; a przecież nie zgodzić się na żadne postanowienie, *jest to powziąć jedno z najgorszych*.

Doskonała znajomość człowieka mieści się w tej boskiej modlitwie: „*I nie wódz nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego*.” Jednakże trzeba żeby pokuszenia doświadczał młodzieniec; lecz jeżeli raz ulegnie pokusie, jeżeli siły oporu coraz słabną. Uleść—to znaczy utracić część swej onoty,—oprzeć się odważnie—to zyskać przez ten pierwszy krok siłę zwyciężania, która już trwa całe życie; zdobywanie się na odwagę staje się nawykniem. Te dobre przyzwyczajenia, posługują w tysiącznych wypadkach życia, chroniąc człowieka od smutnych następstw i stanowią jego rdzeń moralny, niejako treść jego samego.

Hugh Miller opowiedział, jakim sposobem zdobywszy się raz na użycie siły woli, uniknął w swej młodości silnej pokusy, mianowicie tej, która gnębi bardzo wielu z klasy rzemieślniczej. Był to zwyczaj pogrążania się trunkiem wśród pracy. Pewnego dnia, Miller wypił dwie szklanki *wisky*; wróciwszy do domu, znalazł swą ulubioną książkę „*Doświadczenia Bacona*,” którą chciał czytać; lecz litery tańcowały przed jego wzrokiem i w żaden sposób myśli nie mógł schwycić. „Stan, w jakim się znajdowałem, był poniżający i z własnej mej winy pochodził. Wpadłem czasowo na drogę, która przywiodła mnie do kresu niezgodnego z mojem stanowiskiem umysłowem,—i chociaż to położenie nie sprzyjało do robienia zdrowych uwag, jednakże poprzysięgłem sobie odtąd pozbyć się raz na zawsze brzydkiego zwyczaju upijania się, który pozbawiał mnie zdolności używania władz umysłowych i z pomocą bożą zostałem wierny memu przyrzeczeniu.”

Takie postanowienia są szczytnymi zwrotami na drodze życia, gdyż są one tem w przyszłości co stanowi o charakterze i kierunku człowieka. Skala ta, o którą o mało się nie rozbił Hugh Miller, gdyby był nie powziął stałego postanowienia unikania jej z całej siły na przyszłość, jest

jednym z tych szkopułów, o który roztrącił swe najpiękniejsze nadzieje nie jeden młodzieniec, a nawet i człowiek w dojrzałym wieku. Jest ona jedną z najobrzydliwszych pokus, na które wiek młodzieńczy wystawiony bywa.

Sir Walter Scott mawiał, że „ze wszystkich wad, pijaństwo najmniej zgadza się z wielkością umysłu człowieka, gdyż jego godność poniża.“ Lecz nie dosyć na tem, jest ono jeszcze niezgodnem z oszczędnością, przyzwoitością, zdrowiem i uczciwością.

Żeby jednak walczyć z siłą i powodzeniem przeciw złym skłonnościom, powinniśmy staczać walki nie tylko na zwykłym gruncie praktyki światowej, — chociaż i te mają swą stronę użyteczną — ale powinnością naszą jest zająć wyższe stanowisko moralne. Sztuczne pomoce, jakoto przysięgi, mogą być chwilowo skuteczne, lecz prócz nich należy we wszystkim podążać do ideału, do umacniania i reformowania naszych nawyków. W tym celu działając, młodzieniec powinien badać siebie, czuwać nad swem postępowaniem, porównywać swe myśli i czyny ze wzniosłym ideałem. Im lepiej się z wzorami pozna, tem będzie skromniejszem, mniej zarozumiałym i zaufanym sam w sobie. Doświadczenie przekonywa, że najcenniejszą praktyką jest ta, przez którą dochodzimy do przywyknień obchodzenia się bez drobnych przyjemności, aby sobie zdobyć w późniejszym wieku daleko szczytniejsze i miłsze. Ta to moc postępowania w wychowaniu samego siebie, jest największą potęgą, gdyż prawdziwa sława pochodzi z siły zwyciężenia samego siebie, bez której bojujący jest tylko pierwszym niewolnikiem swych namiętności.

Niem mało napisano książek dla ludu, w celu nauczania go robienia pieniędzy, lecz ta wielka tajemnica z którą się popisano, znaną była oddawna, jak świadczą przysłowia wielu narodów:

„Staraj się oszczędzać małe sumki, bo wielkie same oszczędzać się będą. Czuwanie jest matką szczęścia. Pieczone gołąbki, nie przyjdą same do gąbki. Bez pracy nie będzie kołaczy. Pracuj, a będziesz posiadał. Ten dopina celu, kto umie być cierpliwym. Lepiej pójść spać głodnym, jak obudzić się zadłużonym. Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.“

Oto przypomniałszy kilka zdań z owej filozofii wyrażającej się w przysłowia, a zbudowanych na do-

świadczeniu wiekowi, które są zasadą zdobycia fortuny na tym świecie. Przysłowia te tułały się między ludem pierwem wynaleziono sztukę pisania, i były pierwotnem prawem moralności ludowej. Nadto, wytrzymały one wszelkie próby czasu, a doświadczenie codziennie przekonywa nas o ich niezawodności, sile i dobroci. We wszystkim, co się dotyczy potęgi pracy, użycia lub nadużycia pieniędzy, przysłowia Salomona zawierają wielki skarb mądrości.

„Ten, co ustaje w pracy, jest bratem marnotrawcy swego mienia. Idź leniwcze do mrówki, przypatrz się jej drogom i stań się mędrszym. Nędza uderza na leniwego jak przechodzień, a głód jak człowiek zbrojny“. O przemysłowcach mówi: „Ręka pilnego wzbogaca. Spijający wino i smakosz zubożają, a lubiący spać długo chodzi w sukniach podartych“. I na koniec: „Ileż to lepiej dostąpić mądrości, niż czystego nabyć złota, gdyż mądrość cenniejszą jest od pereł i wszystkie pożądane rzeczy nie są jej warte“.

Praca i oszczędność same wystarczą człowiekowi skromnemu do zapewnienia niezależności. Nawet zwykły robotnik może zdobyć sobie to położenie, jeżeli starać się będzie oszczędzać ze swych zarobków a unikać niepotrzebnych wydatków. Grosz wprawdzie jest drobną rzeczą, lecz dobrobyt tysięcy rodzin zawisł jedynie od sposobu oszczędzania tych małych groszy. Kto pieniądź w pocie czoła zapracowany łatwo z rąk wypuszcza, czy to w szynku lub gdzieindziej, wkrótce spostrzeże, iż jego życie niewiele różni się od prostego bydlęcia. Lecz nawzajem, jeżeli stara się oszczędzać małe kwotki, jeżeli używa ich co tydzień, już to wnosząc do kasy oszczędności, już placąc raty towarzystwu ubezpieczeń na życie, zostawia resztę swego zarobku żonie na utrzymanie domu, wychowywanie dzieci — to wkrótce przekona się, że uwaga zwrócona na drobne wydatki, na te małe rzeczy, sownie wynagradza trud przez pomnożenie środków uzbierania zasobu do swego rozrządzenia, przez zwiększenie dobrobytu swej rodziny, przez zyskanie swobody i spokoju umysłu, które mu dają możność życia bez obawy o jutro. Jeżeli rzemieślnik posiada tę szlachetną ambicję i siłę inteligencji — bogactwo daleko większe niż wszystkie dobra materialne — to może nie tylko wystarczyć i pomódz samemu sobie, lecz nadto wspierać innych, których spotka na drodze swego żywota.

Honor, a nie wstyd, jest tarczą każdej uczciwej pracy, czy to ona będzie stanowić uprawę ziemi, czy wyrób jakichkolwiek przedmiotów przemysłu, czy też nareszcie sprzedaż ich w sklepie. Młodzieniec może swobodnie żyć z lokiem w rękę, zajmować się mierzeniem materyj — i to mu nie przynosi wstydu, jeżeli tylko nie ma tak krótkiego umysłu jak łokieć, a tak wąskiego jak brzeg materyi. „Niech się ci wstydzą — powiedział Fuller — co z cudzej pracy żyją, co nie mają żadnego uczciwego zajęcia, ale nie ci co pracują w jakimkolwiek rzemiośle lub handlu“. A biskup Hall mawiał: „Szczęśliwe przeznaczenie jest tych wszystkich co pracują, czy to umysłowo czy fizycznie“. Ci, co się z najniższych szczebli wynieśli na najwyższe w społeczeństwie, powinni być więcej dumni, niż ci, co nie mieli w swej karierze żadnych przeszkód do zwalczania.

Jeden z prezydentów amerykańskich, zapytany o gołdło swego herbu, pamiętając że w młodości był rzeźnikiem, odpowiedział: „para rękawów od koszuli po ramie zawiniętych“. Lord Tenterden wielki kanclerz Anglii był dumny z tego, że mógł pokazać swemu synowi sklepik, w którym jego ojciec golił brody po 3 grosze. Pewien doktor pozwolił sobie urągać z powodu niskiego urodzenia Fléchier'a biskupa w Nîmes, który w młodości był mydlarzem. Ten mu odpowiedział: „to prawda, lecz gdybyś ty znajdował się na moim miejscu, to bezwątpienia dotychczas robiłbyś świece i mydło“. Biskup krakowski Szaniawski nie wstydził się pokazywać garnuszkę, z którym zebrał pożywienia będąc studentem w szkole.

Nie nie jest pospolitszego nad energię towarzyszącą zbieraniu pieniędzy, niezależnie od wszystkich innych względów, wznioślejszych nad samo gromadzenie kapitału. Człowiek, poświęcający się ciałem i duszą zbieraniu pieniędzy, prawie zawsze nie chybi swego celu, choć niewiele rozumu do tego mu posługuje. Maksyma taka: wydaj mniej niż zarabiasz, ciuaj grosz do grosza, oszczędzaj, a powoli worek z dukatami rość ci będzie — oto jest cała mądrość sknerów i ludzi, którzy nie dla szczęścia swego i drugich, lecz dla lichy namiętności gromadzą pieniądze.

Bogaty bankier paryzki Osterwald był długo biednym. Miał on zwyczaj pijać co wieczór szklankę piwa na kolację i każdego wieczoru zbierał tyle korków, ile ich mógł znaleźć. Po ośmiu latach zebrał ich taką ilość, iż po

sprzedaniu miał ośm luidorów. Sumka ta stanowiła fundament jego fortuny, którą zrobił na giełdzie. Po śmierci swej zostawił trzy miliony franków, nie nadużywając wprawdzie pieniędzy, ale też i nie używając nic na świecie.

John Forster opowiedział uderzający przykład, co może zdziałać silne postanowienie zebrania kolosalnego majątku. Pewien młodzieniec, zmarnowawszy ojczyście dobrą, w końcu znalazł się przywiedziony do nędzy i rozpacz. Wyszedłszy raz z domu dla odebrania sobie życia, przybył na wzgórze, z którego mógł widzieć łąki i niwy niegdyś doń należące. Tu zatrzymał się, usiadł, myślał jakiś czas i powstał z niezwalczonem postanowieniem odzyskania przez pracę utraconego majątku. Powrócił więc do miasta, a ujrawszy przed jednym domem stojący wóz z węglami, które wyładowano na chodnik, prosił o dozwoleństwo mu przeniesienia ich na miejsce przeznaczenia — co też zostało przyjęte. Za tę pracę zarobił kilka groszy, a oprócz tego za przymówieniem się otrzymał jeszcze parę obwarzanków, co mu dozwoliło schować zarobione pieniądze. Oddając się ciągle podobnym pracom w domowych usługach, zarabiał nieco pieniędzy, które regularnie chował, i tym sposobem uciułał dość okrągłą sumkę, wystarczającą na kupienie bydła, które jako gospodarz korzystnie odprzedawał.

Od tej chwili nieustannie gonił za zrobieniem fortuny, z równym uporem i zaciętością, jak wprzód za jej marnowaniem. Rozszerzając coraz więcej koło swoich działań, został nareszcie równie bogatym jak dawniej. Jakkolwiek w skutek takich usiłowań odkupił wprawdzie wszystkie swoje utracone dobra, lecz umarł w skórze obrzydłego skąpeca. Gdyby był ożywiony szlachetniejszym umysłem, to siła woli tkwiąca w tym człowieku, byłaby zrobiła zeń dobroczynicę swych bliźnich. Lecz jego śmierć podobna była życiu zarówno obrzydliwemu.

Oszczędność dla samej oszczędności jest rzeczą godną pogardy, chociażby pieniądze uczciwie zostały zarobione, a cóż mówić o oszczędzaniu pieniędzy zbieranych z krzywdą sierot, albo łowionych w mętnej wodzie zabiegów spekulacyjnych... Mieć staranie o starcach ze swej rodziny, lub być oględnym na swój wiek późniejszy, jest rzeczą uczciwą, honorową, godną największych zachęt; ale gromadzić bogactwa dla samej przyjemności posiadania skarbu — jest cechą ograniczonego umysłu i podłej duszy. Mądrość winna

ciągle czuwać nad tem nagabaniem złych skłonności, nad przesadzonem pojęciem oszczędzania pieniędzy; inaczej co w młodości było tylko ekonomią, w starości zamienia się w skąpstwo i co w pierwszym wypadku jest obowiązkiem dość trudnym, w drugim staje się ohydą wadą. Miłość pieniędzy, a nie same pieniądze są źródłem złego. Ta to miłość upadła i nęka duszę, zamyka serce na wszelkie uczucia i szlachetne czyny. I to skłoniło Walter-Scotta do włożenia w usta jednemu ze swych bohaterów zdania: „że pieniądze zabiły więcej dusz, niż ciał żelazo“. Jednym z największych błędów wyłącznego i zacieklego ubiegania się za zrobieniem majątku jest to, że nadaje życiu człowieka charakter maszyny. Spekulant, a takimi są wszyscy dorobkowiec, raz wpadłszy na tor interesów, poza nimi nie widzi już nic, coby go zająć mogło, coby mu przyjemność sprawiało. Żyje tylko samym sobą, nie troszcząc się o innych, jeżeli ci nie wchodzi w kółko jego zabiegów. Rodzina, społeczeństwo, są to dlań martwe cyfry zysk lub stratę przedstawiające. Wyrwij jedną kartę z wielkiej księgi takiego człowieka, a wydrzesz mu całe jego życie, które też kończy umierając nieżałowany przez nikogo, przez własne dzieci, chyba przez tych z którymi razem spekulował..

Powodzenie materialne, mierzone ilością nagromadzonych pieniędzy, jest bezwzględnie nie dla jednego rzeczą ośniewającą i imponującą tym wszystkim, którzy są wielbicielami tego rodzaju powodzeń. Ludzie, dla których zabiegliwość, bystrość, zręczność i brak wszelkich skrupułów są nawykniem i którzy zawsze czatują na sposobność zyskania, mogą zrobić i robią majątki a nawet często udaje się im dostąpić kariery na świecie. Mogą oni bardzo wygodnie nie dbać o opinię ludzi honoru i pokazywać się publicznie obnażonymi ze wszelkiej szlachetności charakteru. Taki, dla którego najwyższą loikę stanowi pieniądz, może zostać bogatym, lecz mimo to będzie całe życie biednym, gdyż bogactwo nie jest cechą istotnej wielkości człowieka; na wypadek utraty majątku okazuje się wtedy cała jego nędza umysłowa. Blask bogactwa podobny jest do światła mikroskopu, który zdradza utajonego robaka; bogactwo nigdy nie osłania ohydy jego posiadacza. Każdy człowiek może być tem czem chce, lecz tylko rozum i serce czynią go bogatym lub ubogim, szczęśliwym lub nędzarzem; a przymioty umysłu i serca są i będą zawsze wyższymi od bogactwa mate-

ryalnego. *Dobre imię więcej jest warte, niż trzos napchany dukatami.*

Sposoby, jakich używa wielu dla zebrania fortuny przez szaloną żądzę pieniędzy, poświęcenie siebie samego dla tej żądz, przypominają ochciwość małpy, tej karykatury naszego rodzaju. W Algierji, Kabylowie przywiązują do drzewa wór w którym ryż się mieści. Worek ten ma otwór z kłapą, w który małpa łapę włożyć może. Podczas nocy, zwachawszy pożywienie, skacze ona z gałęzi na gałąź, wyciąga łapę, wkłada w otwór dla dostania ryżu, lecz niestety! kłapa się zamyka, a ona nie umiejąc jej otworzyć, uwieziona czeka ze drżeniem do rana, kiedy wieśniak przychodzi zabrać ją wraz z ryżem w łapie, którego tak pożądała i z najgłupszą miną, jaką ma nietylko małpa złapana na gorącym uczynku. Sens moralny tej historyjki może mieć rozciągle zastosowanie.

Cokolwiek bądź, ludzie przyznają za zbyt wielką władzę pieniądзом. Najpotężniejsze dzieła całą ludzkość obcho-dzące, największe wynalazki ją uszczęśliwiające, nie zostały spełnione przez ludzi bogatych, ani przez subskrypcye, lecz przeciwnie przez takich, których środki pieniężne były bardzo ograniczone.

Chryścjanizm został upowszechniony przez ludzi z klasy biednej. Najwięksi myśliciele, wynalazcy, artyści byli ludźmi ubogimi po wszystkie wieki, po części mało za-możniejszymi od wyrobników. I tak będzie po wszelkie czasy — gdyż bogactwo jest raczej hamulcem niż ostrogą i w wielu wypadkach bardzo trudnem do rozstrzygnięcia, czy stanowi szczęście lub nieszczęście pojedynczych osób. Młodzieniec, odziedziczając majątek, prowadzi życie łatwe, bez trudów, doznaje więc wkrótce przesytu, gdyż nie ma nic do zapragnienia. Ponieważ nie potrzebuje walczyć dla zdobycia sobie pozycyi, majątku; czas wydaje mu się strasznie nudny, zostaje więc moralnie i umysłowo ospałym, a częstokroć jego stanowisko w społeczeństwie podobne jest do polipa, potracanego przez fale morskie.

Jednakże człowiek bogaty, ożywiony jasnym i szlachetnym umysłem, pogardza zawsze lenistwem na równi z tchórzostwem — a jeżeli rozważa odpowiedzialność ciążącą na nim jako na bogaczu, tem potężniej czuje się obowiązany do pracy i więcej nawet od biedniejszej od siebie braci. Z zalem wszakże przyznać trzeba, iż takie przykłady

nie często dają się widzieć w życiu zwyczajnem. Mierność, o jaką błagał Agar w swej modlitwie: „Nie obarczaj mnie Panie ani ubóstwem ani bogactwami, daj mi pożywienie jakie uznajesz za właściwe“, jest może najlepszym losem, gdybyśmy tylko umieli ocenić mądrość tego żądania. Józef Brotherton, członek parlamentu angielskiego, kazał położyć napis na swym grobie w Peelparku w Manchester, tem piękniejszy, że oświadczenie wyrażone w tym wypadku było czystą prawdą: *„Moje bogactwo w niczem nie przyczyniło się do mego stanowiska, lecz skromność moich potrzeb“*. Z najniższego szczebla chłopaka fabrycznego wzniósł się do najwyższych godności, które zajmował przez uczciwe postępowanie, pracę i zaparcie się siebie, dowodząc całem swem życiem, że sławy nie szukał dla pochwał i zwrócenia oczu ogółu na siebie, lecz przez spełnianie najdrobniejszych posług i obowiązków, z uczciwością, miłością i sprawiedliwością.

Szacunek u ludzi, w właściwym znaczeniu tego wyrazu jest dobrą rzeczą, potrzebną nawet. Szacowny człowiek, będąc istnie godnym *respektu* (re-spectu), to jest literalnie godnym aby się nań oglądano, ma prawo do tego odznaczenia. Lecz respekt, polegający tylko na pozorach, nie jest godzien ani hołdów, ani tego honoru, jaki mu często świat oddaje. Tysiąc razy od bogacza więcej jest godzien szacunku człowiek ubogi, ale uczciwy; tysiąc razy więcej od pysznego hultaja posiadającego powóz i konie, którym obryzguje błotem ludzi chodzących piechotą ale zacnych, choć ci nikomu drogi nie tamują. Umysł oświecony i spokojny, życie pełne prac pożytecznych, zdobiące człowieka w jakiegokolwiek pozycji społecznej stojącego, czynią go daleko wyższym, godniejszym poszanowania nad tych, których zwykle w świecie szacują, którym pospolicie hołdują. Co do nas, uważamy za najszczytniejsze zadanie życia, wyrobienie charakteru prawdziwie męskiego, silnie rozwiniętego ciała, inteligencji—poczucia piękna i dobra: to jest rzeczywisty cel życia, reszta stanowią mniej więcej zwyczajne środki. Pożyteczność życia nie polega na użyciu jak najwięcej przyjemności, zebraniu najwięcej pieniędzy, najwyższej władzy, honorów i zaszczytów, ale na dokonaniu najwięcej prac użytecznych i obowiązków. Pieniądze są w pewnym stopniu potęgą, to prawda, lecz i inteligencja, poświęcenie się dobru powszechnemu, oraz moralność, są także potęgami,

a nadto dobrem daleko szlachetniejszym. „Niech inni zebrają o pensye—pisał lord Collingwood do swego przyjaciela—ja mogę być bogatym bez pieniędzy, usiłując wznieść się nad wszystko, co jest nędzotą ludzi ohciwych i nigdy nienasyconych—pragnę bowiem, aby usługi, jakie oddałem krajowi, nie rzucały na mnie najmniejszego podejrzenia o interesowność. Powody, jakie kierowały całem mem życiem, są takie, że nie oddałbym ich za tysiączne pensye.“

Posiadanie lub zdobycie wielkiego majątku, otwiera ludziom towarzystwa wyższego rzędu; lecz aby byli cenionymi, trzeba ażeby posiadli właściwe ukształcenie, przymioty duszy i serca, bez których świat przyjmuje ich tylko jako ludzi bogatych i nic więcej¹⁾ Nadto jest już obecnie wielu ludzi bogatych jak Krezus, którzy wszakże nie zyskali żadnego poważania, ani szacunku. I dla czegoż miałoby być inaczej? skoro oni nie przedstawiają nic więcej nad kupę pieniędzy i nie mają większej władzy nad swą szkatułę. Ludzie odznaczający się w społeczeństwie, to jest ci, co mu przodują w opinii, w pracach pożytecznych, sztukach i naukach, ludzie geniuszu lub talentu, zwykle nie bywają bogaci, lecz za to stoją na wyżynie moralności, honoru, wyszczególniają się przez swój charakter, moc doświadczenia. Biedak posiadający ledwie małą częśćkę dóbr światowych, jeżeli kształcił swe naturalne zdolności, użył dobrze swojego czasu według warunków towarzyskiego stanowiska, może śmiało patrzeć w oczy bez zazdrości temu, który się nie zaleca niczem innym, tylko powodzeniem materialnem, człowiekowi obciążonemu włókami i workami pieniędzy.

Przecież kiedyś przyjdziemy do przekonania, że miliony mimo chwilowego powodzenia nie zakryją hańby,—a lepiej jest utracić majątek niż honor, bo człowiek mający odwagę prędzej czy później zostanie za nią wynagrodzony.

¹⁾ Smiles, autor niniejszego dzieła, mówi tu o towarzystwie angielskiem. Niestety u nas dzieje się zupełnie na odwrót, gdyż dosyć być bogatym, a społeczeństwo nasze, bez względu na źródło majątkowe, przyjmuje Krezusa, hołduje mu i wyżej nawet stawia od ludzi uczciwych, ale niezamożnych. (Przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ X.

Kształcenie siebie samego.

Cały skutek wychowania na tem zależy, co człowiek przez nie i przy jego pomocy z siebie wyrobi.

Wilhelm Humboldt.

Nauką i pieniędzmi drudzy cię z bogacą,
Mądrość musisz sam z siebie własną dobyć pracą.

Adam Mickiewicz.

Dwojakie wychowanie odbiera każdy człowiek: jedno dają mu inni oraz wypadki życiowe, drugie ważniejsze daje sam sobie.

Przez wychowanie w ogólności, rozumieć należy wykształcenie zupełne człowieka, to jest rozwój jego duchowych, moralnych i fizycznych sił i zdolności. Duch, uczucie i ciało stanowią tróję połączoną w jedność, zgadzają się z sobą jako części jednej całości i zostają w najściślejszym związku wzajemnym. Te trzy strony ludzkiej natury—każda w szczególności i wszystkie razem—odpowiednio do swych naturalnych własności, muszą być wzięte na uwagę, jeżeli wychowanie ma wykształcić człowieka zupełnie i harmonijnie. Rozwińmy wyłącznie jego fizyczne zdolności, a otrzymamy atletę lub barbarzyńca—wykształćmy tylko stronę uczuciową, a będziemy mieli marzyciela lub obłąkańca, ograniczmy się na duchowym jedynie rozwoju, a dzieckiem jego będzie zimny człowiek rozumu, w miarę okoliczności szatanem stać się mogący.

Starożytni Grecy i Rzymianie wielką przykładali wagę do rozwoju sił ciała, i „zdrowa dusza w zdrowym ciele“ była najwyższym celem wychowania u nich. „Tę okoliczność—mówi jeden z nowszych pisarzy—ze prawie wszyscy dawni Grecy przedstawiają nam się w bohaterskich kształtach, przypisać należy jedynie i wyłącznie równoległemu rozwinięciu ich ducha i ciała, i jeśli z jednej strony podziwiamy kwitnące sztuki, nauki i wysoki rozwój duchowego życia w pięknej

Helladzie ¹⁾, to również zmusza nas do podziwu osobista odwaga greków, ich prawie przysłowiowa piękność ciała i naturalny powab, który się w dziełach sztuki przez nich wykonanych odbija. Wiedzieli oni bardzo dobrze, że przez świeżość, zręczność i siłę ciała udziela się także duchowi obrotność, świeżość, pogoda, pracowitość, odwaga, pewność siebie, stałość, sprężystość, wzniosłość, które to przymioty tak stanowczo na moralność oddziałują. Grecy dążyli jednym słowem do otrzymania lub przywrócenia zupełnej harmonii pomiędzy duchem i ciałem.“

Starożytni Grecy mieli osobne miejsca gimnazjami zwane, w których chłopcy — w Sparcie także dziewczęta—nago (po grecku *gymnos*, z kąd poszła ich nazwa) oddawali się wszelkim ćwiczeniom ciała, jak: pasowaniu się, bieganiu, rzucaniu lanc i pocisków, walce na pięści i t. p.; tym sposobem hartowali się i wzmianki. W pewnych epokach odbywały się także peryodyczne igrzyska narodowe, z pomiędzy których najslawniejsze były olimpijskie, gdyż na te igrzyska zewsząd zgromadzali się Grecy.

W drugiej połowie przeszłego stulecia Gutsuths w połączeniu z zakładem wychowawczym Salzmana w Schnepfenthal pod Gotha, otworzył pierwszy zakład gimnastyczny w Niemczech i tym sposobem dał początek ruchowi, który następnie wydał zakłady, szkoły, a wreszcie stowarzyszenia gimnastyczne w całej Europie. Do rozszerzenia ich i rozpowszechnienia najwięcej się przyczynił Fr. Ludwik Jahn, zwany w Niemczech ojcem gimnastyki (Turnvater), którego przykład i pisma wpłynęły na rozwój gimnastyki we wszystkich warstwach narodu. Wydatna i dzielna to była osobistość, o przywiązaniu zaś jego do swego kraju ztąd już sądzić można, że gdy go doszła wiadomość o porażce Prusaków pod Jeną, z bólu nad nieszczęściem ojczyzny w ciągu jednej nocy osiwił. Z pobitymi Prusakami uciekł on do Lubeki i dopiero w 1809 roku powrócił do Berlina, w bliskości którego na tak zwanej Hasenhaide w 1811 roku otworzył zakład gimnastyczny. Po niedługim jednakże czasie, zakład Jahna mimo świetnego powodzenia zamknięty został, a gimnastycznym ćwiczeniom położono tamę. Raz jednak obudzony popęd w tym kierunku nie ustał już i gimnastyka stała się istotną częścią składową wychowania

¹⁾ Hellada—starożytna Grecya.

młodzieży. Oglądał to Jahn jeszcze swemi oczyma, zmarł bowiem 1852 r. Ostatnie czasy niezmiennie się do tego przyłożyły, i wszędzie ludzie z poświęceniem, pojmujący cel gimnastyki, wpływem swoim zachęcali nie tylko do zakładania instytucji gimnastycznych, ale i tak nazwanych *turnvereine*. Tu właśnie będzie miejsce wspomnieć o Siegemundzie Frietz, który za zadanie życia przyjął zakładanie takich stowarzyszeń. To też dał on początek około tysiącu stowarzyszeń gimnastycznych nie tylko w Europie, ale i w Ameryce, Australii. Jeździł on po rozmaitych miejscach Niemiec, dawał odczyty o potrzebie i korzyściach gimnastyki, przekonywał, prosił, aż dzieło do skutku doprowadził. Zmarł w r. 1866 d. 3 marca w Schneeberg pod Berlinem.

Nie dziw więc, że dziś stowarzyszenia gimnastyczne w Niemczech liczą setki tysięcy członków¹⁾ i od pewnego czasu miewają Niemcy peryodycznie nakszałt igrzysk dawnych Greków, zjazdy towarzystw strzeleckich, gimnastyków i śpiewaków. U nas zakłady gimnastyczne powstały przed kilkunastu laty, a pierwszy — który podobny instytut zaopatrzone we wszystkie przyrządy rozwinął na obszerniejszą skalę w Warszawie — był Mathes. Oprócz zwykłego instytutu urządnego metodą szwedzką, miał on także szkołę pływania na Wiśle od strony Pragi. W instytucie Mathesa wykształciło się kilku zdolnych przewodników w nauce gimnastyki, jak np. bracia Majewscy, którzy ostatnimi czasami urządzili nawet niedzielne lekcje gimnastyki dla młodzieży rzemieślniczej, po bardzo przystępnej cenie.

Wychowanie powinno zawsze zaczynać się od pielęgnowania zdrowia i zahartowania ciała, bo ciało jest siedliskiem i narzędziem duszy, a gdzie narzędzie nie jest wartym, czyż może być mowa o płodnej działalności ducha? Waznym środkiem nadania ciału koniecznej sprężystości i utrzymania takowej jest, jak widzieliśmy, gimnastyka, której wpływ staje się tem zbawienniejszy, że przez nią nie tylko wszystkie mięśnie (mięśnie) i członki systematycznie się rozwijają i nabierają siły odpornej przeciw szkodliwym zewnętrznym wpływom, ale jeszcze najszlachetniejsze cnoty pobudzają się i wzmacniają: jak umiarkowanie, męstwo, pe-

¹⁾ We Lwowie towarzystwo gimnastyków pod nazwą Sokoła. W Krakowie zawiązuje się podobne Towarzystwo.

wność siebie, miłość rodziny. Lecz gimnastyka ciała wten czas tylko w zupełności cel swój osiągnąć może, gdy wszystkie czynności życia zostają w harmonijnym z nią związku, gdy gimnastyk nie tylko w sali ćwiczeń, lecz wszędzie stosuje się do przepisów higieny. W tym względzie wiele także powiedziećby można o dawnych Grekach i Rzymianach. Tacyt zaś o starożytnych Germanach tak mówi: „Mażeńskie związki są u nich ścisłe i nie można większej pochwały oddać ich obyczajom jak tę, że oni prawie jedni ze wszystkich barbarzyńców¹⁾ trzymają się jednożeństwa. Żyją oni w skromności nieskalanej ani ponętami widowisk, ani podnietami biesiad. Bardzo rzadko w tak licznych narodzie trafia się złamanie wiary małżeńskiej, które podlega karze. Utracenie niewinności nie uchodzi tam płazem, ani piękność, ani młodość, ani bogactwo nie zdołają pozyskać męża upadłej. Nikt bowiem nie śmieje się tam z występku, a uwieść lub być uwiedzioną nie należy do modnych obyczajów.... Dziewica dostaje jednego męża jak jedno ciało i jedno życie, ażeby żadną myślą nie wybiegała dalej, żadną żądzą poza kres domowy nie dążyła, ażeby w mężu nie męża lecz stan małżeński miłowała.... I więcej powagi mają u nich dobre obyczaje, jak gdzieindziej dobre prawa. W jednym domu tak samo jak w innym, nadzy i brudni, dorastają oni przeciw tej budowy członków i wielkości ciała, na jaką z podziwieniem spoglądamy. Własna matka karmi dziecko swą piersią, nie wyręczając się mamką albo piastunką. Panna od służącego po wykwiniejszem wychowaniu odróżnić niepodobna. W pośród tej samej trzody, na tej samej ziemi, żyją aż do podeszłego wieku, który jedynym jest u nich szlachectwem. *Młodzi późno rozpoczynają używać życia i dlatego ich siła męska jest niewyczerpana.* Nie spieszą się również z wydawaniem za mąż dziewczę, wychowując je w prostocie; to też siłą i wzrostem dosięgają one swych braci, silnie przywiązują się do mężów, a siła rodziców odradza się dzieciom.“ — Wszystkie te rysy obrazu Tacyty zastosować się dadzą prawie w zupełności do naszych przodków. U Polaków, w wiekach nawet nierównie bliższych nas niż te,

¹⁾ Barbarzyńcami nazywali Rzymianie i Grecy wszystkich cudzoziemców, którzy nie mówili ich językiem; później przywiązało się do tego wyrażenia pojęcie nieukształcenia, surowości, dzikości, jako przeciwstawienie cywilizacji.

w których Tacyt pisał *Germania*¹⁾, świętość związków małżeńskich, skromność, miłość rodzinna, wychowanie młodzieży i za tem idąca siła i dzielność ciała i ducha, przedstawiały ten sam obraz prostoty, czerstwości i zdrowia. Chociaż nam niepodobna dzisiaj powrócić do przedstawiania na zaspokojeniu tak ograniczonych jak niegdyś potrzeb, powinniśmy jednakże naśladować ojców, biorąc prawa natury, — których żaden człowiek bezkarnie przekraczać nie może — za podstawę i kierownika naszego sposobu życia. Aby dać przykład, jak niebezpieczne następstwa pociąga za sobą pogwałcenie praw natury, wspomnimy tu pewne tak zwane tajemne grzechy, które wstrzymują rozwój duszy, wycieńczają najżywotniejsze siły ciała i najczęściej sprowadzają straszne cierpienia i przedwczesną śmierć.

Proste i zdrowe pokarmy, wczesne udawanie się na spoczynek i wstawanie, rozsądne umiarkowanie i wstrzeżliwość w jedzeniu; regularność i stałość we wszystkich cielesnych i duchownych działaniach, spokój umysłu i niepoddawanie się namiętnościom — są to mniej-więcej najgłówniejsze zasady higieny dla każdego, przez których zachowanie w połączeniu z gimnastyką, pływaniem, fechtowaniem i innymi ćwiczeniami ciała — nabywa się i utrzuca zdrowie.

Zdrowie ciała i zdrowie duszy w tym lepszym jest stanie i człowiek tym jest zdolniejszy do dopięcia celów swego życia, im lepiej zachowaną jest równowaga na tem zależąca: aby cały człowiek pracował, wszystkie jego władze, wszystkie strony jego natury w pracy i przez pracę się rozwijały. Dlatego rzemieślnikowi, który głównie ciałem pracuje, zalecić wypada obok obowiązkowej pracy ręcznej odpowiednio zajmowanie się umysłowe, tak samo jak przeważnie duchowo zajętemu uczonemu obok pracy umysłowej oddawanie się trudom ciała, dopóki jeden i drugi do zrównoważenia różnicy między obydwojma rodzajami pracy nie dojdzie. Zmiana czynności, w razie okazującego się zmęczenia, wywiera także wpływ bardzo zbawienny. „Nowe zajęcia — mówi Hippel — jest prawdziwym wypoczynkiem.“ Klasy robocze używać powinny dla odświeżenia i ukształcenia się duchowego, rozmaitego rodzaju odczytów, książek z bibliotek ludowych i t. d. Uczony pewien swoje ciało

nadszarpane trudami umysłowymi zwykł wzmacniać w gimnastycznej sali lub gdzieindziej. Henryk Zschocke pisał do jednego uczonego przyjaciela, który się skarżył przed nim na częsty smutek, jaki go napadał: „Duch taki jak twój nie słabnie. Jest to tylko roztrój nerwowy, który ci za życia chwilowo posępniej spoglądać każe. Przypadłość ta jest mi znana. Doznawałem jej aż do 30 roku życia, znikła zaś, gdy zaczął używać wiele ruchu i oddawać się ćwiczeniom ciała. Tych ostatnich właśnie ci brakuje. Cierpisz na jednostajność życia uczonych. Ciało ludzkie nie jest utworzone do ciągłego, nieprzerwanego spoczynku. Szukaj rozrywki i ruchu dla siebie bądź w całodziennych przechadzkach, bądź też w potrzebie z siekierą w drwalni. Proszę cię o to bardzo usilnie. Znam „*probatum est*“ ten środek z doświadczenia. Nie mów: brak mi na to czasu. Z brakiem zdrowia brakuje ci daleko więcej jak czasu, bo obojętności w używaniu go na pracę. Nie mów: „brak mi pieniędzy na codzienne przechadzki!“ Bierz lepiej w drogę chleb i sól, a nie dawaj pieniędzy aptekarzowi i doktorowi. Utyłskiwaniem swemi narobiłeś mi nieco strachu; dlatego też nie bierz mi za złe, jeżeli szczerze do ciebie piszę. Ja jestem zdrow i wesołego umysłu, nie tylko dlatego, że żyję poprostu i umiarkowanie, lecz że (chociaż zawsze czasu żałuję i pieniędzy muszę oszczędzać, bom niebogaty) corocznie większe lub mniejsze podróże piechotą albo końmi odbywam, a nawet w zimie, bez względu na deszcze i śniegi, nie siedzę bezustannie w domu, *ut sit mens sana in corpore sano* — ażeby dusza była zdrową w zdrowem ciele.“

Ponieważ wykształcenie siły i zwinności ciała jest już samo przez się drogocennem, jest więc niezmiernie ważnem dla każdego młodzieńca, aby się od najwcześniejszych lat do naturalnego, nieprzymuszonego używania swoich członków przyzwyczaił. Lecz ileż to jeszcze pozostawia do życzenia pod tym względem szczególnie nasze, że tak nazwiemy, uczone wychowanie! Największa część młodzieży po opuszczeniu gimnazyów i uniwersytetów, ma głowę pełną łacińskich i greckich studyów, ale w tem wszystkim, co się tyczy użytku ręki, jest bardzo często najzupełniej nieudolną. Taki uczonej zna doskonale słowa foremne i nieforemne, lecz w praktycznem zetknięciu z najpospolitszymi rzeczami życia, nie dorówna najprostszemu robotnikowi i z całymi zasobami swojej mądrości, z całym ładunkiem

¹⁾ Tacyt żył od 54 do 130 r. po Chrystasie.

swej wiedzy poradzić sobie nie potrafi. Jestto więc bardzo ważnem w skutkach, ażeby uczony człowiek oprócz swoich książek poznawał świat żywy, na który swą nauką ma oddziaływać i nie był obcym tym niezliczonym drobnym zatrudnieniom, które codziennie wielokrotnie się powtarzają. Ażeby sobie przyswoić te zdolności, ażeby nabyć tej znajomości codziennego życia, powinien uczony pozostawać w świeżej, bezpośredniej styczności z światem zewnętrznym. To też jako niezmiernie użyteczne uważać należy dla uczonego obznajmienia się ze sposobem użycia narzędzi rzemieślniczych, wyuczenie się jakiego rzemiosła; mechaniczne bowiem uzdolnienie, każdemu tak bardzo potrzebne, nie wyrabi się czytaniem książek i opisów, lecz praktycznie nabytem być musi. Uczący się zatem odwiedzać powinni nie tylko słuchalnie profesorów, lecz również pilnie uczęszczać do warsztatów rzemieślniczych, uczyć się obchodzenia z rozmaitemi narzędziami i wprawiać w zręczne użycie ręki. Tym sposobem nabywać będzie praktycznego na rzeczy poglądu, oswoi się z czynnością i ruchem ciała, przyzwyczai do wytrwania w mechanicznych wysileniach, i zbierze wiele użytecznych doświadczeń na czas swej samoistnej działalności.

Wielkość pożytku, jaki przynoszą podobne dobrowolnie przedsiębrane mechaniczne zajęcia, daje się najlepiej ocenić gdy rozważamy życie tych ludzi, którzy przynieśli światu swoją działalnością najpraktyczniejsze korzyści. Izaak Newton, który się w szkole okazywał raczej ograniczonym niż niepospolicie zdolnym, różnił się przecież bardzo wyraźnie od innych dzieci tem, że niezmordowanie z jakimś genialnym instyktem i pociągami obeznawał się z wszelkimi narzędziami rzemieślniczymi i robił sobie modele wiatraków, wozów i machin wszelkiego rodzaju, które to upodobanie pozostało mu i później, gdyż nawet w podeszłym wieku lubił wyrabiać własnoręcznie małe stoliki, szafki i t. p. na podarunki dla przyjaciół. Tak samo już w dziecięcych latach James Watt i Jerzy Stephenson okazywali się zręcznymi i chętnymi do używania rzemieślniczych narzędzi, a wielkie pytanie, czy bez obznajmienia się z nimi zamłodu wielu ci odkrywcy byłiby dopiełi tego, co spełnili w swem życiu. Beniamin Franklin jeszcze w późnym wieku z wdzięcznością wspominał o swym ojcu za to, że go dzieckiem do warsztatów rozmaitych rzemieślników prowa-

wadził. „Brał on mnie z sobą — mówi — to do tego, to do owego warsztatu, prowadził mnie do murarzy, garncarzy, kotlarzy, stolarzy i innych rękodzielników, aby zobaczyć, czy do którego z tych rzemiosł nie okażę skłonności. Skutkiem tych odwiedzin w warsztatach tylu rzemieślników, których sposobowi postępowania pilnie się przypatrywałem, odniosłem korzyść niemałą, bo wszystko to, co tam widziałem, uczyniło mnie zdolnym małe roboty wykonywać własnoręcznie, co mi szczególnie było pożytecznem, gdy nie mając pod ręką żadnego robotnika, małe maszyny do mych doświadczeń robić sobie potrzebowałem.“ Henryk Zschocke każdemu ze swych synów, który obierał zawód naukowy, kazał zaraz wstępować jako uczeń do warsztatu jakiego rękodzielnika, i żaden z nich nie mógł wejść do szkoły wyższej, dopóki nie był wyzwolonym czeladnikiem swojego rzemiosła. „Tym sposobem — mówi o tem w swych pamiętnikach — stała im się obcą zarozumiałość młodych paniczów i każdy stan nauczyli się szanować, a po ukończeniu akademickich studiów, uczuli prawdziwą wartość tego prostego wychowania w podróżach swoich po Niemczech, Danii, Francyi, Szkocyi i Anglii. Dorosli synowie stali się pociechą swoich rodziców. Religijni, skromni, użyteczni i czynni służyli ojczyźnie, ludzkości, wiedzy i sztuce.“

W wychowaniu polskiej młodzieży, długi czas przewodziły zasady równowagi, między nauką książkową a praktyczną. Oprócz ćwiczeń ciała od najwcześniejszego wieku w zawodzie wojskowym, nie gardziła nie tylko szlachta ale i najmożniejsi panowie rzemiosłem, że tylko przypomniemy owe sławne w XVI i XVII wieku w Polsce i Europie szkoły Rakowskie, przy których urządzono obszerne warsztaty dla wykształcenia młodzieży w ręcznych robotach, gwoli różnym przygodom życia.

Również ważnem jak wykształcenie ciała jest przyzwyczajanie się do pilności, do pracy. Rodzice i nauczyciele, szkoła i dom powinni całej baczności dokładać, ażeby wrodzony każdej dziecięcej duszy pociąg do pracy, nieustannie na to kierować co jest dobrem, pięknem i prawdziwym, lecz jeszcze tak ten pociąg rozwijać, ażeby dziecko przyuczyło się z prawdziwą miłością, wytrwałością i zręcznością samodzielnie pracować. Należy dać dziecku dobry przykład własną pilnością, rozwijać w niem chęć do

użytecznych robót jakie samo wybierze, powolnym postępowaniem od rzeczy łatwych do trudniejszych ćwiczyć je w cierpliwości, obznajmiać ze sposobami i celami każdej roboty, a po upływie niewielu lat, nauczy się ono radzić samo sobie i będzie mogło rozpocząć kształcenie się własne. Połączona ze zdrowiem ciała zdrowa praca ducha zdolna jest nadzwyczajnych rzeczy dokonać. Zasada, że praca wszystkiego co leży w obrębie możliwości może dokonać, jest co do usiłowań naukowych tak samo prawdziwą, jak co do każdego innych. Droga nauki otwartą jest dla każdego kto szczerze chce pracować.

Trudności nie są tu nigdy tak dalece niezwalczonymi, żeby ich silną wolą obdarzony pracownik nie mógł pokonać — jeśli szczerzej pracy dołoży. Angielski poeta Chatterton miał zwyczaj mówić, że Bóg zesłał nas na świat z rękami, które są dosyć długie, ażeby wszystkiego czego nam potrzeba dosięgły, byle je tylko wedle potrzeby natężyć.

Wytrwała czynność jest tak w nauce jak we wszystkich innych powołaniach duszą i podporą każdego przedsięwzięcia, które wraz z nią utrzymuje się lub upada. Należy kuć żelazo nie tylko gdy jest gorące, lecz dopóki jest gorące. Daleko większa połowa wszystkich niepowodzeń wynika z braku dostatecznej czynności i cierpliwości. Bez pomocy, tej potężnej współpracowniczki, największy geniusz buduje na piasku. Wiadomo że właśnie najgenialniejsi mężowie byli zarazem niezmordowanie czynnymi pracownikami. Gete mówił kiedyś do Eckermanna: „Uważano mnie zawsze za szczególnie uprzywilejowanego od losu, i ja też nie chcę się skarżyć i na bieg mego życia narzekać. W gruncie wszystko to jednak nie było niczem jak trudem i pracą, tak dalece, że mogę powiedzieć, iż w moim 75-cio-letnim życiu, nawet czterech tygodni właściwej rozrywki nie miałem. Było to wieczne obracanie się kamienia młyńskiego, który chciał codziennie nowe zboże rozcierać. Moje roczniki uwydatnią to, co tutaj powiedziałem.”

Gruntowność i dokładność są po pilności i wytrwałości najbardziej potrzebne uczącemu się. Nie ilość nauczonych rzeczy, ani liczba przeczytanych książek, czyni człowieka mądrym i uzdolnionym w praktycznym życiu, lecz gruntowność w uczeniu się, czytaniu, w pracy — wszędzie! Mało umieć lecz gruntownie — jest nieskończenie lepiej, niż umieć wiele powierzchownie. Gruntowna bowiem tylko wiedza wytrzymuje próbę życia i przynosi temu kto ją po-

siada dojrzały owoc, dociera jądra, istotę, treść główną rzeczy zgłębia. Rozproszona, powierzchowna, dorywcza praca prowadzi w najlepszym razie do płytkiego wszytkowiedztwa. Gruntowność osiąga się jedynie przez wyłączenie, uważne skupienie ducha w jednym ognisku tego, czego się uczymy, przez pilną pracowitość i baczność nad utrzymaniem duchowej usilności na wyraźnie oznaczonej drodze i zażytkowaniem jej w jednym jasno wytkniętym celu. Najskuteczniejszą też metodą uczenia jest niezawodnie ta, która jako ostateczny cel stawia przed oczyma oznaczony pewien zawód i wszystko co się czyta, wszystko nad czem się pracuje, do tego celu wyłącznie kieruje, dopóki uczący się w zupełności go nie osiągnie. Tylko pod każdym względem dokładna znajomość jakiegokolwiek gałęzi wiedzy, stawia nas w możności robienia z naszej nauki stosownego i skutecznego użytku, gdy potrzeba działania się zdarzy. W ścisłym zakresie dopiero poznać można mistrza, — mówi Gete, który ganił ostro wszelkie usiłowania, mające na celu przepełnić umysł uczącego się rozproszonymi wiadomościami. „Wszędzie, — są to jego słowa, — wszędzie akademie wykładają za wiele, a przynajmniej za wiele rzeczy bezużytecznych. Pojedynczy profesorowie rozszerzają swoje przedmioty daleko więcej niż tego dla ich słuchaczy rzeczywiście potrzeba. W dawniejszych czasach wykładano chemię i botanikę tylko jako należące do medycyny, i medyk miał tego dosyć. Teraz chemia i botanika stały się oddzielnymi, ogromnymi naukami, z których każda poświęcenia całego życia wymaga i chcą ich wymagać od medyków! Z tego jednak nie wiele spodziewać się można; jedno musi być dla drugiego porzuconem i zapomnianem. Kto jest rozsądnym, ten porzuca wszystkie nazbyt rozstrzelone zachcianki i ogranicza się jednym zawodem, chcąc być doskonałym w tym jednym.”

Ten zarzut Getego nie dotyka wprawdzie szkół ludowych, którym raczej zarzut zupełnie przeciwny zrobić można, lecz zato w równej prawie mierze jak do uniwersytetów zastosować się daje do szkół średnich. Od dzieci, od chłopców jak również od dziewcząt wymagana jest taka przygniatająca masa, taka pstra mieszanina rozmaitych nauk, że uczenie się coraz bardziej staje się wyłącznie pamięciowem i cała nauka znika w rodzaju pamięciowego kramu, który duże dziecko do obłędu przyprowadza, zamiast ją wieść do

jasnego, samoistnego myślenia; ścieśnienia zamiast świeżości i przyjemną żądzą nauki przepełniać. Szczególniej zaś dotyczy się to nadmiaru języków, w których posiadaniu my Polacy upatrujemy jakąś głęboką mądrość, tak że w obyczaj weszło od dobrze wychowanej panny żądać biegłego mówienia po francuzku, chociażby język ten do niczego się jej w życiu praktycznie nie przydał. O tak nazwanych talentach jak np. muzyce, nie wspominamy już nawet, napróżno bowiem tylko dzieci ubogich lub średnio zamożnych rodziców są niemi męczone, z istotną stratą czasu, któryby na inne rzeczywiście pożyteczne zajęcia obrócić wypadało. Lecz kiedy chłopcy ze szkoły wstępują jako uczniowie do jakiegobądź zawodu, to są często, pomimo zwoich wielu „użytecznych” wiadomości szkolnych, we wszystkich praktycznych rzeczach, gdzie idzie o dokładne pojęcie, o zdrowy pogląd, mniej uzdolnieni od najmłodszej dziatwy z ludu. Oprócz tego są często wątłe, słabe na ciele, ponieważ po sześć godzin dziennie w ponurych szkolnych salach i najmniej trzy godziny nad swemi domowemi robotami codziennie odsiadywać muszą. W jakim ze stosunku zostaje podobna nauka do wymagań, jakie Gęte stawia każdemu pragnącemu cel swój osiągnąć wychowania w tych słowach: „wychowaniem nazywa się przyzwyczaić młodzież do warunków, pod jakimi w świecie w ogóle, a szczególnie w danych sferach istnieć i żyć potrzebuje i do życia w tych warunkach wykształcić.”

Przeładowanie encyklopedycznymi wiadomościami jest może przyczyną tego, że nigdy więcej a przelotniej nie czytano jak obecnie. Jakaś gorączka czytania opanowała młodzież i liczba tych, którzy po trochu wszystkiego umieją, a niczego jednak nie nauczyli się gruntownie, wzrasta w szybkim postępie. Takich czytelników, którzy z szybkością niesłychaną książkę po książce przerzucają raczej niż przeczytują, z wszystkiego w przelocie zachwytyjąc po trochu, możnaby słusznie porównać z pewnym rodzajem scyzoryków, które oprócz zwykłego ostrza opatrzone są w pilnik, dłuto, piłkę, świderkę, korkociąg i nożyczki. Lecz wszystkie te narzędzia są tak małe, że w chwili gdy są potrzebne, okazuje się ich nieużyteczność.

Gruntowna wiedza daje zaufanie we własnych siłach, będące stałym punktem na którym oprzeć się może kształcenie siebie samego. Pewność siebie, to jest na pojęciu o własnej wartości opartą ufność w siłę własną, można wzbu-

dzić i rozwinąć przyzwyczajając wcześniej młodych ludzi do posługiwania się własnymi środkami pomocniczymi, pozostawiając im tak wielki zakres do samoistnego działania, na jaki tylko ich niedoświadczenie pozwala. Zbyt troskliwe nadzorowanie i doglądanie dzieci, pozbawia je sposobności praktycznego wdrożenia się do przedstawiania na pomocy własnej, i jest podobne do pęcherzy, które tym podwiązują pod pachy, co się pływać bez tej podpory nie nauczyli. W tym także względzie postępowanie wychowawcze Henryka Zschokkego można za wzór postawić, mówi on bowiem: „Ażeby dzieciom dać przedewszystkiem *samoistność* w zapasach ze zmiennymi losami jakie ich czekać mogły, przyzwyczajałem chłopców wcześniej do pracy i znośzenia niedostatku. Ubierali się wprawdzie czysto lecz biednie, sypiali na siennikach aż do opuszczenia rodzicielskiego domu. Od dziesiątego roku życia wysyłałem ich latem piechotą zrazu po dwóch, potem pojedynczo, z workiem na plecach i trochę pieniędzy na drogę, naprzód do pobliskich miast do przyjaciół, później w dalsze strony, a wreszcie w góry, na lodowate cypłe Alp, aby swoje botaniczne i t. p. zbiory, uzupełniali. To przyuczało ich od młodu po całych tygodniach spuszczać się tylko na siebie samych między obcymi, za siebie wszystko robić, dla siebie starać się o wszystko, tam gdzie nikt dla nich o nic się nie postarał i nie zrobił”.

Brak pewności siebie jest może największą z przeszkód na drodze rozwoju. „Gdy nam nas samych brakuje, brak nam wszystkiego”. Prawdziwa skromność godzi się jak najlepiej z szlachetną dumą i nie wymaga bynajmniej zaparcia się wszelkiej osobistej zasługi. Jeżeli z jednej strony jest wielu zarozumiałych ludzi, którzy szukają samych siebie, stawiając nazbyt wysoką cyfrę przed zerami swojej wartości własnej, to z drugiej strony brak słusznego poczucia swej wartości jest wadą charakteru, która tamuje rozwój osobisty i naraża na wielkie uszczerbki i straty moralne. Jak może działać szybko, stanowczo, z całą dzielnością swojej siły ten, kto tej siły nigdy szczerze nie zaufa, lecz wątpi o niej? Jeżeli połowa niepowodzeń przypisaną być powinna brakowi wytrwałej cierpliwości, to drugą ich połowę brakowi zaufania w swych siłach przypisać należy. Taką jest bowiem natura nasza. Chcemy im prędzej tem lepiej spożywać owoce własnego wykształcenia, lecz nie mamy ochoty płacić za to ofiarą nieodzownej pracy. Nie chcemy wierzyć, żeby nie by-

do jakiejś uprzywilejowanej drogi do nabycia wiedzy, i zdajemy się mocno być przekonanymi o istnieniu jakichś popularnych sposobów. Wyszukujemy w nauce metod oszczędzających pracy, staramy się nabywać wiedzę we wszelki byle nie uciążliwy sposób. Radzi jesteśmy nauczyć się po francuzku lub po niemiecku „w 12 lekcjach” albo „bez nauczyciela”. Podobni jesteśmy do tej modnej damy, która przyjmując nauczyciela zastrzegła sobie, żeby jej koniugacyami i deklinacjami nie męczył. Skutkiem tej powierzchowności w uczeniu dostają nam się tylko łakotki wiedzy, zamiast jej zdrowego pokarmu. Sądźmy żeśmy się nauczyli chemii gdyśmy słuchali odczytów o tej nauce, połączonych z „interesującymi” doświadczeniami, gdyśmy się nawachali rozmaitych gazów, gdyśmy zieloną wodę przemienili w czerwoną i widzieli fosfor palący się w czystym tlenie (kwasoród). O tak nabytem „naukowem wykształceniu” to najwyższej powiedzieć można, że chociaż jest lepsze jak żadne, jednak na nie się nie przyda. Tym sposobem wyobrażamy sobie często, żeśmy się czegoś nauczyli, gdyśmy doznali tylko przyjemnej rozrywki.

Złe to przybiera coraz większe rozmiary i działa różnorodnie, a szkodliwie. Najmniejszą szkodą jaką wyrządza jest rozpowszechniająca się powierzchowność, płytkość naukowa, największą wyrażająca się wstręt do poważnej, usilnej pracy. Jeżeli chcemy nabyć prawdziwej i pożytecznej wiedzy, to powinniśmy rozstać się nazawsze z lenistwem, przeciwstawiając mu niezmordowaną pilność, praca bowiem była jest i pozostanie zawsze jedyną ceną, za którą tak największe jako i najmniejsze dobro w życiu nabyć można. Musimy się usposobić do niezmordowanego a chętnego ubiegania się za jednym, jasno wytkniętym celem i zabrawszy się do pracy spokojnie, cierpliwie wyglądać jej skutku. Każdy trwały, wyższy postęp jest już z natury powolnym, lecz kto zapełni każdy dzień, każdą godzinę, każdą chwilę prawdziwem poczuciem obowiązku, kto pracuje z wytrwałością, którą tylko śmierć albo ciężka choroba pokonać może, nad najlepszem rozwinięciem swej moralnej i materialnej natury, ten powinien być przekonany że mu w swoim czasie dostanie się nagroda jego szczerych usiłowań. „Odważa i pilność, — mówił zacny kupiec Granville Sharp, — musiałby zwątpić i świat byłby nieuszlachetnionym i nieupięknonym pozostał, gdyby ludzie zechcieli porównywać sku-

tek jednego uderzenia dłuta z piramidą, którą wznieść mieli zamiar, albo jednego pchnięciarydła z góry, którą zamierzili zniwelować”.

Biorąc za punkt wyjścia przekonanie, że wszystko dobre powoli do dokładności dochodzi, należy także spokojnie i z wytrwaniem oczekiwać końca wszelkiej szlachetnej pracy. W tym względzie każdej jednostce czującej się członkiem chociażby najuboższym społeczeństwa, zalecać należy pilnie wyrobienie w sobie sił materialnych, moralnych i zaufanie w tych siłach. Niech tylko każdy niezachwianie spełnia powierzone mu obowiązki, niech każdy się stara jak najlepiej kształcić siebie samego i nad ukształceniem i oświeceniem innych pracuje, to prędzej lub później najlepsze skutki ztąd wynikną dla każdego.

Tylko krótkowidzący pracownik niepókoj się ciągle o skutki swej pracy. Jeżeli one nie ukazują mu się natychmiast, odstępuje go zaraz jego krótkotrwała ochota. Podobny do małych dzieci, któreby chciały jak tylko włożyć ziarenko do ziemi widzieć wyrastającą roślinę, wyciąga on pierwsze źdźbło jakie się pokaże, ażeby wzrost jego przyspieszyć i tym sposobem zabija je. „To czego nie widzimy wzrastającym, — mówi przedziwnie Lessing — znajdujemy po pewnym czasie rozrosłem. Najpowolniejszy jeśli swę o celu z oczu nie traci, idzie jeszcze prędzej jak ten, który błądzi bez celu”. Dobry siejbiarz rzuca swe ziarno na rolę życia z wierzącą i pełną nadziei duszą; utrzymuje go i podnosi zaufanie w miłej wiosnie, w gorącym słońcu lata i w żniwie, które nastąpi w jesieni. Często także stara się pocieszyć myślą, że jeżeli nie on, to jego dzieci i wnuki owoce jego ciężej działalności spożywać będą, gdyż:

... Nasze czynności
To są nasienne ziarna, które wiosną
Siejbiarz zwykł rzucać w czarnoziem przyszłości.
Ufaj, że kłosa z nich pełne wyrosną.

Szyller.

W jednej z bajek Lafontaine'a kilku młodych ludzi żartuje sobie ze starca, zasadzającego aleję młodych drzew. Młodzieńcy z uśmiechem mówią mu, że te drzewka za jego życia nie dorosną wysokości człowieka. Prawda, — odpowiedział sędziwy pracownik, — lecz cóż to znaczy? Jakkolwiek wie m, że sam nie będę nigdy korzystał z ich cienia,

może on jednak osłoni kiedyś od spieki głowy moich dzieci lub wasze, i dla tego jest mi przyjemnie je sadzić". Niedawno temu leżał na łożu śmierci pewien biedny robotnik fabrykant, który przez całe życie pocziwie i mozolnie pracował na żonę i dzieci, teraz smutnie nad nim płaczące. Umierający myślał z głębokim smutkiem w duszy o tej walce z losem, jaka bez niego oczekiwała wdowę i sieroty, i pewność tej walki zatruwała mu ostatnie chwile. „Mój biedny Stanisław! Moja biedna Marya! — wołał zwątpiały, — co z niemi się stanie!” Starano się go pocieszyć, lecz długo było to daremnie. Nakoniec zabrał głos jeden myślący przyjaciel i przemówił doń słowami pociechy i nadziei. „Nie obawiaj się o twoje dzieci! Zostawiasz im bogate dziedzictwo; wierz mi, potęga twoich nauk i twego przykładu będzie im w całym życiu sprowadzała błogosławieństwo; ziarno które zasiałeś nie przepadnie i twoje książki, które były dla ciebie jakby bogami domowymi, będą im także drogą i będą ich serca podnosiły do miłości Boga i ufności w naszym wspólnym Ojcu niebieskim!” — „O pociecho — radości!” szepnął umierający i zamilkł nazawsze.

Kształcenie się własne, — samodzielne dążenie do ukończenia się — jest najdzielniejszym i najwyższym z środków naszego rozwoju. Nauki, jakie w szkole pobieramy, wychowanie, jakie rodzice nam dają, są tylko przygotowaniem do kształcenia się własnego, podstawą dla niego. Mają z tego powodu tem większą wartość, że kierując nas ku samodzielności dają nam w pewnej mierze najpotrzebniejszy kapitał zakładowy umiejętności, z którym następnie według obranego planu kształcenie się własne zacząć możemy. Tylko własne ćwiczenie się doprowadza do mistrzostwa, a „wcześnie ćwiczyć się zaczyna, — jak Szyller ustami Tella przemawia, — kto mistrzem chce zostać.” Powinni zatem rodzice i nauczyciele ogli wychowania w miarę okoliczności cokolwiek zwalniać i dzieci tym sposobem do użycia sił własnych przypuszczać, ażeby one gdy później na pomocy własnej ograniczyć się będą zmuszone: „umiały wszystko robić z siebie, dla siebie starać się o wszystko, tam gdzie nikt dla nich o nic się nie postara i nie robi.” Często to wychowanie jest najskuteczniejsze, które człowiek sam sobie udziela, odosobniony od innych i sam sobie radzić zmuszony, to go bowiem zniewala wybierać środki i skupiać się w sobie, a potrzeba jest niezmiernie silnym bodźcem. Na tej

drodze u wielu wielkich mężów, którzy w szkołach za ograniczonych uchodzili, zbudziła się dopiero i okazała w całej potęgę drżemiącą siłą ducha, gdy szkołę — życie zastąpiło. Nasza własna praca jest główną rzeczą; żadne talenta, żadne szkoły, żadni nauczyciele, żaden nawał pamięciowych wiadomości nie może jej zastąpić. Kształcenie się własne jest niemożliwem bez tego przyłożenia własnej ręki, — pośrednikiem, kluczem do niego jest samoistna działalność.

Najpierwsi pedagogowie jednogłośnie uznali niezmierną ważność kształcenia się własnego, i przygotowujące do niego kierowanie młodzieży za główny cel wszelkiego wychowania wskazali. Diesterweg od półstulecia niezmordowanie pracujący nad rozwojem szkół ludowych w Niemczech, mówi w tym względzie: „Kto zna naturę dzieci i prawa rozwoju, wie, że przez zewnętrzne, naturalne rozwijanie młodzieńczych sił dziecka, przez ćwiczenie odpowiednie jego umysłu, wychowuje się je do kierowania samem sobą. Że to przygotowanie dziecka do kierowania samem sobą jest celem wychowania, rozumie się samo przez się; wszystko trzeba w tym celu spożywać, i tylko ten kto to pojmie, kto ten cel bezustannie ma przed oczyma, jest nauczycielem godnym naszej epoki, jest nauczycielem przyszłości.” Tenże Diesterweg stawia następujące warunki w swoim *Planie szkoły przyszłości*, nakreślonym z głęboką znajomością dziecięcego ducha i praw jego rozwoju:

1) jako stały, najwyższy cel i właściwe ostateczne dążenie: *ukształcenie ogólne-ludzkie, w formie narodowej i indywidualnej wybitności*;

2) jako *podstawę indywidualnego rozwoju*: *uczucie religijne* — poznanie *niezmystowego, wiecznego świata*, dążenia do ideału, życia, w idei;

3) jako *zewnętrzny cel*: *postawienie osobistych interesów niżej od interesu całej ludzkości, narodu, gminy, stanu, — życie i praca dla ogółu*;

4) jako *środek*: *swobodny rozwój zdolności i sił człowieka, ukształcenie ducha, uczucia i charakteru jednostek, aż do stopnia stawiającego te jednostki w możności kształcenia się własnego i samoistnego działania*.

Te cztery harmonijne warunki zamykają w sobie cele, do których dążyć powinny wszystkie szkoły i zakłady wychowawcze na całym świecie.”

Z warunków jakim według *Diesterwega* odpowiadać powinny szkoły, przytaczamy tu następujące:

5) postęp dotychczasowego rozwoju szkół przez wprowadzenie do metody elementarnej formalnego i racjonalnego układu;

6) powierzenie kierownictwa szkół ludziom znającym się na rzeczy, — warunek nieodzowny, w razie niespełnienia którego uczniowie nadal uskarżać się będą przyszedłszy do samopoznania, tak jak znakomity pedagog Amos Komeński (*Comenius*) skarżył się w XVII stuleciu: „Ach! jak często, gdy się nauczyłem lepsze poznawać, przychodziły mi na myśl stracone lzy mojej młodości, jak często z boleścią wołałem: Gdyby Bóg zechciał wrócić mi moje lata ubiegłe!”;

7) gruntowne wykształcenie i odpowiednie uposażenie stanu nauczycielskiego;

8) powszechne przeprowadzenie zasady nauczania przez pokazywanie, uczenia się przez patrzenie, która powinna wziąć górę nad wszystkimi innymi;

9) usunięcie nawалу pamięciowych wiadomości;

10) szkoła powinna być pracownią, miejscem *samoistnego wyrobienia człowieka*, powinna być narodową i bez dzielenia dzieci podług stanów lub wyznań, kształcić ogólnie prawosć i charakter.

Takie są myśli Diesterwega o szkole przyszłości, które bodajby kiedyś doczekały się ziszczenia.

Były prezydent Stanów Zjednoczonych, Andrzej Johnson, którego już w pierwszym rozdziale jako przykład pomagania sobie i kształcenia siebie samego wskazaliśmy, miał w Waszyngtonie z okoliczności jakiejś uroczystości szkolnej przemowę do zgromadzonych około siebie dzieci, z której powtarzamy tu następne słowa o wartości kształcenia samego siebie: „Przez całe życie moje, — mówił on — uważałem za niewłaściwe i zgubne cenienie i czczenie ludzi nad to, na co zasłużyli, nad to co im się należy, i wyraźnie tu wypowiadam, że jestem wszelkim ubóstwianiom rzeczy ziemskich i śmiertelnych ludzi przeciwny, dla tego że chciałbym widzieć w każdym czasie należną cześć i poszanowanie oddawane prawdziwej zasłudze. Moje dzieci, uczcie się więc wcześniej odróżniać wartość wewnętrzną rzeczy i ludzi, tak wy, którym los w lepszym położeniu wzrastać pozwala, jako

i wy, które w mniej pomyślnych warunkach się znajdujecie. Wy, którym więcej dano w udziale, niebądźcie próżne i zarozumiałe, że rodzice cokolwiek lepiej ubierać was i wychowywać mogą, lecz widzicie i czujecie, że wasi rodzice i nauczyciele nie mogą was *sami* wykształcić. Czy wasi naturalni opiekunowie są bogaci czy biedni, czy wy jesteście lepiej lub gorzej uposażone — *musicie się kształcić same*. Rodzice, nauczyciele i wszystko to co im zawdzięczacie — jest tylko środkiem danym w wasze ręce, środkiem za pomocą którego wy same sobie drogę życia torować i równać musicie. Nigdy niewyobrażajcie sobie, że jesteście czemśkolwiek lepszym od waszych mniej szczęśliwie położonych i mniej uzdolnionych towarzyszy. Zamiast ich poniżać i ich położenie czynić jeszcze przykrzejszem, powinniście być dumne starając ich wynieść na stopień, na jakim same się znajdujecie. Wszystko co człowiek przedsięwzięć musi uzyskać przyzwolenie Tego, co się opiekuje losami i wypadkami świata. To jest moja wiara jedyną. Przyszedł czas, kiedy pierwszym pytaniem być powinno nie to, kto go lub ją rodzi, lecz czy jest dobrym mężem lub dobrą niewiastą. Gdy człowiek jest dobrym, niewiele także zależy już na tem do jakiego wyznania religijnego się zalicza. Jeszcze więc raz — mówi w końcu — *kształćcie się same*, napełniajcie się wszystkim co jest dobre i użyteczne, wbijajcie sobie w głowy to wszystko, co jest godnem zachowania, a wiedza wasza wzrastać będzie i wielką się stanie.”

To „wbijanie sobie w głowę” wiadomości, o tyle tylko jest do zalecenia o ile jest połączone z rozsądnym rozbiorem i wyborem. Człowiek nie może uczyć się i nauczyć zbyt wiele, lecz szczególnie strzedz się należy przepełniać umysł, a raczej pamięć nawalem urywkowych wiadomości, bez ścisłego z sobą związku, bez planu i celu w pstrą mieszaninę pochwytyanych i nagromadzonych. Rozsądny człowiek pragnie zawsze tylko jednego i odnosi wszystko do tego jednego, to jest do celu swego życia, swoich dążeń, swego powołania. Nauka o tyle tylko ma wzrastać, o ile wiedza przez nią nabyta jest rzeczywiście mądrością, a wiadomości do poznania naszego ludzkiego powołania prowadzą.

Za naszych czasów chciwa nauki młodzież posiada tyle pomocniczych środków kształcenia się, że mimowolnie przychodzi nieraz zadać sobie pytanie: jakim sposobem człowiek w czasach dawno ubiegłych, kiedy nie było muzeów

publicznych, zbiorów obrazów, ogrodów zoologicznych, bibliotek i t. p., kiedy książki, które wszystkie jeszcze przepisywanymi być musiały (sztuka drukarska wynaleziona została w 1439 roku), były tak czemś rzadkiem i kosztownym, kiedy najlepsze szkoły ani porównać się nie mogły z dzisiejszemi, — jakim sposobem człowiek mógł przystępować do kształcenia się? Na to odpowiadamy: musiał on sumiennie i z usilnością pracować, zupełnie tak jak my to dziś jeszcze czynić potrzebujemy, i po wszystkie czasy będziemy musieli czynić; a jeśli posiadał mniej materiału naukowego i środków pomocniczych niż my, uczył się przeto może jaśniej i z większym skupieniem w sobie, i był tym sposobem duchowo tak zdrowym i świeżym, jak był zdrow i świeży cielesnie. Nadmiar naszych środków naukowych jest może w takim samym stopniu zaporą, jak pomocą do kształcenia się własnego. Same posiadanie biblioteki również nie może zrobić człowieka rozsądnym i wykształconym, jak bogactwo samo przez się nie robi go wielkodusznym. Wszystko zależy na tem jaki użytek z książek robimy, to jest jaki i jakie książki czytamy. Zwykle, aż do nieuwierzenia wielka ilość książek, które tegocześnie czytelnicy przebiegają, prędzej wprowadza w obłąd niż ukształca, to bowiem pospieszne czytanie nie zostawia w duszy głębokiego i trwałego wrażenia. Częstokroć czytanie jest tylko biernym przyjmowaniem cudzych myśli, podczas którego duch czytelnika mało lub wcale nie jest czynnym. To też z biblioteki te książki najczęściej są żądane, które głowę o ile można najmniej do myślenia zmuszają i zmysłowo oddziałują na wyobraźnię. Tak na przykład złe a okropnościami przepełnione romanse, nędznie pozmyślane opowiadania dwuznacznej treści, słabe opisy podróży i t. p., które z nienasyconą chciwością są polykane, nieskończenie więcej niestety znajdują czytelników, niż plody piśmiennicze prawdziwej wartości. Tym sposobem czytanie służy coraz bardziej za rozrywkę, za rodzaj duchowego *epikureizmu* (poszukiwania przyjemności i użycia), za rodzaj intelektualnego upajania się wysokokowymi napojami, które na chwilę przyjemnie podnieca nerwy, nie przynosząc żadnego pożytku dla duszy, żadnego trwałego i prawdziwego wzbogacenia umysłowi. Tak wielu podchlebia sobie w obłądzie, że pomnożyli swoje wykształcenie, a nie widzą, że tylko zabili drogi czas i uśpili w sobie uczucia moralności, prawdy i słuszości. Rodzaj ciągłego podniecania, w ja-

kim tacy czytelnicy żyją — czyni ich niezdolnymi otrzymać wrażenia z jasną świadomością przyjmować i przetrwać w sobie. Tylko przy zupełnym spokoju tworzy się doskonały kryształ, tylko przy wewnętrznym spokoju może człowiek dojść do czystości myśli, uczucia i woli, do zupełnego zebrania i opanowania wszystkimi swymi siłami. „Bez wewnętrznego spokoju buja człowiek po wzburzonych fałach. Ten kto lekkim potokiem zwraca się do każdej gałęzi wiedzy, zamiast cichą, silną pracą wzmacniać swój umysł, traci swobodny, świeży, stały i baczny pogląd, ciche, tyle rozkoszy przynoszące poczucie prawdy.” (Pestalozzi).

Niejeden z wielkich ludzi w opowiadaniu o swem życiu z żalem się wyrażał, że w młodości czytał zbyt wiele i bez wyboru, np. Franklin, Walter-Scott, Zschokke i inni. Dla ostrzeżenia i nauki naszych czytelników powtarzamy tu słowa, któremi ten ostatni przemawia w tym przedmiocie: „Jak prawdziwie zgłodniały czytałem bez wyboru i porządku wszystko, co przypadek lub ciekawość podały mi w ręce: poetów, astronomów, kroniki, filozofów, opisy podróży, historie kościelne i t. p. Wypisałem sobie kilka tomów wyjątków. Chciałem być uczonym człowiekiem i wielkim mężem, na którego by się jeszcze w sto lat później powoływać musiano. Lecz te czytania przez parę lat prowadzone, często do północy trwające, w połączeniu z innymi pracami szkolnymi, przyniosły mi wcale inny niż oczekiwałem i nienajprzyjemniejszy owoc. Przyswajałem sobie z każdą książką, jaką wzięłem w rękę, sposób myślenia i język autora tak dalece, że nieraz po tygodniu nie innego myśleć, mówić i pisać nie mogłem, i bez żadnej samoistości tem tylko byłem, co ostatnia książka ze mnie zrobiła, więc naprzemian mistyką¹⁾ i wolnomyślnym, alchemikiem (szukającym sposobu robienia złota), poetą we wszystkich rodzajach poezji. Spostrzegłem nakoniec z niemałym przerażeniem niesamoistość swojego umysłu, który jak martwe zwierciadło zdawał się tylko zdolnym odbijać to, co przed nim stało. Nie na tem koniec: przy tym popędzie do wielostronności roztopiła się wreszcie w masie sprzecznych nauk i mniemań cała moja wiedza w jakiś chaos niepewności.”

¹⁾ Mistyką nazywamy zwolennika ciemnych, nadnaturalnych wyobrażeń, szczególnie w zakresie religijum.

Znakomity teolog Fr. Ernest Daniel Schleiermacher czytał nader rozważnie, bardzo powoli, a ztąd aż do wyczerpania gruntownie. Zali się on wielekroć w listach na swą powolną pracę; wyznaje, że sobie nic powierzchownie i przelotnie przyswoić nie jest zdolny. „Czytanie, studyowanie — według własnych jego słów, — kosztowało go nader wiele pracy. Brał on wszystko gruntownie. Czterech tygodni potrzebował, ażeby pismo Fichtego o przeznaczeniu człowieka tak sobie przyswoić, żeby mógł o niem pisać. Potem uważał że ma prawo do krytyki, komu bowiem czytanie tyle trudu sprawia i kto się do niego tak na seryo bierze, ten ma prawo o wartości książki pomówić.” Gete daje następną radę: „Czytujemy zbyt wiele drobnych rzeczy, na które się tylko czas traci, i które żadnego nie przynoszą pożytku. *Należałoby właściwie czytać to tylko, co się podziwia*, tak jak ja w młodości czyniłem.”

Jakkolwiek czytanie dobrych książek jest nader kształcącym środkiem, przecież dla niego nie należy spuszczać z uwagi daleko ważniejszej drogi kształcenia się, jaką nam przedstawia *życie samo*, względem którego książki najlepsze nawet, zajmują tylko pomocnicze stanowisko, i tylko w związku z niem praktycznie użyteczne być mogą. Ludzie rozsądni, dzielni, wzniosłego ducha, znajdowali się daleko dawniej niż czytanie rozpowszechnionem zostało. *Magna Charta*, podstawa swobód konstytucyjnych angielskich, była dziełem ludzi, którzy po większej części swego nazwiska podpisać nie umieli i akt ten zamiast podpisu, krzyżami popodznaczać musieli. Nie byli oni, prawda, w stanie odcyfrować głoskę pisma, za pomocą którego zasadnicze prawo narodu na papierze zapisanem zostało, lecz mieli żywe pojęcie rzeczy samej i walczyli za nią z niepokonaną odwagą. Jednostronne czytanie i uczenie się czyni człowieka obcym życiu. Mędrzec książkowy zasklepiony w swoich szpargalach mało się troszczy o to co się dzieje w kraju. Dowodem Archimedes, największy matematyk starożytności, którego żołnierz rzymski zabił w 212 r. przed Chr. rysującego na piasku figury geometryczne. Zagłębiał się w swojej nauce, nie wiedział nawet że nieprzyjaciele zdobywają jego rodzinne miasto Syrakuzy. Ileż razy w biografjach tego męża, czytać nam się zdarzyło uwielbienie dla tego wyłącznego oddania się nauce, które o wszystkim co go otaczało kazało mu nieraz zapominać. Dziś, kiedy coraz lepiej rozumieć

zaczynamy, że nie uwalnia człowieka od ogólnoludzkich i narodowych obowiązków, że za wymówkę od ich spełnienia, jeżeli jest jaka wymówka, raczej zupełny brak oświaty niż głęboka nauka posłużyłaby mogła, dziś większość czytelników zgodzi się z nami, że Archimedes śmiercią swoją dowiódł iż był wielkim miłośnikiem nauki lecz niekoniecznie wielkim obywatelem. Podobny zarzut powielekroć w różnych czasach słusznie robiono uczonym. Seume w bolesnem uniesieniu piętnował uczonych niemiec-kich z czasów, w których potęga Napoleona żelazną ręką przynosiła Niemcy, pełnym goryczy wykrzyknikiem: Najnieczulszymi na cześć i wstyd narodowy bałwanami — są niemieccy uczeni; przekonywam się o tem codzień bardziej. „Czem jest książkowa nauka w stosunku do żywotnej mądrości, pięknie i wzniosłe mówi Lessing, mąż, który był uczonym w całym tego słowa znaczeniu: „Nie jestem uczonym, nie miałem nigdy zamiaru zostać uczonym, nie chciałbym być uczonym, gdybym nim nawet we śnie mógł być. Jedynym celem drobnych moich usiłowań było dojść do tego, żebym w razie potrzeby uczonej książki użyć umiał. Z książek wydobyte bogactwo cudzych myśli nazywa się uczonością. Własne doświadczenie jest mądrością. Najmniejszy zasób tej ostatniej, więcej znaczy od bogactw tamtej.“

Mickiewicz słusznie mówi:

W słowach tylko chęć widzim, w działaniu potęgę —
Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę!

Przy każdym wzbogaceniu wiedzy, postawić sobie należy ten cel przed oczyma: nietylko stać się uczęszszym, lecz wiedzę traktować jako środek uzacnienia swego charakteru, użytecznej działalności i wpływu na dobro swoje własne i swych bliźnich. Wiadomości nie w tej myśli spożytkowane — są martwym kapitałem, i kto bogactwo cudzych myśli w swojej głowie nagromadza bez procentowania go na korzyść swego kraju i ludzkości, zwalnia się samowolnie od obowiązków jakie na nim ciąży, i w gruncie nie jest lepszym od skąpca, gromadzącego i nieprodukcyjnie pozostawiającego w swej skrzyni pieniądze. Powinniśmy sami czemś być i coś robić, a nie poprzestawać na tem, że przeczytamy i dowiemy się czem inni byli i co zrobili. Nabyte pojęcie dobrego powinno być w życie wprowadzonem, piękny pomysł powinien się stać czynem, szlachetna myśl rzeczywi-

stością. Posiadanie wielu wiadomości może być użytecznem i pomocnem, nie jest jednakże nieodzownie potrzebnem do kształcenia się własnego. Najprostszy i najmniej uczony człowiek, gdy ma tylko dosyć zdrowego rozsądku, czyli tak zwanego chłopskiego rozumu, ażeby dokładnie odróżnić złe od dobrego i słuszną od niesłuszną, a przytem posiada szczerą chęć uszlachetnienia siebie samego, może być swoim własnym kształcicielem. Powinniśmy wszyscy dążyć do tego, ażebyśmy z Janem Pawłem Fryderykiem Richterm powiedział mogli: „Zrobiłem z siebie to co mogłem, a więcej nikt zrobić nie zdoła.“

Pilnowanie siebie samego i władza nad sobą samym, są początkiem praktycznej mądrości, musi jednakże tak jedno jak drugie z poszanowania siebie samego brać początek. Z niego się rodzi nadzieja — nadzieja, która jest towarzyszką siły i matką powodzenia, kto bowiem ma nadzieję silną i pewną, ma prawie moc robić cuda. Każdy powinien sobie powiedzieć: „Szanować i kształcić siebie samego jest moim prostym i jasnym obowiązkiem. Jako członek nieoddzielny od społeczności ludzkiej i przed nią odpowiedzialny, winienem jej i Stwórcy, ciało moje i ducha od poniżenia i zepsucia obronić. Jestem nadto obowiązany według sił i możliwości wszystkie zdolności i zasoby, którymi mnie Stwórca obdarzył do jaknajwyższego doprowadzić rozwoju. Powiniennem nie tylko pozbyć się wszystkich złych skłonności mojej natury, lecz nadto dobre najlepiej rozwinąć. A ponieważ szanuję siebie samego, winienem także szanować innych, za co wzajem oni obowiązani są do szacunku dla mnie.“ Tak powstaje wzajemny szacunek, sprawiedliwość i porządek, którego zachowaniem zajmuje się prawo stanowione.

Poszanowanie siebie samego jest najwytworniejszym strojem, jaki człowiek przywdziać może, najszlachetniejszym klejnotem, jaki posiadać może dusza. Kto szanuje siebie samego, czynić będzie to tylko, co na ten szacunek własny w jego sumieniu zasługuje. Prowadzony i przeniknięty takim pojęciem własnej godności nie skazi on ani swego ciała zmysłową rozpustą, ani swej duszy niegodną myślą. Szacunek własny jest korzeniem i nerwem cnoty. Czystość, skromność, moralność, religia — wszystko się opiera na doświadczeniu do samopoznania i w czci zachowanej godności ludzkiej. Ten tylko, kto ceni siebie samego ma wartość u innych, kto mało o sobie samym trzyma, upada również

w oczach ludzi. Jak zaś z myślami tak samo z czynami. Nie można iść na górę, gdy się w głąbię patrzy, lecz ten kto chce wejść wyżej, musi ciągle w cel wzniosły mieć oczy wlepione. Uczucie własnej wartości może być nawet dla najmniejszych i najsłabszych doskonałym punktem oparcia, nawet nędzy odjąć to co ma gorzkiego i uciążliwego w oczach tych, których jest udziałem. Zaprawdę, dodającym sercu otuchy jest widok człowieka biednego lecz poczciwego, a wpośród pokus trzymającego się prostego kierunku, jaki mu moralne pojęcie swych przeznaczeń wskazuje, i każdej ponęce do poniżenia się przez czyn upadający, z zimną pogardą stawiającego czoło.

Zaledwie uważamy za konieczne przelotnie zastanowić się nad potrzebą, a raczej niezbednością doskonałej znajomości tego wszystkiego, co do naszego powołania należy, nad jej wpływem na całą przyszłość naszą:

Po tem wyższego meża możesz poznać w tłumie,
Ze on zawsze to tylko zwykł robić, co umie.

powiada Mickiewicz.

O konieczności starania się o te wiadomości, przekonują nas już dostatecznie własny interes, ta miłość, — jak mówi Schulze-Delitzsch jaką każdy dla swego własnego ja ma i mieć musi. Tyle, ile do skutecznego obioru jakiegobądź zawodu lub prowadzenia interesu jest koniecznem, musiał się każdy dobrze nauczyć i zrozumieć. Użyteczne wiadomości są zawsze przydatne, i dla tego nigdy nadto nabyć ich nie można. „Ukształcenie, — dobrze powiada Richl, — jest teleskopem, który nam skutek usiłowań naszych jasno i wyraźnie stawia przed oczy.“ Uzbrojony duchem wykształconym przez gruntowne wiadomości człowiek, może się tam łatwiej oprzeć wpływom chwiejności i zmienności losu, im dokładniejszy ma pogląd na swój zawód i jego stosunki, im bardziej jest w stanie pracować w każdym względzie nie tylko z usilnością lecz ze znanstwem, a tem samem z większą pewnością skutku. „Intelektualne i moralne podniesienie człowieka, obejmuje w sobie, w zasadzie jego podniesienie gospodarcze. Im pilniej kto o swoje kształcenie się stara, im więcej wiadomości nabywa, im niezmordowanie nad rozwojem swych moralnych przymiotów pracuje, tem lepiej dbać jest w możliwości o swoją przyszłość, o swe utrzy-

manie. Im wyższym jest udział, jaki człowiek w wielkim zbiorowym, duchowym kapitale ludzkości — w wiadomościach, doświadczeniu i umoralnieniu osiąga tem większego też udziału w kapitale rzeczonym, materialnym spodziewać się ma prawo. Duchowe mienie, dopomaga do zebrania materialnego mienia, majątku, jeśli jest dobrze spożytkowany.

Rozumie się, że kształcenie się własne nie zawsze może wynieść człowieka do takiej na zewnątrz wybitnej wysokości, do jakiej doszli ludzie wszelkich powołań, liczenie w tej książce, jako przykład podani, Znaczna większość ludzi koniecznie po wszystkie czasy pospolitszym i grubszym zajęciom oddawać się musi, i jakkolwiek wysoko wzniosłby się poziom ukształcenia jakiego narodu, najwyższa nawet suma tego wykształcenia nie mogłaby go, — nawet gdyby to było pożądanem, czego powiedzieć nie można, wyzwolić od codziennych prac, których załatwienie jest właściwością towarzyskiego życia. Mimo to jednak praca obowiązkowa klas roboczych, a mianowicie rzemieślnicza i wyrobnicza daje się coraz duchowiej i godniej człowieka urządzić. Ażeby postęp w tym względzie był ciągłym i nieprzerwanym, ażeby tak zwani robotnicy coraz więcej uwalniani byli od czysto mechanicznej i uciążliwszej pracy, na to oprócz tyle nieraz spotwarzanych maszyn, czyli inaczej mówiąc, w służbie ludzkiej zostających martwych sił natury, wpływają także co dzień do szerszego rozwoju i doskonałości przychodzące publiczne środki kształcenia się. Oddawna jest zwyczajem w Anglii, że najslawniejsi profesorowie i autorowie urządzają odczyty popularne, za tak niską opłatę od osoby, że najniezamożniejsi nawet mogą w nich brać udział. We wszystkich prawie miastach niemieckich, zawiązane są również stowarzyszenia w podobnym celu, a popęd do nich jest ogólny i dowodzi, jak wielkie tli w klasach roboczych pragnienie kształcenia się. Działalności popularyzatorów nauki otworzyło się tym sposobem nowe pole, które wspaniałe obiecuje żniwo; robotnik znajduje tu pomoc w kształceniu się, wspierającą najdzielniej jego samoistne usiłowania. Czy jest właściwsiem urządzić odczyty podobne za umiarkowaną opłatą od słuchaczy, czy też bezpłatnie — jest to pytanie, na które odpowiedź pedagogom zostawiamy.

Francya przedstawia także przykład gorliwości o wykształcenie klas niższych drogą prelekcji publicznych —

a znakomitsi profesorowie jej uniwersytetów, zwykle podejmują się obowiązków wykładu. Od niejakiego nawet czasu minister oświecenia p. Duruy wyjednał fundusz na płacenie katedry prelegentom, nauczającym lud rolniczy i rzemieślniczy. Nareszcie w Petersburgu i Moskwie stowarzyszenie niemieckiej czeladzi *Palma* oraz Przemysłowe i Techniczne, od lat kilku w porze zimowej, odczyty z różnych działów nauk urządziło z niemałym pożytkiem dla rzemieślniczej klasy tych miast.

Cel kształcenia się własnego jest wysoki, droga do niego daleka i trudna, i kto go osiąść pragnie musi pilnie i cierpliwie nad tem pracować. Wielu jednak nie wierzy w rozwój powolny i w swej małoduszności wątpi zarazem o skutkach systematycznie przedsięwziętych odczytów popularyzujących naukę, ponieważ te skutki nie tak śpiesznie się okazują, jakby ich zdaniem być powinno. Zaledwie ziarno zasieje, radziby już widzieć wzrosłe drzewo.

Kto kształcenie uważa tylko za środek przyczyniający się do wzrostu materialnego powodzenia, lub przysporzenia przyjemności, i dla tego najwyższy jego cel rozszerzenia duchowego i moralnego widnokregu i uszlachetnienia charakteru z oka traci, przypisuje mu bardzo jednostronne i podrzędne zadanie. Ukształcenie się ma cel wyższy od podania pomocy w zbieraniu talarów lub przyjemności. Jestto bardzo zaszczytnie nad podniesieniem swego majątkowego stanowiska pracować, lecz praca ta nie powinna się odbywać kosztem moralnego rozwoju człowieka. Robić duszę jedynie sługą ciała — znaczy to ją poniżyć, a odnosić się ze skargami i płaczami nad naszym nędznym losem dlatego, żeśmy materialnego niepowodzenia doznali, które zresztą od okoliczności więcej niż od ukształcenia zależało, oznacza niską albo goryczą zaprawioną duszę. Na takie utyskiwania lepiej odpowiedzieć nie można jak następniemi słowy angielskiego poety Roberta Southey, które napisał przyjacielowi żądającemu od niego rady: „Chciałbym ci chętnie poradzić, — pisał — gdybym się mógł przekonać, że to będzie użytecznem, lecz tym niepodobna dopomóc, którzy chcą cierpieć. Dobry człowiek i rozumny może niekiedy być oburzonym na świat i żałować do niego, lecz bądź pewnym, że nikt nigdy nie był niezadowolonym ze świata, jeżeli istotnie sam temu nie był winnym. Gdy człowiek ma wychowanie, zdrowie, oczy, ręce, czas — a bez planu i celu

żyje, dzieje się to chyba wtenczas, gdy Bóg wszystkie te dary dał człowiekowi, który ich nie był godnym“.

Do tych wyrazów dodajemy piękny przykład kształcenia się własnego, który ci naśladowaćby powinni, którzy bądź w braku ufności w siebie samych, bądź z fałszywego przekonania, że im brak sposobności do kształcenia się, bojaźliwie wątpią o powodzeniu i skarżą się, zamiast czynnie pracować i działać.

W roku 1793 umarł w Halberstademie Dawid Klaus, który na kilka lat jeszcze przed swoją śmiercią pasł bydło należące do tamtejszego klasztoru św. Mikołaja, w końcu zaś był lektorem szpitala biednych w temże miejscu. Od dzieciństwa już pasterz ten pracował z niezmordowaną gorliwością nad kształceniem się własnym. Ubóstwo rodziców jego pozwalało im tylko bardzo krótko posyłać go do szkoły, niebawem zaś powrócić musiał do bydła i do pastwiska. Lecz nawet tutaj, w towarzystwie zwierząt pod gołym niebem, sam sobie pozostawiony umiał zaspakajać swoje wiadomości. Otwarte pole było dlań szkołą, a nauczycielem swoim był on sam. Wypędzając bydło w pole, brał zawsze książkę do swojej torby pasterskiej, którą za przybyciem na miejsce odczytywał, wszystkie jej szczegóły pilnie rozważał i na marginesach robił uwagi. Jeden z braci klasztoru św. Mikołaja pożyczał mu nieraz książek, i zaleceniu tego współczującego człowieka zawdzięczał Klaus później, że został pasterzem klasztornym z roczną płacą 8 talarów. Klaus uważał ten wypadek za najszcześniejszy w swoim życiu. Nigdy nie żalił się na swój los, i gdy jego przyjaciele i obcy, których wielu z ciekawości i współczucia odwiedzało uczonego pasterza, pytali się go czyby swego nędznego położenia poprawić nie pragnął, odpowiadał z wielką skromnością, że mu nic nie brakuje, gdyż ma dach, potrzebną odzież, ani jednego nieprzyjaciela, ani jednego zazdrośnika i książki. Jego brat, zamożny owczarz dopomagał mu niekiedy, gdy jego mały dochód nie wystarczał na zakupienie dostatecznego materiału do czytania. Klaus czytał swoje książki tak długo, aż się ich na pamięć nauczył. Miejsca, które do niego przemawiały szczególnie i zdawały mu się godnymi zachowania, wypisał sobie i tym sposobem doszedł do własnego zbioru książek, który z biegiem czasu stał się biblioteką z 1,200 tomów złożoną. Jeden współcze-

sny, który go często na polu odwiedzał, opowiada o nim w ten sposób: „Warto było odmalować go gdy studyował. Siedział na twardym stołku, który sobie w tym celu urządził; około niego pełno książek, przed nim fiaska od lekarstwa z atramentem, stojąca w kawałku drzewa wyślubionym umyślnie aby się nie przewróciła, przy nim zeszyt oprawny w kawałek skóry ze starego buta,—dla trwałości, o co miał zwyczaj dbać zawsze—do którego trafiające się lepsze ustępy wpisywał. Czytał zawsze z piórem w ręku i robił wyciągi z pożytecznych książek“. Najwięcej czuł po ciągu do historyi naturalnej. Przy tak nadzwyczajnem zamiłowaniu do naukowych zajęć, nie zarzucał jednak bynajmniej swego powołania: „Przedewszystkiem mój urząd, potem moja rokosz“ — mawiał zazwyczaj. Pomimo swego biednego położenia, pomagał innym biedniejszym od siebie jak mógł; lecz robiąc komukolwiek dobrze, czynił to zawsze z najdelikatniejszą względnością na uczucie godności obdarzonego. Raz zobaczył pewną wdowę, zajęta znośzeniem do domu furi drzewa złożonej przed drzwiami. Natychmiast ofiarował jej swą pomoc. Gdy drzewo złożonem zostało poprosiła go wdowa o porabianie na drobniejsze. Gdy i tę robotę uskutecznilo i zapytała go wdowa ile mu się za nią należy, odpowiedział wymijająco, że jeszcze raz przyjdzie, bo drzewo niedość drobno porabane. Dotrzymał słowa, wykonał jednak tę pracę w czasie kiedy wdowa nie była w domu, ażeby tym sposobem uniknąć konieczności powiedzenia jej, że żadnej zapłaty nie żąda. Ze swojej płacy, którą co dwa tygodnie w szpitalu pobierał, rozdawał połowę biednym rodzinom przez trzecią osobę, która jego imię zamilczeć musiała. W ostatnich latach życia cierpiał na bolesną chorobę, lecz nigdy w cierpieniu nie opuszczała go wesołość i filozoficzna uległość jego ducha. Do niego najlepiej zastosować się da jego własne wyrażenie: „Co robią ludzie pocziwi, każdemu wychodzi na dobre, są oni raz jak cieniste drzewo, to znów jak drzewo owocowe, to znów jak pole zbożem porośłe“.

Pozwolimy sobie w tem miejscu jeszcze przytoczyć jako przykład samodzielności życiorys wstawionego ziomka naszego, który kolejami pierwszych dni życia lubo w szerszym zakresie, przedstawia podobieństwo do papieża Syxtusa V-go, i w znacznej części sam sobie swe wykształ-

Pomoc własna.

cenie zawdzięczał. Wadowita Marcin ¹⁾ piszący się po łacinie *Campus Vadovius*, w mieście Wadowicach, niegdyś do księstwa Zatorskiego a starostwa Berwałdzkiego należącym, roku 1567 z ubogich włóścian urodzony. W młodości swej, podobnie jak ów wspomniany papież Syxtus, pasał świnię i gdy mu pewnego razu wieprza odbiegłego z gromady wilk porwał, z obawy poniesienia od ojca za tę nieogłędność przewidywanej kary, zmuszony był uciekać z domowej zagrody do Krakowa. Tam pierwotnie z garnuszkiem jako pauper szkolny chodząc po zebraniu, wziął się z całym zapalem do nauki; uczył się też naprzód sam z wielką ochotą, a następnie z łaski przyjęty do szkoły, wśród towarzyszy był przykładem dobrego i moralnego zachowania się, — a tak pomyślnie w nabywaniu wiadomości, czynił postępy, że po stopniach godności pierwotnie przez naukę w uniwersytecie krakowskim zdobytych, jakoto: w r. 1590 magistra nauk i filozofii, następnie profesora ś. Teologii (której stopniem doktora po odbytej w Rzymie habilitacyi zaszczycony został), od proboszcza kościoła św. Floryana na Kleparzu i plebana w Opatowcu doszedł do berła akademii Jagiellońskiej, zasiadłszy w niej jako zastępca biskupa krzesło kanclerskie. Mówią współcześni o nim, iż gdy po raz pierwszy wdział na siebie togę bramowaną, a profesorowie i koledzy co pogardliwem nań z powodu urodzenia poglądali okiem, oddali mu pokłon uszanowania jako zwierzchnikowi swemu, wtedy on, ujawszy w rękę koniec owej szaty honorowej, rzekł: „dziękuję ci aksamicie, kłaniają się Wadowicie.” Odpowiedź ta odtąd przysłowiem się stała. Sam też nieraz mawiał o sobie: *Si non iste procus, non fuisset Vadovita doctus* — co znaczy „gdyby nie ta trzoda, Wadowita nie byłby uczony.”

¹⁾ Biografia ta, z luźnych tylko materiałów po raz pierwszy przez Cezara Biernackiego skreślona, do pomieszczenia w wydaniu niniejszego dzieła dostarczoną została. Według wskazania samego autora, posługiwały mu następujące źródła: 1) Józefa Łepkowskiego: Przegląd zabytków przeszłości z okolic Krakowa — Warszawa 1863 r. 2) Ks. Franc. Siarczyńskiego: Obraz wieku Zygmunta III; 3) Adr. Krzyżanowskiego: Dawna Polska, wyd. pierw., Warszawa 1844 r. 4) Józefa Muczkowskiego: Liber Promotionum philos. ord. in univ. stud. Jagellonica, Kraków 1849 r. 5) Encyklop. Pow. t. XXIII. 779; 6) Ad. Jochera: Obraz bibliogr. histor. liter. i nauk w Polsce, wyd. Wileńskie; 7) Szczegółowy katalog Biblioteki główn. publ. przy Kom. Rz. Ośw. (Przyp. Red.)

Jak zaś wielką miał miłość i poważanie u uczniów uniwersytetu, najlepiej przekonywa to smutne, znane w dziejach miasta Krakowa zdarzenie, iż gdy roku 1598 studenci akademicy przez Jezuitów przeciw ewangelikom podburzeni, na zgubę ich się umówili, gdy zbrojni napadłszy w domu Fausta Socyana, schorzonego starca, z łózka wywiekli, na pół nagiego płaszczem tylko okrytego, przez rynek i ulice na miejsce błotne zaprowadzili; tam spalili naprzód książki i rękopisy jego, a potem zapowiedzieli mu taki sam koniec, jeżeli nie odwoła swych błędów, i gdy nieuległ tym żądaniom ciągnęli już do Wisły, a nikt nie był w stanie usmierzyć rozhukanej młodzieży, — wtedy ukazawszy się Wadowita, przemówił, uspokoił uczniów i życie Socyana ocalając, osobę jego w własnym swym zabezpieczył domu. Tak śmiało wystąpienie w obronie gwałconych praw obywatelskich, dowodzi nie tylko miłości bliźniego, ale nadto wielkiej wyrozumiałości i ducha tolerancji Wadowity w sprawie swobodnego objawiania religijnych przekonań; bo tylko powaga prawdy i światło rozumu posiadają zawsze niezmożoną siłę utrzymania na wodzy wszelkich objawów fanatycznych pokuszeń. Cnoty też jego i nauka znane były szeroko po świecie, a Syxtus V ¹⁾ dał o nim zdanie, które ma być trafnem określeniem jego charakteru, mówiąc: *Eruditio angelica, vox diabolica et mores rusticales*, co na polskie tak się tłumaczy: „wiedza anielska, głos djabli a chłopskie obyczaje” i nic dziwnego, bo tym razem lubo w użyciu trywialne, da się jednak zastosować wyrażenie, że: swój swego poznał.

Był on w Rzymie po trzykroć na dysputach teologicznych, gdzie uwielbiano jego naukę a śmiano się z gestów i wrzaskliwego głosu. W magistracie wadowickim przechowywują dotąd portret tego znakomitego męża, chlubiąc się nim a zarazem czołgając pamięć jego, jako dobrodzieja swego rodzinnego miasta, gdzie szpital i szkołę uposażył. Pełniąc obowiązki profesora teologii przez lat 50 z górą, jako przewodnik umysłów wielkich w kościele i akademii ludzi, głos-

¹⁾ Feliks Peretti, w Grotte a Mare marchii Ankońskiej urodzony r. 1534, franciszkanin, w zakonie pod imieniem Fra Felice znany 1548 r. ksiądz, — a następnie doktor teologii i zarządca (Regens) szkoły klasztornej w Siennie, 1570 kardynał z przydomkiem Montalto, wreszcie od roku 1585 do 1590 papież.

ny swymi zapisami dla sług świątyni i ubogich studentów z oszczędności własnego mienia przyczynionymi, w towarzystwie dla prawości i osobistych przymiotów mile widziany i poważany powszechnie, umarł dnia 28 Stycznia 1641 roku — przeżywszy lat 74. Cała ludność Krakowa zasmuciona zgonem Wadowity, wyroila się tłumnie na jego pogrzeb, poczem w kościele św. Floryana ku wiecznej zmarłego pamięci, umieszczono z odpowiednim napisem łacińskim, dziś już nieistniejący tamże nadgrobek. Znanych w bibliografii krajowej, po łacinie drukiem ogłoszonych, pozostało po nim dziesięć dzieł i rozpraw teologiczno-ascetycznej (rozmyślającej) treści.

Tak jak ubóstwo i niskie stanowisko dla poważnie chcącego nie stanowi nieprzebytej przeszkody, w skutecznej pracy nad kształceniem się własnem, tak też i wiek późniejszy nie powiada nauce: „dotąd pójdziem a nie dalej!” — Człowiek nie powinien przez całe życie zaprzestawać pracy i nauki, nigdy zaś nie mieć się za „skończonego”. Mądry Sokrates miał zwyczaj mówić o sobie, że doszedł do poznania, iż nic nie umiał. Cesarz Karol Wielki, który pod względem wykształcenia w młodości był bardzo zaniedbany, starał się temu zaradzić przyszedłszy do dojrzałości. Nawet w nocy wstawał on często i brał tabliczkę i rytec do ręki, aby się ćwiczyć w pisaniu, którego się dzieckiem nie nauczył. Z takim samym zapałem uczył się starożytnych języków i oddawał się studjom naukowym, które tak daleko doprowadził, że po łacinie jak ojczystym językiem mówił i po grecku mógł rozumieć. Alfred Wielki — król angielski, uczył się jeszcze w 36 roku życia po łacinie. Jan August Efraim Götze, zachęcił się w 40 roku życia przypadkowo robionemi obserwacyami mikroskopowemi, do studyów nad historią naturalną i doprowadził je tak daleko, że do najlepszych pisarzy w tej gałęzi wiedzy w swoim czasie był liczonem. Pisma jego ludowe przyczyniły się bardzo do wykorzenienia przesądów, zabobonów i pilniejszego przypatrywania się naturze, której badanie daje klucz do tylu tajemnic. U nas znanym jest przykład Dr. Denheima Chotomskiego, który dobrze po trzydziestym roku życia wstąpiwszy do uniwersytetu, został wykwalifikowanym we Francji doktorem medycyny i chirurgii. Można by jeszcze wielu mężów wymienić, którzy pomimo podeszłego wieku nie wstydzieli się przystępować do rozwiązywania zagadnień,

nad którymi zazwyczaj młodzież tylko mozolić się zwykła. Tylko leniwiec lub zupełny głupiec powiedzieć może: „Jestem zbyt stary, by się uczyć jeszcze!”

Tu powinniśmy znowu przypomnieć, nie że tak zwani geniusze najwięcej przyłożyli się do postępu świata, lecz dzielni ludzie zwykłego kalibru, którzy posiadali charakter, silną, życiem wyrobioną wolę i niezmordowaną pilność. Pomimo wielu z cudownością graniczących historii, które o dziecięcych latach wielkich ludzi opowiadają, możemy jednak twierdzić, że wcześniej rozwinięty i dojrzały rozum, nie może być stałą skalą do mierzenia wysokości, do jakiej dojść może dorosły człowiek. Wczesne dojrzewanie jest również prawie często znakiem słabowitości, jak silnego zdrowia duszy. Cóż się staje z wszystkich „cudownie” rozumnych dzieci? Gdzie się podziewają wszyscy „prymusi” i przez nauczycieli za „najlepszych” uczniów uważani chłopcy? co zrobili w życiu? Badając bieg ich życia, spostrzegamy ze zdziwieniem, że ich mniej uzdolnieni towarzysze, którzy w szkole ciągle przez nich prześcigani bywali, gdy się poważne życie zaczęło, często daleko pozostawili za sobą. Według szkolnych pojęć, mądrym dzieciom, dla których nauka jest bardzo łatwą, które najlepsze oddają ćwiczenia, najszybciej odpowiadają na pytania, co do „pilności” i „sprawowania się szkolnego” najlepiej są notowane — świetne „świadectwa”, jakie otrzymują od nauczycieli niezawsze przynoszą błogosławieństwo, niezawsze służą za zachętę do postępowania tą samą drogą, jaką isć zaczęli w szkole. Nauczyciele winni przede wszystkim do tych uczniów, którym nauka ciężko idzie, zwracać się z zachęcającą przemową i właściwą pomocą do rozbudzenia w nich odwagi i ochoty. Na pochwałę i wyróżnienie zasługuje szczególnie ciche, szczere, wytrwałe usiłowanie, które się często uparcie w pewnym oznaczonym kierunku objawia i dlatego często za upór i ztwardziałość brane bywa. Dzieci tego rodzaju są przyszłymi ludźmi, którzy nieraz przez silną i wytrwałą działalność w wybranym zawodzie stają się najlepszymi i najużyteczniejszymi obywatelami kraju. Karol Hoffmeister, znakomity pedagog i autor wysoko cenionego życiorysu Szyllera, uspakajał raz ojca jednego ucznia, który we wszystkich głównych przedmiotach otrzymał mierne i małe stopnie a tylko w matematyce, naukach przyrodzonych dobre postępy zrobił, tymi zarówno głębokimi jak pięknymi wyrazami:

„Niech pana to nie martwi, syn pański ma zdolności i szczerą wolę czegoś dopiąć, a że to tylko okazuje w obranej przez siebie gałęzi, daje przez to dowód swojej samoistości. Jednostronne jego postępy miłsze mi są, niż rozproszone dążenia innych do uniwersalności (wszystkowiedztwa). Z syna pańskiego, może być jeszcze dzielny człowiek“. Przyszłość ziściła tę nadzieję.

Dziecko uczyć się powinno nie dla szkoły, lecz dla życia. Błędem, na który nasza organizacja szkolna prawie ogólnie cierpi, jest to, że nasze szkoły mniej do życia po szkole niż do życia w szkole wychowują. W tem też leży może przyczyna właściwego im zjawiska, że najswawolniejsi i najwięcej „do niczego“ chłopcy, którzy wolą patrzeć w okno niż w książkę, zamiast iść do szkoły włożyć się „na wagary“, po lasach i polach zbijać baki; chłopcy, którym wszyscy nauczyciele przepowiadają, że z nich nigdy nic nie będzie, bardzo często w późniejszym życiu umieją się odznaczyć i wyższe odgrywać role, wówczas gdy dzieci łagodne jak baranki, które zawsze przepisy szkolne z największą ścisłością zachowywały a same tylko pochwały i uznania uzyskiwały od nauczycieli, częstokroć w życiu na podrzędnych pozostają stanowiskach. Przysłowie mówi o piwku młodem, które potrzebuje wyszumieć. Młodość wielu znakomych ludzi była nieraz przykładem prawdziwości tego przysłowia. Gete mówił do Eckermana: „Trzeba nieraz coś szalonego przedsiębrać, ażeby nauczyć się żyć. W młodości mojej nie lepiej robiłem, z całą jednak skórą z tego wyszedłem“. Uwagi nasze nie mają na celu usprawiedliwiać niesforności lub zaniedbywania się w nauce, sądzymy jednak, że szkoły, jeżeli mają odpowiedzieć wymaganiom Pestalozzowego i Diesterwegowego, jeszcze niemało poprawione być muszą, czyli co na jedno wychodzi, że nauczyciele w ogólności jaśniejszy i głębszy pogląd na duszę dziecka i stosunki między szkołą a światem wprowadzić powinni wykład, zastosowany do życia po za szkołą oczekującego.

Tutaj właściwie będzie napomknąć słówko o tak zwanych egzaminach czyli próbach. Wszystkie egzamina, jakie dotychczas jeszcze wszędzie bywają w zwyczaj, są odpowiedziami na przygotowane naprzed pytania mechanicznie wyuczonemi, albo jak się wyrażają studenci „wyklepanemi“, wytrzymanie ich szczęśliwe dowodzi, w najlepszym razie, że egzaminowany miał dobrą pamięć, śmiałość

i szczęście, gdy tymczasem często ci, którzy egzaminu nie wytrzymali, prawdziwie posiadali wiadomości. Nie sztuczne egzaminowanie szkolne według naszego przekonania ma wartość i wskazuje czego człowiek w życiu dokazać może, lecz naturalny egzamin życia. Stuchajmy jak się w tym przedmiocie wyraża Feliks Mendelsohn-Bartholdy, mąż który posiadał nader wysokie wykształcenie: „Powiedz twemu synowi—pisał on do swej siostry Fanny—że z jego cenzury Nr. 1 niewiele sobie robiłem; gdy człowiek przejdzie wszystkie numera pierwsze i klasy i egzamina, gdy już mu nikt więcej świadectw szkolnych dawać nie może, wtenczas zaczyna się życie, do którego potrzeba wszystkich sił, a na które nie otrzymuje się żadnego czerwonego patentu,—ono dopiero powinno być prawdziwie pięknem, ono powinno być godnem tego nazwiska życia, w którym niewiele robić sobie można z pochwalnego listu Nr. 1 z piątej klasy, z Nr. 1 orła czerwonego (orderu) i z wszystkich numerów na świecie. Jeżeli jednak zdaje ci się to nazbyt filozoficznem lub nazbyt niefilozoficznem, to nie mów mu tego,—jest to jednakże ustęp z mego katechizmu“.

Dalby się napisać interesujący rozdział na temat owych „osiów“, którzy w szkołach ostatnie, a w życiu pierwsze zajmowali miejsce i piękne zostawili imię. Zostaje nam jednak miejsce na kilka tylko przykładów. Linnusz uchodził, jako już wyżej wspomnieliśmy, za „głupiego chłopca“ w oczach swojego nauczyciela, który ojcu jego mówił, żeby go do rzemiosła oddał, bo do niczego więcej nie jest zdolny. Sławny fizyk francuzki Arago bardzo mało obiecywał w młodości i mając już lat 14 zaledwie umiał czytać. Później przecież władze jego umysłowe rozwinęły się tak szybko i szczęśliwie, że w ośmnastym roku życia mógł już wstąpić do szkoły politechnicznej i tam uzyskał imię wzorowego ucznia. Newton z początku w szkole siedział na przedostatniej ławce. Gdy siedzący przed nim chłopiec sztychował go z niego z tego powodu, Newton wyzwiał go do walki na pięście i pokonał. Niepoprzedzając na tem zwycięztwie, postanowił pokonać go także jako uczeń, zabrał się pilnie do nauki i został pierwszym w swojej klasie. Robert Burns, ulubiony szkocki poeta, był nieukiem i odznaczał się tylko w latach dziecięcych zręcznością w ćwiczeniach ciała. Oliver Goldschmith mówił o sobie jako o roślinie, która późno się rozwinęła. Humphry Davy, z którym na poprzednich

kartach już nieraz spotkaliśmy się, nie był roztropniejszym od innych chłopców. Jeden z jego nauczycieli mówił o nim: „Kiedy bawił u mnie, nie mogłem w nim odkryć tych przymiotów, którymi w życiu tak dalece się odznaczył“. Sam on nawet uważał za szczęście, że w szkole tyle czasu miał do próżnowania.

Autor niniejszej książki, Samuel Smiles, za młodu do największych nieuków był liczonym. Jeden nauczyciel po drugim napróżno próbował na nim swych pedagogicznych zdolności, lecz ani kary cielesne, ani łagodność, ani surowość bynajmniej nie skutkowały. Nieraz próbowano obudzić w nim popęd do nauki przez posadzenie go na pierwszym miejscu klasy, lecz spadał szybko do ostatnich ławek jak kawałek ołowiu, rzucony w naczynie napelnione żywym srebrem. Wielu nauczycieli zgodziło się na to, że jest nieoprawnym w nieuctwie, jeden zaś wyraźnie go uznał „doskonałym osłem“. Lecz jakkolwiek niezbyt prędko do korzystania z nauk, nieuk ten posiadał pewien rodzaj upartej działalności, która wzrastała razem z siłą jego mięśni i mękością, i gdy nareszcie wszedł w praktyczne życie, pokazało się, że wielu swoich współpracowników prześcignął i daleko za sobą pozostawił. Według ostatnich wiadomości, jakie posiada o sobie, jest on teraz burmistrzem (z wyborów) w swym rodzinnym mieście.

Żółw, idąc prosto do celu, osiąga go prędzej niż koń wyścigowy fałszywą drogą. Nic to nie szkodzi że młodzieńiec postępuje powoli, jeśli tylko jest pilnym i cel swój nieprzerwanie ma przed oczyma, dążąc do niego bez pośpiechu lecz bez spoczywania.

Ani rodzice, ani nauczyciele, ani szkoły, ani uniwersytety nie mogą nam dać najwyższego wykształcenia, oczekiwac go powinniśmy dopiero od naszej własnej, szczerzej, niezmordowanej i bezwzględnie wytrwałej usilności w kształceniu się. Wysoki moralnie i praktycznie użyteczny cel niech będzie gwiazdą prawdziwą naszych usiłowań, a kształcąc siebie samych, przyczynimy się zarazem do moralnego i duchownego postępu narodu, do którego należymy, zgodnie z słowami poety (Rückerta):

Chrońmy czystych ducha szat
Od plam i zakaleń—
Gdy się w barwy stroi kwiat
Zdobi ogród cały.

ROZDZIAŁ XI.

Cierpienia i przeciwności.

Mówimy o niebie, jako o przybytku błogiej szczęśliwości, wyobrażamy je sobie, jako zaludnione przez duchy czyste, których pełne roskoszy, niewinne życie płynie w słonecznym blasku niezakłóconego szczęścia; lecz te czyste duchy, ci święci—mówimy dalej—byli ludźmi, wprzód nim świętymi zostali, i do tego uświętobliwienia, do tej czystości duchowej doszli, przechodząc twardą szkołę ziemskiego życia. Myślą tego pięknego wyobrażenia jest: że nasze usiłowania moralnego udoskonalenia nie w zniewiesiałym spoczynku, nie w posiadaniu spokojnego i nieprzerwanego szczęścia, lecz w walce z cierpieniami i przeciwnościami znajdują dla siebie najobfitszy pokarm i najdzielniejszą pomoc.

Człowiek nie jest tak stworzonym, żeby mu użycie przyjemności ziemskiego bytu przychodziło bez cierpienia i dolegliwości. W szczęściu staje się on łatwo ociężałym, bezmyślnym, zarozumiałym, lecz gdy nieszczęście zapuści głęboko swoje szpony w jego serce, gdy ból rozdziera jego duszę i życie surowo go dotyka, wtedy, jak mówi przysłowie, ucieka do Boga, uczy się modlić, to jest przeważnie myśleć o swoim przeznaczeniu i swych obowiązkach, oraz jeżeli ma silną wolę, postanawia walczyć z przeciwnościami i—zwyciężyć. Lecz chociaż cierpienia są zbawienną potrzebą, przecież z drugiej strony człowiek nie żyje bynajmniej dlatego, ażeby—jak to zapaleni marzyciele wszystkich czasów robili—uprzedzając losy, nakładał sobie samemu udęczenia i na wzór mnichów wyrzekał się wszelkiej przyjemności. Bo o cierpienia stara się już życie samo, bez względu, bez litości na nikogo. Szlachetne zaś roskosze rozsądnie użyte są źródłem umocnienia i odświeżenia ducha, z którego czerpać jest obowiązkiem względem nas samych.

Szkola cierpień i przeciwności jest prawdziwą szkołą wyższą pomocy własnej, wysilenia zaś i walki, do jakich nas zmusza, są najwłaściwszym i najskuteczniejszym środkiem wychowawczym w życiu człowieka, a raczej środkiem

pomocniczym w jego kształceniu się własnem. Nie wygodny spokój, lecz gorące usiłowanie, nie ułatwienia lecz utrudnienia, nie tak zwane szczęście, lecz nieszczęście wykształca ludzi. „Szczęście przechodzi i zostawia słaby ledwie ślad w duszy i często nawet szczęściem nazywaćby się nie powinno, bo żadnej nie przynosi korzyści. Nieszczęście przechodzi także (i to jest w niem wielką pociechą), lecz zostawia głębokie ślady, zbawienne, jeśli się umie z nich korzystać i jest często bardzo wielkiem szczęściem, bo oczyszcza i umacnia“ (Wilhelm Humboldt). Nie ma zapewne stanowiska w życiu, na którem osiągnięcie powodzenia nie byłoby połączone z potrzebą zwalczania przeciwności. Opór podnieca do skupienia i powiększenia działalności, a niepowodzenia dla tego, kto ma silną wolę, są tylko bodźcem do podwojenia usiłowań. Charles James Fox, jeden z największych angielskich mężów stanu i politycznych mówców przeszłości, mówił często, że spodziewa się więcej po człowieku, który już raz był nieszczęśliwym w swoich usiłowaniach, lecz mimo to i właśnie dlatego ponowił usiłowania, niż po takim, który przebył tylko utorowaną drogę ciągłych powodzeń. „Jestto bardzo dobrem i pięknem—mawiał—gdy mi mówią, że się jaki młody człowiek odznaczył pierwszą świetną mową. Może on dalej wytrwale postępować, ale może także zatrzymać się przy swoim pierwszym tryumfie; lecz gdy mi wskażą młodego człowieka, którego pierwsza próba była nieszczęśliwą, a który mimo to nie zaprzestał odważnie pracować, chętnie temu młodzieńcowi przyjdę z pomocą, bo on zwycięży kiedyś większą część tych, których pierwsze próby uwieńczonemi zostały“. Benjamin Disraeli, znany jako wielki mówca parlamentu, przy pierwszym swoim wystąpieniu w izbie niższej upadł zupełnie i zjednał sobie tylko śmiechy i szyderstwa. Wprzód jednak nim zawstydzony złem przyjęciem, jakiego doznała jego z taką troskliwością opracowana mowa dziewicza, opuścił trybunę, zakończając tymi proroczymi wyrazami: „Wiele już w życiu przedsiębrałem, co mi się w końcu udawało. Powrócę teraz na moje miejsce, lecz przyjdzie czas, że mnie jeszcze słuchać będziecie!“ I czas ten przyszedł, dzięki jego wytrwałości żelaznej. Gdy Disraeli teraz mówi, wszyscy słuchają go z uniesieniem.

Uczymy się zawsze lepiej i więcej przez niepowodzenie i błędy, jak przez szybkie powodzenie. Odkrywamy czę-

sto to, co jest właściwem przez to, żeśmy odkryli co nie jest właściwem, i gdyby nie było niepowodzeń, straconych trudów, może bardzo mało wynalazków i odkryć przysłoby do skutku. Nieprawidłowy stan jakiego członka ciała uczy lekarza jego własności naturalnych, a w matematyce dowodzi się często twierdzeń przez okazanie, że coś być nie może; która to metoda uboczną czyli apagogiczną się nazywa. Tak w niezliczonych przypadkach przeczenie prowadzi do twierdzenia, zupełnie tak jak fotograf swoje pozytywne (twierdzące) odbicie z negatywnych (przeczących, odwrotnych) klisz otrzymuje. „Uczymy się małomówności od gadatliwych, a gadatliwości od małomównych“ zauważył Jean Paul. Gęte był, jak wiadomo, nie tylko poetą, lecz także pilnym badaczem natury i jako taki poczynił odkrycia epokę stanowiące. Mówił on raz do Eckermana: „Jest to korzyścią każdego namiętnego oddania się przedmiotowi, że ono nas zmusza badać rzeczy w głąb. Szukać i błędzić jest dobrze, bo poszukiwania i błędy uczą nas i to nie tylko rzeczy samej, lecz i tego co z nią ma związek. Cobym wiedział o roślinach i barwach, gdyby mi dano gotowe ich teorie i gdybym się ich na pamięć nauczył! Lecz ponieważ wszystkiego musiałem sam szukać i znaleźć, rozumiem się błędząc nieraz, dlatego mogę powiedzieć, że o obu tych rzeczach wiem cokolwiek, a nawet więcej niż jest napisane“. Ponieważ jednak „błędzić jest rzeczą ludzką“ i najwięksi nawet geniusze błędzić mogą, przeto pilne prostowanie i wytykanie błędów oraz surowa krytyka, trzymająca się nie osoby ale rzeczy, jest dla każdego niezbędnym środkiem pomocniczym do rozwinięcia bezstronnego uczucia prawdy; nie jeden wiele obiecujący talent zmarniał dlatego, że zamiast zasłużonej nagany, przesadzone pochwały nie w porę otrzymał. Wielcy mężowie domagali się nawet otwartego ganienia swych błędów; tak na przykład Feliks Mendelssohn Bartholdy skarżył się przed jednym przyjacielem temi słowy: „Nie mam niestety teraz żadnego sądu o moich nowych rzeczach, nie wiem czy są dobre, czy złe, i to pochodzi ztąd, że od roku wszyscy, komukolwiek co mojego przygrywam, znajdują to poprostu doskonałem. Chciałbym, żeby mnie kto znów rozsądnie wyburczał, albo co piękniejsze byłoby jeszcze—rozsądnie pochwalił, zdołałbym wtedy może sam własne utwory sądzić i nie traciłbym zaufania do siebie samego.“

Słusznie powiedziano, że porażka jest lepszym kamieniem probierczym prawdziwej wielkości wodza niż zwycięstwo. Każda z najobfitszych w zwycięstwa wojen rzymskich, prawie zawsze zaczynała się wielką przegraną. Waschington ponosił daleko więcej porażek, nie odniósł zwycięstw, mimo to jednak wywalczył niepodległość swojej ojczyzny. „Napoleon — mówi Gete — z tego względu szczególnie był wielkim, że w każdej chwili był *tym samym*, przed bitwą, podczas bitwy, po zwycięstwie, po porażce; stał zawsze mocno, był zawsze jasny i zdecydowany, co mu pozostaje do zrobienia.“ Toż samo możnaby powiedzieć o Fryderyku Wielkim, który choć na tronie urodzony, już od młodości twardą szkołę cierpień przebył i wyszedł z niej prawdziwym granitem. Obok wspaniałych zwycięstw, znajdujemy w siedmioletniej wojnie najstraszliwsze porażki i nieraz — jak na przykład po krwawej bitwie pod Kunnersdorfem — zdawało się, że wszystko straconem było dla niego; lecz po podobnych klęskach bohater uczuwał w duszy najwyższą odwagę, podnosił się z podwójną dzielnością z upadku i walczył wytrwale dalej, dopóki Szlązka dla Prus nie zdobył. W ucisku największego niebezpieczeństwa przysiągł on jak król myśleć, żyć i umrzeć.

Karol XII, król Szwedzki, znany ze swych szczęśliwych wojen prowadzonych nad Newą, w Polsce i Danii, po przegranej swej pod Poltawą, uchodząc z pola walki sam ciężko raniony w udo, mimo fizycznych boleści kilka mil przebył piechotą, a po trzech-dniowym tułaniu się po stepach, dostał się w granice Turcyi, od której spodziewał się pomocy. Nieprzyjacielem jego przecieżyli niekorzystnie o nim uprzedzić Sultana, który rozkazał Seraskierowi Benderu zmusić Karola do odjazdu lub w razie oporu pochwycić żywcem. Karol na czele 300 ludzi orszaku, opierał się całej armii tureckiej i ustępował tylko krok za krokiem, zaplątany jednak własne ostrogi, upadł i dostał się do niewoli. Uwolniony z Turcyi, z dwoma tylko oficerami przez Węgry i Niemcy, puścił się konno do ojczyzny, gdzie przybywszy, znalazł armie: duńską, saską, pruską i rosyjską występujące przeciw Szwecyi. Mimo to, zdołał on z powodzeniem stawić czoło nieprzyjacielowi i położenie zaczęło dlań pomyślniejszy przybierać obrót, gdy nieszczęściem przy oblężeniu miasta Fridrichshal, przyglądając się robo-

tom saperskim, kulą w sam środek czoła trafiony — zabitym został.

Potrzeba jest surową nauczycielką. Gdzie więc ona się przedstawia, tam z pewnością najwięcej pracujemy, a zarazem wiele uczymy się i dokonywamy. Uozuwamy wprawdzie strach naturalny przed ogniewą próbą nieszczęścia, powinniśmy jednak, gdy ono przyjdzie, starać się stale i mężko w niem wytrwać. Jedno tu z dwojga wybrać trzeba: iść naprzód albo nędznie się cofnąć, przyjąć zaszczytną walkę lub upokarzające poddanie się! „*Teraz lub nigdy!*“ tak powinien zawsze mówić honor. Właściwa godzina, właściwa chwila jest zawsze, nie godzi się nic odkładać, niczego od okoliczności i przypadku spodziewać; prawo nasze jest zawsze jasne i proste: czyn, coś powinien, zwycięż lub umrzyj, a Bogu pozostaw resztę.

Błogosławione są skutki prób, na jakie nas nieszczęście wystawia. W nieszczęściu uczymy się czuć po mężku i po ludzku, w niem uczymy się co możemy, w niem pokazuje się co warci jesteśmy, w niem wychodzi na jaw nasza słabość albo siła. Prawdziwie dobry charakter, jak wonne ziola rozwija swoje przymioty pod naciskiem. Gdy szczęście często oddziaływa osłabiająco, cierpienia w ludziach ozynej nuty obudzają dzielność i siłę, która pomaga w ciężkich próbach życia opamiętać się i przetrwać je stale. Wielu takich, co mężnie wytrwać potrafia podczas ucisku i dzielnie walczyć z nieprzyjawnym losem, nie są w stanie opręć się niebezpiecznym wpływom szczęścia. Tylko ślaby człowiek pozwoli, żeby wiatr zerwał mu z ramion płaszcz, lecz nawet mocny narażonym jest niezawodnie na niebezpieczeństwo stracenia go, gdy mu słońce nazbyt dopieka. To też często potrzeba więcej wykształcenia, więcej mocy charakteru, żeby w szczęściu pozostać wiernym samemu sobie, niż w nieszczęściu. Iluż jest ludzi, co by chcieli wypełniać codzienne obowiązki, gdyby ich konieczność starania się o utrzymanie własne nie przynaglała do tego? Serce szlachetnych ludzi w szczęściu bije i rozgrzewa się miłością, współczuciem dla mniej szczęśliwych współbraci, lecz jakże mało jest takich, których szczęście ludźmi robi! Popolite dusze zatwardzają się w szczęściu i stają się tak zarozumiałemi, jak przedtem były czołgającemi się, a nadmiar szczęścia może nawet najlepszego, w chwili mniejszej na siebie samego uwagi, do zarozumiałości pobudzić. Szekspir

w *Peryklesie* kładzie w usta tego męża, w chwili gdy znajduje swoją córkę, którą oddawna za straconą opłakiwał, następne dziwnie piękne wyrazy:

Udercie raczej w moją pierś, o bogi,
I zrańcie ją, obarczcie mnie klęskami,
By to rozkoszy niepojętej morze,
Co na mnie spływa, z brzegów swych nie wyszło
I w słodkich falach mnie nie zatopiło.

Wysokie urodzenie i bogactwo są to dwie mamki, które dziecku zamiast słodkiego, pożywnego mleka, często słodką trującą za karm dają, i gdzie one jego kolebkę kołyszą, tam często na całe życie wszystkie lepsze przymioty człowieka bywają uśpione, gdzie bowiem z razu los zbyt okazuje się przychylnym, tam łatwo traci się bodźca do usilnej pracy, którego równie pojedyncze jednostki jak cała ludzkość do ciągłego postępu potrzebuje. Przeciwnie — że posłużymy się słowami wielkiego angielskiego mówcy Edmunda Burke — „przeciwności są surowym nauczycielem położonym nad nami z woli wspaniałego, ojcowskiego Opiekuna, który nas lepiej zna i więcej kocha, niż my siebie samych znamy i kochamy. Kto pasuje się z nami, wzmacnia nasze mięśnie i ścięgna podnosi naszą działalność: nasz przeciwnik jest tym sposobem naszym pomocnikiem.“ Gdyby nie było żadnych przeciwności w świecie do pokonania, to życie byłoby wprawdzie łatwiejszem, lecz nieskończenie bezbarwniejszem jak jest, robilibyśmy zaś w tem życiu bardzo mało, nierównie mniej niż robić powinniśmy. Próby bowiem, przez które przechodzić musimy, służą myślącemu człowiekowi jako środek oczyszczenia swego charakteru, ucą go radzenia samemu sobie, samoistności. Cierpienia są prawie zawsze naszymi najwyższymi dobroczyncami i przyjaciółmi, jakkolwiek po największej części nie chcemy przyznać im tego.

Henryk Zschokke, nieraz już przez nas cytowany, kreśli w swych pamiętnikach dobroczynne wpływy nieszczęścia, jakich doznał na sobie samym. Mówi on: „Co człowiek zazwyczaj wielkiem nieszczęściem lub złem nazywa, tego i ja doświadczyłem, lecz nigdy tego tak nie nazywałem. Otrzymałem, jak każdy śmiertelny, swój udział w brzemieniu tak zwanych ludzkich nędz. Pierwszy nacisk nagle spadającego ciężaru i mną także jak każdym innym na chwilę za-

chwiał i mnie też pochylił. Lecz z powiększoną sprężystością umysłu prostowałem się prędko znowu i dźwigałem spadłe na mnie brzemie bez nieukontentowania, a nawet — pospolici ludzie mogą wstrząsać głową z niedowierzaniem — często w ziemskim cierpieniu znajdowałem pewną przyjemność.“ W jednym z swych listów mówi tenże Zschokke: „Szukałem rozkoszy właśnie w tem, że byłem tak ubogim w radości.“ „Przeciwności — mówi dalej w miejscu, które cytować zaczęliśmy — odzwyczajały mnie od ufania w rzeczach znikomych i uczyły mnie do tego stopnia siły i samoistności, jakiego tylko w chwilach cierpienia w życiu człowiek dosiądz może. Nie ma innego złego w świecie oprócz grzechu, o tem byłem i jestem przekonany. Tylko pojęcie własnej winy snuje tę czarną nić, która się ciągnie przez różnowzorą tkaninę życia, od popełnienia czynu aż do grobu. Nie Bóg jest stwórcą nieszczęścia, tylko człowiek w swojej zniewieściałości, w przecenianiu swej pompatycznej nicości, w chęciach zaspakajania wyłącznego — wszystkich swych żądz. Płacze on jak dziecko, gdy się co nie dzieje po jego myśli, i w siedmiesiątym roku życia jeszcze nie staje się człowiekiem. Płacze on, skarży się i wątpi, kiedy go Bóg nie *stucha!* Lecz każde nieszczęście jest zaprawdę tak dobrym darem bożym, jak każde szczęście. I ja także jak inni przecierpiałem przykrą niewdzięczność wielu ludzi, lecz bez zmartwienia, nie bowiem nigdy nie czyniłem w nadziei ich wdzięczności. Przyjaciele mnie zawiedli, lecz to mnie rozgniewać nie mogło, gdyż to ja tylko zawiodłem się na nich. Zapoznanie i prześladowanie znośiłem z wszelką obojętnością, znałem bowiem naturalną niejednostajność przekonania i zmienność namiętności ludzkich. Ucisk niedostatku przecierpiałem bez westchnienia, bo doświadczyłem na sobie, że materyalne ubóstwo przynosi bogactwo moralne. Doznałem strat możolnie zabranego skromnego mienia, na przykład znakomitej jak na mnie sumy 17,691 franków, którą dałem na uzupełnienie pewnego kapitału zakładowego. Azeby dwóch pocziwych rodzin nie narazić na zgubę, obchodziłem dzień moich urodzin w r. 1816 przez zrzeczenie się zupełne tej sumy. — Podobne straty nie zatrwały mi ani jednego dnia, tylko mnie pracować i oszczędzać nauczyły. Byłem szczęśliwym ojcem szczęśliwych dzieci, miałem dwunastu synów i jedną córkę, z rozdartem sercem musiałem

siedzieć przy śmiertelnem łożu czterech z tych synów. Czulem przy ich ostatniem odetchnieniu ten „boski smutek,” co ducha uzacnia... Tak uczyłem się prawdziwie, jak każdy, mniemane złe życie poznawać i drogi życia mego niezawsze różami ukwiecone były. Lecz wytrwałe ćwiczenie moralnej siły woli, ciągle i żywe uprzytomnianie sobie, jest lekarstwem na boleści ducha, daje mu panowanie nad potęgą zmysłów i sprawia, że nasze niezadowolenie w nieszczęściu, tak jak zarozumiałość w upojeniu szczęścia, przemienia się w stałą spokojność, a nierozważna lekkomyślność w tę pogodę umysłu, która tak na uśmiechy jak na dary losu, jako na przechodnią ohmurę się zapatruje.“

Popęd duszy, jak wzrost rośliny, wznosi się ciągle wyżej; życie jest ciąglem—choć często niewidocznem, a nawet mniej lub więcej z chwilowem cofaniem się połączone—dążeniem i drapaniem na stromy szczyt udoskonalenia, — walka życia toczy się na tym stoku. Chcieć go dosiąść bez trudu i usiłowania jestto chcieć go osiągnąć bez czci i zasługi. Gdyby nie było żadnych przeciwności, nie mogłoby być powodzenia; gdyby usiłowanie zamiast potrzeby było zbytkiem, ustałoby to, co najwyższego tu na ziemi posiadamy: dążenie do moralnego udoskonalenia. Przeciwności mogą przerażać słabego, dla odważnego i silnego stają się one bodźcami do postępu. Życie dowodzi tyśiąckrotnie, że przeszkody, które los rzuca na drogę mężkich usiłowań, w większej części wypadków przez prawdziwy zapał, pilność, wytrwałość, a szczególnie przez stałe postanowienie, silną chęć ich przewyciężenia, usuniętymi być mogą. Dzieje przeciwności mogłyby być historią wszystkich wielkich czynów, których człowiek do tej chwili dokonał. Niepodobna powiedzieć, ile narody stref północnych zawdzięczają walce z surowym i zmiennym klimatem, z nieplodnością gruntu i t. d., walce, która sama przez się jest pasowaniem z przeciwnościami, o których mieszkańcy stref cieplejszych niewiele mają wyobrażenia.

Zarówno jest niedobrze swego nieprzyjaciela osobistego nazbyt wysoko, lub też nisko cenić. Jeżeli się jego siły przecenia, wyradza się bojaźliwa ostrożność, zwątpienie, obawa, gdy się zaś nazbyt wiele liczy na swą własną siłę, to takie przecenianie siebie samego prowadzi zaniedbanie

się i niedorzeczną zuchwałość, która łatwo do zguby strąca. Zupełnie tak samo rzecz się ma z cierpieniami i przeciwnościami, które na nas los zsyła. Ich wielkość, ich ważność, powiększa się lub zmniejsza stosownie do tego, czy nasze usiłowania zwyciężenia ich są mocniejsze, lub słabsze. Strzeż się je przeceniać, ale strzeż się także brać je zbyt lekko. Spróbuj się z niemi mierzyć, spokojnie, rozważnie, śmiało; pierwsze usiłowanie chociażby się nie udało ułatwi ci drugie, bo ćwiczenie siły rozwija takową, podwyższa jej działalność, daje zaufanie w samym sobie i obrotność. Na drodze doświadczenia uczy się człowiek prędko, jak przeszkody i przeciwności mężnem stawianiem im czoła zwalczać należy. Gdy potężnym pomocnikiem do dopięcia zamierzonego celu jest moralne przekonanie: że dopiąć go można—to będziesz mógł i dopniesz go rzeczywiście. Tak, często przeciwności upadają same z siebie wobec silnego postanowienia uprzątnięcia ich z drogi. Na dziesięć wypadków w dziewięciu upadają one, gdy się weźmiem do nich z odwagą. „Jeżeli bojaźliwie i łagodnie z twojemi cierpieniami będziesz postępował, to cię poparzą jak pokrzywa, gdy się jej powoli dotyka. Mało ci jednakże dokuczy, jeśli ją ujmiesz odważnie i mocno.“ (Jean Paul).

Uczenie się, choćby w najprzyjaźniejszych odbywało się okolicznościach, nie jest niczem innem, jak ciąglem zwyciężaniem trudności a zwyciężenie jednej pomaga nam do zwalczania innych. Rzeczy, które na pierwszy rzut oka zdają się być bez wartości dla praktycznego wykształcenia—jak na przykład nauka umarłych języków, albo nauka o wzajemnych związkach linii i płaszczyzn, którą jeometryą nazywamy—mają jednak swoją wielką praktyczną wartość, nie tylko dla wiadomości, jakie ich nauka nam daje, lecz jeszcze dlatego, że zajęcie się niemi jest środkiem rozwinięcia działalności umysłu i przyuczenia ducha do wytrwałej pracy. Tak jedna rzecz prowadzi zawsze do innej, a całe życie jest nieprzerwanym dniem pracy, i walka z przeciwnościami kończy się dopiero tam, gdzie się kończy wszelkie działanie i życie. Nie traćcie więc odwagi i chęci do pracy, wy początkujący dopiero, gdy wam wasze zajęcie suchszem się wydaje jakbyście chcieli, i nietylko przyjemnych następstw ma dla was, ilebyście sobie życzyli, one bowiem, jeżeli z wytrwałością pracować będziecie, wcześniej lub później zdobycie się muszą. Rückert powiada:

Pomoc własna.

Szukałem nieraz złotej rudy
W warstwach co jej nie kryły,
Lecz błogie były moje trudy,
Bo pracy mnie uczyły.

Wszystko co jest łatwem, było z początku trudnem, nawet rzecz taka łatwa jak chodzenie. Tancerka robiąca piruetę¹⁾, skrzypek wykonywający sonatę, swą zgrabność, swą zręczność w pokonywaniu trudności, nabyli długoletnimi ćwiczeniami i wieloma daremnymi usiłowaniami. Doznajemy miłego wrażenia na widok pięknego obrazu, widzimy gotową pracę, lecz nie pomyślimy, nie domyślamy się nawet najczęściej, jak wielki nakład trudu i pilności twórca obrazu wyłożyć musiał, nim coś podobnie dobrego mógł utworzyć. Joshua Reynolds, gdy go raz pytano ile czasu potrzebował na wymalowanie pewnego obrazu, odpowiedział: „Całe życie”. Mówca, który się zdaje z taką łatwością słowem władać i nad umysłami swoich słuchaczy tak potężną mieć władzę — musiał najprzód szczebiotać, potem nauczyć się mówić, aż przy pomocy niezmordowanych ćwiczeń w wypowiadaniu retorycznem swej myśli, a nadto, jak Disraeli często dopiero po nieudanych próbach, został wreszcie mistrzem wymowy. Któż nie słyszał o jednym z najznakomitszych mówców starożytności Demostenesie, który największe przeszkody, jakie mu natura stawiała, z prawdziwie godną podziwu wytrwałością zwyciężył? Jakaś się on, miał słabe piersi, mówiąc wzruszał nieprzyjemnie prawem ramieniem i nie mógł zupełnie wymówić głoski r. Mimo to postanowił zostać nie już zwyczajnym, ale wielkim mówcą. Gdy po raz pierwszy, nie pozbywszy się jeszcze żadnej ze swych wad przyrodzonych, zaczął mówić publicznie, zyskał zamiast przychylnego przyjęcia szyderstwa i śmiechu tłumu. Naówczas usunął się zupełnie z widowni publicznej, lecz nie dla tego, aby bezczynnie narzekać na doznany zawód, lecz aby z olbrzymią siłą nad usunięciem swych wad naturalnych i ukształceniem się jako mówca pracować. W tym celu, nakładłszy w usta kamyków, które wymowę utrudniały i zmuszały do pomnożenia usiłowań, ćwiczył się w wymawianiu wierszy, które deklamował biegnąc pod górę. Podobnież na brzegu morza przy szumie fal odbywał ćwiczenia swoje, ażeby usiłując dać się słyszeć, piersi swe wzmocnić i głos do-

¹⁾ Kręcenie się w kółko bez zmiany miejsca.

nośniejszym uczynić. Zamknął się na kilka miesięcy w podziemiu, ażeby zaś łatwiej oprzeć się wszelkiej pokusie wyjścia, kazał sobie pół głowy ogolić. Tu przed zwierciadłem uczył się zachowywać postawę właściwą mówcy i używać ruchów odpowiednich, i w tym celu nad prawem ramieniem zawiesił ostro zakończony miecz, który go kaleczył boleśnie, ilekroć zapominając się zrobił ręką ruch nałogowy. I cóż dziwnego, że przy takiej wytrwałości i silnej woli, ten właśnie mąż stał się największym mówcą w starożytności?

Podobny przykład wytrwałej siły woli dał cesarz niemiecki Maksymilian (ur. 1459 r. zm. 1519 r.). W dzieciennych latach miał on trudną wymowę i jękał się tak dalece, że w dziesiątym roku życia żadnego prawie wyrazu zrozumiałe wymówić nie mógł. Gdy doszedł do rozumu i spostrzegł ile mu to będzie przykrem w jego dalszych stosunkach, postanowił użyć wszelkich sił dla pozbycia się tej wady. W skutek nieustannych usiłowań doszedł do tego, że wcale pięknie mówił. Co do naukowego wykształcenia, naturalnie mało można było zrobić w młodości z dzieckiem, które tak późno mówić się uczyło, lecz i pod tym względem przez niezmordowaną pilność tak dalece odrobił to co zaniedbanem być musiało, że w wieku dojrzałym mówił dziewięcioma językami i wielkie uczynił postępy w sztukach i naukach.

Ten jest najwyżej wykształcony, kto w szczęściu największe umiarkowanie, a w walce z cierpieniami i przeciwnościami najwięcej stanowczości, stałości i poddania się okazuje. Największa nędra dla podobnych ludzi nie była nieprzewyciężoną przeszkodą w pracy, nad wysokiem zadaniem kształcenia własnego. Tak jest, przekonał się nie raz, że ubóstwo nie tylko nie jest zaporą na drodze postępu, lecz dla moralnie silnych dusz jest ono wprawdzie przykrym, lecz właśnie przez to tem dzielniejszym bodźcem do niezmordowanych usiłowań. „Ubóstwo i potrzeba — mówi Riehl — jest zachętą do najgłębszej, do najskuteczniejszej pracy.... Znany jest ścisły stosunek, jaki zachodzi między wielkimi mężami a głodem, nie tylko dlatego, że wielu z nich peryodycznie głód cierpieć musieli (że wspomnimy tu tylko Keplera i Bürgera), lecz i dlatego, że głód dopiero wielu z nich wielkimi zrobił w surowej szkole potrzeb i nieszczęścia. Starzy Niemcy mawiali: „Gdyby nie bieda, nie byłoby sztuki.” „Ubóstwo uczy grać na skrzypcach.” „Potrzeba jest matką wynalazków.” „Brzuch pełny nie uczy się chętnie.” „Bogac-

two robiło i robi głupim." „Gorący kraj, leniwi ludzie," mówi stare przysłowie, prawdopodobnie z Włoch pochodzące. Nie należy przecież zapominać, jak mówi Jean Paul, że potrzeba, chociaż jest matką wynalazków, jest także babką występku.

Iluz to ludzi, kierowanych nieprzewycięzoną skłonnością do nauki wstępuje na uniwersytet, nie mając nawet w kieszeni pieniędzy na najniezbędniejsze wydatki? Muszą się oni nędznie utrzymywać z korepetycji, mogąc zaledwie tu i owdzie chwycić w przelocie okruszynę wiedzy, jak owo ptasze w zimie, gdy spadną śniegi skąpi swej karmi, mozołnie pod drzewami domostw ludzkich i na ulicach zbierać musi. Jakób Krystyan Schäffer, zmarły w 1790 r. jako superintendent w Ratysbonie, wielce zasłużony mąż, znany szczególnie z interesujących prób robienia papieru z mchu, latorośli winnych, liści, wiórów i t. p., tak opowiada swe studenckie czasy: „Mając lat 18, udałem się do Halli na uniwersytet z troszką pieniędzy, które mi matka moja dać mogła. Teraz jeszcze nie pojmuję i myślę z przestachem o tem, jak mogłem udawać się na mieszkanie i naukę do zupełnie obcego miejsca, bez żadnych środków pomocniczych. Jednak znalazłem prędko pomoc u tamtejszych profesorów. W pierwszym półroczu prawie ani jednego dnia nie cierpiałem głodu, lecz po większej części składał się mój obiad z kawałka chleba za feniga i za feniga świeżych lub suszonych owoców. Następnie poprawiło mi się nieco i koło Wielkanocy mogłem sobie po raz pierwszy kupić drzewa do pieca." Gdy Seume powrócił z Ameryki — gdzie w skutek zaprowadzonego naówczas przez książąt niemieckich rodzaju handlu niewolnikami, musiał walczyć w szeregach angielskich przeciw wywalczającym swą niezależność Amerykanom — udał się on do Lipska, ażeby ciągnąć dalej swe przerwane studia. Tutaj był w bardzo przykrem położeniu i zarabiał sobie daniem lekcji na ubogie utrzymanie. Wiadomo od naocznych świadków, że nieraz podczas najsurowszej zimy bez dostatecznej odzieży w nieopalonym pokoju siedzieć musiał, mając na śniadanie tylko szklankę wody, w której kawałki lodu pływały. W życiu swem na ciągle próby wystawionem, wyrzekł on te nader trafne i do niego najlepiej zastosować się dające wyrazy: „Oceniajcie człowieka z jego stosunków, bo jakim w nich jest, takim jest w istocie."

Innym studentem, który przez lata całe pod uciskiem najsrozszej nędzy swoje studia odbywał — był Jan Paweł Fryderyk Richter, znany w świecie literackim pod imieniem Jean Paula, którem pierwsze swoje dzieła podpisywał. Po śmierci swojego ojca, który jako proboszcz miał bardzo skromne utrzymanie, udał się on do Lipska, aby się tam oddać nauce teologii. Rachował on na dawanie korepetycji. Ze jednak nie miał ani opiekunów ani znajomych w mieście, środek ten zarobkowania stał się dla niego niedostatecznym i nieraz czuł, że troski o chleb powszedni łamać go zaczynają. Gdy bieda doszła do najwyższego stopnia, gdy znikąd nie przedstawiała mu się sposobność najmniejszego zarobku, wpadł na myśl zarobienia pieniędzy pisanem książek. Tym sposobem z potrzeby Jean Paul został autorem. Poznać można łatwo z jego pierwszego dzieła, w jak smutnych znajdował się okolicznościach, kiedy je pisał. Zaraz na pierwszej stronnicy mówi: „Cieleśnemu głodowi autora zawdzięcza publiczność swój pokarm duchowy. Niektórzy lekarze wprowadzają z żołądka wszystkie choroby, ja mogłem w ten sam sposób objaśnić początek większej części dzieł, mniej bowiem sok nerwów mózgowych, niż niezaspokojona siła trawiąca żołądka nad obrobieniem książki pracuje. Przepelniony żołądek wyradza w głowie, jako skutek swego przeładowania, lenistwo i głupotę, dla czegożby próżny nie miał lepiej oświecać duchowego poddasza, ożywiać duszę świeżością i rozumem, z pomocą których potrzebom swoim radzić może?... Drożyzna zatem sprzyja bardzo twórczości w uczonnej rzeczypospolitej, a zły urodzaj zboża zapowiada obfite żniwo książek. Tak wysoko ceniony i tak upragniony głos prawie zazwyczaj jest tylko spotęgowanem kurczeniem żołądka." Dalej znajdziemy następny piękny ustęp: „Nie dosyć jest umieć tylko złe przecierpieć, potrzeba także chcieć się go pozbyć, jak salamandra, co nietylko ogień wytrzymuje lecz go gasi, a nie jak turek umiejący spokojnie patrzeć na swój dom w płomieniach, zamiast dopomóc innym go ratować." Ponieważ drugi tom pierwszego dzieła Jean Paula, *Grenlandzkich procesów*, bardzo zimno, a nawet nieprzychylnie przez publiczność przyjętym został, nakładca nie chciał dalej prowadzić wydawnictwa. Napróżno zgłaszał się przyciśnięty potrzebą autor do innego wydawcy, znalazł się więc nareszcie w takim położeniu, że musiał potajemnie z Lipska uciekać, aby uniknąć więzienia za długi. Udał się

do Hofu, do swojej matki, która również znajdowała się w nędzy. Pracując przy warczeniu kołowrotka swojej matki, żyjąc chlebem i salata, rozwijał tam swą autorską działalność, dopóki położenie obojga nie stało się tak okropnem, że musiał przyjąć miejsce nauczyciela domowego. Polepszyło to cokolwiek jego los, lecz praca, jakiej oddawać się musiał, była dla niego tak uciążliwą, że wpadł wkrótce w taką melancholię, iż aby się uwolnić od przykrego stosunku, porzucił to miejsce i znów pospieszył do swojej ukochanej matki. Następnie zawiadywał przez kilka lat pewną szkołą prywatną, poczem, w skutek wydania romansu p. t. *Hesperus* — który mu wielu zjednał przyjaciół — powziął ostatecznie postanowienie ustalenie swojego bytu pracą myśli i pióra.

Oprócz Pestalozzego, żaden poeta i myśliciel wewnętrznego życia ludu, tak prawdziwie nie pojął i tak uderzająco nie skreślił jak Jean Paul, co pochodzi ztąd, że obaj ci mężowie dzielali ubóstwo, niepocieszoną nieraz nędzę tego ukochanego przez siebie ludu i znajdowali się w bezpośredniej styczności z wszystkimi okolicznościami i stosunkami ludowego życia. „Mówię to z prawdziwym zadowoleniem i wdzięcznością dla czuwającej nademną Opatrzności — pisze Pestalozzi — że w ubóstwie nauczyłem się lepiej pojmować i zgłębiać nędzę ludu i jego przyczyny, niż je ktokolwiek w szczęściu poznać i zgłębić potrafi. Cierpiałem to, co lud wiejski cierpiał i lud okazywał mi się takim, jakim jest i jakim się nikomu nie okazuje. Byłem przez długie lata pomiędzy nim, jak sowa pomiędzy ptakami. Lecz w pośród śmiechów szyderczych odpychających mnie ludzi, nie przestało moje serce wciąż dążyć do jednego celu, do zatamowania źródeł nędzy, w jakiej lud dokoła siebie pogrążony widziałem i siły me wzmagaly się, a nieszczęście uczyło mnie codzień lepiej prawd, jakich potrzebowałem. Wyznaję to z prawdziwą, serdeczną rozkoszą, że mniej przeciwności, szczęśliwszy los, nie byłby nigdy wstanie utrzymać w takiej żywości zapału, jaki ożywiał moją duszę.”

William Cobbet, sławny angielski publicysta, syn właściciela małego kawałka ziemi, porzucił rolę w siedemnastym roku życia i został pisarzem u jednego adwokata w Londynie. Zajęcie to jednak przykremsi się stało wkrótce dla jego niespokojnego umysłu, wstąpił zatem do wojska. Tutaj cały czas wolny poświęcał czytaniu, a przedewszystkiem ucze-

niu się gramatyki angielskiej. Skreślił on sam historię tych swoich studyów, my zaś powtórzmy ją tutaj dla zachęty naszych czytelników. Uczy ona, czego człowiek w najtrudniejszych okolicznościach zdolnym jest dokonać, jeśli szczerze zabierze się do pracy, i bez obawy, bez wahania się, bez spoglądania na prawo i lewo, lecz prosto i spokojnie do swego podąża celu. „Uczyłem się gramatyki — pisze Cobbet — jako prosty żołnierz, mający 6 pensow (15 kop.) dziennego żołdu. Brzeg pryczy służył mi przy uczeniu się do siedzenia, tornister mieścił moją bibliotekę, kawałek deski położony na kolanach stanowił biurko. Pracować mogłem tylko dorywkowo. Byłem zbyt biedny, żeby sobie oleju albo świec kupić, i rzadko podczas zimowych wieczorów miałem inne światło prócz blasku obozowego ogniska. A jeżeli w podobnem położeniu, bez zachęcającego słowa ojca albo przyjaciela, mogłem prowadzić swoje dzieło, czyż można uniewinnić jakiegobądź młodzieńca, jakkolwiek byłby biednym, obciążonym zajęciami, lub ograniczonym pod względem miejsca i wygody, jeśli zaniedbuje swej pracy? Ażeby kupić pióro lub arkusz papieru, musiałem sobie odmówić części pożywienia, chociaż głód szarpał mi wewnętrznosci. Nie miałem ani jednej chwili spokoju, musiałem pisać i czytać przy gawędach, śmiechach, śpiewach, gwizdaniach i hałasach najmniej dwudziestu bezmyślnych chłopaków, i to jeszcze w godzinach, gdy byli wolnymi od wszelkiego nadzoru. Nie należy uważać za nic tego miedzianego pieniążka, który od czasu do czasu musiałem wydać na atrament, pióro lub papier. Grosz niestety był dla mnie ogromną summą! Byłem tak wysokim jak dziś jestem, byłem zdrow i silny. Dwa pensy (5 kop.) na tydzień stanowiły cały kapitał, jaki po zrobieniu zakupów na targu pozostawał każdemu żołnierzowi. Przypominam sobie, jak gdyby to było wczoraj, że jednego piątku ujrzałem się w możności, po zaspokojeniu koniecznych wydatków, zachować pół pensa (1¼ kop.), za którego nazajutrz chciałem sobie kupić marynowanego śledzia; lecz gdy się rozebrał, ażeby pójść spać tak czczy, że myślałem iż umrę z głodu, spostrzegłem dopiero, że zgubił mego pół pensa. Ukryłem twarz pod nędzną koldrą i płakałem jak dziecko! A przecież, powtarzam, kiedy w takich okolicznościach mogłem się oddawać nauce, nie ma i nie może być w całym świecie młodzieńca,

kórego by z zaniedbania pracy kształcącej umysł usprawiedliwić można było."

Obraz zupełnie odpowiedni powyżej skreślonemu przedstawia przebieg życia Walentego Duvala, jednego z najuczeńszych ludzi swojego czasu, który nie tylko przeszedł szkołę cierpień i przeciwności, jaką rzadko komu odbyć się zdarza, lecz także wyszedł z tej szkoły ukształcony i uszlachetniony jak niewielu. Duval jest jednym z najpiękniejszych przykładów człowieka, twardą ręką losu zmuszonego do radzenia samemu sobie, życie zaś jego jest przekonującym dowodem potęgi i moralnego celu pomocy własnej. Urodził się on w 1695 r. we wsi Artenay w Szampanii. Ojciec jego był ubogim wieśniakiem i odumarkł go przed dojściem do dziesiątego roku życia. Naówczas we Francji panował straszny głód, który dziesiątkował ludność miast i wiosek. Matka bardzo uboga oddała go w służbę do jednego z wieśniaków, który go użył do paszenia indyków. Raz młody Duval chciał się przekonać, czy prawdą jest, że widok czerwonej chustki do wściekłości przyprowadza indyki, zawiązał więc jednemu z indyków powierzonych swojej pieczy na szyję chustkę tego niebezpiecznego koloru, co w istocie wprowadziło ptaka w wściekłość, która go o śmierć przyprowadziła. Rozgniewany tem gospodarz wypędził Walentego ze służby. Znając ubóstwo swojej matki i nie chcąc jej być ciężarem, Duval polecił się Bogu i na los szczęścia opuścił swą wioskę rodzinną.

Było to na początku zimy w r. 1709, w którym tak okropne mrozy panowały, jak najstarsi ludzie nie pamiętali. Naprawdę biedny chłopiec chodził od wsi do wsi, od chaty do chaty ofiarując swoją służbę, wszędzie ludzie mieli sami zbyt mało, ażeby opuszczonego od wszystkich do siebie przyjąć mogli i Walenty przewidywał co rano, że końca dnia nie dożyje, lecz w drodze zmarznie albo umrze z głodu. Wszystkie te koleje opisał on później, dla tego dalej możemy opowiadać jego słowa: „Idąc z Prowancyi do Bie dostałem tak strasznego bólu głowy, iż co chwila myślałem, że mi pęknie. Nakoniec przyszedłem podedrzwii jednej wiejskiej chaty i prosiłem człowieka, który mi otworzył, o pozwolenie, aby położyć się gdziekolwiek, rozgrzać się i wypocząć. Człowiek ten wprowadził mnie do owczarni, gdzie w cieple prędko przeszło odrętwienie moich skostniałych członków, ból głowy jednak, który mnie dręczył, dochodził

prawie do obłąkania. Nazajutrz rano przyszedł wieśniak, aby zobaczyć co się ze mną stało. Przeląkł się, ujrawszy moje błyszczące, roziskrzane oczy, twarz napuchłą, szkarłatno czerwoną, pokrytą bąblami i powiedział mi że mam ospę, i że na nią umrzeć będę musiał, gdyż on sam ma zaledwie co jeść i nie może się mną opiekować w takiej długiej chorobie — niepodobna zaś było przy tak gwałtownem zimnie przenieść mnie gdziekolwiek, gdziebym mógł znaleźć opiekę. Widząc, że nie mam siły mu odpowiedzieć, człowiek ten uczuł litość nademną, odszedł na chwilę i powrócił wkrótce z pękiem starej bielizny, w którą mnie obwinął jak mumią, zdjąwszy ze mnie wprzód ubranie. W jednym miejscu owczarni zdjął wierzchni pokład gnoju, w zrobione tym sposobem wyłobienie nasypał sieczki i miękiej słomy, położył mnie na tem, przysypał sieczką i słomą i nakładł na to gnoju, który odkopał poprzednio. Po tem wszystkim zrobił nademną znak krzyża św. i polecił mnie Bogu, najmocniej przekonany, że nie ujdę śmierci. Pozostałem tak leżąc jak drugi Job, aż po szyję gnojem przykryty. Ciepło tego posłania i wyziewy owczarni uratowały mnie. Dostałem potów, ospa rozwinęła się szybko, i jad jej nie sprawił mi innej szkody, oprócz pewnej liczby dzióbów na twarzy.

„Podczas kiedy tak leżałem w mem niezbyt wonnem łożu, srogie mrozy robiły coraz większe szkody w okolicy. Po za owczarnią, w której się znajdowałem, rosły drzewa orzechowe i dęby, i rzadko która noc przeszła, żebym nie słyszał huku podobnego do grzmotu. Gdy się na drugi dzień pytałem o przyczynę, odpowiadano mi, że zimno jest tak wielkie, iż kamienie pękają i wiele wielkich drzew roztraskało się do korzenia.

„Jak powiedziałem wyżej, poczciwy wieśniak wyznał mi już, że jest tak biednym, iż mną opiekować się nie może, tak jakby sobie życzył. Podatki i daniny zubożyły go zupełnie. Zabrano mu narzędzia służące do uprawy roli i bydlę robocze, nie zostawiono by mu nawet owiec, gdyby one były jego własnością, należały jednak do dziedzica i miał je tylko w dzierżawie. Człowiek ten zatem miał słuszość mówiąc: że mi nic dać nie może. W początku mojej choroby, wprowadził nie mu byłem ciężarem, bo nie prawie jeść nie mogłem. Później starał się on sobie i mnie w inny sposób zaradzić: dawał mi rodzaj wodzianki, która tylko o tyle była posoloną, że nie była zupełnie mdlą; przynosił mi ją

w zakorkowanej butelce, którą w gnoju trzymać mogłem, ażeby zachować ją w cieple. Było to pożywienie którym żyłem wyłącznie przez dwa tygodnie, pragnienie zaś gasiłem czystą wodą. Gdy stan mego zdrowia pozwalał mi już przenosić pożywniejsze potrawy, nie mogłem od mego dobroczyńcy dostać nic więcej, prócz zupy i kawałka czarnego chleba, tak zmarznętego, że go siekierą rąbać trzeba było.

„Pomimo, że to co mi dawał było tak małym, po pewnym czasie wieśniak zmuszonym był mi powiedzieć, że nadal już nie jest w stanie cobądź dla mnie uczynić, i że zniewolonym jest starać się uzyskać mi coś u innych. Mówił z proboszczem, który mieszkał o parę wiorst, a ten pozwolił przenieść mnie do domu położonego obok plebanii. Wyciągnięto mnie tedy z mego grobu — bo tak to śmiało nazwać było można — obwinięto gałganami i sianem, ażeby mnie zabezpieczyć od zimna, przywiązano do grzbietu osła i tak zaprowadzono do wsi, w której znajdowała się parafia. Gdy tam przybyłem, byłem na wpół zmarznęty, i myślano, że przynajmniej jaki członek postradać muszę, jeżeli wyjdę z życiem z tej podróży. Szczęście, że ludzie, którzy się tem zajmowali, mieli dość przezorności i bezzwłocznie natarli mnie śniegiem, dopóki nie wróciłem do przytomności i ciepło nie wstąpiło w moje członki. Naówczas położono mnie w podobnem łożu jakie przedtem miałem w owczarni, i dopiero gdy po tygodniu mróz zwałniał, wzięto mnie do izby i dano mi łóżko, w którym pod opieką zacnego proboszcza, prędko przyszedłem do zdrowia. Lecz pozostać tam nie mogłem”. — Puścił się zatem chłopiec dalej pomiędzy ludzi, kierując się zawsze ku miejscu, z którego słońce z rana z ziemi wychodzić się zdaje. Po przebyciu Szampanii, znalazł wreszcie na granicy Lotaryngii jednego owczarza, który go do służby przyjął. Zostawał u niego około dwóch lat. Przypadkiem zrobił wtedy znajomość z jednym z mieszkających w pobliżu zakonników, który go polubił i polecił czterem mnichom wielkiego klasztoru św. Anny, ci zaś przyjęli go chętnie na pasterza swoich sześciu krów. Duval sam tak opowiada:

„Znalazłem tam nowe zajęcie, — uczyłem się pisać. Jeden z naszych starszych zakonników drżącą ręką wtajemniczał mnie w tę głęboką sztukę. Ażeby zbyt nie obciążać dobrego starca, a naukę jego przyjąć, obmyśliłem sobie spo-

sób następujący: Wyjąłem z mego okna jedną szybę, położyłem na wzorze i pisałem na szkle przebijające się litery. Pilne powtarzanie tego ćwiczenia, nauczyło mnie w krótkim czasie dosyć biegle pisać. Książka rachunkowa, która mi w ręce wpadła, nauczyła mnie czterech działań, i ta godna podziwu nauka, która śmiałością swoich wyrachowań, pochodnię wiedzy w najciemniejsze nawet sfery przenosi, stała się dla mnie źródłem niezmierniej rozkoszy. Miałem zwyczaj szukać sobie w lesie, w którym pasłem moje krowy, jakiego odpowiedniego miejsca, a znalazłszy je, przepędzałem tam nieraz znaczną część pięknych letnich nocy.

„Jednego wieczora kiedym się przypatrywał gromadkom świetnych punkcików, porozrzucanych po niebie, przypomniało mi się co czytałem w kalendarzu, że w pewnych dniach słońce wstępuje w znaki, które noszą imiona zwierząt¹⁾ jak: baran, byk i t. d., zacząłem więc myśleć co by to były za znaki, i wyrozumowałem sobie, że to muszą być gromadki gwiazd ugrupowaniem swoim do pewnych zwierząt podobne. Umysł mój zajął się wyłącznie tym przedmiotem. Wybrałem jeden z najpiękniejszych w lesie dębów i na szczycie jego zbudowałem sobie w wici wierzbowych siedzenie, podobne do bocianiego gniazda. Co wieczór wdrapywałem się na to moje obserwatorium, siadałem tam i rozpatrywałem się po całym niebie, szukając obrazu byka albo barana. Ponieważ cuda optyki były mi zupełnie niezajome, więc oczy tylko służyły mi za teleskop. Po długich daremnych poszukiwaniach, gdy już dalszych usiłowań chciałem zaniechać, przyjazny wypadek dał mi dokładniejsze o rzeczy pojęcie i zapalił mnie nową ochotą. Posłano mnie raz na jarmark do Luneville i zobaczyłem tam w jednej z bud, mnóstwo obrazków wystawionych na sprzedaż. W ich liczbie znajdowała się mapa nieba, na której oznaczone były gwiazdy, oraz ich nazwiska i wielkość. Ta mapa oraz kilka kart geograficznych pochłonęły cały mój zasób pieniężny, wynoszący około czterech franków. Mapy, jakie za te pieniądze nabyłem, sprawiły mi nieopisaną radość. W ciągu kilku dni wbiłem sobie w pamięć rozmaite położenia gwiazdozbiorów (konstelacyj), ażeby jednak mózż zastosować

¹⁾ Jest dwanaście takich znaków, z których siedm nosi nazwiska zwierząt, wszystkie zaś razem tworzą tak zwany Zwierzyniec (zodyak), który słońce corocznie pozornie przebiega.

właściwie tę umiejętność, trzeba mi było mieć na niebie punkt stały, z którego mogłyby wychodzić moje spostrzeżenia. Słyszałem kiedyś, że gwiazda polarna ¹⁾ jest jedyną gwiazdą niezmienną swego położenia na naszej półkuli, i że jej położenie wskazuje biegun północny, lecz jak miałem odśzukać tę gwiazdę i przekonać się o jej nieruchomości? Po długich dopytywaniach się powiedziano mi o jakiejś igle, mającej własność wskazywać biegun ziemi, w cud ten ledwie uwierzyłem gdy go zobaczyłem. Na moje szczęście najstarszy z naszych zakonników posiadał kompas, którego mi pożyczył. Z pomocą tej zadziwiającej igły nauczyłem się wkrótce poznawać cztery strony świata, jako też *krzyżownicę wiatrów* ²⁾, która na kompasie oznaczoną była. Ponieważ jednak nie znałem wysokości gwiazdy polarnej, którą przede wszystkim znać trzeba aby ją znaleźć, wymyśliłem sobie zatem sposób następujący: Wybierałem sobie jakąś gwiazdę, świdrowałem w gałęzi drzewa dziurę przez którą widzieć ją było można i rozumowałem tak: Ta gwiazda stoi w miejscu, albo się porusza, jeżeli stoi w miejscu, to będę ją mógł zawsze widzieć przez dziurę, którą wywierciłem, jeżeli zaś jest ruchomą, to się o tem wkrótce przekonam i z inną gwiazdą tę próbę powtórzę. Robiłem w ten sposób długo i do tego tylko doszedłem, że mi się złamał mój świder.

Wziąłem naówczas piękną latorośl bzu, rozkładałem ją wzdłuż, wydobylem rdzeń, związałem końce szpagatem i powiesiłem tak zrobione narzędzie na najwyższej gałęzi dębu, który mi służył za obserwatorium. W ten sposób, mając wszelką łatwość kierowania tej tubki na rozmaite gwiazdy, które chciałem obserwować, znalazłem wreszcie tę, której szukałem. Teraz już było mi łatwem poznajdować

¹⁾ Jeżeli sobie wyobrazimy oś ziemską przedłużoną aż do sklepienia nieba ku północy, to padnie ona prawie dokładnie na tak zwaną gwiazdę polarną, a ponieważ oś ziemską nie zmienia swojego kierunku, przeto gwiazda polarna jest stałym punktem na niebie, około którego wszystkie inne gwiazdy północnej półkuli, w ciągu 24 godzin odbywają ruch kołowy, a rozumie się tylko pozorny.

²⁾ *Krzyżownicą wiatrów* nazywa się figura przedstawiająca 32 odmienne kierunki wiatrów, to jest tyle ile ich liczą marynarze, dla których podział nieba na cztery strony — północną, południową, zachodnią i wschodnią, a nawet na ośm, to jest z dodaniem północno-wschodniej, południowo-wschodniej, północno-zachodniej, i południowo-zachodniej — byłby zupełnie niedostatecznym.

główne gwiazdozbiory, prowadząc w myśli linie od jednej gwiazdy do drugiej i stosując je do skali mojej mapy.

„Gdy się tak obeznałem z mapą nieba, zamierzyłem obeznać się także z ziemią, tembardziej, że przypadek dał mi w ręce zyciorys sławnych mężów Plutarcha ¹⁾, dzieło Quintusa Kuroyusza ²⁾ i rycerskie czyny bohaterów, o których w książkach ludowych czytałem, znów w mym umyśle były przytomne. Chciałem się więc dowiedzieć gdzie były miasta i kraje, w których odznaczyli się owi bohaterowie, i postanowiłem sobie wstępować w ich ślady, lecz je traciłem bardzo często, a nawet cierpliwość ich szukania. Nie słyszałem nic o geografii, widziałem tylko moje mapy, i nie mała nałamałem sobie głowy żeby zrozumieć co znaczyły linie i koła, które na nich zauważyłem. W końcu wziąłem je za mile wniosłem bez dalszego namysłu, że ziemia ma 360 mil obwodu. Kiedym się z tem pięknem odkryciem zwierzył jednemu z mnichów, który przedtem bawił w jednym klasztorze w Kalabrii (we Włoszech), powiedział mi on, że jadąc z tego klasztoru przebył więcej jak 360 mil, i nie sądził, żeby świat objechał naokoło. Zobaczyłem wtedy, że sam się bardzo omylił, i zasmuciłem się niezmiernie; byłbym może stracił całą ochotę do geografii, gdyby nie zaszedł następujący wypadek. Każdej niedzieli w Luneville służyłem do mszy w kościele Karmelitów; raz więc zaszedłem do ogrodu tych zakonników i zastałem tam pewnego znanego mi pana, pilnie czytającego książkę. Był to *Przewodnik ziemnoznawczy* Delannay'a. Poprosiłem tego pana o pozyczenie mi książki, co on też z chęcią uczynił. Właściwie miałem zamiar przepisać ją sobie, płonąc jednak z niecierpliwości dowiedzenia się, co się w niej mieści, już w drodze czytać ją zacząłem, i gdy przybyłem do mojej dostrzegalni na dębie, wiedziałem już co znaczyły koła i zrozumiałem jak mała jest nasza ziemia w stosunku do ogromu wszechświata.

„Zapaliłem się tak do geografii, że na jawie i we śnie o niczem więcej nie myślałem, a ponieważ brakowało mi

¹⁾ Sławny grecki pisarz, urodzony w 50 r. zmarły w 120 r. po nar. Chrystusa.

²⁾ Rzymski pisarz, zmarły 69 r. po Chr. pisał *Historię czynów* Alexandra Wielkiego.

zupełnie środków do uzupełnienia moich wiadomości, postanowiłem sobie zaradzić temu. Wypowiedziałem zajętą wojnę zwierzętom leśnym, jedynie w celu sprzedawania ich skór, ażeby za zebrane pieniądze kupić map i książek. Po kilku miesiącach zarobiłem w ten sposób około 150 franków i puściłem się do Nancy, jedynie poto, żeby sobie książek kupić. Brałem wszystko co mi w ręce wpadło: tłumaczenie historii naturalnej Pliniusza, Historię Inkasów¹⁾, bajki Lafontaine'a i t. d. Oprócz tego, kupiłem mnóstwo map, pocziwy zaś księgarz udzielił mi kredytu na blisko 40 franków, chociaż mnie nie znał, mówiąc mi, że po moim zapale i po mojej pocziwej twarzy widział, że go nie oszukam. Uginając się pod ciężarem mego skarbu, szedłem pięć mil z powrotem do klasztoru, i ceka moja stała się światem w miniaturze, wszystkie bowiem jej ściany, sufit nawet, były krajami i prowincjami pokryte.

Tutaj przerwać musimy opowiadanie szczegółowe dalszych kolei Duwala, nie mamy bowiem pod ręką tej części własnych jego pamiętników, dalsze więc losy jego opowiemy w streszczeniu.

Raz znalazł w lesie złotą pieczęć i prosił księdza najbliższej miejscowości, żeby wezwał z ambony właściciela do zgłoszenia się po jej odbiór. Właścicielem był pewien angił nazwiskiem Forster, sławny uczony. Oddając mu kosztowną zgubę, Duval prosił go o objaśnienie znajdującego się na niej herbu. Zdziwiony tym dowodem zamilowania nauki, i ucieszony zarazem pocziwością stojącego przed nim w biednej odzieży młodzieńca, angił zajął się nim szczerze, odwiedzał go bardzo często, dopóki bawił w tamtych stronach, i podarował mu przeszło sto książek.

Niepohamowany zapal z jakim młody pasterz oddawał się swoim naukom był jednak powodem, że coraz bardziej zaniedbywał bydło powierzone jego pieczy. Gniewało to zakonników, jeden zaś tak daleko się posunął w gniewie, że mu zagroził popaleniem książek, jeżeli bydła lepiej doglądać nie będzie. Spalić jego książki, spalić to co miał najdroższego w świecie!... tego już było Duwalowi zanadto. Schwycił pogrzebacz, wypędził zagniewanego mnicha, zamknął się w swojej celi, i nie otworzył drzwi dopóki nie za-

warł z zakonnikami formalnego układu tej treści, że mu codziennie pozostawionem będzie dwie godziny wolnego czasu na naukę, on zaś obowiązywał się służyć klasztorowi jeszcze przez dziesięć lat tylko za stół i ubranie. Od tego czasu pokój między nim a klasztorem więcej zakłóconym nie został. Duval wymienia nawet jednego z zakonników, brata Pawła, jako człowieka pełnego łagodności i chrześcijańskiej miłości. Raz przekonawszy się, że Duval w klasztornej samotni czuł się szczęśliwym, zadowolonym i żadnego nie miał pociągu do poznania wielkiego świata, brat Paweł poklepał go serdecznie po ramieniu i rzekł: „Zrobiłeś wiele, boś się nauczył być swoim własnym przyjacielem, a jako taki nie będziesz nigdy sam, lecz będziesz przyjacielem wszystkich.“

Z większym jak kiedykolwiek zapalem pracował od-tąd Duval nad kształceniem się, w cieniu drzew lasu, w którym się pasły jego krowy. Raz książę Lotaryngii Leopold zeszedł go tam, otoczonego książkami, mapami i niezmiernie zdziwiony spytał go co robi. „Uczę się geografii“—odpowiedział młodzieniec. „Więc znasz się trochę na tem“—spytał dalej książę. „Nie oddawałbym się temu, gdybym się na tem nie znał.“ „A czegoż to szukasz teraz,“—zapytał znów książę, gdy pasterz pochylił się nad mapą. „Szukam drogi do Quebec'u¹⁾, bo chcę się uczyć na uniwersytecie tego miasta,“ „Sądzę że są uniwersyteta cokolwiek bliżej, i chętnie ci taki wskażę.“ Tu książę zrobił mu propozycję dalszego kształcenia się u jezuitów w Pont-à-Mousson. Duval przyjął ofiarę z serdeczną radością, lecz pod warunkiem, że jego swoboda przez to ograniczoną nie będzie. W szkole w krótkim czasie zrobił nadzwyczajne posiępy. W r. 1718 posłał go Leopold do Paryża, ciekawy wrażenia, jakie na jego umysł wywrze pierwsze ujrzenie stolicy świata. Duval powróciwszy wyznał szczerze, że cały przepych stolicy niczem jest w porównaniu z wspaniałością wschodzącego i zachodzącego słońca i wzniosłym widokiem zasianego gwiazdami nieba.

W kilka lat później, książę Lotaryngii mianował Duwala swoim bibliotekarzem, oraz profesorem historii w akademii w Luneville, gdzie w liczbie uczniów jego, znajdował się tyle później sławny lord Chatham (znany pod imieniem

¹⁾ Tytułu tego używali królowie dawnych Peraunów, ludu w Ameryce.

¹⁾ Stolica Kanady w Ameryce Północnej.

William Pitta), gdy zaś Lotaryngia do Francji przyłączoną została, Duval przeszedł w służbę ówczesnego cesarza niemieckiego Franciszka I (panował od r. 1745 — 1761 r.), który tego niepospolitego męża powołał do Wiednia i mianował zarządcą zbioru monet, medali i bibliotekarzem swoim. Przed odjazdem do Wiednia, Duval odwiedził swoją rodzinną wioskę i na miejscu domku, w którym w niedostatku i ubóstwie przyszedł na świat, kazał zbudować mocny, wygodny dom i podarował go gminie na szkołę. Wielki ten mąż, który przy całej swojej uczoności, nigdy nie przestał być skromnym, dożył wieku 80 lat i umarł w Wiedniu 13 września 1775 r. Cześć jego wspomnieniu! Postępujmy za jego przykładem!

Nim zamknijemy ten rozdział, pozwolimy sobie przytoczyć skromne nazwisko młodo zmarłego pracownika, studenta Warszawskiej Szkoły Głównej — Józefa Sławińskiego. Broń nas Boże, abysmy ciche i dopiero w rozkwicie będące zasługi tego młodzieńca, ośmielili się postawić na równi z bogatym w owoce żywotem mężów poprzednio i następnie wymienionych, ale zdaje nam się iż dla naszej młodzieży, przykład człowieka na którego własnymi oczyma wielu z niej patrzyło, o którym wielu własnymi uszami słyszało — wywrze wpływ zbawienny. Każdy tu będzie miał sposobność przekonać się, iż nie ma położenia i okoliczności, w którychby szczerą chęć, silną wolę i wytrwałość, nie dały się zastosować i niewątpliwie do pewnych rezultatów nie doprowadziły.

Józef Sławiński urodził się 1842 r. Ojciec jego dotąd sprzedaje obrazy świętych i książki do nabożeństwa. Nieco czytać i śpiewać z kantyczek, nauczył się od dziadka w domu. Matka jego umarła gdy był jeszcze dzieckiem. Ojciec ożenił się powtórnie i brał go z sobą na odpusty, gdzie Sławiński z nót śpiewał, co uważane było ze strony otaczających go za dowód wielkich zdolności. Tak przeżył do lat dziewięciu.

Rodzice nie mogli mieć dlań świetniejszych zamiarów jak kształcić go na rzemieślnika. Oddali więc chłopca do szkółki elementarnej, gdzie w krótkim czasie, bo po półtora roku, oświadczone im, że wszystko to umie czego w szkółce elementarnej uczyć zwykli i że należy go do wyższych szkół posyłać. Jakim sposobem w dziecku rozwinęła się chęć wiedzy? Kto to wie? może czytanie żywotów świętych,

pełnych cudowności i mistycyzmu zasiało w nim pierwszą żądzę zaspokojenia ciekawości, rozbudziło imaginacyą, zasiało niepokój w duchu dziecięcia; może uwielbienie sąsiadów za ów śpiew z kantyczek; wyróżnianie go wśród innych dzieci, popchnęło na drogę nieświadomej w nim samym ambicji? Któż te tajemnice odgadnie? Są nawet tacy, którzyby mogli z Kremerem powiedzieć, iż dziecię w kolebce anioł namaszcza pocałunkiem.

Dopóki duch ludzki będzie tajemnicą niewyjaśnioną, wszelkie przypuszczenie tutaj może być domysłem tylko. Zaznaczyć jedynie można, że już z przeczuciem wyższego świata pewnem jaśniejszem widzeniem celów oddany wszedł do bronzownika, jako terminator. Życie jego w domu nie było przepełnione kwiatami jak można wnioskować z opowiadań jego rodziców. Matka, a raczej macocha gasiła mu świecę, bo światło spać jej niedawało. Józef zasłaniał światło książkami aby nie budziło matki, lecz znów obawiano się i słusznie poniekąd, że łatwo może nastąpić pożar, gaszono mu więc świecę; zdarzało się że Józef czekał aż wszyscy zasną w mieszkaniu, a gdy zasnęli wstawał, zapalał światło i uczył się dopóki ktoś zbudzony z domowników, nie zagnął go aby spać poszedł. „Rady sobie z nim dać nie było można — opowiadała jego matka, jakich on sposobów nie używał, aby tylko światło palić.“

Rzecz łatwa do pojęcia, jak trudnem musiało być dlań życie w terminie, przy rodzaju pracy do jakiej nie miał najmniejszego zamiłowania, lecz trudniej pojąć jakim sposobem obok prześladowania, którego doznawał następnie ze strony majstra, a który czuł się w obowiązku wypędzić z niego chęć do książki — chęć ta w nim nie zamarła. To zapewne najtrudniejsza epoka w jego życiu, ale zarazem tu w całej potęgę wyjawia się iskierka siły ducha, której nie zatracił, lecz w płomień zamienił.

W terminie już nie było sąsiadów podziwiających jego zdolności i chęć do pracy umysłowej, owszem, odsunęli się od niego wszyscy, bo jako terminator, nie rokował żadnej przyszłości; do domu nie miał po co się spieszyć bo dziadek umarł dawno. Ojciec majstra, u którego pracował, starał się wyjednać u syna przynajmniej tolerancję dla tej nieprzełamanej chęci do książki, ale ojciec majstra także umarł i Sławiński pozostał sam jeden. Odtąd nie było nikogo coby zachęcił do wytrwania lub starał się wska-

zać możność pogodzenia pracy umysłowej z fizyczną, a prześladowali wszyscy. Ale Sławiński w 12-tym lub 13-tym roku życia, miał dość siły w sobie samym, niedbał o zachęte, mało zważał na prześladowanie i szło mu tylko o pogodzenie pracy umysłowej z fizyczną. Ponieważ ta ostatnia zabierała do 15 godzin dziennie, uczył się więc w nocy przy świetle, a trzygroszówki otrzymywane na śniadanie (śniadanie) obracał na kupienie świecy i sypiał zaledwie po 2 lub 3 godziny. Po tak bezsennej spędzonej nocy, robota nie mogła iść dobrze, gaszono mu światło i gwałtem spać zapędzano. Nieprzyjaciół miał wszędzie. Zdawało mu się, że można jedną ręką obracać korbę kamienia na którym czeladnik ostrzył narzędzia, a w drugiej ręce przy tej mechanicznej robocie trzymać książkę i czytać; surowo za to skarcony, gdy i w wolnym czasie od roboty niepozwolono mu czytać, czuł się rozgrzeszonym i uprawnionym do używania wszelkich możebnych środków aby się uczyć. Odtąd chodził z książką w kieszeni, korzystał z każdej nieobecności majstra w warsztacie, czytał w każdej chwili, w której nie miał nań oka, pozornie bijąc młotkiem lub pilując pilnikiem. Łapany na gorącym uczynku, odbierał cielesną surową karę i stracił książkę. Jakim sposobem otrzymywał książki—nie wiadomo, ale je miał zawsze.

Jak ciężkie były dlań dnie terminu, widocznem jest w jego rozprawie, którą pozostawił w rękopisie, w rozprawie tej uderzając na cechy, naciera na egoistyczne, nieludzkie obchodzenie się majstrów z terminatorami, a pisząc pod wpływem wspomnień, przebytych cierpień fizycznych i poniżenia, odwołuje się do rozumu ludzi kompetentnych, uczuć ludzi dobrej woli, majstrów, ogółu czytelników, słowem woła o pomoc wszędzie nietylko tam gdzie ją znaleźć można, ale tam gdzie wołać można. Głosu takiego, nie wołającego o nic dla siebie, a dla innych niedomagającego się niczego więcej jak wymiaru sprawiedliwości—wieko trumny stłumić nie może. Rozprawa ta, to nie akt oskarżenia postawiony przed sądem ogółu, lecz akt wyznania miłości dla rzemieślników i miłości dobra ogólnego. Za prawdę przytoczonych faktów zmarły zaręcza, zaręczeniu temu wierzyć musimy, bo to co pisał—pisał już na śmiertelnem łożu. Za czystość jego chęci zaręczamy wszyscy, którzyśmy go znali bliżej, za jego miłość prawdy i dobra ogólnego—zaręcza jego śmierć przedwczesna.

Piekło terminu zbliżało się do końca, miał podówać rok 17, poznał że trzeba z czegoś zrezygnować, albo rozstać się z chęcią wiedzy—albo z rzemiosłem. Porzucił termin, odszedł od bronzownika u którego miał być jeszcze pół roku aby zostać czeladnikiem. Ale snadź że zerwanie z całą przeszłością własną, wyjście po za sferę, w której się ktoś wychował, wyswobodzenie się całkowite z pod kierunku, w którym ktoś wzrastał jak drzewo przy paliku—nie przychodzi łatwo, nawet tak silnym jak Sławiński, to też próbował jeszcze kilku rzemiosł, lecz każde porzucał wkrótce.

W końcu 1862 roku lub początku 1863 porzucił rzemiosło stanowczo; od rodziców dostawał obiady i dwa ruble miesięcznie. W jak trudnem musiał być położeniu materyalnem, dowodzi to, że przy znanej nam osobistej jego dumie, zaciągnął pożyczkę w kasie zasiłkowej bractwo S-go à Paulo złp. 30. Lecz wkrótce poznanym już został jako miłujący naukę i pragnący rozszerzenia jej między rzemieślnikami, bo w lipcu 1863 roku został zaproszony na członka czytelnicy bezpłatnej przy ochronie IX. Matka jego mówiła nam, iż w tym czasie „byli tak grzeczni panowie studenci co przychodzili do niego i pokazywali mu na książce.“ Odtąd więc nie był osamotniony przynajmniej, mógł odetchnąć swobodniej i rozpatrzeć się w sobie samym. Cel życia własnego stanął przed nim jasno, miłość dla rzemieślników, uczucie pędzące go instynktownie po obranej drodze, zamieniło się w świadomość, w postanowienie pracowania nad polepszeniem losu tej warstwy społeczeństwa z której wyszedł. Chciał prace w tym kierunku rozpocząć jak najprędzej, pilno mu było aby sam zobaczył owoce swej pracy, i pierwszy głos, który podniósł publicznie, był głosem w kwestyi rzemieślniczej. „Kilka uwag dotyczących oświaty klas rzemieślniczych“ w Gazecie Polskiej zamieszczone. W listopadzie tegoż roku wstąpił do klasy przygotowawczej, w 1864 Sławiński, który skończył tylko szkółkę elementarną, przebiegł sam kurs nauk w zakresie gimnazjalnym i złożył chlubnie egzamin do Szkoły Głównej.

Tu poprawiła się jego dola, nie był już sam; miał poparcie moralne, mieszkał razem z dwoma kolegami, którzy starali się radzić jego potrzebom o ile własne ich środki dozwalały, otrzymał korepetycje i zaczął już nie czerpać, lecz pochłaniać naukę.

Wiedział, że umiłowana przez niego kwestya rzemieślnicza, nie jest jednym, lecz tysiącem węzłów poplątanych, że kwestya ta, jak wszystkie społeczne—życiowe, łączy się niemal z wszystkimi gałęziami wiedzy; pojmował, że nie powierzchownie lecz z gruntu ją zbadać należy—to też konsekwentny z tą myślą, wierzący że tak jak wszystkie silniejsze i szlachetniejsze umysły całą niemal wiedzę objąć potrafi, dnie całe przepędzał w audytoriach. Zdawało mu się że wszędzie znajdzie jakieś żdźbło, które się przyda na później. Żyjemy w wieku podziału pracy i specjalizowania zajęć, to też wybieramy najkorzystniejszą dla—siebie. Sławiński pojmował podział pracy, lecz wybrał stanowisko najwięcej wołające o pracowników. Zginął na tem stanowisku mówią niektórzy, zarzucając mu że zginął. My odpowiemy, że powinien się był oszczędzać, wiedząc o tem że nieprędko się znajdzie ktoś właśnie, ktoby tak kochał jak on—ale cóż kiedy nie o sobie nie myślał i nie znał swojej wysokiej wartości!

Cóż więcej dodamy? Choroba piersiowa wydarła go społeczeństwu w połowie maja 1867 roku. Jeśliby żał ogólny po zmarłym usprawiedliwiać było potrzeba, to dodałibysmy tylko to: że wyszedł z łona klasy rzemieślniczej, której chciał poświęcić kapitał zdobytej przez siebie nauki, że społeczeństwo utraciło w nim pracownika, któryby umiał przemówić do ludzi z których wyszedł, byłby od nich słuchanym i zrozumianym¹⁾.

Na zakończenie tego rozdziału podajemy nareszcie rozdzierają serce, acz pouczający przykład życia znakomitego poety—Tarasa Szewczenki, którego poezye w narzeczu małoruskim pisane, mamy i na nasz język przełożone. Oto co wieszcz ten nieszczęśliwy własnymi wyrazami opowiada o swem życiu²⁾.

„Jestem synem chłopca Grzegorza Szewczenki. Urodziłem się dnia 25 lutego 1814 roku we wsi Kiryłówce (Kijowsk. gub. Zwinogradz. powiatu), w majątku obywatela pewnego.—Straciwszy w ośmiu latach ojca i matkę, znalazłem się w szkole u diaka parafialnego, jako żak popychadło. Żacy ci w stosunku do diaków mają się tak samo, jak chłopcy oddani od rodziców lub innej władzy na naukę do

rzemieśl. Prawa majstra nad nimi nie określają się żadnymi granicami. Są to najzupełniejsi niewolnicy jego. Na nich to się zwałają wszystkie domowe roboty, wszystkie zachcenia gospodarza i domowników jego. Wyobraźcie więc sobie, czego wymagał odemnie diaczek, pijaczysko okrutne i co to ja musiałem wypełniać z niewolniczą pokorą, nie mając ani jednej istoty na ziemi, co mogłaby lub chciała pomyśleć o mnie. Jakkolwiekby, w ciągu dwuletniego ciężkiego życia przeszedłem gramatykę i psalterz. Pod koniec szkolnego zawodu mojego, diaczek wyręczał się mną skoro wypadło czytać psalterz za dusze zmarłych i raczył mi płacić za to dziesiąty grosz jako zachętę. Pomoc ta pozwalała srogiemu nauczycielowi mojemu oddawać się więcej niż kiedy ulubionej butelce, wraz z przyjaciелеm swoim Jonaszem Limarem, tak, że wracając z nabożnych wycieczek moich, zastawałem ich zawsze śmiertelnie pijanych. Diak mój obchodził się okrutnie nie tylko ze mną lecz i z innymi żakami, i wszyscyśmy go nienawidzili serdecznie. Bezmyślna surowość i czepianie się jego zrobiło nas mściwymi i obłudnymi; okpiwaliśmy go przy każdej zrzeczności i uprzykrzaliśmy się najrozmaitszymi figlami. Despota ów, pierwszy z którym zetknąłem się w życiu, wpoił mi na zawsze głęboki wstręt i pogardę ku wszelkiej przemocy. Serce moje dziecinne po milion razy obrażone było przez tego wyrzutka seminarzkiego. Zastawszy go więc raz pijanego bez czucia, użyłem przeciwko niemu własnego oręża jego—różgi, i o ile wystarczyło mi sił dziecinnych, odemściłem mu za okrucieństwa doznane. Ze wszystkich sprzętów diaka pijanicy najkosztowniejszym wydawała mi się zawsze książeczka jakaś z kunszcikami, t. j. rycinami, zapewne najlichszej roboty. Czy nie widziałem w tem grzechu, czy też nie zwyciężyłem pokusy—dość, że ukradłem książeczkę—i w nocy uciekłem do miasteczka Łysianki.

W Łysiance wynalazłem nowego nauczyciela w osobie malarza diakona, który, jak wkrótce się przekonałem, bardzo niewiele odróżniał się pod względem zasad i obyczajów od pierwszego mojego mentora. W przeciągu trzech dni najpotulniej dźwigałem pod górę wodę wiadrami z rzeki Tykioza i rozcierałem na blasze farbę miedzianą. Na czwartego dnia cierpliwość mię zawiodła i uciekłem do wsi Tarasówki do diaczka malarza, słynnego na całą okolicę z malowania męczennika Mekity i Iwana rycerza. Do tego te

¹⁾ Życiorys wzięty z Przeglądu Tygod. Nr. 23 roku 1867.

²⁾ Narodnoje Cztenije Knizka II, 229.

Apellesa udałem się z postanowieniem niezłomnem przeniesienia prób wszystkich, nieodłącznych jak mi się zdawało, od wszelkiej nauki. Najgoręcej pragnąłem nabycia, chociażby w najmniejszej części, mistrzowskiej umiejętności jego. Ale niestety! Apelles spojrzał badawczo na lewą rękę moją i wręcz odmówił nauki, zawyrokowawszy ku wielkiemu zmartwieniu mojemu, że jestem do niczego, nawet do szewstwa i kołodziejstwa niezdolny.

Straciwszy wszelką nadzieję zostania kiedykolwiek chociażby tuzinkowym malarzem, z sercem zgryzionem powróciłem do wsi rodzinnej. Uśmiechał mi się natenczas w myśli los nader skromny, któremu jednak wyobraźnia moja dodawała wiele prostodusznego powabu. Chciałem zostać „niewinnym trzód pasterzem“, jak mówi Homer, ażeby chodząc za gromadzką watahą, czytać ulubioną książeczkę moją z kunszcikami. Lecz i to mi się nie udało. Pan mój, który w tym samym czasie odziedziczył majątność ojcowską, zapotrzebował roztropnego chłopaka — a skutkiem tego obszarpany zak i włóczęga odziany został w kurtkę, szarawary i awansowany na pokojowego kozaczka.

Pan mój zapatrywał się na kozaków z praktycznego stanowiska. Opiekując się po swojemu narodowością moją, wyznaczył mi za obowiązek milczenie i nieruchomość w kątku przedpokoju, dopóki się nie rozlegnie głos jego, rozkazujący podać stojącą tuż obok lulkę, czy nalać mu szklanek wody pod samym nosem. Powodowany wrodzonym mi zuchwalstwem, łamałem rozkaz pański, nucąc po cichu tęskne piosenki hajdamackie i przerysowując ukradkiem malowidła suzdalskiej szkoły, zdobiące pokoje pańskie. Do rysowania używałem ołówka, który przyznał mi się bez najmniejszego wstydu, ukradłem u miejscowego rachmistrza.

Pan mój był wielce ruchliwym: bez ustanku też jeździł to do Kijowa, to do Wilna, to do Petersburga, wlokąc i mnie za dworem swoim dla podawania fajki, siedzenia w przedpokoju i tym podobnych potrzeb. Nie mogę powiedzieć, ażeby pozycja moja podówczas zdawała mi się nieznośną; dzisiaj dopiero przestrasza mnie ona, wydając się jakimś snem gorączkowym. Wałęsając się z panem moim od jednego domostwa do drugiego, korzystałem z każdej zręczności, ażeby ściągnąć ze ściany partackie malowidło jakie — i tym sposobem zgromadziłem sobie kolekcję nielada. Szczególniejszymi ulubieńcami moimi byli bohaterowie hi-

storyczni: Sołowiej rozbójnik ¹⁾, Kulniew Kutuzów, kozak Platów i inni. Zresztą nie powodowała mną ochciwość dobra cudzego, lecz niezwalczona żądza kopiowania, którą też zapakajalem przy pierwszej lepszej zręczności.

Razu jednego, w czasie pobytu naszego w Wilnie, dnia 6-go grudnia 1829 roku, państwo moi wyjechali na bal wydawany w resursie szlacheckiej z powodu imienin cesarskich. Cały dom uspokoił się, zasnął. Zapaliłem w najustronniejszym pokoju świecę i rozwinąwszy kradzione skarby swoje, wybrałem Platowa i z namaszczeniem kopiować począłem. Czas leciał niepostrzeżenie dla mnie. Już zabrałem się był do malutkich kozaków hasających u olbrzymich kopyt jeneralskiego rumaka — wtem z tyłu otwarły się drzwi i wszedł pan mój powracający z balu. Ze wściekłością rzucając się na mnie, naszarpał mi uszu i nadawał policzków — nie za umiejętność moją, o nie! na umiejętność nie zwrócił on uwagi — ale za to, że mógłbym spalić nie tylko dom ale i miasto całe. Na drugi dzień rozkazał on furmanowi Sidorce osmagać mię należycie, co też ten i wypełnił z sumienną gorliwością.

W 1832 roku skończyło mi się lat 18, a ponieważ nadzieje pana co do lokajskiej roztropności mojej jakoś się nie sprawdzały, uwzględniając przeto ciągle me prośby, zakontraktował mię na cztery lata cechowemu mistrzowi rozmaitych dzieł malowniczych, niejakiemu Szyrajewowi w Petersburgu. Szyrajew łączył w sobie wszystkie przymioty diakaspartańczyka, diakona malarza i diaka chyromanty: lecz pomimo tego brzemienia troistego geniuszu jego, biegałem w świetle nocy wiosennej do letniego ogrodu w celu kopiowania posągów, zdobiących wyprostowany ów utwór Piotra W. W czasie jednego z podobnych seansów poznałem się z artystą Iwanem Maksymowiczem Soszenką. Za radą jego wzięłem się do akwarelowych portretów z natury. Za model posługiwał mi najcierpliwiej inny mój ziomek i przyjaciel kozak Iwan Nicziporenko, dworski pana mojego. Razu jednego spostrzegł ten u Nicziporenka robotę moją, która do tego stopnia mu się podobała, iż począł mię używać do zdejmowania portretów z ulubionych kochanek swoich, za co mię aż całym rublem wynagradzał czasami.

¹⁾ Bohater klechd wielkorossyjskich.

W 1837 roku zaprezentował mi sekretarzowi Akademii sztuk pięknych W. I. Hrehorowiczowi z prośbą wyzwolenia mię od ciężkiego losu mego. Hrehorowicz zniósł się w tej mierze z W. A. Żukowskim, który też stargowawszy się naprzód z właścicielem moim, poprosił K. P. Briułowa, ażebym zjął portret z niego, celem rozegrania go w loteryę prywatną. Wielki Briułow natychmiast się zgodził i wkrótce portret Żukowskiego był gotów. Żukowski za pomocą hr. M. I. Wielhorskiego urządził loteryę na 2,500 rub. ass.; za cenę tę kupiona została swoboda moja 22 kwietnia 1838 r.

Odtąd zacząłem odwiedzać kursa Akademii sztuk i wkrótce zostałem jednym z ulubionych uczniów i kolegów Briułowa. W 1844 roku zaszczycony zostałem stopniem mistrza wyzwolonego. O pierwszych próbkach moich literackich powiem to tylko, że się zaczęły one w tymże samym ogrodzie letnim w półświecie nocy księżycowej. Surowa muza ukraińska długo stroniła od piersi sponiewieranej w szkole, w przedpokoju, w zajezdnych domostwach i na kwaterach miejskich; lecz gdy powiew swobody powrócił uczuciom moim czystość dawniejszych lat dziecinnych pod ubogą strzechą ojcowską, ona pocziwie objęła i przytuliła mię w stronie dalekiej!

ROZDZIAŁ XII.

Potęga przykładu.

Tylko dobrzy rodzice są w stanie
Dzieciom dobre dawać wychowanie.
Gete.

Złe przykłady psują dobre obyczaje.
Stare przysłowie.

Puścizną dobrego po niegodziwych jest—kara.
Z. Krasński.

Jednym z najdzielniejszych nauczycieli tak w dobrem jak w złem—jest przykład. Przemawia on nie językiem, lecz najwymowniejszą mową, mową czynu, którą na całym

świecie rozumie każdy, kto zdrowe pięć zmysłów posiada. Działalność jego zaczyna się z pierwszą chwilą naszego przyjścia na świat, i jako na nas oddziaływał, tak znowu przez nas wpływ dobry albo zgubny w niezliczonych kierunkach wywiera. Nauczyciele są użyteczni, jakkolwiek mogą tylko wskazywać nam kierunek, który sami obierać musimy; gdy tymczasem przykład, stając jako czyn żywy przed naszymi oczyma, udziela nam się przez naśladowanie oraz zwyczaj i można powiedzieć, że postępuje razem z nami, aby nas do celu doprowadzić. Dobra rada jako poparcie dobrego przykładu ma wysoką wartość, dana jednak bez tej podstawy, która jest niejako świadectwem jej dobroci, pozostaje stosunkowo bezskuteczną, doświadczenie bowiem naucza, że wskazówka w znanym zdaniu: „dzisiaj według słów moich, nie podług mych czynów“ bywa zwykle w praktyce odwrotnie pojętą i stosowaną.

Człowiek ma tę naturę, że łatwiej przyjmuje to co oczyma widzi, niż to co się o uszy jego objaja, i że to co istotnie widział i przeżył zostawia w jego duszy daleko głębsze wrażenie od usłyszanych albo przeczytanych rzeczy. Szołogólniej okazuje się to w pierwszej młodości, że najliczniejsze i najskuteczniejsze wpływy przez zmysł widzenia dostają się do duszy. Dość zauważyć z jaką miną zdziwienia i zajęcia niemowlę wytrzeszcza oczy i małe wyciąga rączkę, gdy mu coś pięknego lub uderzającego pokazujemy. Co dzieciom w oczy wpadnie to naśladują mimowiednie i powoli, mimowiednie stają się takimi jak ci, w których ciąglem towarzystwie wzrastają, jak owady przybierające barwę liści na których żyją. Ztąd ogromna waga wychowania w domu rodzicielskim. Jakkolwiek bowiem wielkiem być może znaczenie wychowawcze szkoły, przykład przecież, który dziecko w domu rodzicielskim codziennie ma przed oczyma, już to dla tego samego, że wpływa w latach najdelikatniejszej czułości zmysłów na zewnętrzne oddziaływanie, jest nierównie znakomitszego wpływu na wykształcenie moralne naszych przyszłych żon i mężów.

Rodzina jest kryształem społeczności, ziarnem, nasieniem z którego charakter całego ludu wyrasta, źródłem, z którego czy jest czystem czy mętne—wypływają obyczaje, zasady, skłonności, jakie później tak w publicznym jak w prywatnym życiu wszystkim czynnościom przewodniczą. Naród wychodzi z izby dziecinnej, w niej leży kamień

węgielny jego wielkości lub upadku. Przywiązanie do tego szczupłego kółka ludzi, do którego urodzeniem i wychowaniem należymy, jest punktem wyjścia dla miłości bliźniego, miłości ojczyzny i koło naszych sympatyj wychodząc z tego środka, rozszerza się coraz dalej, aż nareszcie całą ludzkość obejmuje.

Pestalozzi, ten wielki, jasnowidzący pedagog, który z wiernego zbadania natury dziecka wysnuł swoje głębokie pomysły wychowawcze, zasadzał całe szczęście społeczne na właściwym kierowaniu dzieci przez matki. Wyrzekł on te pełne znaczenia wyrazy: „Wyszkolenie ludu pragnę powierzyć ręką matek, izba mieszkalna jest powszechną szkołą realną ludzkości. Żaden wykład szkolny nie przejdzie tak do serc dzieci, jak to czego ich rodzice nauczą; to czego rodzice dzieci nauczyć mogą jest i pozostanie zawsze główną rzeczą w życiu ludzkim, bo jak matka jest pierwszą karmicielką ciała swego dziecięcia, tak też powinna być pierwszą jego ducha karmicielką, zle zaś wypływające ze zbyt wczesnych szkół, oraz z wszystkiego tego co dzieciom po za domem wszczepianem bywa, uważam za bardzo wielkie“. Na innym zaś miejscu woła: „O święte to jest miejsce mieszkanie rodzinne! w którym się uczą, rozumieją się wzajemnie, gdzie każdemu wszystko do serca przypada, gdzie tak jest miło jak już nigdzie w świecie miło nie będzie, gdzie tak cicho, gdzie nic nie jest obcem, gdzie niema ciżby szkolnej, gdzie syn kraje rzepę i z ojcem rachuje, gdzie przedzie córka a przedąc uczy się piosnek, które matka obok niej śpiewa i gdzie żadna ręka dla nauki nie odrywa się od pracy...“

Jakie znaczenie ma wpływ macierzyński na wychowanie dzieci, przekonujemy się z życia największego poety. Według własnego świadectwa, tego jak światłe słońce geniuszem promieniejącego męża, największą część jego wielkości duchowej zawdzięczać należy jego matce, kobiecie wzniosłych uczuć i pełnego życia umysłu:

Z ojca mam budowę ciała,

Ale z matki ma natura.

Ona to mi przekazała

Czynną myśl i chęć do pióra.

Gete.

Toż samo wiemy z życia Szyllera. Herder czyił swoją matkę jak świętą. Hebel w jednym z kazań tak się wyraża

o swojej matce: „Błogosławieństwo jej pobożne nigdy mnie nie opuściło. Ona mnie nauczyła się modlić, ona mnie nauczyła w Boga wierzyć, w Boga ufać i o Jego wszechmocności myśleć. Miłość wielu ludzi, którzy na jej grobie płakali, lub w oddaleniu ją czcili, została mojem najlepszem dziełem i dobrze na niem wyszedłem“. — C. M. Arnd w swoich wspomnieniach przedstawia swoją matkę jako pobożną, cnotliwą, rozsądną i odważną kobietę, którą żadna przygoda tak zachwiać nie mogła, ażeby jasność i przytomność umysłu utracić miała. Otóż mamy przedstawione w matce wszystkie przymioty znakomitego syna! On także pisze ¹⁾: „Rodzice nasi w jesieni i w zimie, to jest kiedy najwięcej mieli wolnego czasu zajmowali się regularnie uczeniem nas. Ojciec uczył pisanie i rachunku, matka słuchała naszego czytania i ożywiała nasze młode, budzące się umysły opowiadaniem i powiastkami, które z wielkim wdziękiem słowa oddawać umiała. Czasu zaś wolnego, pomimo słabowitego zdrowia, licznych dzieci i dużego gospodarstwa, które z oszczędnością prowadzone być musiało, miała ona więcej jak zwykle miewają inni. Kiedy wszyscy już oddawna we śnie pogrążeni byli, czuwała ona jeszcze i czytała jaką pobożną albo zajmującą książkę, rzadko kładła się spać przed północą, a w lecie o wschodzie słońca była już na nogach. Ponieważ byłem zawsze takim chłopakiem, że od najmłodszych lat niewiele snu potrzebowałem i dlatego skowronkiem mnie przezywano, więc już w owych dziecięcych latach i później wiele wieczorów i nocy, do godziny duchów i dłużej z nią na rozmowach i czytaniu przepędzałem“.

Nasi poeci i uczeni, również bardzo wiele zawdzięczają matkom. Siemieński wspomina w życiorysie Mickiewicza, iż matka tego poety czule kierowała pierwszymi jego krokami—to też wiesz z czią o niej wspomina. Drugi poeta Juliusz Słowacki pozostawił w swych listach pisanych do matki godny siebie pomnik uwielbienia dla tej niewiasty. Matka Jana Sniadeckiego z czułą pieczołowitością pielęgnowała zdrowie tego uczonego w pierwszych latach dzieciństwa niezmiernie wątłe. Brodziński Kazimierz całe życie wspominał tę straszną dla niego chwilę, gdy matkę uj-

¹⁾ W Wspomnieniach, str. 10.

rzał na katafalku. Ten wypadek wpłynął w następstwie na melancholiczną zadumę tego poety.

Przykład — jak każdy w swoim życiu po tysiącokroć miał sposobność się przekonać — jest zawsze pełen następstw, można nawet powiedzieć fatalistycznej wagi, tem bardziej, jeżeli wychodzi od otaczających nas osób, wpływać musi uszlachetniająco lub gorsząco na nasz charakter. Ponieważ zaś rodzice pozostają ze swemi dziećmi w ciągłym i najbliższym stosunku, ich przeto charakter musi się zawsze mniej lub więcej wiernie w dzieciach odbijać. Przykłady miłości, pilności, prawości, lub im przeciwnie, dawane przez rodziców dzieciom, które się na nich jako na swoje naturalne wzory zapatrują, będą w ich młodszych sercach żyły i działały dłużej często od tego, czego by się nauczyły uszami. Niemy nawet giest, karcące spojrzenie, nieobmyślane słowo ojca lub matki, jest w stanie wyrzucić na umysł bystro spostrzegającego dziecka wpływ, który swoją trwałością całej potędze czasu się opiera. Któż może powiedzieć ile złego zapobieżonem zostało przez ukrzepiające wspomnienie zacnej matki lub pocziwego ojca, których drogiej pamięci splamić spełnieniem niegodnego czynu — zawahało się stojąc na rozdrożu dziecko! Sławny filozof niemiecki Kant, który jak wiadomo był synem siodlarza, przytacza z dni swej młodości następne wspomnienie: „Przypominam sobie jeszcze, jak kiedyś między cechami rymarzy i siodlarzy, wyniknęły o ich obustronne przywileje nieporozumienia, na których mój ojciec istotnie ucierpiał; mimo to jednak spór ten cały prowadzonym był przez moich rodziców z taką delikatnością i miłością względem przeciwnika, z takim silnem zaufaniem w Opatrzności, że myśl o tem, chociaż wówczas dzieckiem byłem jeszcze, nigdy mnie nie opuściła.” Seume powiada w swojej własnej biografii: „Dom rektora Korbińskiego w Bora (u którego przez długi czas stał na stancyi), oraz dom mego ojca — są podstawą wszystkiego dobrego, jakie mam może w moim charakterze. Dopiero później, przez porównanie, mogłem słusznie ocenić jak czystymi i delikatnymi zarazem były obyczaje w domu mego ojca. Słysząc teraz często w najlepszych towarzystwach i bardzo dobrych domach wyrażenia i zwroty, za które nasz ojciec byłby nas z domu do obory wypędził. „Podobne mowy uchodzą przy stole, — mawiał on nieraz, gdy kto coś nieprzyzwoitego powiedział, — wątpię jednak czyby uszły przy nakładaniu

gnoju.” Kiedy który z czeladzi nie umiał mówić przyzwoicie, musiał milczeć. Był to pierwszy warunek jaki mu stawiono przy przyjęciu do służby. Tak nie umiając ani słowa po łacinie, stosował się mój ojciec do zdania: *sit reverentia pueris!* — uszanowanie dzieciom.

Tak dalece moralnemu zdrowiu duszy dopomaga czystość moralnego powietrza, którem dziecko oddycha, i tak potężnym jest wpływ, jaki rodzice najmniejszą swą czynnością na uczucie moralności swoich dzieci wywierają, że najlepsza metoda wychowania dzieci, w tych może słowach się zawiera: „Idź do dziecka z dobrym przykładem!” „Samemu dobrze czynić, — zauważył Pestalozzi, — jest najlepszym środkiem nauczania dzieci robienia dobrze. Przecież gdy chodzi o inne rzeczy, wiemy o tem bardzo dobrze. Gdy się rzecz tyczy rzemiosła, sztuki lub nawet zwykłej różrywki, nikt nie wątpi, że ten tylko takiej rzeczy nauczyć może, kto ją sam zna i kto się nią z chęcią trudni. Używa się w tym razie miłości, bardzo wiele cierpliwości i starania; ażeby dojść do zamierzonego celu. Lecz za to: właściwe pojęcia, dobry sposób myślenia i ztąd wypływająca prawość, chcą na dzieciach bez straty czasu ostreimi słowy i różgą wymusić, lub środkami drażniącemi ambicyą albo zmysłowość wyłudzić. Wielu myśli, że najpiękniej wszystko urządzili gdy bureząc zawołają: Ach! ty niedobre dziecko!.... Za to Pan Bóg się będzie gniewał!.... Chcesz mię wpędzić do grobu!.... i t. d. Tego jednak rodzaju pracę najczęściej wiatr rozwiewa. Rodzice powinni dzieciom pokazać, że sami mają wstręt do czynienia tego, co Bogu na niebie się niepodobą, i że żywią w sercu poszanowanie dla tej Bożej woli, którą mają na ustach. Jest to jedyny środek, ażeby dzieci ich słowom wierzyły i do treści tych słów się stosowały.

Najważniejszym, bo najskuteczniejszym sposobem nauczania dzieci jest nauka przez pokazywanie. Dzieci podobne są w tem do małpek, że wszystko co się im pokazuje, zaraz na miejscu naśladować się starają. Z tego popędu do naśladownictwa wychowanie winno skorzystać. Ażeby dziecko o ile możności tylko dobre naśladowało, dawać trzeba o ile można tylko dobre wzory i próbki przed jego oczy. Wiele rodziców nierozsądnych i nieświadomych sądzi, iż jest obojętnem, czy rzeczy któremi się dziecko bawi, które przed sobą widzi, mają piękną lub brzydką barwę, czy obrazy, którym z rozkoszą się przypatruje, posiadają wartość artystycz-

na, są zgodne z naturą lub nie. Dają więc często dzieciom przedmioty pozbawione smaku, niezgrabne, brzydkie, ponieważ są tanie, a dziecko przecież nie rozumie co ma przed oczyma. Lecz powoli, niepostrzeżenie wpływy tego wszystkiego co dziecko widzi i słyszy oddziałują na jego duszę, tak łatwą do przyjmowania wrażeń; cacko staje się narzędziem kształcenia, i w zabawie — tej pracy dzieci, buduje się szkielet ich przyszłego charakteru. Dr. Mager, dyrektor szkoły miejskiej w Eisenach, mówi bardzo trafnie: „Dla młodzieży to co najlepsze jest dopiero dostatecznem.” Należałoby zatem dzieciom piękno i dobro w najwybrańszych przedstawiać okazach, pojęcia ich bowiem o rzeczach fizycznych, — z których następnie wysnuwają pojęcia umysłowe, — urabiają się dopiero i tylko w takim razie odpowiednio wyrobić się mogą, gdy przedmioty, na które się zapastrywały, odpowiednio były dobranymi.

Nie było to zapewne bez znaczącego wpływu na rozwój moralny Rafaela, najwyższego przedstawiciela idei piękna, że wzrósł w szczęśliwej okolicy, otoczonej wszystkimi wdziękami rozrzućnie uposażonego przez przyrodę krajobrazu. W ten sposób objaśnić też można okoliczność, że kolebką największej liczby i najznakomitszych poetów niemieckich, były południowe Niemcy, których przyroda jest rozmaitszą i bogatszą, jak północnych. Zwracamy wraz z Getem ojcom i matkom przyszłych pokoleń, z uwagą niezmierną ważność pierwszych wrażeń: „Nikt nie może uniknąć wpływu pierwszych wrażeń młodości. Jeżeli wzrósł w rozsądnej wolności, otoczony pięknymi i szlachetnymi przymiotami, w towarzystwie dobrych ludzi, jeżeli go nauczyciele nauczyli tego co przedewszystkiem wiedzieć potrzeba, ażeby następne łatwiej pojąć, jeżeli się nauczył tego czego nigdy zapomnieć nie powinien, jeżeli jego czynności tak były skierowane, że aby w przyszłości czynić dobrze, od niczego odzwyczajając się nie będzie potrzebował, — to życie jego będzie niezawodnie czystem, doskonalszem i szczęśliwszem, niż życie tego co pierwszych sił młodości, w przeciwnych warunkach nabierał. Wiele już o wychowaniu mówiono i pisano, nie wiele jednak widzę ludzi rozumiejących i umiejących wprowadzić w wykonanie, to proste lecz wielkie pojęcie, które wszystkie inne w sobie zawiera.”

Jest coś uroczystego i przerażającego zarazem w przeświadczeniu, że każda czynność w życiu człowieka nieskoń-

czony łańcuch następstw pociąga za sobą w jego bycie; że te następstwa przechodzą z człowieka na człowieka, niby strumień galwanicznej baterii na długi szereg, trzymających się za ręce osób. Dobry czyn, piękne słowo, żyją i oddziałują coraz dalej, wtedy jeszcze, kiedy ich wpływu już oczyma naszymi dostrzedz nie możemy; lecz z tą samą naturalną nieomylnością, udziela się także każdy prąd złego. Nikt w świecie jakkolwiek nieznany i podrzędny zajmujący stanowisko nie może powiedzieć, że jego przykład w ten lub ów sposób nie wyda dobrego albo złego wpływu. W tem znaczeniu nieśmiertelność mamy już tu na ziemi: człowiek żyje ciągle w swych czynach. Nikt nie pędzi życia w zupełnem odłączeniu od świata, każdy od młodości znajduje się w mniej lub więcej ścisłym zbliżeniu z innymi ludźmi, przez nich z całą ludzkością, której zbiorowy kapitał ukształcenia i umoralnienia przez swe czynności zwiększać albo zmniejszać może. Jak terazniejszość w przeszłości zapuszcza korzenie i życie, jak przykłady naszych przodków na nas dotąd w wysokim stopniu oddziałują; tak my naszą codzienną działalnością przygotowujemy grunt, na którym następcy nasi siał i zbierać będą. — Człowiek terazniejszy jest owocem, który kształt swój i dojrzałość winien bez przerwy następującym po sobie usiłowaniom i pracom wszystkich ubiegłych stuleci. We mgle sześciu tysięcy lat stoją pokolenia po za nami, z których każde położyło ręce na plecach następującego, żyjące zaś pokolenie udziela dalej ten magnetyczny strumień czynów i przykładów, który ma najodleglejszą przeszłość z najpóźniejszą przyszłością połączyć. Żaden z czynów człowieka nie zamiera bezwzględnie, i gdy ciało jego w proch się obróci, pozostają po nim dzieła jego i wydają owoce, według swojego gatunku. Szyller mówi:

„Zły czyn jest klątwą dotknięty złowrogą:
Żle tylko czyny rodzić się nie mogą.”

Z drugiej zaś strony Mathias Claudius wypowiedział tę pocieszającą do dobrego zachętę:

„Dobre czyny, co po nas zostają,
Są to zmarli, którzy w grobach żyją,
Kwiaty, które mimo burzy trwają,
Gwiazdy, które wiecznem światłem biją.”

Tym sposobem każda czynność, którą spełniamy albo widzimy spełnioną, każde słowo, które wymawiamy albo

wymówione słyszymy, wywiera pewien oznaczony wpływ, którego zle lub dobre oddziaływanie objawia się nie tylko w całym dalszym przebiegu naszego życia, lecz przykładą się jeszcze do szczęścia lub nieszczęścia naszej wioski, miasta, państwa wreszcie, którego obywatelami jesteśmy. Na tej niezmiernej potędze przykładu zasadza się święty obowiązek każdego dawania kółku, do którego należy życiem przejętem prawdziwą chrześcijańską miłością, pełnego następstw przykładu, unikania nawet cienia nieprawego postępu, gdyż świat według tego widzi, sądzi i kierować się ma zwyczaj. Nikt nie jest tak nieznaczącym, żeby nie był winien tej prostej, lecz nieoszacowanej zachęty w dobrem tym którzy go otaczają. Najpodrzedniejsze nawet miejsce następcza obficie sposobność czynienia dobrze na tej drodze, w głębokości bowiem postawione światło również jasny blask rozlewa jak postawione na górze. Wszędzie we wszystkich prawie najnieprzyjaczniejszych nawet stosunkach, w ciacie biedaka, w cichej wiosce, w ciasnej uliczce ożywionego grodu, prawy człowiek może działać. Kto uprawia kawałek ziemi, niewiele większy jak mu na jego grób potrzeba, może również wiernie swoje obowiązki wykonywać z tą samą dzielnością i oddaniem się zadaniu, jakie ma jako człowiek, jak dziecko krociowych włosów. Najskromniejszy zakres, w którym działalność osobista się zamyka, może zarówno być szkołą pilności, użytecznych wiadomości i dobrych obyczajów, jak lenistwa, głupoty i nieprawości; wszystko to zależy od samego człowieka i od użytku, jaki robi z przedstawiających mu się okoliczności, dla udoskonalenia i umocnienia w dobrem.

Dobrze prowadzone życie, w kolei zmiennych losów niezachwianie dochowany charakter, jestto najpiękniejsza spuścizna, jaką po ojcu dzieci po obywatelu ojczyzna odziedziczyć mogą; są one bowiem najwymowniejszymi nauczycielami mądrości, cnoty i owej cichej wielkości, najstraszniejszymi wrogami nieprawości i występku. Serce Seumego głośniejsze zapewne uderzyło, gdy mógł w przypisaniu swego dziełka: Niektóre wiadomości o wypadkach w Polsce w roku 1794, dobroczyńcy swojej młodości hrabiemu von Hohenenthal, napisać: „Czoigodny dobroczyńco! Był to jeden z najpiękniejszych dni mego życia, kiedy pewien poczciwy człowiek zalecił mi nie tobie temi wyrazy: „To dobry chłopiec, błogosławieństwo ojca jego spoczywa na nim.”— To zalece-

nie było dostatecznem, i dziś mi jeszcze jako żołnierzowi budzi tak błogie w sercu wspomnienie, jak niegdyś dziecku częste na grobie ojca budziło”.

Nie dość jest powiedzieć innym co robić mają, należy jeszcze czynnym przykładem pokazać im, jak to robić powinni. Nie ten spełnia najwięcej dobrego, kto umie mówić pięknymi słowy, lub myśleć wzniosłymi myślami, lub ten co bez wielkich zachodów najpiękniejsze i najliczniejsze czyny spełnia. To też poczciwi ludzie, którzy są zarazem dzielnyymi ludźmi czynu, nawet na niższych stanowiskach są zdolni wywierać wpływ dobry, którego wielkość nie jest bynajmniej ograniczoną stopniem, jaki w społeczeństwie zajmują. Okażemy to bliżej na jednym przykładzie ze świata angielskich robotników. Tomasz Wright był robotnikiem w odlewni żelaza pp. Ormerod w Manchester. Przypadek zwrócił jego uwagę na trudności, jakie spotyka więzień wypuszczony po odniesieniu kary i pragnący powrócić na dobrą drogę. Dusza jego żywo zajęła się tą okolicznością i natychmiast postanowił poprawę przestępców uczynić zadaniem swego życia. Nie zaniedbał przecież dlatego swojej pracy, owszem tak dalece się w niej odznaczał pilnością i zdolnością, że powoli został werkmistrzem; nie zaniedbał również swojej rodziny, bo chociaż jego środki niebardzo były obfite,łożył on jak dobry ojciec na wychowanie i utrzymanie swych licznych dzieci. Od 6-jej rano do 6-jej wieczorem zajętemu pracą obowiązkową, pozostawały mu przecież krótkie chwile, które mógł nazywać swojemi własnymi i ten czas wolny, szczególnie zaś Niedziele, poświęca usługom skazanych przestępców, klasy ludzi wówczas daleko bardziej zaniedbanej moralnie, jak dzisiaj. Lecz kilka chwil dziennie dobrze użytych nadzwyczajne rzeczy zdziałać mogą. Zaledwie można dać wiarę, że temu prostemu robotnikowi udało się przez niezmordowaną wytrwałość w swoich usiłowaniach, nie mniej jak trzystu złoczyńców odwieść od dalszego prowadzenia życia występnego. Nazywano go po więzieniach lekarzem dusz i co ani kapelanowi więziennemu, ani nikomu udać się nie mogło, to często umozebniły filantropijne usiłowania Tomasza Wrighta. W ten sposób dzieci, które bez jego wdania się byłyby zgubionemi, powracał poprawione w objęcia rodziców, synów i córki sprowadzał na łono rodziny, i niejeden ukarany przestępca zawdzięczał mu powrót do godnej szacunku i pożytecznej pracy swego zawodu.

Zadania, jakie sobie stawiał Wright, nie były bynajmniej łatwemi. Wymagały one pieniędzy, czasu, czynności, roztropności, charakteru i zaufania w samym sobie. Najdziwniejszą jednak ze wszystkiego jest ta okoliczność, że Wright wspierał wielu z tych nieszczęśliwych ze szczupłej płacy, jaką w giserni pobierał. Roczny jego dochód nie przechodził nigdy 100 funt. szterlingów (630 rsr.), i chociaż przestępcem, którym ściśle biorąc nie nie był winien oprócz życzliwego podania ręki — do czego wszyscy ludzie wzajem są obowiązani — udzielał często pomoc pieniężną, chociaż przyzwolicie zaopatrywał swą liczną rodzinę, zacy ten człowiek był jeszcze w stanie przez umiarkowanie i umiejętne rządzenie się groszem tyle odłożyć, że sobie zapewnił wolną od trosk starość. Co wieczór robił on starannie obmyślaną podział swego tygodniowego zarobku: tyle na żywność i odzież, tyle na utrzymanie domu, tyle na opłatę za szkoły, tyle na biednych i potrzebujących, i tego podziału pilnował się ściśle.

Nikt nie może powiedzieć, gdzie dobry przykład na ochęć naśladowania natrafi, w jakim kierunku oddziaływać będzie. Sam widok cichej, niezmordowanej usilności w osobie słabej i nisko położonej, która z całym poświęceniem się stara miejsce, które jej Opatrzność wskazała, godnie zajmować — może się stać dzielną zachętą dla niejednego, co do wyższych celów dąży. Przypominamy sobie, żeśmy słyszeli o pewnym młodym lekarzu, który upadał już pod ciężarem pracy nad zrobieniem sobie imienia, i gdy przez długi czas jego usiłowania pozostawały bezskutecznemi, zaczął powątpiewać o przyszłości. Zdarzyło się, iż gdy odwiedzał chorego i przypadkiem nadmieniał, że często o bardzo późnej godzinie w oknach jednego naprzeciw położonego domu światło widywał — opowiadano mu, że ów pokój, w którym tak często przez znaczną część nocy światło widywać było można, zajmowały dwie siostry, szwaczki, które przez niegospodarność swego ojca przyszły do nędzy, „a teraz — kończył opowiadający — pracują dzień i noc, ażeby się ze swego nieszczęśliwego położenia wydobyć, o ile zdołają.” Młody lekarz zauważył te wyrazy, i ilekroć następnie przyszła mu chęć skarżenia się na świat, umacniało i rozweselało go wspomnienie tych dwojga niezmordowanie pracujących dziewcząt. Wyznał on później, że ich przy-

kład natchnął go nową odwagą, kiedy już był blizkim upadku.

Wyrobienie się charakteru zależy niemniej od wpływu, jaki charaktery osób obcuujących z sobą wzajem na siebie wywierają: mimowiednie stajemy się tem, co z nas robią obyczaje, zwyczaje i poglądy otaczających nas ludzi. Wiele znaczą dobre wykłady, lecz nierównie więcej dobre wzory, które są ich żywym wcieleniem i jasnym, widocznym celem usiłowań naszych. Dobra rada połączona ze złym przykładem buduje jedną ręką, aby zburzyć drugą. Dlatego też w młodości szczególnie, nie można być dosyć ostrożnym w wyborze otoczenia: „Nie szukaj wielu znajomości — pisał Seume do pewnego młodzieńca — i miej się na baczności, gdy się o twoją ubiegają znajomość! Przyjaźń jest rośliną, która nie w każdym sercu się udaje. Nie ufaj nazbyt grzeczności i staraj się wypróbować charakter, nim go przyjmiesz i z nim się zwiążesz. Tylko cnotliwi mogą być przyjaciółmi, reszta może być ledwie pospolitymi towarzyszami i kamratami.” Angielski malarz Peter Lely położył sobie za правило nigdy nie przypatrywać się złemu obrazowi, ilekroć tylko mógł tego uniknąć, w przekonaniu, że na tem jego talent ucierpi — i podobnie powinienby każdy o ile można unikać obcowania z moralnie upadłym, bo nikt, znajdując się często w styczności ze złymi przykładami, szkodziwego wpływu któregośkolwiek z nich w zupełności nie uniknie. Przeciwnie, obcowanie z dobrymi ludźmi jest najlepszym środkiem stania się dobrym samemu. „Kiedy się znajdujemy obok prawdziwie czystego i prawego a wielkiego charakteru — mówi A. Humboldt — to przenika on nas jak technienie”.

Wpływ dobrego przykładu, wynikający z otoczenia ludźmi uczciwymi, spełniającymi swe obowiązki, dotyka nietylko dzieci i młodzież, ale i starsze już nawet pokolenia i zrzadza częstokroć w ich obyczajach, prowadzeniu się cudowną niemal przemianę. Dlatego też ci wszyscy, którzy się krzątają około poprawy obyczajów i mają na widoku ulepszenie tym sposobem doli całej ludzkości, niech pamiętają, że obok instytutcyj, któreby pracę tę ułatwić mogły winni stać doskonali ich wykonawcy, którzyby wskazywali własnym przykładem wysoką swych nauk wartość. Bardzo często się zdarza, iż ludzie majątni lubią się zabawiać w fi-

lantropię, zakładają czy to w swych dobrach, czy w fabrycznych osadach rozmaite instytucje, już to dobroczynne już wychowawcze, ale niestety z małym skutkiem; instytucje te bowiem powierzone rządcom płatnym i często źle wybranym, nie rozsiewają tego światła, nie przynoszą tych dobrodziejstw, jakie przynosić miały. Tymczasem tam, gdzie właściciele sami około tych zakładów pracują, troszczą się o nie, gdzie w wyborze ludzi przewodniczących pilnie na ich moralne przymioty zważają, instytucje te kwitną i są rzeczywiście naczyniem dobrego, napełnionem żywym duchem. Takie fabryki opatrzone w wyborne miłością chrześcijańską właścicieli i przewodników ogrzane instytucje, są, że tak powiemy, jak wzorowy dom obywatelski, gdzie nie tylko dzieci ale i służący budują się przykładem. Osady fabryczne tego rodzaju są rzadkością, i dla tego też dla przykładu przytoczymy zakład wyrobu szkła i kryształów we wsi Trąbki w pow. Garwolińskim gub. Siedleckiej leżący. Należy on do braci Edwarda i Wilhelma Hordliczków, a jak jest wzorowo pod względem bytu materialnego i moralnego pracujących robotników urządzony, dowodem, iż przypuszczony został do konkursu o nagrodę 100,000 franków, za najlepsze urządzenie stanu klas pracujących przez Cesarza Napoleona III, na wystawie Paryżkiej 1867 roku wyznaczoną. Urządzenia w fabryce tej nie są zachceniami fantazji, ale powstały z pracy samoistnej i ciągłych starań w tym kierunku. Pierwszą ich podstawę położył stryj obecnych właścicieli Ignacy Hordliczka.

Całą swą znaczną fortunę zawdzięczał on samodzielnej pracy. Urodził się w czeskim, dziś krwawo wslawionem miasteczku Skalicami zwanem, d. 13 Lipca 1786 roku z rodziców ubogich, licznem obarczonych rodzeństwem. Był najmłodszym z pomiędzy czterech braci i dwojga sióstr, a urodzeniu jego towarzyszyła śmierć ojca, za którym długo poszła i matka do grobu. Młody Ignacy oddany został na wychowanie do niemieckiej szkółki utrzymywanej w pobliskiej wsi, poczem udał się w 12 roku życia do Pragi (czeskiej), gdzie odbywał termin u brata swego, będącego w tem mieście kupcem. Wyzwoliwszy się, był jakiś czas subiektem, następnie pracował w fabryce chemicznej, a nauczwszy się sposobu trzymanego wówczas w sekrecie wyrobiania octu winnego, przybył do Warszawy i ze szczupłym fundusikiem około 3,000 złp. wynoszącym założył fabrykę.

Tu po kilkunastu latach zdołał już zebrać taki sposób, iż w 1820 roku, przystąpił do spółki, mającej na celu założenie huty szkła we wsi Barczący w powiecie Stanisławowskim. Jakoż fabryka stanęła, a Hordliczka spłaciwszy spółników stał się jej wyłącznym właścicielem; po pewnym jednak przeciągu czasu, gdy zapas drzewa w okolicy wyczerpnął się, fabryka przeniesioną została do wsi Trąbki, gdzie założono osobną osadę nazwaną *Czechy*. Ignacy Hordliczka już w samym początku założenia fabryki urządził szkołę dla dzieci robotników, oraz utworzył przy niej oddział niedzielny dla uczniów fabrycznych i tych robotników, którzyby dążność ku oświeceniu pokazali. Jednocześnie zorganizowaną została kasa oszczędności i emerytalna dla wdów i sierot, oraz w celu utrzymania lekarza i apteki miejscowej. Wszystko, co było w zawiązku w Barczącej, silniej rozwinęło się w Czechach.

Po śmierci Ignacego Hordliczki w 1854 roku, zakład objęli w posiadanie dwaj synowcowie i obecnie prowadzą go dalej, pomnażając pieczołowicie to wszystko, co los robotników może uczynić znośniejszym, co rozbudza moralne życie. Ażeby zapoznać czytelników ze skutkami urządzeń na tej osadzie, wyjmujemy ustęp z broszury w r. 1867 wydanej¹⁾, obejmującej opis tych fabryk. Ustęp ten brzmi:

„Sobota jest dniem wypłaty i robotnicy pobierają albo całkowite wynagrodzenie za wykonaną pracę, albo tak zwane kostgeld, to jest zaliczkę — a w takim razie co dzień tygodni odbywa się ogólny rachunek, i podług zapisanej w książeczce pracy, robotnik odbiera resztę przypadającej kwoty, po strąceniu sumki dla kasy oszczędności. Mając zapewnione takie wpływy, kasa oszczędności posiada obecnie funduszu rsr. 3,477 kop. 75, stanowiącego własność uczestników. Oprócz kasy oszczędności znajduje się także kasa wsparcia dla chorych. Z funduszu tej kasy płatni są: doktor, apteka, oraz ponoszone niezbędne wydatki przy ratowaniu chorych uczestników. Rozchód tej kasy zwykle w końcu roku równa się z przychodem, w razie zaś niedoboru potrzebne wydatki pokrywają właściciele fabryki. Przezorność posunięto jeszcze jeden krok dalej; w wypad-

¹⁾ Opis fabryki szkła i kryształów w osadzie Czechy do braci Edwarda i Wilhelma Hordliczków należącej etc., wydanie dokonane staraniem redakcyi „Przeglądu Tygodniowego” 1867 r.

kach bowiem długiej choroby robotnicy popadają w nędzę, a w razie śmierci rodziny częstokroć nie mają czem opędzić koniecznych w takim razie wydatków. Wtedy pierwszą pomocą są pieniądze, złożone na konto każdego pracującego w fabryce w kasie oszczędności, a gdy tych już zabraknie, właściciele fabryki, oficjaliści i robotnicy zbierają braterską składkę dla nieszczęśliwego. A braterstwo to tak dobrze jest zrozumiane, iż nie było przykładu, aby wezwanie do dobrowolnej składki nie przyniosło odpowiedniej kwoty.

Każdy zmarły fabrykant chowany jest kosztem ogółu, skromnie ale przyzwoicie; rodzina zaś i sieroty po zmarłym otrzymują bezpłatne pomieszkание i opał, a jeżeli mogą pracować i mają chęć do robót w fabryce, znajdują w niej zatrudnienie. Pozostały po zmarłym w kasie oszczędności fundusz stosownie do uznania rady familijnej użytym zostaje, a jeżeli suma ta nie wystarcza na cel wskazany, natenczas kasa wdów i sierot w pomoc przychodzi, ustalając byt pozostałych sierot. Pracującemu w fabryce robotnikowi za trzymiesięcznem naprzód wypowiedzeniem wolno jest wydalić się z zakładu i odebrać należność, jaka mu przypada wraz z podniesioną z kasy oszczędności sumą. Jestto jedna z najpiękniejszych właściwości fabryk pp. Hordliczków; żaden bowiem robotnik nie opuszcza ich bez większego lub mniejszego zapasu, jakby zadatku pracowitości, oszczędności i porządku w życiu, które prowadził pod okiem ludzkich właścicieli. Wiedzą o tem pracujący i wydalenie się ich z fabryki należy do nader rzadkich wypadków. W ogóle zaś przywiązują się robotnicy silnie do osady, w której znaczna część ich się urodziła, pobierała naukę, połączyła się węzłem rodzinnym i stosunkami rolnego i materialnego bytu.

Skutkiem tych wszystkich urządzeń w jedną organiczną całość ekonomiczną wybornie połączonych, byt moralny i materialny ludności fabrycznej przedstawia stan kwitnącej zamożności i oświaty. Moralność w porównaniu z moralnością pracowników w innych zakładach, przedstawia wzór godny ze wszech miar naśladowania. Przykłady pijaństwa są bardzo nieliczne, prawie wyjątkowe, kradzież i zuchwalstwo nie przytrafiają się skutkiem złagodzenia obyczajów, a próżniactwo od młodości ścigane, nie może się na dobre rozkrzewić. W ogóle urządzenie honorowych, pieniężnych kar poprawczych na dochód kasy wdów i sierot, wpływa w sposób błogosławiony; zbaczający z drogi pra-

wej i opuszczający się w pracy, w takiej karze znajdują odpowiedni hamulec. Działa tu nie tylko wysokość kary, lubo i to nie jest lekceważonem, ile raczej wstyd ponoszenia strofu, który ogół uczestników uchwała.

Właściciele też wcześniej zrozumieli, iż każda społeczność, a tem więcej fabryczna, opierać się musi na wykształceniu — wykształcenie zaś daje dobrze uorganizowana szkoła. Szkoła w fabryce stosownie do swoich celów musiała się rozdzielić na dwa oddziały: ogólny i specjalny. Lokal dla tej szkoły od 1822 roku istniejącej, obecnie 72 uczniów i uczennic liczącej wraz z ogrodem dla nauczyciela i dodatkowym opalem dla tegoż, udzielają bezpłatnie właściciele fabryki; na zapłacenie zaś nauczyciela składają się robotnicy po kop. 30 miesięcznie od posyłanego dziecka do szkoły. Mniej zamożni płacą tylko 15 kopiejek, biedni zaś i sieroty uczęszczają do szkoły bezpłatnie. Zasada ta jest niezmiernie sprawiedliwą, zapłata bowiem jakkolwiek umiarkowana, uczy cenić nabywanie wiadomości, uczy szanować umiejętność, przyzwyczajają do radzenia sobie siłami własnymi, o własnych interesach. Troskliwa opieka właścicieli czuwa pilnie nad potrzebami naukowymi. Jeżeli bowiem składki robotników posyłających dzieci nie wystarczają wtenczas pp. Hordliczkowie z funduszy fabryki dopłacają resztę, aby zapewnić tym sposobem przyzwoite utrzymanie nauczycielowi i ułatwić mu oddanie się jego zawodowi z całym poświęceniem. W szkole tej corocznie odbywa się uroczysty egzamin, na którym odznaczający się uczniowie bywają nagradzani w książkach i innych przedmiotach; ale silniejszy wpływ niż podarki i nagrody wywiera ciągła pieczołowitość właścicieli, którzy przynajmniej raz w miesiąc osobiście zwiedzają szkołę, egzaminują, rozpytują się uczniów zachęcają mniej pilnych do nauki i pracy. Taka zachęta rzadko nie skutkuje, przy łagodnem bowiem i umiejętnem postępowaniu samo pobudzenie ambicji, wstyd pokazania się nieukiem w oczach właścicieli wystarcza do napędzenia leniwców do książki i pracy. W święto Bożego Narodzenia, oprócz uroczystości szkolnej, wszyscy uczniowie otrzymują kolendę. Chłopcy, gdy dojdą do lat dwunastu, przechodzą ze szkoły na naukę rzemiosła pod kierunek ojca lub którego z majstrów hutników, szlifierzy albo malarzy. Terminowanie takie trwa lat sześć, a w razie mniejszych postępów ucznia lat ośm; przez ten czas majster żywi go i okrywa. Z chwi-

lą terminu jednak nie kończą się nauki, jak to ma miejsce powszechnie po fabrykach. Każdy bowiem terminator w zakładzie, co Niedzielę i święto od godziny 8 do 12 pozostaje w szkole, a po odbytych modlitwach dalszą naukę szkolną pobiera stopniowo do wieku i usposobienia. Liczba uczącej się młodzieży w szkole niedzielnej, dochodzi obecnie 41. Po dojściu do roku ósmnastego, albo z epoką wyzwolenia na czeladnika, każdy uczeń terminator przed zgromadzonymi majstrami właściwej gałęzi fabrycznej składa egzamin praktyczny i teoretyczny — i jeżeli w zupełności udowodni uzdolnienie swoje, wtedy przez właściciela fabryki zostaje wyzwolonym — w przeciwnym zaś razie pozostaje jeszcze w terminie rok lub dwa dłużej.

Nadmieniamy, iż pod zwierzchnictwem nauczyciela znajduje się biblioteka, z której korzystać mogą uczniowie i cała ludność fabryczna.

Oprócz zapewnienia robotnikom tego najdroższego skarbu, jakim jest nauka, oprócz kas oszczędności i emerytury dla wdów i sierot, pieczołowita myśl właścicieli sięgnęła bardzo słusznie do udogodnień w nabywaniu pierwszych potrzeb życia. W tym celu właściciele pamiętają troskliwie, aby wszelkie potrzeby na miejscu i po cenach umiarkowanych mogły być zaspokojone. Ludność więc nie potrzebuje tracić drogiego czasu na włóczęgi po jarmarkach i targach. Zamożność ludności fabrycznej, tudzież ruch pieniężny jaki się dokonywa w tej osadzie nie pozostaje bez wpływu na okolicę, mianowicie na sąsiednie miasteczka Garwolin i Parysowo, które w porównaniu ze stanem poprzednim, od czasu założenia fabryki znacznie się podniosły. Wspomnieliśmy o ludności. Wzrasta ona liczebnie w miarę rozwoju fabryki. Dziś przenosi pewno 1200 dusz ogółem. Oprócz stałych robotników, kilkaset rąk okolicznych włóścian zajętych jest rąbaniem drzewa na rachunek huty i zwózką sażni do osady.

Właściciele baczą pilnie, aby cała ta rzesza pracowników pozostawała w jak najlepszej ze sobą harmonii, ażeby żadne spory, żadne dziecinne współzawodnictwa ogólnej zgody mięszać nie mogły. Jednym z najdzielniejszych w tym celu środków są wspólne zabawy, służące do ściślejszego zapoznania, zbliżenia się ludności i tworzące z niej jakby jedną rodzinę. W tym celu po skończonej pracy, robotnicy dla odpoczynku zgromadzają się w obszernej sali oberży,

gdzie znajdują gazetety i książki w językach znanych ludności, to jest w polskim i niemieckim, bilard, kręgielnię, gdzie sprzedają po cenach umiarkowanych piwo, herbatę, kawę i t. p. Wszystko to zostaje pod ścisłym dozorem zarządu, a zatem ulega jego wpływowi dążącemu do umoralnienia i podniesienia. Prawda, w oberży tej sprzedaż wódki nie jest wzbronioną, gdyż użycie jej przy rodzaju ciężkiej pracy w hucie jest niemal koniecznością. Zresztą zakaz taki prowadziłby tylko do pokątnego w sąsiednich karczmach szynkowania wódką i usuwałby jej użycie z pod kontroli, która zbawienne wydaje skutki; jak bowiem wspomnieliśmy już wyżej, nałogowych pijaków nie ma prawie między ludnością fabryczną, a przebranie miary w użyciu spirytualiów bardzo rzadko się przytrafia. Daje to dobre świadectwo moralnemu rozwojowi robotników, a zarazem służy za rękojmię dokładnej pracy dla fabryki. Trzy razy zaś do roku, to jest w dzień noworoczny, na święta Wielkanocne i w imieniny właścicieli fabryki — wszyscy robotnicy z rodzinami ugaszczani są uroczystością. Podczas lata zabawy pod gołym niebem i w ogrodzie na ten cel urządzone, połączone są z ćwiczeniami ciała, na rozwój sił fizycznych wpływającymi. Zimą zaś porą w karnawał, ludność płci obojej zbiera się na tańce, w których mają udział także wyżsi oficjaliści, oraz właściciele zakładu, a ta cecha osobistego ich uczestnictwa daje miarę przymiotów serca i rozumu.

Oto jest krótki zarys dzieła wzniesionego pracą, wytrwałością i oszczędnością przy współudziale dobrze zrozumianej ludzkości, kierującej wszelkimi urządzeniami, mającymi na celu moralne i materialne podniesienie ludności fabrycznej na osadzie Czechy. Jestto widok zarówno wzniosły jak i pocieszający, tej oazy zamożnej i szczęśliwej — widok, który z głębi serca wyrывa mimowolnie wykrzyknik: czemu tak wszędzie nie jest! oby tak wszędzie było! Wtedy to ogniska fabryczne jakby domy rodzicielskie, zamiast być miejscami zepsucia jak obecnie, stałyby się szkołą dobrego, wzniosłego i pożytecznego przykładu.

W potęgę przykładu leży głównie tajemnica wychowania i wpływu na ludzi. Niech ojciec swemu dziecku, nauczyciel uczniowi, kapłan swojej parafii, generał swoim żołnierzom, król całemu krajowi da dobry przykład — a skutki zadziwiająco wielkie się okażą. Potęga przykładu dawała największym wodzom tak wszechwładne panowanie nad

żołnierzami, że najtrudniejszych przedsięwzięć z nimi dokonywać mogli. Gdy podczas wyprawy egipskiej zaraza wybuchła w wojsku francuzkiem, Napoleon odważnie zwiedził szpitale, dotykał się chorych i przemawiał do nich, dodając im odwagi ażeby swojej armii dać przykład, że można nawet zarazę zwyciężyć, jeżeli się jest zdolnym do pokonania obawy. Wiadomo jak Cezara, Fryderyka Wielkiego i innych wielkich wodzów żołnierze ubóstwiali; bo też ci wojownicy całemu wojsku dawali przykład odwagi, energii i wytrwałości; wszystkie cierpienia z niem dzielili i prostych nawet żołnierzy z serdecznością towarzyszków broni traktowali. Samo wspomnienie wielkiego czynu dzielnego człowieka jest nawet zdolne krew w żyłach masy do szlachetnego przyprowadzić wrażenia, jak odgłos trąby wiodącej do boju. Żyszka wódz czeski chciał, żeby jego skóra użyta była na bęben, którego odgłos podniesie zapal boju Husytów. Podanie zaś mówi, że gdy po śmierci hiszpańskiego rycerza Cyda (1099) Maurowie zagrozili miastu Walencyi, zwłoki postrachem dla nich będącego wojownika, w pełnym uzbrojeniu posadzono na jego koniu bojowym Babieca i wprowadzono przeciw nieprzyjacielowi, przez co spotężniało w Hiszpanach zaufanie w swoich siłach, a najeźdźców zaś taka przyjęła obawa, że spieszenie odwrót przedsięwzięli.

Więcej jeszcze jak dorosły, skłonny jest dziecko w kształceniu się swego ducha do brania przykładu ludzi otaczających je, za linię wytyczną postępowania. Jak często się daje słyszeć z ust dziecięcia usprawiedliwienia: „Ten a ten także to zrobił.“ Dzieci mają nieskończenie bystry pogląd i dla tego, że większa część rzeczy, które im się nasuwają, jest jeszcze dla nich nową i obcą, przyglądają się z natężoną uwagą wszystkiemu co się w koło nich dzieje. Wiedzą one natychmiast czy ojciec lub mama względem tej lub owej osoby przyjaźnie czy też nieprzychylnie są usposobieni, spostrzegają bezzwłocznie czy nowo dany im nauczyciel jest pobłażliwym lub surowym, przyjacielem dzieci lub przeciwnie i t. d. Kto chce sobie pozyskać serca dziecięce, musi dzieckiem być między dziećmi, to jest z dziećmi sercem do nich przystępować. To zjednywa zaufanie i miłość, a gdy nauczyciel posiada szczerą przychylność ufających mu dzieci, to one uczą się chętnie, gorliwie i łatwo, a taka nauka przynosi błogosławieństwo.

Takim nauczycielem był Pestalozzi. Opowiemy tu jego własnymi słowy, jak się ze swymi wychowancami obchodził. Jest to sprawozdanie o jego działalności w ochronie w Stanz, gdzie z pomocą jednej tylko gospodyni, powołał do 80 dzieci, po większej części sierot, około siebie zgromadził. Piszcie on: „Musiałem z początku dla braku mieszkania, biedne dzieci częścią do domów na noc odsyłać. Wszystkie one powracały nazajutrz pokryte robactwem. Większa część tych dzieci, w chwili wejścia do ochrony, znajdowała się w stanie jaki musi być koniecznym następstwem najostateczniejszego upośledzenia natury ludzkiej. Wiele z nich wchodziło z zakorzenioną świerzbą, tak że zaledwo chodzić mogły; wiele z potłuczonymi głowami, wiele w gałganach pokrytych robactwem, wiele chudych jak wysuszone szkielety, żółte, szczękające zębami, i oczyma przejętymi obawą, z czołami namarszczonymi nieufnością i skłopotaniem. Jedne pełne zachwalej bezczelności; przyuczone do żebractwa obłudy i wszelkiej fałszywości, inne przygniecione nędzą, cierpliwe lecz nieufne, bojaźliwe, nieczule... Leniwa bezczynność, brak ćwiczenia umysłowych zdolności i rzeczywistej zręczności cielesnej, był ogólny. Z dziesięciorga dzieci zaledwie jedno umiało A. B. C. O jakiej bądź innej nauce lub istotnie kształcących środkach wychowawczych nie mogło nawet być mowy. Zupełny brak szkolnego wykształcenia był zresztą właśnie tem, co mnie najmniej niepokoiło. Ufałem siłom ludzkiej natury „którą Bóg obdarzył nawet najbiedniejsze i najbardziej opuszczone dzieci“ bo poprzednie doświadczenia przekonały mnie już, że natura nawet w kałuży nieokrzesań, dzikości i ciemnoty, najdzielniejsze talenta i zdolności wydaje, i widziałem już w moich dzieciach przebijającą się przez ich surowość tę żywotną siłę przyrody. Widziałem, jak dalece potrzeby i konieczności życia same się przykładają do uwydatnienia człowiekowi poglądu i naturalnego dowcipu i do wzbudzenia sił żywotnych, które wprowadzą w tym zaniedbanym bycie plugawstwem się pokrywają, lecz oczyszczone z brudu prawdziwym blaskiem jaśnieją. Tego pragnąłem dopiąć. Z tej kałuży chciałem je wydzwignąć i przenieść w proste lecz czyste otoczenie i stosunki domowe.

„Zobaczyłem więc moje życzenia spełnione i byłem przekonany, że serce moje będzie w stanie tak szybko od-

mienić moje dzieci, jak wiosenne słońce zakrzepłą ziemię zimową. Niemyliłem się. Zaledwo słońce wiosenne ozłociło szczyt naszej góry, niemożna już było poznać moich dzieci...

„Dobre wychowanie wymaga, ażeby oko macierzyńskie w mieszkalnej izbie co dzień i co godzina każdą odmianę stanu duszy dziecięcia z pewnością w jego oku, na jego ustach i czole odczytywało. Wymaga ono także, żeby powaga zajmującego się wychowaniem, była czystą i przez domowe stosunki ożywioną powagą ojca. Na tem się oparłem, że serce moje do dzieci moich lgnęło; że ich szczęście było mojem szczęściem, a ich radość moją radością; musiały to moje dzieci od najwcześniejszego poranku do późnego wieczora, w każdej chwili, widzieć na mojem czole i na wargach moich spostrzegać. Człowiek tak chętnie chce dobrego, dziecko tak chętnie dlań ucho otwiera. Lecz ono go nie chce dla was nauczyciele, nie chce go dla ciebie pedagogu—chce go ono dla siebie samego. Dobro które ty mu udzielić powinienś nie ma być żadną przypadłością twego usposobienia, twojej namiętności. Powinno ono być dobrem samo z siebie i jako dobre w oko wpadać dziecku. Dziecko będzie musiało w swoim położeniu i swoich potrzebach uczuć konieczność twojej woli, jak skoro samo zacznie chciał tegoż samego. Wszystkiego co robi z przyjemnością, chce ono. Wszystkiego co je w własnem pojęciu podnosi, chce ono. Wszystkiego co wniem żywe oczekiwanie budzi, chce ono. Wszystkiego co jego siły rozwija, o czem się wyrazić może: ja to mogę—wszystkiego tego ono chce. Ta jednak wola, ta chęć niewyrazi się słowami, ale uczuciem i siłą, jaką w dziecku wyrobi i ożywi wszechstronne pielęgnowanie. Słowa nie dają rzeczy samej, tylko jej dokładne pojęcie—uprzytomnienie.

„Przedewszystkiem musiałem się więc starać zaufanie dzieci i ich przychyłność pozyskać. Po udaniu się tego, oczekiwałem z zupełną ufnością, że reszta przyjdzie z siebie samej. Byłem od rana do wieczora tak jak sam w porządku nich. Wszystko, co w ich ciele lub duszy dobrego nastąpiło, wychodziło z mojej dłoni. Każda pomoc, każde podanie ręki w potrzebie, każda nauka, jaką otrzymały, wychodziła bezpośrednio odemnie; dłoń moja spoczywała w ich dłoni, a oko moje na ich oku. Łzy moje płynęły z ich łzami, mój uśmiech towarzyszył ich uśmiechowi. Były one po za światem, po za obrębem Stanz; były u mnie, a ja byłem w nich. Ich jadło było mojem. Nie miałem nic, nie mia-

łem żadnego gospodarstwa, żadnych przyjaciół, żadnej służby dla siebie, dzieci tylko miałem. Gdy były zdrowe, stałem pomiędzy niemi—gdy były słabe—znajdowałem się obok nich. Spałem wraz z niemi. Wieczorem ostatni siedłem do łóżka, a z rana pierwszy wstawałem; modliłem i uczyłem się jeszcze w łóżku z niemi, dopóki nie posnęły,—one tak chciały. Co chwila narażony na niebezpieczeństwo udzielenia się brzydkiej choroby, opatrywałem prawie niepokonaną nieczystość ich ciał i odzieży. Tym sposobem było naturalnem, a nawet jedynie możliwem, że się dzieci pomału, a niektóre mocniej do mnie przywiązały. Sposób mój wszczępienia w dzieci zasady i pojęć prawa i obowiązku, był bardzo prosty i zasadał się jedynie na codziennych spostrzeżeniach i doświadczeniach ich własnego koła. Gdy naprzykład mówiły i był gwar, pozwalałem sobie tylko do ich własnego uczucia się odwołać, czy to jest możliwem w ten sposób się uczyć? Nadzwyczaj mało wykładałem moim dzieciom. Nie uczyłem ani moralności, ani religii, lecz gdy były cicho, tak że można było usłyszeć odetchnienie, wtedy zapytywałem ich: czy nie stajecie się rozsądniejszemi i lepszemi gdy tak jesteście, nie wówczas kiedy hałasujecie? Gdy mi się rzucały na szyję i ojcem mnie nazywały, pytałem dzieci, czy powinniście oszukiwać swojego ojca? Czy to jest dobrze całować mnie, a po za moimi plecami robić rzeczy, które dla mnie są przykre? Gdy o nędzy kraju była mowa, a one były wesole i czuły się szczęśliwemi, wówczas mówiłem do nich: czy Bóg nie jest dobrym, że serce ludzkie współczującym utworzył? Pytałem się ich także niekiedy: czy nie ma różnicy pomiędzy zwierchnością która wychowuje biednych, żeby później przez całe życie sobie samym radzić mogli, a taką, która albo ich opuszcza albo też na zebranym chlebie lub w szpitalach utrzymuje bez rzeczywistego zaradzenia ich biedzie i położenia naprawdę ich nieprawościom i próżniactwu? Wielekroć i często kreśliłem im szczęście cichego, spokojnego pożycia, które przez rozagę i pilność do pewnego stanowiska prowadzi i stawia w możności nieświadomemu, nieukształconemu, nieś radę lub czynną pomoc. Nieraz już w pierwszych miesiącach pytałem niektórych, najczulszych z pomiędzy nich, przyciskając je do mych piersi: nie pragnęłyżbyście żyć jak ja w kole biednych nieszczęśliwych, wychowywać ich, robić z nich ukształconych ludzi? Boże, jak się uszlachetniały

wówczas ich uczucia, jakie łyż w ich oczach świeciły, gdy mi odpowiadały: Jezu Marya! gdybym ja kiedyś miał dojść do tego!"

Przyszłał czas, — mówi jeden nauczyciel o Pestalozzim, — że święty zapał jego usiłowań, potęga jego miłości, dziecięcość jego zaufania, wszystkie umysły poddanymi mu czyniły. W swoim czystym, bezinteresownym poświęceniu, — znosił on z cichą obojętnością żarty i szyderstwa dla miłości opuszczonych i nędzarzy. „Nigdy, powiada człowiek, który cztery lata blisko niego przepędził, — nigdy nie słyszałem od niego nieprzyjaznego sądu o jakim bądź człowieku.“ Znosił on biedę, ażeby biednym mózg dawać i „żył jak żebrak, aby żebraków uczyć żyć jak ludzie.“ Lavater takie o nim daje świadectwo: „Człowieka, w którymby się duch Zbawiciela tak dokładnie w sposobie myślenia, słowach i czynach odbijał, dotąd ani jednego nie znalazłem.“

Wzniosły przykład zacnego szwajcarskiego męża znalazł uznanie, podziw i naśladowanie, nie tylko w jego ojczyźnie lecz w całym świecie. Usiłowania niezrównanego pedagoga, za życia jego często źle oceniane i nie pojmowane, stworzyły zdrowe podstawy dla całej tegoczesnej pedagogii. Szkoła, która przed nim była ponurem miejscem bezowocnych ćwiczeń pamięci i martwym kramem form i prawideł, od czasu jak on nam ogłosił zasady doskonałej pedagogiki, zbliżyła się o wiele do tego, czem być powinna. Otrzymałem w głównych przynajmniej cechach żywoźniejszy, więcej duchowy, zachęcający układ, i jeżeli tu, jak to już po wielekroć gorąco pragnęliśmy wykazać, — jeszcze niemało do zrobienia, do poprawienia w duchu Pestalozzowego pozostaje, to przecież z wdzięcznością i radością uznajemy, że urządzenie europejskich szkół, jakkolwiek w nich wiele wad do usunięcia było i jest, nieskończenie się w stosunku do dawniejszego podniosło, a gdyby tylko rządy i nauczyciele jednakoż swoją powinność pełnili, jeszcze wspanialej rozwinałoby się mogło. „We wszystkich częściach świata, — pisze najwydatniejszy z następców Pestalozzowego, Adolf Diesterweg, imię Pestalozzowego ze czcią i uznaniem jest wspomniane, popioły jego leżą wprawdzie w ziemi bez znaku i bez pomnika — lecz duch jego, jego serce, jego dzieło, żyje w pośrodku nas i każde dziecko, ciesząc się kształcąca ducha nauką, spożywa w ciszy owoc błogosławionych prac tego nieśmiertelnego męża.“

Przytoczymy tu jeszcze życiorys Fr. Frebla, założyciela tak zwanych ogrodów dziecinnych, ucznia Pestalozzowego. Dowodzi on bowiem sam przez się, iż bardzo często wielki mistrz wydaje równego sobie ucznia. Fryderyk Frebel urodził się 1782 r. w Oberweissbach w księstwie Szwareburg-Andolstadt. Ojciec jego, prosty pastor wiejski, wychował go w najczystszych zasadach religii chrześcijańskiej. Bardzo jeszcze był młodym Fryderyk gdy utracił matkę, przez co pozbawionym został czułych i wyrozumiałych starań, pochodzących z przywiązania, jakiego tak bardzo wiek dziecinny potrzebuje. I tamto może wypada szukać źródła poświęcenia, z jakim on później bronił kwestyi macierzyńskiego wychowania. Cierpienia, jakie Frebel odkrywał, zwiędzając z swoim ojcem parafialne lepianki, sceny familijne, jakich bywał świadkiem, rozwinęły w duszy młodego człowieka miłość ludzkości i żądzę zaradzenia dostrzeżonym przez niego nieszczęściom. Specyalnie zgłębił nauki przyrodzone, matematykę i rolnictwo. Przepędziwszy lat kilka w Szwajcaryi pod kierunkiem Pestalozzowego, przyjął udział w wojnie o niepodległość niemiecką w pułku Lutza. Mianowany później inspektorem muzeum mineralogicznego w Berlinie, wkrótce opuścił to zyskowne miejsce; a mimo zbywania na pierwsze potrzeby życia, całkowicie czas swój poświęcił ziszczeniu nieodstępnej myśli udoskonalenia wychowania dzieci.

Pierwszy swój zakład umieścił w Kejlhau, małej wiosczynie Turynгии, gdzie szkoła jego trwała dotąd przez sąsiedzką ludność utrzymywana. Gdy folwark jaki nabył dla pomieszczenia uczniów, był za szczupłym, nim nowe budynki skończono, ubogi Frebel zmuszonym był mieszkać w kurniku, pozwalając sobie zaledwo to, co niezbędne, bo nawet zmniejszając aż do dwóch chlebów swoją tygodniową strawę, jaką kredką naznaczał. Żona podzielała jego poświęcenia i trudy. Podróżując dla rozpowszechnienia swojego systemu, nieraz pod gołym niebem przepędzał noce: by i tę oszczędność na wychowanie jakiego biednego dziecka zużytkować. Po wielu latach doświadczenia, znalazł potrzebę zastosowania swojego sposobu wychowania do młodszych jeszcze dzieci nad te, które do szkoły w Kejlhau przyjmował; tej więc zwierzchnictwo powierzyłszy jednemu z swych krewnych, sam zajął się zakładaniem ogrodów dziecinnych w wielu miastach Niemiec: w Hamburgu, w Dreźnie, w Lip-

sku, Gotha, a także w Szwajcaryi. Śmierć nakoniec przerwała dzieło dobroczynności i poświęcenia tego człowieka, który zdawał się chcieć pocieszać, ogarniając ojcowską troskliwością obce dzieci, gdy mu Bóg własnych odmówił. Umarł dnia 21 czerwca 1852 roku w Marienthal, pozostawiając tam zakład kształcenia młodych ochmistrzyń. Obecnie dziecinne ogrody są rozpowszechnione w Niemczech, w Anglii, w Ameryce nawet¹⁾. Każdodziennie też upada opór stawiany początkowo temu jako i każdemu nowemu systemowi. Gdy opiszą życie Frebla i czyny jego osądzą, będzie on niewątpliwie uznany za jednego z największych dobroczyńców ludzkości; za jedno z tych rzadkich narzędzi Opatrzności, które się całkowicie poświęca dla rozpowszechnienia dobrej i świętej zasady; jako jeden z tych wiernych uczniów Chrystusowych, którzy chodząc jego drogami, dobrowolnie oddają się na ofiarę dla swych braci. Prostym sercem, obyczajami, charakterem, pokorny jak dziecko, którego zachował czysty i niewinny wyraz pod siwizną starca, nieustraszone i stały jak bohater lub męczennik w obec przeciwności i udręczeń; nigdy niepoznany—co się geniuszom zdarza—zawsze tryumf odnosił przez niezachwianą ufność w Bogu położoną. Oddany swemu powołaniu aż do zapomnienia, nie tylko sławy, lecz droższej mu nad tę nauki, zwłaszcza badań natury, w której tajemnicy więcej może niż ktokolwiek się zagłębiał, a którą jedynie chciał zastosować do wydoskonalenia i uświęcenia nieśmiertelnej duszy. Jednym słowem, doskonały człowiek nie straciwszy nic z otrzymanego pierwowzoru, zdolny do słuchania i pojmowania mowy Twórcy do stworzenia w jego sprawach i sumieniu, a do objawiania jej drugim: oto Frebel. Nie szukał sławy, ani honorów na ziemi. Zajęty swą pracą, zadawał się uznaniem małej liczby przyjaciół i uczniów, którzy cześć i błogosławia jego pamięć: wkrótce jednakże czyny same o nim przemówią. Poznają, że Frebel na prawdziwej podstawie ugruntował tak niedoskonałe dotychczas wychowanie człowieka. Za jego to pomocą kobiety staną się—jak je nazwał—ogrodniczkami niemowlęstwa. One to, pielęgnując latorośl ludzką, dopomogą ciepłem swej miłości

¹⁾ Są już w liczbie znacznej : Paryżu i da Bóg, że założonymi zostaną w naszym kraju.

do jej rozwijania, jakoby kwiatu bez zgniecenia, skrzywienia, podług praw natury, według woli Boga.

Nareszcie przytoczymy tu biografię Marcinkowskiego, którego ogromne zasługi na polu pomocy dla kształcącej się młodzieży, stawiają w rzędzie prawdziwych dobroczyńców ludzkości. Doktor Karol Marcinkowski urodzony w Poznaniu w 1800 roku, stracił ojca w młodych latach i całe pierwsze wychowanie winien swej matce. Ona, żelaznej woli kobieta, uboga a obarczona pięciorgiem drobnych dzieci, nie upadła w sieroctwie, lecz w sercu mając niewyczerpane zasoby miłości, wytrwania i poświęcenia, natężoną pracą zdołała zarobić na wychowanie swych dzieci, a wzniosłym przykładem wzmocnić ducha silną wolą, i zaprawić do ciągłej pracy. Tymi też przymiotami szczególniejszemu odznaczał się Marcinkowski i nimi to zdobył sobie miłość i wdzięczną pamięć u ludzi. Ogromna zdolność do nauk i namowy Kaulfusa, dyrektora szkół w Poznaniu, skłoniły Marcinkowskiego do oddania się zawodowi lekarskiemu, do którego się sposobił, uczęszczając do uniwersytetów heidelberskiego i berlińskiego, w którymto ostatnim w r. 1823 otrzymał stopień doktora medycyny i chirurgii. Pełen wiedzy, z sercem tętniącym miłością bliźnich i kraju, przybył Marcinkowski do swego rodzinnego miasta i jako lekarz niosąc ulgę w cierpieniach do zapadłych chat i pysznych pałaców—rozpoczął żywot chwały i zasługi.

Po roku 1831 z kolei przebywał w Szkocyi, Anglii i Francyi. W Paryżu w roku 1833 odznaczony został przez królewską akademię medalem złotym, wartości 1000 złp., za udzielenie wiadomości dotyczących się leczenia cholery. Medal ten sprzedał, a pieniądze rozdał potrzebującym wsparcia rodakom. Po kilkoletniej wędrówce, ciągniony do kraju wrodzoną nam tęsknotą, wzywany głosem współbraci przybył znowu do Poznania i niezmordowane zabiegi nad szczęściem bliźniego rozpoczął. Wiara w jego umiejętność lekarską była tak wielka, iż kiedy w Poznaniu wybuchła cholera, samo przybycie jego zmieniło rozpacz w nadzieję, a ta czyniła ratunek łatwiejszym, i sama zaraz przed energicznymi środkami Marcinkowskiego ustąpiła niebawem. Marcinkowski wydierał śmierci ofiary, bo wierzył w siłę swej woli: lud poznański zapanował nad cholera, bo uwierzył w siłę zdolności i woli Marcinkowskiego:

Ale działalność Marcinkowskiego nie mogła poprzestać wyłącznie na pracach lekarskich, zkądiną zresztą tak mozolnych i wyczerpujących. W jego sercu zawiele gorzało ognia miłości, aby ten pojedynczymi tylko wybliskiwał promieniami; szerszego potrzebował przestworu. Urodzony i wychowany wśród gwaru miejskiego, z rodzaju swego zatrudnienia zespolony z nędzą miast, zrozumiał że obok licznej i bogatej rzeszy wieśniaków stanąć powinny zastępy miejskiej ludności, licznej i możnej. Myśl u Marcinkowskiego musiała stać się czynem. Więc naprzód ze skladek obywatelskich w roku 1841 założył w Poznaniu tak nazwany Bazar, to jest gmach, gdzie sami rzemieślnicy wyroby swoje przedstawiać mieli, nie lękając się konkurencji. W Bazarze Marcinkowski chciał ułatwić rzemieślnikom sprzedaż wyrobu, a tem samem zachęcić do dalszej pracy i nauki. Ale to było mało; nie tak trudno wymurować Bazar na towary, lecz żeby napędzić takowy towarami należytej dobroci i niedrogimi, potrzeba stworzyć człowieka, stworzyć robotnika, któryby ów towar wyrobił. Stworzyć człowieka tylko Bóg może, ale wyrobić zdolność w człowieku, to pracy i nauki udziałem. Marcinkowski wiedział, że ludność pracy się nie ulęknie, ale i to wiedział, że dla braku nauki praca jest mało znaczącą, ochota nie na wiele przydatna. Postanowił zatem rozszerzyć naukę i w tymto celu założył Towarzystwo naukowej pomocy, które po dziś dzień istnieje. Zadaniem Towarzystwa jest wyszukiwać zdolną a ubogą młodzież z pomiędzy mieszkańców miast i wsi i tej młodzieży dawać stosowną pomoc, dla rozwinięcia w nich nauki i przygotowania dla kraju zdolnych i użytecznych ludzi. Wykazaliśmy dwie strony jego życia, jako lekarza i jako wspierającego przemysł krajowy, ale nie tu się kończy zasługa Marcinkowskiego, czy to jako z własnej pracy utrzymującego się ucznia, czy jako współtowarzysza szkolnego, doktora, chirurga, czy jako obywatela—zawsze on służyć może za wzór dla każdego człowieka, który uzaczniony silną wolą i miłością powszechną, pragnie tylko dobrze swym braciom czynić, a przez to godnie odpowiedzieć swemu wzniosłemu przeznaczeniu.

Żal jednak, że Marcinkowski żył zakrótko. Nieustanna praca, serce czujące każdy ból dotkliwie—wszystko to podkopywało coraz bardziej zdrowie Marcinkowskiego, aż dostał piersiowej choroby, a wyjechawszy na wieś do przy-

jaciela do Dąbrówki Ludomskiej, umarł tamże dnia 7 listopada 1846 r.

Jakkolwiek nie z tak dzielną bezpośredniością wrażenia, jak osobiście w życiu napotkane dobre przykłady wyższych ludzi, lecz daleko dobitniej i ze tak powiemy ujętniej jak wszystkie gołosłowne nauki obyczajowe i moralne oddziałują na umysły młodzieńców i dziewic żywoty wielkich i dobrych ludzi. Tutaj nauka i przykład znajdują się w ożywionej całości, połączone w jeden wierny obraz rzeczywistych faktów i przemawiające w jednym duchu; tutaj przemawia do nas cała obfitość wzorów najlepszych i najszlachetniejszych charakterów ludzi, których byt nie jest zmyślonym, lecz którzy, jak my to w ich opisach życia nieraz własnoręcznie kreślonych czytamy, myśl po myśli, słowo po słowie, czyn po czynie, myśleli, mówili i działali. Ztąd pojmujemy ten potężny język prawdy, który się nie pozwala opacznie tłumaczyć i który wreszcie oddziaływa na najtwardsze umysły, choćby w początku słabo. Nasi wielcy pradiadawie żyją pomiędzy nami tak w wiadomościach o ich życiu, jak w czynach, których dokonali; dziś jeszcze zasiadają z nami do stołu, kroczą z nami przez życie i jak przewodnicy prowadzą nas za rękę, a my się ogrzewamy, umacniamy, nabieramy ducha na wspomnienie, jakie pozostawili po sobie, tak jak z głęboką myślą rzucamy okiem na zorzę wieczorną, która nam świeci jeszcze choć już słońce zaszło. Zaprawdę, kto umierając pozostawia po sobie wspomnienie szlachetnego życia, ten otwiera potomności źródło dobrego, żyje on bowiem ciągle jako wzór i biegun życiowy, do którego dążyć i zbliżać się jakaś magnetyczna siła nam każe. Dlatego książka, która nam życie pocziwego człowieka opowiada, pełną jest drogiej ziarn nasiennych. Jest ona, jak mówi znakomity poeta angielski Milton: „drogocenną krwią serdeczną wielkiego ducha, zebraną i przechowaną, ażeby życiu po skończeniu życia służyła“. Taka książka nie przestaje nigdy wywierać uszlachetniających wpływów i siłę czynienia dobrego podwyższać. Przedewszystkiem jednak pokazuje nam ona najwyższy wzór i przykład, według którego w tem życiu postępować winniśmy—najodpowiedniejszy przykład do wszystkich potrzeb naszego ducha i serca; przykład—który nawet z dalekiej odległości miejsca i czasu naśladować możemy:

Jako roślina co słońca nie widzi,
Lecz o niem marzy i czuje gdzie ono,
Więc zaniem kielich swój zwraca i schyla....

Zaden młody człowiek nie może przeczytać autobiografii, takiej na przykład jak Beniamina Franklina, Seumego lub Arndta, bez pocucia się lepszym i w dobrych swoich zamysłach umocnionym. Takie obrazy życia podnoszą ufność we własnych siłach, wskazują bowiem, co człowiek dokazać jest zdolnym, wzmacniają nasze nadzieje i podnoszą cele naszych dążeń. Niekiedy zdarza się, że młody człowiek znajduje w takim żywocie siebie samego, i przez to dopiero do poznania i zrozumienia swego wewnętrznego życia przychodzi, jak sławny włoski malarz Corregio, który w obec dzieł Michała Anioła uczuł budzące się swe powołanie artystyczne i w natchnieniu zawołał: „I ja też jestem malarzem!” — Często także książka, zawierająca dzieje wielkiego życia, przypadkiem tylko i dla łatwiejszego przepędzenia czasu do ręki wzięta, obudza w nas siły, przymioty, o których posiadaniu przedtem nie wiedzieliśmy. Ignacy Lojola, który swoje młode lata poświęcił służbie wojskowej, otrzymał przy oblężeniu Pampeluny w Hiszpanii (1521 r.) ciężką ranę w prawą nogę i gdy się czuł już zdrowszym, zażądał książki, aby się rozerwać. Przyniesiono mu Żywoty Świętych, których czytanie tak go rozplomienilo, że uczynił ślub całe swoje dalsze życie poświęcić założeniu jakiegoż zakonu — i założył Towarzystwo Jezusa czyli Jezuitów.

Jak znakomity wpływ na dobrych ludzi otaczających i całego swojego kraju wywrzeć może człowiek pilności i energii, mający głowę i serce po temu! — Staje on z czymś w obec swoich współobywateli, zagrzewa wszystko swoim świetnym przykładem, służy wszystkim za wzór podług którego prawie mechanicznie kierować mogą swe życie, w tysiączne miejsca niesie pomoc osobistymi ofiarami, radą, czynem i powoli napelniają się ludzie nim i natchnieniami jego ducha. Nędza i zepsucie obyczajów znikają w całej okolicy, przemysł i interesa przychodzą do kwitnącego stanu. Tego rodzaju człowiekiem był znany proboszcz, francuz, Jan Fryderyk Oberlin. Niezapomniany ten przyjaciel ludzkości urodził się w Strasburgu 1740 r., i wkrótce po ukończeniu swych teologicznych studyów osiadł w wiosce Waldbach, w tak zwanej kamiennej dolinie, okolicy leżącej w departamencie francuzkim Wyższego Renu, mającej

surowy klimat i grunt tak mało żyzny, że stu rodzinom, które tam w chwili przybycia Oberlina zamieszkiwały, mógł dostarczyć tyle, ile wystarczało do zaspokojenia niezbędnych potrzeb życia. Cóż uczynił Oberlin? Nie zraził się bynajmniej napotykanemu na każdym kroku trudnościom, lecz wkrótce po objęciu swego urzędu obrał sobie za główny cel pomnożenie wykształcenia i dobrobytu swoich parafian. Zaczął od przyłożenia starań do ulepszenia uprawy gruntu; sprowadził nasiona, zachęcił do hodowania koni, czyny i roślin pastewnych — skłonił, dając do tego przykład — do zajęcia się ogrodnictwem owocowem (sadownictwem), starał się o zaprowadzenie dogodnych dróg pomiędzy pojedynczymi wioskami, posyłał młodych ludzi do Strasburga na naukę rzemiosł najpotrzebniejszych, i własnym kosztem przy dochodzie nieprzenoszącym 1200 fr. (300 rsr.) rocznie, sprowadził rozmaite narzędzia rolnicze, które swym współmieszkańcom na kredyt sprzedawał. Wszystkie wioski jego parafii przyszły do posiadania domów szkolnych, dzieci zaś niezdadne do szkoły, których rodzice poza domem byli zajęci, pielęgnowane i kształcone były pod okiem rozsądnych kobiet w umyślnie na to założonych ochronach. Dla dorosłych drukowano także użyteczne książki i od domu do domu po wszystkich wioskach rozsyłano. Gdy podczas rewolucyi francuzkiej rząd zaprzestał płacić mu pensyę, parafianie urządzili składki na jego utrzymanie; to też i w tych okropnych czasach dobroczynna działalność Oberlina nie doznała przerwy, służba boża i nauki szkolne postępowały jak przedtem, aż nareszcie doszło do tego, że ludność doliny ze stu rodzin podniosła się do 5,000 dusz. Gdy później już gospodarstwo rolne tak wielu rąk zatrudniać nie mogło, zaprowadził Oberlin pleciarnie słomkowych wyrobów, przędzalnie bawełny, a następnie także i tkactwo; gdy zaś mieszkańcy Kamiennej doliny zagrożeni zostali niezwyciężoną konkurencją przez zaprowadzenie maszyn w niektórych pobliskich wioskach, Oberlin znowu zaradził tej biedzie, składając fabrykanta Legrand z Bazylei, przyjaciela Pestalozzego i również jak on ożywionego pragnieniem dobrobytu i oświaty ludu, ażeby swoje rękodzielnie wstążek w departamencie Wyższego Renu przeniósł do Kamiennej doliny. Gdy wiek podeszły przeszkadzał Oberlinowi prowadzić dalej swoje prace, mające na celu pożytek ogólny, przepędzał on czas wolny na pracach literackich. Umarł w 1826 roku

i pochowany został w Foudray, gdzie krzyż z prostym napisem: *Ojciec Oberlin*, wskazuje miejsce jego wiecznego spoczynku. Do takiego człowieka zastosować się może to, co dziejopisarz Jan Müller w mowie pamiątkowej o jednym wielkim zmarłym powiedział:

„Podboje mogą być utracone, tryumfom zaprzeczyć można. Ale chwała i korzyść, jaką nam przykład przynosi, nie podlegają zniszczeniu i zniknąć nie mogą. Pierwsze pozostają własnością swego sprawcy, drugie służą tym wszystkim, co go naśladowa. Gdy taka mowa pochwalna, jaką tu miałem, nie potrzebuje żadnej sztuki, aby uznanie wielkodusznych pozyskać, a pocieszająco wpłynąć na słabych, będących w możności zwątpić o sobie, wtenczas poświęcenie jest doskonałem i podobny człowiek należy nie do pewnego kraju, nie do pewnego ludu — bo kraje i narody zmiennym losom podpadają. Należy on do całej ludzkości, której dał tak szlachetne wzory uzacnienia swej własnej godności”.

ROZDZIAŁ XIII.

Charakter. — Prawdziwe wykształcenie.

Talent kształci się w spokoju życia prywatnego — charakter w wirze życia publicznego.
Gete.

Najwyższym celem ludzkich dążeń, koroną i kwiatem życia — jest *moralnie doskonały charakter*. Jest on najszlachetniejszą, najbardziej osobistą i najbardziej ludzką własnością człowieka, nadającą temu, kto ją posiada, miejsce w szeregach tego duchowego szlachectwa, do jakiego tylko najdoświadczeńsi i najlepsi w narodzie należą. Jest on chlubą i uświęceniem każdego stanowiska w życiu i każdy człowiek, tak jak i stan każdy, przezeń dopiero prawdziwej wartości nabywa. Władą on potężniej umysłami, niż bogactwo lub godności i posiadający go czarodziej dochodzi

do uświęcających, głębokich i trwałych rezultatów, łączy bowiem w sobie dzielność woli i prawosć — przymioty, które może więcej jak wszystkie inne, powszechne zaufanie i przychyłność zjednywają.

W świecie moralnym charakter jest tem, czem jest szkielet w świecie fizycznym. Silna wola słuchająca praw moralnych, które w piersi człowieczej jako sumienie jego żyją, jest materyałem, z którego ten szkielet moralnego świata się tworzy. Ludzie charakteru są nie tylko podstawą obywatelstwa, lecz każdego dobrze rządzonego państwa, jego najlepszą poruszającą i podpierającą siłą; świat bowiem w gruncie przez moralne przymioty jest rządzonym. Potęga, swoboda i bezpieczeństwo prawne narodów — spoczywa jedynie na osobistym charakterze. Prawa i konstytucje są tylko jego płodem, choć wpływają i oddziałują znowu na jego wykształcenie. Baron von Stein, jeden z największych publicznych charakterów — o jakich wspomina historia — pisał do hrabiego Arnima, gdy tenże doniósł mu o zamiarze poświęcenia się służbie państwa, między innemi te godne zastanowienia wyrazy, które wszyscy przyszli mężowie stanu głęboko w sercach zapisałiby sobie powinni:

„Religijska moralność i miłość kraju są jedynemi niezachwianymi podstawami charakteru. Mąż, który do wyższych stanowisk dążyć zamierza i takowych dosięga, potrzebuje ich rozwoju i umocnienia bardziej jeszcze niż ten, który w prostych stosunkach prywatnego życia się znajduje. Takiego męża powołanie nakazująco zobowiązuje ku tym celom całą swoją uwagę skierować. W wielkich wypadkach charakter więcej znaczy niż duch lub wiedza; można bowiem ducha i wiedzę innych użyć i spożytkować, lecz charakter cudzego nie można sobie przywłaszczyć, chyba mu się z utratą wszelkiej samoistności poddać.... Doskonałe duchowe i moralne wykształcenie ludu — zależy na wykształceniu jednostek, na rozwoju całego państwa do prawnej swobody”.

Zdolności pojedynczego człowieka mogą być ograniczone, wiedza jego nieznacząca, mienie skromne, mimo to jednak, jeśli jego charakter jest prawdziwie dobrym, niemniej będzie on szerzył wokół siebie szczerść i błogosławieństwo tam, gdzie się znajduje i działa. Uczymy się — jak mówi Gete — wszędzie od tego, kogo szanujemy i kochamy,

a kogóż zresztą, jeśli nie człowieka dobrego charakteru możnaby trwalej kochać i szanować? Charakter — mówimy tu naturalnie tylko o dobrym charakterze, gdyż zły (zupełnie złego nie ma, nie ma więc ani szatana, ani doskonałego anioła w ludzkiej postaci) potępia sam siebie — charakter jest wszędzie rozstrzygającym i rzeczywiście działającym. Nawet wielki talent bez charakteru nie osiąga nigdy swego najwyższego rozwoju. „Kiedy dobry człowiek talentem jest obdarzony — mówi Gete — będzie on zawsze na dobro świata moralnie oddziaływał, czy będzie artystą, badaczem przyrody, poetą lub czemkolwiek.” — Na innym zaś miejscu powiada: „Osobisty charakter autora ma swoje znaczenie u publiczności, a nie sztuka jego talentu... Czytelnik żąda pewnej powagi, pewnej wzniosłości sposobu myślenia, pełnej pewności wewnętrznej, i dlatego też Szyller wśród wszystkich tak wysoko jest cenionym.” — Feliks Mendelsohn-Bartholdy, którego charakter był tak miłym jak znakomitą jego talent kompozytorski, pisał w tej samej materii do przyjaciela: „Wiesz jak cię polubiłem, jak o twoim talencie i twym charakterze zarówno wysoko trzymam i jedno i drugie szacuję. A niewiadomo doprawdy, co z tego dwojga w tych czasach za ważniejsze uważać należy. Bez talentu nie pójdzie nic, lecz bez charakteru podobnież nic; widzimy co tydzień na najpiękniejszych talentach, które tyle oczekiwań wzbudziły, a przecież niczego nie dopięły. Bodaj ci niebo dało stały rozwój obojga, ale lepiej *daj go sobie sam*, gdyż niebo więcej uczynić nie może, jak dać wszystkiego zaród i zadatek, reszta jest już własnemu staraniu każdego i na jego odpowiedzialność zostawiona.” — Benjamin Franklin zawdzięczał swoje wielkie powodzenie w życiu publicznym nie talentom swoim, ani wymowie — pierwsze bowiem jak drugie nie były wcale nadzwyczajne — lecz powszechnie znanej prawości swego charakteru. „Ztąd to poszło — mówi on — że ja u mych współobywateli tak wysokich względów używam. Byłem tylko miernym mówcą, nie posiadałem właściwie daru wymowy, byłem często niepewny w wyborze moich wrażeń, niezawsze poprawny w użyciu języka, a przecież dopiąłem wszystkiego czego dopiąć pragnąłem”.

Co jest potęgą charakteru, ma daleko wyższe znaczenie, jak to co jest potęgą wiedzy. Duch bez uczucia, mądrość bez dobroci serca — są także potęgami, rzadko jednak

dobroczyńnymi potęgami pokoju, lecz daleko częściej nie-szczęsnymi działaczami zniszczenia. Miłość prawdy, prawda i dobroć — to są prawdziwe i główne filary charakteru człowieka. Te przymioty, wsparte na dzielnej, szlachetnej woli, dają temu, kto je posiada, niepokonaną wielkość duszy. Jest on silnym do czynienia dobrego, silnym do oparcia się złemu, i silnym do zachowania stałości w cierpieniach i trudnościach. Nie pochlebia on, istota jego jest cicha, prosta, niekiedy szorstka, działa on wszędzie według słuszności i prawdy, i kroczy ze spokojną, pewną siebie godnością, drogą obowiązku. Taki bohaterski charakter posiadał znamięty Seume. Nie używał on tego, co *błogiemi szczęściami* nazywają; całe jego życie było ciągłą walką i pociskami losu, prawie w ubóstwie się urodził i w niedostatku żył aż do końca swoich dni; dwa razy — w Ameryce i w Polsce — musiał on, *wędrowiec z Syrakuzy*, który większą część Europy piechotą przeszedł, wbrew woli walczyć przeciwko swoim zasadom, będąc najwinniejszym zapaśnikiem swobody. Wybranka serca jego zdradą to serce rozdarła; przeżył z zakrwawionem sercem chwilę najboleśniejszego upokorzenia swojej ojczyzny i zamknął zmęczone, bólem przyćmione oczy, nie doczekawszy końca jej niedoli. Lecz żadna naj-srozsza boleść, żaden najcięższy grom losu nie był wstanie zachwiać jego zasad, ani jego bezwzględnej odwagi wypowiedzania prawdy osłabić. Wszystkie jego pisma są pełne tego zanego, otwartego, w ukochaniu ludzkości najwyższe dobro czującego i do wszelkiej ofiary gotowego, w nienawiści przeciw wszystkiemu co sromotne i podle nieprzeblagania gorzkiego — ducha.

W przedmowie do dzieła *Moje lato* (1805 r.), napisanej z gorącą miłością prawdy i sprawiedliwości, z prawdziwym zrozumieniem nieszczęść swojej ziemi rodzinnej, mówi on między innemi: „Człowiek potrzebuje tylko siebie samego, ażeby prawdę wiedzieć, tylko własnej siły, aby iść za nią, i tylko własnej odwagi, żeby przez nią tyle szczęśliwości osiągnąć, na ile mu jego natura pozwala... Krocie ludzi myśla jak ja, nikt jednak nie ma obowiązku, czy sposobności otwarcie to wypowiedzieć. Gdy mnie o to pytają, odpowiadam: Jestem człowiekiem, człowiekiem wolnym, sądząc się być rozsądnym i chcąc dla wszystkich moich braci w ludzkości bez wyjątku zarówno dobra. Jestem o tem tak wie-

wnętrze, tak silnie, tak sumiennie przekonany, żebyśmy za to bez żalu głowę na pień położyć gotów".

Harmonia między słowem i czynem jest charakterowi tak istotnie właściwą, jak ogniewi dym, ciepło i światło. Niech człowiek będzie tem rzeczywiście i prawdziwie, czem się być zdaje albo udaje, *a będzie niezawodnie lepszym jak jest.* Gdy kiedyś pewien Amerykanin pisał do szlachetnego przyjaciela ludzkości Granville Sharpa, że przez cześć dla jego onót jednemu ze swoich synów dał jego imię, Sharp odpowiedział: „Muszę pana prosić, żebyś w syna swojego wpa-
jał tradycyjną zasadę rodzinną tego, którego imię mu dałeś: *Staraj się usilnie być tem rzeczywiście, czem chciałbyś się wydawać.* Tej zasady, jak mi mój ojciec opowiadał, trzymał się wier-
nie i sumiennie jego rodzic, którego miłość prawdy jako pro-
stego i zacnego człowieka przesłała na syna i ciągnęła się
jak nic czerwona przez wszystkie koleje jego życia”.

Prawdziwy charakter czyni to, co jest słusznem w je-
go przekonaniu, bez względu na to, czy jest widzianym czy
nie. Na drodze prowadzącej do wyrobienia w sobie dzielne-
go charakteru znajdował się ów chłopiec, który na pytanie:
dlaczego kilku gruszek nie schował wówczas gdy przez ni-
kogo nie był widzianym, odpowiedział: „Zaprawdę, nie
mógłby był tego nikt widzieć, lecz ja sam tam byłem, a ni-
gdybym nie chciał widzieć siebie samego źle czyniącem.”

Ten prosty, a przecież tak wymowny przykład trafnie oka-
zuje, jak dobroczynną władzę sumienia i dobre zasady mają
nad postanowieniami i umysłami ludzkiemi. Bez tego we-
wnętrznego napominaacza i kierownika dusza czysta nie ma
steru, i wystawiona jest bezbronnie na łaskę każdej poku-
sy. Biada więc, gdy ostrzegający jego głos posłyszany zostanie;
żadne bowiem przestąpienie praw moralnych, żaden
podły, niegodny lub brzydki czyn, jakkolwiek w sobie był-
by nieznaczącym, nie przejdzie bez wywołania niemoralnego
następstwa: „Każda wina mści się na ziemi.” (Gete.) Nie
zależy bynajmniej na tem, czy się czyn udał albo nie, czy
został odkrytym lub w tajemnicy pozostał: człowiek jest po
błędym kroku innym, poniżonym — uczynił moralnie krok
wsteczny. W skutek tego przejmuje go tajemny niepokój,
po którym następują ciche wyrzuty, jest osądzonym przez
swego wewnętrznego sędziego, przez obrażone sumienie.

Należy także zastanowić się jak dalece wykształcenie
charakteru, przez umocnienie się w dobrych zwyczajach

jest umocnione i poparte. Przyzwyczajenie, jak mówi przy-
słowie, jest drugą naturą. W skutek przyzwyczajania wszy-
stko staje się łatwiejszem i w gruncie rzeczy tak złe jak
dobre przymioty — są tylko owocami przyzwyczajień. Przy-
zwyczaj się do umiarkowania, a będziesz się brzydził roz-
pustą, bezmyślne, płochę życie wietrznika będzie cię prze-
mować odrazą. Niemożna nie nadto dobitniejszego powie-
dzieć o potrzebie najbystrzejszej czujności przeciw wkrada-
niu się złych przyzwyczajień, bo charakter jest zawsze w tym
punkcie najsłabszym, w którym raz dał się przelamać, i wiele
potrzeba czasu, nim zachwiana zasada znowu tak silnie się
zakorzeni, jak inna, która nigdy się nie ugięła. Ktoś porów-
nywa zarówno pięknie jak prawdziwie zwyczaje do sznurka
perel; rozwiążmy węzeł a wszystkie jedna po drugiej się
rozsypią. Gdzie przyzwyczajenie raz się wykształciło i umo-
cniło, działa ono pomimowolnie i bez żadnego myślenia, lecz
niech kto spróbuje przeciwko niemu działać, a zadziwi się
do jakiej potęgi ono w ciszy dorosło. Częstokrotne powta-
rzanie jednej czynności rozwija najprzód skłonność do niej,
nakoniec zaś jej nakazującą potrzebę. Z początku zdaje się
zwyczaj posiadać nader mało siły odpornej, zaledwie tyle
co pajęczyna, lecz raz rozkorzeniony niby żelaznymi łańcu-
chami oplata:

Skłonność pokonać jest trudno, ale gdy w zwyczaj się zmienia,
Zrazu powoli działając wszystkiego z wolna dokaże.

Gete.

Pilność, porządek, rzetelność, szacunek siebie samego
i t. p. są mniej rzeczami przekonania jak przywyknienia.
Dziecko nie działa na podstawie rozmysłu, naśladuje ono
to co widzi, powtarza to co słyszy, przyzwyczajają się powoli
i mimowolnie do pewnego sposobu czucia, myślenia, mówie-
nia, działania, który staje się jego własnym — to jest jego
charakterem. Wychowanie więc dzieci nie może nigdy przy-
wiązać nazbyt wielkiej wagi do przyswajania dobrych na-
wyknień. Umysł dziecięcy jest najwdzięczniejszym, bo naj-
łatwiej wszystko przyjmującym gruntem do ich posiewu;
jak głoski wyrzynięte na korze młodego drzewa, wzrastają
one i szerzą się z laty. Czem skorupka za młodu nasiąknie
tem na starość trąci. W początku spoczywa koniec, pierw-
sze kroki na drodze życia stanowią o kierunku i celu całej

podróży. Im głębiej się zwyczaj w duszy zagnieżdża, im dalej wykształcenie charakteru postępuje, tem trudniejszem się staje opuszczenie drogi do której się nawykło i obranie nowej. Jest dlatego często łatwiej czegoś nowego się nauczyć, jak się oduczyć czegoś już nauczonego, i ów nauczyciel muzyki, który od uczniów co już poprzednio mierną pobierali naukę podwójnej żądał zapłaty, miał może słuszość. Stare nałogi wyrwać z korzeniem jest bardzo często daleko bolesniejszą operacją, jak wyrwanie zęba. Spróbuj z przyzwyczajenia leniwego, lekkomyślnego lub rozwiązłego człowieka poprawić, a zobaczysz, że to bardzo niewdzięczne zadanie, bo twoje najszczerze i najwytrwalsze starania w większej części wypadków będą bezowocne, lub co najwyżej tylko przechodnią zmianę sprawdzą. W każdym bowiem takim wypadku, przyzwyczajenie przez długość czasu zmieniło się w nałóg i tak nieoddzielnie z życiem splotło, że często z końcem jego dopiero działać przestaje. „Przyzwyczajenia, — mówi Gete, — to jedyne upodobanie człowieka. Nawet nieprzyjemne, gdy się do niego przyzwyczajamy, porzucamy niechętnie”.

Wesołość i pogoda umysłu mogą zarówno stać się nałogami. Są ludzie, którzy przywykli na wszystko z najkorzystniejszej, świetnej strony spoglądać, inni znowu, którzy się przyzwyczaili zapatrywać na wszystko ze strony ciemnej, nieprzychylniej. Samuel Jonsohn mawiał, że zwyczaj przyjmowania rzeczy z jasnej strony, więcej jest wart niż tysiąc funtów szterlingów rocznego dochodu. Z ręką na sercu wyznajmy, że posiadamy, jeśli tego szczerze zechcemy, prawie wszyscy mniej lub więcej mocy, ażeby wolę naszą wywodzić i przyzwyczaić żeby myśl naszą kierowała przede wszystkim na takie okoliczności, które oddziałują na nas przeciwnie. Żadne nieszczęście nie jest tak wielkiem, żeby się w niem przy nieuprzedzonym zapatrywaniu odkryć nie umiał choć jaki cień pociechy i wzmocnienia ducha. Gete pisze w *Cierpieniach młodego Wertera*: „Mniejby było bólesci między ludźmi, gdyby się — a Bóg wie dlaczego są do tego najskłonijsi, — nie zajmowali z taką żywością wyobraźni, przywoływaniem wspomnień minionego złego jak tylko przychodzi im podobnieź zło przeczierać... My ludzie skarżymy się często, że dobre dni tak są nieliczne, a ciężkich jest za to tak wiele, lecz jak mi się zdaje, czynimy to najczęściej niesłusznie. Gdybyśmy mieli zawsze otwarte

serce dla przyjęcia dobrego, jakie nam Pan Bóg każdodziennie zsyła, mielibyśmy wtedy dosyć siły, do przeniesienia złego, gdy ono nas spotyka”.

Tak jak światło dzienne przez małą dziurkę widziannem być może, tak drobnostki nawet dają poznać charakter człowieka. Całe bowiem życie składa się z nieskończonego wielu, pomiędzy sobą w styczności i związku zostających drobnych czynności, które razem i pojedynczo z charakteru wychodzą i piętno jego noszą na sobie. „Historią człowieka jestto charakteru jego historia, jest sposób postępowania naszego z innymi. Szlachetne, miłe, ujmujące obejście z każdym, z wyższym lub niższym, bogatszym lub biedniejszym od nas, daje dowód, że my sami ożywieni jesteśmy duchem godności człowieczej, którą dlatego w naszych współbraciach uczyć chcemy. Jak przyjemnie ujęci zostaną wszyscy, którzy z nami mieć będą styczność, przez to poszanowanie dla ich osobistości, ilu przyjaciół i jakie korzyści ściągniemy przez to na siebie samych! Każdy, kto stara się sumiennie wypełnić swój obowiązek, ma prawo do szacunku. Lepiej byłoby z pojedynczymi ludźmi przy wyższym stopniu zobowiązanego poszanowania, lepiej byłoby z wielką liczbą rządzących mocarzy, gdyby z swemi ludami z większymi względami i szacunkiem postępować chcieli. Swoje obejście z osobami trzecimi tak uszlachetnić, żeby ono było prawdziwie cnotą, jest przy pewnem zważaniu na siebie samego prawie dla każdego możliwem, i każdy kto ma po temu wolę, może być grzecznym i dobrotliwym, nawet wtedy gdy nie ma grosza majątku. Przyzwyczajone, uobyczajone postępowanie w obejściu z ludźmi, działa jak spokojne falowanie światła, które całą naturę barwami przyobleka; dochodzi się z niem nieskończenie dalej niż natarczywością, hałaśliwością lub przemocą. Spokojnie i niepostrzeżenie ściele on sobie drogę, jak wiosną delikatny narcyz, który ciężką bryłę ziemi przewierca i na stronę rozpycha cichą wytrwałością swego wzrastania.

Obyczaje i zwyczaje, objawy tak prywatnego charakteru jak charakteru narodów, mają większą wagę jak prawa, które z nich dopiero rozwijały. Prawo dotyczy nas tylko tym lub owym przepisem, podczas gdy obyczaje całe społeczeństwo jak powietrze, które w siebie wdychamy, przenikają. Dobre obyczaje nie są niczem więcej i niczem mniej jak dobrem obejściem się; wyrazem ich jest grzeczność

i dobroć. Tylko wtenczas, gdy zobopólne obcowanie ludzi wzrasta na gruncie życzliwości, mogą oni żyć z sobą razem z korzyścią i przyjemnością. „Zdobądź serca, — mówił lord Burleigh do królowej Elżbiety, — a twojami będą serca i kieszenie wszystkich”. Grzeczność jest najtańszą rzeczą na świecie i aby być grzecznym potrzeba tylko bardzo małego wydatku fatygi i pilnowania się. Któż się nie czuł przyjemnie tkniętym przez grzeczne obejście, lub przeciwnie przez gburowatość i zarozumiałość? Gdybyśmy tylko chcieli być wolni zawsze od chępliwości, przesady, naturalni, prawdziwie przyjacielscy, dobry wpływ na przyjemność i szczęśliwość we wszystkich kołach społecznych byłby nieobrachowany. Owe drobne grzeczności i uprzejmości, które życiu dodają tyle wdzięku, urozmaicenia i łatwości, mogą same przez się zdawać się bardzo mało znaczącymi, a jednak są one, już jako wpływ moralnej części człowieka, charakteru, pełnemi znaczenia, przez powtarzanie zaś i mnożenie się, stają się z czasem nadzwyczaj ważnemi. Podobne są one do bezczynnych chwil lub codziennych groszów, które według przysłowia, w przebiegu roku lub życia tak wielkie tworzą sumy.

Wykształcenie w obejściu, — chociaż dziecinne i niedorzeczne gdy jest przesadnem, — jest dla każdego kto ma sposobność z innymi obcować towarzysko, rzeczą konieczną. Dobrze znalezienie się ma wysokie znaczenie z tego już względu, że nieraz brak jego zniszczył w całości lub częściowo owoce najpilniejszych i najszczerzych usiłowań. To pewna, że są wszędzie chociaż nieliczni ludzie, dosyć uprzejmi i względni, żeby nie zrazić się szorstkością powierzchowną cudzego charakteru, i tylko patrzeć na wartość wewnętrzną człowieka; korzystnej przeciw i godnej być jedynym z nich, niż jednym z takich, co ich pobłażania potrzebują, zwłaszcza, że w większej części i w ogóle świat nie jest tak pobłażliwy, lecz sądy swoje za i przeciw wydaje i skłonności swoje kieruje najczęściej podług zewnętrznego zachowania się. Co jest z nieprzyjemnem w jakiej rzeczy, może być osłabionem, co jest przyjemnem, może być podniesionem jeszcze przez zastosowanie do osób i stosunków, względne, taktowne i przyjemne obejście. Co z widoczną niechęcią jest robionem, lub co na prosty akt grzeczności wygląda, ciężiej obrażać zwykło. A jednak znajdują się dziwacy, ludzie, którzy wszystko robią na swój szorstki, marsowy sposób,

przez co przy całej wewnętrznej wyższości, jaką może posiadać, stają się zupełnie nieznosnymi i w wiecznych utarczках z osobami otaczającymi żyć muszą. Tacy ludzie lubią tym, którzy niższe stanowisko towarzyskie zajmują lub zdają się zajmować, swoją wymarzoną wielkość, swoją w wyobraźni tylko istniejącą wyższość, przy każdej zdarzonej sposobności niezbyt delikatnie okazywać, wynoszą się jednak po cichu, skoro spostrzegą, że nie trafili na dudka. Arndt opowiada doskonały wypadek tego rodzaju z roku 1812: „Siedziałem, — pisze on, — zakurzony aż do pasa w jednej kareczce węgierskiej. Dwaj pruscy oficerowie z powiewającymi piórami na kapeluszach, na pięknych koniach, ze słuchającym w tyle, przyjeżdżają i każą sobie dawać wina i chleba a uważając mnie za wędrownego rzemieślnika, zaczynają brać na fundusz, obsypując pytaniami i żarcikami. Ja z początku udawałem głupiego i pozwalałem im na wszystkie żarty i śmiechy, powoli jednak zrzuciłem maskę, zmieniłem ton i sposób mówienia, a panicze ze zdziwieniem zaczęli spoglądać to na mnie, to na siebie. O szczęśliwości pieszego wędrowca! o ty boska wolności i równości życia na publicznej drodze, gdzie się jest wszystkim i niczem! o tyle mój dzielny ojciec, któryś mi dał w spuściznę takie mocne nogi!”

Bardzo ważnym warunkiem dobrego obejścia i grzeczności jest poszanowanie cudzego zdania. Powiedziano, że przypisywanie sobie tylko wyłącznej słuszności, nie jest niczem więcej, jak zupełną pospolicznością lub zarozumiałością. Z pewnością najgorszą formą w jakiej się te wady okazać mogą — jest upór i wyniosłość. Bodajby wszyscy chcieli uznać różność zdań ludzkich i na nią przyzwolić, a gdy ona się okaże — sądzić ją łagodnie i życzliwie. Każdy człowiek ma prawo nieść swoją własną wiarę, swoje własne przekonanie, i żądać poszanowania dla swoich prawdziwą pracą życia i szczerze wyrobionych poglądów. W rzeczach wiary, których nie ma doskonałej pewności, trzymać się należy mądrego zdania Fryderyka Wielkiego i pozwolić każdemu być pobożnym na swój sposób; bo „gdy się dobrze przypatrzmy, zobaczymy że każdy ma swoją własną religią.” (Gete). Gdzie jednak błąd rzeczywistości leży albo leżeć się zdaje, gdzie sprostowanie lub nauka jest na swoim miejscu, wtedy, jeżeli się ma na myśli nie obrazić lecz usłużyć, przystąpić należy oględnie i spokojnie do dzieła, nie twierdząc bezwarunkowo, nie mówiąc szorstko, lecz dając poznać, że każde sło-

wo jest podyktowane przez szacunek, życzliwość, miłość prawdy i rozbierać rzecz w tonie przyjaznym, grzecznym, serdecznym nawet jeśli okoliczności pozwalają. Zbyt skwapliwą i nienatchnioną przez miłość wymową zamyka się uszy i serca słuchaczy, i nie należy zapominać, że w niektórych okolicznościach słowa równać się mogą pchnięciu sztyltem i zadawać rany, krwawić się mające całe życie. Benjamin Franklin od młodości przyzwyczaił się do tego, żeby nigdy przy wypowiadaniu swego zdania nie używać takich wyrazów jak: *niezawodnie, niewątpliwie, bezspornie*; „wolałem mówić: *przedstawiam sobie, wnoszę, zdaje mi się, że rzecz z tego lub owego powodu ma się tak albo inaczej, albo: jeżeli dobrze jestem zawiadomiony, to się ma tak*. Ten zwyczaj, mojem zdaniem, bardzo mi był użyteczny.”

Naturalna grzeczność i przyjemność obejścia wynikająca z dobroci serca i prawości przekonań nie jest przywilejem żadnego stanu, ani stanowiska. Prosty robotnik może ją tak dobrze posiadać, jak kapłan albo minister. Od najwyższego do najniższego, od najuboższego do najbogatszego żadnemu stanowi, żadnemu powołaniu, natura nie dała wyłącznie swego najpiękniejszego daru — wielkości serca. Nikt jeszcze nie był prawdziwym *dżentelmanem*, to jest prawdziwie wykształconym człowiekiem, kto tego daru nie posiadał. Wielkie serce bije zarówno pod sukmaną biedaka jak pod udekoroowaną honorowemi oznakami suknią księcia. Nie krew lecz sposób myślenia uszlachetnia i suknią tylko w oczach ludzi bezmyślnych i głupich stanowić może człowieka. Biskup Eylert opowiada, w swoich *Anegdotach i historycznych wspomnieniach z życia króla pruskiego Wilhelma III*, następujący szczegół o powszechnie wielbionej królowej Ludwice:

„Podczas wielkiej recepcyi dworskiej w Magdeburgu, przedstawiono królowej całkiem nieznaną jej i od niedawnego czasu majorowi N. zaślubioną córkę pewnego bardzo szanownego i bogatego magdeburgskiego kupca (a więc osobę *mieszczkańskiego* pochodzenia). Królowa niewiedząca o tej okoliczności, spytała mimochodem po raz pierwszy widzianą młodą kobietę: „z kogo jest urodzoną?” Przestraszona znajdowaniem się w tych wysokich, dotąd dla siebie niedostępnych sferach, po raz pierwszy znajdując się w obec królowej, odpowiedziała młoda kobieta, przyjętym, zaledwie dosłyszczanym i drżącym głosem: „Ach! Najjaśniejsza pani,—ja nie jestem wcale urodzoną.”

„Szyderski uśmiech przebiegł po twarzach większej części obecnych dam, niektóre zaś pozwoliły sobie zartobliwej uwagi nad tą odpowiednią.

„Królowa dosłyszawszy to, podniosła swą piękną, bogatymi otoczoną puklami, królewską przepaską przystrojoną głowę, i odpowiedziała uprzejmie, wzniesionym głosem, który w całej wielkiej sali audjencyonalnej mógł być słyszany:

„Pani majorowo, odpowiedziałas mi naiwno satyrycznie. Użyłam nasuwającego mi się wyrażenia „być urodzoną“ bez przywiązania do niego tego znaczenia, jakie mu zwyczaj nadał, urodzeniem bowiem wszyscy ludzie są równi. Bezwątpienia, jest to wysokiego znaczenia zachęta i podniesieniem pochodzić z dobrej rodziny, wyprowadzać swój ród od przodków i rodziców, którzy cnotą i zasługami się odznaczeni. Któżby tego nie uszanował! Lecz to znajduje się zaprawdę we wszystkich stanach, i z najniższych często najwięksi dobroczyńcy ludzkości wychodzili. Zewnętrzne szczęśliwe położenie i przywileje można odziedziczyć, lecz na wewnętrzną osobistą godność, na której w gruncie wszystko polega, musi każdy za siebie i dla siebie własną zasługą zapracować. Dziękuję ci, kochana pani majorowo, żeś mi dała sposobność tę, jak sądzę nie mało znaczącą w życiu myśl wypowiedzieć i życzę ci w twoim związku małżeńskim wiele szczęścia, którego źródło zawsze tylko w sercu naszym się znajduje.”

Wiliam i Charles Grant byli synami rolnika w hrabstwie angielskiem Inverness. Ojcu ich wylew wody zabrał wszystko, nawet ziemię, którą uprawiał. Wybrał on się zatem ze swymi synami, ażeby szukać pracy, i wszyscy trzej udali się na południe, aż przybyli w okolicę miasta Bury w hrabstwie Lancaster. Zatrzymawszy się na jednym wzgórzu, rzucili okiem do koła na rozległy krajobraz, rozwijający się pod ich stopami. Byli obcymi w tej okolicy i nie wiedzieli w którą stronę się zwrócić. Ażeby brać kierunek, postanowili rzucić kij w górę i udać się w tym kierunku, jaki on im wskaże upadłszy. Tak zrobili i puścili się w dalszą drogę, aż do pobliskiej wioski Ramsbotham. Znaleźli tu zajęcie w drukarni perkalików i pozyskali pilnością, umiarkowaniem oraz ścisłą prawością życzliwość swoich przełożonych. Pracowali oboje i usilnie, posuwali się z stopnia na stopień, aż naręszcie obaj synowie zostali

właścicielami fabryki, i powielu latach pilnego, przedsiębiorczego jej prowadzenia, doszli do wielkiego majątku, wszyscy zaś co ich znali poważali ich i szanowali. Ich przedsiębiornia bawełny i drukarnie perkalików, zatrudniały wielką liczbę robotników, owoce ich działalności stawały się pożytecznymi dla całej stolicy, i napędzały ją zabiegliwością, weselem, zdrowiem i dobrobytem. Robili oni najhojniejszy użytek ze swych bogactw, zakładali szkoły, wznosili kościoły i podnosili wszelkimi siłami dobrobyt klas roboczych, z których wyszli sami. Daleko i szeroko głośnie było imię braci Grant z licznych dobrodziejstw i wielorakiego dobra, jakie wychodziło z ich dłoni.

Zdarzyło się raz, że pewien zarządca magazynów w Manchester, bardzo nienawistny paszkwil przeciwko firmie braci Grant ogłosił, w którym starszego z nich, Williama, pod imieniem Billy Buttona wyszydził. William, dowiedziawszy się o treści tego oszczerczego pisma, rzekł tylko, że człowiek, który je napisał, żałować kiedyś będzie tego co uczynił. Autor paszkwila, gdy mu powtórzono te słowa, zawołał: „Oho! on myśli, że ja prędzej lub później zostanę jego dłużnikiem, lecz będę się dobrze pilnował.“ Otóż, ponieważ nieraz całkiem inaczej się zdarza, jak sobie zamierzamy i przewidujemy, tak też i tutaj inaczej się stało. Autor paszkwila zbankrutował, i pomiędzy wierzycielami masy znajdowali się także ci, których część i dobrą sławę zaczęli tak obelżywie. Nie mógł on rozpocząć żadnych nowych interesów, dopóki by nie przedstawił sądowi świadectwa, podpisanego przez wszystkich wierzycieli, że od swoich wymagań odstępują. Zrazu zdawało mu się niedorzeczną myślą prosić uprzednio obrażonych przez siebie ludzi, o tego rodzaju przysługę, lecz nędza jego rodziny nie pozostawiała mu wyboru, poszedł więc ze ściśniętym sercem do braci Grant. Stał przed człowiekiem, którego dawniej pod imieniem Billy Buttona na pośmiewisko podał, odpowiedział mu swoje nieszczęście i położył przed nim potrzebne mu świadectwo, „Napisałeś pan kiedyś pamflet przeciwko nam,“—rzekł William Grant. Słyszając te słowa interesant był pewnym, że wkrótce zobaczy jak jego papier wrzuconym zostanie w ogień, zamiast tego jednak Grant podpisał się, a że jego podpis był ostatnim, świadectwo zatem było zupełne. „Mamy sobie za prawidło,—mówi Grant dalej, oddając mu tyle znaczący dowód,—nigdy pocziwemu kupcowi podpisu świadectwa nie odmawiać, aż dotąd zaś

mieliśmy powody pana za takiego uważać.“ Oczy nieszczęśliwego człowieka napędlili się łzami. Ach!—odezwał się znowu Grant, widzisz pan, że miałem słusność, gdy mówił, że kiedyś żałować będziesz, żeś ów uwłaczający nam pamflet napisał. Mówiąc to wówczas nie miałem zamiaru robić panu pogróżki, chciałem tylko powiedzieć, że pan nas kiedyś lepiej poznasz, i wtedy żałować będziesz, żeś nas obraził.“ „Oh! w istocie, w istocie, czuję jak niesłusznie postąpiłem.“ „Dobrze, dobrze, znasz nas pan teraz. Lecz jak będzie z przyszłością—co myślisz pan teraz robić?“ Biedny człowiek zapewnił, że ma przyjaciół, którzy mu, byle tylko świadectwo przez wszystkich wierzycieli podpisanem było, dostateczną pomoc dadzą. „Lecz z czego żyjesz pan tymczasem?“ Odpowiedzią na to pytanie było, że zbankrutowany do ostatniego penny oddał wszystko swym wierzycielom i zmuszonym był swoją rodzinę ograniczyć do najostateczniejszych potrzeb, ażeby na kosztą świadectwa wystarczyć. „Mój kochany przyjacielu,—rzekł William Grant,—tak być nie może. Pańska żona i dzieci nie powinny tak cierpieć, bądź tak dobrym i zanieś swojej żonie ten bilet dziesięciofuntowy odemnie; tak, tak,—lecz nie płacz pan, jeszcze wszystko będzie dobrze, tylko nie trzeba tracić odwagi, weź się pan do pracy jak człowiek, a zakładam się, że policzą cię jeszcze do najlepszych między nami.“ Przepełniony uczuciami człowiek, usiłował jękać się wypowiedzieć swą wdzięczność, lecz napróżno, zakrywając twarz rękami, szlochając jak dziecko, wyszedł z pokoju.

Prawdziwie wykształcony nie potrzebuje koniecznie być człowiekiem rozległej wiedzy. Wiedza o tyle tylko ma znaczenie, o ile do uszlachetnienia serca się przyczynia, i ma się do rzeczywistego wykształcenia tak jak środek do celu. Gdy o kim mówimy, że jest „wykształconym“ człowiekiem, to przez to w gruncie nie bogatego w wiadomości, lecz przez wiadomości do wysokiego stopnia uzauczenia charakteru podniesionego człowieka rozumiemy. Im więcej wykształcenie zyskuje przez wiedzę, tem więcej cenić ją należy. Wiedza ma, według Kanta, prawdziwą wewnętrzną wartość jako narzędzia mądrości. Lecz tylko *rzeczywista* wiedza może uszlachetnić. Przez *rzeczywistą* wiedzę, pod moralnym względem pojętą, rozumiemy harmonię między umieniem jakiej rzeczy i jej czystym uczuciem, czyli między rozumem i uczuciem, tak np. ten, kto zasady jakiej rzeczy drobnotkowo wyliczyć potrafi, dla czego rzecz ma się tak

albo inaczej, jest słuszną lub niesłuszną, lecz z tą wiedzą żywotnego przekonania nie łączy, według nas uczonym lecz nie wykształconym człowiekiem nazywać się powinien. *Rzeczywista* wiedza, czyli na prawdziwym przekonaniu oparta świadomość i pojęcie tego, co jest moralnie dobrem lub złem, słusznem albo niesłusznem, pociąga za sobą wewnętrzną potrzebę *słusznego* używania wiedzy, i prowadzi prostą drogą do mądrości. W takim pojęciu wiedza jest bardzo ważnym pomocniczym środkiem w wykształceniu charakteru. Kto wie i czuje co jest prawem, ten będzie to wykonywał — tak powinniśmy na cześć ludzkości i jej Stwórcy utrzymywać. Człowiek sam przez się nie chce ani dobrego ani złego jako dobre lub złe, dopiero w czasie rozwijania się umysłowego uczy się on poznawać różnicę pomiędzy jednym a drugim, jeden lepiej, drugi mniej, a niejeden wcale nie pojmuje. Sądźmy, że tak działa podług praw moralności jak te prawa zna i rozumie, i że kto *grzeszy* ten właściwie tylko *błądzi*, a przez karę i nauki poprawionym być powinien. Ten pocieszający pogląd, który już mądry Sokrates wypowiedział, każe nam uznać *rzeczywistą* wiedzę za najwłaściwszy środek rozszerzania i rozwyszczniania słusznego poznania moralnych przeznaczeń człowieka, i zblżenia tych sposobem coraz bardziej doskonałości tak pojedynczych ludzi jak całej ludzkości. Przed światłem prawdy znika ciemna noc przesądu, urojeń i nieokrzesania. Nieświadomość jest matką występku, im zupełnie promienie rozumnej oświaty, rozjaśniając rozum i zagłuszając namiętności, wszystkie koda i warstwy ludu przenikną, tym więcej i wyłączonej cnota i moralność stawać się będą pospolitem dobrem ludzkości. Herder powiada: „Wszelkie ulepszenia następować mogą tylko przez oświatę, bez głowy bowiem i mózgu nie porusza się ani ręka ani noga”.

Prawdziwie wykształconym jest ten, czyja dusza w całości wykształciła się według najwyższych wzorów, czyj duch i umysł w najpiękniejszej symetrii doszedł do szlachetnego wykształcenia, kto dobro, prawdę i piękno gorąco poczuwa i wykonywa, niesłusność również gorąco ma w ohydzie i zwalcza, kto z płaczącym płacze, a ze szczęśliwym się cieszy. „Wykształcony człowiek, — mówił Rachel, — jest ten, kto darów, jakie posiada (zarówno czy są wielkie czy małe), dobroliwie, mądrze i słuszenie używa.” Kto podobne wykształcenie posiada, ten stoi naturalnie na najwyższym stopniu poczucia własnej godności. Czuje on

drogocenną wartość swego charakteru, czyni tylko to, co temu charakterowi umy nie przynosi, i stawia pochwałę swego wewnętrznego głosu wyżej nad pochwałę tłumu. — Ludzkość jest dla niego czemś świętem, a z tą wynika, że ręką i sercem gotów jest gorliwie dopomagać dobru bliźnich.

Prawdziwie wykształcony człowiek, posiada delikatne uczucie słusznosci i niesłusznosci, — raczej sam znieść woli niesłusznosc, aniżeli ją popełnić. Pogardza on podstępami, wybiegami, udaniem, i jest wszędzie pocziwym, zacznym, prostomyślnym. Prawem jego szczerość. Jeżeli powie tak to można gmach na tem *tak* zbudować, nie waha się o w właściwym czasie, gdy obowiązek wzywa swego odważnego *nie*, wypowiedzieć. Arndt mówi o baronie von Stein: *Naprzód!* i *prosto!* — były to jego ulubione wyrażenia. Odwaga i miłość prawdy szukają zawsze prostych dróg i słów prostych, nie potrafiłby iść nigdy krętą i wijącą się ścieżką, za wszystkie skarby świata; *tak* i *nie* dowolnie zmieniać się nie powinno.“ Wykształcony człowiek nie da się przekupić, prawda i sprawiedliwość są dla niego świętościami. Ten tylko kto jest podle usposobiony, kto nie ma ani charakteru ani zasad, sprzedawać się będzie tym; komu na tem zależy. Jesteśmy wraz z Seumem zdania, że *ten* *jest* *najszlachetniejszym*, *kto* *najwięcej* *dla* *społeczności* *czyni*, *a* *najmniej* *na* *tem* *korzysta*. Podobnie szlachetnym był na przykład w starożytności Grek Timoleon, który Syrakuzie (w Sy-cylii 345 przed Chrystusem), osobistemi ofiarami największe oddał usługi, i w chwili kiedy z łatwością władzę miasta zwierzchnią, po straceniu Dioniziusza mógł zagarnąć, cicho i spokojnie na wieś w bliskości powrócił. To też kiedy później wzrok utracił; pielgrzymowano doń jak do świętego. Tak w naszych czasach dał nie mały dowód swej bezinteresowności Schultze Delitzsch, który jak to już wyżej słyszeliśmy, z prawdziwym zaparciem się odmówił ofiarowanego sobie daru narodowego w podarku pieniężnym, chociaż jego położenie majątkowe, do tego wspaniałomyślnego postąpienia wcale go zachęcać nie mogło. Historia jest biedną, bardzo biedną w wielkie czyny tego rodzaju, podczas gdy przekleństwa godne czyny egoizmu, chciwości i samowoli przepelniają wszystkie jej karty.

Ten kto jest dobrym podziw budzi,

Nie ten kto kraj zdobędzie,

Niech król najlepszym będzie z ludzi,

Najlepszym z królów będzie.

Mathias Claudius.

Stan i majątek nie są w żadnym koniecznym związku z prawdziwe dzentelmeńskimi przymiotami. Nawet najbiedniejszy może być prawdziwie i wykształconym, — w swem sercu i w swoim życiu codziennym, — bo także może być prawym, grzecznym, umiarkowanym, odważnym, gotowym do poświęceń, jednym słowem wykształconym człowiekiem, i jako taki pierwszym w swoim kraju dorównać. Biedny człowiek z bogatym sercem, stoi w każdym względzie wyżej od bogatego człowieka z biednym sercem. Nieraz najbiedniejsza suknia pokrywa najbardziej rycerski charakter. Któż nie zna z pięknej pieśni Bürgera wzniosłego czynu jednego dzielnego człowieka, który z narażeniem własnego życia ocalił życie pewnemu celnikowi z żoną i dziećmi, i choć był sam tylko prostym wieśniakiem, przyrzeczonej sobie nagrody stu pistolów odmówił temi słowy: „Nie, za złoto nie sprzedalbym mojego życia. Bóg dał mi zdrowe ręce, zarabiam moją pracą tyle, ile na utrzymanie moje i mojej rodziny potrzeba. Daj swoje pieniądze tej biednej rodzinie, która ich teraz bardziej potrzebuje niż ja.“ Schlichtegroll opowiada w swojej *Nekrologii Niemców*, z życia Fr. Konrada Lange, niegdyś radcy konsystoryalnego w Altonie, następny wzruszający rys gotowości do niesienia ofiar pewnego prostego żołnierza. Po jednym kazaniu mianem przez Langego w Glückstadt w którym kaznodzieja gorąco zachęcał do składek na budowę domu roboczego, zauważył oficer, że pewien prosty żołnierz złożył ofiarę pieniężną na tacę, na której składano datki. Na zapytanie ile dał, odpowiedział tenże: „Trzy szylingi (szyling hamburski = $2\frac{1}{4}$ kop.).“ „Więcej zapewne nie masz całego majątku, rzekł na to oficer, — dlaczegoż więc oddajesz wszystko.“ „O! byłbym dał jeszcze więcej, gdybym miał!“ „Jesteś biednym chłopcem, któremu te pieniądze muszą być potrzebne, masz więc, zwracam ci z moich twe trzy szylingi.“ Po tych słowach poszedł oficer dalej. Kiedy go już widać nie było, położył żołnierz i te trzy szylingi na tacy. Obok tych rysów wielkiego serca w głębi ludu, postawić można inne z najwyższych sfer wychodzące, na przykład z życia cesarza Józefa II. Jak wzniosłymi i skromnymi zarazem byli myśli tego słachetnego monarchy, widać ze słów następujących, które własnoręcznie napisał po podaniu miasta Budy, pragnącego wystawić mu pomnik:

„Gdy przesady zostaną wykorzenione i prawdziwa miłość ojczyzny oraz pojęcia ogólnego dobra monarchii po-

wszechnemi się staną, gdy każdy według swojej możności przykładać się będzie do zaspokojenia potrzeb państwa, jego bezpieczeństwa i rozwoju; gdy oświata przez ulepszone studia, uproszczenie w nauczaniu dochowieństwa i połączenia prawdziwych pojęć religijnych z obywatelskimi prawami — gdy się wzmoże sprawiedliwość i wzrost bogactwa w skutkach pomnożenia ludności i polepszenia uprawy roli, — gdy poznanie prawdziwych interesów monarchy względem swoich poddanych i tychże względem monarchy, — gdy przemysł, rękodzieła i ich rozwój, oraz cyrkulacja produktów w całej monarchii, — gdy to wszystko ulepszonem i zaprowadzonem zostanie, tak jak tego pewną mam nadzieję, wtedy zasłużyć sobie na pomnik, ale nie teraz, kiedy tylko miasto Buda, przez przeniesienie do niego stolicy, wyższy dochód ze swych domów zyskało.“ Wiedeń 23 czerwca 1784 r. Józef.

Wiele jest znaków, po których prawdziwie wykształconego poznać można, szczególnie zaś jeden; który jest zawsze prawdziwym. Jaki użytek robi on z władzy nad podwładnymi swymi? jak się obchodzi z kobietami i dziećmi? jak traktuje oficer swoich ludzi, kupiec swych uczniów, nauczyciel i opiekun swych wychowanców, mocniejszy na jakimkolwiek stanowisku w życiu — słabych? Stopień skromności, dobroci i umiarkowania, z jakim we wszystkich tych wypadkach władza jest wykonywana, staje się nieomylnym świadectwem jakim jest w istocie charakter. Kto traktuje ostro i bez serca tych co nie są w stanie mu się oprzeć, może być prostakiem, grubianinem, — ale nie jest wykształconym człowiekiem, chociażby całą uczoność świata miał w swej głowie. Kto ze słabymi i pozbawionymi pomocy obchodzi się tyrańsko, działa jako tchórz nie jak człowiek. Siła i świadomość siły czynią tego kto ma serce na właściwym miejscu, skromnym i wspaniałomyślnym; taki też będzie się starannie wystrzegał użycia swojej przewagi, gdyż.

Barzo jest pięknie mieć siłę olbrzyma,
Lecz jako olbrzym używać tej siły
Potrafi tylko ten — kto sercem zgniły.

Słodycz i dobroć serca są nieomylnymi oznakami wykształcenia. Delikatna względność na uczucie drugiego, czy to on jest podwładnym nam czy równym, poszanowanie jego godności osobistej, przenikają całe postępowanie prawdziwie wykształconego. Scierpi on raczej małą urazę, aniżeli przez nieprzydatne tłumaczenie sposobu postępowania trzeciej osoby, miałby popełnić coś niesłusznego. Będzie

miał cierpliwość dla słabości, błędu i pomyłek tego, któremu życie nie zapewniło tych wszystkich korzyści, jakimi on rozporządza.

Prawdziwie wykształconym człowiekiem, charakterem w całym tego słowa znaczeniu — by. Lessing, którego ulubionym wyrażeniem było: „Niech każdy mówi to co mu się prawdą zdaje, a prawdę samą Bogu zostawić należy...“ Kilkoma mistrzowskimi zarysami jego życia, pisarz Adolf Stahr przy końcu jego biografii nakreślił silny charakter niezwykłego człowieka, którego to duchowego obrazu, jak nam z oddalenia całego stulecia przyświeca, chcemy użyć jako ostatniej cegły do budowy tego rozdziału i całej książki, w myśl wiekuistej prawdy, że *zasadą wszelkiej moralnej pomocy własnej, jest moralnie doskonały charakter*: „Spokojna wielkość, szlachetna prostota, namiętna miłość prawdy i odwaga jej wypowiadania, dla której wszelkie udanie jest wstrętnem, dla której żadna ofiara nie jest zbyt wielką, gdy idzie o prawdę i wolność ducha, wierna wytrwałość i wreszcie niezmienna stałość, które tak niezbędne są dla każdej szerokiej działalności, wszystkie te przymioty w najwyższej doskonałości tego co *charakterem* nazywamy, skupiały się jak w palącym ognisku w mężu, o którym Gete wyrzekł: „Mąż taki jak Lessing był nam potrzebnym, bo gdzież jest podobny charakter.“ Tak stoi on przed nami, on, ten jedyny człowiek... wiedzą i uczonością równy pierwszemu z między współczesnych, w zdolnościach i sztuce używania ich dla wszystkich będący najdoskonalszym wzorem, łączący polot ducha z najzdrowszą rozwagą i najszlachetniejszym poczućciem siebie z najprawdziwszą pokorą i skromnością, jaśniający całemu narodowi przez swe myśli i czyny jako wzór wieczny, rycerz w dziedzinie prawdy, dobra i piękna, na którego pomniku z pociechą te wiersze największego niemieckiego poety wyrzyć możemy:

Ślad jego życia na tej ziemi,
Nie zniknie z laty najdalszej.

KONIEC.



44209

1